



WOJCIECH
DUTKA

CZERŃ
i
PURPURA

WOJCIECH DUTKA

CZERŃ
i
PURPURA



Wydanie elektroniczne

Wojciech Dutka

(ur. 1979)

Zodiakalny Byk, osobnik uparty, niepoprawny pesymista, czyli racjonalny optymista. Absolwent historii i podyplomowego studium dziennikarstwa. Wolontariusz, dziennikarz radiowy, były pracownik uczelni medycznej, konsultant do spraw europejskich programów badawczych, ostatnio nauczyciel historii. Zajmuje się polską historiografią przełomu XIX i XX wieku; publikował w renomowanych czasopismach naukowych: „Przeglądzie Historycznym”, „Czasach Nowożytnych”, „Klio”, „Kwartalniku Historii Żydów”, „Przeglądzie Humanistycznym” i „Roczniku Historii Prasy Polskiej”. Współautor pracy o historii polskiego plakatu medycznego, nagrodzonej przez Ministra Zdrowia w 2011. Autor opowiadań, tomu poezji oraz czterech powieści historycznych: *Krew faraonów*, *Bractwo Mandylionu*, *Taniec szarańczy* i *Czerń i purpura*. Pracuje nad kolejnymi książkami zatytułowanymi *Kartagińskie ostrze* i *Labirynt Minotaura*. Jest wielbicielem niemieckiego kina, chilijskiego wina i samotnych wędrówek po górach.

Tego autora
KREW FARAONÓW
TANIEC SZARAŃCZY
BRACTWO MANDYLIONU
CZERŃ I PURPURA

Copyright © Wojciech Dutka 2013

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Redakcja: Piotr Chojnacki

Zdjęcie na okładce: Wallenrock/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-088-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [O autorze](#)
- [Tego autora](#)
- [PROLOG](#)
- [CZEŚĆ PIERWSZA](#)
 - [Rozdział I ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE](#)
 - [Rozdział II RODZINNE SZCZĘŚCIE](#)
 - [Rozdział III POKUTA](#)
 - [Rozdział IV NOWA WIARA](#)
 - [Rozdział V NIEPOKORNY](#)
 - [Rozdział VI ŻYCIOWE POWOŁANIE](#)
 - [Rozdział VII BOGOBÓJCY](#)
 - [Rozdział VIII KAIN I ABEL](#)
 - [Rozdział IX PUSTE KRZESŁO](#)
 - [Rozdział X LEKCJA ANATOMII](#)

- [Rozdział XI NAJWIĘKSZY WRÓG](#)
- [Rozdział XII NAJLEPSZY PRZYJACIEL](#)
- [Rozdział XIII MIEJSCE PRZEZNACZENIA](#)
- [CZEŚĆ DRUGA](#)
 - [Rozdział XIV WROTA PIEKIEŁ](#)
 - [Rozdział XV POTĘGA METAFORY](#)
 - [Rozdział XVI INFERNUM](#)
 - [Rozdział XVII NA KRAWĘDZI](#)
 - [Rozdział XVIII WOLA JEHOWY](#)
 - [Rozdział XIX Z REPERTUARU MARLENY DIETRICH](#)
 - [Rozdział XX PRÓBA SIŁ](#)
 - [Rozdział XXI PRZESYŁKA SPECJALNA](#)
 - [Rozdział XXII WIELKA STÓJKA](#)
 - [Rozdział XXIII KARMELITANKA](#)
- [CZEŚĆ TRZECIA](#)
 - [Rozdział XXIV POLISA NA ŻYCIE](#)
 - [Rozdział XXV DOBRA NIEMKA](#)
 - [Rozdział XXVI MÓW MI PIERRE](#)
 - [Rozdział XXVII STOLARZ Z KRAKOWA](#)

- [Rozdział XXVIII EGZAMIN](#)
- [Rozdział XXIX PIERWSZY BUNT](#)
- [Rozdział XXX KRÓLOWA ESTERA](#)
- [CZEŚĆ CZWARTA](#)
 - [Rozdział XXXI NAD PIĘKNYM MODRYM DUNAJEM](#)
 - [Rozdział XXXII JĄDRO CIEMNOŚCI](#)
 - [Rozdział XXXIII NA RAMPIE](#)
 - [Rozdział XXXIV TRZYSTA SEKUND](#)
 - [Rozdział XXXV PIĘTNO](#)
 - [Rozdział XXXVI BLOK JEDENASTY](#)
 - [Rozdział XXXVII OSTATNIE DNI](#)
- [EPILOG](#)
- [Od autora](#)
- [Powieść](#)
- [Podziękowania](#)
- [Przypisy](#)

PROLOG

Marzec 1942

Pociąg zatrzymał się z łoskotem na bocznej rampie stacji o niemieckiej nazwie Auschwitz. Zgrzytnęły rygle. Masywne drzwi pierwszego wagonu otworzyły się z przenikliwym piskiem. Potężny esesman ryknął:

– *Heraus!!!*

W transporcie znajdowało się tysiąc kobiet, ale żadna z nich zupełnie nie miała pojęcia, co to za miejsce. Przybyły tu ze Słowacji. Prezydent tego współpracującego z Trzecią Rzeszą kraju, katolicki ksiądz Jozef Tiso, zapłacił Niemcom po pięćset marek za każdego Żyda wywiezionego przez nich w nieznane.

Po chwili do wagonu podeszło kilkunastu więźniów ubranych w biało-niebieskie pasiaki. Na rozkaz esesmana podstawili do wagonów deski, po których, przy odrobinie szczęścia i refleksu, dało się bezpiecznie zejść na ziemię.

Dwudziestoletnia dziewczyna w skromnym ocieplanym płaszczu wiosennym zeszła po desce na żwir. Za nią ruszyły inne kobiety.

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE

Czechosłowacja, 1938

Duży pstrąg potokowy o pięknej zielonkawej skórze upstrzonej czerwonymi plamkami chwycił zawieszoną na haczyku tłustą larwę chruścika. Przełknąwszy smakowity kąsek, chciał umknąć w głębinę. Dziewczyna instynktownie zacięła rybę, podnosząc wędzisko w górę. Energicznymi ruchami zaczęła zwijać żyłkę. Ryba była silna i nie dawała za wygraną. Szarpała na wszystkie strony. Milena nie zamierzała się jednak poddać. Przeciwnie, siła ryby oraz jej determinacja w walce o życie utwierdzały dziewczynę w przekonaniu, że to ona musi wyjść zwycięsko z tej walki. Ucieczka przed trudnościami nie leżała w jej naturze, skorej do romantycznych uniesień, ale i racjonalnej.

Stojący obok ojciec dawał jej rady. To od niego nauczyła się łowić. Była dumna z tego, że ojciec traktował ją jak syna. Gdy pstrąg wylądował wreszcie na kamienistym i mokrym brzegu, dziewczyna odetchnęła. Wspólne wędkowanie z ojcem dawało jej dużo radości. Milena była wysoką, postawną i piękną dziewczyną o ciemnych kasztanowych włosach oraz pociągłej, delikatnej twarzy. Ojciec był z niej dumny. Urody zazdrościły jej wszystkie koleżanki w klasie.

Na Słowacji mieszkało wówczas około pięćdziesięciu tysięcy Żydów. Żyli na ogół w miastach i trudnili się handlem, choć opanowali także wolne zawody. Ojciec Mileny, sześćdziesięcioletni Elias Zinger, był prawnikiem. Prowadził własną praktykę radcowską. Jego zawód dawał prestiż społeczny i stałe dochody. Zinger zaczynał za czasów cesarza Franciszka Józefa. Gdzieś na strychu znajdował się stary zakurzony portret monarchy. Elias

miał ochotę kiedyś go wyjąć i zawiesić na ścianie w reprezentacyjnym pokoju, ale słowaccy klienci zapewne nie przyjęliby tego gestu z sympatią. Był po prostu wdzięczny cesarzowi, gdyż za jego panowania wykształcił się na Uniwersytecie Wiedeńskim i otworzył praktykę na Słowacji, wówczas zapadłej prowincji habsburskiego imperium.

Stary Elias, widząc, jak młodsza córka sprawnie radzi sobie z wędkowaniem, żałował w głębi duszy, że nie urodziła się chłopcem. Dla religijnego mężczyzny, niezależnie od wyznania, nie ma chyba nic ważniejszego niż posiadanie syna. Jednak Najwyższy w swej nieodgadnionej mądrości postanowił nagrodzić swego oddanego sługę dwiema córkami.

Jak przystało na dobrego syna żydowskiego radcy prawnego, Milena interesowała się książkami filozoficznymi i religijnymi, co nie przysparzało jej przyjaciółek wśród innych żydowskich dziewczyn. Spotykała się natomiast z chrześcijanami. Elias wprawdzie traktował gojów z należyтым dystansem, ale patrzył na życie bardzo pragmatycznie. Dziewięciu na dziesięciu jego klientów było chrześcijanami, nie zabraniał więc córce kontaktów z nimi, ale uważał, że powinny się one ograniczać do minimum.

* * *

Czasami Słowaczki zapraszały Milenę na podwieczorki. Nie były tak dobrze sytuowane jak ona. Na jednym z takich wieczorków poznała Dawida. Miał osiemnaście lat i był bratem jej dobrej koleżanki z klasy. Widząc zaciekawienie Mileny, Jizka próbowała wytłumaczyć jej, dlaczego Dawid jest taki rycerski wobec kobiet. Powiedziała, że chłopak jest aktywistą Gwardii Hlinkowej.

– Czy to ci ludzie, którzy wybijają szyby w żydowskich sklepach? – zapytała Milena.

– Nie, skądże – odrzekła Jizka – to bardzo pobożni chłopcy. Niosą baldachim nad biskupem podczas procesji Bożego Ciała.

Wyjaśnienie koleżanki nie było wystarczające. Milena nie mogła zrozumieć, dlaczego niesienie baldachimu nad biskupem jest w oczach katolickich rówieśników formą nobilitacji. Mogła sobie jedynie wyobrazić, że biskup to ktoś równie ważny jak rabin

Bratysławy. Natomiast Dawid, dobrze zbudowany blondyn, jej się podobał. Ze zwykłej dziewczęcej próżności uznała, że potajemnie będzie wymieniać z nim liściki za pośrednictwem koleżanki.

Te liściki były tylko niewinnym flirtem, powiewem młodości, a jednocześnie wyrazem tęsknoty za poznaniem ludzi, którzy nie należeli do jej świata. Elias Zinger był liberalnym żydowskim ojcem, ale jego liberalizm miał granice. Córka nie mogła sama wybrać mężczyzny, z którym chciałaby się związać. Miała być wierną córką Izraela. Toteż flirt z Dawidem, w swej treści i formie bardzo dziecinny, pozwalał dziewczynie zaspokoić jej egoistyczną, ale zupełnie naturalną w tym wieku potrzebę bycia adorowaną przez chłopców.

Flirt trwał przez lato tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Milena wielokrotnie dawała Dawidowi do zrozumienia, jak bardzo jej na nim zależy. Napomykała o jego zręczności, o tym, że ujmuje ją sposób, w jaki odnosi się do dziewcząt, oraz że jest bardzo szarmancki, a przy tym dyskretny i czuły.

Pisała do niego w taki sposób, mimo iż miała świadomość, że wśród religijnych Żydów kobieta, zachęcająca mężczyznę do aktywniejszego flirtu, niechybnie wywołałaby skandal. Jednak Milena miała skłonność do dosyć prowokacyjnego zachowania. Podświadomie wyczuwała, iż ojciec żałował, że nie urodziła się chłopakiem, i ta niezwykła śmiałość, z jaką podchodziła do wszystkich swoich spraw, czasami napawała rodziców obawami co do tego, jak córka pokieruje swoim życiem.

Pomimo niepokojów międzynarodowych lato tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku Milena spędziła, pisząc liściki do Dawida. Bawiło ją to. Sama się sobie dziwiła, że przykładała tak wielką wagę do tych nieznośnie pustych słów i też z taką atencją traktowała samo pisanie. Poprawiała każdy liścik do Dawida po kilka razy, zmieniając ton albo uwypuklając te cechy chłopaka, które się jej podobały, i te, które budziły w niej sprzeczne odczucia. Kiedy dostawała odpowiedź, w której Dawid dawał wyraz swojemu zaskoczeniu tak „szybko postępującą znajomością” i przystępował do niezdarnego tłumaczenia się z jakiejś swojej wady, Milena,

ciągle mając nad nim przewagę, zaczynała stosować osobliwą kobiecą „dialektykę”. Pisała, że zachwyca ją przede wszystkim jego wrodzona skromność, ale on nie rozumie jej serca. Ona starała się przecież mu wyjaśnić, na czym polegają jego błędy (na przykład nie uczył się francuskiego). To spowodowało, że Dawid zerwał korespondencję. Wytrzymał delikatne, ale i wyczuwalnie ironiczne przytyki, ale nie mógł znieść lekkiej drwiny ze strony kobiety. Milena nie chciała urazić go celowo.

Na początku września tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku w Czechosłowacji w życie codzienne wdarł się już wrzask pewnego pokojowego malarza spod Salzburga, domagającego się poszanowania praw niemieckiej mniejszości w Sudetach. Milena zupełnie się tym nie przejmowała. Była bardzo niezadowolona, że straciła swoją letnią zabawkę – Dawida. Mogła przecież przeciągnąć ten niewinny żarcik odrobinę dłużej. Nie cierpiała przy tym wewnątrz. Raczej cierpiała jej próżność, owa lekka, nieznosnie irytująca, a przy tym zupełnie naturalna strona kobiecej duszy.

Austria, 1938

Drasenhofen jest zapomnianą przez Boga miścinką w Austrii, tuż obok czeskiej granicy. Nad małym rynekciem wznosi się kościół, który jest jedyną budowlą widoczną w promieniu kilometra. Austriacka prowincja jakby na przekór upływowi czasu zachowała dawny styl życia. Dramat codzienności toczył się według jasnego i z dawna zaplanowanego scenariusza. Dzwon kościoła parafialnego codziennie wzywał wiernych na mszę, a mieszkańcy przychodzili do sklepu Weimertów po świeże wędliny.

Babka Franciszka Weimerta miała osiemdziesiąt lat i zawsze starała się być pierwsza w kościele. Siadała nieodmiennie w pierwszej ławce od ołtarza i przed mszą głośno odmawiała różaniec. Jej głęboka, szczerza religijność miała wpływ na wnuczka. Szesnastoletni Franciszek pełnił bowiem funkcję przełożonego ministrantów. Jako ulubieniec staruszki musiał się podporządkowywać marzeniom babci, snującej dalekosiężne plany,

a starsza pani decydowała w domu Weimertów o wielu rzeczach, zdobywszy uprzednio ogromny wpływ na syna i synową. Widziała oczyma duszy swego wnuczka jako księdza, oddanego na służbę Bogu i Kościołowi. Jednak marzenia marzeniami, a obok nich, jakby zupełnie na przekór, w Austrii zachodziły nieodwracalne zmiany.

Anschluss przyszedł spodziewanie. Przeciętni Austriacy, tacy jak rodzina Weimertów, przyjęli go z obojętnością. Być częścią wielkich Niemiec, a nie tej śmiesznej, dziesięciomilionowej republiki, znaczyło „coś”. Wielu Austriaków żyło bowiem wspomnieniem dawnej chwały domu habsburskiego. Upadek republiki nic dla tych ludzi nie znaczył. Ojciec Franciszka Weimerta, Josef, niezbyt się tym faktem przejął. Rozcinał w dalszym ciągu wieprze dostarczane przez okolicznych gospodarzy, robił z nich salcesony, wędził szynki i w tym codziennym wirze wędzonych świńskich ogonów, łbów i kiełbas nie miał czasu, żeby przejmować się czymś tak abstrakcyjnym, jak Republika Austrii. Josef Weimert nie miał głowy do polityki. Polityka bowiem to sztuka trudnych kompromisów. A on nie lubił kompromisów, gdyż wymagały od niego wysiłku intelektualnego, z którym źle się czuł, i większość ważnych dla domu decyzji spychał na kobiety, zwłaszcza na swoją matkę, a babkę Franciszka. Oprócz kompromisów Josef Weimert nie lubił Prusaków, czyli wszystkich Niemców mówiących innym akcentem od tego, jakiego używało się w Górnej Austrii lub – w ostateczności – w okolicach Wiednia. Gdy więc faszyci po raz pierwszy próbowali przejąć władzę w republice za rządów kanclerza Engelberta Dollfussa, ojciec skwitował to stwierdzeniem:

– Co ci okropni Prusacy sobie myślą?

Anschluss z marca tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku stanowił dla ojca nic nieznaczący epizod, w czym poważny udział miała jego matka, rodowita Bawarka znad rzeki Inn. Powiedziała mu, że ich rodzina od trzystu lat budowała swoją pozycję uczciwych i rzetelnych rzeźników. Nigdy żaden z przodków Josefa Weimerta nie sprzedawał ohydnej pasztetówki jako

wątrobianki, a *Krakauer*, najbardziej tradycyjna z austriackich kiełbas, nigdy nie miał więcej słoniny, niż wynikało to z przepisu. I skoro od trzystu lat nikt nie narzekał na wędliny Weimertów, nie było żadnego powodu, by ludzie mieli na nie narzekać w Austrii pod panowaniem Hitlera. To był pragmatyzm codzienności. Dlatego ojciec przeszedł nad Anslussem do porządku i skwitował włączenie Austrii do Niemiec lapidarnym stwierdzeniem:

– Nie pozwólmy, aby ta zmiana zaważyła na naszym życiu.

Rodzina Weimertów była najosobliwszym mizoginicznym patriarchatem, jaki można sobie wyobrazić. Słowo ojca było święte, ale tylko wówczas, kiedy zaakceptowała je babka. Anna Teresa Weimert decydowała, jaki kształt ma mieć strudel na Boże Narodzenie, jak długo należy prażyć jabłka na ów strudel, jaki stół należy kupić, żeby nie zniszczyć dębowej podłogi w salonie, i wreszcie jakie lektury powinna czytać synowa w czasie ciąży. Matka Franciszka, Honorata z domu Aufhauser, nie była żadną błyskotliwą intelektualistką, tylko pobożną kobietą o wielkim sercu, która prała, sprzątała, oporządzała dom i rodziła dzieci. Bynajmniej nie została do tego zmuszona. To był jej własny wybór, wynikający z potrzeby serca.

W takiej rodzinie przyszedł na świat Franciszek Weimert. Miał dwu starszych braci: Lorenza, lekarza, człowieka uczynnego i odczytanego, oraz jego zupełne przeciwieństwo, Friedricha, robotnika pracującego w Wiedniu i rzadko zagląającego do Drasenhofen, osobnika z natury samotnego, introwertycznego, rodzinnego dziwaka.

Franz był trzecim, najmłodszym synem, ukochanym dzieckiem, grzecznym, uczynnym. Nigdy nie szukał zwady z rówieśnikami, pomagał ojcu, pilnie się uczył i chodził codziennie do kościoła.

* * *

Święto Paschy przypadające wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku było na swój sposób niezwykle. Odbywało się w atmosferze niewytłumaczalnego dla wielu ludzi rozdzielenia. Wiosną tego roku ostatecznie umarła Czechosłowacja. Powstało wolne państwo słowackie, z zasady antyczeskie,

ultrakatolickie i zajadle antysemickie, co Słowacy starali się okazać Żydom na każdym kroku. Ojciec Mileny przed rozpadem Czechosłowacji był po prostu wziętym prawnikiem. Po upadku Czechosłowacji był dalej dobrym prawnikiem, ale już żydowskim. Przymiotnik „żydowski”, wyznaczający niewidzialną granicę narodowości, oznaczał desperację. Mecenasa Elias Zinger był „tamnym” prawnikiem, czyli żydowskim krwiopijcą wysysającym pieniądze z biednych Słowaków, którzy żyją przecież w swoim własnym kraju zgodnie z nauczaniem Kościoła.

Milena nie przepadała za Paschą, mimo że święto to stanowiło centrum żydowskiego świata. Nie lubiła sprzątanania, a żydowska tradycja nakazywała przygotowanie zarówno duszy, jak i mieszkania. Każda filiżanka musiała lśnić. Milena nie lubiła jajek jadanych w czasie sederu, uroczystej rodzinnej kolacji, oraz gorzkich ziół, chrzanu, cykorii i sałaty. Jednak w tym roku dziewczyna wyczuwała dziwny niepokój, jaki udzielał się ukochanemu ojcu. Nie potrafiła wytłumaczyć źródła tego lęku. Do tej pory ojciec (w mniejszym stopniu matka) trzymał ją pod kloszem, żyła więc w błogiej nieświadomości nadciągającej burzy. I chociaż Słowacja nie była wolna od antysemityzmu, Milena nie dostrzegała żadnych zagrożeń. Żyła w swoim świecie. Nic poza nią samą nie wzbudzało jej zainteresowania.

Flirt z Dawidem uzmysławiał jej kruchość relacji między ludźmi pochodzącymi z dwu światów. Łudziła się naiwnie, że może przeniknąć do świata katolików, a oni mogą poznać jej świat. Zawiodła się. Hermetyczność tych dwu środowisk okazała się zbyt wielka. Do opamiętania wezwał ją ojciec, który słysząc, że córka wymieniała liściki ze Słowakiem, i do tego katolikiem, rzekł:

– Pamiętaj, że Najwyższy przeznaczył ci los żydowskiej żony.

Ta stanowczość ojca, znamionująca jego tendencję do uszczęśliwiania córki według prawa i zwyczaju ich dumnego ludu, owej wiosny miała także drugie dno, którego Milena nie chciała i nie potrafiła dostrzec. Po wieczerzy paschalnej, po wypiciu trzech kielichów wytrawnego koszerne go wina (w każdym pobożnym żydowskim domu czwarty kielich był niezmiennie przeznaczony dla

proroka Eliasza), ojciec oświadczył rodzinie:

– Musimy wspólnie zdecydować, czy zostajemy tutaj, na Słowacji, czy wyjeżdżamy do Palestyny.

Za tymi słowami kryła się wielka troska o byt rodziny. Wszyscy oczekiwali, że to ojciec podejmie decyzję. Stary Elias Zinger wyznał więc, że rozmawiał z rabinem i przyjacielem rodziny, dostojnym Majzelsem. Razem doszli do wniosku, że trzeba zachować spokój. Słowacja była ich krajem, niezależnie od tego, co myśleli o tym Słowacy. Skoro budowali ten kraj za Franciszka Józefa, jako część habsburskiej monarchii, a potem budowali go w Czechosłowacji Masaryka, to czemuż nie mieliby dalej być słowackimi Żydami za rządów księdza Tiso? Postanowili, że zostaną.

Milena wcale nie chciała jechać do Palestyny. Przeraziła ją odległość tego pustynnego kraju, z którym nie czuła żadnej więzi. Poza tym bała się ciężkich warunków życia, gdyż ponoć wielu osadników żydowskich wiodło żywot prawie nomadyczny, a na pewno bardzo ascetyczny. Gdy usłyszała, że zostaną na Słowacji, bardzo się ucieszyła. Miała przynajmniej pewność, że spokojnie rozpocznie studia w bratysławskim konserwatorium.

Rozdział II

RODZINNE SZCZĘŚCIE

Najlepszym przyjacielem Franciszka był Bastian Schilling. Jego rodzice byli właścicielami największego majątku w Drasenhofen, powszechnie szanowanymi obywatelami i dobrymi katolikami. Chłopcy przyjaźnili się od piaskownicy. Razem reperowali drewniane samochodziki, razem kradli najdojrzalsze czereśnie i razem podglądali dziewczyny. Ich przyjaźń przetrwała wszystkie próby dzieciństwa i wczesnej, bardzo niewinnej młodości.

Bastian miał brata, młodszego o dziesięć lat pucołowatego chłopca imieniem Manfred, który darzył starszego brata uwielbieniem. W zasadzie był najnormalniejszym radosnym i pogodnym dzieckiem, z tą jedynie różnicą, że w wieku siedmiu lat mówił tylko kilka słów: mama, tata, Bastian, jeść, kupa, spać. Cierpiał na mongolizm i stanowił dla Schillingów wstydlivy kłopot. Nawet gdyby rodzina chciała ukryć Manfreda przed wścibskimi oczyma mieszkańców Drasenhofen, nic by to nie dało. W małych miasteczkach wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Manfred był ułomny, ale to wcale nie oznaczało, że jego niepełnosprawność kładła się cieniem na stosunkach Schillingów z innymi rodzinami. Potwierdziła to przyjaźń między Bastianem i Franzem. Jednak wraz z „nowymi, narodowosocjalistycznymi czasami” zauważalne stało się pewne delikatnie napięcie. Manfred właściwie sam nie opuszczał już domu. Mógł wychodzić tylko w towarzystwie matki, a nawet wtedy obydwójce przemykali tak szybko, jak gdyby matce się spieszyło.

Franz nawet polubił Manfreda, który był bardzo ufny. Jako starszy ministrant, opiekujący się młodszymi adeptami służby liturgicznej, starał się traktować chłopca z największą delikatnością i zrozumieniem. Namawiał przyjaciela, by miał podobne podejście do brata. Zauważył bowiem, że mimo bezgranicznego oddania i braterskiej miłości Bastian odnosił się do Manfreda z rezerwą, wręcz z lekceważeniem.

Ta uczuciowa nierówność pogłębiła się, gdy niespodziewanie w czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku Bastian wstąpił do Hitlerjugend. Rodzice Bastiana uznali to za naturalny proces. W przeciwieństwie do rodziny Franza, która trzymała się z daleka od polityki, rodzice Bastiana szybko zorientowali się, że mogą dużo zyskać na przystąpieniu do NSDAP. Włączyli się tym samym w ogromny proces społeczny obejmujący całe Niemcy. Partia Hitlera odnotowała gwałtowny przyrost liczby członków właśnie w dwu ostatnich latach, na fali sukcesów wodza. Rodzice Bastiana, zamożni austriaccy rolnicy, przyłączyli się do ruchu nazistowskiego z czystego koniunkturalizmu i dla świętego spokoju. Ich syn Bastian, w którym pokładali wszystkie nadzieje, po prostu nie mógł nie przynależeć do najlepszej części niemieckiej młodzieży, do Hitlerjugend. Gdy chłopak wstąpił do organizacji, Schillingowie nie przestali chodzić do kościoła. Wprawdzie pan Schilling pojawiał się tam rzadziej, ale dewocja pani Schilling pogłębiała się wprost proporcjonalnie do obojętności męża. Pani Schilling szukała w wierze ucieczki, odkąd jej mąż powziął trudną, ale zgodną z linią partii decyzję, by powierzyć wychowanie upośledzonego syna narodowosocjalistycznemu państwu.

Pewnej dusznej niedzieli latem tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku obydwaj przyjaciele, Franz i Bastian, spotkali się na lemoniadzie. Franciszek wyczuł zakłopotanie towarzysza. Coś się musiało stać. Zawsze wiedział, gdy Bastian dostał lanie od ojca za wagary, podkradanie czereśni z cudzych ogrodów albo za kolejną dwóję z matematyki, ich ulubionego przedmiotu.

– Co się stało?

Bastian nie spieszył się z odpowiedzią.

– Nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić.

– Jeśli nie chcesz, to nie mów.

– Muszę to komuś powiedzieć – odparł Bastian pospiesznie, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar. – Ojciec wysłał Manfreda do ośrodka opiekuńczo-wychowawczego w Saksonii.

– Co takiego? – Franciszek nie krył zdziwienia.

– Awantura trwała prawie miesiąc, ale w końcu ojciec wymógł

to na matce. Wiesz, moi starzy bardzo się zmienili, odkąd wstąpili do partii. Ojciec chce prowadzić życie towarzyskie. Poznali dużo ciekawych ludzi.

– Narodowych socjalistów?

– Tak, to w większości partyjni znajomi. Nie mogliśmy udzielać się towarzysko przez Manfreda. Rodzice się go wstydzi. Teraz mają kłopot z głowy. Wysłali go do jakiegoś ośrodka, gdzie mają go leczyć. Ten zakład został stworzony przez Führera specjalnie z myślą o takich dzieciach jak Manfred. Zapewniają tam opiekę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Może to lepiej. W domu nikt nie miał dla niego czasu.

– A ty co o tym myślisz? – zapytał zaniepokojony Franciszek.

– Będę mógł go widywać razem z rodzicami. To tylko kilka godzin jazdy samochodem – odrzekł Bastian, unikając jednak wzroku przyjaciela.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, Bastianie. Chcę wiedzieć, co ty o tym myślisz. Chcę znać twoje zdanie.

– To przecież ojciec zdecydował. Ja nie mam nic do gadania.

– Nalegam – powiedział stanowczo Franciszek.

Bastian popatrzył koledze w oczy.

– Myślę, że rodzice źle zrobili. Manfred jest taki bezbronny. On będzie tam bardzo cierpiał. Ale co ja mogłem zrobić? Gdybym się sprzeciwił, ojciec stłukłby mnie na kwaśne jabłko. Muszę być przecież posłuszny rodzicom. Ojciec mówił, że na pewno znajdą tam jakieś lekarstwo dla Manfreda.

Franciszek przyjął wyjaśnienie przyjaciela. Pocieszał go, jak mógł. Ale nie potrafił sobie wyobrazić, jakie lekarstwo może wyleczyć umysłowe upośledzenie.

* * *

Latem tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, w kilka miesięcy po tym, jak wojska Hitlera zajęły Pragę, Milena zdała do konserwatorium. Dziewczyna kochała muzykę i chciała rozwijać talent. Oznajmiła rodzicom, że nie widzi się w roli kury domowej, zajmującej się obejściem i doglądającej, czy dzieci mają mokro, czy są głodne. Najzwyczajniej w świecie nie miała ochoty

zostać pobożną żydowską matką i żoną. Była ambitną i samodzielnie myślącą dziewczyną i upierała się stanowczo przy studiach muzycznych. Matka początkowo w ogóle nie chciała się zgodzić na dalsze kształcenie córki, ale widząc jej upór, zgodziła się na medycynę. Milena nie miała jednak najmniejszego zamiaru być lekarzem. Interesowała ją wyłącznie muzyka. W końcu rodzice ulegli. Milena poszła do konserwatorium.

Wkrótce wydano zarządzenie, na mocy którego studenci Żydzi mieli siedzieć w oddzielnych ławkach. Na wszystkich wydziałach bratysławskiego uniwersytetu getto ławkowe zostało wprowadzone przy milczącej bezradności żydowskich studentów, pięściami Gwardii Hlinkowej, z poparciem władz uniwersyteckich. W konserwatorium Żydzi stanowili około dwudziestu procent wszystkich studentów i pracowników. Musieli się podporządkować nowemu prawu. Państwo Słowackie było teraz na wskroś katolickie, a Żydów traktowano jako nieprzyjaciół wiary katolickiej lub cel akcji chrystianizacyjnej, co zresztą zgadzało się z ówczesną polityką Watykanu.

Temperament Mileny nie pozwalał się jej podporządkować nowemu prawu. Na wykładach zasiadała zatem w pierwszej ławce, obok dwu słowackich koleżanek i węgierskiego studenta. Na sali zapadała wówczas cisza. Milena rzuciła więc wyzwanie wszystkim katolikom i choć ryzykowała upokorzenie, postanowiła, że będzie trwała przy swoim wyborze. Na szczęście tego dnia wykłady z renesansowego madrygału miał profesor Zizek, marksizujący esteta, kontestator Benesa i ostatnia osoba w konwersatorium, którą można było uznać za zwolennika rządu księdza Tiso. Profesor wszedł na salę. Zerknął na studentów i z wyrazem nonszalancji na twarzy ruszył w stronę katedry. Jego zgarbiona postać zdawała się niknąć wśród obecnych. Gdy wszedł na podwyższenie, ściągnął płaszcz i położył go na stojącym obok krześle. Z teczki wyjął plik pokreślonych papierów i położył go na blacie katedry. Założył okulary w grubych oprawkach z drzewa wiśniowego. Spojrzał na Milenę, siedzącą w pierwszej ławce, obok chrześcijańskich studentów.

– Nie wybaczyłbym sobie, gdyby pani usiadła w ostatniej ławce – powiedział do Mileny.

Słowa profesora rozładowały atmosferę. Wykład odbył się tak, jak gdyby nie istniał rząd księdza Tiso. Po wykładzie ktoś jednak doniósł władzom uczelni, że profesor Zizek nie podporządkował się zarządzeniom władz i że pozwolił Żydom na zasiadanie w jednej ławce ze studentami chrześcijańskimi. Profesora natychmiast wezwano na rozmowę do rektora, argumentowano, że swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem nie powinien narażać uczelni na ryzyko poważnych konsekwencji. Podsunęto mu także do podpisania zobowiązanie, że w przyszłości nie dopuści się takich czynów. Zizek odmówił podpisania papieru. Następnego dnia wysłano go na bezpłatny przymusowy urlop.

Milena, mimo iż wiedziała, co stało się z profesorem, nie przestała kontestować polityki katolickiego rządu Słowacji wobec swoich żydowskich obywateli. Na każdych zajęciach zasiadała obok słowackich koleżanek i kolegów. Nie uszło to uwadze ani władz uczelni, ani aktywistów z młodzieży hlinkowej, nacjonalistycznej i ultrakatolickiej organizacji młodzieżowej, jaką ksiądz Tiso zorganizował na wzór Hitlerjugend.

Któregoś dnia wracała do domu. Podbiegł do niej kolega z roku, Jehuda Szopsowic, żydowski student w klasie skrzypiec. Zawsze siadał z innymi żydowskimi studentami w przepisanej im oślej ławce. Był wyższy od Mileny niemal o głowę. Nosił modną szarą marynarkę, miał ciemną, opalizującą karnację i starannie wymodelowane brylantyną włosy. Goguś, pomyślała Milena, nie lubię takich chłopców.

– Jesteś bardzo odważna – powiedział, dopędzając ją na bratysławskim trotuarze.

Posłała mu pełne nieufności spojrzenie.

– A ty jesteś tchórzem – wycedziła z pogardą. – Gdybyście wszyscy usiedli ze mną w pierwszym rzędzie, nikt nie odważyłby się przestrzegać tego przepisu.

Przyspieszyła kroku, ale Szopsowic jej nie odstępował.

– Odprowadzę cię do domu – zaproponował.

– W żadnym wypadku – odparła dziewczyna. – W mojej rodzinie, gdy chłopak odprowadza dziewczynę do domu, wszyscy mają prawo myśleć, że się jej oświadczy.

– A więc dajesz mi kosza na ulicy?

– Naturalnie – oparła całkiem serio Milena. – Żydowska dziewczyna musi dbać o reputację. Tylko to nam zostało.

* * *

Kilka dni później do mieszkania Zingerów w centrum Bratysławy zapukali gwardziści Hlinki w asyście jednego policjanta.

Tego dnia w gospodarstwach wszystkich bratysławskich Żydów miały odbyć się rewizje. Poszukiwano materiałów wrogich państwu słowackiemu, szkalujących hitlerowskie Niemcy, sojuszników rządu księdza Tiso, a także kosztowności i – co najważniejsze – materiałów „masonskich”. Katolicki rząd Słowacji wykazywał obsesyjną wręcz chęć demaskowania masonerii. Podobnie jak we frankistowskiej Hiszpanii, uznano, że masoneria jest jednym z największych zagrożeń dla zdrowego społeczeństwa. Żydzi zostali powiązani z masonerią. I rodzina Mileny miała paść ofiarą tej obsesji.

Był ranek dnia szabasowego, kiedy wszyscy w mieszkaniu Zingerów usłyszeli wyraźne i coraz natrętniejsze pukanie. Elias Zinger wstał z łóżka, naciągnął szlafrok i podszedł do drzwi. Sądził, że to dozorca przyniósł pozostawioną przez gońca prasę. Otworzył i w tej samej chwili drzwi pchnięte jakąś ogromną siłą odrzuciły Eliasa Zingera na ścianę. Gwardziści wpadli do wnętrza.

– Przeszukać tę żydowską norę! – zagrzemiał najstarszy rangą bojówkarz.

Słyszac krzyki, Milena wstała, aby sprawdzić, co się dzieje. Bojówkarze przewracali ich mieszkanie do góry nogami. Wyrzucili wszystkie ubrania z szaf, potłukli zastawę znajdującą się w kredensie – sprawdzali, czy w tym kuchennym meblu Żydzi nie schowali kosztowności. Najwyraźniej mieli w pamięci opowieści o żydowskim złocie.

Przerażona matka Mileny pomogła wstać poturbowanemu

mężowi. Milena była zbyt przerażona, by uczynić cokolwiek.

– Teraz możesz sobie w domu urządzać demonstracje.

Jasna aluzja do zachowania Mileny w wyższej szkole muzycznej nie pozostawiła cienia wątpliwości, jaki był powód ataku. Najście nie trwało więcej jak piętnaście minut. Hlinkowcy zakomunikowali policjantowi, że nie znaleziono żadnych nielegalnych materiałów. Funkcjonariusz przeprosił za „uzasadnione naruszenie miru domowego”. Wyszli, trzaskając drzwiami.

Milena płakała w objęciach matki. Nikt wcześniej nie zakłócił spokoju jej domu i intymności w tak brutalny sposób. Mimo bólu i upokorzenia Elias Zinger postanowił działać. Nie zamierzał puszczać tego gwardzistom płazem. Nikt przecież nie pozbawił ich praw publicznych, a w normalnym kraju nie nachodzi się ludzi w ich własnych domach. Napisał ostry protest do naczelnika policji, a do prokuratora skierował zawiadomienie o dokonaniu przestępstwa. Nikt jednak nie przyszedł, aby dokonać oględzin mieszkania. Prokurator znał Zingera i zwlekał z odpowiedzią.

Policja przysłała list po dwóch tygodniach. Stwierdzono w nim, że przeszukania dokonano zgodnie z obowiązującym prawem, cytując przy tym odpowiedni dekret prezydenta Słowacji księdza Tiso, i że z powodu szkód nie należy się Zingerom żadne odszkodowanie. Bratysławski komendant policji wyraził natomiast ubolewanie z powodu formy, w jakiej przeszukanie się odbyło. Po przeczytaniu tego listu Zingerowie zdali sobie sprawę, że stali się obywatelami drugiej kategorii. Pożalowali decyzji o pozostaniu na Słowacji, ale ojciec wciąż chciał udowodniać, że jest przydatnym członkiem społeczeństwa, nawet wtedy, gdy wprost pokazywano im drzwi.

* * *

Proboszcz podszedł do Franciszka po mszy. Wyraz smutku na twarzy starego księdza zwiastował jakąś smutną wiadomość.

– Synu – rzekł – jutro odbędzie się msza pogrzebowa.

Franz nie krył zaskoczenia. Proboszcz nie miał w zwyczaju informować go o pogrzebach, co najwyżej wyrażał pragnienie, aby

Franciszek oraz inni ministranci stawili się na nich jako służba liturgiczna.

– Manfred Schilling nie żyje – dodał ksiądz.

Franciszek poczuł lodowaty skurcz w sercu. Pamiętał przecież niedawną rozmowę z Bastianem. Manfred pojechał do szpitala. Bastian zdradzał mu w sekrecie obawy o brata. Ale w najgorszym koszmarze Franciszek nie mógłby sobie wyobrazić, aby Manfred zmarł po niecałym miesiącu pobytu w tym ośrodku. Chłopak pomyślał, że musiał wydarzyć się jakiś straszny i nieprzewidziany wypadek.

– Jak to się stało? – zapytał Franz.

– Podobno umarł na serce – odrzekł ksiądz. – Wiem to od ojca Manfreda, który godzinę temu przyszedł do mnie, aby zamówić mszę. Nie zwlekaj i idź do kolegi ze słowem pocieszenia. Tam dzieje się coś niedobrego.

Franciszek pospieszył do Schillingów. Drasenhofen nie jest rozległe. Z jednego krańca na drugi można przejść w dziesięć minut. Franz miał jednak kłopoty, aby w ogóle pomówić z Bastianem. Ojciec zabraniał rodzinie rozmawiać o śmierci Manfreda. Chłopak nie dał jednak za wygraną. Poczekał do zmroku i umówionym wcześniej znakiem, rzucając kamyczkiem w okno pokoju przyjaciela, wywołał go na zewnątrz. Bastian był w strasznym stanie. Bez przerwy płakał.

– Manfred był taki bezbronny – powtarzał.

W końcu Franciszkowi udało się wydobyć od kolegi nieskładną opowieść, z której sam mógł wyciągnąć wnioski. Ojciec Bastiana zabraniał w ogóle mówić o młodszym synu, gdy ten wyjechał do Saksonii. Matka próbowała przerwać tę znowę milczenia, ale była bezradna wobec zatwardziałości starego Schillinga, „pana i męża”, jak kazał siebie nazywać.

– Jak twój ojciec może się tak zachowywać? – pytał Franz.

– Może, jak widzisz. Tylko awantura z matką sprawiła, że poszedł do proboszcza dać na mszę.

– Jak się dowiedzieliście o jego śmierci?

– Ze szpitala w Saksonii przyszła paczka z urną i krótki

urzędowy list z informacją, że Manfred zmarł na ciężką i nieuleczalną wadę serca.

– Proboszcz mówił to samo.

– Wiem to od ojca, ale – tutaj Bastian ściszył głos, jak gdyby wstydził się tego, co powie, lub chciał powierzyć przyjacielowi największej wagi tajemnicę – ja nie wierzę, żeby Manfred miał wadę serca. W tym szpitalu mieli go zabić i ojciec wiedział, co się stanie, gdy odda go na leczenie w Saksonii. Nienawidzę tego skurwiela.

– To twój ojciec.

– Fakt, spłodził mnie – powiedział ordynarnie Bastian. – Ale odtąd nie jest już moim ojcem.

* * *

Od pogrzebu Manfreda minęły dwa tygodnie. Uroczystość była nader skromna, co kontrastowało z możliwościami finansowymi rodziny Schillingów. Urnę z prochami chłopczyka pochowano w rodzinnym grobowcu. Manfred stał się absolutnym tabu. Jak gdyby nie był członkiem rodziny, jak gdyby jego ułomność nie dawała bliskim odmiennego, ale równie wartościowego dobra, wrażliwości i ciepła. Po prostu wymazano go z pamięci, jak gdyby nigdy nie istniał.

Po pogrzebie huczało od plotek. Krążyły różne wersje historii śmierci młodszego syna Schillingów. Przeważały jednak opinie, że jego ułomność intelektualna była wynikiem niedorozwoju ogólnego. Chłopiec miał po prostu bardzo słabe serce, które pewnego dnia nie wytrzymało. Ludzie doszli do wniosku, że była to naturalna śmierć. Gdyby rodzice nie wysłali go na leczenie do Saksonii, to umarłby w domu. Franciszek nikomu nie zdradził tajemnicy powierzonej przez Bastiana. Zachowywał milczenie nawet w domu, kiedy nestorka rodu, wszechwładna babka, powtarzała wszystkie te opowieści, niemające zbyt wiele wspólnego z prawdą.

Rumiana i żywotna babcia bardzo lubiła wieczorami wygrzewać się w fotelu. Ojciec siedział z kuflem piwa w ręku i zimą lubił patrzeć na drwa płonące w kominku. Wiosną i latem siadywał na werandzie i czytał jakąś powieść przygodową. Najważniejsze

decyzje w domu Weimertów podejmowały kobiety.

– Franciszku – rzekła pewnego wieczoru babcia – masz już szesnaście lat. Powinieneś pomyśleć o swojej przyszłości.

To oznaczało, że babka miała jasny plan co do przyszłości swego wnuka. Franciszek był przekonany, że zaraz zacznie się pogawędka o kościele oraz o tym, że ma zostać księdzem. Zawiódł się jednak srodze.

– Dobry, grzeczny chłopiec – stwierdziła babcia.

– Zawsze pragnęłam, aby twój ojciec został sługą bożym. Życie jednak samo pisze scenariusze dla ludzkiego losu. Twój ojciec nie chciał być księdzem.

– Do rzeczy, mamó – wtrącił nerwowo ojciec, siedząc na werandzie i cały czas śledząc rozmowy w domu.

– Nie przerywa się starej matce – ofuknęła babka swego syna Josefa. – Słuchałam wczoraj w radiu przemówienia Führera na dorocznym zjeździe młodzieży. Pomyślałam sobie wtedy, że byłoby rozsądnie, aby Franz zapisał się do Hitlerjugend.

Cisza. Żadnej reakcji. Ojciec dalej siedział na werandzie, a matka krzątała się po kuchni, szykując kolację.

– Co o tym sądzisz, moje dziecko? – babka spytała Franciszka.

– Bastian jest w Hitlerjugend – Franz powiedział pierwszą rzecz, jaka mu się nasunęła.

– To się świetnie składa – odparła babka – będziesz miał kolegę. Jesteście przecież najlepszymi przyjaciółmi, prawda?

Chłopak potwierdził ruchem głowy. Matka nadal siekała cebulę, ale ojciec rzucił z werandy:

– A może byś tak nie decydowała za chłopaka, mamó? Za mnie też chciałaś decydować.

– Twój ton, mój drogi, jest nie do przyjęcia – zauważyła babka. Użycie formuły „mój drogi” oznaczało, że jest bardzo przejęta i że stanowczo nie zgodzi się na żaden opór syna. Jej wola była święta, tak jak wola Pana Boga w niebie.

– Ja też uważam, że nie powinieneś tak mówić do matki, Josef – odezwała się jego żona, krojąc w kuchni świeżą cielecą wątróbkę.

Josef Weimert już się nie odezwał, przypieczętowując tym

samym los syna. Gdyby ostro się sprzeciwił, ryzykując awanturę, być może życie Franciszka pobiegłoby innym torem.

A tak babcia mogła wypełnić swoją wolę.

– Czy chciałbyś być członkiem Hitlerjugend? – zapytała, ale zaraz potem przeszła w typowy dla siebie słowotok skierowany pośrednio do wszystkich członków rodziny. Argumentowała, że wstąpienie Franciszka do Hitlerjugend byłoby korzystne dla rodziny: – Wy nie jesteście w partii jak Schillingowie i inni sąsiedzi. Lorenz mieszka w Wiedniu i na pewno się do partii nie zapisał, nie mówiąc już o tym nicponiu Friedrichu, skaranie boskie z tym chłopakiem, z jakimiś socjalistami się skumał, mój Boże, takie bezbożne lektury czyta, a ja się tak codziennie modlę, żeby został dobrym katolikiem i służył naszej wielkiej ojczyźnie.

– A jaką mam ojczyznę ma na myśli? – zapytała matka Franza, wrzucając pokrojoną wątróbkę wraz z talarkami cebuli na skwierczące masło.

Babka odwróciła głowę.

– Oczywiście naszą wielką niemiecką ojczyznę.

Powiedziała to najspokojniej w świecie, świadoma, że matka Franza nigdy się jej nie sprzeciwi. Tydzień później Franz został członkiem Hitlerjugend.

Rozdział III

POKUTA

Słowacja, 1939

– Nie mogę znaleźć pracy – westchnął któregoś dnia mecenas Zinger. – Wszyscy klienci, z którymi teraz rozmawiam, bardzo mi współczują. Mówią, że gdyby były bardziej spokojne czasy... Nikt nie chce mi powierzyć sprawy.

– Ile mamy oszczędności? – zapytała go żona.

– Na rok. Może na półtora – odparł ojciec.

– Na dwa. Będziemy oszczędzali na wszystkim. – Wypowiedziawszy to niewyobrażalnie trudne zdanie, pani Zinger zanosła się płaczem. Mąż zaczął pocieszać żonę. Konieczność oszczędzania była dla niej bardzo nieprzyjemna. Pani Zinger, mając za męża prawnika o wysokich dochodach, nigdy nie martwiła się o dom ani o jego potrzeby. Na zakupy zawsze starczało. I zawsze rodzinę było stać na to, by raz lub dwa razy do roku pojechać do Pragi lub do Wiednia. Teatr, eleganckie ubrania, wyrefinowane słodycze, dobry alkohol były w zasięgu ręki. Nikt nie musiał sobie niczego odmawiać. Pani Zinger z trudem przystosowywała się teraz do nowej sytuacji, w której musieli liczyć się z każdym groszem, żeby przeżyć. Co innego, gdy prowadzi się dom, mając gosposię, która posprząta i ugotuje, a co innego, gdy trzeba to robić samemu. Twardsza okazała się Milena, która powiedziała:

– Jesteśmy w lepszej sytuacji niż inni Żydzi. Rodzina rabina Majzelsa musi pożyczać na jedzenie.

Na Słowacji formalnie Żydom nie działo się nic złego. Nikt nie kazał im mieszkać w gettach, nie skazywał ich na izolację. Jednak stopniowo wznosił się wokół nich niewidzialny mur oddzielający ich od reszty społeczeństwa. W ramach oszczędności Zingerowie

musieli zwolnić gosposię. Nieopodal kamienicy, w której mieszkali, znajdował się sklep prowadzony przez dawną znajomą pani Zinger – Semotanową, matkę Dawida, skrycie kochającego się w Milenie latem zeszłego roku. I w tym sklepie, odwiedzanym przez matkę Mileny przez wiele lat, doszło do następnej sceny, która dała Zingerom wiele do myślenia.

Pani Zinger chciała kupić cukier. Semotanowa odpowiedziała po głębokim namyśle:

– Pani Zinger, nie sprzedam pani cukru ani jajek, ani mąki, ani nic innego. Po prostu nic pani już nie sprzedam.

– Ależ, pani Semotanowa, nie rozumiem. My zawsze płaciliśmy. Kupcowa przybrała smutny wyraz twarzy i powiedziała:

– Pani Zinger, ja do pani nic nie mam. Pani i szanowny mąż byliście zawsze mile widzianymi klientami. Mój Dawid mi zabronił, dlatego, kochana, nie sprzedam, choćbym chciała.

– Jak to zabronił? Czego konkretnie?

– Powiedział, że nie mogę sprzedawać Żydom. Niech pani mnie zrozumie, nawet gdybym ja chciała pani sprzedać, to Gwardia Hlinkowa zabrania. Mój syn jest gwardzistą. Powiedział też, że sklepy prowadzone przez katolików mogą sprzedawać tylko katolikom. A jak nie, to mają być bojkotowane. Ja się na tej całej polityce nie znam, ale towaru pani nie sprzedam.

Matka Mileny nie była przyzwyczajona do tonu, z jakim Semotanowa z nią rozmawiała. Zazwyczaj dostawała to, co chciała. W tej jednej chwili poczuła tak wielką odrazę do właścicielki, że mogła zrobić tylko jedno: natychmiast wyjść ze sklepu. Semotanowa, widząc ogromne zdenerwowanie pani Zinger, powiedziała na odchodnym, że na targu nie ma ograniczeń w handlu i że na pewno jest tam taniej.

Gdy matka Mileny opuściła sklep, pani Semotanowa zwróciła się z rozbrajającą szczerością do obecnych kobiet:

– Mój Dawid mówił, że Żydzi Pana Jezusa ukrzyżowali. A ja głupia nie wiedziałam, że ci Zingerowie to są tacy źli ludzie.

* * *

Sytuacja rodziny uległa chwilowej poprawie, gdy do

Bratysławy przybyła Róża, starsza siostra Mileny. Razem z mężem do marca tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku mieszkała w Czechach. W Protektoracie Czech i Moraw ustanowione przez Niemców ustawodawstwo przeciw Żydom było jeszcze bardziej bezwzględne. Dlatego postanowili wrócić do rodzinnej Bratysławy. Rodzina męża Róży przebywała od jakiegoś czasu na emigracji w Budapeszcie.

Niespodziewana wizyta starszej córki tylko na moment rozluźniła napiętą atmosferę. Przysporzyła natomiast innych problemów. Do trzech pokoi zajmowanych przez Milenę, ojca oraz matkę wprowadziły się kolejne cztery osoby. Róża miała syna, sześciolatniego Natana, oraz trzyletnią córkę Miriam. Jej mąż Chaim był nauczycielem rysunku. Pochodził z żydowskiej rodziny, której korzenie sięgały zarówno Słowacji, jak i Węgier.

– Dobrze, że przyjechaliście – cieszył się ojciec. – Choć nie uważam, żeby żydowskiemu nauczycielowi rysunku było łatwiej niż żydowskiemu prawnikowi.

– Jakoś sobie poradzę, tato – powiedział Chaim.

– Jesteś nieznośny, Eliasie – odrzekła natychmiast matka, próbująca odnaleźć jakiś pozytywny element; choćby spotkania z córką i dawno niewidzianymi wnukami. – Żeby tak od razu mówić o rzeczach nieprzyjemnych.

Jednak matka cieszyła się z tej wizyty tylko połowicznie. Róża i jej mąż nie mieli prawie żadnych oszczędności. Wszystko musieli „zdeponować” w banku przed opuszczeniem Protektoratu Czech i Moraw.

– Niemcy was okradli – powiedział wstrząśnięty ojciec, słysząc opowieść córki i jej męża.

To wprowadziło wszystkich w zakłopotanie. Cztery osoby więcej to wyższe rachunki i większe wydatki na żywność. Oszczędności Zingerów miały stopnieć dużo szybciej, niż planowała matka Mileny. W końcu tylko ona zdobyła się na odwagę, by powiedzieć prawdę:

– Jest z nami źle i będzie jeszcze gorzej. Musicie znaleźć pracę.

Po wyznaniu matki, jak zwykle szczerzej w najmniej

odpowiednim momencie, atmosfera w domu zaczęła gęstnieć z dnia na dzień. Drobiazgi stawały się przyczyną napięć. Ojciec wychodził szukać pracy i wracał do domu z poczuciem kolejnej porażki. Róża musiała zajmować się dziećmi, które zaczęły chorować. Chaim próbował dawać lekcje, ale mało było w Bratysławie chętnych, by uczyć się rysunku u Żyda. Milena próbowała w tym zwariowanym, coraz bardziej bezwzględnym świecie kontynuować studia, ale przychodziło jej to z dużym trudem. Już wcale nie chodziło o getto ławkowe na uczelni, ale o ową wszechobecną atmosferę, jaką dziewczyna wyczuwała. Powoli docierało do niej, że cokolwiek zrobi, w jakikolwiek sposób się zachowa, inaczej ubierze, zaprzyjaźni się z katolikami, nic nie zmieni faktu, że jest Żydówką, a więc kobietą pośledniejszego gatunku, obywatelem drugiej kategorii, morderczynią Chrystusa, wyjętą spod prawa i przez to przeklętą istotą skazaną przez Kościół na piekło, o ile się nie ochrzci. Milena czuła zaciskającą się pętlę i bardzo z tego powodu cierpiała.

Wizyta Róży szybko zmierzała ku końcowi. Młodzi małżonkowie po długich naradach z ojcem postanowili, że nie pojedą do Polski, jak pierwotnie planowali. Latem tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku gwałtownie zaostrzała się sytuacja międzynarodowa, a wojna, która mogła w każdej chwili wybuchnąć między Polską i Niemcami, pokrzyżowałaby im plany. Wybrali Węgry, gdyż w Budapeszcie mieszkali krewni Chaima.

– Będzie nam łatwiej – przekonywał wszystkich Chaim.

Milena, bardzo zżyta z siostrą, była niepokieszona. Róża wiele razy, gdy jeszcze wychowywały się razem, zastępowała jej matkę. Dziewczyny odczuwały także silną więź z ojcem. Matka stała natomiast na uboczu. Chłodna, zdystansowana nawet wobec członków własnej rodziny, sprawiała wrażenie wielkiej pani, porcelanowej laleczki, zbyt delikatnej i zbyt wyniosłej, by zajmować się domem, a już na pewno nie stworzonej do czułości. Całe dni spędzała w garderobie albo w łazience, wypróbowując maseczki ze świeżego ogórka albo z czekolady, lubując się w pięknym zestawie kosmetyków, które ojciec sprowadzał dla niej z Wiednia albo

z Paryża. Łazienka stanowiła zawsze sanktuarium matki, a teraz, kiedy to bez troskie życie się skończyło, matka Mileny zupełnie sobie nie radziła. Gdy Zingerowie popadli w poważne tarapaty, wprawdzie próbowała coś zrobić, organizować życie rodziny, wygłaszać kazania o moralności, ale zazwyczaj sprowadzało się to do poganiania ojca, by pilniej szukał pracy. W końcu znalazł – stróżowanie za pięćdziesiąt koron tygodniowo.

Wielki adwokat został ciecieniem w fabryce naczyń emaliowanych. Czuł się upokorzony. Matka wypaliła mu pewnego dnia z rozbrajającą szczerością:

– Pieniądze nie śmierdzą – rzekła, próbując domyc ręce, które ciemniały od obierania kartofli.

– Jaka ty zrobiłaś się pragmatyczna – odparł ojciec, dotknięty jej tonem. – Ale ten pragmatyzm wymyślił rzymski cesarz Wespazjan, nie ty, moja duszko.

Matka się rozplakała. Nie znosiła, kiedy ojciec mówił do niej „moja duszko”. Chciała, aby zwrócił uwagę, że ona musi obierać ziemniaki, choć zawsze robiła to służąca.

I tak gęstniała atmosfera w domu Zingerów. Milena pragnęła znaleźć ucieczkę od tego piekiełka w rozmowach z siostrą. Teraz miało zabraknąć i tego. Wymogła jednak na Róży, żeby napisała do niej zaraz po dotarciu do Budapesztu.

* * *

Sylwestra roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego Franciszek spędził razem z kolegami z Hitlerjugend. Rodzice i babcia przyklasnęli temu pomysłowi. Uznali, że młody człowiek ma prawo w ostatni dzień roku bawić się ze swoimi rówieśnikami.

Zabawa młodzieżowa miała się odbyć w remizie strażackiej w Drasenhofen. Nadzór nad moralnym zachowaniem młodzieży powierzono komórce partyjnej, której przewodniczył nauczyciel wychowania fizycznego, *Herr* Schneider. Nad odpowiednim zachowaniem dziewcząt miały natomiast czuwać gospodynie z miejscowego koła rzemiosła i rękodzielnictwa. Na sali, gdzie postawiono przybraną ozdobami choinkę, na ścianie zawisł duży portret Führera, by podkreślić rolę moralności w rozwoju młodzieży

nowych narodowosocjalistycznych Niemiec.

To miała być pierwsza poważna zabawa Franciszka. Nic dziwnego, że znajdował się w stanie podekscytowania. Bastian stanowczo prosił, by Franciszek tańczył z jego kuzynką Elke. Dziewczyna miała zamiar znaleźć sobie chłopaka. To wcale nie deprymowało Franciszka, nawet cieszył się, ponieważ uważał, że Elke może się podobać. Jednak bardziej od Elke jego umysł zaprzętały inne pomysły Bastiana na wieczór sylwestrowy.

– Potem będziemy pić alkohol oraz oglądać zdjęcia moich spoconych kuzynek na tańcach – powiedział Bastian.

Franz poczuł, że robi się mu gorąco.

– Mówisz o grzechu – zaproponował. – Jak po czymś takim miałbym pójść do kościoła?

– Masz zamiar podporządkować się woli babci? Koniec z tym! Gdzie ty masz, chłopie, jaja?

Bastian dotknął męskiej dumy Franza, użył bardzo skutecznego szantażu emocjonalnego. Franz musiał dać do zrozumienia, że ma „jaja”, choć miał dość mgliste pojęcie o tym, skąd się wziął na świecie. Kolega uzmysłowił mu jednak, że jest całkowicie podporządkowany prawom domu i Kościoła, a nie koleżeńskiemu sztamie. Pomysł Bastiana odbiegał od propagowanej przez władze moralności narodowosocjalistycznej, a im bardziej Franciszek to sobie uświadamiał, tym bardziej pragnął zakosztować zakazanego owocu.

Bastian oczywiście wtajemniczył w swój zamiar kilku chłopców z Hitlerjugend. Ukrył w ubikacji owe zdjęcia, między innymi ze zmęczoną Elke podczas bawarskich tańców. Chłopcy powołali „sprzysiężenie”, mające chronić sekretne spotkanie przed nauczycielami z miejscowej szkoły i rodzicami przybyłymi na tę uroczystość. Franciszek był bardzo zdenerwowany przed zabawą. Rodzice uznali to za normalne zachowanie, ale babcia pilnie obserwowała swego najmłodszego wnuka. Staruszka miała bowiem obsesję na punkcie moralności, podsycaną przez radiowe przemówienia doktora Goebbelsa, który piętnował wszelkie przejawy moralnego brudu. Franciszek zauważył, że babcia

codziennie rano pilnie oglądała jego prześcieradło i kołdrę. Nie wiedział, czego mogła tam szukać.

* * *

Spotkanie członków sprzysiężenia odbyło się w łazience. Jeden z chłopców został na czatach, aby ostrzec towarzyszy w razie niebezpieczeństwa. Na sali balowej grasował bowiem *Herr Schneider*, nauczyciel wychowania fizycznego ze swastyką w klapie, węszący wszędzie przejawy braku porządku i „moralnego brudu”.

Zdjęcia kuzynek podczas tańców zostały uznane przez wszystkich za nadzwyczaj interesujące. Chłopcy pociągali tego z butelki koniaku, którą Bastian przemycił wcześniej do łazienki. Franciszek czuł dziwne, nieznane podniecenie, gdy po raz pierwszy w życiu pił alkohol i oglądał zdjęcia kuzynek Bastiana. Na równi ze zdjęciami interesowała go zmiana w zachowaniu przyjaciela, który zostawszy najstarszym rangą członkiem Hitlerjugend w Drasenhofen, zmienił się nie do poznania. Wypowiadał się buńczucznie, a jego pewność siebie ocierała się o pychę. Franciszek jako najbliższy kolega wiedział o tragedii, jaka spotkała Manfreda. Podejrzał zatem, że gwałtowna aktywność Bastiana w hitlerowskiej młodzieżówce jest jakąś formą odreagowania po śmierci brata. Pewnego razu zapytał o to przyjaciela.

– Wiem, kto jest winny śmierci Manfreda – oznajmił spokojnie Bastian.

Palili papierosy, ukradzione przez Franciszka matce, która jako jedyna w ich domu popalała, w tajemnicy przed ojcem i babką.

– A to coś nowego. Powiedz mi kto.

– Żydzi – odparł Bastian.

Franciszek parsknął z niedowierzaniem.

– To nic śmiesznego, stary – powiedział z pewnością w głosie Bastian. – Wiesz, że śmierć Manfreda bardzo mnie zabolęła. Wszystkiemu winny jest doktor Morgenstern.

– Przecież to jedyny lekarz w miasteczku! – zaproponował Franciszek. – Wszyscy go znają i wszyscy do niego chodzą.

– No właśnie. Wszyscy do niego chodzą i zależy mu tylko na

pieniądzach. Skoro jest takim dobrym lekarzem, to dlaczego nie zdiagnozował odpowiednio wcześniej wady serca Manfreda, żeby rodzice mogli podjąć prawidłowe leczenie? Wiesz, że forsa nie grała dla nas roli. Mogliśmy go wysłać na leczenie choćby i do Szwajcarii. Ale ten Żyd nie powiadomił nas wcześniej. To on jest winny jego śmierci.

– Przecież mówiłeś, że Manfred nigdy nie chorował na serce.

– Skoro w Saksonii stwierdzili, że był jednak chory, to musiało tak być. Przecież nie mieliby powodu kłamać, prawda?

Bastian wypowiedział ostatnie zdanie tonem nieznoszącym sprzeciwu, ale Franciszek dostrzegł, że pod tymi wyjaśnieniami krył się dramat przyjaciela. On wiedział, że oficjalny powód śmierci brata był nieprawdziwy, i właśnie dlatego najusilniej pragnął znaleźć jakieś proste i niesprzeczne wyjaśnienie. Franciszek zrozumiał, że Żydzi są obiektem nienawiści równie dobrym jak każdy inny, byle tylko zrzucić z siebie przytłaczające poczucie winy. Bastian mógł teraz zdjąć z siebie i ze swojej rodziny odpowiedzialność za śmierć Manfreda. Franciszek wiedział także, że nie powinien wkraczać w intymność tej rodziny. To nie moja sprawa, pomyślał.

– Skoro tak mówisz... – skwitował.

– Powiem ci więcej – rzekł Bastian, widząc wahanie przyjaciela. – Ojciec twierdzi, że Żydzi rządzą światowymi finansami i zależy im tylko na pieniądzu. Morgenstern, ta stara świnią, jest tego najlepszym przykładem.

* * *

Po zabawie Franciszek poczuł wyrzuty sumienia. Katolickie wychowanie, ale też własne oddanie Kościołowi skłoniły go do spowiedzi. Nie chciał żyć w poczuciu grzechu.

W niedzielę przed mszą, do której miał służyć jako ministrant, poprosił proboszcza o spowiedź. Ksiądz znał Franciszka od lat i się zdziwił. Był człowiekiem surowym i stanowczo potępiał praktykę spowiedzi podczas mszy. Według niego należało się spowiadać w czasie do tego przewidzianym. Jednak, mimo wahania, postanowił ulec prośbie swego najlepszego ministranta.

Franciszkwowi serce nakazywało niezwłocznie oczyścić się z grzechu. Czuł, że tylko krata konfesjonału dzieli go od błogiego poczucia bożego przebaczenia. Wyznał wszystko, niczego nie zataił.

– Synu – rzekł ksiądz – rzeczywiście bardzo zgrzeszyłeś! Oglądałeś haniebne zdjęcia dziewcząt, najwyraźniej zapominając, że to najprostsza droga do wzgardzenia szóstym przykazaniem i popadnięcia w grzech nieczystości. Równie ciężkie grzechy to picie kradzionego alkoholu i palenie papierosów! Nie ma znaczenia, że nie ty go ukradłeś. Piłeś go, a to jakbyś go ukradł. Poza tym ukradłeś papierosy matce. Będiesz w stanie łaski uświęcającej, dopiero gdy odprawisz pokutę. Z tego powodu nie możesz dziś służyć do mszy świętej.

– Jaka będzie moja pokuta? – zapytał chłopiec.

– Muszę być surowy. Przyznasz się do popełnionych grzechów przed rodzicami oraz przed dyrektorem szkoły. Musisz wskazać także wszystkich uczestniczących w tym niezwykłym zgorszeniu.

– Błagam, proszę księdza! Nigdy nie przekroczyłem bożego prawa w żaden haniebny sposób. Nie boję się lania od ojca. Boję się napiętnowania przed wszystkimi. Bastian, chłopcy... nie mogę ich zdradzić. Ojciec Bastiana go zabije, jak się dowie! Proszę księdza. Błagam o inną pokutę!

– Niech on sam się martwi o swoją duszę – rzekł oschle proboszcz. – Ty masz się martwić o swoją. Ale widzę dziś niezwykłą hardość twego serca, Franciszku. Powinieneś być z pełną pokorą przyjąć nakazaną pokutę, bez słowa sprzeciwu!

– Proszę księdza, błagam, ksiądz mnie źle zrozumiał...

– Nie, rozumiem cię doskonale. Zawiodłem się na tobie. Nie będziesz służył do mszy, dopóki nie odprawisz pokuty. Wydaje mi się, że nie jesteś gotowy na rozgrzeszenie dzisiaj... Jesteś zdemoralizowany.

Ksiądz użył tego słowa, ponieważ nie znajdował innego na potępienie praktyk chłopców. Jednak Franciszek nic już nie rozumiał. Przyszedł przecież do spowiedzi ze szczerym żalem i pragnieniem ekspiacji. Msza była dla niego bardzo ważna. Gdyby był zdemoralizowany, nie przyszedłby do konfesjonału. Chłopiec

poczuł straszliwy ciężar tego odrzucenia. Spróbował po raz ostatni namówić duchownego do zmiany pokuty.

– Proszę księdza, błagam! Nie mogę wyznać tego przed dyrektorem, bo zdradzę innych. Wyznałem szczerze wszystko. Proszę o rozgrzeszenie...

Chłopak był bliski rozpacz. Nie spodziewał się aż takiej surowości. Słowa księdza nie pozostawiły jednak żadnych złudzeń.

– Milcz. Nie udzielam ci rozgrzeszenia. Odtąd żyjesz w grzechu.

Straszliwy żal chwycił chłopaka za serce. W tej chyba najtrudniejszej chwili w jego młodym i niewinnym życiu zaczynała się przemiana. W konfesjonale pragnął spotkać dobrego i wybaczonego Boga, a nie bezlitosnego, surowego ludzkiego sędziego. Franciszek zaczął płakać. Ale nie był to płacz wyzwolenia, tylko odtrącenia. Poczuł, że w jego duszy coś bezpowrotnie pękło. Nie liczyła się jego szczerść. Nie liczyło się jego poświęcenie dla Kościoła. Jeśli to miał być przejaw sprawiedliwości, to nie dla Franciszka. Chłostę od ojca zniósłby bez słowa sprzeciwu. Na zadenuncjowanie kolegów nie mógł się zgodzić. Nie zasłużył na los kapusia, na tak wielkie upokorzenie przed całym miasteczkiem. Zerwał się z klęczek i z płaczem uciekł z kościoła. Ale nie był to jeszcze koniec sprawy.

W tydzień później ojciec zlał go straszliwie rzemieniem. Franz zsikał się przy tym z bólu. Stary Weimert nawet nie próbował ustalać prawdy. Nie zapytał syna o nic. Jednak Franz był pewien, że nic ojcu nie powiedział. Skąd więc ten wiedział? Może któryś z chłopaków się wygadał? W końcu, zastanawiając się nad biegiem wypadków, doszedł do innego, nie mniej zaskakującego wniosku. Jediną osobą, która mogła powiedzieć o wszystkim ojcu, był proboszcz. Zdradził tym samym tajemnicę spowiedzi, której miał bezwzględny obowiązek dochować. Tylko od niego ojciec mógł dowiedzieć się o wszystkim. Tej zdrady chłopak już księdzu nie wybaczył. Jeśli on zgrzeszył, to o ile ciężiej zgrzeszył duchowny.

Franciszek, ku zdumieniu rodziców, sądzących, że po sprawiedliwym laniu posłuszny syn będzie jak co tydzień służył do

mszy, już się nie pojawił przy ołtarzu. Babce się to bardzo nie podobało. Oczywiście chodził na nabożeństwa, ale od tej pory Franz Weimert nie przystępował do komunii.

Rozdział IV

NOWA WIARA

Wiedeń, początek lata 1939

Bastian i Franz w mundurach Hitlerjugend wysiedli z pociągu. Przybyli do Wiednia, dawnej cesarskiej stolicy, a teraz prowincjonalnego miasta wielkiej Rzeszy, na spotkanie austriackiej organizacji młodzieżowej z Baldurem von Schirachem, szefem Hitlerjugend. W Drasenhofen do organizacji należało już trzydziestu chłopców, czyli wszyscy spełniający przepisowe kryteria. Bastian pojechał do Wiednia jako najstarszy stopniem członek organizacji, a Franz jako jego zastępca.

Franciszek bardzo się zmienił przez kilka miesięcy, jakie upłynęły od incydentu noworocznego i spowiedzi, która tak dramatycznie zmieniła całe jego dotychczasowe życie religijne. Wkładał teraz w działalność organizacji wiele serca. Spajał ją. Organizował apele i pogadanki. Wpadł nawet na pomysł napisania przez wszystkich chłopców z Drasenhofen listu do Führera z okazji jego urodzin, które przypadały dwudziestego kwietnia. Pomysł bardzo spodobał się *Herr* Schneiderowi, szefowi lokalnego NSDAP, który towarzyszył chłopcom w wyprawie do Wiednia. Był to osobnik pod każdym względem namolny i obaj przyjaciele za wszelką cenę pragnęli pozbyć się jego natrętnego towarzystwa. Chcieli urwać się gdzieś w Wiedniu.

Gorliwość Franza w ruchu narodowosocjalistycznym zachwycała w równym stopniu babcię, jak i rodziców. Ojciec był przekonany, że to wpływ ostatniego tęgiego lania i poczytywał je sobie za wielki sukces wychowawczy. Syn miał diametralnie inne zdanie i unikał ojca, jak mógł. Nie ufał ojcu tak samo jak księdzu, który zdradził tajemnicę spowiedzi. Odrzucenie przy wyznaniu

grzechów mógł jeszcze znieść i przystąpić jakiś czas potem do sakramentu pokuty, ale takiej zdrady nie potrafił przebaczyć. Czując się odtrąconym zarówno przez Boga, jak i Kościół, postanowił żarliwością służby w nazistowskiej organizacji podbudować nadwątloną godność i poczuć się lepiej wśród rówieśników. Uczestnicy spisku też zostali ukarani i podejrzewali Franza o sypanie. Kapusiów nikt przecież nie lubił. Z tego powodu chłopak obiecał sobie solennie, że nigdy więcej nie pójdzie do spowiedzi.

Zdaniem Franza chodziło o fundamentalne zasady. Skoro ksiądz nie dochował tajemnicy spowiedzi, do czego był zobowiązany, chłopak poczuł się zwolniony z lojalności wobec proboszcza. Jednak rana powstała wskutek tego odtrącenia nie chciała się goić. Mijały dni i tygodnie, a ona powoli, systematycznie zatruwała go jadem. Każda wewnętrzna rana, zdrada lub niewierność, która nie zostanie odkupiona przez jej sprawcę, zaczyna gnić w skrzywdzonym sercu. I taki poniżony człowiek powoli się zmienia. Franz nie ufał już ludziom. Nie wierzył w nich. Potrzebował nowej wiary. Narodowy socjalizm idealnie nadawał się do odgrywania roli nowej religii. Zapewniał bowiem złudne poczucie bliskości i przynależności do szerszej, łatwo definiowalnej wspólnoty. Franz pragnął ukojenia. Nie chciał już upokarzać się przed chrześcijańskim Bogiem w ciągłej spowiedzi. Chciał zyskać poczucie bezgrzeszności. I znalazł je w ruchu nazistowskim, nie zdając sobie sprawy, że rozpoczął drogę ku samotności, rozpaczy i pustce.

Herr Schneider otoczył chłopców opieką i nie pozwalał na zbyt wiele. Franciszek uprosił jedynie, by po uroczystości z udziałem Baldura von Schiracha mógł spotkać się ze starszym bratem. Friedrich Weimert mieszkał w Wiedniu i rzadko dawał znać rodzinie, jak się mu żyje. Franz miał zanotowany na jakimś świstku adres brata w jednej z robotniczych dzielnic Wiednia.

Schneider był zaskakująco sprytnym prostakiem. Walczył po zakończeniu wielkiej wojny we Freikorps na Śląsku. Miał kontakty z nacjonalistami w Niemczech. Po gwałtownym załamaniu

gospodarczym pod koniec lat dwudziestych wrócił do rodzinnej Austrii, gdzie dzięki koneksjom politycznym dostał posadę w szkole w Drasenhofen. W Austrii ruch pronazistowski był silny, a Schneider po Anschlussie złapał wiatr w żagle. Tym razem Niemcy przyszły do niego. Jego lekcje były przepełnione duchem militaryzmu; chłopcy uczyli się o typach broni, uczestniczyli w długich, wyczerpujących marszach na orientację, a ćwiczenia fizyczne ograniczały się do morderczych biegów i pompek, często w ilościach, które nawet zdrowych młodzieńców doprowadzały na skraj rozpacz.

Ten typ przyprowadził Bastiana i Franza do jednego z najpiękniejszych secesyjnych teatrów w Wiedniu, teatru dworskiego, w którego imponującym gmachu odbyć się miało spotkanie austriackiej młodzieży męskiej z przywódcą Hitlerjugend. Na sali było gwarno i tłoczno. Setki chłopców w brunatnych mundurach rozmawiało, wymieniało uwagi lub po prostu żartowało. Zjechali z Wiednia, Dolnej Austrii, Tyrolu, Burgenlandu i innych krain austriackich, teraz złączonych z resztą Niemiec. Wówczas, chyba po raz pierwszy w życiu, Franz zrozumiał, że nie istnieje już podział na Austrię i Niemcy. Chłopak teraz był już pewien, że Austriacy to Niemcy, wprawdzie nie tacy sami jak ci z Berlina czy Hanoweru, ale Niemcy. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku ta prawda stała się jeszcze bardziej prawdziwa niż kiedykolwiek wcześniej.

Franz czuł się także bardzo onieśmielony. Odczuwał kompleks prowincji. Nie bywał w wielkich miastach. W Wiedniu był teraz po raz trzeci w życiu. Mimo dojmującego i nieprzyjemnego uczucia wstydu, wynikającego z małomiasteczkowego zahukania, pewnej otuchy dodawał mu fakt, że ci wszyscy otaczający go młodzi ludzie, jego rówieśnicy, jego partyjni nieomal towarzysze, w większości mieli podobne pochodzenie.

Schneider zniknął gdzieś, witając się z nazistowskimi oficjelami, a chłopcy zajęli miejsca w obszernym i bardzo eleganckim audytorium. Usiedli gdzieś pośrodku, by mieć dobry widok na scenę. Wkrótce zgasły światła. Zagrał werbel, długi, ostry

i potężny. Ów dźwięk, przenikający na dno duszy, grzmiał swoim dum-dum i wprawiał chłopców w stan ekstatycznego, pełnego napięcia oczekiwania. Wiece narodowych socjalistów były zawsze perfekcyjnie wyreżyserowane. Przy niepokojącym dźwięku werbla zwiastującego nowy porządek świata zapłonęły pochodnie, oznaki gotowości i oddania. Pośrodku wielkiej sali chłopcy z pochodniami utworzyli szpaler. Płonące łuczywa w teatrze były czymś niecodziennym. Zebranych bardzo się to podobało.

W końcu zagrała trąbka; mocno i donośnie trzy razy. Przyszła delegacja. Kilku esesmanów w brunatnych mundurach, a także nazistowski namiestnik Austrii Arthur Seyss-Inquart oraz dwu esesmanów w czarnych mundurach z jego osobistej obstawy. Za nimi szybkim i zdecydowanym krokiem, wznosząc prawą rękę w hitlerowskim pozdrowieniu, szedł Baldur von Schirach, szef Hitlerjugend. W przeciwieństwie do kanclerza Inquarta, ubranego w nienaganny garnitur, von Schirach nosił czarny mundur SS. Franz widział go dość dobrze i w tamtej chwili wydał się on chłopcu nadczłowiekiem, kimś ulepionym z lepszej gliny, a antracytowoczarny mundur uświadamiał chłopcu, że decyzja o przystąpieniu do młodzieży nazistowskiej jest właściwą drogą do pozbycia się wszelkich kompleksów, które tak boleśnie raniły jego duszę. Franz nade wszystko pragnął uwolnić się od dojmującego poczucia winy, strachu przed katolickim Bogiem swojego Kościoła. I wtedy, w wiedeńskim teatrze, już wiedział, jak może przeobrazić się w nowego człowieka, który już niczego i nigdy nie będzie musiał się wstydzić.

Tymczasem nazistowski dygnitarz wszedł na mównicę. Po jego prawej i lewej stronie miejsca zajęli dwaj chłopcy z pochodniami, osobliwi akolici nazistowskiej wiary. Zagrały raz jeszcze werble i równie nagle umilkły. Von Schirach zaczął przemówienie. Mówił dość długo i mętnie o wielkim niemieckim patriotyzmie. Dla Franza słowa nie były najważniejsze. W tamtej chwili uświadomił sobie, że stał się częścią czegoś większego, nieskończenie potężniejszego – idei, która niepodzielnie panowała nad osiemdziesięcioma milionami Niemców. Świadomość

przynależności do niemieckiego języka i kultury Franz odczuwał zawsze, ale tego wieczoru jego austriacka niemieckość z pogranicza ustąpiła miejsca innej niemieckości, mitycznej sile pierścienia Nibelungów i antracytowego połysku tej wielkiej idei na mundurze Schiracha. Odtąd nie do końca świadomy, uciekający przed samym sobą chłopak poczuł, że narodowy socjalizm jest także jego ideą. Utraciwszy wiarę w swojego cierpiącego i współczującego Boga z kościoła w Drasenhofen, znalazł inne bożyszcze. Oczywiście tamtego wieczoru nie mógł przypuszczać, jak wielka będzie cena nowego wyznania. Liczyła się tylko ta jedna chwila. Jak chciał Goethe, niech ta chwila trwa, niech będzie wieczna!

Gdy Schirach skończył, wszyscy wstali z miejsc. Franz poczuł dziwne podniecenie. Musiało stać się coś doniosłego. Atmosfera udzieliła się wszystkim i cała sala zaczęła śpiewać:

*Uns're Fahne flattert uns voran,
Uns're Fahne ist die neue Zeit.
Und die Fahne fuhr uns in die Ewigkeit!
Ja, die Fahne ist mehr als der Todt.*

* * *

Milena poczuła się bardzo zaskoczona, kiedy pewnego wieczoru wizytę złożył jej Dawid. Wprawdzie był jej dawną wakacyjną sympatią i prawie zdążyła już o nim zapomnieć, ale nawet go lubiła. Dawid czuł się bardzo nieswojo, odwiedzając Żydówkę w jej własnym domu.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Czy możemy porozmawiać sam na sam?

Milena miała ochotę mu powiedzieć, że jeśli pragnie się jej oświadczyć, to nic z tego, bo ona musi zostać żydowską matką i żoną. Ale w porę ugryzła się w język. Spostrzegła, że Dawid przyszedł w jakiejś misji. Był bardzo spięty i przywiązywał tak wielką wagę do tej rozmowy, że dziewczyna z czystej ciekawości się zgodziła.

– Tylko nie odchodź daleko – powiedział z drugiego pokoju ojciec.

– Ależ ojcze... – zaoponowała, wiedząc, że ojciec sam był ciekawy, po co Dawid przyszedł.

Z pewnością rodzic nie spuści jej z oka, kiedy wyjdą przed kamienicę. Było chłodno, więc Milena narzuciła lekki płaszcz i poszła z Dawidem. Chłopak zabrał się do rzeczy bardzo nieporadnie. Zawsze ją śmieszyło, jak wielką wagę przywiązywał do konwenansów. W swych skrupułach był tak śmiesznie mieszczański. Dziewczyna, górując nad młodym Słowakiem inteligencją, postanowiła zaspokoić swą kobiecą próżność i poczekać, aż Dawid wreszcie wydusi z siebie to, z czym przyszedł.

– Chciałem ci powiedzieć, to znaczy... ponieważ wciąż mi na tobie zależy... To znaczy ja chciałem ci powiedzieć, że... Chciałbym, żebyś dalej ze mną chodziła...

Milena parsknęła śmiechem. Ona przecież nigdy nie brała go na poważnie.

– No i co? Bo chyba to nie wszystko, co chciałeś powiedzieć, prawda?

Dawid podniósł na nią wzrok. W dalszym ciągu nerwowo miętosił w dłoniach czapkę.

– Chciałem powiedzieć, że chciałbym, żebyś ze mną chodziła, bo sama wiesz, że wy, to znaczy Żydzi, nie macie łatwo... Chciałem cię ochronić, ale to będzie wymagało od ciebie pewnego wysiłku.

– Jakiego wysiłku? Wybacz, ale nie pojmuję – zdziwiła się Milena.

– Musisz się ochrzcić – powiedział z całą mocą Dawid. – Będę mógł cię wtedy ochraniać i nawrócę jedną zbłąkaną duszę.

– Uważasz, że jestem zbłąkaną duszą?

– Tak, bo jesteś nieochrzczona, a ludzie nieochrzczeni idą po śmierci do piekła – stwierdził Dawid z całym przekonaniem, na jakie było go stać.

Tak uczył się na lekcjach religii; źli ludzie idą po śmierci do piekła, podobnie jak nieochrzczeni. Skoro Żydzi byli nieochrzczeni, to szli do piekła. Katolicka teologia Dawida była nadzwyczaj prosta i funkcjonalna.

– A ty nie chcesz, żebym poszła do piekła, tak?

– Tak – odpowiedział Dawid. – Chcę, żebyś poszła ze mną do nieba, jak dobra katoliczka.

Propozycja chłopaka zdumiała Milenę. Nigdy wcześniej nie rozważała możliwości przyjęcia chrztu. Nigdy nie był jej do niczego potrzebny, a teraz Dawid wyskakiwał z czymś takim. Propozycja konwersji nie była dla niej istotna. Dziewczyna zdała sobie jednak sprawę, że Dawid był szczery. Teraz wiedziała, że mu się naprawdę podoba, ale chłopak, jako członek Gwardii Hlinkowej, nie może sobie pozwolić na chodzenie z Żydówką.

– Przykro mi, ale nie. Mogłabym się ochrzcić, gdybym wierzyła w twój Boga, ale nie podzielam twojej wiary i nie mogę tego zrobić.

– Zastanów się – naciskał Dawid. – To dla ciebie jedyna szansa.

– Szansa? Grozisz mi?

– Nie, chciałem, żebyś miała z tego jakąś korzyść – stwierdził Dawid.

– Korzyść? Czy uważasz, że ochrzciłabym się dla korzyści? To obrzydliwe, nie sądzisz?

– Chrzest nie jest obrzydliwy. To sakrament.

– Hmm... Sakrament – powiedziała z przekąsem Milena. – To znaczy, że muszę się zastanowić.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do domu.

– Nie wiesz, co robisz, odrzucając nową wiarę – rzucił za nią Dawid. – Bóg ci tego nie wybaczy.

Po powrocie do mieszkania Milena powiedziała ojcu, że Dawid zaproponował jej, by się ochrzciła, i wtedy on będzie z nią chodził.

– Nie skorzystam z tej propozycji – oznajmiła, nie zauważając, że na ojcu zrobiło to wrażenie.

Rozdział V

NIEPOKORNY

Prezydent Słowacji ksiądz Jozef Tiso bardzo poważnie traktował zasadę, że w katolickim kraju to katolicy powinni sprawować urzędy, uczyć w szkołach oraz na uniwersytetach, rządzić, sprzedawać w sklepach i należeć do palestry. Kierował się zasadą subsydiarności, wywodzącą się przecież z katolickiej nauki społecznej. Państwo słowackie mogło teraz odreagować lata upokorzeń doświadczonych za rządów Czechów, ateistów, wolnomyślicieli i masonów. Ksiądz Tiso pamiętał o ubogich katolickich rodzinach i oferował im pomoc w znalezieniu pracy.

Elis Zinger czuł się obywatelem Słowacji, tak jak poprzednio obywatelem Czechosłowacji. Dlatego też poszedł do odpowiedniego urzędu, by zaproponować swoje usługi. Był przecież prawnikiem, i to dobrym. Usłyszał od urzędnika następującą poradę:

– Wy, Żydzi, zawsze spadaliście na cztery łapy. Teraz też sobie poradzicie. Jest pan żydowskim adwokatem, a prosi mnie pan o pomoc w znalezieniu posady? Przyzna pan, że to dziwne. Nie rozumiem.

– Jestem adwokatem – wyjaśnił mecenas Zinger. – Ale co z tego, skoro nikt nie chce mi powierzyć sprawy. Ba, nikt nie chce mnie nawet przyjąć jako pomocnika do kancelarii.

– A nie miał pan własnej?

– Nie, nie miałem nigdy własnej kancelarii. Byłem średnio zamożnym adwokatem. A teraz mam do nakarmienia rodzinę.

– Ja też mam rodzinę – odparł urzędnik. – I dlatego nie mogę panu pomóc.

– Dlaczego?

Urzędnik popatrzył na Zingera z politowaniem.

– Nie ma pan pracy, bo wciąż jest pan żydowskim adwokatem. Zinger się obruszył.

– Przecież zawsze byłem żydowskim adwokatem i nigdy nikt nie robił z tego problemu. Miałem pracę i poważanie.

– A teraz nie ma pan poważania i nie ma pan pracy. Trzeba się ochrzcić, mecenasie – powiedział ubawiony sytuacją urzędnik, akcentując słowo „ochrzcić”.

Dopiero wtedy stary mecenas Zinger zdał sobie sprawę, że w tych trudnych czasach doszedł do granicy, za którą – jak mawiał Sokrates – są już tylko wina, głód i zbrodnia. Nie mógł tak dalej żyć. Nie chciał być obywatelem drugiej kategorii. Uświadomił sobie, że przecież nic nie ryzykuje, przyjmując chrzest, a w głębi serca mógłby pozostać tym, kim był przez całe życie, czyli średnio pobożnym intelektualistą należącym do nurtu niezaangażowanej ortodoksji żydowskiej. Postanowił, że musi poważnie omówić tę sprawę z żoną i córką oraz z rabinem Majzelsem. Mecenas zdecydował, że będzie niepokorny wobec losu, który nie sprzyjał jego rodzinie.

* * *

Rabin nie odniósł się entuzjastycznie do pomysłu mecenasa. Wsparły go żona i córka Zingera. Milena zebrała się na odwagę i powiedziała wprost:

– Nawet jeśli przyjmiesz chrzest, nie będziesz miał żadnej pewności, czy dostaniesz pracę.

– Właśnie. Dla nich zawsze będziesz Żydem – dorzuciła matka.
– Tak jak dla Semotanovej nigdy nie byłam sąsiadką, tylko Żydówką.

– Ale ja to chcę zrobić dla was – przekonywał ojciec. – Dla mnie ceremonia chrztu nie będzie miała żadnego praktycznego znaczenia, nawet jeśli będę musiał chodzić do kościoła.

– To się nazywa hipokryzja, tato – zripostowała natychmiast Milena. – Poza tym dlaczego my nie możemy pracować? Czy mamy dwie lewe ręce?

Milena trafiła w czuły punkt. Nawet jeśli nie miała zamiaru burzyć spokoju matki, nienawykłej do pracy, to słowa córki bardzo ją zraniły. Matka wybuchnęła płaczem. Narzekała. Ona przecież tyle robiła: sprzątała, gotowała, dbała o dom, a własny mąż, który przyzwyczaił ją do pewnego stylu życia, teraz zmuszał ją do pracy ponad jej siły. Scena miała pozór autentyczności, ponieważ matka

zawsze była dobrą aktorką.

Natomiast mecenas Zinger patrzył na Milenę z podziwem. Była taka silna. Chciała pracować. Nie posądzał córki o wielkie pragnienie zarobkowania, ale jej gest, czysty i bardzo lojalny wobec ich trójki, sprawił, że ojciec zauważył w Milenie nie dużą dziewczynkę, lecz świadomą obowiązku kobietę. Kochał ją i rozpieszczał, ale teraz wiedział, że jego mała Milena nie zawaha się iść do pracy, choćby uwłaczającej jej godności, by pomóc w utrzymaniu rodziny.

– Córeczko, jak ty chcesz pracować? – zapytał ojciec.

– Mogę śpiewać.

Zinger parsknął śmiechem, ale po chwili, patrząc na śmiertelnie poważny wyraz twarzy córki, natychmiast się opanował. Z kolei matka, widząc powagę Mileny, rozplakała się na dobre. Ona wychowywała ją na pobożną i dobrą żydowską dziewczynę, która będzie przygotowywała się do roli matki i żony, a tymczasem córka chciała do reszty upokorzyć rodzinę i śpiewać nie wiadomo gdzie. Ojciec rzucił wówczas żonie okrutną uwagę, wiedząc, że doprowadzi ją tym samym na skraj rozpacz.

– Ależ nie płacz, moja duszko. Jeśli Milena nie zarobi śpiewaniem na twoje kosmetyki, zawsze mogę się przecież ochrzcić.

Matka wybuchła histerycznym płaczem. Rabin Majzels, zaproszony przez mecenasa do ich domu, do tej pory przysłuchiwał się tej wymianie zdań z dobrotliwą i pobłażliwą miną. Teraz wyglądał na człowieka niezmiernie zakłopotanego. Nie lubił płaczących kobiet, ponieważ sądził, że przynoszą pecha.

– Panie Zinger, stary już jestem, ale powiem panu tak: chrzest to nie jest dobre wyjście. Jak się pan ochrzczisz, to jak będą wyglądały u naszych ludzi pańska żona i córka?

Mecenas odparł z prawniczą precyzją:

– Jak córka i żona ochrzczonego Żyda.

Majzels pokręcił z niesmakiem głową. Stwierdził, że nie należy sobie drwić z religii, szczególnie w tak ciężkiej sytuacji, jaką zsyła na nich Wszchemogący. Argumentował, że ochrzczonego Żyd to nie jest już Żyd. Według rabina istniała też zasadnicza różnica, którą

dostrzegą także chrześcijanie. Jak się ktoś chrzci, bo zaczyna wierzyć, to jest coś innego, niż jak się chrzci, bo chce być chrześcijaninem z czystego wyrachowania.

– Córka już powiedziała, że to hipokryzja. Czy rabbi chce wiedzieć, dlaczego ja się chcę ochrzcić?

– Dlaczego?

– Bo głód nie zważa na wyznanie.

* * *

Mecenas był uparty i nie rezygnował tak łatwo z raz powziętego zamiaru. Nie chciał, aby jego kobiety przymierały głodem, ale nie chciał też tracić zachowanych na czarną godzinę złotych guldenów, dawnej waluty monarchii habsburskiej. Chciał też pozostać w zgodzie z kulturą swojego narodu, ale mimo to ochrzcić się dla świętego spokoju. Chrzest miał go uwiarygodnić w oczach Słowaków i pomóc w znalezieniu pracy we własnym zawodzie.

Poszedł więc do proboszcza bratysławskiej katedry. Nic nie wskórał. Ksiądz był zdania, że chrzest, owszem, ale tylko z przekonania. Adwokat musiałby uczęszczać do grupy przygotowującej się do sakramentu. Co najmniej rok. Trzeba wiedzieć, w co się wierzy, stwierdził duchowny. Na propozycję Zingera, by przyspieszyć kurs w zamian za dwie złote monety, oburzony proboszcz odparł, że to są właśnie faryzejskie metody. I wskazał mecenasowi drzwi. Zinger był bardzo zawiedziony, gdyż uważał, że za odpowiedni datek w Kościele katolickim wszystko można załatwić. Poza tym żywił przeświadczenie, graniczące z pewnością, że głód i korupcja nie zważają na religię.

Postanowił upić się do nieprzytomności. Na wódkę starczyło. Mecenas musiał pogodzić się z tym, że żydowski prawnik na Słowacji jest nikomu niepotrzebny. Żona i Milena czekały na niego bardzo długo. Martwiły się, ponieważ Gwardia Hlinkowa zachowywała się wobec Żydów coraz bardziej prowokacyjnie. Ojcu mogło się coś przytrafić. A przecież Milena miała dla niego radosną wiadomość. To ona niemal na pewno będzie miała pracę.

Odpowiedziała na ofertę nocnego klubu w Bratysławie,

w którym spotykało się kilkudziesięciu najbogatszych Żydów i oficjele państwa słowackiego. Załatwiali interesy, prowadzili spekulacje i urozmaicone życie towarzyskie. Mimo coraz większych obostrzeń, nienawistnego języka, szantażu, aktów bandytyzmu, jakie spotykały Żydów na każdym kroku, starano się zachować pozory normalności. Rząd księdza Tiso nie odważył się skonfiskować żydowskich majątków, mimo że obłożono je wyższymi podatkami. Prezydent Słowacji miał wciąż pewne opory. Można być przecież antysemitą, ale zostać jeszcze na dodatek złodziejem, to stanowczo za dużo dla człowieka, który otrzymał od papieża tytuł *monsignore*.

Gdy wreszcie ktoś włożył klucz w zamek, obie kobiety zerwały się na równe nogi, aby przekonać się, że mecenas wrócił cały i zdrowy. Był w znakomitym humorze, ale ledwo trzymał się na nogach. Z kieszeni płaszcza sterczała niedopita butelka brandy. Bardzo serdecznie przeprosił obie kobiety, że przyszedł w takim stanie do domu, ale dziś przekonał się ostatecznie, że nie ma nikogo bardziej żalosego i śmiesznego od żydowskiego prawnika na Słowacji, który nie może znaleźć pracy i zapewnić godziwego życia żonie i córce.

– Rabin nie pochwaliłby tego, w jakim stanie przyszedłeś – stwierdziła Milena, mimo wszystko szczęśliwa, że ojcu nic się nie stało.

– Święta racja – odparł mecenas, pozwalając, by ściągnęły z niego płaszcz i buty.

Następnie dodał, że to niedopuszczalne, aby prawnik tej klasy co on przychodził do domu tak późno w nocy i w takim stanie, ale nic nie może na to poradzić. Tracąc najwyraźniej poczucie rzeczywistości, rzucił pompatycznie, że jutro, kiedy będzie w lepszej formie, natychmiast wybierze się do sądu, a jego klient będzie jak zwykle zadowolony z jakości usług swego obrońcy.

Wierna żona i córka zaprowadziły go do pokoju i położyły do łóżka. Mecenas Zinger zasnął niemal natychmiast kamiennym snem.

* * *

Franz był zaskoczony warunkami, w jakich mieszkał Friedrich, jego najbardziej podziwiany brat. Jako jedyny otwarcie zbuntował się przeciwko stawianym przez rodzinę wymaganiom. Nie został ani lekarzem, ani architektem, ani księdzem, tylko prostym robotnikiem. Wobec nieprzejednanej postawy syna rodzice stwierdzili, że nie będą go finansowali. Friedrich utrzymywał się sam, z własnej pracy. I zrobił coś, czego Franz mu zawsze zazdrościł: wyprowadził się i mieszkał z dala od babci, której ulegali rodzice, a szczególnie ojciec. Franz wiedział, czego Friedrich nie mógł znieść w ich rodzinnym domu – władzy babci.

Friedrich mieszkał na poddaszu w robotniczej dzielnicy Wiednia. Franz bardzo się zdziwił, kiedy przekonał się, że brat nie mieszkał sam, tylko z kolegami z fabryki, którzy wpuścili chłopców do środka. W owym lokum panował zaduch gotowanej kiszzonej kapusty i dymu papierosowego. Bastian zakrztusił się w obskurnym przedpokoju. Chłopcy ubrani w mundury Hitlerjugend zauważyli, że współlokatorzy Friedricha patrzyli na nich bądź wrogo, bądź z wyczuwalną kpiną. Nie rozumieli przyczyn. Franz chciał pomówić z bratem i zapytać go o wyjaśnienia. Wprost nie mieściło mu się w głowie, że brat zrezygnował z dobrobytu i wybrał życie w tak poniżających warunkach.

Zirytowany przedłużającym się oczekiwaniem Franz zapytał jednego z mężczyzn, gdzie jest Friedrich.

– Przyjdzie na pewno – odparł tamten. – Dziś wieczorem ma walkę.

– Jaką walkę? – zapytali niemal jednogłośnie chłopcy.

– Bokserską – odparł tamten tonem, jak gdyby była to najoczywistsza rzecz na świecie.

Dla Franza jednak wcale nie było to takie oczywiste. Friedrich uprawiał boks – intuicja podpowiadała Franzowi, że jego brat bynajmniej nie pragnie zostać sportowcem. Zabolalo go, że Friedrich nie napisał prawdy w listach do rodziny. Utrzymywał bowiem, że pracuje w wiedeńskiej fabryce remontującej tramwaje i że choć praca jest ciężka, na trzy zmiany, pozwala zarobić

pieniądze, które zapewniają mu godne życie.

Friedrich zjawił się późnym wieczorem w otoczeniu kilku roześmianych i podchmielonych kolegów. Był bardzo spocony, a jego twarz nosiła wyraźne ślady walki. Łuk brwiowy był rozcięty, a grube szwy na skroni wyraźnie kontrastowały z rudymi smugami krwi. Rozbita dolna warga wzbogacała jego wcale nieprostą twarz o ledwo zauważalny rys sportowej dumy. Friedrich był postawnym, atletycznym mężczyzną o szerokich barach, wyrobionych zapewne nie tylko w boksterskich walkach, lecz także przez ciężką pracę w fabryce. Pracował tam nie tylko dlatego, aby zarobić na utrzymanie. Kierowały nim motywy, o których Franz w owym czasie nie wiedział prawie wcale. Friedrich sympatyzował bowiem z Komunistyczną Partią Niemiec i chodził na potajemne zebrania partyjne. Był więc nastawiony zdecydowanie wrogo do nowego reżimu panującego w Austrii.

Starszy brat nie zauważył młodszego, który siedział pod ścianą głównego dużego pokoju zastawionego piętrowymi łózkami. Z gwałtownych okrzyków kolegów Franz domyślił się, że Friedrich wygrał walkę, jednak za bardzo wysoką cenę. Friedrich solidnie oberwał, ale najwyraźniej był w tych brutalnych walkach zaprawiony i lubił je, zwłaszcza że przynosiły mu niemałe pieniądze. Wylewnie witał się ze wszystkimi. Komuniści, szczególnie ci ideowi, żyli we wspólnocie, gdzie wszystko było wspólne, bo należało do partii.

Gdy Friedrich ujrzał w końcu Franza i Bastiana w mundurach Hitlerjugend, od razu stał się mniej wylewny. Starł z czoła pot i krew. Jego usta zwęziły się, jakby w przeczuciu nieprzyjemnego, ale mimo to nieuniknionego spotkania z młodszym bratem zarażonym nazistowską gangreną. Ruchem dłoni odprawił kolegów poklepujących go po ramionach. Skórzaną i zniszczoną torbę rzucił niedbale na stół i z wyraźną irytacją zapytał:

– Co ty tutaj robisz, Franz?

Franz był bardzo zaskoczony. Pamiętał brata jako ułożonego młodzieńca i ulubieńca babci. Zawsze dogadywał się z Friedrichem lepiej niż z Lorenzem, studentem medycyny, a potem lekarzem

w białym kitlu, zbyt wyniosłym dla dojrzewającego i potrzebującego akceptacji nastolatka. Teraz jego ukochany brat przemienił się w spoconego i okrwawionego wagabundę, dłubiącego w uchu z lekceważącym wyrazem twarzy i wycierającego wydobytą woskowinę o szary, brudny podkoszulek.

– Równie dobrze ja mógłbym cię zapytać o to samo – odrzekł Franz.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Pisałeś nam, że masz pieniądze i że żyjesz uczciwie – dodał Franz.

– Bo mam i zarabiam najlepiej, jak umiem, w uczciwej i ciężkiej walce prawdziwych mężczyzn – odparł Friedrich, wydobywając z kieszeni okazały plik zmiętych banknotów. – To dwa tysiące czterysta marek.

Franz wiedział, że to duża suma. Miesięczny utarg sklepu mięsnego ojca. W kilka miesięcy po Anschlussie wszystko przeliczono na niemieckie marki, ponieważ austriackie szylingi stały się tylko wspomnieniem.

– Tak zarabiasz na życie? – zapytał młodszy brat.

– Tak mi się podoba – odparł Friedrich.

– Co to za walki bokserskie? Rodzice nigdy by się na to nie zgodzili.

Friedrich uśmiechnął się ironicznie. Po chwili powiedział najspokojniej w świecie:

– Rodzice nie mają nic do gadania. Zresztą, Franz, ty też nie. Nie obchodzi mnie, co powiedzą starzy. Jak widzę, szybko się przystosowali do nowej władzy. Właśnie z tego powodu nie chcę mieć nic wspólnego z rodziną.

Zaskoczeni Bastian i Franz wymienili wymowne spojrzenia. Friedrich najwyraźniej nie darzył zbyt wielką miłością narodowego socjalizmu. Chłopcy nie przypuszczali nawet, że brat jednego z nich sympatyzuje z komunistami.

Tymczasem, nie zważając na młodszego brata i na jego przyjaciela, Friedrich ściągnął podkoszulek i cisnął go na pobliskie krzesło. Chwycił spod stołu miednicę i napełnił ją wodą z jedyne

kranu w pomieszczeniu. Zachowywał się tak, jak gdyby zupełnie nie przejmował się obecnością młodszego brata. Postawił miednicę z wodą na krześle. Wydobywszy kawał szarego mydła z torby, zaczął się myć. Gdy skończył, wytarł się ręcznikiem, po czym narzucił go na muskularne ramiona.

Franz patrzył na niego z podziwem i z pewną zazdrością. Podświadomie, może zupełnie dziecinnie uwielbiał starszego brata także za wygląd. Jego wyrzeźbione ciężką pracą atletyczne ciało wprawiało szczupłego i wątłego Franza w kompleksy.

Friedrich zestawiał miednicę na podłogę, po czym usiadł na krześle. Franz z niecierpliwością oczekiwał na to, co powie starszy brat. W końcu Friedrich postanowił powiedzieć, co myśli.

– Po pierwsze, Franz, jesteś moim młodszym bratem, a nie babką, która wtrącała się zawsze w życie wszystkich. Nie wątpię też, że to ona nakłoniła cię do założenia tego mundurka. Ja jednak nie pozwolę nikomu wtrącać się w moje życie. To ja decyduję, jak prowadzę moje sprawy. Zrozumiałeś?

Gdy Franz chciał zaprotestować, Friedrich zadał następny cios.

– Walki bokserskie to mój sposób na życie i nic wam do tego! Nie wrócę do tej dziury, Franz, i nie spędzę życia na prowadzeniu sklepiku i rzeźni. – Mówiąc to, wskazał na plik zmiętych banknotów – To trzymiesięczny zarobek robotnika w fabryce.

Franz znów poczuł się jak uczeń. Strofowanie przez starszego brata nie byłoby dla niego tak przykre, wszak kochał go, jednak okoliczności sprawiły, że Franz czuł się przyparty do muru. Musiał się przeciwstawić. Był przekonany, że w tym sporze chodziło o zasady. Mundur Hitlerjugend powinien dać bratu czytelny sygnał. Franz próbował się tłumaczyć, lecz kiedy powiedział o wodzu oraz o roli partii, Friedrich natychmiast zareagował:

– Ty chyba straciłeś rozum, Franz! Czy ty myślisz, że ten wrzaskliwy mundurek czyni z ciebie nowego człowieka? Mam wrażenie, że nic nie widzisz i nie chcesz wiedzieć, co się naprawdę dzieje w tym kraju.

Tego jednak było za wiele dla młodych akolitów nazistowskiej wiary. Tych słów potwierdzających, że ukochany brat jest

przeciwnikiem nowego porządku, Franz nie mógł darować. Wstał, wygładził mundur i skinął na Bastiana stojącego przy oknie i do tej pory przysłuchującego się rozmowie dwu braci z milczącym sprzeciwem.

– Powinniśmy opuścić to miejsce, stary – rzekł Bastian.

– Masz rację – odparł Franz.

Miał już wyjść, ale jeszcze rzucił bratu:

– Nie powiem nikomu, że obraziłeś mundur Hitlerjugend, a przez to obraziłeś samego Führera. Nie licz jednak na mnie, kiedy ojciec sam się przekona, jak niegodnie zarabiasz na życie.

Rozdział VI

ŻYCIOWE POWOŁANIE

Wkrótce obydwaj bracia Franza – Lorenz, absolwent medycyny na Uniwersytecie Wiedeńskim, oraz Friedrich – dostali powołanie do wojska. Znaleźli się tam w zupełnie innym charakterze. Friedrich, znany już wiedeńskiemu Gestapo jako sympatyk komunistów, nie mógł liczyć na żadną pobłażliwość. Jego wolny żywot wagabundy, kontestatora systemu i uczestnika nielegalnych spotkań bokserskich nieuchronnie dobiegł końca. Trafił do Sto Siedemdziesiątej Siódmej Dywizji Piechoty złożonej w całości z austriackich oficerów i żołnierzy. Rodzice i babcia byli zachwyceni, że Friedrich, zakała rodu, nareszcie poszedł po rozum do głowy i nawrócił się na narodowy socjalizm. Dlatego udali się do Wiednia na przysięgę. Franz postanowił okazać bratu pewien chłód, zachowując milczenie na spotkaniu po uroczystości. Jednak na widok brata w mundurze Wehrmachtu nie mógł powstrzymać się od delikatnej uszczypliwości:

– Wyglądasz, braciszku, zdecydowanie lepiej, niż kiedy widzieliśmy się ostatnim razem.

Friedrich zmierzył go wzrokiem doświadczonego pięściarza.

– Jeśli piśniesz rodzicom choćby słowo, spiorę cię na kwaśne jabłko.

Friedrich nie mógł wymigać się od wojska także dlatego, że sympatycy komunistów, którzy odmawiali złożenia przysięgi Führerowi, trafiali do obozu koncentracyjnego. Wiedział, że to niezwykle skomplikowałoby życie rodziny, w tym braci, lekarza i nastolatka. Dlatego postanowił nie wymigiwać się od wojska. Inni komuniści woleli wyjechać na wojnę do Hiszpanii albo udać się na emigrację.

Obydwaj bracia dobrze jednak wiedzieli, że Franz dotrzyma tajemnicy. Łączyło ich przecież stokroć więcej, niż dzieliło. Franz, widząc brata w mundurze, leczył się z kompleksów. Żywił nadzieję, że Friedrich będzie traktował go po bratersku, a nie z dystansem,

jak do tej pory. Kariera trzech braci przynosiła chlubę rodzinie, której dotychczasowy status społeczny wyznaczały pokolenia fachowych, rzetelnych i uczciwych rzeźników. Teraz w rodzinie znajdował się lekarz, żołnierz i coraz bardziej rozpoznawalny w miasteczku członek Hitlerjugend. Franciszek zauważał korzyści wynikające z tej pozycji; był zawsze najmłodszym dzieckiem wędliniarzy i koledzy w szkole przezywali go Franek-kielbasa. Jak każde dziecko przezywane z powodu zawodu rodziców, bardzo cierpiał. A teraz, kiedy Friedrich, bokser i zakąła rodziny, został żołnierzem, Weimertowie stali się uczciwymi sąsiadami, dobrymi Niemcami, lojalnymi wobec Führera lokalnymi przedsiębiorcami. Już nikt w Drasenhofen nie śmiał nazwać Franciszka Weimerta „kielbasą”.

Wkrótce dywizja piechoty, w której służył Friedrich, weszła w skład sił niemieckich, które okupowały Czechy. Rzesza powiększyła się bowiem w marcu trzydziestego dziewiątego o kolejną historyczną krainę monarchii Habsburgów. Żołnierze mieli teraz pilnować, żeby Czesi nie popełnili jakiegoś głupstwa. Tak uważała babcia, nestorka rodu, która świetnie pamiętała, ile kłopotu Czesi sprawiali kajzerowi z Wiednia.

* * *

Milena pragnęła znaleźć pracę, w której mogłaby wykorzystać swoje umiejętności muzyczno-wokalne. Odpowiedziała po prostu na ogłoszenie zamieszczone w gazecie czytanej przez jej ojca. Nie zdradziła rodzicom, że wybiera się na pierwszą w życiu rozmowę kwalifikacyjną. Gdyby im powiedziała, nie zgodziliby się, a ona chciała znać swoją wartość, zetrzeć się z innymi kandydatkami i dać upust swojej niepoohamowanej energii.

Dostrzegła ją kobieta. Nazywała się Zdenka Morgenstern i była żoną właściciela Pettyclubu Mikulasa Morgensterna, starszego od niej o prawie dwadzieścia lat. Prowadzenie klubu zrzucił na jej barki. Żona była nie tylko bardzo uzdolniona wokalnie, lecz także organizacyjnie, co w połączeniu z pieniędzmi i kontaktami męża zapewniało płynne funkcjonowanie Pettyclubu, niezakłócanie przez hlinkowców i innych katolickich fanatyków. Lokal szczyił się

opinią najelegantszego nocnego klubu w Bratysławie. Zdenka, podobnie jak jej mąż, pochodziła z mieszanej rodziny katolicko-żydowskiej, co dla rządu księdza Tiso miało pewne znaczenie. Prezydent uważał bowiem, że ochrzczony Żyd nie jest już żydem, ale katolikiem, i obowiązywały go inne prawa.

Zdenka miała trzydzieści siedem lat i była bardzo pociągającą kobietą, o zaskakującej południowej urodzie i niezwykłej powierzchowności. Szukała dziewczyny o dobrym głosie i predyspozycjach wokalnych, która pod jej baczny okiem będzie uczyła się śpiewu i tańca. Liczyła się też uroda. Co z tego, że dziewczyna ma miły głos, skoro nie jest urodziwa. Klienci, którzy zostawiają co wieczór w klubie niemałe pieniądze, powinni otrzymać rozrywkę na najwyższym poziomie.

Podczas rozmowy Zdenka zaproponowała, aby przy akompaniamencie fortepianu Milena zaśpiewała szlagier kabaretowy *Mein lieber Herr*. Gdy rozbrzmiała piosenka, Zdenka wiedziała już, że znalazła osobę, której szukała. Uznała oczywiście, że dziewczyna będzie musiała popracować nad interpretacją i nauczyć się trochę aktorstwa, bo czymże jest najlepsza nawet piosenka kabaretowa, jeśli nie jest „zagrana”, ale poza tym Milena była najlepszą kandydatką.

– Mów mi Luna – powiedziała pani Morgenstern. – Zaczynasz jutro.

Milena szybko zdała sobie sprawę, że odkryła swe powołanie. Po raz pierwszy w życiu każdego wieczoru wpadała w wir pracy i sprawiało jej to ogromną satysfakcję. Robiła po prostu to, co lubiła, i to, co najlepiej potrafiła. A że występowała w lokalu, gdzie zaglądało wielu wciąż bogatych Żydów i wpływowych Słowaków, nawiązywała znajomości, dzięki którym mogła polepszyć byt rodziny. Matka i ojciec wiedzieli, że śpiewając w nocnym klubie, Milena łamie uświęconą tradycję i zrywa z rolą, do jakiej ją przygotowywali. Miała być żydowską matką i dobrą żoną. Śmiała dziewczyna zupełnie nie przejmowała się tym, co powiedzą żydowscy sąsiedzi na to, że ona, córka uczciwego i na swój sposób pobożnego Żyda, tańczyła w „takim” klubie.

– Oni są głodni – powiedziała ojcu, gdy próbował ją namówić, by przemyślała decyzję o podjęciu pracy w „takim” miejscu – a ja nie chcę być głodna, tato.

Na tyle jednak знаła życie, by wiedzieć, że pracując w nocnym lokalu, niejednokrotnie usłyszy to, co słyszała jako studentka pierwszego roku konserwatorium od słowackich kolegów. Słowa „dziwka” nie uważała jednak za obraźliwe wobec siebie – uwłaczało ono tym, którzy je wypowiadali.

Milena starała się ignorować zaczepki słowackich chłopaków. Wyczuwała też ich wzrok, gdy udając zaczytanych albo zajętych rozmową, ukradkiem spoglądali na jej tyłek. Luna, jej nowa mentorka, miała rację, mówiąc, że mężczyźni to zwierzęta.

– Dobra artystka musi mieć seksapil we krwi – mawiała do dziewczyn Luna.

Kabaret pozwolił Milenie zetknąć się z dorosłym światem. Wychowywała się pod kloszem, a teraz miała doświadczyć siły własnej kobiecości, odkryć ją dla siebie. Kiedy po raz pierwszy znalazła się w garderobie, gdzie dziewczyny przymierały kostiumy do rewii, mocniej zabiło jej serce. Odkryła, że nie jest tu sama i że inne kobiety są piękne.

Jako wokalistka i tancerka Milena musiała się dużo nauczyć. Na początku śpiewała w chórkach, jednak kiedy Luna ostatecznie przekonała się do jej możliwości wokalnych, Milena zaczęła występować solo dla przybyłych do klubu gości. Świetnie wypadła zwłaszcza w klasycznym niemieckim repertuarze. Miała dobry akcent i nienaganną prezencję. Szczególnie polubiła piosenki Marleny Dietrich. Poza tym pensja otrzymywana w klubie wydatnie pomagała w domu: już nie musieli się martwić, czy starczy na ziemniaki, chleb i margarynę, o ile w ogóle można było je dostać na rynku. Kiedy przyniosła pierwsze pieniądze, ojciec popłakał się z wrażenia. On miał utrzymywać obie kobiety swego życia, a tymczasem to córka nie wahała się ani chwili, żeby poświęcić reputację i utrzymywać rodziców.

Na widok pieniędzy, prawdziwych i namacalnych, mających realną siłę nabywczą, Zingerowa nie powiedziała nic. Rzuciła tylko,

że i tak wszystko będzie spoczywało na jej barkach. Matka nienawidziła codziennych zakupów i dbania o dom. Miała nadzieję, że córka ją w tym wyręczy. Ale Milena musiała śpiewać, żeby Zingerowie mieli na chleb. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że matka nieoczekiwanie postanowiła przyjąć ofiarę z jej reputacji, ale uczyniła tak z egoizmu. Nie wybaczyła tego matce, ale nie dała poznać po sobie, jak bardzo ją to zabolowało.

W klubie Milena szybko zdobywała sobie sympatię koleżanek: Słowaczek, Węgierek i Żydówek. Była bowiem bardzo zycziwa i nigdy nie odmawiała przysługi, nawet gdy sama chciała zaśpiewać piosenkę, na którą miała też ochotę jej koleżanka. Luna natomiast bardzo doceniała grę zespołową. Klub na tym zyskiwał.

Milena w pracy zaczęła dostrzegać, że do tej pory zupełnie ignorowała świadomość własnego ciała, jego bogactwa oraz możliwości dzielenia się radością dotyku z innymi i dzięki temu wyrażania czegoś niecodziennego. Kiedy przebierała się do występu lub gdy jakaś pracująca dla Luni dziewczyna w przelocie otarła się o nią albo gdy po prostu sama pomagała koleżance włożyć gorset, odkrywała, że dotyk może naprawdę sprawić przyjemność.

Gdy śpiewała, skupiała całą uwagę na piosence, ale po występie, kiedy schodziła ze sceny, słysząc oklaski, zauważyła, że kilku mężczyzn klaskało głośniejszymi, wymawiając jej imię i najzwyczajniej ją adorując. Jeden z nich odważył się przysłać jej nawet bukiet. To bardzo mile połechtало kobiecą próżność Mileny.

– Moja droga – powiedziała Luna – to kobieta powinna sama decydować, któremu mężczyźnie i kiedy ma się oddać. Najlepiej, żeby był to wyraz prawdziwych uczuć, ale ponieważ prawdziwe uczucia z reguły stają się bardzo prozaicznymi złudzeniami, kobiecie nie pozostaje nic innego, jak tylko przejąć władzę. To ona powinna decydować kiedy, gdzie i z kim. Nie wierz mężczyznom, moja mała. Oszukają cię zawsze, kiedy stracisz dla nich głowę i naprawdę się zakochasz.

Ten otwarty ton sufrażystki zbuntowanej przeciw władzy mężczyzn bardzo podobał się Milenie, zresztą innym dziewczynom też. Dzięki naukom Luni starsze koleżanki mogły znaleźć dobrych

i wiernych kochanków na te trudne wojenne czasy. Jednak Milena zdawała sobie sprawę, że poglądy szefowej na naturę relacji damsko-męskich zupełnie nie mieszczą się w tradycji żydowskiej, która była bardzo konserwatywna i przypisywała kobiecie jasną rolę. Milena miała przed oczami własną matkę: bezwzględną egoistkę. Nie chciała być taka. W głębi serca chciała być taka jak Luna, to znaczy inteligentna, kobieca do granic, a jednocześnie silna, łagodnie władcza i zupełnie wolna.

* * *

Franz coraz częściej dochodził do przekonania, że wybór narodowego socjalizmu, jako nadrzędnej idei porządkującej jego świat, był świadomy i wolny. Taki wybór oznaczał jednak konieczność wewnętrznego podporządkowania się i wewnętrznego przeistoczenia. Okazją do zademonstrowania swej przemiany była sprawa ewakuacji.

Komórka Hitlerjugend z Drasenhofen otrzymała rozkaz asystowania przy ewakuacji kilku żydowskich rodzin mieszkających dotychczas w sąsiedztwie. Żydzi mieli wyjechać do Wiednia, a potem opuścić Austrię na zawsze w ramach programu emigracyjnego. Faktycznie wielu Żydów wyjechało, zapłaciwszy słono za bilet bez prawa powrotu.

Franz raz już uniknął asystowania przy antyżydowskich ekscesach. W listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku przez całe Niemcy przetaczała się fala antyżydowskiej hysterii; jej symbolem stała się noc kryształowa, podczas której wybito szyby we wszystkich żydowskich sklepach i spalono większość synagog w Niemczech. Franz nie pojechał wówczas do Wiednia, by demolować żydowskie witryny, z bardzo prozaicznego powodu: po zjedzeniu konserwy dostał ogromnych boleści i musiał zostać w domu. Oczywiście w organizacji zaczęły krążyć plotki, że Franz nie chciał w tym uczestniczyć z powodu własnego tchórzostwa. Bastian doniósł mu o wszystkim. Franz wiedział, że przy następnej antysemickiej burdzie nie będzie mógł sobie pozwolić na nieobecność.

W pogadankach dla członków organizacji Bastian oraz

nauczyciel gimnastyki i pierwszy nazista w miasteczku *Herr Schneider* kładli nacisk na zewnętrzną i wewnętrzną czystość, którą powinien się charakteryzować każdy Niemiec. Schludność munduru stawała się powoli obsesją Franza. Niemiecki chłopak musiał dbać tak samo o czystość otoczenia, jak i o własną. Franz bardzo się tym przejął, odpowiadało to bowiem jego wewnętrznemu usposobieniu. Zawsze czuł się doskonale w czystym, lśniącym mundurze Hitlerjugend. Zastanawiał się, czy Żydzi są czyści w tym samym stopniu co Niemcy. Słyszał o tym różne rzeczy. Podczas ewakuacji Franz został uświadomiony przez Bastiana, że żydowscy sąsiedzi muszą na własnej skórze odczuć nowy porządek.

Żydzi dostali godzinę na spakowanie się. Byli tak zdenerwowani, że wielu z nich pozostawiało w domach rodzinne pamiątki, rzeczy najcenniejsze. Chłopak, obserwując zdarzenie, starał się zachować niczym niezmałcony spokój i był pewny, że zupełnie nie da się sprowokować.

Wśród deportowanych znajdowała się sąsiadka Weimertów z podwórka, Reni Rosenblum. Kiedy policjanci poganiali jej rodziców, ona stała i patrzyła na Franza, na chłopaka, którego przecież tak lubiła i którego znała od dziecka. Dziwiła się bardzo jego obojętności. Zauważyła także, że się peszył, kiedy tak na niego spoglądała. A on nie mógł zrozumieć, dlaczego ta Żydówka (już nie Reńcia, jak ją pieśczośliwie nazywał na podwórku) patrzyła na niego, tak jakby miała pretensje o to, co ją spotyka. Franz uważał wówczas, że Żydzi sami są sobie winni i ponoszą słuszną karę za swoje zdradliwe knowania przeciwko Niemcom. Jednak gdyby ktoś go zapytał, co złego uczyniła mu ta dziewczyna, nie umiałby odpowiedzieć. Rasizm czyni ludzi ślepych.

Rozdział VII

BOGOBÓJCY

Słowacja, 1939

W końcu Milena zdobyła zaufanie Luny. Pracodawczyni była przede wszystkim mentorką, ale z każdym dniem stawała się kimś więcej – powierniczką, przyjaciółką, szamanką i nauczycielką życia.

Pewnej letniej nocy, kiedy Milena po występie przebierała się w garderobie, którą dzieliła z jeszcze dwoma koleżankami, nieopatrznie pozostawiła uchylone drzwi. Ale tej akurat nocy była sama. Luna przyszła niezauważenie i stanęła w progu. Po raz pierwszy widziała Milenę prawie nagą. Luna patrzyła zachwycona na harmonijne piękno, którego nie spotkała u żadnej kobiety. Zachwyt nad ciałem Mileny był tak wielki, że bez wahania podeszła do dziewczyny i położyła jej dłoń na biodrach.

Dotknięcie to, tak nieoczekiwane, nieomal wytrąciło Milenę z równowagi. Nikt nigdy nie dotykał jej w taki sposób. Cicho jęknęła. Ale Luna nie przestała. Złożyła najdelikatniejszy pocałunek na plecach dziewczyny.

– Jesteś taka piękna – powiedziała.

Wtedy Milena się odwróciła. Nie przyszło jej to łatwo. Luna patrzyła. Widziała świątynię jej ciała. Zawstydzona Milena w milczeniu spuściła głowę. Luna również nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Żadne chyba słowa nie oddałyby tego, co czuły obie kobiety. Pomiedzy dłońmi Luny i biodrami Mileny przeszedł niewidoczny, ale elektryzujący fluid. Milena zobaczyła w oczach Luny, że ta pragnie się z nią kochać tu i teraz. Jednak to zupełnie nieoczekiwane i nieodwzajemnione przez Milenę pragnienie sprawiło, że dziewczyna powiedziała „nie”. Nie chciała przy tym urazić pani Morgenstern.

– Chciałabym być teraz mężczyzną – powiedziała cicho Luna, słysząc jasno wyartykułowaną odmowę.

Gdy Milena skończyła się ubierać, zza drzwi, z głębi korytarza dobiegł głos woźnego, który sprawdzał, czy wszyscy już wyszli z klubu. Zobaczył światło wydobywające się z garderoby Mileny i przyszedł je zgasić.

– Już, za chwilę skończymy – powiedziała Luna.

Woźny odszedł. Milena spojrzała jej w oczy. Zobaczyła w nich prawdziwą, chwytającą za serce tęsknotę. Ciepły oddech drugiej kobiety oraz dłonie delikatnie dotykające bioder Mileny powiedziały dziewczynie, że istnieje inna kategoria wrażeń erotycznych niż te doświadczane powszechnie w życiu małżeńskim. Nigdy wcześniej nie spotkała lesbijki, ale to wydarzenie sprawiło, że wyzbyła się uprzedzeń, o ile w ogóle je miała. Czas był jednak nieubłagany. Musiały wyjść z klubu, żeby nikt nie zaczął czegoś podejrzewać.

Kiedy Milena wracała nad ranem do domu, wiedziała, że ten dreszcz, jaki ją przeniknął pod wpływem dotyku Luny, był najbardziej erotycznym przeżyciem w jej dotychczasowym życiu.

* * *

Na Słowacji pod rządami księdza Tiso najprostsze czynności, na przykład kupienie chleba, sprawiały wiele trudności.

W kolejce po chleb stały chrześcijańskie kobiety i tylko kilka żydowskich. Kolejka poruszała się powoli, lecz wszyscy mieli nadzieję na kupno chleba. Ale zawsze kiedy matka Mileny stała w takiej kolejce (a stawała w niej bardzo niechętnie), miała kłopoty z dostaniem choćby jednego bochenka – albo pieczywa zabrakło, albo należało się wcześniej zapisać w komitecie kolejkowym. Pani Zinger, kobieta w gruncie rzeczy bardzo cicha i wycofana, musiała ustąpić miejsca Słowaczkom. Gdy nie przynosiła chleba do domu, bardzo to denerwowało jej męża:

– Moja duszko, znowu nie udało ci się kupić chleba? Tak mi przykro, że takie ciężkie zajęcie jak kupienie chleba przypadło właśnie tobie.

Matka wówczas zamykała się w pokoju i płakała, złorzecząc na

niewdzięczność męża, który upokarzał ją w sposób wyjątkowo okrutny. Mecenas nigdy nie krzyczał na żonę, ale wiedział, jak doprowadzić ją na skraj załamania nerwowego. Między Zingerami panowało ciągle napięcie. Ich miłość dawno się skończyła. Oboje zaczęli sobie nawzajem dogryzać. Atmosfera, w jakiej żyli, nie pomagała cementować małżeństwa doświadczonego przez zewnętrzne okoliczności, pojawiły się rysy, które sprawiały, że idealny na pozór związek stawał się coraz bardziej związkiem ze skazą.

Pewnego dnia pani Zinger miała zrobić zakupy w pobliskiej piekarni, ale gdy minęło południe, a matka chleba nie przyniosła, zdenerwowana Milena, niewyspana i głodna, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Ojciec stwierdził, że biedna duszka ma znów problemy w kolejce. I rzeczywiście. Matka została zmuszona do ciągłego przesuwania się na koniec kolejki. Gdy Milena przyszła jej pomóc, okazało się, że przeciwko nim stanęła matka Dawida.

Semotanova popadła w kłopoty. Musiała zamknąć sklepik.

Miała pecha, ponieważ prowadziła warzywniak w dzielnicy, w której mieszkali inteligenci żydowscy. Poza tym zawyżała ceny, bo Dawid mawiał, że Żydom trzeba sprzedawać drożej niż katolikom. I tak Semotanova straciła klientów. Teraz, pewna sukcesu, pozdrowiła znajome i zwróciła się do matki Mileny, ignorując dziewczynę jako niemoralną tancerkę.

– Ja tu stałam przed panią, pani Zinger. – Uśmiechnęła się dobrotliwie.

Matka dla świętego spokoju była skłonna wpuścić intruza. Nie lubiła kolejek, ich duchoty, monotonii i nerwów. Najchętniej pograłaby w salonie na pianinie. Ale Milena nie była podobna do matki.

– Pani Semotanova, proszę iść na koniec kolejki.

Dziewczyna wypowiedziała te słowa uprzejmym tonem, bez zbędnych emocji, ale wystarczająco stanowczo, by przyniosły natychmiastową reakcję.

– Aleja tutaj stałam wcześniej, moja złociutka – odparła Semotanova.

– Doprawdy? Ja stoję z matką i nie widziałam pani przed nami.

Semotanova zaczęła płakać. Była przecież taka nieszczęśliwa. Jej Dawidek, taki dobry chłopiec, do kościoła chodził, a teraz popija i podnosi rękę na matkę. Miała sklep, który dobrze prosperował, ale zbankrutował, bo ci niewdzięczni Żydzi przestali przychodzić. I teraz takie upokorzenie ze strony tych morderców Pana Jezusa, tych Żydów wiarołomnych! Musi iść na koniec kolejki. Ona się poskarży Dawidkowi, jak ją Żydzi w kolejce potraktowali. Czekać, ona się poskarży.

Milena nie wytrzymała i wypaliła Semotanovej w twarz:

– Żydzi nie przychodzili, bo im pani nie chciała sprzedawać tylko dlatego, że byli Żydami.

W kolejce ludzie rozmawiali i nikt nie zwracał uwagi na zatarg. Kłótnia to normalna rzecz. Ale słowa Mileny usłyszeli wszyscy. I wszyscy je zapamiętali. Scena miała mieć także nieoczekiwane konsekwencje. Urażona do żywego Semotanova nie zamierzała puścić tego Zingerom płazem. Miała jedno nad wyraz sprawne narzędzie pomsty – swego syna Dawida. Wzdychał do pięknej Żydówki, ale nie mógł pogodzić się z tym, że dziewczyna tak po prostu go odrzuciła. Mało tego, odrzuciła też chrzest. Dawid wierzył oczywiście propagandzie nieprzychylniej Żydom i uważał, że jeśli ktoś odrzuca chrzest, to jest zły. Gdy dowiedział się o scysji matki z Żydówką, którą kochał, a której nie mógł mieć, w jego sercu obudziła się wściekłość. Odtąd chłopak szukał okazji do zemsty.

* * *

Latem tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku pogłębiał się kryzys niemiecko-polski. Polacy mówili Niemcom stanowcze „nie” w kwestii włączenia Gdańska do Rzeszy oraz w sprawie eksterytorialnej linii kolejowej z niemieckiego Pomorza do Prus Wschodnich. Radio i prasa w Niemczech bez przerwy mówiły o polskich prowokacjach. Babcia Franza słuchała z rosnącym oburzeniem audycji, w których Führer wielokrotnie podkreślał, jak bardzo Polacy nastają na mniejszość niemiecką w swoim kraju.

– Mój Boże, jak oni ich prześladują! – powtarzała.

Te słowa słyszano w domu Weimertów coraz częściej. Babka nie mogła zrozumieć, dlaczego Niemcy tak bardzo przeszkadzali niewdzięcznym Czechom, a teraz Polakom. Podkreślała, że gdy trzydzieści lat temu w ich domu pracowali polscy robotnicy z Galicji, to ona zawsze ich dobrze traktowała, płaciła w terminie i nie zmuszała do pracy ponad miarę, byle do kościoła chodzili. Polacy to katolicy, więc z kościołem nie było problemu. Czesi nie chodzili do kościoła, ateusze przeklęci, ubolewała babcia. Kiedy usłyszała w radiu, że Polacy napastują niemieckie dziewczęta na Śląsku, o mało nie dostała zawału. Bardzo się tym zdenerwowała i jej zupełnie bezwolny syn Josef Weimert pobiegł do apteki po sole trzeźwiące i laudanum. I tak do domu Weimertów zawitał nowy wróg – Polak. Weimertowie uważali, że trzeba dać Polakom nauczkę.

Franz zupełnie nie podzielał obaw babci o los niemieckich dziewcząt w Polsce. W sierpniu owego pamiętnego roku nad Jeziorem Bodeńskim miały odbyć się zawody sportowe drużyn męskich. Hitlerjugend z miasteczka bardzo pragnęło wysłać najlepszą reprezentację. Ponieważ organizacja prowadzona przez Bastiana i Franza uchodziła za wzorcową, Schneider, jako szef NSDAP w Drasenhofen, poparł starania chłopców. Wyjazd nad Jezioro Bodeńskie miał być zarazem nagrodą i wyzwaniem. Młodzi mężczyźni z miasteczka mieli stawić czoła rówieśnikom z innych stron kraju, równie uzdolnionym i sprawnym. Franza pochłaniały treningi prowadzone przez Schneidera. Wszyscy chłopcy chcieli wypaść na zawodach jak najlepiej, by rozśławić rodzinne miasteczko.

Lato tego roku było piękne. Niezwykły spokój emanujący z jeziora, jak i majestat gór otaczających tafłę wody sprawiały, że Franz czuł się trochę wyobcowany. Takie melancholijne pragnienie samotności zdarzyło mu się po raz pierwszy. Zawsze był usposobiony towarzysko, chociaż nazistowska młodzież potrafiła być bardzo męcząca. Po raz pierwszy tak dojmująco odczuł, że jego los jest nieodwracalnie związany z celem, który wskaże mu nowa

religia wielkiej niemieckiej ojczyzny.

W przerwie zawodów, podczas których młodzi ludzie musieli się popisać nie lada sprawnością, Bastian robił wszystko, aby zorganizować spotkanie z dziewczętami. Nie było to łatwe, zważywszy na to, ile partyjnych opiekunów w rodzaju Schneidera kręciło się po młodzieżowym obozie. Mieli troszczyć się o moralność niemieckiej młodzieży. Ruch nazistowski, przynajmniej formalnie, był niesłychanie pruderyjny, zwalczał takie zagrożenia, jak prostytutka, homoseksualizm oraz swobodny seks młodzieży. Oczywiście nie przeszkadzało to partyjnym dygnitarzom używać życia we wszelkich jego formach i odmianach. Ale partyjna propaganda o tym milczała.

Bastian długo pracował, by doprowadzić do potajemnej schadzki z niemieckimi dziewczętami, których cnota tak bardzo obchodziła babcię Franza. Zawody miały trwać tydzień i wszystkie wieczory chłopcy mieli wolne. Kilku starszych adeptów z sieci szkół Napola¹ poszło z Bastianem o zakład, że przy muzyce i nielegalnie przemyconym alkoholu chłopcy będą mogli skosztować przygodną znajomość z dziewczyną.

Chłopcy z nazistowskich szkół z internatem, podobnie jak skromni uczniowie katolickiej szkoły w Drasenhofen, z zasady byli oddzieleni od dziewczyn szczelnym kordonem ideologii. Niemieckie dziewczyny miały własną organizację. Jednak oddalenie od szkoły i rodzinnego domu, a także połączenie swobody, sukcesu na zawodach sportowych, alkoholu i typowych dla chłopców przechwałek o podbojach miłosnych sprawiały, że wszyscy skrycie marzyli o tej zakazanej przygodzie. Ów dionizyjski pęd ku złamaniu reguł rządzących światem kobiet i mężczyzn był pokusą zbyt silną, by się jej oprzeć. Wszyscy na tym obozie stawali się odważni ponad własną miarę lub od razu przekraczali wszelkie ustalone granice w totalitarnym państwie. Wydawało się im, że nie było takich miejsc, do których nie mogliby dojść, ani takiego narodu, który mógłby im dorównać. Franz i jego koledzy czuli, że dane im jest być panami czasu.

Choć sierpniowa noc była urzekająca, Franz źle się czuł

w atmosferze takiej swobody. Prawo moralne wtlaczane mu do głowy przez lata w domu i w kościele wciąż tkwiło w głębi jego duszy. Franz był w gruncie rzeczy zwyczajnym, zakompleksionym, ale na swój sposób bardzo ambitnym chłopakiem z austriackiej prowincji. Bez entuzjazmu pił kwaśne reńskie czerwone wino, tylko dlatego, że wszyscy koledzy je pili. Gdy opowiadano sprośne dowcipy o miłosnych podbojach, Franz śmiał się tak samo jak inni, bo wymuszała to sytuacja. Jednak Bastian przeciągał spotkanie. Franz nie wiedział dlaczego.

Gdzieś koło północy od strony ścieżki biegnącej nad jeziorem doszły ich wesołe śmiechy. To była skrywana tajemnica Bastiana. Przyszły dziewczyny, młode aktywistki Związku Niemieckich Dziewcząt, żeńskiego odpowiednika Hitlerjugend. Wzorowe Niemki, dwudziestoletnie, których marzeniem było zostać niemiecką matką. Ale ich krew wrzała na samą myśl o tym, co zakazane i zabronione. Przychodząc na to spotkanie, dziewczyny miały jasne zamiary. To od nich zależało przyzwolenie na to, co było niedozwolone. Naturalnie żaden z chłopców nie śmiał jako pierwszy zacząć rozmowy o tym, o czym myślały koleżanki. Młodzi zostali sami, bez wychowawców i bez żadnego ideologicznego hamulca.

Jedna z dziewczyn, szczupła i bardzo wysportowana blond monachijka, wyraziła się z dumą o mundurach Hitlerjugend i tego pociągnęła z butelki. Dwie jej koleżanki zaczęły palić nie wiadomo skąd wytrzaśnięte papierosy. Inne onieśmiały chłopaków, wystawiając na próbę ich odwagę i poczucie męskości. Mówiły, że jedna drużyna dziewczęca z pewnością pokonałaby zadufanych facetów w przeciąganiu liny. Potem wszystko potoczyło się samo. Ktoś obok kogoś usiadł, czyjś wzrok w odpowiednim momencie spotkał się ze wzrokiem drugiej osoby. Alkohol dokonał reszty.

Franz był wprawdzie pijany, ale nie na tyle, by nie wiedzieć, co dzieje się wokół niego. Chciał uciec, ale nie potrafił. Nogi się pod nim ugięły. Miał wrażenie, że są z waty, ale bardzo osobliwej, bo przytwierdzonej do ziemi stukilowym magnesem własnego pożądania.

W końcu jedna z dziewczyn się nim zainteresowała. Nie znał jej, tak jak ona nie znała jego. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Chcieli poznać, co to znaczy przekroczyć zakazaną granicę i przełamać barierę. Ona okazała się odważniejsza. On się cofał, ale ona była zdecydowana na wszystko. Podeszła do Franza i delikatnie, guzik po guziku, zaczęła rozpinać mu koszulę. Nie protestował. Poddał się jej. A bezimienna dziewczyna, nie chcąc oddawać się mu na oczach innych par, pociągnęła go dalej do malinowego chruśniaka. Musieli się bardzo spieszyć, w końcu letnie noce są takie krótkie.

Rozdział VIII

KAIN I ABEL

Milena prowadziła ojca przez uliczki bratysławskiego starego miasta. Wracali od lekarza, przyjaciela ojca, doktora Slavana Pressburgera. Mecenas w dalszym ciągu nie miał posady i nadzwyczaj źle znosił duszne, upalne lato tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Lekarz nie owijał w bawełnę. Serce prawnika, nadwyreżone w ostatnich miesiącach, powinno jak najwięcej wypoczywać. Wieści te zmartwiły Milenę, ale ojciec zupełnie się nimi nie przejmował. Przeżył niejedno, stwierdził, przeżyje i własne serce.

Wracając do domu, przechodzili obok grupki członków ultrakatolickiej Gwardii Hlinkowej podpierającej ściany kamienic i sączącej piwo. Milena spojrzała na nich pełnym pogardy wzrokiem. Dziewczyna zachowywała się czasami bardzo prowokacyjnie. Praca w klubie nauczyła ją śmiałości. Nie wahała się mówić prawdy w oczy. Popatrzyła więc na gwardzistów tak jak na studentów konserwatorium próbujących organizować na uczelni getto ławkowe. Milena instynktownie nie znosiła wszelkiego rodzaju gett, szczególnie tych najgorszych, umieszczonych w ludzkich umysłach.

Jej uwagę przykuł jeden z mężczyzn. To był Dawid. On także natychmiast ją poznał i uznał, że musi wyrównać rachunki. Sam się sobie dziwił, że korespondował kiedyś z „brudną Żydówką”, jak mówili członkowie gwardii. Dawid chował do Mileny urazę. Już nawet nie chodziło o niego samego, ale o matkę, którą bardzo kochał. Przykrość, jakiej doznała od Żydów w kolejce po chleb, była jego przykrością. Nie mógł darować, że jego matka musiała iść na koniec kolejki, ale zupełnie się nie przejmował tym, że kiedy sobie popił, to czasami uderzył starą matkę – żeby nie robiła rabanu, jak mówił kumplom.

Kiedy dziewczyna wraz z ojcem zniknęli w jednej z uliczek, gwardziści ruszyli za nimi. Milena natychmiast wyczuła ich

obecność i się odwróciła. Szli zwartą grupą około trzydziestu metrów za nimi. Ojciec natomiast nie zauważył niczego. Milena, choć w jej sercu czaiła się trwoga, nic nie powiedziała ojcu. Na czole mecenasa, jak zwykle bardzo zamyślnego, szklili się perlisty pot. Czuł się naprawdę źle.

Próba sił trwała dalej. Mężczyźni się nie spieszyli. Mieli przecież ogromną przewagę; tylu silnych chłopaków przeciw staremu Żydowi i jego córce. Milena, chcąc za wszelką cenę uniknąć spotkania, przyspieszyła kroku, mimo iż starszy człowiek ciężko oddychał w upale. Jednak hlinkowcy zbliżali się coraz bardziej. Gdy dziewczyna i jej ojciec weszli w kolejną uliczkę, gwardziści się rozdzielili. Na znak Dawida część jego ludzi pospieszyła, żeby odciąć Żydom drogę z drugiej strony. Kiedy hlinkowcy zastąpili drogę dwojgu ludziom, Dawid spokojnie podszedł do swoich ofiar. Ojciec Mileny dopiero teraz zorientował się, że to napaść. Zasłonił córkę i zwrócił się do Dawida.

– Czego chcesz? – zapytał Zinger.

– Nie mam zamiaru rozmawiać z tobą, Żydzie – odparł Dawid, wpatrując się w zdenerwowaną Milenę, która stała za plecami ojca.

– Jak się do mnie zwracasz, smarkaczu? – zapytał urażony mecenas.

Nie mógł przypuszczać, że Dawid zareaguje agresywnie. Ten jednak wymierzył mecenasowi błyskawiczny cios pięścią w brzuch. Stary Elias Zinger zwinął się z bólu, nie mogąc złapać oddechu. Upadł na chodnik.

Tego było już za dużo dla Mileny. Na widok bitego ojca dziewczyna zebrała w sobie całą siłę, jaką miała i z której nawet nie zadawała sobie sprawy. W ułamku sekundy strach minął. Dziewczyna rzuciła się na napastnika. Dawid, powaliwszy tak łatwo ojca, zupełnie nie docenił córki. I miało go to drogo kosztować.

Milena kopnęła chłopaka poniżej pasa. Dawid zasyczał z bólu. W jednej chwili stał się bezbronny, a upojona chwilą Milena, niczym w szale, kopnęła go i drapała po twarzy, dając upust nagromadzonym od wielu miesięcy emocjom. Żaden z zaskoczonych

gwardzistów nie przyszedł Dawidowi z pomocą. Nikt z nich nie przypuszczał, że żydowska dziewczyna będzie zdolna publicznie skopać gwardzistę. Dotychczas wmawiano im, że Żydówki są albo lubieżne, albo chorowite i przez to zupełnie bezbronne. Ta Żydówka okazała się po prostu drapiącą kocicą, z którą lepiej nie zadzierać. Na głos wyzwisk i krzyków nadbiegli przechodnie. Pomogli Milenie i ojcu wydostać się zza kordonu gwardzistów.

* * *

Wieści szybko obieły całe miasto. Komentowano je w sklepach, na rogach ulic, podczas herbaty u sąsiada i w pracy, dyskutowano na policji i rzecz jasna w kościele. Żydówka bijąca członka Gwardii Hlinkowej! Wielu nie chciało w to uwierzyć. Sama gwardia wyciągnęła wobec Dawida konsekwencje służbowe. Naturalnie nie za to, że w biały dzień napadł i pobił na ulicy starego Żyda, ale za to, że pozwolił Żydówce sobie dołożyć. Wkrótce całe zdarzenie obrosło legendą. Gwardia nie mogła się przyznać, że jedna dziewczyna pobiła wysoko postawionego członka młodzieżowej organizacji. Z tego też powodu cała Słowacja żyła historią o tym, że wieczorem kilku tęgich Żydów napadło bezbronnego chłopca wracającego z kościoła.

Milena zdobyła więc szeptaną sławę. Nikt jej nie pociągnął do odpowiedzialności, gdyż policja szukała kilku sprawców napadu na Dawida. Jednak ludzie z sąsiedztwa wiedzieli, kto skopał bojówkarza, i że była to piękna żydowska dziewczyna śpiewająca w bratysławskim Pettyclubie. Milena zrobiła więc lokalowi dodatkową reklamę. Od tej pory nikt nie odmówił jej sprzedaży chleba, margaryny, czegokolwiek. Wśród słowackich kobiet pokroju Semotanovej, chodzących do kościoła, odmawiających różaniec i gładzących o bogactwie Żydów, Milena zyskała miano „żydowskiej diablicy” lub w najgorszym wypadku „dziwki” albo „wściekłej suki”. Wśród współwyznawców było różnie. Jedni się cieszyli, drudzy udawali, że ich to nie obchodzi, a jeszcze inni uważali, że przesadziła, gdyż nie zachowała się, jak przystało na dobrą i pobożną dziewczynę. Milena odpowiadała im, że wcale nie jest dobra i pobożna, czym wprawiała matkę w rozpacz, a rabina

Majzelsa w zażenowanie.

Tylko Luna, co wieczór tryskająca w klubie nowymi pomysłami i niezwykłą energią, nazwała Milenę królową nocnej Bratysławy. Dziewczyna odwzajemniała się jej pięknym uśmiechem i zaczynała rozumieć, dlaczego Luna patrzy na nią coraz częściej wzrokiem pełnym czułości, zmysłowego pożądania i zamyślenia. Nie przypuszczała też, że określenie „królowa” miało za jakiś czas zrobić wielką karierę w innych, zgoła niewyobrażalnych okolicznościach.

* * *

Począwszy od pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku cała rodzina Weimertów słuchała wieczorami radia. Wielki, zwalisty aparat znajdował się na oddzielnym stoliku w salonie. Tamtego wrześniowego dnia babcia i matka Franza dwa razy słuchały z przejęciem przemówienia Führera usprawiedliwiającego atak na Polskę. Hitler wrzeszczał wniebogłosy, iż rząd Rzeszy został zmuszony do wojny przez Polaków, którzy codziennie prowokowali Niemców. Na bomby Niemcy mieli odpowiedzieć bombami. Rodzina Weimertów przyznawała w duchu wodzowi rację, bo niby dlaczego Polacy nie chcieli oddać Niemcom Wolnego Miasta Gdańska, który był niemieckim miastem niemal tak starym jak Wiedeń?

Jednak gdy trzeciego dnia wojny okazało się, że Francja i Anglia, a wraz z nią jej zamorskie dominia, takie jak Kanada i Australia, wypowiedziały wojnę Niemcom, przekształcając polski konflikt w wojnę światową, rodzina Weimertów miała inny, ważniejszy powód do troski i zdenerwowania. Otóż Sto Siedemdziesiąta Siódma Dywizja Piechoty złożona z Austriaków była na froncie i nacierała na Częstochowę, gdzie trwały zacięte walki z cofającymi się Polakami. Babcia modliła się, żeby Polacy szybko się poddali. Kiedy jednak nadszedł ósmy września i Polacy zaczęli kontratakować nad Bzurą, stało się jasne, że ta kampania nie skończy się tak szybko. Najgorsze było to, że od początku wojny nie przychodziły żadne wiadomości od Friedricha i Lorenza, służących właśnie w tej dywizji. Jednak Josef, walczący w czasie

wielkiej wojny na froncie włoskim nad rzeką Isonzo, stwierdził, że regularnie pisywał listy do domu, ale przychodziły one dopiero po trzech miesiącach, kiedy zaaprobowała je nadzwyczajna cenzura wojenna. I wówczas matka oraz babcia uznawały, że trzy miesiące to i tak szybko. Były rodziny, które na list czekały pół roku. Ojciec wyraził przekonanie, że wcale go nie zdziwi, jeśli teraz będzie podobnie.

Franza jak gdyby to wszystko nie obchodziło. Oczywiście denerwował się brakiem wiadomości od Friedricha i Lorenza, ale przeżywał teraz wielką przemianę, która sprawiła, że stał się obojętny na małomiasteczkowe życie. Dotychczasowy rytm codzienności, wyznaczony przez święty czworobok: dom, kościół, szkoła, organizacja młodzieżowa, teraz ustępował miejsca innemu porządkowi rzeczy. W jego sercu pierwsze miejsce zajmował epizod nad Jeziorem Bodeńskim, w malinowym chruśniaku. Skromny ministrant już wiedział, jak potężną siłę wyzwoliły w nim te maliny. Sile tej nie potrafił się oprzeć. Stał się rozbudzonym erotycznie młodym mężczyzną. Ta zmiana wpłynęła także na jego zachowanie. Stał się opryskliwy, zarozumiały i butny.

W hitlerowskich Niemczech seks młodzieży był tematem tabu, a na sterylnych moralnie niemieckich ulicach, w równie umoralnionych szkołach, urzędach czy internatach obie płcie w zasadzie były rozdzielone. Młodzi chłopcy i dziewczyny, z natury lgnący ku sobie, musieli pokonać kordon stworzony przez ideologię wężącą wszędzie brud moralny. W konsekwencji kontakty seksualne były utrudnione, choć możliwe, co Bastian udowodnił nad Jeziorem Bodeńskim.

Franz, zakosztowawszy raz zakazanego owocu, szukał podobnych okazji jak ta z malinowego chruśniaka. Samozaspokajanie się już nie wystarczało. Solennie dotrzymując obietnicy, że nigdy więcej nie pójdzie do spowiedzi, Franz odebrał sobie możliwość psychicznej ekspiacji. Kumulował zatem wszystkie przeżycia w swoim coraz bardziej mrocznym wnętrzu, unikał też rozmów o sobie w domu. Bywał w nim tylko po to, żeby się wyspać i najeść. Jego duszna i matriarchalna atmosfera wydawała się

Franzowi o wiele bardziej nieznośna niż ideologiczne pogadanki podczas spotkań Hitlerjugend. Wolał słuchać tępawych towarzyszy partyjnych gładzących coś o wyższości niemieckiej rasy nad Słowianami niż patriotycznych wywodów babci, która bez przerwy przywoływała ojca do porządku.

Pewnym lekarstwem na pustkę, jaką pozostawiła w jego duszy nieznana z imienia dziewczyna znad Jeziora Bodeńskiego, były zdjęcia cudem organizowane przez Bastiana. Przyjaciel, w przeciwieństwie do Franza, wymienił się adresami z towarzyszką tamtej nocy i teraz pisywał regularnie do Bremy. Czynił tak bez względu na to, że listy z daleka mogły wzbudzić czyjeś podejrzenia lub po prostu mógł je przeczytać cenzor pocztowy.

– Ryzykujesz – mówił Franz do Bastiana.

– Wiem i nakręca mnie to – odpowiadał Bastian. – Popatrz.

Na stoliku leżało kilkanaście egzemplarzy pisma „Der Stürmer”². Franz zaciekawiony nowością sięgnął po jeden z numerów. Otworzył go i oniemiał. Znajdowały się tam pornograficzne rysunki tak wstrętne, że chłopak w odruchu obrzydzenia odsunął gazetę.

– Co to za gówna? – zapytał.

– To jest według ciebie gówna? – zapytał zaskoczony Bastian. – To się dzieje naprawdę. Bogaci i lubieżni Żydzi to właśnie wyprawiają z niemieckimi dziewczynami. Jestem pewien, że robią tak ze wszystkimi chrześcijańskimi dziewczynami na świecie, jeśli tylko któraś ma to nieszczęście pracować u bogatych Żydów.

Franz, zachęcony przez Bastiana, znów sięgnął po numer pisma. Przejrzał ich kilka. Wszędzie to samo: starzy lubieżni Żydzi i młode niemieckie dziewczęta. Chłopak znów odsunął gazety od siebie. Zrobił to z wyraźnym wstrętem.

– To naprawdę obrzydliwe.

Obrazy głęboko wryły się mu jednak w pamięć. Żyjąc w atmosferze nieustannie podgrzewanej nienawiści do Żydów, chłopak uwierzył w to, że są oni z gruntu źli. Nie nienawidził ich. Przeciwnie, bał się ich. Uważał Żydów za ludzi ulepionych z innej, gorszej gliny, za zagrożenie dla porządku, moralności i Bóg wie

czego jeszcze. Mechanizm nienawiści do innego był zawsze podobny. Żeby nienawidzić, należy najpierw odczłowieczyć, sprawić, że znienawidzony człowiek przestanie być człowiekiem, a stanie się robakiem tyleż groźnym, co niepotrzebnym. Wówczas nie będą działały żadne hamulce ani zasady moralne. Pod tym względem „Der Stürmer” spełnił swe zadanie. Skutecznie odzierał Żydów z człowieczeństwa.

Poza tym Franz czuł się wzburzony tymi ohydnyymi pornograficznymi karykaturami, ponieważ oczyma duszy widział nie te komiksowe obrazki, ale siebie w maliniaku z dziewczyną, której nawet nie znał. Wiedział, że ciężko zgrzeszył, ale przyrzekając, że nie pójdzie do spowiedzi, sam zamknął sobie drogę powrotu. Odtąd upadek jego duszy postępował nieuchronnie, jak gangrena tocząca powoli ranę, zagnieżdżająca się coraz głębiej i głębiej.

* * *

Dwudziesty drugi września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku zaczął się w Drasenhofen od pięknego wschodu słońca. Te wschody zabarwione czerwienią płonąca jak krew widywano już przed wojną. Wtedy zabobonni mawiali, że to może być oznaka nieszczęścia. Jednak mieszkańcy, w tym Weimertowie, zaczęli ten dzień bez złych przeczuć.

Nawet gdy listonosz wrzucił list z Głównego Dowództwa Sił Lądowych do skrzynki, nic nie zapowiadało dramatu, jaki miała przeżyć ta rodzina. List przeleżał do popołudnia, bo nikt nie wpadł na pomysł, by sprawdzić pocztę. Dopiero Franz wracający ze spotkania Hitlerjugend zabrał go i oddał ojcu.

Potem była już tylko żałoba. Friedrich zginął szesnastego września w czasie ataku na Warszawę, odpartego zresztą przez Polaków. Tego dnia w Sto Siedemdziesiątej Siódmej Dywizji Piechoty zginęło czterdziestu ośmiu szeregowców, osiemnastu podoficerów i sześciu oficerów, w tym generał von Fritsch. Polscy snajperzy najwyraźniej polowali na wyższe szarże. Pismo z dowództwa wyrażało szczery żal z powodu śmierci szeregowego Weimerta, ale nie przybliżało okoliczności jego śmierci. Napisano

jedynie, że zginął z bronią w ręku, walcząc za wodza Rzeszy Adolfa Hitlera. Naturalnie nie wspomniano, że tego dnia w Warszawie w wyniku niemieckiego ostrzału artyleryjskiego i nieustannego bombardowania zginęło około tysiąca cywilów. List napomynał jedynie, że z powodu niebezpiecznej sytuacji, jaka wciąż panowała na polskim froncie, zdecydowano pochować szeregowego Weimerta na nowym cmentarzu niemieckich żołnierzy niedaleko Łodzi.

Po śmierci Friedricha nic już nie miało być takie jak dawniej. Ojciec wycofał się z życia rodziny jeszcze bardziej. Wszyscy cierpieli w samotności. Tylko matka i babcia próbowały przeżyć tę stratę razem. Dla Franza nic już nic miało znaczenia. Obwinił się o tę śmierć. Pamiętał przecież doskonale, że gdy odwiedził brata w jego wiedeńskim mieszkaniu, pokłócili się. Jak na ironię, Friedrich – przeciwnik reżimu – zginął w imię tegoż reżimu. Franz chciał wrócić do rozmowy z Wiednia i powiedzieć bratu, że wyciągnął zbyt pochopne wnioski, że wypowiedział zbyt wiele krzywdzących i niesprawiedliwych słów. Teraz przeszłość zamknęła się nieodwołanie. Przeszłość, a wraz z nią życie brata, była zakończona.

Franza dręczyły z tego powodu wyrzuty sumienia. Były jak niegojąca się rana. Nie dawały spokoju ani za dnia, ani w nocy. Nad tym cierpieniem zapanowała tylko babcia. Jej ból mieszał się już z nienawiścią, bo winni śmierci Friedricha byli przede wszystkim Polacy. Odejście wnuka stało się dla niej ciosem porównywalnym jedynie do śmierci męża, który zmarł w wieku trzydziestu lat na suchoty. Teraz przynajmniej miała kogo nienawidzić. Polacy zabili jej wnuka i to oni powinni ponieść karę. Musiała znaleźć narzędzie tej pomsty. I jej wzrok już nieodwołalnie spoczął na najmłodszym wnuku. On miał się stać jej nemezis, bronią wymierzoną w Polaków, Żydów i wszystkich tych, którzy byli winni tej wojny.

Rodzina pojechała na grób Friedricha w październiku, kiedy po Polsce zostało już tylko wspomnienie. To był też pierwszy kontakt Franza ze światem innym niż niemiecki. Patrzył na Polaków z niewysłowioną pogardą. Zabili mu brata, z którym nie zdążył się

pojednać. Wściekłość, ból i nienawiść do Polaków tętniła mu w skroniach. Czuł, że po maturze musi podjąć bardzo ważną decyzję. Musi pomścić brata.

Rozdział IX

PUSTE KRZESŁO

Austria, 1940

Mimo upływających tygodni Franz nie mógł przestać myśleć o bracie. Łudził się, że gdyby brat go posłuchał i porzucił walki bokserskie, może powołanie do wojska dałoby się odwlec. Chłopak jednak nie wiedział o politycznych sympatiach brata. W rzeczywistości wiedeńskie Gestapo miało Friedricha na oku już od pewnego czasu jako podejrzanego o związki z komunistami. Za te ciągoty Friedrich miał bardzo drogo zapłacić. Front w Polsce tylko wyręczył Gestapo.

Mijały miesiące. Franz i Bastian wraz z osiągnięciem pełnoletności zakończyli działalność w Hitlerjugend. Musieli zdać maturę. W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego roku w Wiedniu obaj złożyli egzaminy i formalnie przekroczyli próg dorosłości. Był to dla Franza bardzo radosny miesiąc. Razem z Bastianem urządzali polowania na dziewczyny. Smakowało im takie życie.

W tym samym czasie Niemcy uderzyli na Francję i w niecały miesiąc rzucili ją na kolana. Władza Niemiec sięgała po Atlantyk. Ale rodzina Weimertów opłaciła ten sukces kolejną ofiarą. Lorenz Weimert, lekarz przydzielony do austriackiej dywizji walczącej teraz na froncie francuskim, podczas przypadkowego ostrzału szpitala polowego z niemieckich dział stracił prawą nogę. Z lekarza, dumy rodziny, człowieka niosącego pomoc niemieckim żołnierzom, sam stał się potrzebującym opieki inwalidą. Trafił więc do domu, do jedyne go miejsca, gdzie znajdowali się ludzie gotowi mu pomóc. Ale Lorenz bardzo się zmienił. Nie pozwalał się dotykać. Matka musiała codziennie wysłuchiwać potoku obelg z jego strony. Coraz częściej mówił o samobójstwie i najbliżsi musieli go pilnować nawet

w nocy. Obserwowali bezradni, jak Lorenz stawał się wrakiem człowieka. Szczególnie prześladował Franza. Zarzucał rodzicom, że kochali tylko najmłodszego syna.

– To przez was i przez tego smarkacza Friedrich nie żyje!

Kłócił się o wszystko. Jego rekonwalescencja stała się dla rodziny bardzo trudnym okresem. Stosunki między braćmi popsuły się do tego stopnia, że wymieniali tylko zdawkowe uwagi. Tymczasem wszystkie doświadczenia ostatniego roku stały się także powodem awantur między rodzicami. Wychodziły wszystkie skrywane żale, urazy, pretensje, wzajemne oskarżenia lub posądzenia o zdrady. Rodzina zaczynała się rozpadać jak nadgryziony przez mysz chleb, zaatakowany następnie przez pleśń.

Franz pragnął być w domu jak najrzadziej. Cierpiał, ponieważ nie potrafił pomóc bratu. Poza tym nie mógł patrzeć na dumnego lekarza, dla którego wojna się już skończyła i który z każdym dniem staczał się na dno. Największy zawód sprawiali mu rodzice, którzy awanturując się codziennie, zupełnie nie zauważali jego bólu. Cierpienie w samotności jest drogą prowadzącą ku rozpacz i pustce. Franz zaczął wstępować na tę ścieżkę, nie wiedząc, dokąd ona go zaprowadzi.

* * *

Zima z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego na czterdziesty była wyjątkowo sroga, ale dla Mileny i rodziców ciężka podwójnie. Aby nie wykorzystywać złotych monet, które na najczarniejszą godzinę zachował ojciec, Milena stwierdziła, że matka powinna znaleźć dodatkową pracę, która pozwoliłaby rodzinie spokojniej funkcjonować. Pani Zinger na samą myśl zalewała się łzami, powtarzając, że jeden etat w domu to dla niej i tak nadto obowiązków. Dzięki kontaktom w klubie Milena szybko znalazła matce pracę w fabryce słodyczy. Matka uznała to za upokorzenie ze strony córki, która prowadziła własne niezależne życie i w niczym jej nie słuchała. Jednak sytuacja rodziny wymagała, by kobiety poszły do pracy. Mecenas bardzo podupadł na zdrowiu i większość pieniędzy zarabianych przez zaradną córkę szła teraz na lekarstwa.

Mieszkanie Zingerów było nieogrzane. Wczesne śniegi, jakie spadły w połowie listopada, uniemożliwiały ojcu wyjście z domu. Milena zrobiła więc wszystko, co w jej mocy, by kupić opał. Przeżywająca trudności aprowizacyjne marionetkowa republika słowacka była całkowicie uzależniona od Niemców, a dostawy węgla ze Śląska nie przybywały do Bratysławy w terminie. Niemcy chcieli najpierw sowitej opłaty.

I znów znajomości z klubu okazały się przydatne. Jeden z bywalców lokalu był dość zamożnym przemysłowcem. Pomógł załatwić Milenie drewno na opał.

Tymczasem w domu zrobiło się bardzo przytulnie. Drewno, które Milena kupiła po korzystnej cenie, wystarczało do ogrzania połowy mieszkania. Rodzina musiała jednak pilnować opału, aby nikt go nie skradł. Amatorów na ciepło było bardzo wielu. Mecenas miał jednak coraz poważniejsze problemy ze zdrowiem. Straszliwie kaszłał.

W końcu doktor Slavan Pressburger, przyjaciel ojca, postawił jednoznaczny i złowrogą diagnozę: to gruźlica. Wiadomość stanowiła potężny cios dla obu kobiet. Matce dała powód do jeszcze większych łez, ale Milena wiedziała, że mecenas nie podda się tak szybko. Przede wszystkim ojciec musiał znaleźć się w szpitalu. Musiał trafić na oddział gruźliczy, żeby przynajmniej przestał prątkować. Doktor Pressburger miał kontakty wśród lekarzy i ulokowanie mecenasa w szpitalu nie przysporzyło mu większego problemu. Chorym zajęto się troskliwie.

Matka powiadomiła listownie starszą córkę Różę, mieszkającą w Budapeszcie, że ojciec zachorował. Biadała, jak ciężkie jest jej położenie i że musi opiekować się ojcem. Mecenas pragnął wrócić do domu na święto Chanuka, które wyznawcy religii mojżeszowej obchodzili w grudniu, jednak Pressburger się na to nie zgodził i Zinger, jako tako podleczoney, wyszedł ze szpitala dopiero pod koniec stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

Milena pragnęła spędzać z ojcem każdą wolną chwilę, gdyż po jego powrocie ze szpitala nie zauważyła w oczach mecenasa dawnego żaru, charakterystycznej dla niego siły, która

utrzymywała go na powierzchni zdarzeń przez tyle lat. Ojciec gasł i córka podświadomie wiedziała, że go traci. Podupadł przede wszystkim psychicznie. Dopiero teraz dziewczyna zdała sobie sprawę, jak ważna dla ojca była praca. Stanowiła o jego samopoczuciu. Mecenas wierzył w prawo i teraz pod rządami księdza Tiso obserwował, jak to prawo zamieniało się w miecz mający uprzykrzyć życie jego rodakom. Obecnie, podejrzewając, że jest śmiertelnie chory (żona i córka nie poinformowały go o jego stanie), nie chciał już walczyć. Nie chciał patrzeć, jak świat, w którym żył, przeistacza się w nicość.

Mecenas po powrocie bardzo narzekał na zamknięcie. Domagał się codziennych spacerów. Jednak Zingerowa, pod częstą nieobecność Mileny, próbowała wziąć męża w karby.

Przy okazji ciągle powtarzała, żeby zrobić użytek z oszczędności w złotych monetach.

– Dalmacja. Tamtejszy klimat bardzo by ci pomógł – przekonywała matka.

– A ja uważam, że dobrze by mi zrobił długi spacer – odpowiadał ojciec.

Matka wolała trzymać ojca pod kluczem i nie chciała pozwolić na to, by „się przeziębził”. To nasilało napięcia. Któregoś marcowego dnia, kiedy matka była w fabryce, a Milena postanowiła odstać swoje po chleb, ziemniaki i margarynę, ojciec skorzystał z nadarzającej się okazji i wyszedł z domu. Tego dnia nic nie jadł i bardzo źle się czuł. Mimo to pragnął poczuć pierwszy powiew wiosny po śnieżnej zimie. Mecenas ubrał się zbyt lekko, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy ze swego stanu. A może zrobił to celowo. Tego już nikt się nie dowiedział.

Milena, po niespodziewanie szybkich zakupach, wracała do domu. Znalazła ojca w bramie kamienicy, w której mieszkali. Żył jeszcze i pluł krwią. Z pomocą sąsiadki Żydówki przeniosła umierającego do domu. Mecenas Zinger żył jeszcze trzy tygodnie. Odszedł w święto Paschy tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

* * *

Mijały miesiące. Pustka w domu po śmierci ojca z każdym

dniem stawała się coraz bardziej dojmująca. Milena najbardziej nienawidziła pustego krzesła, na którym ojciec lubił przesiadywać z książką lub gazetą. Wszystkie przedmioty przypominały jej ojca. Depresyjne nastroje matki, jej ciągłe utyskiwania i niezadowolenie sprawiły, że dziewczyna traciła ochotę na spędzanie czasu w domu. Niekiedy odnosiła wrażenie, że to klub stał się dla niej domem, a praca dawała drugi oddech.

Milena robiła w karierze wokalne postępy zdumiewające nawet Lunę. Jednak sukcesy córki w klubie bardzo drażniły matkę. Miała pretensje o to, że Milena tańczy i śpiewa, zamiast wyjść za mąż za porządnego, pobożnego żydowskiego chłopaka i urodzić mu gromadkę dzieci. Milena uznawała pretensje matki za przejaw niewdzięczności. Kiedy ojciec żył, córka powstrzymywała się przez wzgląd na niego, jednak po śmierci mecenasa już się nie hamowała.

– Zamiast suszyć mi głowę, sama zarób na życie! – odpowiedziała matce, gdy robiła jej rano wymówki, że tak późno wraca z klubu i że nie wiadomo, co tam robi.

– A więc o to chodzi?! – zawrzała matka. – Jeszcze trochę i zaczniesz mi wypominać, że jem za dużo chleba!

I matka swoim zwyczajem wpadła w histerię, wyzywając córkę od niewdzięcznic, niemoralnych dziewczuch, które po nocach włóczą się po podejrzanych klubach. Ledwo matka się trochę uspokoiła, natychmiast znów przechodziła do ataku:

– Jesteś zła i niemoralna! Nie widzisz tego? – krzyczała. – Żadna szanująca się Żydówka nie śpiewałaby w nocnym klubie!

– Skoro tak, to dlaczego katoliczki, które też nie powinny śpiewać i tańczyć w takim niemoralnym klubie, robią to wbrew swoim dewotom?!

– Bo są tak samo złe i niemoralne jak ty! – zasyczała matka.

Wówczas Milenę ogarnął spokój. Pojęła, że matka, wszczynając awanturę, rozpaczliwie chciała zwrócić uwagę na własne potrzeby emocjonalne. Dopominała się uwagi, jak gdyby była najważniejszą osobą na świecie.

– Nie, mamo, nie będę żyła twoim życiem – odpowiedziała Milena. – Ja po prostu chcę żyć po swojemu i robię to, co lubię.

Znajdź jedną porządną i moralną Żydówkę w naszym położeniu, zapytaj ją, czy jada codziennie i czy ma pieniądze na utrzymanie.

To był najważniejszy argument Mileny. Jej nie brakowało na jedzenie i nie chodziła głodna, w przeciwieństwie choćby do rodziny rabina Majzelsa, którą utrzymywali inni. Tamtego dnia coś jednak się skończyło. Między dwiema tak bliskimi sobie kobietami wyrósł mur. Od tej awantury właściwie ze sobą nie rozmawiały. Milena zaciskała zęby i pracowała tyle, ile mogła, wracając do domu jedynie na noc. W tym czasie matka spała. Dwie kobiety mijały się w tym samym mieszkaniu. W taki sposób upływały wspólne, ale samotne już miesiące.

We wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Milena, wróciwszy rano z klubu, nie zauważyła nawet, że matki nie było w mieszkaniu. Dopiero potem spostrzegła na stole kopertę. Otworzyła ją. Matka napisała w liście, że uzyskała dla siebie węgierską wizę i wyjechała do drugiej, ukochanej córki Róży, mieszkającej od roku w Budapeszcie. W trosce o dzieci Róży zabrała wszystkie złote monety, jakie pozostawił jej ojciec. Stwierdziła też wprost, że Milena, prowadząca tak niemoralne życie, nie zasługuje na spadek. Ona go zabiera i podaruje go drugiej, „lepszey” córce. Matka dodała, żeby Milena na nią nie czekała, gdyż nie ma zamiaru wracać na Słowację. Dość najadła się wstydu, gdy sąsiedzi wytykali jej, kogo wychowała. Takie było pożegnanie matki.

* * *

Pewnego dnia Bastian oświadczył swoim kolegom z Drasenhofen, że zamierza poświęcić wszystko dla Niemiec i zamiast na uniwersytet, wstąpi do partii oraz zgłosi się do SS. Każdy ideowy Niemiec powinien tak zrobić. Chłopak miał spore szanse. Był blondynem i na pewno spełniał dość surowe wymogi rasowe. Wyznanie Bastiana zrobiło na młodych ludziach duże wrażenie.

Franz słuchał i wiedział, że nie ma tyle odwagi. Czuł się bardzo skrzywdzony przez los. Jego najukochańszy brat zginął, a drugi, chluba rodziny, żył z zasiłku i jako kaleka nie miał żadnych szans

powrotu na front. Wmawiał sobie, że musi pomścić brata, ale naprawdę za wszelką cenę pragnął zmazać poczucie winy wobec Friedricha.

Jeszcze rok temu poszedłby do spowiedzi i zanurzył się w miłosierdziu Boga, w którego przecież ciągle wierzył. Ale teraz już nie potrafił. Najprawdopodobniej ksiądz zdradził tajemnicę spowiedzi, uczynił rysę w duszy chłopaka. Rysa ta powiększała się z każdym dniem i stawała się piekącą raną, która w końcu zaczęła ropieć. Przestał się modlić. Natomiast gangrena, która wdarła się do jego serca wraz z mundurem Hitlerjugend, obejmowała już rozum, wolną wolę, wrażliwość, współczucie i ludzką życzliwość. Działanie nazistowskiego jadu było uśpione, podskórne, niemal niezauważalne. Franz nawet nie wiedział, kiedy zaprzedał się Hitlerowi. Właśnie wtedy, gdy Bastian oznajmił, że chce wstąpić do SS, rysa na duszy Franza stawała się otchłanią, ziejącą pustką, pełzającą ciemnością.

Najpierw postanowił powiadomić o swoim wyborze rodziców, którzy oczekiwali, że po maturze wybierze wydział medycyny uniwersytetu wiedeńskiego i będzie kontynuował przerwana karierę brata. Ale Franz nie miał najmniejszego zamiaru leczyć ludzi. Kiedy wyjawiał swój zamiar, nawet babcia zamarła.

– Razem z Bastianem mam zamiar wstąpić do SS.

Nikt nie powiedział ani jednego słowa.

* * *

Tymczasem Milena czuła się upokorzona i oszukana przez matkę, która zawiodła ją na całej linii – jako rodzic, jako najbliższa osoba, jako przyjaciel. Jej potajemna ucieczka bardzo bolała. Ale po dwóch tygodniach dziewczyna odkryła, że matki prawie już jej nie brakuje. Poczowała się wreszcie wolna. Postanowiła też zmienić mieszkanie, gdyż nie było jej stać na czynsz za tak duży i niepraktyczny lokal. Pomógł jej mąż Luny, Mikulas Morgenstern, który znalazł chętnych na mieszkanie Zingerów. Milena opuściła je, a sama, ku radości Luny, zamieszkała w klubie, gdzie na zapleczu znajdowały się wolne pokoje.

Żyła marzeniami. Podsycala je Luna, wmawiając dziewczynie,

że powinna pojechać do Paryża, bo tylko tam zrobi prawdziwą karierę. Słowacja to miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc. Jej mąż odwiedził Paryż we wrześniu i potwierdził, że życie artystyczne w stolicy okupowanej Francji kwitło.

Luna miała na Milenę coraz większy wpływ, coraz bardziej fascynowała dziewczynę jej niezwykła osobowość. Lunę otaczała ulotna chmura erotyzmu. Ta delikatna jak mgła lesbijska aura nie wydawała się Milenie czymś odpychającym. Dziewczyna nigdy nie pozwoliłaby sobie na coś takiego. Czuła się jednak bardzo samotna i odczytywała zainteresowanie Luny jako dowód przyjaźni, współczucia, może szczerzej chęci udzielenia jej pomocy. Poza tym bardzo ufała tej kobiecie, gdyż uważała, że nie może zaufać nikomu innemu. Luna stanowiła dla młodej artystki wzór kobiecej niezależności. Milena była jej wdzięczna za to, że nauczyła ją, jak być atrakcyjną kobietą.

– Skoro mężczyźni nas tłamszą i nie pozwalają rozwijać talentów, to my pomiatajmy mężczyznami – mawiała Luna.

Jednak wychowanie podpowiadało Milenie, że powinna wyjść w końcu za mąż. Gdy o tym rozmawiały, Luna patrzyła na nią z politowaniem:

– Głupiutka dziewczyno, nikt przecież w klubie nie zakazuje ci wyjść za mąż, jeśli koniecznie będziesz tego chciała. Ja jednak nauczę cię wszystkiego po to, abyś to ty mogła wybrać sobie takiego mężczyznę, jakiego chcesz, a nie żeby mężczyźni wybierali za ciebie.

Rozdział X

LEKCJA ANATOMII

Słowacja, lato 1940

Matka regularnie przysyłała z Węgier listy. Przychodziły zawsze na wpół otwarte, aby nie było wątpliwości, że czytała je cenzura. Książd Tiso wolał wiedzieć, co myślą obywatele, którzy nie są katolikami. Poza tym listy miały stempel węgierskiej poczty, a Słowacja i Węgry za sobą nie przepadały. Po upadku Czechosłowacji Węgry zajęły część Rusi Zakarpackiej należącej uprzednio do państwa czechosłowackiego. Tymczasem rząd księdza Tiso widział w tym zabór części Słowacji przez starego wroga. Tylko potęga Niemiec zmuszała oba kraje do cichej koegzystencji.

Początkowo matka wciąż wylewała żale, ale pod koniec lata zmienił się ton tych listów. Pani Zinger stwierdziła, że na Węgrzech wcale nie jest tak łatwo żyć i że rodzina Róży bardzo potrzebowała finansowej pomocy, gdyż siostrze Mileny i jej mężowi się nie ułożyło. Węgierscy nacjonaści robili wszystko, żeby uprzykrzyć życie Żydom i Romom. Matka musiała podjąć pracę fizyczną w jednej z budapeszteńskich fabryk, chociaż liczyła, że wywiezione oszczędności sprawią, iż nie będzie musiała tak pracować jak w Bratysławie. Pieniądze szybko się skończyły. Milena wciąż nie mogła się nadziwić pomysłowości matki, która zdołała przemycić je przez granicę. Również nadal nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że własna matka traktowała ją tak, jakby była obcą osobą. Poza tym mecenasowa pisała, że Budapeszt żyje tak, jakby wojny nie było. Milenie nie brakowało już matki. Odpowiedziała, że nie zarabia w klubie dużo i nie może im pomóc. Miała świadomość, że zrani miłość własną matki, ale podejrzewała, że sytuacja na Węgrzech jest znośna, a prośba o pomoc finansową wynika przede

wszystkim z niechęci matki do pracy w fabryce.

Poza tym Milenę bez reszty pochłaniał klub; oddawała się z pasją ćwiczeniom choreograficznym i uczyła tekstów nowych piosenek, które Luna chciała zaprezentować publiczności. Koleżanki z pracy nie mogły nie zauważyć afektu Luni dla młodej śpiewaczki, ale nie widziały w tym problemu. Luna była tak barwną osobowością, tak bogatą i twórczą, a przy tym sympatyczną, że złożoność jej miłosnego świata była tylko nieznaczącym dodatkiem do jej portretu.

Pewnej nocy w październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy od dobrych kilku miesięcy szalała już wojna na froncie wschodnim, do garderoby Mileny weszła Luna. Zaproponowała, żeby razem spróbowały uciec na Węgry.

– Uciec? – zapytała zaskoczona Milena. – Mnie jest tutaj dobrze. Po co miałybyśmy tam uciekać?

– Znam wielu ludzi, którzy mogliby nam pomóc. W Budapeszcie to dopiero jest życie. Nie to, co tutaj, w tej dziurze. Tam jest więcej możliwości.

– Nie kłam. Chodzi o coś innego. Chcę wiedzieć wszystko – powiedziała dziewczyna.

Luna była zakłopotana, ale postanowiła wyznać prawdę. Dobry czas na Słowacji się kończył.

– Muszę ci opowiedzieć, czego dziś dowiedział się mój mąż – mówiła z przejęciem Luna. – Sama zdecydujesz, co z tym zrobić. Uważam, że nie powinnaś pozostawać w Bratysławie.

* * *

Mikulas Morgenstern, mąż Luni i współwłaściciel klubu, od lata tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku pracował w kancelarii słowackiego rządu. Dobrze mu tam było. Polubił nawet księdza prezydenta Tiso, bo jakże nie lubić takiego miłego, jowialnego człowieka. Prezydent uśmiechał się czasami jak poczciwy wiejski proboszcz, jednak ta sympatyczna powierzchowność kryła bezwzględного autokratę, podporządkowanego Niemcom, który bez wahania niszczył wszystkich, którzy mogli zagrozić jego władzy.

Pewnego dnia ksiądz prezydent zapytał któregoś ze współpracowników, czy pan Morgenstern jest dobrym katolikiem. Oczywiście, że bardzo dobrym, odpowiedzieli pracownicy kancelarii, miał nawet korzenie niemieckie. Jednak jego żona, niemoralna śpiewaczka i właścicielka klubu nocnego, była Żydówką w drugim pokoleniu. Z tego powodu Morgensterna przesunięto do mniej znaczących zadań administracyjnych. Ambitny człowiek czuł, że jest marginalizowany. Chciał wiedzieć dlaczego. Zapytał o to przywódcę Gwardii Hlinkowej i zarazem ministra, Wojtecha Tichego.

– Ależ skąd takie domysły, panie Morgenstern! – odparł minister. – Pan jesteś dobry człowiek i Niemiec, co dziś jest ważne. Problem mamy tylko z pańską żoną.

– A co ona ma do tego, na miły Bóg? Zapewniam, że klub...

– Klub nie szkodzi. To nie ma znaczenia. Tylko jej pochodzenie.

Teraz zrozumiał. Luna miała żydowskie korzenie. Była jednak ochrzczona, chodziła z nim do kościoła – wprawdzie nie co tydzień, ale w najważniejsze święta była zawsze obecna. Morgenstern powiedział bez ogródek, że nie rozumie, jakie znaczenie ma rodowód jego żony, skoro jest chrześcijanką. Tichy odpowiedział rozbijając szczerze:

– Niemcy nas naciskają.

– Naciskają? Na co? – pytał zdumiony Morgenstern.

– Chcą, żebyśmy przemyśleli sprawę żydowską. Nie wiem, jak to się skończy, ani jak ksiądz prezydent zamierza to rozwiązać. A rozwiązać to musimy, jeśli nie chcemy, żeby Niemcy rozwiązali to za nas. To byłaby katastrofa, rozumie pan? Nie chcemy, żeby Niemcy wkroczyli na Słowację.

– Nie, nie chcemy – potwierdził Morgenstern, myśląc o swojej żonie.

* * *

Aby wstąpić do SS, Bastian i Franz musieli przejść przez szczegółowe badania rasowe, które odbywały się w Instytucie Dziedziczności, Biologii i Czystości Rasowej Trzeciej Rzeszy na Uniwersytecie Frankfurckim. Chłopcy pojechali tam koleją. Zjedli

obiad w kantine uniwersyteckiej, potem przyjął ich młody lekarz SS i zarazem pracownik naukowy uczelni. Bastian wszedł do gabinetu pierwszy. Obaj chłopcy byli bardzo zdenerwowani, ponieważ określenie ich typu rasowego miało fundamentalne znaczenie. Mężczyźni, u których badanie stwierdziłoby występowanie cech niearyjskich, nie mieli szans na przyjęcie do SS, nawet gdyby udowodnili swoje niemieckie pochodzenie od początku dziewiętnastego wieku. Gdy Bastian wyszedł z wyrazem triumfu na twarzy, na spotkanie z lekarzem SS poszedł Franz.

– Nazwisko i data urodzenia? – zapytał lekarz.

– Franz Jacob Weimert, urodzony dwudziestego drugiego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku w Drasenhofen.

Lekarz zapisał w formularzu nazwisko i imię chłopaka i raz jeszcze spojrzął na dostarczone przez niego dokumenty: własnoręcznie napisane podanie, życiorys, metrykę wypisaną suchą i rzeczową łaciną. Ten ostatni akt potwierdzał, że Franz ma niemieckie pochodzenie do czwartego pokolenia wstecz. W roku tysiąc osiemset pierwszym wędliniarz o takim nazwisku otworzył masarnię w Drasenhofen, co skwapliwie odnotowała kancelaria parafialna, ponieważ przodek Franza przeznaczył na kościół dwadzieścia cesarskich guldenów.

Następnie Franz musiał wykonać serię ćwiczeń gimnastycznych: skok przez kozioł, wspinaczka po linie, ćwiczenia wytrzymałościowe. Esesman miał być nadczłowiekiem o wyjątkowych predyspozycjach ciała i ducha, czystym owocem eugenicznej myśli dzielącej ludzi na doskonałych i zarazem godnych życia i na tych, którzy nie byli tego życia warci. Te zasady stały w sprzeczności z dotychczasowym moralnym światem chłopaka.

Jednak Franz pragnął w nie uwierzyć. Wiedział, że jeśli zostanie przyjęty do SS, dostanie skórzany pas, na którego sprzączce wygrawerowane będą słowa: „Moim honorem jest wierność”. To było wyznanie nowej wiary, którą chłopak chciał zastąpić tą dawną, którą porzucił. Zarazem to nowe wyznanie wiary stawało się oznaką porządku świata, do którego pragnął

wejść. Chciał też uspokoić własne sumienie, poczuć się lepiej i przysporzyć choć odrobinę dumy rodzinie. Jeśli oczy są zwierciadłem duszy, to ktoś, kto widział Franza po raz pierwszy, byłby gotów przysiąc, że chłopak ma tak dobrze poukładane w głowie, jak niewielu jego rówieśników, i że na pewno wyjdzie na ludzi.

Tak popatrzył na Franza lekarz SS podczas badania. Po wykazaniu się przez chłopaka sprawnością fizyczną lekarz określił jego typ rasy. Franz musiał stanąć przed lekarzem na baczność w slipach. Esesman w białym fartuchu zmierzył suwmiarką rozstaw szczęk chłopaka, a następnie za pomocą innego przyrządu, przypominającego kątomierz, sprawdził kąt nachylenia czoła do twarzy. Wszystkie dane skrupulatnie wpisywał w rubryki arkusza. Sprawdził także dokładnie, czy płaty skroniowe czaszki odpowiadają cechom rasy aryjskiej. Chodziło o to, aby nie były nadmiernie wypukłe – takie czoła mieli ludzie podejrzani rasowo, na przykład Słowianie oraz Romowie. Lekarz musiał się zatem upewnić, że Franz wykazuje właściwe zewnętrzne cechy rasowe i że budowa jego ciała nie nasuwa podejrzeń, że nie jest tym, za kogo pragnie uchodzić.

Franz był bardzo zaaferowany procedurą. Uważnie przyglądał się lekarzowi. Nosił on nieskazitelnie biały fartuch, spod którego wystawał mundur w kolorze *feldgrau*. Na kołnierzu munduru widniały wyszyte dwie srebrne runy. Chłopak pomyślał nawet, że gdyby chodził w takim mundurze, wszystkie dziewczyny natychmiast uznałyby go za interesującego.

Tymczasem lekcja anatomii rasowej trwała dalej. Lekarz uprzejmie poprosił chłopaka, by ściągnął spodenki. Wprawny w poszukiwaniu rasowych defektów, chciał ocenić, czy Franz jest zdolny do płodzenia czystych rasowo niemieckich dzieci. Gdy upewnił się, że z budową chłopaka wszystko w porządku, wówczas zajął się włosami i oczami. Rasistowska pseudonauka stwierdzała wyraźnie, że włosy i oczy najpełniej zdradzały nieczystość lub niedoskonałość rasową. Lekarz chwycił tablicę z modelami gałek ocznych we wszystkich kolorach naturalnie występujących

w przyrodzie. Spojrzał Franzowi w oczy. Błyskawicznie odnalazł odpowiednik na tablicy.

– To te! – Wskazał palcem oko w trzecim rzędzie wzornika, wśród oczu, jakie mogli mieć czyści rasowo Niemcy.

Zanotował w odpowiedniej rubryce, że oczy Franza mieszczą się w typie 3D i że są brązowomiodowe. Lekarz uprzejmie wyjaśnił, że oczy o takim zabarwieniu występują w środkowych Niemczech, a także w Bawarii i Austrii.

Teraz lekarz zajął się włosami. Z pomocą przyszła mu tabliczka z kosmykami włosów, od złotego blondu po antracytową czerń. Esesman spojrział na włosy Franza i ze znanstwem szybko odnalazł odpowiednik na tablicy.

– To te! Jasny szatyn, typ 2E.

Znów zanotował skrzętnie wynik. Franz mógł się już ubrać. Następnie lekarz najzupełniej poważnie zaczął pisać uzasadnienie swojej decyzji. Gdy zapisał prawie półtorej strony, powiedział zdenerwowanemu chłopakowi:

– Jesteś typem południowonordyckim, typ 2C.

– Czy to źle? – zapytał zbaraniały Franz.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział z uśmiechem esesman. – Ja nie widzę rasowych przeciwwskazań dla twojej kariery w SS. Twoja krew najprawdopodobniej musiała wymieszać się w zamierzchłej przeszłości z węgierską albo z romańską. Twój ród musiał mieć wśród przodków Rzymian zamieszkujących wówczas ziemie Dolnej Austrii. Ta prowincja nazywała się wtedy Noricum.

Franz nagle sobie przypomniał.

– Prapradziadek był Niemcem z Siedmiogrodu.

– Widzisz, że miałem rację! – powiedział z triumfem lekarz. – Zatem twoi przodkowie musieli mieć korzenie wśród romańskiej ludności Rumunii. Jak wiesz, tereny te w zamierzchłej przeszłości zamieszkiwali Rzymianie. Zatem wszystko w porządku; jesteś czystym rasowo Niemcem, który w swoich żyłach ma odrobinę szlachtetnej krwi Rzymian.

Lekarz SS następnie westchnął, że czysty typ nordycki to zaledwie dziesięć procent Niemców. Franz miał wrażenie, że młody

uczony naprawdę wierzył w potęgę eugeniki. Według niego klasyczny typ nordycki, wysoki blondyn z niebieskimi oczyma, miał sześć podkategorii, a ideał, typ 1A, był bardzo rzadki. Esesman tłumaczył chłopakowi, że chodzi o idealne proporcje ciała. Z tego też powodu większość nordyckich Niemców to typ 1B. Wywód doktora był dość skomplikowany, ale Franz cieszył się, że niemiecka nauka potrafiła opracować kryteria czystości rasowej, o której tak często mówił Führer.

– Cieszę się, że sprostałem wymaganiom rasy – powiedział Franz, choć wydawało mu się, że cokolwiek powie, zabrzmi idiotycznie.

– Ja też – odparł lekarz. – Potrzebujemy takich młodych i ideowych Niemców jak ty. Życzę powodzenia na szkoleniach.

– Dziękuję panu, *Herr Doktor* – odpowiedział chłopak. Wtedy lekarz wstał, podszedł do niego i uściśnął mu rękę.

Był bardzo bezpośredni. Zaimponowało to chłopakowi. Pomyślał, że ten lekarz jest nie tylko świetnym naukowcem, lecz także sympatycznym człowiekiem.

– Nazywam się Mengele – przedstawił się. – *Unterscharführer* Josef Mengele. Zostałem niedawno przyjęty do SS, więc wiem, co czujesz. Może kiedyś się spotkamy w służbie dla Niemiec.

– Może – odpowiedział Franz.

Pożegnał się i podziękował. Wychodząc, czuł, że kręci mu się w głowie od tej całej nauki. Stwierdził, że lekcję anatomii doktora Mengele zapamięta na długo.

* * *

Oczekujący na niego Bastian od razu pochwalił się, że jest typem bliskim ideałowi, kategoria 1B. Franz przyznał, że i w tym przyjaciel okazał się lepszy.

– Powiedz, długo oglądał ci jaja? – zapytał Bastian, parszcząc śmiechem.

Franzowi nie było jednak do śmiechu. Traktował wstąpienie do SS śmiertelnie poważnie. Przyznał, że odczuwa podświadome podniecenie na widok munduru z dwiema runami. Liczył, że dzięki temu mundurowi pomści śmierć Friedricha i zmyje z rodziny hańbę

Lorenza. Starszy brat z każdym miesiącem stawał się coraz większym ciężarem. Nie pracował i nie potrafił się pogodzić ze swoim kalectwem.

Przez następne sześć miesięcy chłopcy stacjonowali w Wiedniu, ucząc się na kursach organizowanych przez tamtejsze SS. W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku trafili do pierwszej poważnej placówki, zamku Sonnenstein w Saksonii. Do rodziców Franz przyjechał tylko na kilka dni, żeby się spakować. Jedynie babcia była dumna ze swojego wnuczka. Rodzice milczeli, ale chłopak uznał to za zgodę na wszystko, czego się podjął i na wszystko, co miał przynieść mu los.

Rozdział XI

NAJWIĘKSZY WRÓG

Milena zauważyła, że jeden ze stałych bywalców klubu Luny, pan Hovanec, bardzo się nią interesuje. To dzięki niemu kupiła drewno na opał, była mu wdzięczna, ale czuła, że nie powinna z nim zacieśniać stosunków. Luna stwierdziła, że ten człowiek ma ochotę na jednorazową przygodę. Gdyby Milena mu uległa, potraktowałby ją jak smakosz cytrynę: wycisnąłby sok do ostatniej kropli, a niepotrzebną skórkę wyrzucił.

Gdy dziewczyna bezpośrednio, ale bardzo grzecznie odmówiła spędzenia wieczoru w jego towarzystwie, uznała, że będzie miała spokój. Okazało się, że to błędne założenie. Hovanec należał do mężczyzn, którzy nigdy nie odpuszczali. Wiecznie nienasycony, nie rezygnował łatwo z miłosnych podbojów. Był pewny, że w końcu dopnie swego, nawet gdyby musiał wyłożyć okrągłą sumkę. Dziewczyna nie miała ochoty odwdzięczać mu się za pomoc w zakupie opału. Lekceważyła go i to doprowadzało go do szału.

Hovanec wchodził właśnie w pięćdziesiąty piąty rok życia, a odmowa Mileny tylko go nakręcała. Od tej pory bywał na każdym przedstawieniu, gdy tylko przebywał w Bratysławie. Zawsze wysyłał dziewczynie kwiaty, a także liściki z zapewnieniami o gorącym uczuciu. W końcu zapragnął podarować wybrance piosenkę. Sam nie miał słuchu, ale za to miał pieniądze. Opłacił więc muzyka, który ją skomponował, i ulicznego barda, który ją wyśpiewał pod oknem garderoby Mileny.

Wysłuchawszy piosenki, Milena zachowała zimną krew i zapytała adoratora, czy ta piosenka podoba się jego żonie. Hovanec był bowiem żonaty i miał troje dzieci. Nie przeszkadzało mu to w rozlicznych przygodach miłosnych, podczas gdy pani Hovanec z dziećmi siedziała w domu. Hovanec nie mógł puścić zniewagi płazem, zawsze dostawał każdą kobietę, której pragnął. Porażki rozdrażniały go, więc się przyczaił i czekał na okazję.

Któregoś wieczoru zakradł się do garderoby. Ukrył się za

parawanem. Gdy Milena przyszła odświeżyć się po występie, natychmiast zaatakował. Pchnął dziewczynę na środek pokoju i próbował zgwałcić na kanapie. Milena krzyczała przeraźliwie, co zaalarmowało wszystkich w klubie. Nadbiegły koleżanki, a także woźny i napastnik został wyrzucony z klubu.

– A to świnia – powiedziała Luna. – Powinam była to przewidzieć. Musisz być na to przygotowana. Mężczyźni po prostu tacy są.

Milena przyjęła to ze spokojem, choć jednocześnie miała ochotę płakać ze wściekłości. Po raz pierwszy w życiu doświadczyła czegoś takiego i miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała przez to przechodzić.

Saksonia, 1940

Franz popatrzył na mury zamczyska. Obrastały je mech i dzikie wino. Miał wrażenie, że winorośl, uosabiająca siłę nieokiełznanego życia, próbuje się wdrzeć do wnętrza, rozgryźć mury i przeniknąć do korytarzy, komnat i lochów pamiętających jeszcze Marcina Lutra. Zamek Sonnenstein znajdował się w bezpośrednim władaniu SS. Nikt nie wiedział, co działo się w lochach, poza kilkoma wtajemniczonymi esesmanami i zatrudnionym tam personelem medycznym.

On i Bastian czuli się dobrze w Saksonii. Byli wartownikami, choć nie tego się spodziewali. Przeszedłszy kilkumiesięczne szkolenie, spodziewali się przydziału do jakichś ważnych dla Niemiec akcji. Jednak pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Niemcy nie prowadzili żadnej kampanii wojennej. Ich władza rozciągała się od powalonej w maju tego roku Francji po ziemię polskie okupowane już od września roku trzydziestego dziewiątego.

Szkolenie w ośrodkach SS oznaczało mordercze treningi, mające znieczulić na fizyczny ból i zmęczenie. Jego głównym celem było stworzenie nowego człowieka w pełnym znaczeniu tego słowa. Młodym Niemcom wmawiano, że ich walka jest dużo trudniejsza niż ta na froncie. Toczyła się z ukrywającym się wszędzie wrogiem i z tego powodu wymagała bezwzględności i posłuszeństwa oraz

wierności graniczącej z fanatycznym uwielbieniem. Nie ten najlepiej służy, kto rozumie, mawiano. Nie należało stawiać żadnych pytań. Należało tylko wykonać rozkaz.

Franz i Bastian słyszeli także od innych esesmanów interesujące wywody etyczne. Według nich sumienie, podstawowa część duszy zdolna rozpoznawać dobro i zło, odtąd miało służyć spersonalizowanemu moralnemu osądowi narodu niemieckiego. Ale jak naród, osiemdziesięciomilionowy twór, miał mieć jeden osąd etyczny, tego nikt nie tłumaczył. Ten kolektywny mechanizm etyczny, jakiemu odtąd miała podlegać dusza Franza, był w gruncie rzeczy bardzo wygodny, bo zdejmował z jednostki osobistą odpowiedzialność za popełniane czyny i przenosił ją na bliżej nieokreślone pojęcie narodu. Franz uznał, że nie potrzebuje żadnych innych wyjaśnień. Nie dostrzegał i nie pojmował mechanizmu dialektycznego myślenia, które miało pozbawić go władzy nad własną duszą. Robił więc to, co mu kazano, ale nie dlatego, że odczuwał, że ktoś mu coś nakazuje, lecz dlatego, że sam tego chciał.

Skoro adepci SS uważali, że sumienie było niepotrzebne, to niepotrzebne było też współczucie. To kolejny żydowski wymysł i tego uczono ich już w Hitlerjugend. Model świata, którego częścią stał się Franz, wprowadził ślepe podporządkowanie zasadzie honoru. Honor miał być dodatkowym bezpiecznikiem dla wyrzutów sumienia. Miał sankcjonować bezwzględność w nigdy dotąd niespotykanej skali. Na szkoleniach, będących w istocie praniem mózgu, starsi esesmani uczyli młodszych i pracowali nad ostatecznym zohydzeniem znienawidzonych przez reżim Żydów, pozbawiając ich do reszty człowieczeństwa. Jako obrzydliwych i niegodziwych przedstawiano też Słowian i Romów.

Wyjaśniano także, że najlepsi Niemcy, a do takich należeli żołnierze z dwiema runami na mundurze, musieli założyć rodzinę, żeby przekazać następnym pokoleniom najwartościowszą niemiecką krew. Od tego uzależniano awans. Chłopakom, szczególnie tym pochodzącym z uboższych rodzin, ten warunek podobał się szczególnie: oznaczało to przejście do wyższej klasy

społecznej. Z chwilą dołączenia do biologicznej nazistowskiej elity ciężar zapewnienia przyszłości ich rodzinom spadał na nazistowskie państwo. Opowiadano im, że po zwycięstwie tysiącletniej Rzeszy zostaną przeniesieni do Kapsztadu, Indii, w dowolne miejsce na świecie.

Bastian i Franz mieli więc prawo marzyć, że kiedyś staną się panami świata, ale droga do realizacji tych snów zaczynała się w zamku Sonnenstein. Pierwszego dnia uświadomił ich przełożony, *Rottenführer* Beer, który szlify zdobywał w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie kształcił się pod żelazną ręką tamtejszego komendanta Theodora Eickego.

– Niech nie interesuje was, co się tutaj dzieje – rzekł Beer. – Wasze obowiązki ograniczają się na razie do sprawdzania przepustki kierowcy, na której zawsze musi być pieczętka „Komando specjalne Sonnenstein”. Czy to jest jasne?

– Jak najbardziej.

– Dalsze instrukcje później.

Przełożony był nadzwyczaj lakonicznym człowiekiem. Ale chłopcy mieli już wbite do głowy: wykonywać rozkazy i nie pytać. Postanowili trzymać się tej zasady.

* * *

Nocami mogli się przekonać, że zamek był opuszczony tylko z pozoru. Wtedy przyjeżdżały ciężarówki. Jedna, czasami dwie, a niekiedy cztery lub pięć. Nie było reguły. Wjeżdżały do zamku i następnego ranka wracały. Wjeżdżały szczelnie zamknięte, a wyjeżdżały już na wpeł otwarte. Pewnej nocy Franz i Bastian nie mieli akurat służby, ale i tak koło wpeł do trzeciej nad ranem obudził ich Beer. Zerwali się na równe nogi.

– Nocna robota. Zbiórka za pięć minut w pełnym rynsztunku.

Nie musiał niczego tłumaczyć. Obowiązywała zasada, że nie należy zadawać pytań przełożonemu. Gdy zeszli na dół, zauważyli tylko kilku esesmanów z psami i Beera, najstarszego rangą strażnika na zamku. Franz podejrzewał, iż Beer świetnie wie, co dzieje się w tym miejscu i że te częste powroty pustych ciężarówek wcale nie były przypadkowe. Wolał jednak zachować wątpliwości

dla siebie, żeby nie robić sobie kłopotów.

– Nasz największy wróg uciekł z zamku. Mamy za zadanie go odnaleźć i zlikwidować – powiedział lakonicznie Beer.

Bastian i Franz spojrzeli najpierw po sobie, a potem po kolegach. Na ich twarzach odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. Wierni przysiędze, słysząc słowa o największym wrogu, zdali sobie sprawę, że po raz pierwszy muszą zamienić serce w kamień i wykonać rozkaz. Muszą zabić człowieka. Franz zastanawiał się, jak zareaguje, jeśli będzie musiał strzelać. Wydano im ostrą amunicję. Wkrótce grupa esesmanów rozproszyła się tyralierą w lesie.

Dwie dziesiątki strażników przeszukiwały las. Wszyscy byli uzbrojeni w mausery gotowe do strzału. Co kilkaset metrów w świetle latarki pojawiały się ślepiea jakiegoś nocnego zwierzęcia, które przestraszone umykało w głąb lasu. Organizm Franza domagał się snu. Chłopak nadludzkim wysiłkiem woli trzymał się na nogach. Trzymał karabin gotowy do strzału i mierzył nim w mroczną czeluść lasu, z której dobiegało mrukliwe pohukiwanie zirytowanej sowy, gdyż ktoś przerwał jej nocne polowanie. Błądzili tak z dobrą godzinę, bez wyraźnego celu. Wreszcie wzeszedł księżyc, rzucając lodowaty blask na śpiące nieruchomo drzewa. I kiedy wydawało się, że już nic się nie wydarzy, że przyjdzie im powrócić do swych kwater, nagle usłyszeli śmiech.

Dobiegał z głębi lasu. Początkowo niósł się niczym szmer lub rechot żaby, lecz w miarę jak się przybliżał, słyszeli go bardzo wyraźnie. Ludzki śmiech napawał Franza grozą. Poczul po raz pierwszy w życiu, że naprawdę nic nie rozumie. Jeśli uciekł więzień, to dlaczego, na litość boską, śmiał się, idąc w ich stronę? Wpatrzył się w rozświetlony przez księżyc las. Wydawało mu się, że widzi marę, jakby ludzki kształt wyłaniający się z mroku i wyraźnie zdążający w ich kierunku.

Człowiek w grubym jesiennym płaszczu szedł ku nim i śmiał się, wymachując rękoma. Franz zadał sobie pytanie, kto może śmiać się na widok czterech gości z karabinami wycelowanymi w jego stronę. Przez myśl mu przemknęło, że tylko wariat.

I w jednej chwili wszystko stało się jasne. Widział, że zbiegły więzień zachowywał się jak dziecko złapane na gorącym uczynku i spodziewające się kary. A zarazem wydawał się pewny, że jeśli zaprezentuje dowód swojego przestępstwa, to ta „kara” go nie spotka, ponieważ ludzie z zasady są dobrzy i nie krzywdzą bez powodu. Franz zrozumiał, że na zamku są chorzy psychicznie i jeden z nich szedł w ich stronę. Chciał być znaleziony. Strażnicy opuścili karabiny.

– To szalenciec – powiedział cicho Franz.

Poszukiwany był więc zupełnie niegroźny, a ucieczkę w nocy traktował jak najwspanialszą zabawę, dzięki której mógł nareszcie zwrócić na siebie uwagę. Podszedł do nich i zupełnie się nie bał. Na oko mógł mieć nie więcej niż czterdzieści lat, ale psychicznie odpowiadał może dziesięciolatkowi ze szkoły powszechnej. Był bardzo radosny.

Podszedł do Bastiana. Poprosił, żeby pokazał mu karabin, bo zawsze chciał taki mieć. W ten przedziwny i najzupełniej nieoczekiwany sposób Bastian musiał znów zmierzyć się ze wspomnieniem o Manfredzie. Los brata, a w szczególności jego niewyjaśniona śmierć w Saksonii, położył się cieniem na życiu tego młodego człowieka. Owej nocy chory psychicznie mężczyzna, który uciekł z zamku, nazbyt wyraźnie przywołał pamięć o Manfredzie, który zmarł w Saksonii na tak zwaną wadę serca.

– Chcę być żołnierzem – powiedział mężczyzna.

Franz nie mógł wydobyć z siebie słowa. Tak jak Bastian nie miał pojęcia, co powinni zrobić. Ale nadszedł szybko Beer. On wiedział, co prawdziwi Niemcy powinni zrobić z tym człowiekiem. Spokojnym i flegmatycznym głosem rozkazał Bastianowi go zastrzelić. Chłopak przeładował karabin i wycelował w głowę mężczyzny. Franz znał przyjaciela i wiedział, że ten nie strzeli. Widział, że Bastian wciąż myśli o zamordowanym najprawdopodobniej w tym zamku Manfredzie. Lufa drgała, a chory cieszył się jak dziecko, zupełnie nie pojmując niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł.

– Zastrzel go! – warknął w końcu Beer.

Ale Bastian dalej tylko celował, choć cel znajdował się metr od niego.

– Naciśnij spust, Bastian – wyszeptał Franz. – To jest rozkaz.

Ale strzał nie padł. Bastian opuścił karabin. Wówczas Beer dobył z kabury parabellum, przeładował i strzelił mężczyźnie w skroń. Martwy upadł między stojących esesmanów.

* * *

Beer aresztował Bastiana. Zarzuty były miażdżące: niewykonanie rozkazu podczas akcji bojowej, narażenie na szwank morale oddziału, niesubordynacja, tchórzostwo w obliczu wroga, defetyzm i zdrada. Groziła za to kara śmierci. Bastian miał być sądzony przez specjalny sąd SS.

Gdy Franz myślał o położeniu swego przyjaciela, kładł się na łóżku i zwijał w kłębek jak pies. Bardzo cierpiał. Nie potrafił pojąć, dlaczego Bastian nie wykonał tego rozkazu. Przecież nie mógł zmienić przeszłości ani zwrócić życia Manfredowi, za to narażał własne życie.

Franz potrafił tak leżeć w pozycji embrionalnej przez wiele godzin, kiedy nie miał służby. Odreagowywał w ten sposób napięcie. Nie mógł zawiadomić o tym, co się stało, rodziny Bastiana ani tym bardziej swojej. Przeciw jego najlepszemu kumplowi toczyło się postępowanie w sądzie SS w Hamburgu. W końcu zapadł jedyny możliwy wyrok: Bastian miał zostać zdegradowany, wydany z SS i rozstrzelany. W głębi serca Franz wiedział, że przyjaciel jest już martwy w chwili, kiedy nie zastrzelił tego szaleńca w lesie. W narodowosocjalistycznym państwie nie było miejsca na takie precedensy.

* * *

W trzy tygodnie przed egzekucją Bastian przysłał list.

Mój Franz!

Umrę. Dziś wiem to jedno z całą pewnością. Ale Ty zupełnie nie przejmuj się tym, co się ze mną stanie.

Nie wykonałem rozkazu i muszę umrzeć. Ale teraz, na chwilę przed ostatecznym końcem, widzę zupełny chaos

mojego życia. Muszę Ci jednak coś wyznać, zanim zapadnie kurtyna. Nie wykonałem tego rozkazu, bo wtedy, w lesie, nie widziałem twarzy tego mężczyzny, tylko twarz Manfreda.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, co się z nim stało.

Pomyśl tylko: tacy ludzie jak my zabili Manfreda w tym zamku.

Muszę zapłacić za śmierć Manfreda. I bardzo bym chciał aby moja śmierć przypomniwała rodzicom, a w szczególności ojcu, że miał dwu synów. Jestem to winny Manfredowi.

Muszę kończyć, bo tutaj nie pozwalają nam pisać zbyt dużo.

Żegnaj.

* * *

Franz jednak w głębi swego serca się zmieniał. Uznał, że list Bastiana był kolejnym aktem zdrady. Przeczytał go, wiedząc, że cenzor też musiał go czytać. Skoro zezwolono na wysłanie listu do czynnego członka SS, to oznaczać mogło tylko jedno: test najsurowszy z możliwych. List zdrajcy należało natychmiast pokazać przełożonym.

Zanim oddał Beerowi list, Franz przeczytał go kilka razy, ale wzbierał się przed przyjęciem do wiadomości jego treści. Uznał, że list Bastiana był dowodem zdrady ich przyjaźni. To przecież Bastian wciągnął Franza do Hitlerjugend. Wiara w sens tego kroku, umacniana ogłupiającymi apelami, rasową ideologią i praniem mózgu w ośrodkach SS, wydawała się niewzruszona. Ta wojna stawała się jego wojną. Przeciw listowi Bastiana przemawiała śmierć Friedricha, którego przecież zabili Polacy. Kalectwo Lorenza było kolejną bezsensowną ofiarą. I dopiero decyzja Franza o nałożeniu munduru z dwiema runami mogła przekreślić wszystkie klęski, jakie spadły na rodzinę. Z tego też powodu chłopak postanowił więcej nie czytać listu Bastiana, choć serce podpowiadało mu, że to najważniejszy list, jaki w życiu dostał. Chłopak zagłuszył w sobie ten wyrzut sumienia.

W tym samym czasie do Sonnenstein nadszedł rozkaz, że w zamku ma zostać sformowany pluton egzekucyjny. Sąd SS uznał, że kara śmierci zostanie wykonana w garnizonie skazanego, żeby

dodatkowo zdyscyplinować załogę. Beer świetnie zrozumiał intencje sądu. Ta egzekucja miała być przestrożą. I do plutonu egzekucyjnego wybrał Franza, który musiał stanąć twarzą w twarz z Bastianem.

* * *

Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Milenie towarzyszył mglisty niepokój. Świetnie wiedziała, że wojna szalała na dobre i że los Żydów na froncie wschodnim i w sąsiedniej Polsce był naprawdę nie do pozazdroszczenia. Na Słowację, rządzoną żelazną ręką księdza Tiso, docierały jedynie plotki o tym, co działo się w tych krajach. Opowieści, że ludność żydowska została zamknięta w gettach i jest systematycznie wyniszczana głodem, brzmiały jednak nieprawdopodobnie. Na Słowacji na ogół nie dawano im wiary. Jakże bowiem można było uwierzyć w masakry dokonywane przez Niemców na wschodzie, szczególnie te w Babim Jarze pod Kijowem? Dziesiątki tysięcy Żydów – kobiet, dzieci, starców i mężczyzn w sile wieku – musiało się rozebrać do naga i wejść do wielkiego dołu, gdzie następnie rozstrzeliwano ich seriami z karabinów maszynowych. Dla wielu słowackich Żydów takie postępowanie Niemców nie miało najmniejszego sensu: co za marnotrawstwo kul i darmowej siły roboczej. Rząd księdza Tiso tymczasem podkreślał, że Żydzi muszą pracować na swoje utrzymanie i że żadna krzywda ich nie spotka.

I w tym czarnym smutku, przeplatany kabaretowymi songami, Milena chciała mieć mimo wszystko nadzieję. Bo z nadzieją, choćby i głupią, łatwiej jest przecież żyć.

Rozdział XII

NAJLEPSZY PRZYJACIEL

Saksonia, luty 1941

Bastian został przywieziony do Sonnenstein na egzekucję. Zachowywał się bardzo spokojnie. Wiedział, że wkrótce nastąpi to, co nieodwracalne. Sprawiał wrażenie człowieka, który godzi się na swój los. Z nieświadomego chłopca stał się w pełni ukształtowanym mężczyzną. Bastian dokonał jedyne­go możliwego moralnego wyboru. Teraz miał za niego zapłacić najwyższą cenę.

Franz unikał spotkania z przyjacielem. Miał go zabić, więc nie wiedział, czy może go tak nazywać. Był bardzo roztrzęsiony. Ze zdenerwowania prawie nie spał. Wiedział, że nie może odmówić wykonania rozkazu. Nie miał też wątpliwości, że gdyby się sprzeciwił, sam znalazłby się na miejscu Bastiana. Oprócz strachu w jego sercu zaległa się także złość na przyjaciela, ponieważ to on swoją niesubordynacją postawił go przed tym najtrudniejszym wyborem w życiu. Mógł przecież strzelić do tego szaleńca. Franz próbował to sobie wytłumaczyć jako akt litości. Bastian też mógłby tak pomyśleć i teraz obaj służyliby jako wartownicy na zamku Sonnenstein. A tymczasem życie jednego z nich miało się za chwilę skończyć. Egzystencja dla takiego szaleńca musiała być ciężarem ponad siły, więc po cóż miałby go dźwigać, uważał Franz i żałował, że Bastian tak nie pomyślał, gdy celował w głowę chorego psychicznie.

Franz nie mógł pojąć, co kierowało Bastianem. Dla niego Manfred był zaledwie wspomnieniem, ale w pamięci Bastiana pozostał żywy. Franz nie rozumiał, że Bastian poprzez swoją własną śmierć pragnął odkupić winę rodziców, skazujących na śmierć niepełnosprawne umysłowo dziecko. Jego umysł i dusza

staraly się znaleźć rozwiązanie wygodne dla jego własnego sumienia. Franz zaczął więc oszukiwać samego siebie, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia. Równocześnie nie zdawał sobie też sprawy, że liczba kłamstw, jakimi otaczał się codziennie, nakładając mundur z dwiema runami na kołnierzu, przybierała wymiary monstrualne. Począwszy od prostackiej rasistowskiej ideologii, skończywszy na romantycznym micie niemieckiego rycerza, wszystko, czego nauczył się w ostatnich miesiącach, było kłamstwem: moralność i hasło „Moim honorem jest wierność” na klamrze pasa, całe codzienne życie. Jednak największym kłamstwem był honor. To on wypierał indywidualne sumienie. Zastępował je. Franz przestał rozumieć, dlaczego kiedyś często przystępował do spowiedzi. Wiara w Boga stawała się dla niego abstrakcją. Zdecydował, że będzie żył chwilą obecną i że tylko ta chwila istniała. A w tej chwili musiał wykonać rozkaz. W gruncie rzeczy zawsze wiedział, że to zrobi, gdyż nie będzie miał tyle odwagi co Bastian. Jego najlepszy przyjaciel też wstępował do SS z pragnieniem, by żyć innym życiem niż to, które znali z małego miasteczka. Ale Bastian, jak się okazało, nigdy nie uwolnił się od własnego sumienia. I to sumienie zdecydowało, że chłopak nie mógł zastrzelić chorego psychicznie, zwłaszcza gdy przed oczyma stawał mu zmarły brat.

Po długim zmaganiu z samym sobą Franz zdecydował, że wykona rozkaz. Musi zastrzelić Bastiana, żeby już nigdy więcej nie słyszeć wyrzutów sumienia. Tak po prostu, beznamiętnie, wycelować karabin w jego pierś i nacisnąć spust. Będzie musiał też patrzeć, jak okrwawione ciało przyjaciela osunie się na dziedziniec. Ale wtedy Bastian nie będzie już przyjacielem, ale zdrajcą, który nie wykonał prostego rozkazu i skazał Franza na konieczność dokonania wyboru – nie do pomyślenia dla katolika, ale zupełnie oczywistego dla młodego esesmana. Wtedy to Bastian będzie winny własnej śmierci, a nie Franz. On tylko wykona rozkaz i będzie miał czyste sumienie. Naprawdę stanie się członkiem SS. Ale żeby tak się stało, Franz musiał raz na zawsze przekroczyć Rubikon, pokonać kolejną barierę we własnej duszy. Stamtąd już nie będzie

miał odwrotu.

* * *

Ten dzień był słoneczny. Kos zawzięcie przeszukiwał trawnik na dziedzińcu zamku Sonnenstein. Bastian widział ptaka przez okno swojej celi i pomyślał, że to równie dobry dzień, aby umrzeć, jak każdy inny. Ostatnie tygodnie przed egzekucją bardzo go zmieniły. Przeszedł wewnętrzną przemianę. Zaczął wierzyć, że odmowa zastrzelenia chorego psychicznie człowieka była słuszna. Nabrał także zupełnej pewności, że jego brat Manfred zakończył życie w podobny sposób, jak człowiek zabity z pistoletu *Rottenführern* Beera. Żywił graniczące z pewnością przekonanie, że Manfred zginął w samotności, strachu i pustce w zamku Sonnenstein, opuszczony przez własnych rodziców. Bastian postanowił, że nie napisze do nich przed śmiercią. Wiedział, że ból matki będzie nieukojony, ale za wszelką cenę nie mógł pozwolić, aby ktokolwiek okradł go z jego własnej śmierci. Chciał, aby ta stała się manifestem sprzeciwu wobec woli ojca, który skazał własne upośledzone dziecko na śmierć.

Kiedy więc esesmani przyszli po niego o oznaczonej godzinie, powiedział cicho:

– To dla ciebie, Manfredzie. Jeszcze dziś się spotkamy.

Wyszedł z celi, nie stawiał oporu. Idąc naprzeciw przeznaczeniu, powtarzał Psalm dwudziesty siódmy, który pamiętał z lekcji religii. Dopiero gdy stanął naprzeciwko plutonu egzekucyjnego, dostrzegł Franza. To był dla niego wielki cios, ale zapragnął wypić ten kielich do końca. Przecież w obliczu własnej śmierci człowiek może zrobić tylko jedno: spróbować ją oswoić. Bastian wiedział, że Franz nie miał wyjścia. To był ostateczny test przynależności. Granica, za którą była już tylko nicość. Bastian znosił oczekiwanie spokojnie, tylko na chwilę przed salwą osunął się na kolana.

Beer wydał komendę. Pluton egzekucyjny wycelował. Padły strzały. Trafili wszyscy. Bastian dostał sześć kul. Ta wystrzelona z karabinu Franza trafiła go w serce.

* * *

Po egzekucji Bastiana dla Franza zaczęło się piekło. Nie mógł sobie poradzić z ciężarem tej pierwszej śmierci, jaką zadał. Świadomość jej nieodwracalności parzyła go niczym gorący węgiel z ogniska nagą dłoń. Dopiero teraz w nocy, leżąc na posłaniu i nie mogąc zasnąć, Franz zrozumiał, że bardzo się pomylił. Znalazł się wobec tej śmierci sam. Ta samotność była tak straszna, że tylko wódka mogła mu dać odrobinę zapomnienia. Starsi esesmani wiedzieli coś o tym. Zabijali, ale mnóstwo pili. Przyszli do niego z papierosami i alkoholem. Beer powiedział:

– Wykonałeś rozkaz. Spełniłeś obowiązek. Pierwsza śmierć jest tak potworna, że wyc się chce, ale potem ci przejdzie. Będziesz mógł dalej zabijać, ale w pamięci zostanie tylko ten pierwszy raz. Do zabijania można się przyzwyczaić.

Zropaczony Franz wyłowił z tego bełkotu jedno: musiałeś, to był rozkaz. To pierwsze wyjaśnienie, którego się uchwycił w tej piekielnej pustce. To nic, że świat będzie odrobinę inny, pomyślał chłopak. Pojęcia stracą ostrość. Jasność przestanie być jasnością, a tęcza wiosennego nieba zblaknie. Chłopak myślał, że będzie można żyć, z Bastianem w pamięci lub bez niego.

– Kurwa, niech go szlag trafi, że nie nacisnął spustu w lesie! – krzyczał wściekle po pijanemu.

Mogli teraz pić piwo i podrywać okoliczne panienki. A tymczasem przyjaciel był martwy, martwy, martwy, tak kurewsko i nieodwracalnie martwy!

Chwilami było mu bardzo trudno. Wtedy wracała moralna świadomość. Ciężar tej śmierci wydawał się Franzowi tak straszny, że pragnął jedynie chwycić pistolet, przeładować i strzelić sobie w usta – skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Ale wiedział, że na dnie swej coraz mroczniejszej duszy był dalej małym Franciszkiem, wnuczkiem swojej babci, moczącym się we śnie i pragnącym czym prędzej uciec przed odpowiedzialnością do konfesjonału i pokajać się przed Bogiem. W głębi serca dalej był katolikiem i myślał po katolicku. O ile katolicka moralność, nawet zakłamana, mogłaby jeszcze jakoś usprawiedliwić śmierć Bastiana jako konieczność wypełnienia rozkazu i obrony własnego życia,

o tyle samobójstwa już niczym wytłumaczyć się nie da. Franz bał się więc kary wiecznej w piekle. Czuł, że wraz z naciśnięciem spustu stanął już na jego skraju, a otchłań, pełna potępionych, przyzywa go do siebie.

W tej chwili, kiedy wódka była mocna i po raz pierwszy w życiu naprawdę kurewsko dobrze mu smakowała, w sumieniu Franza Weimerta ścierało się dwu ludzi. Franz Weimert esesman, który zastrzelił swojego kolegę, i Franciszek ministrant. Żołnierz gardził ministrantem. To przecież tchórz i mięczak, niespełniony onanista pełen lęku, aby katolicka babcia nie nakryła go na świntuszeniu pod kołdrą. Franz żołnierz miał już kobietę. Napawał się jej lubieżnym jękiem. Ten żołnierz wprawdzie zrobił coś strasznego, ale zarazem okazał się silny i sprytny, gdyż sam nie trafił przed pluton egzekucyjny. Żołnierz musiał być wierny przysiędze. Musiał wykonywać rozkazy, nawet te najbardziej potworne. Dlatego żołnierzowi nie można wiele zarzucić, ale ministrantowi można zarzucić wiele. Na przykład, że jest tchórzem, oszustem oszukującym siebie samego i w konsekwencji głupcem. Ministrant wierzył na przykład w katolickiego Boga, który okazał się zimnym i milczącym świadkiem egzekucji Bastiana.

W końcu, już na samym dnie drugiej butelki, Franz odnalazł swoje usprawiedliwienie: to Bóg postawił go w takiej sytuacji, więc to Bóg jest winny śmierci Bastiana. Bo on, Franz Weimert, ratował tylko swoje własne życie.

* * *

Późną jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Mikulas Morgenstern nalegał, aby żona wyjechała na Węgry. Luna za nic w świecie nie chciała się zgodzić. Mąż postanowił więc opowiedzieć jej o swojej drugiej rozmowie z ministrem Tichym. Uświadomiła ona Morgensternowi, że Żydom groziło na Słowacji śmiertelne niebezpieczeństwo. Przekonywał żonę, że to ostatni moment, by bezpiecznie uciec na Węgry. Gdy Luna dalej odmawiała, opowiedział jej następujące zdarzenie.

Morgenstern został poproszony o przygotowanie raportu na temat słowackich kolei i sieci torów. Pomyślał, że Niemcy coś

szykują. To samo działo się przed inwazją Niemiec na Polskę. Postanowił wybadać ministra i poszedł z nim na obiad, by zadać mu kilka pytań.

– Mamy twarde orzech do zgryzienia. Niemcy nas naciskają – rzekł minister.

– W jakiej kwestii? – zapytał mąż Luny.

– Panie Morgenstern, czy naprawdę pańska żona jest żydowskiego pochodzenia?

Morgenstern poczuł, że serce podchodzi mu do gardła, ale postanowił, że zachowa spokój.

– Nie, moja żona jest katoliczką tak jak ja.

– To naprawdę bardzo dobrze – mówił minister Tichy, jakby zrzucał wielki ciężar z serca. – Wspaniałe katolickie małżeństwo. To rozwiązuje sprawę.

– Nie rozumiem.

– Niemcy naciskają nas w sprawie przeniesienia Żydów ze Słowacji gdzieś na wschód – wycedził przez zęby minister. – I szczerze mówiąc, zupełnie nie wiemy, jak się z tego wyplątać. Rozumie pan, żeby nasi Żydzi zostali wysłani na wschód, to ktoś musi ich zgromadzić w jednym miejscu, policzyć i wsadzić do pociągów.

– Czyli aresztować?

– Nie, nie, aresztowanie bardzo zraniłoby serce naszego księdza prezydenta. Tiso to taki szczerzy, dobry człowiek. Powiedziałbym, że Żydom trzeba by pomóc w spakowaniu i załatwieniu wszelkich formalności związanych z wyjazdem.

– Czy to coś zmieni?

– Oczywiście, mój drogi Morgensternie, że bardzo wiele zmieni – powiedział minister, nabijając fajkę dobrym tytoniem. – Język wiele znaczy w polityce. Pomoc w żydowskiej przeprowadzce lepiej chyba brzmi niż aresztowanie Żydów, prawda?

– Prawda – potwierdził Morgenstern.

– A to taka delikatna sprawa. Prezydent otrzymał ostatnio od Ojca Świętego tytuł *monsignore*. Poza tym jest księdzem, a my, katolicy, nie nienawidzimy Żydów, prawda? My im tylko

pomagamy w przeprowadzce.

Teraz Morgenstern zrozumiał. Rząd księdza Tiso chciał umyć ręce. Gorączkowo poszukiwał tylko dobrego środka myjącego, żeby nie pozostawić wrażenia, że prezydent Słowacji, mający tytuł *monsignore*, odpowiadał za aresztowanie i wywiezienie słowackich Żydów, obywateli jego państwa. Ksiądz Tiso, jak każdy tyran, pragnął się uchylić od odpowiedzialności.

– Skoro pan rozumie, to proszę nam pomóc – powiedział minister. – Pan ma zdolności organizacyjne. Trzeba zaplanować całą akcję. Nie możemy zgodzić się na to, by Niemcy zrobili to za nas. Słowacja jest niepodległym krajem i nie chcielibyśmy, żeby weszli tu Niemcy, prawda?

– Nie, nie chcielibyśmy.

– Niemcy mogą nam natomiast pożyczyć tabor kolejowy i niemieckich maszynistów. Zresztą negocjacje już prowadzimy.

– Co? – zapytał zdumiony Morgenstern.

– Rozumiem pańskie zdziwienie – rzekł minister, pykając fajkę. – Ze strony niemieckiej prowadzi je oficer SS, Dieter Wisliceny. Podobno pracuje w specjalnej komórce w Berlinie, która zajmuje się problemem żydowskim. Niech pan pomyśli, ilu dobrych katolików nie może mieć pracy, bo jakiś Żyd siedzi na stanowisku. Ilu Żydów jest komunistami, no ilu? Ojciec Święty przestrzega przecież przed bezbożnym komunizmem. Taki Trocki to był przecież Żyd, nieprawdaż? Ale wracając do meritum, ten esesman zaproponował naszemu księdzu prezydentowi, żeby to sami Żydzi nam pomogli. Mamy wystosować list do żydowskich judenratów oraz do rabinów, żeby sami ułożyli listy wyjazdowe. To zaoszczędzi nam mnóstwo czasu i papierkowej roboty...

– To ułatwiłoby sprawę – dopowiedział Morgenstern.

– Oczywiście – podchwycił tę myśl minister Tichy. – Ksiądz Tiso byłby bardzo szczęśliwy, gdyby słowaccy katolicy nie musieli do tego przykładać ręki. I zamiast niemieckiej armii przyjedzie tylko kilkunastu esesmanów, takich jak ten Wisliceny. Oni nam pomogą w rozwiązaniu tego żydowskiego problemu. Jesteśmy małym krajem, ale swój honor mamy.

– Co za filantropia – powiedział z przekąsem mąż Luny. – Oczywiście ci Niemcy nie będą zbyt drodzy?

– Nie, nie będą. Niemcy chcieli tysiąc pięćset marek za każdego Żyda, ale księdzu udało się wytargować tylko pięćset. Ale zapłacimy Niemcom dopiero po wszystkim, kiedy będziemy wiedzieli, ilu Żydów pojechało na roboty na wschód.

– Rachunek płatny z dołu?

– Ano tak. Tylko że Niemcy wywiozą wszystkich, bez względu na to, czy są ochrzczeni, czy nie. Ale pięćset marek to nie tak drogo jak tysiąc pięćset, prawda?

Morgenstern pobladał. Już wiedział, dlaczego przełożony wspomniał o pochodzeniu jego żony. Zrozumiał, że powinien czym prędzej uciekać razem z nią. Minister dostrzegł zaniepokojony wyraz twarzy swego szefa gabinetu. Dodał, pragnąc usprawiedliwić księdza Tiso:

– Próbowaliśmy tłumaczyć Niemcom, że ochrzczeni Żydzi są już ludem bożym. Ale Niemcy swoje, Żyd to po prostu jest Żyd... Swoją drogą, może to i racja. Na szczęście na Słowacji nie mieszka tylu Żydów, co w Polsce.

– Czy pan wie, dokąd konkretnie nasi Żydzi mają być przewiezieni? – zapytał Morgenstern.

Minister uśmiechnął się i powiedział:

– To samo pytanie ksiądz Tiso zadał temu Niemcowi, Wislicenemu. I wie pan, co ten esesman odpowiedział?

– Nie, nie wiem.

– Że polskim Żydom podoba się tam, gdzie teraz są.

* * *

Morgenstern był przerażony. Wiedział, że w ciągu kilku tygodni rozpoczną się deportacje. Próbował nakłonić żonę do natychmiastowego wyjazdu. Błagał, zaklinał i przedstawiał wszystkie logiczne argumenty, powtarzając dwa razy swoją rozmowę z ministrem Tichym. W końcu, gdy to nic nie dało, Morgenstern próbował szantażu. Odejdzie, jeśli żona z nim nie wyjedzie. Byli dobrym małżeństwem. Morgenstern wiedział o skłonnościach żony do kobiet, ale był bardzo tolerancyjny

i patrzył przez palce na jej miłości.

Luna odmawiała, ponieważ Milena nie chciała jechać na Węgry. Musiałaby tam pomagać matce i siostrze, a tymczasem bez matki i jej ciągłego utyskiwania czuła się dużo szczęśliwsza. Luna przekazała Milenie treść rozmowy z mężem, ale dziewczyny jakby to nie obchodziło. Nie wierzyła w żadne wywózki. Chciała śpiewać i tańczyć i tylko to się dla niej liczyło. Czuła, że jest na fali. Sukcesy artystyczne i przyjaźń tak doświadczonej artystki jak Luna sprawiały, że Milena z każdym dniem pragnęła być lepszą piosenkarką i lepszą tancerką. Oczywiście podekscytowana dziewczyna za dowód bezinteresownej przyjaźni uważała to, że starsza i bardziej doświadczona Luna dzieli się wiedzą, niczego w zamian nie oczekując. Milena była odrobinę naiwna lub po prostu nie umiała, a może nie chciała dostrzec więcej: że nie istnieje coś takiego jak darmowy lunch. Luna była jednak mistrzynią w maskowaniu swoich uczuć. Wewnątrz bardzo cierpiała, ale za nic w świecie nie chciała zdradzić przed mężem, że jest szaleńczo i bez reszty zakochana w swojej własnej uczennicy.

W styczniu roku czterdziestego drugiego Morgenstern wrócił do domu bardzo późno. Luna spała, ale obudził ją bez wahania.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego. Spałam – powiedziała poirytowana Luna.

– Za tydzień, może dwa zaczną się wywózki. Nie mamy już więcej czasu. Wszystko załatwiłem. Oboje dostaliśmy węgierską wizę. Jedź ze mną. Teraz. – Ostatnie słowo Morgenstern zaakcentował tak, żeby zabrzmiało jak rozkaz.

Luna popatrzyła mu w oczy. Wiedział, że przegrał. Morgenstern uciekł do Budapesztu. Już nigdy nie zobaczył żony.

* * *

Nad zamkiem Sonnenstein w Saksonii zapanowały zimowe ciemności. Dni stały się tak krótkie, że nieliczne i słabe promienie słońca były marną pociechą dla skutej lodem ziemi. Jednak nawet one nie rozjaśniały czarnej duszy Franza Weimerta. Miał natomiast wrażenie, że z każdym dniem, który oddalał go od śmierci Bastiana, zapadał się w głąb siebie. Zupełnie jak gdyby

ktoś wykopał w jego duszy studnię bez dna, w której utopiło się jego sumienie. Cierpiał, ale to cierpienie nie oczyszczało go, ponieważ w swej istocie było cierpieniem beznadziei i niemożliwości powrotu. Jego dusza zastygała wewnątrz nieprzeniknionej skorupy. Czuł, że nic nie może już zmienić. Alkohol dawał zapomnienie, ale tylko chwilowe, niewystarczające. Nie znieczulał, tylko otępiał.

Czasami Franz wybierał się do miasteczka, gdzie prostytutki oferowały swoje usługi. Franz lubił jedną z nich. Nie wiedział, jak miała na imię. Zresztą to nie miało żadnego znaczenia. Terapia seksem też nie przyniosła efektów. Stosunek seksualny odprężał, ale nie dawał wybaczenia. Rozluźniał, ale nie przekreślał problemu. Z czasem Franz zrezygnował z tych eskapad. Bał się zakażenia chorobą weneryczną. Wykręcając się od wspólnych wypadów, narażał się jednak na złośliwe docinki innych esesmanów, skwapliwie i regularnie odwiedzających różne damy.

Wtedy przyszedł niespodziewany awans. Franz nie miał wątpliwości, że został nagrodzony za zabicie Bastiana. Jako plutonowy był teraz przełożonym szeregowców, którzy z niego szydzili. Jednak to nie wystarczyło. Chciał uciec z tego upiornego zamku, gdzie w tajemnicy przed opinią publiczną SS likwidowało upośledzonych psychicznie Niemców, czystej krwi Aryjczyków.

– Nie wytrzymam w tej przeklętej dziurze – powiedział do Beera któregoś dnia. – Chciałbym być żołnierzem na froncie.

Od czerwca trwała wojna ze Związkiem Radzieckim.

– Wiesz, o co prosisz, młokosie? – zapytał Beer.

– Wiem, że nie chcę tu zostać ani dnia dłużej.

Franz chciał być żołnierzem. Miał dług wobec starszego, nieżyjącego brata i wobec Bastiana, najlepszego kumpla, którego zastrzelił. Chciał, żeby jego życie nabrało sensu. W tamtej chwili front wschodni, choć sama nazwa kryła trudną do opisanego grozę, stanowił wyzwanie dla młodego człowieka, który pragnął odkupienia winy.

Rozdział XIII

MIEJSCE PRZEZNACZENIA

Franz trafił na front wschodni jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Ofensywa, która latem przynosiła Niemcom tak olśniewające zwycięstwa, teraz ugrzęzła w rosyjskim błocie. Ale Niemcy starali się nadrobić zaległości. Na początku października wznowili ofensywę na Moskwę. Radziecki front pękł i pewnego ranka mieszkańcy Tuły z zaskoczeniem spoglądali na kolumny niemieckich czołgów i transporterów opancerzonych jadących w stronę radzieckiej stolicy. A Tuła znajduje się osiemdziesiąt kilometrów od wielkiego miasta.

Franz miał mieszane uczucia. Zbyt wiele razy widział, jak gąsienice czołgów grzęzły w obrzydliwej brązowej brei. Pomyślał nawet, że Rosja to kraina kamieni i wszechobecnego błota. Bo Niemcy mogli zdobywać tylko puste, bezkresne przestrzenie wypełnione usychającą trawą, chłostane deszczem i zamieniające się w błotne morza, gdzie jedynie kamienie pozostawały nieporuszonymi świadkami straszliwej wojny.

Jednostki SS nie brały udziału w bezpośrednich walkach na froncie. Oddział, do którego trafił Franz, należał do Einsatzgruppen B, które zajmowały się „oczyszczaniem” zaplecza z komunistów i Żydów, czyli ich rozstrzeliwaniem. Niedoświadczony Franz trafił więc do grupy ludzi chwalebnych się, ilu Żydów rozstrzelali w Babim Jarze koło Kijowa. W tamtym czasie Franz nie uważał, że zabijanie Żydów było hańbiące. Przeciwnie, sądził, że było mniej hańbiące niż zabijanie chorych psychicznie i niepełnosprawnych Niemców w zamku Sonnenstein.

Tutaj, na froncie wschodnim, Franz Weimert miał zatracić zdolność odróżniania dobra i zła. Zatarły się w jego sercu granice między światłem i cieniem. Dusza ministranta została całkowicie zdominowana przez duszę wykonującego bezwzględne rozkazy żołnierza. Franz mógł więc jeść z menażki gorącą zupę, zaśmiewając się do łez, gdy inni koledzy opowiadali, jak Żydówki

z dziećmi przed wejściem do dołu błagały, żeby nie musiały się rozbierać do naga przed obcymi mężczyznami, bo bardzo się wstydzą, i że przecież można je zastrzelić w ubraniu.

I Franz Weimert zapewne zostałby krwawym oprawcą, który beznamytnie strzela do żydowskich dzieci, kobiet w ciąży i starców, gdyby nie pewien młody radziecki partyzant.

* * *

Oddziały Armii Czerwonej, które nie zostały wybite, wzięte do niewoli lub nie przeszły na niemiecką stronę, zostawały za linią frontu i same organizując sobie broń i żywność, stawały się de facto oddziałami bandyckimi. Kiedy na ich czele stawał w miarę ideowy komunista, stawały się oddziałami partyzanckimi podporządkowanymi Moskwie. Ludzie ci dawali się coraz bardziej we znaki niemieckim liniom komunikacyjnym rozciągniętym do granic możliwości z powodu rozległości frontu wschodniego. Oddziały SS skierowano właśnie przeciwko tym partyzantom.

Tego dnia mżyło. Wilgoć przenikała mundury. Franz wraz z kilkoma esesmanami skradał się do małej osady, ukrytej w głębi lasu. Niemcy dowiedzieli się od miejscowych, że czerwonoarmiści wykorzystują to sioło jako bazę wypadową. Szli bardzo uważnie, aby nie zdradzić swej obecności. Żołnierze SS z łatwością pacyfikowali wsie, mordując mieszkańców, ale w walce bywało różnie. Mogli uważać, że Rosjanie są słowiańskimi podludźmi, ale każdego dnia doświadczali czegoś przeciwnego: Rosjanie okazywali się mistrzami kamuflażu, dywersji i świetnie walczyli w doskwierającym Niemcom zimnie.

Niemcom nie dopisało szczęście. Jeden z esesmanów zaplątał się nogą w sznurek. Oprawcy nie wiedzieli, że sioło otaczała prawie niewidoczna sieć sznurków porozpinanych między drzewami. Wszystkie prowadziły do jednej z chat, gdzie odpoczywali Rosjanie. Niemiec, nie mając pojęcia, że właśnie alarmuje przeciwników, zaczął zwijać sznurek, klnąc jak szewc. Ale z chaty już wybiegali partyzanci.

Nagle padł pierwszy strzał, nie wiadomo skąd. Chybił, ale odgłos niósł się dalej, między drzewa, do serca kniei. Z wysokiej

sosny sfrunęła przestraszona wrona. Wówczas jeden z Niemców rzucił w stronę chałup granat zapalający. Buchnęły płomienie. Esesmani otworzyli chaotyczny ogień w stronę szarych postaci umykających w cień lasu. Franz też strzelał, ale chyba nikogo nie trafił. Nie zapamiętałby trafienia, tak bardzo był zdenerwowany. Gdy Niemcy opróżnili magazynki, spomiędzy drzew odpowiedzieli Rosjanie. Nie strzelali na oślep, ale celnie, według zasady, że jeden strzał to jeden trup. Esesman stojący obok Franza dostał w gardło i brocząc krwią, zwałił się na pokrywające ziemię liście. Pozostali próbowali przeładować broń i odpowiedzieć ogniem, ale celne strzały Rosjan kosiły ich jak trawę. Niemcy rozpoczęli odwrót.

Franz szybko biegł przed siebie, nie patrząc pod nogi. Po raz pierwszy tak bardzo bał się o życie. Nagle zaczepił o wystający z ziemi korzeń i się przewrócił. Broń upadła metr od niego. Skręcił nogę w kostce. Wtedy zza drzewa wyskoczył młody Rosjanin. Chłopak nosił bluzę czerwonooarmisty, na którą narzucił kamizelę z baraniej skóry. Był bardzo brudny i bardzo wychudzony. Miał w ręku bagnet. Rzucił się na Franza i wbił mu bagnet w udo. Żelazo zgrzytnęło o kość, ześlizgując się i przebijając nogę na wylot. Franz poczuł straszliwy ból. Zaczęli się szamotać. Silne ręce opłoty szyję Franza, który zdał sobie sprawę, że ma ułamki sekund, żeby coś zrobić, bo w przeciwnym razie będzie już po nim.

Wtedy padł strzał. Rosjaninowi krew rzuciła się z ust i zwałił się na obolałego Franza. Z rozdartej kulą tętnicy szyjnej bryzgała krew. Franz czuł słodki i mdły smak tej krwi na ustach. Próbował zrzucić z siebie trupa, ale ten był ciężki jak głaz. Ktoś odciągnął w końcu zabitego i pomógł chłopakowi. Rozdzierający ból w nodze sprawił, że Franz stracił przytomność.

* * *

Gdy ją odzyskał, znajdował się już w szpitalu wojskowym. Jęki rannych, błagania o wodę, majaczenie tych, którzy nie odzyskali jeszcze przytomności, sprawiały, że poczuł się jak pszczoła w zamkniętym ulu. Ktoś nad nim stanął i coś do niego mówił. Franz słyszał dziwny szmer i dopiero po dłuższej chwili zaczęły do niego docierać słowa.

– Boli mnie – wyszeptał Franz.

– Musi boleć, ale żyje pan – powiedział miły lekarz Wehrmachtu, w randze porucznika, z uwagą przyglądający się młodemu rannemu żołnierzowi. – Jest pan w naszym szpitalu polowym w Mińsku. Miał pan dużo szczęścia.

Franzowi szybko wracała pamięć.

– Czy mam nogę, doktorze? – zapytał.

– Oczywiście. Udo jest tylko przebite na wylot. Gdyby nie kolega, wykrwawiłby się pan w tym lesie. Nie ma pan gangreny i myślę, że wyjdzie pan stąd o własnych siłach za trzy, może cztery tygodnie.

Franz odetchnął z ulgą. Nie był kaleką jak jego brat. Nie chciał trafić do Drasenhofen bez nogi. Nie zniósłby tego, targnąłby się na życie. Pobyt w szpitalu przyniósł kolejną odsłonę samoświadomości. Wiedział, że front wschodni nie jest dla niego. Za nic w świecie nie chciałby wrócić do tej jatki. Okazało się, że do jednostki też nie miał po co wracać. Pluton SS, rozbity przez partyzantów, został wycofany pod Leningrad.

Po miesiącu Franz wyszedł ze szpitala, wyraźnie utykając na prawą nogę, ponieważ nerwy nie zrosły się właściwie. Wówczas dowództwo SS dało mu do wyboru: front pod Leningradem albo służba w obozie koncentracyjnym. Bez namysłu wybrał to drugie. Najpóźniej do końca grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku miał stawić się u nowego przełożonego, komendanta obozu Auschwitz.

Matce wysłał zdawkowy list, że został przeniesiony na inny front walki wewnętrznej i że postara się ją odwiedzić, gdy tylko pozwoli mu na to służba.

Słowacja, 1942

Tego dnia Milena miała coś do załatwienia na mieście i teraz wracała szybko do kabaretu. Dziewczyny przygotowywały się do premiery *Wesołej wdówki* Lehara, a Luna bardzo nie lubiła, gdy aktorzy spóźniali się na próby. Milena szła więc szybko, mijając obojętnie przechodniów na bratysławskiej ulicy. Czuła, że

nadchodzi wiosna. Mimo zimnej aury w niektórych ogrodach spod brudnego śniegu wychodziły już pierwsze nieśmiałe przebiśniegi.

Zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo zmieniło się jej życie. Praca w kabarecie wyzwoliła ją; z podporządkowanej woli ojca i matki dziewczyny stała się kobietą świadomie budującą własne życie.

Tego marcowego popołudnia śledziła ją w tłumie para oczu, wpatrzonych w nią z nienawiścią. Dawid nie zapomniał upokorzenia i nienawidził Mileny bardziej niż kogokolwiek. Stał się pośmiewiskiem innych gwardzistów. Dla nich był mięczakiem, który dał się poturbować żydowskiej dziewczynie. To była straszliwa zniewaga, której nie mógł darować.

Jego nienawiść do Żydów niegdyś wynikała z tego, co usłyszał w kościele albo na targu, oraz z tajonych lęków i uprzedzeń, które dzielił z innymi katolikami na Słowacji. Czyż Żydzi nie zamordowali Chrystusa? Czyż nie są wrogami Boga, a przez to wrogami wszystkich porządnym ludzi na tej ziemi? Tak myślał Dawid, a im więcej zastanawiał się nad swoją niechęcią do Mileny, tym częściej dochodził do wniosku, że nie może jej darować ani sekundy z tego upokorzenia. Teraz nienawidził jej podwójnie – za to, kim była, oraz za swoje upokorzenie.

Odtąd zajadle tropił wszelkie przejawy żydowskich oszustw i złodziejstw. Nie przejmował się tym, że nie ma pracy i że utrzymuje go stara matka, która karmiła ich tym, co wyżebrała od dobrych ludzi. Prześladował Żydów napotykanym na ulicy, tłukł szyby w żydowskich sklepach i marzył o zemście na Milenie. W gruncie rzeczy jednocześnie pożądał jej i nienawidził. Wielokrotnie wyobrażał sobie, jak ją torturuje, a potem bierze tak, jak prawdziwy żołnierz bierze kobietę na wojnie.

Aż wreszcie nadszedł ten dzień. Koledzy gwardziści powiedzieli mu, że rankiem następnego dnia ma być organizowany transport. Z siebie tylko znanych powodów Niemcy chcieli, aby znalazły się w nim tylko kobiety. Dawid stwierdził, że wśród nich musi być Milena.

* * *

Tego właśnie dnia Luna na próżno czekała w klubie na pojawienie się Mileny. Bardzo się o nią bała. Po mieście rozeszły się plotki, że Gwardia Hlinkowa dokonała prowokacji antyżydowskich. Czasem żałowała, że nie namówiła przyjaciółki na ucieczkę na Węgry. Luna miała przecież ważny paszport i węgierską wizę. Mąż czekał na nią w Budapeszcie. Wszystko mogli zacząć od nowa. Ale Luna nie po raz pierwszy w życiu stała się niewolnicą własnego uczucia do innej kobiety.

Gdy Milena nie pojawiła się na próbie, zirytowana Luna wyruszyła na poszukiwanie dziewczyny. Intuicja podpowiadała jej, że musiało się coś stać. Milena nie pozwoliłaby sobie na opuszczenie próby do przedstawienia, w które włożyła mnóstwo pracy. Luna narzuciła na siebie jesionkę i nie bacząc na dojmujący ziąb bratysławskiej ulicy, poszła szukać tej, dla której żyła.

* * *

Dawid i jego koledzy zatrzymali Milenę w okolicach jej mieszkania. Świadkiem zatrzymania było jednak zbyt wielu ludzi, co uniemożliwiło Dawidowi zgwałcenie dziewczyny. Uderzył ją tylko z całej siły w twarz i odprowadził do innych aresztowanych tego dnia Żydówek.

Część z nich miała na sobie zaledwie liche ubrania, ponieważ większość hlinkowcy oraz słowaccy policjanci wyciągnęli z domów. Milena, głęboko upokorzona i wściekła, że tak łatwo dała się ująć, patrzyła pełna irytacji na szczelny kordon rumianych chłopaków z Gwardii Hlinkowej oraz słowackich policjantów, a także na tych przechodniów, którzy widząc żydowskie kobiety na dworcu, po cichu przeklinali je i złorzeczyli. Tylko nieliczni domagali się wypuszczenia kobiet.

Po dwóch, może trzech godzinach na stacji pojawił się skład złożony z kilkunastu bydłowych wagonów. Hlinkowcy zaczęli popychać kobiety w ich kierunku. Milena nie chciała wsiadać. Zapytała jednego z policjantów, dokąd mają jechać.

– Do pracy – padła lakoniczna odpowiedź.

Ale to wyjaśnienie nie uspokoiło dziewczyny. Po raz pierwszy widziała, że do bydłowych wagonów wpychani są ludzie. W tym

tumulcie usłyszała tylko, jak Dawid krzyczy, że dobrze jej tak, żydowskiej suce.

* * *

Luna prawie biegła, tak bardzo chciała zdążyć. Wiedziała, że Milena mogła pójść tylko do starego lokalu, gdzie mieszkała razem z rodzicami. Potem go wynajęła i przeniosła się do pokoju w budynku kabaretu, ale czasami wpadała tam odebrać czynsz. I tej wątpliej nadziei uchwyciła się Luna. Okazało się, że zatrzymanie Mileny widział między innymi dozorca. Opowiedział Lunie, że zabrali ją hlinkowcy i ten Dawid, któremu miała „dołożyć”. Luna zdawała sobie sprawę, że Milena zostanie wywieziona. Nie zadając dalszych pytań, pospieszyła na dworzec. Na szczęście mieszkanie Mileny znajdowało się niedaleko.

Gdy wpadła na stację, miała jeszcze cień nadziei, że dziewczyna tu jest i że uda się ją cudem z tego wyciągnąć. To była logika serca. Rozum podpowiadał Lunie, że Milena jest stracona. Ale zarazem serce skłaniało się ku jeszcze jednej możliwości, ostatecznej. Wiedząc już, co powinna zrobić, podeszła do słowackiego policjanta, który wesoło rozmawiał o „transporcie żydowskim” z kilkoma młodymi hlinkowcami.

– Ja też jestem Żydówką – powiedziała.

Policjant i hlinkowcy popatrzyli na nią jak na wariatkę. W końcu funkcjonariusz roześmiał się szyderczo i chwycił ją za rękaw jesionki, mówiąc:

– Jesteś stuknięta, ale nam wszystko jedno, kto pojedzie. Odprowadził kobietę do wagonu. Wsiadła jako jedna z ostatnich. Nie rozpaczała, choć przeczuwała, że już nigdy nie wróci do Bratysławy. W wagonie, wśród przerażonych kobiet, pomyślała, że miłość naprawdę jest ślepa. Po raz pierwszy w życiu czuła się bezwarunkowo szczęśliwa.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział XIV

WROTA PIEKIEŁ

Auschwitz, styczeń 1942

Pociąg osobowy z Krakowa do Bielska zatrzymał się na stacji Auschwitz. Pasażerowie musieli szczelnie zaciągnąć rolety w oknach przedziałów. Franz ocknął się z drzemki. Towarzysz podróży, trzydziestokilkuletni esesman w randze SS-*Untersturmführera*, blondyn o pociągłej inteligentnej twarzy, uprzedził go, żeby lepiej wysiedli.

– Tak, zdrzemnąłem się odrobinę – powiedział Franz. Wstał, wygładził mundur, włożył czapkę z trupa główką, a następnie chwycił z półki dużą walizkę. Mężczyźni wysiedli na dworcu. Napis na tablicy informacyjnej oznajmiał:

AUSCHWITZ BHNF

Franzowi ta nazwa nic nie mówiła, choć w okupowanej Polsce miała coraz straszliwszą i złowrogą sławę. Jednak on tego jeszcze nie wiedział.

– Jest pan nowy? – zapytał oficer.

– Tak mi się wydaje – odparł Franz, zarazem mając wrażenie, że to przecież oczywiste.

– Gdzie pan mieszka? Ma pan już przydział?

– Gdzieś włożyłem to papierzysko – stwierdził.

– Pewnie dostał pan hotel – powiedział oficer tonem znawcy.

Powinien najpierw zanieść tam walizy i dopiero potem załatwić wszystkie formalności związane z nowym miejscem pracy. Franz sięgnął zatem za pazuchę. Wydobył złożoną na czworo kartkę z przydziałem.

– Faktycznie, hotel.

– Znajduje się naprzeciwko dworca – poinformował nieznajomy

oficer. – Bardzo blisko. Zaniesie pan tam swój bagaż i pójdzie pan ze mną do komendantury. Zaprowadzę pana.

Franz zdziwił się tą uprzejmością.

– Dziękuję, *Herr Untersturmführer*.

– Nie ma pan za co dziękować. Musi pan się stawić u komendanta w dniu przybycia. Taka jest procedura – dodał nieznajomy.

– Tak, faktycznie – Franz potaknął, jak przystało na nowicjusza.

Jego rozmówca wyglądał tak, jakby wracał z urlopu. Postanowił się przedstawić, skoro oficer zagadnął go pierwszy i okazał uprzejmość.

– Franz Weimert.

– Nazywam się Kurt Guntz. Jestem podporucznikiem SS i pracownikiem komendantury. Odpowiadam za organizację rozrywek kulturalnych dla załogi.

– To ciekawa praca. – Franz chciał coś powiedzieć, tylko, żeby nie zabrzmiało to idiotycznie.

– Na pewno lepsza niż praca lekarzy – powiedział Guntz z wyraźnym niesmakiem. – A pan jaki ma przydział?

– Chyba magazyn.

– A, to się pan nie napracuje.

Untersturmführer Guntz wskazał ręką kierunek. Przeszli halę dworcową i wyszli na mały placyk. W dwupiętrowej, małej i zadbanej kamienicy dokładnie naprzeciw dworca mieścił się hotel dla esesmanów. Członkowie załogi mogli tam mieszkać, dopóki nie znaleźli lokum bliżej obozu. Dokoła znajdowały się bowiem domy wysiedlonych przymusowo Polaków.

Franzowi przydzielono pokój dwuosobowy. Ktoś już w nim mieszkał. Ale na zapoznanie się ze współlokatorem przyjdzie jeszcze czas, pomyślał. Pozostawił walizy i wrócił do czekającego Guntza.

– Przed panem rozmowa z komendantem – powiedział towarzysz, gdy już szli po żwirowej alei prowadzącej do obozu.

– Powinienem się obawiać tej rozmowy? – zapytał Franz

półzartem.

Guntz się uśmiechnął.

– O tak, komendant Hoss jest perfekcjonistą.

Guntz krótko scharakteryzował nowego przełożonego Franza. Hoss był surowym dowódcą, przeczulonym na punkcie regulaminu. Pozwalał jednak na dużo, gdy tylko przekonał się, że esesman jest bezwzględny i wypełnia wszystkie rozkazy. Dla więźniów Hoss był władcą absolutnym, kimś w rodzaju boga, ponieważ miał nad nimi władzę życia i śmierci. Franz dobrze trafił z przydziałem pracy. Magazyny podlegały wydziałowi czwartemu obozu, w którym pracował też Guntz. Nikt się tam nie przepracowywał; spokojna, biurowa robota. Tylko trzeba będzie czasem dołożyć więźniom z magazynu.

– Te polskie świny słabo pracują, jeśli się nie dba o dyscyplinę. A my będziemy mieli okazję się widywać – powiedział oficer.

Guntz pracował w Auschwitz od ponad roku. Organizował imprezy kulturalne dla załogi. Esesmani najbardziej lubią sprośne sztuki komediowe, nieprzyzwoite piosenki, czasami wyjazd do kina w pobliskim Bielsku. Auschwitz to nie miejsce dla intelektualistów. Esesmani z dyplomem wyższej uczelni należeli do mniejszości; byli to przede wszystkim lekarze oraz część śledczych w obozowym Gestapo. Poza nimi w obozie służyli wychowawcy kolonii karnych, rzeźnicy, piekarze, stróże, taksówkarze, masarze, kupcy i sklepikarze. Guntz poradził Franzowi, by starannie wygładził mundur przed spotkaniem z komendantem. Hoss obsesyjnie lubił sprawdzać, czy wszystkie guziki są zapięte. I ponoć byli tacy, którzy już wylecieli z Auschwitz na front wschodni za niechlujstwo w ubiorze.

Szli kilkanaście minut zwirową drogą wzdłuż rzeki. Doszli w końcu do ceglanych budynków przypominających Franzowi wojskowe koszary. Guntz wyjaśnił, że przed wojną mieściły się tu koszary. Przekształcenie ich w obóz koncentracyjny to zasługa Hossa. Teraz, przekonywał Guntz, z tego miejsca trudno uciec. Wszystkich Polaków mieszkających między Wisłą i Sołą wysiedlono jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Rozmawiając, minęli

trzy linie wartownicze i dotarli do trzech dużych budynków z czerwonej cegły położonych poza drutami. Wygładziwszy mundur, Franz ruszył obok szpitala SS do murowanego budynku usytuowanego na prawo od prowizorycznego krematorium. Jak wyjaśnił Guntz, była to komendantura.

Kiedy Franz spotkał się z komendantem w jego gabinecie, odniósł wrażenie, że ma do czynienia z groźnym, drapieżnym sępem, ukrytym pod beznamietną urzędniczą powierzchownością. Hoss wstał zza biurka zawalonego stosami papierów i obejrzał uważnie mundur Franza w poszukiwaniu nawet najmniejszego uchybienia. Upewniwszy się, że nowy esesman wygląda nienagannie, uprzejmie zapytał go, skąd pochodzi i jak sobie wyobraża pracę tutaj. Franz spokojnie odparł, że jest Austriakiem i że ma pracować w jednym z magazynów. Hoss oznajmił, że cieszy się, iż w jego obozie służy tylu Austriaków, i dorzucił, że przydziela Franza do *Effektenkammer*, jednego z głównych magazynów odzieży więźniarskiej. Zapowiedział, że będzie przełożonym surowym, ale doceniającym oddanie dla Niemiec i Führera. Franz stuknął obcasami i w nazistowskim geście wzniósł rękę. W drodze powrotnej wstąpił do Guntza, którego biuro znajdowało się w tym samym budynku. Nowy kolega od razu zapytał, gdzie „stary” przydzielił Franza.

– Główny magazyn odzieży więźniarskiej, *Effektenkammer* – powiedział rzeczowo Franz.

– W żargonie obozowym to nazywa się Kanada – powiedział Guntz.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony Franz.

– Bo tam są wszystkie ubrania i rzeczy odebrane więźniom. Tam jest źródło dochodu Rzeszy z tego interesu. Kanada to przecież synonim bogactwa, nieprawdaż?

– Nigdy nie byłem w Kanadzie – odparł Franz.

Guntz się zaśmiał.

– Ja też nie byłem w Kanadzie. Jesteś jeszcze nowy – powiedział Guntz, poklepując go po ramieniu – ale nauczysz się. Najważniejsze jest to, że pracujesz pod dachem, a nie jak ci

strażnicy, którzy muszą pilnować tych polskich i żydowskich świń w czasie pracy. Nie natrudzisz się w magazynie, jeśli lubisz papierkową robotę.

– Myślę, że dam sobie radę.

– Z pewnością – rzekł Guntz.

Oficer zaproponował, żeby przeszli na ty, ponieważ obaj byli Austriakami. Wyraził też chęć spotkania się z Franzem w czasie wolnym od pracy. Przyznał, że w Auschwitz nie miał zbyt wielu kolegów na poziomie. Franz podziękował Guntzowi i się pożegnał.

Młody Weimert odniósł wrażenie, że trafił do bardzo sprawnie zarządzanego obozu, i zupełnie nie przejmował się losem innym niż swój własny. Nie myślał wtedy, że tuż obok za drutami umierają ludzie. Pomyślał jedynie, że z Auschwitz jest niedaleko do Austrii i że na pewno zdoła się wyrwać do domu. Zauważył też, że Guntz uznał, że jego stanowisko pracy będzie wiązało się z bogactwem. Nie rozumiał wówczas, że od samego początku zostanie wystawiony na niespotykane pokusy.

W pokoju znajdował się już jego drugi lokator, SS-Rottenführer Oskar Groning, księgowy liczący dwadzieścia dwa lata. Franz pomyślał, że to dobre połączenie, magazynier i księgowy. Poza tym byli w tym samym wieku i kolega pochodził z Bremy. Groning był małomówny i nie sprawiał wrażenia zainteresowanego pogłębieniem znajomości. Franz uznał więc, że chyba się nie zaprzyjaźnią.

* * *

W ciągu kilku następnych tygodni Franz stopniowo wrastał w obozowy aparat terroru. Stawał się jego częścią, małym trybikiem w maszynie niszczenia człowieka przez innego człowieka. Starał się być naprawdę dobrym magazynierem. Zachowywał się przy tym jak cyniczny widz. On nie musiał uczestniczyć w egzekucjach i apelach, ale słyszał o nich wystarczająco dużo i stwierdził, że nic go to nie obchodzi. On wykonywał tylko swoją pracę. Jednak pracując w sekcji sortującej mienie nowo przybyłych więźniów, okłamywał coraz bardziej swoje własne sumienie.

Dzień zaczynał dosyć wcześnie. Wstawał o piątej. Golił się

i mył w umywalce, a potem wychodził na śniadanie do dworcowej kantyny. Jadł białe pieczywo z wędliną, pił kawę zbożową z mlekiem, a około szóstej kierował się do obozu.

Oczywiście więźniowie musieli być na nogach od czwartej. Ich piekielny poranek był brutalną walką o kubek lury zwanej kawą oraz o załatwienie potrzeb fizjologicznych. Więźniowie musieli wykonywać wszystkie czynności w nieustannym pośpiechu, byli bici i lżeni przez kapo. Na Franza nikt nie krzyczał.

Gdy docierał do swojego biura, starał się zawsze rozpocząć dzień od kubka gorącej herbaty z mlekiem. Przypominało mu to rytualne popijanie babcinej bawarki w Drasenhofen. Potem sprawdzał stan kartoteki więźniów. Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w obozie Auschwitz znajdowało się ponad dwadzieścia tysięcy mężczyzn, przeważnie Polaków, osadzonych z powodów politycznych. Przebywali tu także radzieccy jeńcy wojenni. Jeśli jakiś więzień zmarł poprzedniego dnia i fakt ten odnotowano na porannym apelu, Franz się o tym dowiadywał. Rzeczy zmarłego zdeponowane w magazynie stawały się własnością Rzeszy Niemieckiej i mogły być wykorzystane na różne sposoby. Nie miało znaczenia, jak zmarł więzień; mógł zostać zaduszony przez sadystycznego kapo, zabity w czasie pracy lub zastrzelony podczas „próby ucieczki”, mógł też popełnić samobójstwo, idąc „na druty”, lub umrzeć z wycieńczenia. Franza to nie interesowało. Odnotowywał jedynie te wszystkie informacje z podziwu godną starannością. Wypełniając kartę rejestracyjną, zapisywał wszystkie rzeczy, z którymi nieszczęśnik przybył do kacetu. Każdy strzęp odzieży, grzebień, ucięte pukle włosów ukochanej dziewczyny, zdjęcia rodzinne, zegarki, termosy, marynarki, skarpety, buty wszelkiego rodzaju i rozmiaru, a także – co bardzo interesowało byłego ministranta – różańce, książeczki do nabożeństwa oraz złote i srebrne medaliki. Franz bardzo nie lubił dotykać dewocjonałów. Miał wrażenie, że parzą go w ręce. Przypominały mu bowiem, kim niegdyś był. Kiedy dotykał różańca, na jedną niewyobrażalnie krótką chwilę rodziło się w jego sercu pytanie, co stało się z tym sumiennym i dobrym ministrantem z kościoła w Drasenhofen. Ale

zaraz *Unterschurführer* Weimert szybko tłumił ten mały wyrzut sumienia. Teraz był innym człowiekiem: moim honorem jest wierność, powtarzał. I znów czuł się dobrze.

Franz lubił natomiast oglądać zegarki. Jednym z najładniejszych był srebrny zegarek na łańcuszku, który należał do krakowskiego licealisty, zmarłego z głodu którejs marcowej nocy. Widniał na nim napis, którego Franz nie mógł zrozumieć, ponieważ nie znał polskiego:

UKOCHANEMU STASIOWI NA URODZINY MAMA

Podczas gdy on oglądał należące do nich przedmioty, Staś i inni martwi więźniowie płonęli w krematorium numer jeden, w piecach opalanych koksem. Wreszcie zmęczony urzędniczą krzątaniną, kończył protokół, przystawiał pieczętkę, podpisywał papier, po czym odkładał dokument na stertę innych. Tygodniowo przybywało ich kilkadziesiąt, miesięcznie kilkaset. Ale Franz nie przejmował się tym, że tych ludzi już nie ma. On przecież wypełniał tylko papiery. Jeden mniej, jeden więcej, jaka to różnica? Rzeczy pakował do woreczka i go plombował. Odkładał na miejsce. Przedmioty po zabitych trafiały do Wrocławia, gdzie raz jeszcze je selekcjonowano, kradnąc przy okazji, co się da, a potem przekazywano niemieckim rodzinom.

* * *

Franz pojął, skąd wzięła się rada Guntza, by mieć czas na relaks i dystansować się do własnej pracy. Czasami po prostu trudno było mieć do pracy dystans. Był marzec i Franz wracał z innego magazynu, zwanego *Bekleidungskammer*, gdzie trzymano odzież przeznaczoną dla więźniów. Idąc żwirową aleją obok kuchni, skierował się w stronę bramy głównej, żeby jak najszybciej dojść do swojego biura. Magazyn, w którym pracował, znajdował się kilkaset metrów od obozu macierzystego.

Zupełnie nie zwracał uwagi na wytresowanych więźniów, którzy na jego widok natychmiast zdejmowali czapki. Przyjmował to jako należny mu gest. Ale wtedy z niewiadomych przyczyn spojrział w lewo. Ujrzał komando *Leichenträgern*, więźniów wyszukujących i zbierających z całego obozu zwłoki. Czterej

wychudzeni młodzi ludzie z nabożnym niemal lękiem czekali na to, aż przejdzie. Ile trupów leżało na taczkach? Dziesięć? Może więcej? Dwadzieścia? Trzydzieści? Franz nigdy nie widział tyle ciał. Zapamiętał wyraźnie te szczątki ludzkie, przypominające manekiny schwymane w pułapkę bezdusznej i bezsensownej śmierci. Ciała były oblepione brudem i ropą z ran, odarte ze wszystkiego, a zwłaszcza z godności.

W swoim magazynie esesman Franz Weimert stwierdził, że jest zupełnie rozkojarzony. Wstrząsający widok sprzed kilku chwil odczuł jako dysonans. Powiązał nieuchronnie segregowane i katalogowane przez siebie przedmioty z ludźmi, których trupy widział przed kilkunastoma minutami. Przez resztę dnia nie mógł pracować tak wydajnie, jak chciał.

* * *

Ze wszystkich dni Franz najbardziej lubił niedzielę. Bynajmniej nie ze względu na dawne przekonania, ponieważ przebywając w Auschwitz, nie uczęszczał do kościoła. Religia już go nie interesowała. Niedziela była dniem, kiedy Franz mógł zjeść bardzo dobry obiad w kantynie dla SS w towarzystwie Kurta Guntza.

Na paradoks zakrawało to, że wśród esesmanów panowały dość chłodne stosunki. W kantynie wokół znanych postaci tworzyły się małe grupki. Szef pola więźniarskiego w obozie męskim, malutki i sadystyczny Bawarczyk Hans Aumeier, miał swoją klikę, a wyrachowany i zimny pokerzysta Maximilian Grabner, esesman z obozowego Gestapo, swoją. W ogóle ludzie z *Politische Abteilung*³ trzymali się razem; własne towarzystwo lubili też lekarze SS, bardzo zwarci i wpływowi. Wspólnie jedli posiłki, odwiedzali się po pracy z rodzinami. Każda koteria ciągnęła w swoją stronę.

Była też grupa ludzi samotnych, starających się trzymać razem. Według Guntza najgorszym łotrem ze wszystkich był Gerhard Palitzsch, podoficer raportowy, którego bali się gestapowcy i lekarze. Zajmował się na boku jakimiś ciemnymi sprawami i nie należało mu wchodzić w drogę.

– Możesz mieć z nim czasami do czynienia – powiedział Guntz,

grzebiąc widelcem w pełnym talerzu. – Jesteś magazynierem. Daj mu to, czego będzie chciał. Dobrze radzę.

Franz zwrócił uwagę na Palitzscha, który nie był wiele starszy od niego i przyprowadził do kantyny młodą, ładną kobietę.

– Jest żonaty? – zapytał Franz.

– Tak, jest ładna, prawda?

Franz potwierdził ruchem głowy.

– A wyszła za faceta, który potrafi zastrzelić pod ścianą dwustu ludzi dziennie. Chyba są dobrym małżeństwem.

Franz zakrztusił się z wrażenia.

– Co takiego?

Guntz przełykał właśnie kęs dobrze wypieczonej polędwicy wołowej, kiedy zorientował się, że Franz nie wie, z czego sływał w obozie Gerhard Palitzsch.

– Palitzsch potrafi zastrzelić dwustu więźniów dziennie. Jest tak zahartowany psychicznie, że mógłby zabijać bez przerwy. Nawet nasz stary się go boi.

Mówiąc „stary”, Guntz miał na myśli komendanta obozu Hossa. Franz nagle stracił apetyt, mimo że na talerzu znajdowały się jeszcze spora porcja sałatki z czerwonej kapusty, opiekane ziemniaki i smażona karkówka. Na widok reakcji kolegi Guntz zapytał:

– Wiesz, w co się wpakowałeś, przyjeżdżając tutaj na służbę?

– Miałem do wyboru front pod Leningradem albo Auschwitz.

– To faktycznie, nie miałeś wyboru – potwierdził zniesmaczony Guntz. – Mój front skończył się na Francji. Tam przynajmniej było w miarę szybko, ale Rosja... brr... – Guntz wzdrygnął się z obrzydzenia.

Obydwaj spojrzeli na Palitzscha i jego żonę, którzy zasiedli trzy stoły dalej. Pociągnęła twarz podoficera, młoda, przystojna, miała w sobie coś nieludzkiego. Franz zrozumiał, że ten człowiek zabijał jak maszyna, ponieważ dla niego ludzie, których zabijał, byli niczym. Pomyślał, że nie chce być takim człowiekiem jak ten młody kat. Zabicie Bastiana okupił ogromnym cierpieniem. Czuł, że od śmierci przyjaciela nieustannie karłowacieje jego wolna wola, że

kurczy się jego dusza i że nie ma chwili oddechu. Od czasu egzekucji Bastiana odczuwał jedynie nieustanny ból i cierpienie mordercy. Życie powoli stawało się dla Franza piekłem.

Zasypiając wieczorem, pomyślał, że chciałby mieć szansę, żeby odkupić zabicie Bastiana. Zastanowił się nawet, czy nie powinien się pomodlić, ale szybko porzucił ten zamiar. Dobry Pan Bóg z jego dzieciństwa rozpryskiwał się w tysiące drobnych ziarenek, gdy Franz pomyślał, że każdego dnia wypisuje kilkadziesiąt nowych dokumentów sumujących mienie zmarłych więźniów. Zasypiając, miał wrażenie, że Auschwitz było jedynym miejscem na ziemi, do którego Pan Bóg nie zagląda z nieba.

* * *

Następnego dnia przywieziono do obozu grupę więźniów politycznych z aresztu śledczego w Katowicach. Więźniowie ci otrzymali wyroki śmierci od sądu doraźnego. Mieli zostać rozstrzelani na żwirowisku.

Komendant, chcąc zdyscyplinować załogę, zarządził losowanie składu plutonu egzekucyjnego. I znów, jak w Saksonii, trafiło na Franza. Bardzo go to zdenerwowało. Wiedział bowiem, że w zadawaniu komuś śmierci nic nie jest takie proste, jakby mogło się wydawać. Przed egzekucją Bastiana myślał, że jednak jest: wziąć karabin, przeładować i strzelić.

Był tak wściekły z wyniku losowania, że swą złość postanowił wyładować na kilku młodych polskich więźniach, którzy pracowali w magazynie. Jego komando miało opinię bezpiecznego, ponieważ praca pod dachem ułatwiała przetrwanie zimy zbierającej straszliwe żniwo wśród więźniów. Franz zauważył, że Polacy bumelowali, oszczędzając siły na dalsze trudne dni. Jeden z nich przymierzał akurat wyciągnięte z magazynu ciepłe wełniane spodnie. Franz złapał pasek do spodni z ciężką sprzączką. Rozdawał razy na lewo i prawo. Młodzi więźniowie mieli już doświadczenie i wiedzieli, jak ustawić się do bicia tak, żeby uchronić brzuch i twarz. Zwijali się przy tym jak biedne psy katowane przez złego właściciela. A Franz bił bez opamiętania z coraz większą zajadłością, ale nie za to, co zrobili, tylko dlatego,

że Bastian nie żył, że Lorenz był kaleką, że Friedrich zginął, a nade wszystko za to, że on jest w tym obozie i że znów będzie musiał zabijać.

Jednemu z więźniów rozharatał głowę, a dwu innych bardzo mocno pokiereszował ciężką sprzączką. Trzej Polacy jęczeli pod jego butami. Jeden z nich, zapewne uczeń, płakał z bólu. Franz opamiętał się dopiero wtedy, kiedy młody więzień zaczął całować go po butach. Franz nigdy wcześniej nie spotkał się z takim zachowaniem. Zapytał chłopaka:

– *Was machst du? Bist du verrückt?*⁴

Więzień podniósł ziemistą, brudną, umęczoną twarz. Franz przez krótką chwilę popatrzył w jego szare oczy, pełne cierpienia, i ujrzał w nich człowieka. Propaganda SS odczłowieczała wrogów państwa niemieckiego i sprawiała, że Niemcy bezwiednie stawali się bestiami. Tak jak on przed pięcioma minutami.

– Niech pan mnie już nie bije... błagam – prosił chłopiec.

I znów z nabożnym lękiem całował wysokie skórzane buty Franza, który poczuł się idiotycznie. Nie znał wprawdzie polskiego, ale zrozumiał, że więzień błaga o litość i że jest na skraju wyczerpania.

– *Raus*, wracać do pracy! – wrzasnął po niemiecku Franz.

Ze wstrętem odsunął nogę od polskiego więźnia. Odwrócił się i poszedł do swojego biura. Usiadł na krześle. Ciężko dyszał. Czuł się bardzo zmęczony. Zdał sobie sprawę, że jest naprawdę samotny w tym piekielnym miejscu. Został sam na sam z wyrzutem sumienia, nagłym i niespodziewanym, wywołanym przez oczy polskiego chłopca. Teraz Franz zrozumiał, że samotność kata smakowała jak popiół z wypalającego się ogniska. Franz Weimert stał się katem, w którym dopalały się resztki sumienia.

Najchętniej napiłby się teraz wódki, ale bał się, że komendant podczas egzekucji poczuje od niego woń alkoholu. Franz wiedział, że musi zabić na zimno, z pełną świadomością. Wstał z krzesła i rzucił w kąt niedopałek papierosa. Wygładził mundur. Nałożył czapkę z trupa główką i wyszedł z baraków magazynu. Zmierzał szybkim krokiem w stronę mającego w pobliżu obozu

macierzystego, do wartowni zwanej Blockführerstube. Tam komendant zarządził zbiórkę plutonu egzekucyjnego.

* * *

Skazańcy, kilku mężczyzn oraz dwie kobiety, mieli umrzeć na zwirowisku, gdzie w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego roku dokonano pierwszej zbiorowej egzekucji przez rozstrzelanie. Proces przed doraźnym sądem w osławionym bloku jedenastym trwał krótko. Podsądnych nie wciągano do ewidencji obozu, a więc w praktyce nie byli więźniami, tylko skazanymi na śmierć ludźmi, których natychmiast po przybyciu rozstrzeliwano. Tym razem egzekucję osobiście nadzorował komendant Hoss, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Ośmiu skazanych na ośmiu esesmanów, którzy widzieli twarz człowieka, którego zabijali.

Franz zastanawiał się, do kogo będzie strzelał. Czy do starszego mężczyzny w znoszonej, przybrudzonej marynarce? Może do księdza w sutannie z podbitym okiem, który bez przerwy się modlił? A może do grubej dwudziestoletniej dziewczuchy z jakiejś wsi, z rumianym licem i tłustymi, od dawna niemytymi włosami? Franza bardzo zirytował jej widok. Nie lubił, gdy kobiety nie dbały o siebie. Uważał, że powinny przykładać większą wagę do tego, czy wyglądają ładnie po śmierci. Wśród skazanych znajdował się jeszcze czternastoletni harcerz, bardzo chudy i śmiertelnie przerażony. Drżał jak osika w lodowatym wietrze. Szybko przeplatał „Ojciec nasz” z „Wierzę w Boga”. Modlił się z mało męskim, ale zupełnie naturalnym w owej chwili łkaniem. Harcerz nie miał już złudzeń. Franz też ich nie miał i zmierzył chłopaczka lodowatym spojrzeniem. Ale po losowaniu, gdy upewnił się, że musi zabić harcerza, pojął, że nie będzie łatwo mu strzelić. Przez chwilę pożałował, że nie mógł strzelać do jednego z tych butnych Polaków, którzy w obliczu śmierci wykrzykiwali jakieś patriotyczne hasła. Wtedy w kacie, takim jak Franz, budziła się złość. W złości łatwiej się zabija. Ale ten młodzieńcy harcerz dygoczący ze strachu przed wielką nieodwracalnością nie był łatwym celem. Franz bał się, że tuż przed naciśnięciem spustu zobaczy twarz Bastiana.

Rozstrzeliwanych ustawiano parami. Dziewucha o tłustych

włosach i jakiś mężczyzna krzyczący o wolnej Polsce zginęli jako pierwsi. Chłopkę musiał dobić strzałem w głowę asystujący podoficer. Komendant Hoss był wściekły. Należy oszczędzać niemieckie kule, mówił do pozostałych esesmanów. Hoss nie lubił niecelnych strzałów. Spudłowanie podczas egzekucji to niedoskonałość. A esesman musiał być doskonały w zadawaniu śmierci. Poza tym dwa pociski, z których jeden mógłby zostać przeznaczony dla jakiegoś innego wroga Rzeszy, to rozrzutność. Skandal, wrzeszczał zirytowany Hoss.

Teraz kolej na Franza. Jego harcerz został przyprowadzony na skraj zwirowiska. Chłopak nie był w stanie stać. Ukłękł i płakał. Franza nie interesowało pytanie, do którego nieba pójdzie harcerz. Wiedział jedynie, że musi być dokładny. Nie chciał patrzeć dzieciakowi w twarz. Liczył się tylko precyzyjny strzał. Franz zamienił serce w głąz. Nie chciał nic czuć. Bo prywatnie to Franz nic do tego chłopaka nie miał. Może nawet, w bardziej sprzyjających okolicznościach, gdyby dane im było się spotkać w innym miejscu i innym czasie, mogliby się zaprzyjaźnić albo przynajmniej pogadać. A tak musiał go zabić i odebrać mu wszystko.

Harcerz jednak nie chciał wybawić Franza z kłopotu i szybko umrzeć. Rzucił się pod nogi podoficera, tuż przed komendą. Histeryzował. Zaklinał, żeby zabrać go do matki, bo on tylko ulotki roznosił, i że jeśli Niemcy wierzą w dobrego Jezusa, to niech go nie zabijają, bo on ma tylko czternaście lat. Ale podoficer też miał dość. Kopnął chłopaka w brzuch i powłókł nad rozpadlinę. Zwirowisko było w tym miejscu bardzo strome. Harcerz został odwrócony tyłem do Franza, dzięki czemu esesman znalazł się w lepszej psychicznie pozycji. Franz nie chciał widzieć twarzy ofiary. Polak na chwilę przed komendą Hossa przestał łkać. Zaczął się modlić. Komendant wrzasnął „cel”, a głośnie polskie „Zdrowaś Maryjo” niosło się po całym zwirowisku. Franz strzelił skazańcowi w plecy na wysokości mostka. Harcerz bezwładnie przewrócił się w dół, zsuwając się po zwirowisku śliskim od krwi. Na dole czekali na niego więźniowie, którzy sprząтали trupy. Podnieśli obryzgane krwią ciało, jeszcze

cieple i świeże. Oni byli ostatnimi towarzyszami tego młodego polskiego chłopca aż po syczący ogień pieców krematorium, który miał go pochłonąć w ciągu dwudziestu minut. Franz czuł wielką ulgę. Chciał tylko wrócić do swojego pokoju, napić się wódki i spać aż do rana.

Rozdział XV

POTEGA METAFORY

Guntz wygadał się Franzowi podczas któregoś z niezobowiązujących niedzielnych spotkań przy wódce, że komendantura przygotowuje się do przekształcenia Auschwitz w jeden wielki, nigdy wcześniej niespotykany konglomerat przymusowej pracy, śmierci i terroru. Koledzy wymieniali spostrzeżenia. Szczególne zainteresowanie Franza wzbudziła wzmianka, że wkrótce zostanie utworzony obóz kobiecy.

– Przyślą na pewno jakieś ładne towarzyszeki.

Guntz miał na myśli Niemki służące w formacjach SS jako *Aufseherinnen*, czyli strażniczki. Franz pomyślał, że być może to urozmaici mu jakoś czas. Dla samotnych esesmanów ciągle jeżdżenie do burdeli w Katowicach lub w Bielsku było finansowym obciążeniem. Franz korzystał z usług panienek w Sonnenstein, ale ryzyko zakażenia chorobami wenerycznymi odstręczało go od przygodnych kontaktów seksualnych.

Dzięki gadatliwości Guntza, który przy wódce robił się zadziwiająco szczery, serdeczny i wylewny, Franz dowiedział się wiele o naturze obozu i jego okolic. Przede wszystkim pogoda była tu do dupy. Zima i jesień okropne, a lata upalne i duszne. Guntz z wielkim szacunkiem mówił o komendancie.

Dla niego Hoss był ambitnym człowiekiem, który pragnął urzeczywistnić nową, nazistowską hierarchię świata. Esesmani na każdym kroku wmawiali swoim ofiarom, że Niemcy są innymi, lepszymi ludźmi. Właśnie stąd brała się przyczyna dbałości komendanta o najmniejsze drobiazgi. Trawnik obok komendantury miał być zawsze idealnie przystrzyżony, nawet gdy tuż obok na szubienicy wisiały trupy. Franz też musiał przyznać, że zaczyna obsesyjnie dbać o czystość w swoim magazynie.

– Widzisz, jak stary to wszystko urządził? – pytał podпиты Guntz.

Jest przecież wojna, myślał zawsze Franz, idąc do pracy rano,

a na wojnie giną ludzie. To truizm, ale był jednocześnie najbardziej perfidnym kłamstwem, jakie mogło zagnieździć się w jego sercu. Codziennie wdziewali mundur, szli do pracy, zabijali od ósmej do piętnastej, po czym wracali do domów i zamieniali się w dobrych mężów i kochających ojców.

Franz martwił się, że im większy stanie się obóz, tym więcej będzie w magazynie łańców do posegregowania. Jako nowicjusz nie zdawał sobie sprawy, że z punktu widzenia SS ważne były tylko dwa wskaźniki: liczba miejsc i statystyka umieralności. Im większy będzie obóz, tym większa umieralność. Ten dynamiczny wskaźnik powodował, że w obozie było miejsc aż nadto dla wszystkich więźniów. Guntz starał się wytłumaczyć Franzowi, że przy znacznym napływie nowych więźniów, zwanych *Zugange*, komendantura kładła nacisk na drugi wskaźnik. Franz miał na własne oczy przekonać się, jak to działa.

Zimą z tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego na czterdziesty drugi rok w Auschwitz znajdowało się ponad dziesięć tysięcy jeńców radzieckich. Franz dostrzegał w nich jedynie szarych, brudnych, zezwierzęconych bolszewików.

W drodze do pracy widział ich wielokrotnie zamkniętych w dziesięciu murowanych blokach oddzielonych od reszty kacetu i nazywanych obozem jenieckim. Władze obozu nie miały pojęcia, co z nimi zrobić ani do jakiej pracy ich przydzielić. Nie miały też zamiaru ich żywić, bo żeby jeść, należało pracować. Poza tym Guntz narzekał, że w budżecie obozu nie ma pieniędzy na żywienie jeńców, ponieważ ten obowiązek winna wziąć na siebie armia. Ale Wehrmacht żadnych pieniędzy przysłać nie chciał. Więc radzieccy jeńcy zaczęli puchnąć z głodu i umierać, błagając o kawałek chleba. Drugi współczynnik statystyczny szybko poszybował w górę. Ale Guntz żyjący tym, czym żyli biurokraci w komendanturze, stwierdził pewnej niedzieli podczas obiadu w kantine:

– Szkoda, że Ruscy umierają tak wolno. Wkrótce przyjadą pierwsze transporty kobiet. Trzeba zwolnić miejsce.

Mówiąc to, co każdego człowieka przyprawiałyby o dreszcz grozy, Guntz przeżuwał starannie kotlet schabowy i pouczał

Franza, że powinien równie starannie przeżuwać pożywienie. Przy okazji tych obiadów Franz dowiedział się z całą pewnością, że mniej więcej dwa i pół kilometra od obozu macierzystego powstaje nowy wielki obóz Birkenau, nazwany tak od dawnej polskiej wsi Brzezinka. Rosło tam wiele brzoź. Według Guntza to okropnie podmokłe miejsce. Wyjaśniał koledze, że wiosną trzeba tam przeprowadzić możliwie szybko gigantyczne prace odwaniające. Mieli się tym zająć więźniowie. Ilu z nich zginie, to już Guntza nie obchodziło.

* * *

Franz szedł polną drogą wzdłuż Soły. Było już późno, a on chciał jak najszybciej dojść do hotelu, zanim zupełnie się ściemni. Słyszał, że tego dnia jeńcy radzieccy mieli uprzątnąć wiele zwalonych drzew, których gałęzie połamały się pod ciężarem śniegu. Większość z tych ludzi ledwo stała na nogach. Praca była ponad ich siły. Franz minął komando bez słowa. Jednak z rowu, jakieś dwadzieścia metrów od głównej grupy jeńców zmagających się z gałęziami, dobiegał dziwny chrzęst. Rozległ się jeden donośny jęk, po czym chrobotanie stało się jeszcze bardziej donośne.

Było to trzech jeńców. Dwóch z nich kucalo i zjadało wątrobę trzeciego, zbyt wychudzonego i wątłego, by się bronić. Pożerali jego wnętrzności wprost z brzucha, nie bacząc, że ofiara jeszcze żyła i drgała w przedśmiertelnych konwulsjach. Franz stał jak zahipnotyzowany, przyglądając się temu makabrycznemu spektaklowi. Jeńcy nawet nie zauważyli, że są obserwowani, tak bardzo zaaferowani byli jedzeniem. Franz wyciągnął pistolet z kabury i przeładował. Dopiero ten dobrze znany z obozu dźwięk spowodował, że porzucili swą ofiarę i uciekli w ciemność nocy niczym dwa drapieżne wilki.

Wpatrując się dymiące na mrozie zwłoki, Franz, wstrząśnięty dreszczem obrzydzenia, schował pistolet. Spieszyło mu się do ciepłego pokoju. Miał dość na dziś. Pomyślał, że i tak wszyscy bolszewicy są skazani na śmierć. Poza tym nie chciało mu się wracać do bramy głównej obozu i meldować o wszystkim. Był zbyt zmęczony.

* * *

Gdy w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku utworzono obóz kobiecy, FKL, wywołało to wśród więźniów trudne do opanowania podniecenie. Większość mężczyzn od momentu przekroczenia bramy z napisem „Praca czyni wolnym” nie widziała kobiety. Oczywiście nikt z załogi SS nie przejmował się błyskawicznym znikaniem jeńców radzieckich. Szybko pustoszące bloki były napędce przygotowywane do przyjęcia kobiet. Powstający obóz kobiecy oddzielono od męskiego drewnianym płotem i tabliczkami z napisem *FKL*. Do Auschwitz przybył żeński personel złożony z niemieckich strażniczek SS oraz zdemoralizowanych więźniarek funkcyjnych. Przybyły one z Ravensbrück, osławionego obozu kobiecego. Franz brzydził się funkcyjnymi, uważając je za bestie zdolne do wszystkiego.

Powstał problem, w co ubrać przybywające kobiety. Magazyny nie miały dla nich dość pasiaków, więc Franz wpadł na genialny w swej prostocie pomysł. Po jeńcach radzieckich, z których ponad dziesięciu tysięcy pod koniec lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku żyło nie więcej niż dwustu, pozostała wielka góra zawszonych łachów, śmierdzących odchodami, brudem, ropą i krwią. Cóż zrobić z tymi szmatami? Oszczędność, której Franz dopiero się uczył, odpowiedziała mu, że w te łachy można ubrać przybywające kobiety, dopóki nie przyjdą zamówione pasiaki. Własne ubrania więźniarek miały trafić do Niemiec jako pomoc dla niemieckich kobiet i ich rodzin. Szmaty po jeńcach radzieckich nie kosztowały, więc budżet komendanta nie musiał dopłacać do kobiet. O swoim pomysle Franz poinformował przede wszystkim Guntza.

– Szybko się uczysz – powiedział oficer zadowolony, że jego nauki nie poszły w las i że Franz szybko pojmuje mechanizm funkcjonowania obozu.

Rozdział XVI

INFERNUM

Auschwitz, marzec 1942

Było przeraźliwie zimno. Padał coraz gęstszy śnieg, przykrywając cienkim białym woalem ciało zmarzniętej i udrećzonej ziemi. Od Soły nadlatywał nieprzyjemny powiew zgnilizny, który w mroźnym powietrzu rozchodził się znacznie szybciej i sprawiał wrażenie, jak gdyby to mróz był nadgniły, jak spleśniały chleb albo zepsuta brukiew.

Kiedy wywleczono już wszystkie kobiety z pierwszego transportu, Milena zaczęła gorączkowo zadawać sobie pytania, dokąd dotarły po dwóch dniach udrećki w bydłym wagonie. Podejrzewała, że mogą się znajdować w okupowanej przez Niemców Polsce, gdyż ich pociąg jechał z Bratysławy ciągle na północ. Dziewczyna przez szpary bydłego wagonu obserwowała pozycję słońca. Nazwa Auschwitz widniejąca na budynku dworca towarowego nic jej nie mówiła. Nie zdawała sobie sprawy, co to za miejsce. Nigdy wcześniej o nim nie słyszała.

Milena jako pierwsza zeszła po drewnianym podejściu. Odwaga miała jednak swoją cenę. Teraz trzęsa się z zimna w śnieżnej zamieci. Miała na sobie tylko lekką jesionkę. Zobaczyła Niemców w mundurach SS. Bała się ich. Jej zdumienie, przemieszane ze strachem, budzili także stojący nieopodal mężczyźni. Nigdy wcześniej nie widziała takich więźniów. Stali na mrozie w drewnianych chodakach, w niebiesko-białych pasiakach, jak stwory z Hadesu. To teatralne porównanie, zapewne nie na miejscu, było jedynym, jakie przyszło jej do głowy. Dziewczyna dostrzegła też, że więźniowie wpatrywali się w nowo przybyłe jak wygłodzone wilki; jak gdyby od lat nie widzieli kobiet. Wydawało

się, że więźniowie zupełnie zapomnieli, gdzie są. Jeden z mężczyzn zachowywał się jednak inaczej niż pozostali: głośno i bardzo butnie. Mówił wyłącznie po niemiecku. Był gruby i trzymał w ręku długi kij, którym bił innych więźniów. Do kobiet stojących obok powiedział coś w rodzaju „czuję zapach waszych cipek” i rzucał pod ich adresem bardzo ordynarne uwagi. Gdy stojący nieco dalej Niemcy w mundurach SS zaczęli zbliżać się do kolumny kobiet, natychmiast wyprostował się i przybrał postawę wiernego i czujnego psa wartowniczego, który czuje respekt przed swoimi panami z dwiema srebrnymi runami na czarnym kołnierzu.

Kapo zaczął z niesłychaną brutalnością ustawiać swoje komando. Gdy dwóch esesmanów podeszło do niego, natychmiast stanął na baczność i ryknął:

– *Mützen auf!*⁵

Więźniowie na komendę zdjęli czapki i stanęli na baczność. Kobiety nie wiedziały, co oznaczał rozkaz. Ostatnie chwile błogiej nieświadomości. Nie znały jeszcze reguł rządzących tym piekłem. Od grupki Niemców odłączyły się dwie kobiety w mundurach SS. Rozpoczęły liczenie. Dwadzieścia, dwadzieścia jeden, dwa, trzy... niosło się w powietrze. Gdzieś z tyłu zagwizdała lokomotywa, jakby na powitanie nowego transportu. Strażniczki w końcu zakończyły liczenie. Milena czuła, że z zimna drętwieją jej nogi.

Padła w końcu dokładna liczba: dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć kobiet i jeden mężczyzna. Ile przeżyje następny miesiąc? Tego nie wiedział nikt, nawet esesmani. To pierwszy kobiecy transport, gdyż obóz Auschwitz, znajdujący się o niecały kilometr od dworca towarowego, był do tej pory wyłącznie męskim piekłem.

Ów mężczyzna dodany do kobiecego transportu to był internista z bratysławskiego szpitala uniwersyteckiego, doktor Slavan Pressburger, znajomy rodziców Mileny, oddelegowany przez władze słowackie wraz z kobiecym transportem jako lekarz. Słowacy zadbali, żeby kobiety miały podczas podróży opiekę medyczną. Podobno na ten pomysł wpadł prezydent Słowacji, wielbny i pobożny ksiądz Jozef Tiso. Nikt się jednak nigdy nie dowiedział, czy świadomość, że wraz z transportem Żydów

wysłanych na kaźń jedzie dyplomowany żydowski lekarz, pomogła księdzu prezydentowi w zmyciu z siebie poczucia winy.

* * *

W powietrzu znów zaczęły wirować płatki śniegu. Był koniec marca, ale zima nie dawała za wygraną, trzymając świat w okowach lodu. Milena wytrzymała jakoś torturę długiego stania podczas liczenia, chociaż drętwiała z zimna. Nigdy nie przypuszczała, że może być jeszcze zimniej niż w ich mieszkaniu w Bratysławie.

Milena dostrzegła na rampie doktora Pressburgera. Znała go dobrze z czasów, kiedy opiekował się jej ojcem. Gdy jako jeden z ostatnich wyszedł z wagonu, dał wyraz swemu oburzeniu. Najwyraźniej rozumiał jeszcze mniej niż kobiety. Nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znalazł.

– Przecież mam dbać o zdrowie kobiet z transportu – mówił półgębkiem, całkiem na serio. – Jak tak można!

Nie dostałem żadnych lekarstw.

Pressburger poważnie traktował swoje obowiązki, nawet gdy nie mógł uczynić zbyt wiele. Ojciec Mileny był tego najlepszym przykładem. Stała tak blisko niego, ale bała się mu pokazać i powiedzieć, że nie powinien się głośno odzywać. Instynktownie wyczuwała, że nie mogło to przynieść nic dobrego.

Jeden z Niemców na widok mężczyzny w kobiecym transporcie, i do tego głośno mówiącego coś po słowacku, skierował się ku końcowi kolumny. Milena widziała go wyraźnie, ponieważ upiorne światło rzucało srebrzystoszare smugi na tonący w mroku dworzec. Esesman podszedł do Pressburgera.

– *Was ist hier los?*⁶ – zapytał.

Doktor Pressburger ucieszył się, że ma przed sobą kogoś kompetentnego. Mówił po niemiecku nienagannie, tak jak po francusku i włosku. Lekarz starał się zatem wyjaśnić, że transport odbywał się w skrajnie poniżających warunkach i jeśli władze niemieckie oczekiwały od niego opieki nad kobietami, winny były zapewnić mu minimum środków. Pretensje oraz zupełna nieświadomość powagi sytuacji zrobiły na młodym esesmanie

wrażenie. Ale tylko na krótką chwilę.

Młody Niemiec wyciągnął z kabury parabellum, przeładował je i bez namysłu strzelił lekarzowi w głowę. Pressburger padł martwy na ziemię. Dziewczyna poczuła zapach krwi.

Wtedy spojrzała na Niemca, zabójcę doktora. Był bardzo młody. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata. Pomyślała, że jest jej rówieśnikiem. Chowając pistolet do kabury, młody Niemiec też na nią spojrzał. Ich wzrok spotkał się nad trupem lekarza. Milena wyczuwała, że ma przed sobą zupełnie zobojętniałego i bezwzględного człowieka, który zabiłby ją z taką samą obojętną precyzją jak starego Pressburgera. Ta chwila, bardzo dla niej przejmująca, paradoksalnie miała jej pomóc w ciągu najbliższych dni. Aby przeżyć, musiała szybko zrozumieć, że trafiła do miejsca, gdzie nie liczą się żadne zasady i żadne reguły nie zapewnią jej przetrwania. Bała się tego Niemca. Nie miał żadnych ludzkich uczuć, a ona nie mogła sobie pozwolić na okazywanie własnych. Przez moment dworcowy reflektor objął ich lodowatym promieniem. Zimne światło odbiło się od metalowej trupiej główki na czapce esesmana. Dziewczynę przeszedł dreszcz.

Spuściła wzrok, aby nie prowokować zabójcy doktora. Wtedy jedna z niemieckich strażniczek wydała komendę: „w lewo zwrot, biegiem marsz”. Cała kobieca kolumna drgnęła niczym wielki wąż wyrwany z letargu. W rytm komend wydawanych przez strażniczki ruszyła w stronę obozu macierzystego.

* * *

Kobiety musiały biec truchtem, wysoko podnosząc kolana. Dla zmarzniętych i wykończonych straszliwą podróżą było to kolejną udręką. Więźniom funkcyjnym, tak kobietom, jak i mężczyznom, dręczenie przyszłych więźniarek kobiecego obozu w Auschwitz najwyraźniej sprawiało dużo przyjemności. Kolumna kobiet biegła zmrożoną, zwirową drogą, która prowadziła od dworca towarowego aż do bramy obozu.

Dworzec pozostał już dość daleko w tyle, kiedy Milena poczuła bolesne ukłucie w płucach. Najpierw jedno, a zaraz potem drugie, jeszcze boleśnieszce od poprzedniego. Przez umysł przemknęła jej

myśl, że być może nabawiła się zapalenia płuc podczas podróży w bydłych wagonach. Bardzo się tego bała. Chociaż nie знаła charakteru miejsca, do którego trafiła, nie miała złudzeń, że zapalenie płuc oznaczało wyrok śmierci.

Kapo i strażniczkom SS trucht nie wystarczał. Należało się rozgrzać. Trucht zamienił się w bieg. Kobiety poruszały się w zupełnych ciemnościach, co rusz wdeptując w zmrożoną kałużę. Na te, które nie potrafiły utrzymać zwartego szyku, spadały kije kapo i pejczy niemieckich strażniczek. Milena starała się wytrzymać tę pierwszą torturę. Mocne buty, które zdołała zabrać z domu, były już zupełnie przemoczone. Nie ściągała ich przecież od kilku dni. Nie miała pojęcia, że nawet one zostaną jej wkrótce odebrane. W zakamarku pamięci tkwiło ostrzeżenie ojca, że przemoczenie nóg to najpewniejszy sposób na złapanie przeziębienia. Dokładnie jak miało to miejsce podczas tej przerażającej zimowej sztafety.

Tymczasem biegnąca obok Mileny sześćdziesięcioletnia kobieta nie wytrzymała tempa i upadła. Instykt samozachowawczy podpowiadał dziewczynie, że nie może się odwrócić, by jej pomóc. To był wyścig po życie, w którym nie obowiązywały już żadne cywilizowane reguły. Gdzieś w oddali usłyszała jedynie stek przekleństw kapo, który bez litości kopał i bił starszą kobietę kijem po głowie. Kobieta krzyczała i próbowała się bronić, co rozwścieczyło kapo jeszcze bardziej. Bił, dopóki nie przestała krzyczeć. Nagle zapadła straszliwa cisza. Milena bała się tej ciszy bardziej niż krzyków. Domyślała się, co to oznacza.

Kto nie biegł w nocy, w zupełnych ciemnościach, ten nie ma nawet przedsmaku tego biegu. Serce pracuje na najwyższych obrotach, pompując krew do żył, a huk tej krwi wypełnia każdą komórkę. Mimo paralizującego zimna i zmęczenia trzeba jednak biec. Nie można się zatrzymać. Milena miała wrażenie, że widzi ją ojciec i podpowiada jej, że żarty się skończyły.

Po piętnastu minutach morderczego wysiłku padła komenda „stop”. Milena dyszała ciężko. Wysiłek sprawił jej wiele bólu, mimo iż myślała, że występy w klubie dały jej choć trochę kondycji.

Dobrze, że to koniec, pomyślała dziewczyna. Starła się złapać głęboki oddech, by ulżyć płucom spragnionym powietrza. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Jednak zarówno odblask latarni, jak i reflektorów prześwitujących zza zabudowań podpowiadały jej, że trafiła do miejsca przeznaczenia. To był obóz.

Kobiety czekały. Zgrzane i zmęczone biegiem, teraz zostały wystawione na pastwę marcowego, zdradliwego mrozu. Zza chmur pokazał się księżyc. Jego srebrzystobiały, blady, ale wystarczająco jasny owal oświetlił okolicę. Na lewo od miejsca, gdzie stały, płynęła rzeka, nad którą wyrastały rozłożyste wysokie topole. Ich przeraźliwie chude konary wznosiły się ku księżycowi w geście absolutnego posłuszeństwa. Na prawo od rzeki, w odległości zaledwie trzydziestu, czterdziestu metrów znajdowały się murowane zabudowania. Milena pomyślała, że to koszary. I nie pomyliła się: przed wojną stacjonowało tutaj polskie wojsko, Niemcy zaś przekształcili zabudowania w krwawy kacet. Druty kolczaste, wieże strażnicze pozbawiły ją resztek złudzeń – trafiła do obozu koncentracyjnego.

Bardzo chciała, by ktoś pozwolił jej ukryć się przed dokuczliwym zimnem. Poczowała głód. Nie jadła nic od prawie dwudziestu godzin. Głód w połączeniu z napięciem, niewyobrażalnym zmęczeniem i obolałym ciałem stawał się udręką ponad siły. Dręczyło ją także pragnienie. Oddałaby wszystko za wodę. W podobnym stanie znajdowały się wszystkie kobiety.

W końcu nadbiegli kapo, zaprawieni w swym fachu, bardzo wulgarni. Padła komenda: „baczność, ustawić się w dwuszeregu”. Po dłuższej chwili funkcyjni więźniowie i strażniczki wprowadzili kobiety za ogrodzenie. Z powodu ciemności Milena nie widziała napisu *Arbeit macht frei* na bramie. Po prawej stronie od wejścia mijali żwirownię, będącą także miejscem egzekucji, a po lewej drewniany budynek wartowni, zwanej *Blockführerstube*. Obóz sprawiał wrażenie uspionego. Słowaczki nie mogły bowiem wiedzieć, że przed przyjazdem kobiet więźniowie dostali bezwzględny zakaz opuszczania baraków i wyglądania przez okna. Groziła za to śmierć lub w najlepszym razie surowa kara. Rozkaz

ten był znany jako *Lagersperre* i zawsze budził grozę.

Zagłębiając się w obóz, kobiety miały budynki kuchni i zmierzały w stronę dużego placu pośrodku obozowego kompleksu. Noc pobudzała Milenę do myślenia. Zupełnie trzeźwo spojrzała na miejsce, w którym się znalazła. Przerazało ją. Miała wrażenie, że zostanie wydana na pastwę najgorszej z możliwych samotności, jakiej może doświadczyć człowiek; samotności wobec grozy wszechobecnej śmierci. Czowała w powietrzu odór stęchlizny. Nie wiedziała, że w prowizorycznym krematorium właśnie spalano ciała więźniów zamordowanych lub zmarłych z wycieńczenia.

Jedna z niemieckich strażniczek wrzaskliwym i chropowatym głosem oznajmiła, że teraz nastąpi przyjęcie do obozu. Zostaną im wydane nowe ubrania. Mają także zostać zarejestrowane i poddane odwszeniu. Milena dziwiła się, że przejdą dezynsekcję. Nie miała wszy i nie rozumiała, dlaczego musi się poddać temu zabiegowi.

Jednak większość kobiet poddała się rozkazowi bez słowa sprzeciwu. Były przerażone i strach odbierał im resztki wolnej woli. Stały jak skamieniałe i czekały na to, co jeszcze miała im przynieść pierwsza noc w Auschwitz.

* * *

Kobiety czekały. Znow zaczął zacinać śnieg na przemian ze wstrętnym marznącym deszczem. Do Kotliny Oświęcimskiej zbliżał się front niosący wiosenne ocieplenie, co w obozie zawsze oznaczało jeszcze większą zgniliznę, pleśń i wilgoć, które przedostawały się przez mury i nadwyręzały ciała więźniów bardzo osłabionych zimą.

W tym deszczu Milena poczuła się przeraźliwie samotna, pozostawiona sama sobie i nikomu niepotrzebna. Chciała płakać. Czowała, że to łzy przyniosą jej ulgę. Ale nawet na to nie miała czasu. Padła nowa komenda. Kobiety mogły wejść za drewniany płot oddzielający jeden rząd murowanych bloków od reszty obozu. Na ogrodzeniu wisiała duża tablica z napisem „FKL” – żeński obóz koncentracyjny. Milena znalazła się wśród stu pierwszych kobiet, które wpuszczono do bloku numer jeden. Tu urządzono łaźnię oraz miejsce, gdzie przyjmowano nowe więźniarki do obozu. Wewnątrz budynku było odrobinę cieplej. Bardzo dokuczał ostry, duszący

zapach maści przeciw wszom. Zatechłe i ciężkie powietrze było tym zapachem przesycone. Niektóre kobiety zaczynały kaszleć.

Wszystkim szczególnie dotkliwie dokuczało pragnienie. Niektóre więźniarki nic nie piły od dwudziestu kilku godzin i dosłownie słaniały się na nogach. Na zewnątrz wiele kobiet próbowało zlizywać wilgoć z ubrań i dłoni, gdyż śnieg z deszczem padał bez przerwy. W ten sposób mogły choć na krótką chwilę ulżyć spieczonym wargom. Jednak Milena wewnątrz nie mogła już zlizywać śniegu z rąk. Czekwała wraz z innymi na pojawienie się strażniczek SS i niemieckich więźniarek funkcyjnych, najczęściej kryminalistek, morderczyń o sadystycznych skłonnościach i bezlitosnych burdelmamusiek. To one miały przyjąć je do obozu. Perfidią miejsca, w którym się znalazła, było to, że jedni więźniowie upadlali innych.

Milena zauważyła duży metalowy hydrant w korytarzu. Po raz pierwszy miała wrażenie, że znalazła się w nowoczesnym piekle; oto sto spragnionych kobiet stało w korytarzu obok kranu z wodą i nie mogło się napić.

* * *

– *Los, los!* – zasyczała niemiecka więźniarka funkcyjna. Poganiała młode kobiety, czekające na początek procedury przyjęcia do obozu. Kapo, o wyglądzie burdelmamy, trafiła do kacetu jako kryminalistka, więc nosiła czarny trójkąt na pasiaku. Kobiety przyglądały się jej z zaciekawieniem, gdyż nie do końca zdawały sobie sprawę, że takie więźniarki decydują tu, kto dostanie dokładkę zupy, a kto dodatkową porcję batów.

Tłok w przebieralni potęgował się z każdą chwilą. Pierwsza gromada kobiet wpuszczona do bloku numer jeden została podzielona przez kapo na mniejsze grupki, aby łatwiej zapanować nad całością i usprawnić procedurę. Na widok zmęczonych, ale wciąż ubranych normalnie kobiet wiele z więźniarek funkcyjnych, przeważnie niemieckich kryminalistek, rechotało, szydząc z nowo przybyłych. One – w przeciwieństwie do swych ofiar – świetnie wiedziały, jak poniżająca była procedura i z jakimi potwornościami kobiety będą musiały sobie poradzić.

Mówiono na razie tylko o dezynfekcji. Żadna z przybyłych nie wiedziała, na czym ma ona polegać. Milena, gdy jej wzrok przyzwyczał się nieco do słabego oświetlenia, zauważyła, że w grupie kobiet znajdowała się żona doktora Pressburgera. Jej eleganckie futro z lisów ostro kontrastowało z miejscem, do jakiego przybyły. Doktorowa natychmiast ją poznała. Zapytała o męża i wyjaśniła, że rozdzielono ich przed wejściem do pociągu w Bratysławie. On miał pójść do pierwszego wagonu i odtąd go nie widziała.

– Nie widziałam pani męża – skłamała Milena.

Gdy to mówiła, miała wyraźnie przed oczyma scenę śmierci lekarza. Uznała, że musi oszczędzić doktorowej prawdy. Nie potrafiła powiedzieć o tej śmierci w chwili, kiedy obie miały walczyć o przetrwanie. Instynkt dziewczyny podpowiadał jej, że w tym miejscu śmierć jednostki nie ma większego znaczenia.

Po chwili ktoś brutalnie pchnął ją w plecy. Uderzenie było tak silne, że niemal upadła na śliską, brudną, betonową podłogę. Milena odwróciła głowę, by dojrzeć swego prześladowcę. Ujrzała grubą kapo z czarnym trójkątem naszytym na obozową koszulę.

– Dlaczego gadasz? Dlaczego się nie rozbierasz, pierdolona suko? – zasyczała Niemka.

Milena nie była przyzwyczajona do takiego traktowania. Chciała zapytać, dlaczego ma się rozebrać, ale gruba kapo jakby na to czekała. Z całej siły kopnęła dziewczynę w podbrzusze. Milena poczuła straszliwy ból, zwinęła się i próbowała złapać oddech. Stojące obok kobiety nie ruszyły się, aby pomóc jej wstać. Były przerażone. Nie sposób odgadnąć, czym Milena naraziła się blokowej – czy tym, że rozmawiała z inną więźniarką, czy tylko tym, że wyróżniała się urodą? Dziewczyna miała łzy w oczach. Jednak nie straciła ducha. Chciała za wszelką cenę przemóc ból. Poza tym nie chciała, by wszystkie kobiety z transportu oraz te zezwierżone funkcyjne patrzyły na jej płacz. Leżąc na podłodze, widziała potężne grube łydki kapówki.

I wtedy wydarzył się pierwszy cud. Ktoś chwycił Milenę, pomógł wstać, gładził po twarzy, żeby choć na moment dziewczyna

mogła zapomnieć o bólu. Ten ktoś mówił do brutalnej kapo w dobrym niemieckim. Ktoś tłumaczył i obłaskawiał babsztyla. Czując dotyk tych dłoni, Milena nagle uświadomiła sobie, że od kilkunastu miesięcy знаła dobrze te ręce i że wiedziała, do kogo one należą...

* * *

Czując dotknięcie, Milena się odwróciła. Chciała sprawdzić, czy rzeczywiście dotykają jej znajome dłonie. Nie pomyliła się. Obok stała Luna. Nie było jednak czasu na zastanawianie się, dlaczego ochrzczona, wykształcona Żydówka, mająca męża Słowaka i katolika, trafiła do tego samego transportu. Mimo straszliwego bólu z pomocą Luny dziewczyna podniosła się na nogi z betonowej, zimnej jak grób podłogi. Ogromna kapo o wyglądzie lubieżnej burdelmamy zrezygnowała chwilowo z dręczenia dziewczyny. Rzuciła oczywiście w jej kierunku kilka soczystych „kurew” i odeszła, by szykanować inne kobiety.

Ale to był dopiero początek bólu i upokorzeń. Więźniarki zmuszono do rozebrania się do naga. Wszystkie, niezależnie od wieku, płakały z bezsilności i wstydu. Pobożne Żydówki przenigdy nie rozebrałyby się w publicznym miejscu. A teraz musiały obnażać się w tym obskurnym i straszliwym bloku, przypominającym rzeźnię. Milenie żal było ubrania. Miała nieodparte wrażenie, że już nigdy go nie zobaczy.

Gdy więźniarki skupiły się w grupę, nie chcąc się rozbierać, do bloku wszedł esesman. Niemieckie więźniarki funkcyjne przywitały go nazistowskim pozdrowieniem.

– Rozbierać się! – ryknął.

Milena za nic na świecie nie chciała tego zrobić. Wyczuwała na sobie wzrok tłustej burdelmamuśki, która ją tak boleśnie uderzyła. Funkcyjna zdawała się czyhać na nową ofiarę. Milena spojrzała na Lunę. To była przecież jedyna naprawdę bliska osoba, która zachowała się w tym upadającym miejscu z minimalną dozą racjonalizmu.

– Rozbierz się dla mnie – wyszeptwała. – Ich tutaj nie ma. Uwierz mi.

Milena spojrzała w głąb jej oczu i zobaczyła w nich przemożną siłę, która miała służyć ocaleniu jej życia. I zaufała temu spojrzeniu, choć mogło się ono wydawać zbyt szalone lub zgoła niemoralne, jak powiedzieliby prawi i święci. Ale w Auschwitz nie ma świętych. Są tylko potępieni. Milena zaczęła się rozbierać jako pierwsza. Wśród płaczących i pomstujących kobiet znów była pierwsza w tym potwornym wyścigu po życie.

Gdy wszystkie Żydówki stały już nagie, funkcyjne wepchnęły je do innego pomieszczenia bez okien; w podłodze znajdowały się liczne kratki odpływowe. Jedna z kapo podała esesmanowi szlauch. Wówczas potężny Niemiec w ubłoconych buciorach, z papierosem w ustach, nakazał otworzyć główny zawór z wodą. Polewał nagie kobiety na przemian lodowatym i gorącym strumieniem. Świetnie się przy tym bawił. Gorąca woda parzyła tak straszliwie, że wiele kobiet mdlało z bólu. Nagie i bezbronne skupiły się w zwartą grupę jak stado ryb w morzu, pragnących schronić się przed atakiem groźnego drapieżnika.

Kiedy krzyczały oparzone, zaraz potem spadał na nie lodowaty prysznic. Ale była to jedynie złudna ulga dla poparzonych ciał. Lodowata woda odbierała oddech, przewracała kobiety, które po transporcie i dotychczasowych przeżyciach znajdowały się na skraju wyczerpania. Ale esesmana drażniło, że Słowaczki zbiły się w grupę. Kazał zwiększyć ciśnienie wody. Przerażliwie zimny strumień wyrwał z grupy po kilka kobiet, przewracał je na betonową podłogę, dusił i miażdżył. Tortura trwała kilka minut. Gdy woda została zakręcona, do akcji wkroczyły kapo. Niemieckie kryminalistki rzuciły się na nagie i poranione kobiety jak stado wilków. Biły je, lżyły i ciągnęły za włosy.

W końcu Słowaczki zostały wepchnięte do następnej sali. Na betonowej posadzce w bezładzie leżały łachy, brudne i cuchnące. Kobiety nie chciały ich wkładać, ale zmusiły je do tego kopniaki i przekleństwa funkcyjnych. Milena zaczęła dygotać z zimna. Luna, sama dotkliwie poparzona, starała się zasłonić ją własnym ciałem. Po chwili i ona się poddała. Płakały obie. To jedyna ulga. Ale w piekle wszystko działo się bardzo szybko i na cierpienie też nie

starczyło czasu. Do Mileny zaczynała docierać świadomość, że to miejsce jest inne od wszystkich miejsc na ziemi. Auschwitz było piekłem i ona znalazła się w jego wnętrzu. Dziewczynie zdawało się, że nie ma ucieczki przed biczem.

Dygocząc z zimna, Milena podeszła do stosu łachmanów. Ktoś ją popchnął. Przewróciła się na stertę cuchnących bluz. To chyba jakieś mundury, pomyślała dziewczyna. Pod bluzami znajdowały się onuce, spodnie i drewniane chodaki, wszystkie rzucone w całkowitym bezładzie. Milena drżącą dłonią wybrała pierwszą lepszą bluzę. Na plecach wyszyto grubą nicią litery SKG⁷. Nie miała pojęcia, co to znaczy. Bluza była brudna i śmierdząca, Milena ze wstrętem nałożyła ją na mokre ciało. Dziewczyna uznała jednak, że lepsze to, niż marznąć. Nie ma czasu na strach. Zaraz któraś z tych zajadłych kapówek znów uderzy. Trzeba się spieszyć. Pomogła poparzonej Lunie włożyć inną bluzę. Kobiety nie wiedziały, że wszystkie te obozowe łachy należały do radzieckich jeńców wojennych, którzy od jesieni tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku umierali w obozie z głodu.

Tej nocy zostały zakwaterowane w bloku numer cztery, piętrowym budynku z czerwonej cegły. Na piętrowych łózkach, przykrytych siennikami ze słomy, stłoczono ponad sto kobiet. Każda powinna pilnować swojego miejsca i dbać o „czystość”. Blokowa, ordynarne babsko, ryczała, że rano derka zwana kocem ma być złożona w kant. Milena przelotnie pomyślała, że może dadzą coś do jedzenia. Dopiero teraz czuła, jak bardzo była głodna. Jednak nic nie dostały. Może sen, dobry brat śmierci, przyniesie choć odrobinę ulgi po tym potwornym dniu. Pobudka miała być o czwartej. Milena w jednym z ostatnich odruchów normalności chciała się dowiedzieć, która jest godzina i ile będzie miała czasu na sen. Nikt nie udzielił jej odpowiedzi. Nie wiedziała jeszcze, że znalazła się w miejscu zawieszonym między życiem i śmiercią, gdzie czas nie ma już znaczenia, a jedyną drogą ucieczki jest komin krematorium.

– Jeśli szeol jest straszny, to gdzie ja jestem? – pytała samą siebie.

Położyła się na sienniku i przykryła derką. Zwinęła się w kłębek, jak strwożone dziecko albo jak zbity i pogodzony ze swym losem pies. Wiedziała, że tak będzie jej lepiej. Chciała zasnąć i śnić o kubku gorącego mleka. Ale już wkrótce okazało się, że tej nocy nie można zasnąć. Zbyt wiele kobiet nie wytrzymało psychicznie ciężaru pierwszego dnia w obozie. Płakały. Ktoś jęknął. Uszy Mileny odbierały te odgłosy jako stłumiony, ale mimo wszystko przeszywający krzyk bólu.

Obok leżała Luna. Z braku miejsca wiele kobiet, chcąc nie chcąc, musiało dzielić pryczę z innymi. Oparzenia Luni sprawiały jej wielki ból. W nocy, drzemiąc wśród jęków innych kobiet, Milena zdała sobie sprawę, że w jej łąchach coś zaczyna pełzać. Dziewczyna nie wiedziała, że poprzedni właściciel, radziecki jeńiec, który zmarł przed kilkoma tygodniami, pozostawił w ubraniu nieprzyjemną niespodziankę, wszy. Było ich też pełno w sienniku. Wszy to najmniejsi drapieżcy w łańcuchu pokarmowym Auschwitz. I te małe potwory nie były nawet w przybliżeniu tak straszne jak ludzie.

Rozdział XVII

NA KRAWĘDZI

Milena i Luna musiały przejść przez kwarantannę. Nie wychodziły poza obręb bloku i wykonywały idiotyczne i upokarzające ćwiczenia. Przysiady, bieganie wokół baraku, dbanie o „czystość” wypełniały te szare i straszliwe dni. Najbardziej szokującym i coraz bardziej przerażającym doświadczeniem był głód. Racje żywnościowe, jakie otrzymywały, nie zaspokajały potrzeb dorosłych kobiet. Obrzydliwa poranna „kawa” była rozcieńczoną do mdłości cieczą z wygotowanej, wydobytej spod śniegu trawy oraz kilku buraków cukrowych. Do tego kawałek chleba – albo zupełnie suchego, albo spleśniałego. Obiad był jeszcze bardziej ohydny: cuchnąca zupa z zepsutych ziemniaków i brukwi. Do tego plasterki końskiej kiełbasy, ale naprawdę rzadko, głównie w niedziele. Kolacja to znów obrzydliwa kawa i kawałek chleba z margaryną. To wszystko, co kobiety dostawały do jedzenia.

Wiele kobiet przyzwyczajonych do dobrego życia nie chciało z początku jeść tych paskudztw. Milena przełykała ze wstrętem i czuła, że w tym miejscu nie mogą liczyć na lepszy wikt. Te, które nie jadły, po kilku dniach rzucały się łapczywie na jedzenie. Niemieckie więźniarki funkcyjne z całą bezwzględnością pilnowały, aby żadna z tych dręczonych kobiet nie otrzymała więcej. Resztkę „kawy” lub „zupy” zostawiały dla siebie, choć nie wyglądały na zagłodzone. Karmione w miarę dobrze, nieustannie czyhały, aby okraść z resztek nędznego pokarmu głodujące i cierpiące z zimna kobiety.

Najgorsze były wszy. Zaczęły się wylęgać po tygodniu z gnid znajdujących się w nieodwyszonych łachach po jeńcach radzieckich. Natychmiast obłaziły kobiety i usadawiały się w miejscach najcieplejszych. Kobiety rozdrapywały sobie rany, aby pozbyć się pasożytów, ale drapanie przynosiło skutek odwrotny do zamierzonego. Wszy po prostu wgryzały się głębiej, aż do żywego ciała. I nie było sposobu, by się ich pozbyć.

Milena nigdy wcześniej nie czuła się tak upokorzona. Płakały z Luną w nocy, ale łzy nie przynosiły im ulgi. Jednak Milena odczuwała coraz silniejszą wolę przetrwania. Chociaż wiele razy śpiewała o życiu w klubie swej mentorki, dopiero za drutami obozu zdała sobie sprawę, czym było życie, które utraciła. Myśl, że jeszcze dwa miesiące temu interesowała się tylko tym, jak wypadnie próba i jak będzie przyjęty jej koncert, wydawała się zupełnie nierealna.

* * *

Gdy kwarantanna dobiegła końca, więźniarki skierowano do pracy. Komando, w którym znalazła się Milena, zajmowało się rozbiórką domów leżących na Zasolu, w dzielnicy Oświęcimia, gdzie przed wojną mieszkali Polacy. Po utworzeniu kacetu wszystkich stamtąd wyrzucono. Najlepsze domy zajęli esesmani i ich rodziny, a materiały z rozbiórki najlichszych wykorzystywano do rozbudowy Birkenau. Jednak wiele kobiet nie wyobrażało sobie pracy w tym miejscu.

Jedna z nich była żoną bratysławskiego lekarza. Stwierdziła, że nie będzie pracowała przy rozbiórcie domów, i prosiła, żeby skierować ją do lżejszego zajęcia, bo dotąd zajmowała się tylko domem. Więźniarki funkcyjne zarechotały, traktując te słowa jak najlepszy żart. Jednak gdy kobieta zaczęła się stanowczo upierać, że nie nadaje się do pracy fizycznej, funkcyjne wpadły w szal.

Gruba i potężna Inga, uosobienie bezwstydnego i zwierzęcego krzepy, postanowiła, że pokaże tej „żydowskiej kurwie”, kto tutaj rządzi. Podeszła do więźniarki i jak zawodowy bokser uderzyła ją pięścią w brzuch. Milena obserwowała tę scenę z przerażeniem, ponieważ poznała, że ta sama funkcyjna pobiła ją pierwszego dnia w obozie. Tłusta Inga, jak nazywały ją więźniarki, była postrachem, przerażającym drapieżnym babsztyłem o perwersyjnych skłonnościach, poszukującym bezustannie nowych ofiar. Jej rozpasanie seksualne w połączeniu z wielkim mniemaniem o sobie sprawiało, że jej czarna legenda szybko obiegła cały obóz kobiecy. Inga biła brutalnie, ponieważ żywiła przekonanie, że tylko ona ma zawsze rację i zawsze musi postawić na swoim.

– Wstawaj! – ryczała.

Pobita próbowała się podnieść z ziemi, ale ból i oszołomienie po potężnym ciosie kapo sprawiły, że poruszała się wolno, co jeszcze bardziej rozwścieczyło potężnego babsztyla. Inga chwyciła więc kobietę za głowę i pociągnęła ją w stronę wielkiej błotnistej kałuży. Więźniarka nie miała siły się opierać, więc Inga cisnęła ją do wielkiej brudnej wody.

– Teraz żryj! – krzyczała.

Gdy maltretowana ofiara nie miała siły, by się podnieść, Inga, doprowadzona do szewskiej pasji, weszła do kałuży, chwyciła głowę nieszczęsnej kobiety i zanurzyła ją w obrzydliwej stęchłej wodzie.

– Żryj, ty stara kurwo!

Powodowanie cierpienia drugiego człowieka podniecało ją. Inga czerpała przyjemność z zadawania bólu. Stojąc w wodzie, zapytała, czy więźniarka będzie pracować. Ale starsza kobieta nie była w stanie odpowiedzieć. Dla funkcyjnej brak odpowiedzi był odmową. Wtedy Inga poszła po ciężki drąg. Wróciła nad kałużę i chwyciła kobietę za strzępy łańców. Przewróciła ją na plecy. Słowaczka się już nie broniła. Inga włożyła jej w usta drąg, wrzeszcząc:

– Poliz go, ty suko!

Przekreślała drąg w ustach ofiary. Dławiła ją i rozrywała policzki. Kobieta jeszcze żyła, próbowała rękoma wyrwać narzędzie tortur, ale na próżno. Inga włożyła kij głębiej w gardło więźniarki. Nie miała litości. Po kilku szarpnięciach kobieta przestała się ruszać. Tłusta Inga poszarpała jej gardło ostrym końcem drąga. Wyciągnęła go i splunęła na ofiarę. Trup pozostał w kałuży.

Wszystko to stało się na oczach więźniarek. Chyba wszystkie zrozumiały, że odmawiając pracy, skazują się na śmierć. Milena była tak przerażona tym morderstwem, że po raz pierwszy od śmierci ojca zaczęła się modlić o siły.

* * *

Komando kierowane przez Tłustą Inge nie miało żadnych narzędzi. Stawały się nimi zmarzniete ręce, drągi, a także cegły i kamienie, którymi więźniarki starały się kruszyć mury. Kobiety

raniły się w ręce, a przecież rana, nawet najmniejsza, oznaczała powolną, nieuchronną śmierć. Milena wytrzymała dwa dni, niewyobrażalnie dla niej trudne. Bez przerwy siąpił zimny deszcz. Na dłoniach tworzyły się bolesne bąble wypełnione płynem. Kiedy pod koniec drugiego dnia pracy na Zasolu dziewczyna wracała do obozu, podtrzymując ledwie żywą Lunę, po raz pierwszy miała wrażenie, że już wkrótce umrze.

Trzeciego dnia udręka się powtórzyła. Kilka doprowadzonych do ostateczności młodszych kobiet zdecydowało, że spróbują uciec podczas pracy, rzucając się w nurt Soły. Milena wiedziała, że to idiotyczny pomysł. I faktycznie kilka więźniarek utonęło, a kilka zostało zastrzelonych przez strażniczki SS. Wieczorem pozostałe przy życiu kobiety musiały dźwigać ciała towarzyszek niedoli. Apel musiał się zawsze zgadzać, obojętnie czy stawali do niego żywi, czy martwi.

* * *

Podczas tej wyniszczającej pracy ktoś zaczął Milenę śledzić. Była to Tłusta Inga, która poszukiwała kandydatki na kolejną kochankę i zarazem ofiarę.

Wieczorem trzeciego dnia pracy na Zasolu Tłusta Inga wezwała do siebie Milenę. Dziewczyna odczuwała nie tylko silny strach, lecz także obrzydzenie do tego potwora. Ale Milena wyczuwała prawdziwe intencje kapo. Gdy ta zapytała, czy będzie dla niej dobra i grzeczna, dziewczyna odparła:

– Chcę wracać na mój blok.

Inga podumała chwilę, po czym zasyczała:

– Wypierdalaj! Za miesiąc zjesz gówna z mojej ręki!

Dziewczyna odeszła.

* * *

Wszy gryzły nieznośnie. Codziennie rano Milena odkrywała nowe ślady. Jednak wszy przyniosły jej chwilowe ocalenie przed zemstą Tłustej Ingi. Milena zapadła na tyfus plamisty roznoszony przez te pasożyty.

Okres wylegania tyfusu trwał kilka dni, podczas których dziewczyna czuła trudne do opisu osłabienie. Potem pojawiła się

wysoka gorączka. Serce pracowało coraz szybciej, a szalejąca od gorączki krew rozpaliała policzki. Po dwu dniach z wysoką temperaturą, wyczerpana Milena straciła przytomność. Luna, przypominająca coraz bardziej cień energicznej, zmysłowej i mądrej kobiety, którą była przed obozem, wyczuwała, że przyjaciółka nie przeżyje następnego miesiąca. Nie straciła jednak przytomności umysłu i starała się opiekować Mileną. Kobiety z bloku zaalarmowały więźniarki funkcyjne.

O chorobie dowiedziała się też Tłusta Inga, niepokieszona, że nowa zabawka wymknęła się jej z rąk. Powiadomiono też natychmiast lekarzy SS. Niemcy śmiertelnie bali się tyfusu, zarządzono więc przymusowe odwzienie. Znów na kobiety czekała upokarzająca łaźnia, ale tym razem naprawdę pozwolono umyć się setkom zmaltretowanych więźniarek. Dla wielu była to pierwsza okazja, by napić się czystej, choć ciepłej wody. Dostały też nowe łachy, choć równie obrzydliwe jak poprzednie.

Rozdział XVIII

WOLA JEHOWY

Milena ocknęła się w dziwnym miejscu. Śnił się jej nieżyjący ojciec, który powiedział, że musi szybko wstać, ubrać się i iść po chleb. Bez wątpienia wciąż znajdowała się w obozie, ale leżąc na sienniku, wyczerpana gorączką, nie miała siły, by się podnieść i rozejrzeć. Nie było obok niej Luny, dostrzegła obce kobiety.

Podeszła do niej szczupła i poważnie wyglądająca niemiecka więźniarka funkcyjna z fioletowym trójkątem na pasiaku. Milena nigdy wcześniej takiego nie widziała.

– Jesteś w szpitalu – odezwała się po niemiecku nieznajoma. – Lepiej wstań i zacznij chodzić, choć wiem, że nie masz siły. Dobrze radzę, bo jutro będzie selekcja.

Milena miała mgliste pojęcie, czym jest „selekcja”, ponieważ nigdy wcześniej jej nie doświadczyła. Jednak instynkt nakazywał, żeby podnieść się z siennika, jeśli chce przeżyć. Czuła zawroty głowy i wiedziała, że nie zdoła utrzymać równowagi, gdy wstanie. Nie miała pojęcia, jak długo leżała w szpitalu. Chociaż nazwa ta stała w sprzeczności z tym, co widziała. A widziała na wpół żywe kobiety, majaczące w gorączce, leżące na ubrudzonych własnymi ekskrementami siennikach. Skupiła całą siłę, jaką znalazła w osłabionym chorobą organizmie. Nieznajoma Niemka pomogła Milenie wstać.

Bardzo chciało się jej pić. Odniosła wrażenie, że mogłaby wypić całą wodę w Sole, gdyby tylko pozwolono jej pójść nad rzekę. Dziewczyna uznała, że ze strony funkcyjnej z fioletowym trójkątem nic jej nie grozi. Po miesiącu pobytu w obozie mogła już wyczuć, kto może skrzywdzić, a kto nie. I ta więźniarka należała chyba do drugiej grupy.

– Popatrz na siennik obok – powiedziała funkcyjna.

Milena odwróciła głowę i dostrzegła Lunę, zupełnie nieprzytomną.

– Ona nie miała tyle szczęścia co ty – stwierdziła beznamiętnie

funkcyjna. – Gdy przyjdzie Klehr i zastanie ją w tym stanie, na pewno zrobi jej zastrzyk i twoja przyjaciółka trafi do krematorium.

Funkcyjna z fioletowym trójkątem na pasiaku wypowiedziała to straszne zdanie beznamiętnie, jak gdyby stwierdzała najoczywistszą rzecz na świecie.

– Jestem świadkiem Jehowy. Esesmani nazywają nas badaczami Pisma Świętego i z tego powodu znalazłam się tutaj gdzie ty – powiedziała kobieta, a jej oczy zajaśniały błyskiem fanatyzmu religijnego.

– Jesteś Niemką?

– Oczywiście. I blokowuję tego szpitalnego oddziału. Prosiłam Jehowę, aby ci pomógł. I jak widzisz, pomógł ci. A teraz dobrze ci radzę, zostaw siennik i koleżankę, bo jej już nic nie pomoże. Pójdiesz pod prysznic, aby zmyć z siebie to gówno, i zostaniesz dokładnie odwszona.

Jehowitka mówiła tak spokojnym głosem, że Milena nabrała do niej zaufania. Zostawiła więc siennik, na którym miała zostać położona następna chora. Nikt w szpitalu obozowym dla kobiet w Auschwitz nie przejmował się brudem. Szpital stanowił przedsionek do krematoryjnego pieca w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Niemka zaprowadziła Milenę do rozbieralni. Dziewczyna chciała pozbyć się cuchnących łachów, w których przeżyła ostatnie półtora miesiąca, ale nie miała sił, więc Niemka, świadek Jehowy, pomogła oblepionej odchodami Żydówce. Chwyciła ją delikatnie za ramiona i nie brzydząc się, zaprowadziła do pomieszczenia z prysznicami. Wkrótce popłynęła z nich bardzo ciepła, czysta woda. Jehowitka wręczyła Milenie kawałek szarego mydła i stanęła w drzwiach.

Woda płynęła, a Milena piła i piła. Jej ciało chłonęło wodę jak spragniona roślina podczas suszy. Ten mały kawałeczek szarego mydła był najpiękniejszą rzeczą, równą przedwojennym perfumom jej matki. Ale Milena nie myślała o matce ani o innych ludziach. Cieszyła się tymi kilkoma minutami prawdziwej wolności. Nie miała jednak sił, aby się umyć. Jehowitka sięgnęła po ryżową

szczotkę i odebrała dziewczynie mydło. Sama zaczęła ją skrobać. Milena krzyczała wówczas z bólu, pod grubą warstwą brudu kryły się przecież rany zadane przez wszy. Niemka z niezwykłą energią zaczęła szorować całe jej ciało. Po dłuższej chwili udręki Milena znów poczuła, że w jej żyłach zaczęła szybciej krążyć krew. Czuła, że wracało jej życie.

Po kąpieli funkcjonariuszka wysmarowała jej ciało białą palącą pastą o zapachu chloru. To zabezpieczenie przed wszami. Naga Milena wyszła z łaźni i dostała nowy pasiak.

* * *

Blokowa szpitala kobiecego była rzeczywiście świadkiem Jehowy. Badacze Pisma Świętego zostali przez nazistów skazani na reedukację w obozach koncentracyjnych. Powodem było absolutnie pacyfistyczne nastawienie wyznawców, którzy odmawiali służby w Wehrmachcie. A to dla nazistów oznaczało zdradę.

Funkcyjna zaprowadziła Milenę do podpiwniczonej części bloku szpitalnego, gdzie w ciasnych pomieszczeniach, blisko kotłowni, mieszkały inne funkcyjne. Dziewczyna była tym mocno zaskoczona i choć słaniała się na nogach, miała nadzieję, że jej nowa opiekunka wyjaśni powody. Niemka wyraźnie chciała uratować właśnie ją.

Gdy znalazły się w tym ciasnym pomieszczeniu, blokowa wskazała Milenie miejsce.

– Będiesz tu spała – powiedziała. – To miejsce jeszcze wczoraj należało do kobiety, którą dwa tygodnie temu mianowałam sztabową w bloku szpitalnym.

– Co się z nią stało? – zapytała Milena.

– Nie żyje. Przyłapałam ją na kradzieży jedzenia i musiałam zameldować sanitariuszowi SS Klehrowi, który prawie codziennie tutaj przychodzi. Dał jej zastrzyk i ona nie żyje.

Dopiero teraz Milena poczuła dreszcz grozy.

– Kradzież jest grzechem, pamiętaj o tym – rzekła Niemka. – Jehowa mówi, że kradzież musi być ukarana. I dlatego tamta już nie żyje. Czy przyrzekasz, że nie będziesz kradła?

Milena przyrzekła. Zrobiłaby wszystko, żeby móc tutaj zostać. Od rur biegnących pod ścianą biło przyjemne ciepło. Po chwili

funkcyjna zapytała, czy Milena chce zostać sztubową w szpitalu. Dziewczyna natychmiast się zgodziła. Do jej obowiązków należało przynoszenie codziennie rano garnka z obozową kawą, która stanowiła śniadanie. Milena miała wносить i wynosić ten sam wielki gar zupy na obiad i po raz trzeci – z zepsutym chlebem – na kolację. Nie wolno było jej kraść jedzenia ani oszukiwać przy rozdzielaniu. Miała pilnować, by inne sztubowe, niemieckie kryminalistki, nie robiły tego samego, i o wszystkim meldować swej przełożonej. W zamian dostała cieplejszy kąć do spania i nieco lepsze racje żywnościowe. Jehowitka zapewniła, że potrafi nagradzać. Ona była przecież Niemką i esesmani mimo wszystko lepiej ją traktowali. Dlatego czasami mogła dostać dodatkową żywność z magazynu. Kiedy dostanie jedzenie, mówiła, podzieli się z uczciwymi pracownikami.

Świadomość własnego losu, który tak nieoczekiwanie się odmienił w tym piekielnym miejscu, sprawiała, że Milena miała ochotę dowiedzieć się czegoś o życiu tej Niemki, która przecież równie dobrze mogła jej nie uratować.

– Dlaczego ja? – zapytała któregoś dnia Milena.

Kobieta spojrzała na nią zupełnie zaskoczona; oczywistość wyroku Jehowy nie budziła w niej żadnych wątpliwości. Po chwili Niemka doszła do wniosku, że tylko ona nieomylnie odgaduje wolę Boga, a ta żydowska dziewczyna nie ma takiej możliwości. Odpowiedziała więc:

– W nocy miałam sen, w którym Jehowa oznajmił mi, że ta kobieta, która pierwsza się ocknie z gorączki, ma zająć miejsce ukaranej śmiercią złodziejki. Tą kobietą byłaś ty.

Milena nie mogła mieć już żadnych wątpliwości w kwestii fanatyzmu Niemki, ale dostrzegła w nim niepowtarzalną szansę dla siebie. Teraz, kiedy cudem przeżyła tyfus, wiedziała, że musi zrobić wszystko, żeby nie zginąć.

– Jak długo leżałam w gorączce?

– Prawie sześć dni. Byłaś jednak bardzo silna. Niektórzy przechodzą tyfus łagodniej – tak jak ty – a inni nie. Ci żyją, a tamci nie. Taka jest wola Jehowy. Musimy się z nią zgodzić.

W pomieszczeniach dla funkcyjnych mieszkało łącznie dziesięć sztubowych. Były to Niemki skazane za różne przestępstwa kryminalne. Jehowitka nazywała je swoją trzódką i próbowała nawracać. Wszystkie cierpliwie jej wysłuchiwały. Taka była cena za pracę pod dachem. Milena dobrze wiedziała, że jej komando pracujące przy rozbiórce domów na Zasolu nie przeżyje do końca miesiąca, a pozostałe dziewczyny zginą zatłuczone przez Tłustą Inę. Co za błogosławieństwo, że jestem z dala od tej wściekłej suki, pomyślała Milena.

Dziewczyna uznała, że podporządkuje się we wszystkim Niemce, bynajmniej nie po to, żeby utwierdzać ją w religijnym szaleństwie. Pragnęła żyć. Szorowanie podłogi w szpitalu drucianą szczotką i wynoszenie wiader z gównem wydawało się jej śmiesznie niską ceną za pracę pod dachem. Milena zauważyła z przerażeniem, że coraz więcej kobiet z komanda pracującego przy rozbiórce budynków trafiało do szpitala z objawami odwodnienia, wycieńczenia; niektóre majączone i pogrążone w gorączce miały się już nigdy nie zbudzić.

* * *

Milena była też świadkiem selekcji, której na szpitalnym bloku dokonywał sanitariusz SS Josef Klehr, mający w obozie sławę wielokrotnego mordercy. Blokowa nazywała go „pan strzykawka”, ponieważ uśmiercał zastrzykami z fenolu. Po zabiegu, wśród tężejących szybko trupów, Klehr chował swą strzykawkę do podręcznej skórzanej torby z emblematem czerwonego krzyża. Jego twarz, szczególnie w czasie śmiertelnych iniekcji, wyrażała mieszaninę buty, pogardy wobec więźniów oraz bezgranicznego cynizmu.

Selekcji poddano wszystkie chore więźniarki. Luna zginęła z ręki Klehra. Milena zamarła wówczas z przerażenia. Ale opanowała się szybko, gdy sanitariusz rozkazał przemaszerować przed sobą nago wszystkim nowym sztubowym. Zatrzymał wzrok na Milenie. Spojrzał następnie na Niemkę, która pokręciła przecząco głową. Klehr nakazał Milenie ubrać się z powrotem.

Dziewczyna zrozumiała, że esesmani mają zaufanie do

więźniów – świadków Jehowy. W końcu byli Niemcami, a więc stanowili lepszy rasowo materiał niż Polacy, Słowacy czy Żydzi.

Tego samego dnia po apelu Milena ciągnęła zwłoki swojej przyjaciółki i mentorki po schodach. Głowa Luny podskakiwała na stopniach. Dziewczyna chciała płakać, ale nie potrafiła zmusić się do łez. Nie płacze się przecież na widok jednego trupa. Powoli rozumiała, że wszystkich więźniów czeka to samo. Co za różnica, że jednych śmierć skosi wcześniej, a drugich później? Milena ułożyła ciało Luny na taczce znajdującej się koło wejścia do bloku szpitalnego. Luna miała spłonąć w krematoryjnym piecu jeszcze tej nocy.

Po zakończeniu tego straszego dnia Milena pragnęła zapytać blokową, co myśli o tym piekle dokoła. Odpowiedź Niemki wprawiała ją w zdumienie.

– Taka jest wola Jehowy. Nic nie możemy na to poradzić.

To bezwarunkowe poddanie się woli boskiej bardzo drażniło Milenę. Nie mogła i nie chciała wierzyć w mit boskiej kary. Jednak śmierć Luny, choć bolesna i straszliwa, była dla dziewczyny ostatecznym ostrzeżeniem. Milena wiedziała już, że w Auschwitz nie istnieją żadne reguły dające szansę przeżycia. Śmierć była wszędzie i jej wszechmoc uodparniała Milenę. Wiedziała, że jeśli będzie robić to, co fanatyczna Niemka zechce, zyska możliwość wyspania się w nocy, egzystencji z dnia na dzień, w oczekiwaniu na życie albo na śmierć. Przypominało to stąpanie po krawędzi przepaści, ale zarazem dawało minimum nadziei, które potrzebne jest każdemu człowiekowi.

Jehowitka stanowiła pod wieloma względami zupełne przeciwieństwo Mileny. Słowaczka zawsze lubiła muzykę i taniec, jehowitka uważała je za zbędne i grzeszne; dziewczyna była niezbyt gorliwa w wierze i nie przejmowała się swoim Stwórcą, a Niemka spędziła całe życie na odgadywaniu woli Boga. Milena lubiła zapalić czasem papierosa i uważała, że alkohol jest dla ludzi, a wyznawczynie Jehowy uważała je za dzieła diabelskie.

Jak na ironię, obydwie zostały do tego piekła zesłane tylko z powodu tego, kim były. Milena zgrzeszyła, bo urodziła się

Żydówką, a Niemka tym, że wyznawała Jehowę. Niemka, oprócz zalet, miała także wady: nie można było przy niej oszukiwać, żeby uszczknąć z obozowego jedzenia więcej dla siebie. Potrafiła za to okrutnie karać. Złodziejstwo było złodziejstwem, niezależnie od okoliczności. Jehowitka ignorowała zupełnie fakt, że w Auschwitz nie istniała już żadna wzorcowa moralność, boska czy ludzka. Milena zrozumiała, że funkcyjna była darem w jej życiu. Nie potrafiła znaleźć na to innego określenia, chociaż potęga śmierci w tym miejscu była tak straszliwa, że sama myśl o Bogu wydawała się idiotyczna. Komin wypływający dym ze spalanych ofiar zupełnie przeczył wierze w opatrność.

* * *

Ktoś jednak nie zapomniał o Milenie. Tłusta Inga nie mogła ścierpieć, że dziewczynie udało się uciec. Wyobrażała sobie, że zgwałci ją za pomocą butelki i będzie sycić się jej cierpieniem aż po ostatnie *staccato*. Próbowała się dowiedzieć, co stało się z Żydówką. W końcu doniesiono jej, że Milena znalazła azyl jako sztabowa w szpitalu. Inga wpadła w szal. Miotła się i biła bez opamiętania te więźniarki, które akurat znalazły się pod ręką. W końcu, pod koniec kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, Inga zauważyła Milenę wynoszącą ze szpitala wiadra z nieczystościami. Jako Niemka i więźniarka funkcyjna miała możliwość nieograniczonego poruszania się po kobiecym obozie. Ruszyła więc w stronę dziewczyny. Potężny babsztyl uderzył ją, przewrócił i kopnął kubek z nieczystościami. Stojąc nad Mileną, Niemka z triumfem zaskrzeczała:

– Teraz to wszystko posprzątasz albo zeżresz, pierdolona suko.

Ale Milena nie myślała wtedy racjonalnie. Każdy więzień posłusznie zacząłby sprzątać nieczystości, choćby własnymi rękoma. Milena jednak uległa zgubnemu, ale przemocnemu impulsowi, który mógł ją kosztować życie. Choć była wciąż bardzo osłabiona po przebytej niedawno chorobie, to znalazła dość siły, żeby rzucić pełną garść gówna w twarz Ingi. Kapo wrzasnęła przeraźliwie i próbowała zetrzeć z siebie nieczystości. Wpadła w szal i zaczęła bić Milenę. Ale dziewczyna nie poddała się tak

łatwo torturze. Chwyciła babsztyla za łydkę i ugryzła.

Wrzaski Tłustej Ingi zaalarmowały blokową szpitala. Wybiegła na zewnątrz, aby obronić podopieczną. Świetnie wiedziała, że takie bijatyki były surowo zakazane w regulaminie obozowym i że wszystkie uczestniczki starcia mogły trafić do karceru albo, co gorsza, do karnej kompanii. Tam zdychało się po dwu, góra trzech tygodniach. W Budach, niedaleko Auschwitz, kobiety pracowały w morderczym znoju przy oczyszczaniu i pielęgnacji stawów rybnych. Jehowitka była przekonana, że taki los zupełnie nie mieścił się w planie, jaki Jehowa miał wobec tej młodej nieszczęsnej Żydówki, jej podwładnej.

Gdy jehowitka wybiegła przed blok szpitalny, aby odciągnąć sadystyczną Inge od dziewczyny, znieruchomiała z przerażenia. Za nimi stał młody esesman. To on miał władzę absolutną. W pierwszej chwili blokowa pomyślała, że Milena jest stracona. Stała przed Niemcem na baczność.

– *Was ist hier los?*⁸ – zapytał znudzonym tonem.

To krótkie rzeczowe pytanie natychmiast wyrwało Inge z jej morderczego szału. Ona także stanęła na baczność. Młody esesman spojrzał na Milenę leżącą w kałuży nieczystości.

– Wstawać – powiedział swoim łagodnym głosem.

Blokowa szpitala gorączkowo próbowała przypomnieć sobie, czy gdzieś go nie widziała, ponieważ ta gładko ogolona, przystojna twarz wydawała się jej znajoma. Spojrzała na jego dystynkcje. Umiała bowiem odczytać po oznaczeniu na prawej stronie kołnierza stopień esesmana. Po chwili była już pewna, że to *Unterscharführer* Weimert z magazynu. Podobno był ostry, ale nie wiedziała, skąd się tu wziął o tej porze. Może miał jakiś interes do załatwienia? Pamiętała, że zgłaszała konieczność wymiany sienników w szpitalu kobiecym. Stare już zgniły. Może więc przyszedł w tej sprawie. Teraz miał się stać sędzią Mileny.

W końcu umorusana Milena podniosła wzrok na esesmana i powoli, z niesłychanym wysiłkiem dźwignęła się z trawnika. Inga natychmiast zameldowała, że dała popalić tej żydowskiej suce za rozlanie kubła z nieczystościami. Weimert odsunął się

z obrzydzeniem od kałuży. Jednak mimo obrzydzenia chciał wyjaśnić zajście. Młoda Żydówka oblepiona była gównem. Brzydził się jej. Jego idealnie dopasowany czysty mundur kontrastował z jej łańchmanami. Wrodzona mu skrupulatność sprawiła, że zapragnął usłyszeć to samo od świadka zajścia: badaczki Pisma Świętego. Tak więc spokojnym cichym głosem zwrócił się do niej o to ostateczne potwierdzenie, które dla Mileny oznaczałoby karę najsurowszą z możliwych – karną kompanię albo podziemia osławionego bloku jedenaście. W obu przypadkach równało się to śmierci.

Ale nadzieje Ingi na pozbycie się dziewczyny, która śmiała jej powiedzieć „nie”, zostały zniweczone przez prawdomówność blokowej. Świadkowie Jehowy byli bowiem zobowiązani do mówienia zawsze prawdy, bez względu na sytuację, w jakiej się znaleźli. Blokowa powiedziała więc Weimertowi, że i owszem, Milena wylała kubel z nieczystościami, ale nie dlatego, że chciała to zrobić, lecz dlatego, że Inga ją kopnęła. Kobieta dodała również, że więźniarka numer dziewiętnaście siedemdziesiąt (taki numer obozowy miała Milena) była na bloku szpitalnym dobrą sztabową i ona nie może powiedzieć nic złego o jej pracy. Raport badaczki Pisma Świętego był prosty i zwięzły. Zrobił na młodym esesmanie wrażenie.

Inga omal nie dostała spazmów ze wściekłości. Ona i jehowitka wiedziały, że *Unterscharführer* Weimert został postawiony w bardzo trudnej sytuacji. Będzie musiał szczegółowo zameldować o wydarzeniu. Weimert był zły na blokową. Mogła przecież dla świętego spokoju potwierdzić słowa Tłustej Ingi i nie byłoby sprawy, a więźniarka numer dziewiętnaście siedemdziesiąt trafiłaby do karnej kompanii. Franz od pewnego czasu nie lubił badać prawdy, a dwie wykluczające się relacje sprawiały mu kłopot, bo miał wrażenie, że stanie przed ogromną liczbą subtelnych kłamstw, którymi się otoczył, żeby poradzić sobie z faktem, że zastrzelił Bastiana, najlepszego kumpla, jakiego miał w życiu.

Spojrzał na Tłustą Inge, o której słyszał co nieco. Plotki z Ravensbrück zawędrowały razem z nią do nowego obozu.

Wystarczyło bowiem, aby człowiek spojrział na jej lubieżną mordę, wiecznie nienasyconą, prymitywną, rumianą jak rzeźnia o poranku, by wiedzieć o niej wszystko. Egoizm oraz przekonanie o własnej wyjątkowości sprawiały, że była niebezpieczna nawet dla SS. Weimert bardzo nie lubił, gdy ktoś go okłamywał, a już nie wyobrażał sobie, aby zrobił to więzień, bez względu na funkcję.

Miał do wyboru albo wersję Tłustej Ingi, albo jehowitki.

Blokowa stanowiła dla niego zagadkę, tak jak tajemnicą dla większości esesmanów był upór członków sekty oraz niemożność podania w wątpliwość tego, w co wierzyli. Zapytał, czy jest pewna tego, co mówi. Jej odpowiedź go nie zaskoczyła.

– Ja zawsze mówię prawdę, *Herr Unterscharführer*.

To mu wystarczyło. Właściwie nie chodziło mu o życie lub śmierć oblepionej ekskrementami więźniarki numer dziewiętnaście siedemdziesiąt. W tamtej chwili Milena była dla niego niczym. Musiał zareagować na bezczelną próbę oszukania go przez Tłustą Ingę. Podszedł do niej i uderzył w twarz. Tłusta Inga była bardzo zaskoczona jego stanowczością. Nie przywykła, by mówiono do niej podniesionym tonem, a już na pewno nie do tego, aby bito ją po twarzy.

– Jak śmiesz mnie oszukiwać, ty tłusta ruro? – wycedził ze wściekłością Weimert. – Natychmiast masz zgłosić się do karnego raportu, blok jedenaście.

Blok jedenaście znajdował się poza obozem kobiecym i miał wśród więźniów straszliwą sławę katowni, z której nie ma wyjścia. Na podwórku między blokiem dziesiątym a jedenastym codziennie wykonywano wyroki śmierci przez rozstrzelanie. Nic więc dziwnego, że Tłusta Inga się przeraziła. Upadła więc do nóg Weimertowi, ale on odsunął swoje wysokie lśniące czarne buty z jeszcze większym wstrętem niż wtedy, gdy odsunął się od więźniarki numer dziewiętnaście siedemdziesiąt.

– Karny raport za oszukanie członka SS. Blok jedenaście, biegiem – powtórzył flegmatycznie.

Tłusta Inga szybko zniknęła. Była pewna, że jakoś się wyratuje. Zwróci się zapewne do innego esesmana, z którym

prowadziła interesy. Milena miała ją z głowy. *Unterscharführer* Weimert rzucił badaczce Pisma Świętego wymowne spojrzenie i spokojnie się oddalił. Nie spojrzał już na więźniarkę dziewiętnaście siedemdziesiąt. Nie zdawał sobie sprawy, że to było już ich drugie spotkanie. Za pierwszym razem widział ją na rampie dworca kolejowego, gdzie zastrzelił żydowskiego lekarza. Weimert wrócił do swojego magazynu, nieświadomy, że nieodwracalnie zmienił bieg życia swojego i jej.

Rozdział XIX

Z REPERTUARU MARLENY DIETRICH

Milena czuła bezgraniczną wdzięczność dla swej wybawicielki.

– Uratowałaś mnie – powiedziała – a mój lud wierzy, że kto ratuje jedno życie, tak jakby cały świat ratował.

– Nie, nie – odparła Niemka z uśmiechem. – Nie ja cię uratowałam, tylko Jehowa. To on czyni wszystko.

Milena znalazła się u progu fascynującej tajemnicy drugiego człowieka. Jehowitka nie ukrywała przed nikim swojej wiary i nie miała do nikogo pretensji za utratę wolności. Uważała, że uwięzienie nastąpiło z woli jej Boga. Ale Milena nie patrzyła już na swą wybawicielkę poprzez pryzmat jej dziwnej i niezrozumiałej wiary. Dziewczyna, choć pobita i upokorzona, cieszyła się, że Inga odbywa teraz karę w bloku jedenaście. Dla niej potwór przestał na razie istnieć. Jehowitka drugi raz uratowała jej życie. Nazywała się Elfriede Schwamm i pochodziła z Hamburga.

Elfriede zaprowadziła Milenę z powrotem pod natrysk. Poradziła jej, by rzadziej pokazywała się poza blokiem szpitalnym. Milena nie musiała obawiać się zakażenia tyfusem, ponieważ przeszła chorobę i zyskała odporność. Blokowa nalegała, żeby dziewczyna jak najdokładniej się umyła. Sanitariusz SS Klehr bardzo nie lubił smrodu i zabijał kobiety, które cierpiały na przewlekłą biegunkę.

Jednocześnie Elfriede uznała, że nie powinna zwodzić dziewczyny i przekonywać, że sprawa jest zamknięta. Znała Tłustą Inę z Ravensbrück i wiedziała, że tamta nie spocznie, dopóki nie zobaczy Mileny martwej.

– Muszę obronić Milenę przed tamtą! – powtarzała.

Ona powinna umrzeć w bloku jedenastym, pomyślała Elfriede, ale zarazem wiedziała, że Inga zrobi wszystko, żeby wydostać się z tego piekła i wrócić do obozu, choćby na pośledniejsze stanowisko.

Była pewna, że to się jej uda, bo Inga i jej podobne do perfekcji opanowały sztukę przetrwania. A kiedy Tłusta Inga wyjdzie z bloku jedenastego, Milena znów znajdzie się w niebezpieczeństwie. Do tego czasu Elfriede musi zabezpieczyć Milenę. Uważała to za swój obowiązek.

Prosiła Jehowę, aby podsunął jej jakąś olśniewającą, prostą myśl, dzięki której ratunek stałby się możliwy. Wieczorem tego samego dnia, kiedy Milena zameldowała się jej w nowym pasiaku, Elfriede przypomniała sobie dni, kiedy młoda Żydówka leżała na sienniku trawiona gorączką, czekając na śmierć lub życie. Milena opowiadała wtedy w gorączce wiele o sobie. Po chwili blokowa już wiedziała. Dziewczyna pracowała w kabarecie, a więc musiała mieć odpowiednie umiejętności i talent. Oczywiście, że ona, skromna świadkowa Jehowy, nigdy nie wybrałaby się do tak niemoralnego miejsca, ale uznała, że talent wokalny może się jej przydać w walce o ocalenie niewinnej duszy i być może kolejnego świadka wielkiego Jehowy.

* * *

Elfriede jako Niemka i najstarsza rangą więźniarka funkcyjna w kobiecym szpitalu miała doświadczenie do kilku źródeł informacji. Przede wszystkim do innych funkcyjnych, a także do większości *Aufseherinnen* oraz do służby medycznej SS. Ponieważ większość esesmanów uważała badaczy Pisma Świętego za zupełnie niegroźnych szaleńców, którzy są w obozie tylko z powodu swego głupiego uporu, słyszała wieści niedostępne innym funkcyjnym. Poza tym miała także kontakty z innymi świadkami Jehowy, przeważnie Niemcami i Austriakami, zatrudnianymi w domach esesmanów. Każdy inny więzień, mając taką wiedzę jak ona, wykorzystałby ją do „organizowania” jedzenia albo szmugłu alkoholu do obozu, ale nie ona. Świadkowie Jehowy byli jedną z najdziwniejszych grup uwięzionych, a zarazem jedną z najuczciwszych.

Elfriede dowiedziała się, że *Unterscharführer* Weimert będzie w maju organizował przyjęcie dla innych esesmanów z okazji swoich urodzin. Impreza miała odbyć się w baraku magazynu,

w którym Weimert na co dzień pracował. Blokowa dowiedziała się także, że zaprzyjaźniony z Weimertem oficer sztabowy komendantury, *SS-Untersturmführer* Kurt Guntz, odpowiadający za rozrywki dla esesmańskiej załogi, poszukuje na ten wieczór ładnych dziewczyn, które umieją pięknie śpiewać. Oczywiście zgłosiło się sporo kandydatek, ale wszystkie odpadały. Guntz szukał artystki zdolnej zaspokoić oczekiwania towarzystwa, a jako przedwojenny konferansjer w jednym z wiedeńskich teatrów znał się na śpiewaniu. Nie chciał ani nauczycielek muzyki, ani skrzypaczek, tylko artystek estradowych.

Na przyjęciu mieli przygrywać muzycy z męskiej orkiestry obozowej. To byli zawodowcy, a ona też miała profesjonalistkę w zanadrzu.

To jest to, pomyślała Elfriede.

Uchwyciła się kolejnej zadziwiającej myśli, jaką podsunął jej dobrotliwy Jehowa: Milena musi pięknie zaśpiewać w podzięce dla *Unterscharführera* Weimerta na jego urodzinowym przyjęciu. I tak ją to zachwyciło, że od razu przystąpiła do przekonywania dziewczyny do wielkich korzyści, jakie dałby jej ten występ. Elfriede nie wątpiła, że skoro Jehowa podsunął jej tak genialną w swej prostocie myśl, pomoże jej też przekonać upartą Żydówkę do tego pomysłu.

– Mam śpiewać dla tego esesmana? – oburzyła się Milena na propozycję Elfriede. – Nigdy! Nie będę śpiewała dla mordercy!

Elfriede, słysząc tę hardą odpowiedź, uśmiechnęła się z politowaniem. Ileż przeszkód musi pokonać, aby ziściła się wola Jehowy! Niemka spokojnie tłumaczyła, że śpiewanie jest dobrym sposobem wyrażenia wdzięczności. Przekonywała, że Milena powinna być Niemcowi wdzięczna. *Unterscharführer* Weimert to nie jest zły człowiek, choć obiektywnie nie jest też dobry, bo bierze udział w rozstrzeliwaniach na zwirowisku. Podobno tak też zbił jakiegoś Polaka w magazynie, że nieszczęśnik trafił do męskiego szpitala, a stamtąd do pieca, ale ogólnie to nie jest zły, szczególnie w porównaniu z małym sadystycznym Aumeierem, szefem pola więzińskiego w obozie męskim, sanitariuszem Klehrem czy

choćby z zimnym i cynicznym mordercą Palitzsem. Weimert miał mieć ludzkie odruchy, w przeciwieństwie do nich, a to już coś w tym straszliwym miejscu.

– Nie ma znaczenia. Nie będę śpiewała – upierała się Milena.

– Gdyby on był zły, to zastrzeliliby cię, gdy leżałaś oblana gównem! – mówiła wzburzona Elfriede, bo nie mieściło się jej w głowie, jak można wzgardzić pomysłem jej Boga. – Bo dla esesmanów zastrzelić Żyda to tyle, co splunąć. Lepiej zaskarbić sobie jego życzliwość pięknym śpiewem, bo nie wiadomo, co się stanie, gdy Tłusta Inga wywinie się z bloku jedenastego.

– To nie dostała kary śmierci? – zapytała zdziwiona dziewczyna.

– Nie, nie dostała – odpowiedziała Elfriede. – Tłusta Inga jest potrzebna SS, ponieważ pomaga siać terror wśród kobiet. Pamiętaj, że ona zrobi wszystko, żeby cię dopaść. Poza tym nie możesz w nieskończoność siedzieć w *Krankenbau* jako sztubowa, bo to się wyda podejrzanе.

To przekonało oporną Milenę, a Elfriede podziękowała w duszy Jehowie, który raz jeszcze okazał swą potęgę, wkładając w jej usta odpowiednie argumenty.

– Nie mam wyjścia, prawda? – zapytała Milena po dłuższym zastanowieniu.

– Nie – odparła Niemka.

Perspektywa stanięcia przed publicznością złożoną z esesmanów rodziła kolejne problemy.

– Popatrz na mnie – powiedziała Milena.

Była bardzo chuda. Przed paroma miesiącami miała inną figurę. Tyłka i bioder zazdrościły jej wszystkie koleżanki. A teraz? Nie ma odpowiedniego stroju, nie ma figury, nie ma fryzury, nie ma nic, co ci esesmani chcieliby obejrzeć. Nie była nawet pewna, czy po tych wszystkich strasznych przeżyciach ma jeszcze swój jedyny atut, piękny głos. Dziewczyna nie doceniła jednak Elfriede, która zrobiłaby wszystko, żeby ziściły się zamysły Jehowy. Zależało jej, aby występ przed Weimertem i innymi esesmanami wypadł przekonująco.

Kobiety doszły do wniosku, że trudno będzie poprawić wygląd Mileny. Dziewczyna musiała pójść na imprezę urodzinową Weimerta w stroju więziarskim. Elfriede nakłuwała igłą opuszki palców dziewczyny i kropelkami krwi nacierała jej policzki, aby nadać jej rumieńców i dostarczyć skórze choć minimalną ilość składników odżywczych.

Milena miała na suto zakrapianej imprezie esesmańskiej walczyć o życie, a nie o laur w konkursie na najlepszą piosenkę. Natomiast Elfriede, która nie miała żadnego pojęcia o śpiewie, była bardzo ciekawa, co takiego dziewczyna będzie chciała zaśpiewać.

– Śpiewałam różny repertuar, na szczęście przede wszystkim niemiecki – odpowiedziała Milena.

– To bardzo dobrze – stwierdziła Elfriede, choć nie miała żadnego pojęcia o kabaretowych piosenkach i bardzo się denerwowała, aby Milena nie zaśpiewała czegoś prowokacyjnego.

* * *

Weimerta tymczasem obchodził jedynie własny święty spokój albo jakaś ułuda, dzięki której mógłby poczuć się lepiej. Rodzina oczywiście pamiętała o jego urodzinach przypadających na dwudziestego drugiego maja. Od babci przyszły sztamkowe życzenia. Pisała, że jest bardzo dumna ze swego wnuczka walczącego dla ojczyzny i Führera. Miała podkreślać to na spotkaniach koła kobiet w Drasenhofen. Gdyby wiedziała, jak wnuczek codziennie zwalcza wrogów Führera, złapałaby się za głowę! Nie napisał tego, gdyż każdy list do rodziny był czytany przez specjalną komórkę cenzorską w poczcie obozowej. Franz nie dziwił się temu. SS dbało bardzo, żeby informacje o warunkach życia w obozie oraz o przerażających mordach, jakie miały tutaj miejsce, nie przedostały się na zewnątrz. Ponadto SS musiało dbać o morale załogi. Franz pisał więc do rodziny, że bardzo ich kocha i że służba w Auschwitz jest odpowiedzialna. Podkreślał też, że jest całkowicie pewien zwycięstwa wielkich Niemiec nad światowym bolszewizmem.

Weimert starał się zorganizować przyjęcie z wystawnością, na jaką pozwalał mu stan portfela. Wprawdzie regularnie odkładał

część pensji, ale wiedział, że nie będzie go stać na wynajęcie kantyny. Zdecydował więc na pomieszczenia w swoim magazynie. Przekonywał przełożonych, że magazyn będzie bardzo odpowiedni na takie proste żołnierskie przyjęcie. Uzyskał zgodę. Zamówił z kantyny kilka butelek wódki, kiełbasę, dobrą francuską musztardę, jakieś ciasto i chleb. Poza tym każdy zaproszony miał przynieść coś na stół, zamiast urodzinowego prezentu. Kurt Guntz pojawił się z butelką francuskiego szampana, którą koledzy przysłali mu z okupowanej Francji, i kilkoma puszkami konserw z sardeli. Na imprezie miał pojawić się także kolega Franza z pokoju, Oskar Groning. Łączyła ich życzliwa obojętność, ale Franzowi nie wypadało go nie zaprosić. Ważnym gościem był bezpośredni przełożony z magazynu Theodor Kratzer, z którym Franz współpracował na co dzień. Postanowił także zaprosić kilku kolegów z wydziału czwartego obozu, zajmującego się zaopatrzeniem dla SS. Dzięki temu jedzenia i alkoholu miało nie brakować. Ale i tak wszystkich gości miał przebić Guntz. To w końcu do niego należało urozmaicanie życia esesmanom. Coś szykował, ale nie chciał zdradzić Franzowi żadnych szczegółów.

* * *

Niespodzianka, jaką Guntz przygotował dla Franza, przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Na tym żołnierskim przyjęciu grała obozowa orkiestra. Dobre jazzowe tony do mięsnej konserwy i wódki. Guntz przygotował też inne atrakcje: sprowadził autentycznego francuskiego mima, pięćdziesięcioletniego Żyda przywiezionego do Auschwitz z obozu w Drancy. Przed wojną był aktorem Comedie Francaise, a teraz stał się żebrakiem sprzedającym swą sztukę ku uciechu panów jego życia i śmierci. Oglądając popisy mima, Franz niemal zapomniał, że więzień jest Żydem. Koledzy śmiali się, klaskali ubawieni do łez, rzucali mimowi kawałki kiełbasy jak psu, Franz się nie śmiał. Gdy obserwował artystę udającego psa i zjadającego kawałki wędliny z ziemi, zdał sobie sprawę, że jutro być może dostanie rozkaz zastrzelenia tego człowieka. Zastanawiał się, czy beznamiętnie zastrzelili go na miejscu, czy też będzie patrzył na niego jak na tego

trzęsącego się ze strachu harcerza.

Franz pił alkohol z umiarem. Lubił pić wódkę w samotności, żeby zapomnieć, ale nie lubił pić z kolegami. Ten wieczór stawał się dla niego czasem bolesnej prawdy. Dostrzegł, że pod maską beznadziejnej błazenady mim cały czas spoglądał na stół, na którym znajdowały się kiełbasa na gorąco, puszki z sardynkami, czekolada, chleb, ogórki kiszane i wódka. Gdy popis się skończył, Franz pozwolił Żydowi wziąć ze stołu chleb i konserwę. Tylko Kurt Guntz był jeszcze wystarczająco trzeźwy, żeby rzucić koledze wymowne spojrzenie. Franz jednak odparł:

– Dziś są moje urodziny i dziś mogę wszystko.

Nalał sobie kieliszek wódki i natychmiast go wypił. Zagryzł ogórkiem. Patrzył na mima, który delikatnie i inteligentnie pozwalał esesmanom nabijać się z własnej nędzy i zabrał to, co było jego: chleb i konserwę. Przy okazji złożył też esesmanom głęboki ukłon, warcząc jak pies i wprawiając podchmielone towarzystwo w jeszcze większe rozbawienie. Franz spojrzał mimowi w oczy. Zobaczył w nich strach przemieszany z zaskoczeniem. Artysta był zaskoczony ludzkim odruchem jednego z esesmanów. Weimert pozwolił mu odejść i sam wypił z obrzydzeniem jeszcze kieliszek wódki. Teraz Guntz zdecydował, że nastąpi główny punkt programu.

– Teraz będą ładne niemieckie piosenki!

Milena weszła do magazynu bardzo stremowana. Przyproceedziła ją Elfriede, która jako Niemka i funkcyjna mogła bez przeszkód poruszać się po całym obozie. Milena czuła, jak trzęsą się jej ręce. Obrzuciła spojrzeniem swoją publiczność. Po raz pierwszy widziała esesmanów z tak bliska. Siedzieli wszyscy za stołem, niczym wymagające i surowe jury na konkursie piosenki. Dostrzegła, że byli zaskoczeni, może nawet bardziej niż ona sama. Miała im śpiewać Żydówka, przedstawicielka niższej rasy. Dziewczyna bardzo się ich bała. A co będzie, jeśli piosenki nie zdobędą ich uznania? Czy zostanie ukarana? Po chwili Milena dostrzegła obozową orkiestrę. Odczuwała instynktowne zaufanie do muzyków. Im też będzie zależało, żeby to dobrze wypadło,

pomyślała. Elfriede dała jej broń do ręki: ściśle wypełnienie jej poleceń. Ma być pokorna, miła, grzeczna i szeroko się uśmiechać, choć uśmiech nie przychodził jej łatwo. W tej niewyobrażalnie trudnej dla niej chwili przypomniała sobie słowa Luny przed pierwszym solowym występem w jej kabarecie:

– To nie jest sprawa życia i śmierci, a ty jesteś cholernie dobra.

Dodało jej to otuchy. Czowała się idiotycznie, ponieważ tym razem to była sprawa życia i śmierci. Kiedy znajdowała się na krawędzi paniki, podniosła oczy i popatrzyła na Niemców jak na zwykłą, choć wymagającą publiczność. Oni wpatrywali się w nią zaciekawieni. Dziewczyna zaczynała rozumieć, że między nią a nimi trwa gra pozorów. Udajemy, że to prawdziwy występ, a realia obozu nie istnieją. Audytorium oczekuje czegoś niezwykłego, a piosenkarka została dobrze opłacona. Milena zrozumiała, że powinna zaśpiewać jak na prywatnym pokazie dla kogoś bardzo bogatego.

Natychmiast też poznała *Unterscharführera* Weimerta. Był najmłodszy z nich wszystkich; miła pociągła gładko ogolona twarz. Włosy lśniące od brylantyny. Boże, pomyślała dziewczyna, dlaczego on tak na mnie patrzy? Faktycznie Weimert przypatrywał się jej badawczo. Milena zastanawiała się, czy rozpoznał w niej oblepioną główną więźniarkę sprzed tygodnia. Ich oczy na krótki moment się spotkały, tak jak wtedy na rampie kolejowej. Milena już wiedziała, że Weimert to ten sam esesman, który zastrzelił doktora Pressburgera. Mimo grozy, jaką odczuwała na samo wspomnienie tego pierwszego zabójstwa, jakie widziała w życiu, przemogła się i powiedziała:

– Chciałabym podziękować panu *Unterscharführerowi* Weimertowi za możliwość uświetnienia jego urodzin.

Mówiła dokładnie to, co jej kazała Elfriede. Na początek miała okazać pokorę i wdzięczność. Takie zachowanie musiało pozytywnie nastawić do niej tę najbardziej osobliwą publiczność w życiu.

– Zaśpiewam dla pana kilka piosenek z repertuaru niemieckich artystów – dodała Milena, upewniając się, że wszystko

w porządku.

– Proszę bardzo – zachęcił ją Weimert.

Na początek wybrała kilka kabaretowych numerów, których nauczyła jej Luna. *Mein lieber Herr* zaśpiewała *a cappella*. Starła się skupić na tekście, właściwej intonacji i własnej dykcji. Próbowwała zapomnieć o tym, gdzie jest. Tylko tak będzie mogła zbudować z własnych pieśni mur oddzielający ją od horroru rozgrywającego się poza tym barakiem. Gdy skończyła, ku jej zdziwieniu rozległy się oklaski. Ileż to razy w kabarecie ćwiczyła tę piosenkę. Milena mówiła wprawdzie po niemiecku, ale niezbyt płynnie. Bała się popełnić błąd, gdyby kazali jej śpiewać coś, czego nie знаła. Byli pijani, a wódka rozluźnia przecież hamulce i nie wiadomo, co komu mogło strzelić do głowy.

Jednak peszyło ją to, że Weimert cały czas na nią patrzył. Nie klaskał tak bezmyślnie i ochoczo jak jego towarzysze. Knajpiane piosenki rzeczywiście mogły zadowolić sklepikarzy czy marnych księgowych, którymi byli w większości esesmani. Prawdziwą sztukę, w którą włożyła całe swoje cierpienie, ból, strach i pasję, postanowiła pozostawić na koniec występu. Niech ten skurwysyn, pomyślała dziewczyna, zobaczy we mnie człowieka. Zdawała sobie sprawę, że to myśl niebezpieczna, która mogła ją drogo kosztować. Ale – paradoksalnie – myśl, że śpiewając dla esesmana w obozie koncentracyjnym, można być jednocześnie wolnym człowiekiem, dodała jej sił. Ośmieliła ją. Znów poczuła ten wibrujący fluid, który odczuwała zawsze, ilekroć stawała przed publicznością na scenie. Postanowiła zaryzykować i poprosić o akompaniament żydowskich muzyków, którzy stali z tyłu zasłuchani. Zgodzili się natychmiast. Weimert wiercił się na krześle. Podobała mu się ta improwizacja.

– Z czyjego repertuaru? – zapytał jeden z muzyków.

Milena bez namysłu odpowiedziała:

– Marleny Dietrich.

I wtedy zapadła śmiertelna cisza. Guntz popatrzył wymownie na Weimerta. Ale nawet Kurt tego wieczoru był zbyt pijany, by uznać słowa żydowskiej dziewczyny za prowokację. Marlena Dietrich całym sercem nienawidziła narodowych socjalistów

i wyjechała do Ameryki jeszcze przed wojną. Jej piosenki oraz filmy z jej udziałem napiętnowano jako niemoralne i dekadencjne. A Milena wybrała repertuar Marleny Dietrich całkiem świadomie, ponieważ nienawidziła esesmanów równie gorąco, jak wielka aktorka nienawidziła nazistów. Jej śpiew miał być symbolem jej prawa do wolności, które oni jej odebrali. Był to zarazem najodważniejszy ze wszystkich symboli, jaki Milena wyraziła sztuką w swoim życiu, dużo ważniejszy niż sprzeciw wobec ławkowego getta w katolickiej Słowacji. Teraz jego ceną mogło być jej życie. Stojąca z tyłu Elfriede zamarła z przerażenia.

Milena zaśpiewała przy dyskretnym akompaniamencie. Najpierw szlagier *Die Kinder, finde ich etwas für mich heu te abends*. Kiedy śpiewała, wszyscy esesmani milczeli. Dobrze wiedzieli, czyja to piosenka, i do tego majowego wieczora nie śmieli nawet marzyć, że mogą ją usłyszeć w tym obozie. Weimert nie dolewał już sobie wódki. W jego wzroku odnalazła potwierdzenie, że uderzyła w czuły punkt. Wiedziała, że zrozumiał jej intencje. Ale piosenka *Dzieci, dziś wieczorem znajdę coś dla siebie* była tylko pierwszym akordem jej protestu wobec własnego losu.

Drugi akord był czymś więcej niż tylko prztyczkiem w nos. Stał się jej manifestacją prawa do życia i do miłości. Zdecydowała, że zaśpiewa najsłynniejszą piosenkę Dietrich z filmu *Błękitny anioł*. Gdy zaczęła, chyba wszyscy esesmani włącznie z Weimertem zrozumieli, że ta piosenka znacznie wykracza poza ramy tego wieczoru. Ale nic nie mogli zrobić. Stali się zakładnikami własnej decyzji o ściągnięciu na ten wieczór żydowskiej piosenkarki. Weimert nie mógł już oderwać wzroku od Mileny. Widział, jak bardzo jest chuda; zapewne bardzo jej doskwierał głód. Dostrzegł też, że go nienawidziła. Równocześnie zdał sobie sprawę, że po takiej piosence dumna dziewczyna na pewno nie weźmie ze stołu nawet jednej konserwy. Zauważył, jak przemogła swój strach przed nim i jego kolegami. Pragnęła pokazać mu, że śpiewając – była wolna. To był najinteligentniejszy i najodważniejszy bunt, jaki w życiu widział. Słyszał słowa piosenki i uznał, że są adresowane tylko do niego:

*Ich bin von Kopf bis Fuß aus Liebe eingestellt,
Und das ist mein Welt und sonst gar nichts.*⁹

Nawet gdy dziewczyna skończyła śpiewać, Franz wciąż słyszał jej głos. Milena po występie dostała chleb i dwie konserwy mięsne. Postanowiła podzielić się tym z Elfriede, której zawdzięczała możliwość wystąpienia na kolacji urodzinowej. Jednak miała też wrażenie, że tego wieczoru dokonała czegoś innego, na razie nieprzekładalnego na jedzenie czy doraźne korzyści. Zrobiła na Weimerce ogromne wrażenie, może nawet większe, niż on sam wówczas przypuszczał. Wracając do siebie po imprezie, Franz myślał już tylko o Milenie.

Czuł się zupełnie oszołomiony. Dobrze znał nazwisko Dietrich. Uczono go na szkoleniach dla esesmanów, że piosenkarka zdradziła Niemcy i zamieszkała w plutokratycznej żydowskiej Ameryce. Franz rozumiał intencje dziewczyny. Tą piosenką młoda żydowska więźniarka wykrzyczała mu w twarz, jak bardzo nim gardzi. A przy tym nie mógł oderwać wzroku od jej postaci, chudej i zabiedzonej, a mimo to mającej tak wielką siłę. Nie mógł tylko rozstrzygnąć, czy to muzyka zrobiła na nim takie wrażenie, czy ta żydowska piosenkarka.

Tej samej nocy Franz z przerażeniem zdał sobie sprawę, że ciągle myśli o jej występie. Nie powinien był o niej myśleć, ale mimo to nie potrafił przestać. Coś ujęło go w postaci tej dziewczyny, skazanej na wykończenie. Dziwnie się z tym czuł. Słyszał tylko słowa z piosenki Marleny Dietrich i wiedział, że ta piosenka go pokonała.

Rozdział XX

PRÓBA SIŁ

Wiosna tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku przyszła znienacka po długiej, mroźnej i niosącej śmierć zimie. W ogrodzie komendanta Hossa zakwitły kwiaty. Cała przyroda zaczęła budzić się do życia, obok wszechobecnego i coraz bardziej krwawego korowodu śmierci. Podczas codziennych sadystycznych apeli, egzekucji wyreżyserowanych jak teatralne przedstawienia, między upadłymi do granic ludźmi, cicho i niepostrzeżenie przemykały wróble i kosy szukające odpowiednich miejsc do założenia gniazd. Gołębie zakładały gniazda na dachach murowanych, solidnych bloków obozu macierzystego. Wiosenny korowód życia kroczył tuż obok śmierci.

Po występie na urodzinach Weimerta Milena wciąż przebywała w szpitalu pod czujnym okiem Elfriede. Widywała Weimerta coraz częściej. Czasami tylko przechodził obok albo zatrzymywał się i wpatrywał w okna obozowego szpitala w bloku dwudziestym ósmym. Kiedy spotykała go na zewnątrz budynku szpitala, nieruchomiała, pokornie spuszczała głowę i starała się przede wszystkim unikać kontaktu wzrokowego. Patrzenie esesmanowi w oczy stanowiło dowód pogardy i mogło uchodzić za bezczelność, a bezczelni więźniowie krótko żyli. Milena bała się, żeby Weimert nie patrzył na nią tak jak tamtego wieczoru. Bała się tego przeszywającego wzroku i nie rozumiała, czemu coraz częściej dochodzi do tych „przypadkowych” spotkań. SS-Unterscharführer Franz Weimert w dalszym ciągu był dla niej śmiertelnym i znieawidzonym wrogiem.

Z tym większym bólem i przerażeniem Milena przyjęła rozkaz, jaki dobra Elfriede przekazała jej na początku czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, dwa tygodnie po urodzinowej imprezie Weimerta. Milena miała opuścić straszliwy szpital, w którym zdołała sobie ułożyć życie zapewniające minimum przetrwania. Musiała wykonywać wiele upokarzających czynności,

takich jak wynoszenie wiader z ekskrementami, zmienianie ohydnych, przesyconych ropą i krwią bandaży, zmienianie równie obrzydliwych sienników czy też szorowanie za pomocą gorącej wody i ryżowej szczotki betonowej podłogi. Ale w tym bloku śmierci i nieszczęścia Milena, więźniarka numer dziewiętnaście siedemdziesiąt, pracowała w zimne dni pod dachem, jadła zupę, którą dawała jej zawsze Elfriede, i spała na sienniku w pobliżu rur szpitalnej kotłowni.

– Musisz iść – powiedziała Elfriede. – To on chce ciebie mieć. On ma władzę. Nic nie mogę zrobić.

A więc wszystko jasne. To podły i pozbawiony ludzkich uczuć esesman Weimert stał za rozkazem przeniesienia. Dziewczyna płakała z bezsilnej wściekłości. Na pewno się naraziła tym śpiewem. Była pewna, że jest zgubiona. Elfriede starała się ją pocieszyć, jak tylko mogła. Mówiła, że gdyby Weimert chciał ją zgubić, zastrzeliłby ją przed szpitalem, kiedy Tłusta Inga wywróciła jej wiadro. Esesman nie chciał jej krzywdy, przekonywała Elfriede, a dziewczyna powoli się uspokoiła. Niezmacona wiara Elfriede w to, że Auschwitz jest przygotowaną przez nieodgadnionego Jehowę próbą charakteru, oddziaływała także na Milenę. Nie wierzyła wprawdzie w Jehowę, który wydawał się jej Bogiem równie posępnym, milczącym, niemym i okrutnym, jak Bóg Izraela z kart Starego Testamentu, ale zarazem wierzyła, że jej śpiew na urodzinach Weimerta nie był przypadkiem. Jeśli dane jej było zaśpiewać w tak niewiarygodnych okolicznościach, to być może istniała szansa, że przeżyje to piekło.

Elfriede z całych sił podsycala wiarę Mileny w ten „przypadek”, gdyż wiedziała, że poza lazaretem dziewczyna będzie wystawiona na najcięższą próbę, dużo trudniejszą niż śpiewanie na urodzinach esesmana. Będzie musiała sama przeżyć i nie włączyć w drogę Tłustym Ingom i innym potworom. Elfriede odniosła się także do zachowania esesmana Weimerta. Pił na swoich własnych urodzinach mniej niż inni i stanowczo nie patrzył na Milenę pijanym wzrokiem. Ale blokowa zdawała się nie wiedzieć, jaki był powód tego zachowania.

– Sama się o tym przekonasz. Wola Jehowy jest nieodgadniona.

Opuszczając obozowy szpital, Milena miała wrażenie, że już nigdy nie spotka się z Elfriede. Jednak i tym razem Jehowa miał inne plany.

* * *

Milena, otrzymawszy polecenie stawienia się do dyspozycji *Unterschaführera* Weimerta, miała przejść do komanda kobiet pracujących w „Kanadzie”, czyli magazynie, gdzie składowano i segregowano rzeczy należące do więźniów. Wszyscy wiedzieli, iż wiosną do Auschwitz zaczęły przybywać transporty Żydów ze Śląska oraz z pobliskich Czech. Ludzie ci musieli pozostawić wszystkie swoje rzeczy na rampie w pobliżu dworca towarowego, czyli dokładnie w tym samym miejscu, w którym Milena wysiadła z pociągu w mroźny marcowy dzień. Dworzec był oddalony od budowanego w szybkim tempie obozu Birkenau około dwóch kilometrów. Nowo przybyłych gnano do lasu za obozem Birkenau i tam słuch o nich ginał. Nikt żywy stamtąd nie wrócił. Milena przyjechała do obozu w pierwszym wyłącznie żydowskim transporcie, jaki Niemcy skierowali do Auschwitz. Z czasem tych transportów było coraz więcej, gdyż w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku zapadła ostateczna decyzja: wszyscy europejscy Żydzi mieli zostać eksterminowani.

Komando, do którego miała trafić dziewczyna, zajmowało się segregacją, porządkowaniem i katalogowaniem rzeczy pozostałych po pomordowanych. Wszystkie te walizy z ubraniami i setkami innych przedmiotów, teraz już nieprzydatnych właścicielom, stawały się własnością Rzeszy Niemieckiej i odtąd miały służyć niemieckim rodzinom.

* * *

Franz zdziwił się własnej reakcji na występ żydowskiej więźniarki. Już sama myśl, że śpiew Żydówki bardzo mu się spodobał, wydała się mu teraz bardzo niestosowna. Wbijano mu przecież do głowy, że Żydzi są podludźmi, że ich kultura jest prymitywna i gorsza od tej, w której wyrósł: niemieckiej, aryjskiej, rycerskiej i chrześcijańskiej. Przez wiele dni Franz ignorował te

estetyczne odczucia, ale codziennie próbował wyrwać się z „Kanady”, by przejść obok bloku szpitalnego w obozie kobiecym. Po kilku dniach wreszcie zdał sobie sprawę, że robił to jedynie po to, aby zobaczyć choćby z daleka tę Żydówkę. W jego duszy trwała gwałtowna walka: serce i rozum próbowały na przemian oswajać i zwalczać myśl, że esesmanowi mogła podobać się żydowska więźniarka.

W końcu doszedł do wniosku, że kierowała nim „ciekawość”.

Franz wciąż bowiem pytał siebie: Co tak naprawdę interesuje mnie w tej więźniarce postawionej poza nawiasem mojego świata? Przechodząc kilkanaście razy obok szpitalnego bloku, doszedł do wniosku, że w widoku tej dziewczyny dźwigającej wiadro z nieczystościami nie może być nic ciekawego. Zatem to nie ciekawość sprawiała, że codziennie myślał o jej występie. To nie ciekawość gnała go każdego dnia pod kobiecy szpital. W głębi serca podejrzewał, że działo się w nim coś, nad czym mógł stracić kontrolę. Próbował to wszystko zracjonalizować.

– Jaki ze mnie idiota – mówił do siebie.

W jakiś czas po urodzinach Franz doszedł do wniosku, że zaczyna się bać własnych odczuć i własnych myśli. Nie znał siebie od tej strony. Był zły na siebie samego. Jak ona śmiała tak na niego patrzeć? Jak śmiała śpiewać piosenki tej obrzydliwej Marleny Dietrich, która zdradziła Niemcy i mieszka w żydowskiej Ameryce? Przecież ta piosenka pochodziła z filmu oficjalnie zakazanego w Trzeciej Rzeszy. Próbował zdusić swoje odczucia wściekłością. Znów w komandzie dała znać o sobie jego żelazna ręka. Franz wiosną czterdziestego drugiego roku już w niczym nie przypominał delikatnego i zakompleksionego ministranta. Potrafił być bezwzględny. Potrafił wymierzać surowe kary, stłuc na kwaśne jabłko za najmniejszy bałagan w magazynie. Ale nawet szalejąc ze wściekłości i wyzywając się na więźniach, wciąż słyszał w duszy piosenkę Marleny Dietrich. Uznał, że byłoby lepiej, gdyby nie chodził codziennie koło szpitala, gdyż ktoś mógłby się domyślić, z jakiego powodu to robi.

Na urodzinach, podczas których powinien pić wódkę

i zapomnieć o wszystkim, patrzył tylko na nią. Przez jej głos, przez jej spojrzenie, przez jej beczelność oraz przez jej usta śpiewające zmysłową piosenkę on nie mógł spać po nocach i z należytą bezwzględnością nadzorować więźniów. Teraz na jego barkach spoczywała większa odpowiedzialność, ponieważ z powodu coraz liczniejszych transportów żydowskich zwiększyła się liczba bagaży. Zatem przełożony Franza, naczelnym magazynier „Kanady” SS-*Oberscharführer* Theodor Kratzer, rozkazał mu zorganizować komando kobiece. Mężczyzn skierowano do pracy na rampie w rejonie dworca towarowego. Mieli transportować walizy pozostawione na peronie do magazynów „Kanady”, gdzie ich rozpakowaniem i segregacją miały zająć się kobiety. Franz musiał szybko stworzyć nowe żeńskie komando. Przydzielono mu sto kobiet, a on postanowił dodać do niego według własnego uznania osoby, które mogły dobrze wykonywać tę pracę. Wśród nich znalazła się więźniarka numer dziewiętnaście siedemdziesiąt.

Zrobił tak dla własnego bezpieczeństwa. Codzienne spacerowanie po obozie kobiecym mogły przecież wzbudzić czujność strażniczek. Esesman nie miał tam nic do roboty. Był więc najwyższy czas, by mieć tę więźniarkę w zasięgu swoich oczu, bez narażania się na zgubne plotki. Mógł dalej wykonywać swoją nudną pracę nadzorca magazynu, dalej oddawać przełożonym drobne sprawozdania, ile koszul, ile butów, ile waliz, ile pieniędzy, i mieć święty spokój. Być może to właśnie tak bardzo mu doskwierające uczucie zagrożenia sprawiało, że Franz znów uciszał własne sumienie. Marzył o tym, aby bez wewnętrznych rozterek móc wykonywać swoją pracę. Nie chciał stracić nad sobą panowania z powodu wokalnego talentu żydowskiej więźniarki. Teraz miała pracować pod jego okiem w magazynie.

W jego decyzji kryło się jednak niebezpieczeństwo. Zaczynał tracić panowanie nad własnymi odczuciami, gdy myślami był przy więźniarce numer dziewiętnaście siedemdziesiąt. Czy będzie w stanie zapanować nad nimi, gdy ona będzie codziennie w pobliżu? Na to pytanie Franz Weimert nie znał na razie odpowiedzi. Mógł jedynie się łudzić, że zdoła. Ale uczucia nie

poddawały się racjonalnemu osądowi. Nie można było odciąć się od nich, kiedy już wybuchły w jego sercu. Esesman Weimert miał się przekonać, że jeśli zdołał zepchnąć ministranta Franza Weimerta gdzieś na dno duszy, uczuć nie będzie mógł kontrolować.

* * *

Sto kobiet z nowego komanda miało mieszkać w jednym baraku w obozie kobiecym i codziennie rano maszerować przy dźwięku obozowej orkiestry do magazynów „Kanady”, położonych kilkaset metrów za kacetem. Tam kontrolę nad nimi przejmowali esesmani, w tym Franz Weimert. Milena szybko doszła do siebie po przenosinach z obozowego szpitala. Mimo osłabienia po przebytych tyfusie chciała żyć i pragnęła za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni tak długo, jak to tylko będzie możliwe. Znowu pracowała pod dachem. Mimo nienawiści do Weimerta czuła, że i tu, pod jego bezpośrednim nadzorem, będzie miała szansę przetrwania. Wówczas dziewczyna nie zdawała sobie jeszcze sprawy z powodów nagłego zainteresowania Weimerta jej osobą. Uznawała je za kolejny przejaw dręczenia, tym razem psychicznego.

Praca w pierwszej „Kanadzie” miała jeszcze jedną dobrą stronę. W walizach i ubraniach po ludziach, którzy zniknęli w lasku Birkenau, kobiety z komanda znajdowały żywność. Czasami kawałek chleba, konserwę czy kiełbasę, którą ktoś wiozł aż do Auschwitz, nie wiedząc, że ta stacja będzie ostatnim przystankiem w podróży. I teraz, po zniknięciu właściciela, to jedzenie ratowało życie innemu człowiekowi. Nadzorcy z SS wiedzieli o tym, ale przymykali na to oko, mimo że formalnie wszystko, co pozostało po setkach ludzi przywożonych pociągami, należało do Rzeszy. Kiedy latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku zaczęły do obozu przybywać transporty Żydów z Holandii, w walizach znajdowały się tabliczki czekolady, puszki sardynek, sery i kanapki zawinięte w schludny papier śniadaniowy. Dopiero wtedy Milena przekonała się, że to komando ratuje jej życie. Zastanawiała się czasami, co dzieje się z ludźmi, którzy pozostawili jedzenie. Skoro je przygotowywali,

przypuszczali, że będzie im potrzebne. Próbowwała o to zapytać jakąś starszą więźniarkę, ale żadna z kobiet nie chciała zaprzętać sobie tym głowy. Zajmuj się sobą, mówiły, patrz na siebie, nie interesuj się tym, bo narobisz sobie kłopotów. Żaden z właścicieli walizek nigdy nie zgłosił się po ich odbiór.

Codziennie widywała Weimerta. Często przychodził do baraku, by nadzorować pracę więźniarek, i przypatrywał się jej z boku. Zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego tak na nią patrzył i czego od niej chciał. Była w głębi serca porządną żydowską dziewczyną i zainteresowanie ze strony mężczyzny bardzo ją onieśmiało. Dzięki Lunie i miesiącom przepracowanym w kabarecie w Bratysławie nauczyła się radzić sobie z mężczyznami. Ale teraz? Nie mogła nic zrobić. W Auschwitz, choć gwiazdy i księżyc niezmiennie wisiały nad ludźmi, nie istniało żadne prawo moralne, które zapewniałoby przetrwanie kobiecie wystawionej na łaskę lub niełaskę mężczyzny z SS, który miał władzę życia i śmierci. Czuła, że jest zdana na humory tego człowieka i będzie żyła w trwodze dopóty, dopóki nie dowie się, jakie zamiary esesman ma wobec niej.

* * *

Dla ludzi żyjących w pokoju i dobrobycie buty nie są niczym szczególnym. W Auschwitz odpowiednie obuwie mogło decydować o życiu lub śmierci. Od przybycia do obozu Milena chodziła w butach po radzieckim jeńcu, które latem rozpadły się zupełnie. Teraz pracowała cały czas bosą, po dziesięć, czasami dwanaście godzin na dobę. W końcu wbiła jej się w stopę jakaś drzazga. Niemyta i ciągle zaczerwieniona rana zaczęła tak doskwierać, że dziewczyna nie mogła pracować. Siedziała schowana za stertami waliz i inne więźniarki ją kryły. W końcu któraś z nich zdobyła spirytus, sprawnie przemyła ranę i nałożyła na nią jakąś dziecięcą czystą chusteczkę. Milena podziękowała za tę nieoczekiwaną pomoc. Więźniarka, która jej pomogła, przedstawiła się.

– Nie dziękuj. Ty możesz pomóc innym. Nazywam się Wanda Zygielbojm i jestem lekarzem. Pochodzę z Radomia.

Milena słabo mówiła po polsku, ale obie kobiety dobrze znały jidysz, więc z porozumieniem się nie miały problemu. Wanda

Zygielbojm codziennie doglądała nogi Mileny. Weimert też widział, że Milena nie może chodzić, ale przymykał oczy na fakt, że dziewczyna nie pracuje. Wanda Zygielbojm wyznała w końcu, że to on kazał jej opatrzyć nogę.

– Czy możesz mi wytłumaczyć dlaczego? – zapytała Milena.

– Co dlaczego?

– Dlaczego kazał ci opatrzyć moją nogę?

– Myślę, że ten esesman cię wyróżnia.

Milena zdała sobie sprawę, że Weimert najprawdopodobniej jej pożąda. Skoro tak, to dlaczego jeszcze jej nie przymusił? Przecież ona, choćby w trosce o własne życie, musiałaby oddać mu swoje ciało. Jednak tego nie robił. Tylko patrzył. Milena wciąż nic nie pojmowała, ale starsza od niej Wanda Zygielbojm już domyślała się prawdy. Uznała, że stanowi to szansę dla komanda i szansę dla samej Mileny.

* * *

Jak na ironię kapo w nowym komandzie Mileny została jej dobra znajoma, Tłusta Inga. Znanymi sobie sposobami wyrwała się z karnej kompanii harującej przy stawach rybnych w Budach. Babsztyl nade wszystko pragnął się zemścić na Milenie oraz na Weimerce, który tak bardzo ją upokorzył. Kratzer chciał mieć jako kapo kogoś, kto zapanuje nad komandem. Wybrał Ingę, nie wiedząc o jej zatargu z Weimertem. Jednak Niemka zrobiła się znacznie ostrożniejsza. Bała się Weimerta i starała się nie wchodzić mu w drogę.

Tłusta Inga zameldowała się w komandzie w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Wiele więźniarek znało ją z obozu żeńskiego i stroniło od niej, starając się niczym nie podpaść potworowi. Franz był bardzo zaskoczony, że Inga wydostała się żywa z karnej kompanii, ale nie mógł nic zrobić. Zwrócił się do swego przełożonego, ale *Oberscharführer* Theodor Kratzer dał mu jasno do zrozumienia, że wyrzucenie Ingi z jego komanda nie wchodzi w grę.

– Ona sypia ze Schillingerem. Jest nie do ruszenia – powiedział Kratzer.

Nazwisko Schillinger było znane już w całym obozie. Ten podoficer SS słynął z bestialstwa, miał też opinię wszetecznego kurwiarza. Odwiedził już chyba wszystkie Niemki, które osadzono w obozie za przestępstwa kryminalne. To mógł robić oficjalnie. Chodziły także plotki, że gwałcił więźniarki, na przykład ładne młode Polki. On właśnie stał teraz za grubą Ingą. To zapewne jego wstawiennictwu zawdzięczała przeniesienie z kompanii karnej do komanda pracującego w „Kanadzie”.

– Zrobię wszystko, żeby był pan ze mnie zadowolony, *Herr Unterscharführer* – powiedziała Inga, rzucając Weimertowi beczelny uśmiech.

Franz od razu wiedział, że będzie musiał wzmóc czujność. W komandzie pracowała też Milena i było jasne, że Inga będzie starała się ją dopaść i zamordować. Weimert zastanawiał się, jak zareagować, gdy kapo będzie znęcała się nad Mileną, bo mógł być pewien, że Niemka nie zrezygnuje z zemsty. Miał jednak nadzieję, że zdoła jakoś ułożyć współpracę z Tłustą Ingą.

* * *

Inga szybko odnalazła Milenę, ale pragnienie zemsty oraz jej lesbijska żądza zostały wystawione na próbę oczekiwania. Inga świetnie zdawała sobie sprawę, że Milenę musi wykończyć tak, żeby nie narazić się jak wtedy, przed szpitalem. Zraniona stopa dziewczyny zapewniła idealny pretekst. Gdy Inga zauważyła, że Milena nie pracuje, natychmiast rzuciła się na nią. Biła ją po twarzy i szarpała za włosy:

– Masz pracować, ty kurwo! – wrzasnęła. – Wczasów ci się zachciało, dam ci ja wczas, ty pierdolona suko!

Milena wróciła do roboty, choć każdy ruch stopą sprawiał jej ból. Zaczęła płakać i była pewna, że szczęście w tym piekle ją opuściło. Tłusta kapo na pewno ją zabije. Znęcała się nad Mileną tak zapamiętale, że nie zauważyła, jak stanął za nią Weimert. Wszystkie więźniarki przyjęły postawę na baczność i przerwały pracę.

Inga przy podoficerze SS nie mogła pozwolić sobie na nieodpowiedni ton, ale wiedziała też, że Weimert nie będzie bronił

żydowskiej dziewczyny. Zatarg między kapo i esesmanem dotyczył tego, że ona go oszukała. I on złapał ją na kłamstwie. Z tego powodu Inga grała przed Weimertem kapo, która tępi bumelanctwo. Nie wiedziała, że Weimert pragnął mieć dziewczynę w komandzie i nie chciał, by się jej cokolwiek złego przydarzyło.

– Ta kurwa nie chce pracować, *Herr ünterscharführer* – zameldowała Niemka. – Ja ją nauczę pracować. Może pan być pewien.

Weimert pokręcił głową, dając do zrozumienia, że jego komando pracuje, bo on tak każe, a nie dlatego, że Inga pilnuje.

– Czy nie widzisz, że ona nie może chodzić? – zapytał.

Pytanie esesmana zaskoczyło zarówno sadystyczną kapo, jak i dziewczynę. Nie chciała przecież od niego żadnej pomocy. Był jej wrogiem i wciąż go nienawidziła, ale mimo to po raz pierwszy dostrzegła u niego wyraźny ludzki gest, choć przykryty pozorem troski o pracę. Poczowała wdzięczność, ponieważ bez tego Inga szybko by ją wykończyła. Spojrzała na Niemca bez wrogości i podskórnie wyczuła, że tylko czekał na jej spojrzenie. Uznała, że on chce jej pomóc. I właśnie to było dla niej najbardziej zaskakujące. Weimert toczył przez chwilę osobliwy, wzrokowy pojedynek z Tłustą Ingą, ale w końcu rzekł:

– Zwalniam więźniarkę dziewiętnaście siedemdziesiąt od ciężkiej pracy przy walizkach do czasu wygojenia nogi. Wprawiona w pracy więźniarka podnosi jakość pracy mojego komanda, a ja nie mam ochoty odwozić na taczce trupów do krematorium. Czy wyraziłem się jasno?

Kapo musiała przytaknąć. Milena miała więc chwilowy spokój. Mogła siedzieć i sortować odnajdywaną w walizkach bieliznę męską, damską i dziecięcą, swetry, spodnie i spódnice. Tę samą pracę wykonywała też Wanda Zygielbojm. Poczwały do siebie sympatię i obydwie wyczuwały pełen nienawiści wzrok kapo, która czyhała gdzieś w zakamarkach dusznego baraku, przesyconego letnim upałem, potem kobiet i zapachami unoszącymi się z odzieży.

Po półgodzinie Weimert znów wszedł do baraku i oznajmił:

– Więźniarka numer dziewiętnaście siedemdziesiąt musi mieć

założony opatrunek na nogę i dobre buty, żeby pracować. Może wybrać sobie odpowiednie buty.

I wyszedł. Jego rozkaz musiał być spełniony. Wanda Zygielbojm, która była lekarką przypisaną do komanda kobiecego w „Kanadzie”, ochoczo zabrała się do pracy. W walizach znalazł się i kawałek mydła, żeby umyć stopę, i opatrunek.

– Masz dziś szczęście – wyszeptała Wanda.

– Tak, znowu miałam szczęście – odpowiedziała Milena, czując, że nie zawdzięcza tego szczęścia przypadkowi.

Teraz musiała tylko odnaleźć porządne buty.

* * *

Minęło kilka dni. W baraku, gdzie pracowała Milena, piętrzyły się stopy walizek z ubraniami. Wszystkie były podpisane przez właścicieli. Podczas wyładowywania transportu na rampie Niemcy prosili ich, aby podpisywali bagaże rozdawaną przez nich kredą. Uspokajało to nowo przybyłych, którzy mieli nadzieję na szybkie odnalezienie swoich rzeczy. Poza tym to ułatwiało pracę segregującym. Kobiety pracujące z Mileną w komandzie wiedziały, która z walizek należała do mężczyzny, która do kobiety, która do dziecka.

Na walizach widniały duże litery, niektóre koślawe, niektóre staranne, a inne mało czytelne, jeszcze inne sprawiały wrażenie jakichś monstrualnych napisów na odwiecznych skałach, jak gdyby właściciel walizki chciał w sposób niebudzący wątpliwości zaakcentować swoje prawo własności, by tym łatwiej odnaleźć bagaż, gdy tylko wróci z dezynfekcji. Wszystkie więźniarki pracujące z Mileną w komandzie wiedziały jednak, że żaden z właścicieli nigdy nie zgłosił się po ich odbiór. Potęgowało to jedynie uczucie grozy.

Tłusta kapo, złośliwa, zdemoralizowana i dusząca się żądzą zemsty Inga miała jednocześnie głęboko zakodowany niemal nabożny lęk przed mundurem z dwiema runami na kołnierzu. Nie miała wyjścia i musiała spełnić rozkaz Weimerta. Milena mogła sobie wziąć takie buty, jakie będzie chciała i jakie będą najwygodniejsze. Dziewczyna, wciąż narzekając na ból, który nie

był już tak bardzo dotkliwy dzięki staraniom Wandy, przystąpiła do poszukiwań. Szukała walizki, której właścicielką była młoda kobieta. Było to nierozsądne, ponieważ należało raczej odnaleźć buty w odpowiednim rozmiarze. Znalazła kilka par, ale przymierzywszy wszystkie, ku wyraźnej wściekłości Tłustej Ingi zwróciła się ku ostatniej walizce.

Należała do Ruth Sofii Blum, lat dwadzieścia sześć, oraz jej córki Estery, zamieszkałych w holenderskim Eindhoven. Taki napis widniał na skórzanym licu starej wysłużonej walizy. Po jej otwarciu Milena odniosła wrażenie, że jej właścicielka musiała być dobrą matką. Ujrzała złożone starannie ubranka małego dziecka, dodatkowe śpioszki, zestaw pieluch, termos i... buty. Były to skórzane eleganckie mokasyny, jakby uszyte na nogi Mileny. Dziewczyna bardzo się ucieszyła. W duszy podziękowała za te buty Ruth Sofii Blum, która miała już nigdy nie zgłosić się po swoją własność.

Inga widziała, które buty wybrała Milena. Podeszła więc do dziewczyny i wyrwała jej obuwie, mówiąc, że sama je lepiej spożytkuje. Ona była kapo w tym komandzie i ona tu rządziła. Mówiąc to, rzuciła Milenie białe lekarskie chodaki, za ciasne na nią. Zrobiła to celowo, żeby stopy dziewczyny znów zaczęły krwawić. Więzień, który nie może chodzić, nie może pracować. A kto nie może pracować, staje się bezużyteczny. I to była droga prowadząca wprost do krematoryjnego pieca. Tego dnia Inga szalała w baraku. Weimert się nie pokazywał, gdyż asystował przy wyładunku kolejnego transportu. Inga wiedziała o tym i używała sobie na dziewczynie do woli. Inga do niej podchodziła, podcinała jej nogi i przewracała ją na podłogę.

– Patrzcie, jak pierdolnęła o podłogę! – syczała raz po raz, doskonale bawiąc się dręczeniem dziewczyny.

Jeśli Inga nie biła i nie podcinała jej nóg, to podchodziła, żeby wyzwać Milenę od „żydowskich kurew”. Potem nagle odchodziła na pół godziny, po czym wynurzała się zza stert waliz i wymierzała dziewczynie siarczysty policzek, wrzeszcząc:

– Pójdiesz na druty! Wykończę cię, ty suko!

Inga pragnęła doprowadzić więźniarkę do samobójstwa. Milena płakała, a jej udręka zdawała się nie mieć końca. Nie miała żadnych złudzeń, że Inga dopnie swego. Z powodu poranionych aż do krwi nóg mogła w najlepszym razie trafić do szpitala. Tam wprawdzie pracowała Elfriede, ale okaleczone nogi kwalifikowały chorą do zastrzyku z fenolu. Milena wiele razy widziała, jak sanitariusz Josef Klehr własnoręcznie uśmiercał kobiety, które nie mogły chodzić.

Kiedy Milena zrzucała chodaki, natychmiast zjawiała się Inga:

– Masz nosić te buty, ty cipo. Taki jest rozkaz *Unterscharführera*. I będziesz, kurwa, je nosiła. Zakładaj je z powrotem! – syczała.

Milena płakała i wiedziała, że nie może się jej sprzeciwić. Opór kosztowałby ją życie. Włożyła więc po raz kolejny chodaki na zranione nogi. Zaciskała z bólu zęby. Kapo kazała jej segregować ubrania w kucki. To wzmagало ból. Wydawało się, że tego dnia Inga wygra. Milena wiedziała, że długo nie wytrzyma w takiej pozycji. Myślała, że nic i nikt nie zdoła jej ocalić. Widziała przecież, jak Tłusta Inga potrafi wdeptać dorosłą kobietę w błoto i zatłuc ją własnymi rękoma. Ale ratunek znów przyszedł z nieoczekiwanej strony.

* * *

Unterscharführer Weimert wparował nagle do baraku zmęczony wyładunkiem na dworcu. Natychmiast zauważył Milenę. Widział, że kucała i że z jej stóp, z takim trudem zaleczonych przez Wandę Zygielbojm, sączyła się krew. Dziewczyna nie mogła chodzić i z ogromnym wysiłkiem znosiła pozycję, w której pracowała. Weimert przywołał Inge i wrzasnął na kapo:

– Kazałem wybrać odpowiednie buty więźniarce dziewiętnaście siedemdziesiąt! Pytam, kurwa, czy to są odpowiednie buty?! – wyrzucił te słowa z wściekłością, wskazując Tłustej Indze lekarskie chodaki.

– Tylko takie na nią pasowały – odparła z uśmiechem na ustach Inga. – Wykonałam pana rozkaz.

Weimert jak gdyby tylko czekał na tę odpowiedź.

Błyskawicznym ruchem uderzył Inge pięścią w twarz, trafiając w nos i go łamiąc. Inga wrzasnęła i zalała się krwią. Wszystkie więźniarki z przerażeniem patrzyły na esesmana, który skarcił straszliwą kapo w sposób dla niego charakterystyczny, ale ponieważ dręczyła Milenę, całkowicie niesamowity. To był precedens, z którego Weimert musiał zdawać sobie sprawę. Rzeczowo i spokojnie wyjaśnił kapo, że buty miały być wygodne, bo teraz więźniarka numer dziewiętnaście siedemdziesiąt musi znów pauzować w pracy i komando traci jednego, bardzo dobrego pracownika. Inga zakpiła sobie z jego rozkazu i dlatego dostała po mordzie. Zapowiedział jej, że jeśli jeszcze raz jego rozkaz zostanie zrozumiany opatrzenie, narażając jego komando na utratę pracownika, osobiście wymierzy jej sto batów drucianą nahajką, ponieważ jego komando ma być najlepszym i najbardziej wydajnym komandem w obozie. Jego rozkazy mają być wykonane natychmiast i w sposób niebudzący żadnych wątpliwości. Jeśli kapo nie zrozumiała polecenia, mogła zapytać raz jeszcze i nie narażać się na karę. Kapo jest głupia i nadaje się tylko do czyszczenia stawów w Budach, a on jej tę robotę załatwi, jeśli raz jeszcze stanie mu na drodze.

– Zrozumiałaś? – zapytał zimno.

– Tak jest – wycharczał babsztyl, plując na podłogę krwią.

Inga natychmiast zmieniła ton wobec Mileny i oddała jej upatrzone mokasyny. Kapo chodziła odtąd ze źle zrośniętym nosem, ale zaczęła straszliwie nienawidzić Weimerta.

Powiedziała też o wszystkim swojemu kochankowi Schillingerowi, jednak esesman był przede wszystkim oportunistą. Słyszał, że Weimert jest w dobrej komitywie z oficerem komendantury Kurtem Guntzem. Kochanek Ingi chciał przede wszystkim kraść i gwałcić, więc nie miał zamiaru wchodzić Weimertowi w drogę.

* * *

Nazajutrz Weimert kazał Milenie iść do szpitala obozowego w towarzystwie Wandy Zygielbojm. Żydowska lekarka stwierdziła, że to nie jest konieczne i że sama zadba o więźniarkę numer

dziewiętnaście siedemdziesiąt, używając znalezionych w walizkach medykamentów. Weimert nie oponował. Milena miała odpoczywać przy sortowaniu bielizny w pozycji siedzącej. Nogi wydobrzały w ciągu tygodnia, ale w tym czasie o złamaniu nosa strasznej Ingi plotkował już cały obóz. Pogłoski przenikały przez pozornie niemożliwe do sforsowania bariery dzielące obóz żeński i męski. Różne też były reakcje więźniów. W komandzie Mileny wiadano już, że Weimert traktuje dziewczynę inaczej niż wszystkie więźniarki. Z tego powodu miała ona tylu przyjaciół, co i wrogów.

Weimert wśród więźniów uchodził za brutala, który uczestniczył w rozstrzeliwaniach na zwirowisku. Opinia ta utrwałała się po pobiciu trzech młodych Polaków, z których jeden trafił pod igłę sanitariusza Klehra. Franz miał ambicję, żeby jego magazyn aż lśnił. Władze obozowe zazwyczaj doceniały bezwzględną rękę Franza Weimerta. Przeważała opinia, że ten esesman lubił, gdy jego komando naprawdę dobrze pracowało.

Jednak wieczorami i w nocy na więziennych pryzkach, choć było to zabronione, szeptano. Nikt nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego esesman Weimert, butny i niewzruszony uczestnik rozstrzeliwań, nieczuły na ludzką krzywdę sukinsyn, kazał dać bardzo dobre buty nic nieznaczącej żydowskiej dziewczynie. Dlaczego się tak zachował wobec jednej kobiety, podczas gdy każdego dnia w Auschwitz dziesiątki kobiet wcale nie gorszych od tej dziewczyny kąsały wszy i gryzły esesmańskie psy? Ile kobiet zginęło w komandzie, które rozbierało gołymi rękoma opuszczone przez wysiedlonych właścicieli polskie domy na Zasolu? Ile dziewczyn było codziennie gwałconych przez zwyrodnialców albo przez sadystyczne lesbijskie kapo, takie jak Tłusta Inga? Ile kobiet, zupełnie zrezygnowanych i wycieńczonych, dostawało zastrzyk z fenolu? Co takiego kierowało okrutnym i bezwzględnym esesmanem Weimertem? Te pytania pozostawały na razie bez odpowiedzi.

Rozdział XXI

PRZESYŁKA SPECJALNA

Przez całą późną wiosnę i wczesne lato tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Milena pracowała w komandzie kobiecym w pierwszej „Kanadzie”. Ponieważ trwały zakrojone na olbrzymią skalę prace przy rozbudowie gigantycznego obozu w odległej o prawie dwa kilometry od obozu macierzystego Brzezince, mówiono, że i tam ma powstać nowa „Kanada”, jeszcze większa i potężniejsza od pierwszej, w której walizy i posegregowane mienie już się powoli nie mieściły.

Weimert starał się widywać Milenę jak najczęściej. Kiedy miała dźwigać duże ciężary, natychmiast nakazywał jej iść do lżejszej pracy. Gdy znalazła coś dojedzenia, przymykał na to oczy. Gdy łamiąc regulamin, ku wyraźnej wściekłości kapo, oddawała jedzenie innej, słabszej więźniarce, zdawał się tego nie widzieć. Pojawiał się kilka razy na dzień w baraku, gdzie pracowała Milena, i wydawał jej bezsensowne na pozór polecenia, każąc na przykład posprzątać w jego baraku biurowym. Milena musiała więc zamienić się w sprzątaczkę, nie bacząc na zatrudnionych tam siedmiu pisarzy obozowych, specjalnie przyuczonych do tego celu więźniów. Spisywali oni na specjalnych arkuszach każdą marynarkę i majtki, które stały się łupem Trzeciej Rzeszy. Franz właściwie nie prowadził już osobiście ewidencji tych wszystkich zagrabionych dóbr. Nie dałby sobie z tym sam rady. Z tego też powodu scedował całą robotę na owych pisarzy, zwanych szrajberami. Jego praca ograniczała się do skrupulatnej kontroli tych ludzi. Więźniowie, przeważnie Polacy ze Śląska, mówiący dobrze po niemiecku, bardzo dokładnie prowadzili ewidencję, świadomi, że taka fucha może się drugi raz nie trafić. W końcu Franz musiał przyznać przed samym sobą, że jego zainteresowanie więźniarką numer dziewiętnaście siedemdziesiąt zaczęło wymykać się mu spod kontroli. Robił jednak wszystko, co mógł, żeby nie przekroczyć bariery dzielącej esesmana, czyli władcę życia i śmierci więźniów, oraz więźniarki,

młodej Żydówki, która była przecież tylko szczapką drewna, skazaną na wypalenie w piecach Auschwitz.

Starał się więc zwracać do niej wyłącznie służbowo i tylko przy świadkach. Wiedział, że gruba kapo, której nie mógł się pozbyć z komanda, była śmiertelnym wrogiem jego i dziewczyny. Nie chciał kupować milczenia Tłustej Ingi, ponieważ wywoływała u niego niezmierne obrzydzenie. Gdyby tylko mógł, zastrzeliłby ją bez wahania. Wiedział też, że miała poparcie władz obozu, więc musiał ją znosić. Poza tym swoim zachowaniem nikomu nie chciał dać powodu do domysłów, że jego zainteresowanie więźniarką numer dziewiętnaście siedemdziesiąt znacznie wykraczało poza służbowe kontakty i zmierzało w stronę pogwałcenia ustaw norymberskich. Właśnie dlatego nigdy nie pozwolił sobie nawet na minutę sam na sam z Żydówką. Dziewczyna wciąż miała w pamięci zabójstwo doktora Pressburgera, którego na dworcu kolejowym dokonał Weimert, i wciąż uważała go za wroga, który z niezrozumiałych dla niej powodów roztoczył nad nią zadziwiająco skuteczny parasol ochronny.

Któregoś dnia w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, przy porannym goleniu w swoim pokoiku w hotelu dla esesmanów, Franz zdał sobie sprawę, że interesując się Żydówką, dokonuje w istocie zdrady i – co było dla niego najstraszniejsze – najwyraźniej pragnął jej dokonać. Uczono go, że każde zetknięcie się narodowego socjalisty z Żydem stanowiło realne, ideologiczne i rasowe niebezpieczeństwo. Uczono go w szkole SS, że Żydzi mają inną od aryjskiej psychikę i duszę. Są skażeni różnymi chorobami psychicznymi. Kontakty z nimi były niebezpieczne, ponieważ Żydzi z natury mieli w sobie skłonność do rozmywania innych ras i urabiania ich na swoją modłę we wszystkich dziedzinach życia. Mówiono więc w Niemczech o żydowskich wpływach w nauce, sztuce, filmie oraz w kulturze jedzenia. Najbardziej perfidne było jednak to, że oskarżano Żydów o to, że wymyślili kapitalizm i jako bankierzy w amerykańskich korporacjach odpowiadali za kryzys światowy z roku dwudziestego dziewiątego. Żydzi mieli być według nazistów autorami

komunizmu, czyli zupełnego ideologicznego przeciwieństwa. Z tego samego powodu naziści nienawidzili chrześcijaństwa, jako że narodziło się za przyczyną... Żydów.

Franz do niedawna wierzył w tę paranoję. Musiał jej zaprzeczyć, pragnąc usprawiedliwić się z zainteresowania Żydówką. W ciągu tego krótkiego czasu od dwudziestych drugich urodzin zdrada nazistowskiej ideologii rasowej już w jego sercu się dokonała. Widział przecież, że Milena jest takim samym człowiekiem jak on, z tą tylko różnicą, że on miał nad nią władzę.

Zarazem zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma nic własnego poza doświadczeniem nieustannego wewnętrznego cierpienia. Cierpiał przede wszystkim z powodu zabójstwa Bastiana. Wprawdzie nie tylko on strzelał, ale wiedział, że przelał jego krew. Następnym zabójstwem już nie pamiętał. Uleciały z jego pamięci razem z oparami wódki. Bo Franz rozpił się w obozie. Codziennie wypijał dwa, czasami trzy kieliszki wódki. Oszukiwał się. Żył własnym złudzeniem. Aby roztoczyć jeszcze skuteczniejszą opiekę nad więźniarką numer dziewiętnaście siedemdziesiąt, obiecał sobie, że wzmoże czujność. Po raz pierwszy w życiu zaczęło mu zależeć na czyimś losie oprócz własnego. To było najbardziej ożywcze odkrycie tego poranka.

Już kilka razy interweniował, ratując więźniarkę z poważnych kłopotów, które mogły zakończyć się jej śmiercią. Wprawdzie ani razu jej nie dotknął, ale okazywał swoimi interwencjami jawne zainteresowanie. Bardzo się tego bał. Ktoś przecież mógł donieść, na przykład Tłusta Inga. Obozowe Gestapo było ciągle czujne i miało mnóstwo szpicli pośród kapo i więźniów. Był pewien, że i w jego komandzie pracuje ktoś, kto codziennie informuje katów z *Politische Abteilung*. Jego ostrożność była kluczem do przetrwania tej dziewczyny. Wiedział, że jeśli popełni najmniejszy błąd i przekroczy niewidzialną granicę niedotykalności, Milena umrze.

Gdy już wytarł twarz ręcznikiem i wklepał w skórę tani płyn po goleniu o zapachu lawendy, doszedł do wniosku, że zdrada, której się tak bał, polegała na tym, że pragnął nade wszystko

znaleźć się sam na sam z Żydówką. Chciał jej dotknąć. Chciał ją mieć tylko dla siebie. Od tej pory szukał sposobu, żeby przekazać Milenie jasną wiadomość o jego intencjach. Wiedział przecież, że się go bała. Chciał, aby wiedziała, że ją ochroni i że nie ma się czego lękać. Rozsądek podpowiadał mu jednak, że zbliżenie się do niej zwiększy jedynie niebezpieczeństwo. Prędzej czy później jego zainteresowanie żydowską więźniarką stanie się widoczne. Co będzie dalej? Po raz pierwszy, od kiedy przybył do Auschwitz, czuł, że nie jest w stanie do końca zapanować nad sytuacją.

* * *

Czasami siadywał w swoim pokoju hotelowym i myślał o rodzinie, szczególnie o matce. Niekiedy dostawał od niej paczkę, w której znajdował jakiś przysmak, doskonałą suszoną kiełbasę, przyrządzaną przez Weimertów od pokoleń, kawałek świetnego tyrolskiego szpeku, czyli wędzonego i suszonego boczku, albo czekoladę i popularny w Austrii likier brzoskwiniowy. Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w Drasenhofen nie odczuwano jeszcze wojny i związanych z nią braków w zaopatrzeniu.

Franz oczywiście nie potrzebował tych łakoci. Jadał dobrze w kantynie dla esesmanów i nie narzekał na brak gorzkiej czekolady. Wzruszały go listy od matki, ciepłe, pełne troski, opisujące domowe sprawy, które z perspektywy Auschwitz stały się dla niego tak bardzo odległe i nierzeczywiste. Zastanawiał się, dlaczego matka nigdy nie zapytała, co robi i gdzie służy.

Franz znał swoją matkę i wiedział, że frapuje ją kwestia tego, co to za miejsce. Wszyscy w Niemczech wiedzieli o obozach koncentracyjnych, ale nikt nie mówił tego otwarcie. Podejrzewał, że matka bała się udzielić sobie samej odpowiedzi na pytanie, co robi jej syn i jak wygląda jego służba ojczyźnie. Robiła więc, co mogła, żeby zagłuszyć własne sumienie. Dbała o niego, tak jak każda matka dbałaby o własne dzieci. Pamiętała o nim w modlitwie w wiejskim kościółku w Drasenhofen, gdzie codziennie odprawiano mszę za austriackich chłopców z Wehrmachtu, którzy walczyli na froncie wschodnim. Cieszyła się, że jej syn nie walczył w Rosji,

gdzie zginęło już pół miliona niemieckich żołnierzy. Widziała rozpacz matek, które straciły swoich synów w bojach z tymi zawszonymi i zezwierzęconymi bolszewikami. Jej syn znajdował się jako strażnik w Auschwitz i był tam bezpieczny, a to przecież dla niej najważniejsze. Nie chciała wiedzieć, co dzieje się w tym obozie, ale martwiła się, żeby syn dobrze się ubierał, nie przegrzewał w upały i nie marzł w chłodne dżdżyste dni. Klimat w Polsce był podobno paskudny.

Jak on mógł się odwdzińczyć matce? Tak jak inni esesmani, czyli posyłając do domu dobra zagrabione z żydowskich transportów. Oczywiście nielegalnie. Ale wyspecjalizował się w malutkich szwindelkach, ponieważ jako magazynier w „Kanadzie” miał lepsze dojście do doskonałych ubrań niż inni nadzorcy. Posłał więc matce futerko ze srebrnych lisów, a ojcu mokasyne z cielęcej skóry, które przyuważył w jakiejś walizce z Holandii. Jego przełożony, *SS-Oberscharführer* Theodor Kratzer, przymykał oczy na takie rzeczy. Skoro wszystkie te żydowskie dobra i tak mają służyć niemieckim rodzinom, to dlaczego nie mogą to być rodziny esesmanów? Tak zadane pytanie usprawiedliwiało wszechobecną wśród członków SS korupcję.

– Te skurwysyny, złote bażanty – mówił Kratzer – i tak rozkradną to, co najlepsze. Do uboższych Niemców nie dotrze nic z tego, co my tutaj zbierzemy.

Mówiąc o „złoty bażantach”, Kratzer miał na myśli wysoko postawionych dygnitarzy hitlerowskich, *Gauleiter*, sprawujących cywilną władzę w niemieckich krajach związkowych. Nosili oni beżowe mundury i stąd wzięła się ich nazwa. Budzili odrazę jako do szpiku kości zepsuci i beznadziejnie skorumpowani. SS też było skorumpowane, ale budziło grozę.

I wtedy, snując rozważania o tych wszystkich dobrach materialnych, Franz pomyślał o Milenie. Wiedział przecież, jak ma na imię i mu się ono podobało. Postanowił, że podaruje jej coś z paczki od matki. Na przykład czekoladę. Ona na pewno jest głodna mimo tego, co znajduje w walizkach. A czekolada pokrzepia. Nagle przestraszył się, że dając jej czekoladę, dokonuje zdrady.

Zaraz jednak się uspokoił. Głowił się tylko, jak dać jej prezent, żeby nikt tego nie zauważył.

* * *

Milena znajdowała się w jednym z baraków pierwszej „Kanady”. Więźniarki były coraz bardziej smutne i przygnębione. Odkąd zaczęły pracować w tym komandzie, przyzwyczajały się, że przychodził jeden transport na tydzień. Po różnych rzeczach znajdujących w bagażach mogły się orientować, skąd przyjeżdżały. Późną wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku przybywały przeważnie ze Śląska i z Moraw, usytuowanych dość blisko obozu. Myślały, że wszyscy ci ludzie pracują przy budowie Birkenau, drugiego wielkiego obozu, którego gwałtownego rozrostu nie sposób było przecież ukryć przed więźniami. Ale kiedy zaczęły przyjeżdżać transporty z Holandii, Belgii i Francji, okazało się, że wszyscy ci ludzie nie mogą tam pracować. Co się z nimi stało? Więźniarki snuły różne domysły. Wanda Zygielbojm pierwsza odważyła się powiedzieć w kręgu zaufanych współtowarzyszek niedoli, co myśli:

– Oni ich mordują. Jestem tego pewna.

Dotychczas Żydówki myślały, że Niemcy faktycznie będą wykorzystywali ludzi z transportów jako siłę roboczą, ale przypuszczenia Wandy, w które z początku nie chciała wierzyć nawet Milena, miały się wkrótce sprawdzić.

Rozmowę przerwało wejście do baraku Weimerta, jak zwykle niezapowiedziane:

– Więźniarka dziewiętnaście siedemdziesiąt – powiedział.

Milena musiała znów za nim pójść. Wszystkie kobiety były bardzo ciekawe, co każe jej robić. Wanda spojrzała wymownie na Milenę. Starła się jej podpowiedzieć: musisz iść. Dziewczyna poszła więc za swoim prześladowcą i wybawicielem. Z każdym dniem było jej z tym coraz ciężej. Zainteresowanie esesmana stanowiło dla niej poważny problem moralny, a dla innych współwięźniarek powód do drwin, podszytych zawiścią docinków lub ukradkiem rzucanych spojrzeń pełnych nienawiści. Wiele kobiet z komanda oczekiwało po cichu, że Weimert zechce ją ukarać

i wówczas nic nie wyrwie jej z rąk Tłustej Ingi. Potężna kapo trzymała się od Mileny z daleka, skrętnie tylko rejestrując jej zachowanie. Weimerta się bała. Już dowiedział, że nie obawiał się jej znajomości z innymi esesmanami i że potrafił być bezwzględny.

Milena znów miała sprzątać. Robiła to wczoraj, ale Weimert chciał, by w baraku, gdzie on i jego przełożony *SS-Oberscharführer* Theodor Kratzer mieli swoje biuro, panował wzorowy porządek. Tego dnia akurat Kratzera nie było. Weimert usiadł za biurkiem i patrzył na dziewczynę.

– Sprzątaj – powtórzył.

Znała doskonale to pomieszczenie. Dwie drewniane szafy wypchane sprawozdaniami skrętnie odnotowującymi każdy transport posegregowanych rzeczy. Milena schyliła się i pozbierała porozrzucane w nieładzie papiery. Weimert zapalił papierosa. Wykonywała pracę w milczeniu, tłumiąc w sobie wszystkie te uczucia, które odzywały się, gdy wracała do innych więźniarek. Czego on ode mnie chce? W końcu dziewczyna nie wytrzymała i spojrzała na Weimerta. W jego twarzy, w jego oczach nie było jednak nic, co mogłoby jej zagrażać. Tylko jakieś rozbawienie sytuacją i coś, czego Milena nie chciała i nie potrafiła do końca nazwać.

W kącie stały wiadro i miotła, zawczasu przez kogoś przygotowane, zawsze z wodą, żeby nie musiała po nią chodzić. Kto to robił, nie wiedziała. Chciała jak najszybciej posprzątać i wyjść. Po raz pierwszy zauważyła, że jest z nim sam na sam. Może z nią zrobić, co będzie chciał. Zastrzelić, napastować, zgwałcić...? A ona wiedziała, że będzie musiała zrobić wszystko, co on jej każe. Gdy skończyła, wyprostowała się i stanęła na baczność.

– Skończyłam, *Herr Unterscharführer* – zameldowała.

– Doskonale – powiedział. – Zbliź się.

Bardzo się spieszyła. Co on jej zrobi? Bała się i krew tętniła jej w skroniach. Serce biło jak zwariowane. Nie potrafiła powstrzymać emocji. Zabijał przecież innych więźniów, a wobec niej był taki ludzki. Teraz znajdowała się tak blisko i widziała, że dwie runy wyszyte srebrną nicią na czarnym kołnierzu jego szarozielonego

munduru zaiskrzyły złowrogim błyskiem. Po raz pierwszy z tak bliska dostrzegła gładką przystojną twarz esesmana.

– To dla ciebie – rzekł po niemiecku. – Chcę, żebyś to wzięła dla siebie. Dostałem dziś w paczce od matki. Mam tego dużo.

Położył na biurku czekoladę. Najprawdziwszą czekoladę zapakowaną w błyszczące sreberko i gładki papier z jakimś śmiesznym napisem. Wierzyć się jej nie chciało. Wokół niej w obozie ginęli ludzie, wykańczani przez zezwierzęconych kapo i esesmanów, jego kumpli. A on, morderca i kat, dał jej właśnie czekoladę! W pierwszym odruchu, najbardziej spontanicznym, ale i najbardziej dla więźnia niebezpiecznym, miała ochotę powiedzieć, żeby się nią wypchał i że nie weźmie czekolady od mordercy. A zaraz dotarło do niej, że Weimert był człowiekiem zdolnym okazać ludzki gest, tak wstrząsający i zarazem absurdalny w tych okolicznościach. Jego zachowanie było tak bardzo irracjonalne, że nie chciała wierzyć własnym oczom i uszom. Naprawdę dawał jej czekoladę! I to nie był sen, tylko jawa. W drugim odruchu pomyślała sobie, że nie powinna go zrażać własną dumą. Ona nie miała już dumy. Jej godność została za bramą z napisem, że praca czyni wolnym. Teraz dopiero mogła się przekonać, jak było to wielkie szyderstwo.

– Dziękuję panu – powiedziała.

Delikatnie, aby nie dotknąć jego papierów, drżącymi palcami chwyciła tabliczkę. Weimert skupił wzrok na jej dłoni. Miała delikatne, piękne ręce o długich palcach. Z wysiłkiem powstrzymał się, żeby jej nie dotknąć.

– Masz jakieś życzenia? – zapytał.

Życzenia? Jakże ona może mieć życzenia w obozie koncentracyjnym? Boże, to nie dzieje się naprawdę. Powinna pomyśleć racjonalnie. Jakieś życzenie... użyteczne, dobre, które da nadzieję. Nie była aż tak głodna jak inni. To, co znajdują w tobołkach, torbach, plecakach i walizkach, jej wystarczało. Po chwili zastanowienia już wiedziała, o co powinna poprosić.

– Chciałabym... chciałabym napisać kartkę do mojej mamy... Ona jest teraz na Węgrzech – powiedziała po niemiecku Milena.

Słyszała, że starszym więźniom czasami pozwalano wysłać z obozu jedną kartkę, ze ściśle określonym przez cenzurę obozową tekstem. Ale dla niej to znaczyło tyle, jakby niebo się nagle otworzyło. Możliwość wysłania wiadomości, że żyje, była iskrą nadziei, której będzie się kurczowo trzymała przez najbliższe miesiące. Weimert spojrział na nią badawczo, po czym powiedział:

– W porządku. Za kilka dni przyniosę ci kartkę z obozowej poczty. Podpiszesz ją po sprzątaniu – powiedział Weimert, wyraźnie zadowolony, że może z nią rozmawiać.

Jeszcze jedno spojrzenie. On ma brązowe oczy, pomyślała.

– Idź już – polecił Weimert, choć nie miał ochoty się z nią rozstawać. – Czekoladę schowaj i nie dziel się nią z innymi. Możesz wymienić na chleb albo na lekarstwa. Wiem, że to dobra waluta w obozie.

Milena skłoniła się regulaminowo i wyszła zupełnie oszołomiona. Dopiero w baraku, kiedy inne więźniarki ją obkoczyły, bardzo zaintrygowane, co też takiego się stało, zaczęła spazmatycznie szlochać. Musiała wypłakać swój strach i swój los, którego sobie nie wybrała.

* * *

Kilka dni później z obozu, po zatwierdzeniu przez obozową cenzurę w Wydziale Politycznym, wyszła kartka z nadrukiem *Aüschwitz – Konzentrationslager*. Widniało na niej jedno niemieckie zdanie: „Jestem zdrowa i czuję się dobrze”. Kartka ta, podpisana przez Milenę Zinger, miała trafić w ciągu tygodnia do Budapesztu.

Rozdział XXII

WIELKA STÓJKA

Wkrótce obozem wstrząsnęła wieść, że czterech więźniów dokonało brawurowej i bezczelnie udanej ucieczki. Obozowe Gestapo szalało. Więźniowie Piechowski, Jaster, Lempart i Bandera przedostali się do budynku głównego magazynu SS i stamtąd ukradli esesmańskie mundury. Przebrali się w nie i wsiedli do zaparkowanego pod magazynem auta. Zanim ktokolwiek zorientował się, co naprawdę zaszło, znajdowali się daleko poza trzecim kordonem straży.

Nawet Franz był pod wrażeniem tego wyczynu. Dowiedział się o ucieczce od Guntza. Władze obozu odczuły to jako cios w swój prestiż. Hoss miał nadzieję, że uda mu się stworzyć najdoskonalsze więzienie, z którego nie będzie można się wydostać inaczej niż przez komin krematoryjny. Okazało się, że nic z tego. Gestapo obozowe świetnie zdawało sobie sprawę, że ucieczka ośmieszająca SS przysporzy więźniom nadziei. Przeprowadzono drobiazgowy śledztwo.

Na rozkaz komendanta obostrzono wszystkie zarządzenia regulujące kontakty więźniów z załogą SS. Odtąd baczniej zwracano uwagę na więźniów funkcyjnych. Franz dostrzegł niebezpieczeństwo dla siebie i dla Mileny. Nie mógł być już więcej tak nieostrożny, jak wtedy, gdy będąc z nią sam na sam, dał jej czekoladę. Ktoś przecież mógł to podpatrzeć. To była zdrada, za którą mógł zapłacić bardzo wysoką cenę. Jednak się nie bał. Podświadomie zaczynał zazdrościć Bastianowi, dla którego wszystko się już skończyło.

W obozie męskim powieszono ośmiu więźniów za bardzo drobne przewinienia. Wieszano ich w odstępach dziesięciominutowych. Taką samą karę władze obozu postanowiły wymierzyć „za ociąganie się w pracy” dwóm kobietom, bliźniaczkom, przyłapanym na spożywaniu „zorganizowanej” brukwi. Franz musiał uczestniczyć w egzekucji. Dostał taki rozkaz.

Więźniarki miały zostać powieszono po wieczornym apelu, na oczach wszystkich kobiet. Milena widziała, że Weimert założył kobietom worki na głowy i związał im ręce na plecach.

Kiedy sadystyczny esesman Hans Aumeier osobiście wieszał kobiety, Franz zachował kamienną twarz. Stał spokojnie z założonymi do tyłu rękoma, w czapce z trupa główką. Jednak pod tą lodową maską, jaką przybrał, kłębiły się najprawdziwsze ludzkie uczucia. Odkąd Franz zaangażował się w „poprawę warunków pracy” więźniarki numer dziewiętnaście siedemdziesiąt (tak teraz tłumaczył sobie swoje zainteresowanie jej osobą), patrzył z obrzydzeniem na zadawanie śmierci. Wolałby przejść się tysiąc razy po rozżarzonych węglach, niż spojrzeć w twarz Milenie po tej egzekucji.

W końcu ją dostrzegł. Stała jakieś pięćdziesiąt kroków od niego. Patrzyli na siebie bez słowa, kat i ofiara, mężczyzna i kobieta. Teraz go nienawidziła. Pragnęła, aby to on zawisł na tej szubienicy. Franz po raz pierwszy przejął się jej nienawiścią, ponieważ wiedział, że to uczucie nie pozwoli jej popatrzeć na niego tak, jak on tego pragnął. Nie wytrzymał tego wzrokowego pojedynku. Odwrócił od niej oczy. Już wiedział, że Milena była silna i że on sam będzie słabł, będzie słabła też jego wola podporządkowana Hitlerowi i że wyciszy się narodowosocjalistyczny bełkot szumiący w jego mózgu. Skruszeje także zimna, cyniczna obojętność, którą odgrodził się od horroru, jaki każdego dnia panował w Auschwitzu.

Z tej gorzkiej zadumy wyrwał go Aumeier, wrzeszcząc z bawarskim akcentem:

– *Das ist etwas, das ist schon!*¹⁰

Aumeier napawał się tym, że bez pomocy Franza udało mu się powiesić te dwie wysokie, rosłe kobiety. Wisiały, podrygując w ostatnim przedśmiertnym skurczu ciał, z których po sznurze wyciekały ich dusze.

* * *

Latem nad Kotliną Oświęcimską zapanowała dokuczliwa duchota, przesycona potem ludzkich, niemytych od wielu miesięcy

ciał i smrodem palonych codziennie trupów.

W Birkenau wrzały ostatnie prace. Nowy obóz zaprojektowano dla przeszło stu tysięcy więźniów. Miał się tu znaleźć obóz kobiecy wzniesiony z cegieł pochodzących z rozebranych polskich domów we wsi Brzezinka i w Oświęcimiu.

Franz Weimert pierwszy dowiedział się od Guntza, że w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku obóz kobiecy zostanie przeniesiony do Birkenau. Obawiał się, czy będzie w stanie ściągnąć te same więźniarki do pracy w pierwszej „Kanadzie”, oddalonej teraz o ponad trzy kilometry od obozu, w którym miały przebywać. Nie mógł przecież okazać komukolwiek, że pragnie zachować swoje komando w niezmienionym składzie z powodu jednej żydowskiej więźniarki. Na razie miał przeciw sobie tylko plotki więźniów, a to było za mało, by ktokolwiek mógł go oskarżyć. Ostatecznie pod koniec lipca załatwił w komendanturze, za wstawiennictwem Guntza, wszystko po swojej myśli. Te same więźniarki miały codziennie o czwartej rano rozpoczynać marsz do swego dotychczasowego miejsca pracy.

* * *

Milena nic o tym nie wiedziała. Wobec Weimerta żywiła mieszane uczucia. Ona również dostrzegła, że zmniejszył się dzielący ich dystans.

Weimert odnosił się do Mileny zaskakująco poprawnie. Przecież gdyby chciał, mógłby ją zgwałcić, nikomu by się nie poskarżyła, bo i komuż by mogła? Tak pewnie zrobiłby Dawid na Słowacji. Ale nie ten esesman. Mógł wyegzekwować od niej wszystko, bo miał nad nią absolutną władzę, ale nie robił tego. Początkowo dziewczyna nie mogła tego zrozumieć, ale po incydencie z czekoladą (którą skrzętnie ukryła we własnym sienniku) zaczynała się domyślać powodów zachowania Weimerta. To wszystko wydawało się jej jeszcze bardziej absurdalne. Jednak doświadczała tego absurdu na własnej skórze.

Najważniejsze, to przeżyć. Tylko to się naprawdę liczyło. A zachowanie Weimerta wobec niej zwiększało szansę przetrwania Mileny w tym piekle. Nawet Inga stroniła od niej, pomna nauczek

udzielonych jej przez Weimerta. Inne więźniarki też to widziały. Milena pozostawała jednak nieufna. W obozie nikomu nie można było ufać. Dziewczyna mogła i chciała rozmawiać tylko z Wandą Zygielbojm. Dodawały sobie nawzajem otuchy. Obydwie żyły, mimo szalejącej w obozie śmierci. Żyły dzięki racjom żywnościowym znajdującym w ubraniach i walizach z transportów żydowskich, które znikwały w lasu położonym na północny wschód od Birkenau. Obiecały sobie solennie, że jeśli jakimś cudem będzie im dane przeżyć obóz, a wojna się skończy, opuszczą Europę i pojedą do Palestyny, do tworzonych tam jeszcze przed wojną żydowskich kolonii. Chciały znaleźć się w jedynym miejscu, w którym Żydzi mogli czuć się po raz pierwszy u siebie.

W końcu zakomunikowano kobietom, że od sierpnia przejdą do nowego obozu. Dla wszystkich był to wstrząs. Milena widziała, że wiele kobiet, które do tej pory dawały sobie radę pod względem psychicznym, pogrążało się w rozpacz, a utrata nadziei oznaczała początek końca. Ludzie, którzy tracili nadzieję, szybciej kończyli w piecach. Podwoiła się liczba umierających na tyfus w szpitalu obozowym. Milena cieszyła się, że wiosną zdołała przetrwać tę chorobę. Wtedy miała niewiarygodne szczęście. Nie miała już kontaktu z Elfriede, która wiarą w swego dziwnego Boga przemykała obok śmierci i uratowała jej dwukrotnie życie. Milena też bała się przeprowadzki do Birkenau. Czuła, że tam będzie trudniej. Bała się tego otwartego miejsca, tego przerażającego ponoć morza błota, w które obóz Birkenau zamieniał się po każdej ulewie. Jedyłą myślą, której się uchwyciła, było to, że pozostanie w komandzie Weimerta. Wiedziała, że on jej nie skrzywdzi.

* * *

Milena wraz z całym komandem trafiła do ceglanego baraku, pośrodku którego stał piec. Od niego przez całą długość budowli biegła rura. Wszystko tonęło w brudzie. Nie sposób było się skryć przed szcurami, głodem i wszędobylskimi wszami. Kapo dostała osobne pomieszczenie, tuż obok wejścia. Prycze były piętrowe i mieściło się tam wiele kobiet, po kilka na każdym poziomie. Milena spała obok Wandy Zygielbojm. Uznały, że baraki

w Birkenau były zdecydowanie gorsze od budynków w obozie macierzystym.

Zbudowano je tak, że pod dachem znajdowała się szpara, przez którą swobodnie przemieszczało się powietrze. Latem ów wiatr był jeszcze do wytrzymania, co jednak będzie zimą, gdy na zewnątrz temperatura spadnie poniżej zera? Pewnie wewnątrz baraku temperatura będzie tylko niewiele wyższa od tej na zewnątrz. Ile kobiet przypłaci to życiem?

Po ucieczce czterech więźniów z obozu męskiego Gestapo zaczęło usilniej węszyć. Gdy wcześniej, w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kilku więźniów uciekło też z Birkenau, podczas kopania wielkiego rowu odwadniającego, represje spadły na oba obozy, męski i żeński. Niemcom wystarczył byle pretekst. Gestapo obozowe natrafiło na dowody „nielegalnych machinacji” w kuchni w obozie kobiecym w Birkenau. Kilka więźniarek szmuglowało codziennie ugotowaną brukiew. Gotowały ją w kuchni, a potem przemycały w fałdach obozowych łąchów do obozu. Zorganizowano coś na kształt „handlu” tą brukwią. Coś za coś. Szczególnym powodzeniem cieszyły się drobiazgi wynoszone z pierwszej „Kanady”. Proceder jednak się wydał. Tłusta Inga przyuważyła, jak więźniarka z „Kanady” wynosiła znajdowane tam jedzenie. Natychmiast doniosła gestapowcom, którzy od razu aresztowali kobietę. Wkrótce więźniarka z komanda Franza została rozstrzelana na podwórku bloku jedenastego. Ale represje za jej „przestępstwo” miały spaść na cały obóz kobiecy.

Na pomysł straszliwej kary wpadła szefowa pola kobiecego w obozie żeńskim, Maria Mandel. W dniu, w którym miała nastąpić kara, niebo przykryły chmury i zaczął padać deszcz. Spadła też temperatura; w nocy do pięciu, może sześciu stopni Celsjusza. Apel zaczął się pod wieczór, kiedy zewnętrzne komanda wróciły na noc do Birkenau. Wkrótce kobiety zaczęły drętwieć z zimna. A apel trwał, trwał i się nie kończył. Strażniczki nie liczyły więźniarek, tylko czekały. Wiele słabszych kobiet miało nie wytrzymać tej niespodziewanej tortury: stania bez możliwości odpoczynku. Na szczęście Milena tego dnia znalazła w stertach ubrań bochenek

chleba. Podzieliła się nim z Wandą. Inne więźniarki odbywały stójkę nawet bez obrzydliwej obozowej kolacji. Ten znaleziony chleb dawał siłę przetrwania tortury, a to znaczyło wtedy więcej niż moc odpuszczania grzechów. Milena została przecież wychowana w religijnym żydowskim domu. Teraz ten Bóg wymknął się kobietom, schował za chmurami, jak gdyby nie widział, co działo się każdego dnia w Auschwitz. Tego właśnie dnia Wanda powiedziała do Mileny:

– Nie wierzę już w Boga.

Milena nic nie odrzekła, ponieważ nie wiedziała, czy swoje niewiarygodne szczęście zawdzięcza tylko przypadkowi. Jednak apel trwał w dalszym ciągu. Koło północy zrozumiała, że to nie jest zwykły apel. Stały już prawie trzy i pół godziny.

Tymczasem niedaleko nich przechadzała się między rzędami kobiet Teresa Leichfert, złotowłosa Bawarka słynąca z sadyzmu. Uzbrojona była zawsze w drewnianą pałkę, którą rozbijała głowy kobietom, zbyt wycieńczonym, by „pracować w biegu”. Podczas *Arbeit im Laufschrift* należało wykonywać wszystkie czynności dwa razy szybciej, biegnąc i wysoko podnosząc kolana. Słabsze kobiety tego nie wytrzymały i wówczas spadała na nie pałka Teresy Leichfert. Milena popatrzyła ukradkiem w jej stronę. W świetle reflektora zauważyła, że jedna z kobiet osunęła się na kolana, nie mogła dłużej stać. Leichfert zatłukła ją pałką. Milena słyszała, że czaszka kobiety pęka jak tłuczone szkło.

Dziewczyna pojęła, że ten apel jest torturą samą w sobie, wymysłem jakiegoś sadystycznego, perwersyjnego umysłu, który odnajdował przyjemność w dręczeniu innych. Tej nocy Milena po raz pierwszy zwątpiła w istnienie Boga. Kiedyś ojciec ją uczył, że wszystko, co się dzieje, dzieje się z woli bożej. Czy Bóg zezwalał na to ciągnące się w nieskończoność oczekiwanie? Dlaczego milczał? Dlaczego mocą swoich aniołów nie zatrzymał tej potęgi śmierci?

Milena zrozumiała, że może przerwać tę torturę tylko wtedy, gdy sobie wmówi, że jest bardzo silna. Tutaj Weimert nie mógł jej uratować. Zbawienie miały przynieść jej własne nogi. Dobre buty, które wywalczyła z takim trudem, teraz pomagały.

O drugiej w nocy, w szóstej godzinie stójki, padła Francuzka z komanda Mileny. Leichfert zatłukła ją pałką. Chyba wtedy do wszystkich kobiet dotarło, że walczą o życie. Najstraszliwsze w stójce było jednak to, że nie walczyły z kimś, ale z upływającym czasem i z własnymi malejącymi siłami.

Stójka oznaczała także, że nie wolno było skorzystać z obrzydliwych obozowych latryn. Jeżeli ktoś nie wytrzymał, wypróżniał się na stojąco. To rozwścieczało esesmanki, takie jak szefowa kobiecego rewiru Maria Mandel. Kobiety, które nie wytrzymały, musiały się rozebrać do naga i trzymając w zębach swoje pobrudzone ekskrementami ubranie, biegać wokół placu apelowego. Mało która wyszła z tego żywa. Mandel była bezlitosna.

Więźniarki stały całą noc. Wiedziały, że kto upadnie, kto się podda, trafi niechybnie pod twardą pałkę Teresy Leichfert, a następnie do krematoryjnego pieca.

Wstał ranek. Na placu, wśród stojących dziesięciu tysięcy kobiet, leżało sto trzydzieści trupów. Nie wytrzymały osoby starsze, bardzo młode lub takie, które chorowały na tyfus.

O ósmej rano, w jedenastej godzinie apelu, ciał było już sto pięćdziesiąt dwa. Milena podtrzymywała Wandę, która zaczęła się chwiać. Pokazało się słońce, które rozgoniło wczorajsze chmury. Promienie miały osuszyć łachy, ale z każdą godziną słońce, o które podczas dżdżystej nocy modliło się tyle drżących z zimna kobiet, miało stać się narzędziem udręki.

Dwunasta, piętnasta godzina stójki. Weimert szalał w „Kanadzie”, ponieważ komando kobiece nie przyszło do pracy. Wiedział, że coś się stało. Postanowił zadzwonić do wartowni przy obozie kobiecym w Birkenau. Dyżurujący esesmani powiedzieli mu o stójce zarządzonej przez szefową kobiecego pola Marię Mandel. Weimert zrozumiał, że nic nie może zrobić. Mógł mieć tylko nadzieję, że Milena to wytrzyma.

O piętnastej temperatura sięgnęła prawie trzydziestu stopni. Na placu leżały dwieście siedemdziesiąt cztery trupy. Milena zaczęła opadać z sił. Drętwiały jej nogi. Wydawało się, że męka nie będzie mieć końca i że jedynym jej zakończeniem będzie pałka

Teresy Leichfert. I wtedy niespodziewanie przyszedł koniec.

Padł rozkaz zakończenia apelu. Wiele kobiet upadło dopiero wówczas na plac bez sił, inne musiały je podnosić. Karze położył kres kolejny transport Żydów z Holandii. Okrążając Birkenau w drodze do miejsca przeznaczenia, położonego w brzozowym lesie za obozem, mogliby ujrzeć tysiące więźniarek stojących w długich szeregach. To mogłoby ich zdenerwować, a tego władze obozowe sobie nie życzyły. Akcja specjalna miała przebiegać sprawnie i bez zbędnych zakłóceń.

Milena nie myślała wówczas o tym transporcie. Pragnęła położyć się na swojej pryczy. Musiała jednak pomóc Wandzie. Wolno, walcząc z odrętwieniem nóg, poprowadziła przyjaciółkę do baraku. Śmierć holenderskiego transportu uratowała wiele kobiet.

– Szkoda, że ten transport nie przyjechał wcześniej – powiedziała starsza lekarka, ledwo przytomna ze zmęczenia.

Dopiero po chwili sens jej słów dotarł do Mileny. Ale nie winiła swej przyjaciółki. W Auschwitz nie istniały żadne zasady moralne, które mogły zapewnić przetrwanie. Milena uwierzyła, że niebo gwiazdziste nad nimi było naprawdę puste. Gdy znalazły się w baraku, dziewczyna postanowiła pokrzepić Wandę. Odpieczętowała otrzymaną od Weimerta tabliczkę czekolady. Tego dnia wydawała się ona najwspanialszą rzeczą na ziemi.

Rozdział XXIII

KARMELITANKA

Franz Weimert podejrzewał, że w lesie za Birkenau dzieje się coś naprawdę potwornego. Wiedział, że latem czterdziestego drugiego roku przybywało coraz więcej transportów żydowskich z Europy Zachodniej, ale nie wiedział, co się z nimi działo. Jego podejrzenia zmieniły się w pewność, gdy Guntz uchylił się od odpowiedzi, zasłaniając się „wtajemniczeniem” w sprawę. Ów niemiecki termin, *Geheimnisträger*, oznaczał osobę dopuszczoną przez władze SS do wiedzy o rozwiązaniu kwestii żydowskiej. Na konferencji w Wannsee w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku uzgodniono plan wyniszczenia wszystkich europejskich Żydów. Obóz Auschwitz, z racji strategicznego położenia na przecięciu szlaków komunikacyjnych biegnących z zachodu na wschód oraz z południa na północ kontynentu, miał zająć w tym planie miejsce szczególne. Kurt Guntz dostał od komendanta rozkaz, by po cichu wybierać do asystowania w „akcji specjalnej” tylko tych esesmanów, których lojalności i bezwzględności mógł być pewien.

Kurt za takiego człowieka uważał magazyniera Franza Weimerta. Poza tym byli kolegami i razem pili wódkę na libacjach organizowanych przez Guntza w jego domu obok obozu. W SS nikt nie miał przyjaciół. Franz, pozbawiony rozrywek, chętnie chodził na koleżeńskie imprezy organizowane przez Guntza. To właśnie on zaproponował Weimertowi, by ten wziął udział w akcji specjalnej w zamian za *Sonderverpflegung*, czyli dodatkowy przydział kielbasy i chleba oraz półtora litra wódki. Franz zgodził się chętnie. Chciał być doceniony. Poza tym fakt, iż Kurt Guntz, oficer SS z komendantury, zapraszał go do siebie na popijawy, świadczył chyba, że go lubił. Franz czuł się w Auschwitz bardzo samotny i towarzystwo innych ludzi, postawionych w obozowej hierarchii wyżej od niego, bardzo mu imponowało.

Zazdrościł Guntzowi znajomych, szczególnie najprawdziwszego

doktora medycyny Kurta Uhlenbrooka. Miał zamiar prowadzić w obozie badania naukowe. Guntz charakteryzował go jako przystępnego i dobrodusznego erudyty.

Doktor narzekał na służbę w Auschwitz. Co to za zimne miejsce, bagniste, brr. Ale czegoż nie robi się dla nauki, a Uhlenbrooka, internistę z wieloletnim klinicznym doświadczeniem, interesował wpływ głodu na stan narządów wewnętrznych. Pasjonował się zwłaszcza ludzką wątrobą. Mógł też godzinami opowiadać o jej budowie. Był zachwycony, że w Auschwitz ma pod dostatkiem obiektów do badań. Pobierał więc wątroby od więźniów w różnym stanie zagłodzenia. Oczywiście od żywych, ponieważ w Auschwitz, jak w żadnym innym miejscu, mógł dokonywać wiwisekcji.

– Całe życie czekałem na takie możliwości badawcze. Wszystko byłoby idealne, gdyby nie ten paskudny klimat – rzekł doktor, nalewając sobie wina.

Franz nie dziwił się Uhlenbrookowi. Liczba świeżych zwłok w Auschwitz codziennie była bardzo duża. Oczywiście w pogawędkach z doktorem Franz, jako prosty chłopak, nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Cenił sobie jednak, że tak utytułowany człowiek nauki jak doktor nie obnosił się z intelektualną wyższością nad zwykłym austriackim chłopakiem z małego miasteczka. Franz uznał, że Uhlenbrook miał klasę.

* * *

Inni dyskutanci Guntza też byli wielkimi oryginałami. Oficer obozowego Gestapo Pery Broad, wysoki i elegancki, chodził zawsze w bardzo schludnie wyprasowanym mundurze. Pery Broad okazał się świetnym karciarzem i uroczym szulerem. Ograł Franza na osiemdziesiąt marek. Franz był tym niepokieszony, bo wiedział, że stracił pieniądze na wyjazd do kina do Bielska.

– Nie przejmuj się – powiedział Broad. – Napij się ze mną wódki.

Franz zauważył, że jego kumple wyraźnie pragnęli się upić do nieprzytomności. Nie dziwił się temu. On też musiał się upić po każdej egzekucji, a co dopiero taki Broad, który widział ich

codziennie kilkanaście, a może sam pisał wyroki śmierci na maszynie do pisania?

W umyśle Franza pod wpływem opowieści Broada pojawiła się niebezpieczna myśl. Skoro esesman z Gestapo z taką swobodą mówił o seksie z kolorowymi kobietami, który uprawiał w Brazylii przed laty, to czy on, magazynier z Auschwitz, będzie mógł liczyć na pobłażliwość za swoją opiekę nad więźniarką numer dziewiętnaście siedemdziesiąt? Po chwili przyszło otrzeźwienie. Oczywiście, że nie będzie mógł liczyć na żadną pobłażliwość. Nie miał złudzeń, że gdyby przekroczył granicę w kontaktach z tą więźniarką, Pery Broad z równą nonszalancją strzeliłby mu z pistoletu w głowę.

Gdy wszyscy mieli już bardzo mocno w czubie, zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Żarty nagle się skończyły i zaczęły się wynurzenia katów. Rozpoczął Broad. Powiedział, że tylko w Auschwitz widział więcej nagich tyłków niż na Copacabanie. Pijany Kurt Guntz, rozlewając wódkę do kieliszków, zapytał, gdzie to widział. Broad odrzekł, że w czerwonym domku. Nagle wszyscy przestali się śmiać. Uhlenbrook, mimo że wypił tego dnia chyba ze dwie butelki chianti, powiedział zadziwiająco przytomnie:

– To potworne miejsce. Tak jak biały domek. Dziś właśnie tam byłem. Jako lekarz mam obowiązek uczestniczyć w akcji specjalnej.

Ugryzł się w język w porę. Wszyscy nagle wytrzeźwieli albo wróciła im świadomość tego, co się działo dwa kilometry dalej. Franz zauważył, że Uhlenbrook powiedział to jedno zdanie z tak wielkim wysiłkiem, jakby ktoś mu kazał zejść do samego piekła. Nawet mordercy mają przecież momenty, w których pragną o „tych sprawach” porozmawiać. Oczywiście normalni mordercy, tacy jak oni, a nie jacyś zwyrodnialcy. Wszyscy esesmani prowadzili przecież po pracy normalne życie. Niektórzy mieli nawet rodziny. Uczestniczyli w masowym zabijaniu żydowskich kobiet, dzieci i starców przez osiem godzin dziennie, a potem szli do domów i zamieniali się w czułych, dobrych mężów i nieodpowiedzialnych ojców, którzy rozpieszczali własne dzieci.

Wtedy Franz zdał sobie sprawę z tego, co sam widział

codziennie w „Kanadzie”. Jego komando miało coraz więcej pracy i zaczęło się rozrastać, ponieważ z wielkim trudem rozładowywano wszystkie te toboły. Dziś na przykład, przed libacją u Guntza, zostało posegregowanych czterysta czterdzieści waliz, kilkadziesiąt toreb podróжных, a także plecaki, tobołki, nawet worki wypchane ubraniami i prowiantem na drogę. Najbardziej uderzyły go dziecinne wózki. Było ich prawie siedemdziesiąt. Wszystkie miały trafić do Niemiec, jako dar dla niemieckich matek. Franz zdał sobie sprawę, że wszystkie te dzieci oraz ich matki trafiły do tego potwornego miejsca, które Broad nazwał „czerwonym domkiem”. Mimo szumiącego w głowie alkoholu Franz poczuł bardzo wyraźny posmak grozy.

Wkrótce impreza się skończyła. Już nikt nie miał ochoty pić, wszyscy chcieli szybko iść spać. Ale Franz tego wieczoru nie mógł tak po prostu zasnąć. Gdzie ja jestem? – kołatało mu się w głowie. Nie mógł odpędzić od siebie tego pytania i przywołać bożka snu, brata wszędobylskiej śmierci.

Emocjonalne problemy *Unterscharführera* Weimerta nie obchodziły nikogo w Auschwitz. Guntz poprosił Franza o wzięcie udziału w „akcji specjalnej”. Franz nie miał na to ochoty, ale odmówić – oznaczało okazać się tchórzem. Chciał dalej kolegować się z Guntzem, ponieważ za jego pośrednictwem mógł wiele załatwić w komendanturze. Miał dostać to, co wszyscy esesmani wciągnięci w tajemnicę masowej śmierci w obozie, czyli dodatkowy przydział kiełbasy i wódki. Franz nieświadomie przekroczył kolejną granicę. W najstraszniejszych koszmarach nie przewidywał, co go czeka u końca tej krótkiej podróży.

Dnia ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku miał stać się „nosicielem tajemnicy”. Ironia polegała na tym, że miał zajrzeć na dno piekła z własnej woli, za półtora litra wódki oraz dodatkową kiełbasę i chleb.

* * *

W tym dniu na rampę dworca towarowego w Auschwitz, zwaną od tego lata *Jüderampe*, wtoczył się transport z obozu w Westerbork w Holandii. Wyładowano z niego dziewięćset

osiemdziesięciu siedmiu ludzi. Franz przyglądał się im z oddalenia. Stał spokojny i zaciekawiony, jak ta akcja specjalna będzie wyglądała. Obok niego stał doktor Uhlenbrook w mundurze SS.

Jakiś starzec w świetnie uszytym garniturze podtrzymywał swoją żonę, uroczą starszą panią noszącą kapelusik i zielony żorzetowy kostium. Franz spojrzał także na inne rodziny – ojców i matki z dziećmi. Być może ludzie ci mieli szansę na to, by iść do obozu. Któż jednak przy zdrowych zmysłach chciałby pozostawić własne dzieci? Doktor Uhlenbrook zagadnął Franza. Powiedział, że z punktu widzenia wydajności pracy w obozie nie ma sensu rozdzielanie kobiet i dzieci. Żadna matka nie będzie przecież dobrze pracowała bez swego dziecka. Lekarz SS wiedział, co mówił. To nie pierwsza selekcja na rampie, jaką przeprowadził. Esesmani czekali spokojnie, aż wszyscy wysiądą z pociągu. Pasażerowie tego składu mogli nawet trochę odpocząć. Tak czy inaczej ich los miał rozstrzygnąć się jeszcze tego samego dnia.

Nagle Franz dostrzegł dwie zakonnice. Początkowo nie chciało mu się w to wierzyć. Może po prostu jakaś kobieta nosi zwiewną sukienkę, pomyślał. Przeprosił Uhlenbrooka i podszedł kilka kroków do tego widziadła. To nie było złudzenie. Na rampie rzeczywiście stały dwie zakonnice. Jego dawna katolicka natura podpowiedziała mu, że to karmelitanki. Bardzo się zdziwił, ale po chwili zorientował się, że przywieziono je dlatego, że były też Żydówkami. Widok tych sióstr znów przypomniał mu, kim kiedyś był. Jeszcze kilka lat temu przechodząc obok tych służebnic bożych, odczuwałby coś na kształt podziwu i wielkiego szacunku.

I właśnie wtedy zadał sobie pytanie o swój własny katolicyzm. Czy wiele się zmieniło od czasu spowiedzi, podczas której nie uzyskał rozgrzeszenia? Czuł wówczas do księdza ogromny gniew. Czuł, że spotkała go w konfesjonale wielka niesprawiedliwość. Czy teraz, za to, co już zrobił, dostałby rozgrzeszenie? Po chwili odpowiedział sobie, że nawet nie poszedłby do spowiedzi. Spowiedź to jedno wielkie oszustwo, pomyślał. Zabijam ludzi i żaden grom z nieba na mnie nie spadł. Jednak wyrzut sumienia, ledwo słyszalny, dał znać o sobie gwałtowną złością. Po co dziś się

zgodziłem na uczestnictwo w akcji specjalnej? – pytał sam siebie, patrząc na zmęczone długą podróżą zakonnice.

Bardzo się zdenerwował na sam ich widok. Franz wiedział, że jest mordercą, ale nie był jeszcze gotowy, żeby zobaczyć o sobie całą prawdę. Za wcześnie na rachunek sumienia. Podświadomie Franz czuł, że wydarzenia tego sierpniowego popołudnia miały go już nigdy nie opuścić; nie mógł wówczas przypuszczać, że ten dzień stanie się słupem milowym w jego życiowej drodze.

Miał cichą nadzieję, że obydwie zakonnice przejdą selekcję.

Pierwszą selekcję nowo przybyłego transportu przeprowadzono trzeciego lipca czterdziestego drugiego roku. Od tego dnia każdy transport musiał przejść przez procedurę podziału na tych, którzy mieli żyć jeszcze przez jakiś czas, aby SS wydusiło z nich ostatnie tchnienie podczas pracy w obozie, oraz na tych, którzy mieli umrzeć straszliwą śmiercią. „Biały” 1 „czerwony domek” to potoczne nazwy dwóch pierwszych komór gazowych, jakie SS uruchomiło wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w przystosowanych do tego celu chłopskich domach, jakie ostały się po przedwojennej wsi Brzezinka.

Na rampie nic nie zapowiadało tego, co miało się stać. Franz pilnował, aby po selekcji więźniowie z komanda transportującego pozostawione na peronie toboły zebrali wszystko. Pod dowództwem kapo mieli przenieść te dobra do „Kanady”. Franz natomiast miał podążyć za właścicielami waliz, które kobiety z jego komanda codziennie rozpakowywały i segregowały. Podpisał zobowiązanie, iż zachowa w absolutnej tajemnicy to, co zobaczy.

* * *

Doktor Uhlenbrook przeprowadził selekcję bardzo sprawnie. Z przybyłego siódmego sierpnia transportu trzystu piętnastu mężczyzn i sto czterdzieści dziewięć kobiet przeprowadzono do obozu, a pozostałych lekarz SS skierował do komór gazowych. W tej grupie, ku starannie maskowanemu niezadowoleniu Franza, znalazły się obydwie zakonnice.

– Oby ten pierdolony dzień już się skończył – mruknął do Franza Uhlenbrook.

W końcu ruszyli. Znacznie wyprzedził ich samochód ze znakiem Czerwonego Krzyża, ale on stanowił część gry pozorów mających oszukać skazanych na śmierć ludzi. Inni wtajemniczeni esesmani, w tym prowadzący selekcję Uhlenbrook, podążali ku miejscu przeznaczenia razem z ludźmi z transportu. Starali się zgodnie z instrukcjami komendanta prowadzić z nimi luźną i wesołą rozmowę. *Jüdenrampe* przy dworcu towarowym od cienistego lasu za rozbudowywanym wciąż obozem Birkenau dzieliło prawie dwa kilometry, które musieli przejść pieszo. Starych ludzi poruszających się z trudem zabrał inny samochód SS.

Tymczasem Franz chciał za wszelką cenę dowiedzieć się czegoś o zakonnicach. Obydwie siostry szły w milczeniu, zrezygnowane i bardzo zmęczone. Franz pomyślał, że w tych karmelitańskich habitach wcale nie wyglądają na Żydówki. Ale robił, co mu kazano: zagadywał, próbował być miły, uspokajał. Jednak to nieoczekiwane spotkanie kata i żydowskich zakonnice obudziło we Franzu dawnego pobożnego ministranta. Na widok tych habitów poczuł trudną do opanowania tęsknotę za katolicką ortodoksją, od której odszedł. To był przecież kiedyś jego świat, który porzucił dla munduru z dwiema runami na kołnierzu. W końcu przemógł się i zadał po niemiecku pytanie:

– Z jakiego siostry są klasztoru?

Zauważył, że obydwie karmelitanki były do siebie dość podobne. Przysięgłyby, że łączą je więzy krwi, nie tylko habit. W końcu jedna z nich, być może starsza, odpowiedziała:

– Z Echt.

W chwilę potem zdał sobie jednak sprawę, że przecież odprowadzał obie na śmierć. Nie mógł sobie wyobrazić większej perfidii, a jednak zmierzając ku przeznaczeniu, trwał dalej w tym kłamstwie.

– To w Holandii? Świetnie mówi siostra po niemiecku – zauważył.

– Bo jestem Niemką. Urodziłam się we Wrocławiu – odpowiedziała.

Franz czuł, że zasycha mu w gardle. To pewnie przez ten

cholerny upał, pomyślał. Nie mógł oderwać wzroku od tej zakonnicy. Zachowywała się zadziwiająco spokojnie, jakby wiedziała, dokąd idzie. To niemożliwe, mówił do siebie Franz. Zdecydował się na najbardziej obrzydliwe kłamstwo w swoim życiu.

– Proszę się nie martwić – powiedział swoim łagodnym głosem.
– Teraz pójda siostry do dezynfekcji, a potem do pracy.

Wtedy stało się coś dziwnego. Zakonnica, z którą rozmawiał, popatrzyła mu prosto w oczy, jak gdyby chciała mu powiedzieć, żeby przynajmniej teraz jej nie oszukiwał. Nie wytrzymał tego spojrzenia. Musiał odwrócić głowę. Wiedziała, że kłamał. Siostra miała w sobie wielką wewnętrzną siłę, której źródła nie potrafił odgadnąć. Nie mógł zrozumieć, jak w takim dniu, będącym przecież dniem jej śmierci, mogła być tak spokojna. Franz nie odważył się ponownie odezwać.

Teraz idąc z nimi, wolno i spokojnie, w sierpniowe popołudnie próbował sobie przypomnieć, jak się czuł, kiedy jako chłopiec chodził do kościoła. Czy czuł wtedy taki sam spokój jak ta zakonnica? Nie wiedział, jak powinien odpowiedzieć sobie samemu na to pytanie. Tego dnia Bóg, w którego młody Franciszek kiedyś wierzył, był po prostu oszustem, który nigdy nie istniał. Jego rozumowanie było proste: gdyby Bóg istniał i był tak bardzo wszechmogący, to przecież nigdy nie dopuściłby do powstania miejsca, w którym Weimert spotkał te dwie karmelitanki. Jak do tego doszło, że on, ministrant z parafii w Drasenhofen, znalazł się w Auschwitz i eskortował na śmierć żydowskie zakonnice? Jak to się stało?

Jego dusza była zakłamana, ale nie aż tak, by nie zdawać sobie sprawy z faktu, że to on był kłamcą. Gdy sobie to ostatecznie uświadomił, ten spokojny sierpniowy dzień i ta polna droga stały się dla niego piekłem; wzrok tej zakonnicy palił go w sercu gorzej niż dwa rozżarzone węgle na nagiej dłoni. Gdyby mógł, to wzięłby do ręki te dwa węgle, byle tylko nie patrzeć karmelitance w oczy. Jej wzrok sprawiał mu niewysłowioną mękę; po raz pierwszy Franz znalazł się w piekle, w całkowitym i wiecznym oddaleniu od Boga, w którego kiedyś wierzył. Zrozumiał też, że nie ma takiego miejsca,

w którym mógłby się schronić przed tym spojrzeniem. On schodził tego popołudnia do piekła, a ona zachowywała się na tej samej drodze z niezrozumiałym dla niego spokojem.

Szli polną drogą w stronę lasu brzoźowego, coraz wyraźniej zarysowującego się przed nimi ciemną linią, ale mimo to migoczącego jak fatamorgana w upalnym powietrzu. Mundur parzył Franza. Ściągnął na chwilę czapkę z trupią główką i wytarł chusteczką spocone czoło. Co za pierdolony dzień, pomyślał. Odwrócił twarz w lewo, byle tylko umknąć oczom zakonnicy. Ujrzał wznoszoną bramę Birkenau, wówczas jeszcze nieukończoną. Obóz Birkenau miał prześcignąć wszystkie inne kacety nazistowskiego państwa, a zadawanie śmierci miało zostać wzniesione w tym miejscu na niedościgłe wyżyny. Franz zauważył, że w głębi stały już murowane baraki nowego obozu kobiecego. W innych częściach obozu, znajdującego się wciąż w budowie, krzątali się więźniowie, roznosząc deski lub popychając taczki. Ogrom tego miejsca robił wielkie wrażenie.

Franz nie śmiał przeszkadzać zakonnicom w odmawianiu różańca. Świetnie znał tę modlitwę, bo sam ją wielokrotnie odmawiał. Teraz nie potrafiłby. Szept kobiet brzmiał w jego uszach jak wyrzut, jak wyrok potępiający zdrajcę. Szmer tej modlitwy był dla niego kolejną męczarnią. Nie mógł jej znieść, ale mimo to nie znalazł w sobie dość siły, żeby zabronić im modlitwy. Czuł, że ta żydowska zakonnica jest od niego silniejsza. Szeptany różaniec był stokroć potężniejszy od każdego słowa, które mógł wypowiedzieć.

Gdzieś przed nimi zaczęło płakać małe dziecko i matka, nie mogąc go uspokoić, zaczęła śpiewać jakąś żydowską lub holenderską kołysankę. Franz nie mógł rozróżnić słów. Upał tężał. Przenikał przez mundur, wdzierał się jak nieproszony domokrażca pod koszulę i ścisnął serce niewidzialną obręczą, twardą jak stal. Franz ukradkiem spoglądał na zakonnice, które wydawały się spokojne, ale pod maską tego spokoju kryło się zwykłe ludzkie przerażenie. Wiedziały, że przyjechały do obozu koncentracyjnego i że szły razem z innymi ludźmi w jednym określonym kierunku. Ludzie szli ku swemu przeznaczeniu, a trawy i nieliczne krzewy

zamierały w upale i bezruchu. W krainie śmierci, na piekielnej, gorącej i dusznej równinie Birkenau przyroda zastygała, a śmierć wkradała się wszędzie, mimo blasku dnia.

* * *

W końcu dotarli do celu. Ich oczom ukazała się wiejska chata o białych ścianach. Otaczała ją łąka. Dom nie miał okien, a zamiast drewnianych drzwi wstawiono solidnie wyglądające drzwi pancerne. Na lewo od domu stały naprędce sklecone drewniane baraki z napisem PRZEBIERALNIA. Gdzieś dalej, w cieniu lasu stali milczący i posepni więźniowie *Sonderkommando*, najnieszczęśliwsi spośród nieszczęśliwych, którym inni ludzie przeznaczili najstraszliwszą pracę, jaką można obmyślić. Więźniowie ci milczeli, ale ich twarze, choć żywe i pulsujące krążącą wolno w tym upale krwią, były twarzami ludzi martwych za życia. Stali w cieniu i czekali jak automaty przeszkolone tylko w jednym celu: do wykonania swej ciężkiej i potwornej pracy.

Ludzie z transportu niczego jeszcze nie przeczuwali i ogromnie zmordowani siadali na trawie przed chatą. Jakieś dziecko niesione do tej pory przez matkę, kilkuletni zaledwie chłopiec, ocknęło się i głośno domagało się pić. Jego mama nie miała wody. Nikt jej nie miał. Starzy ludzie ciężko dyszeli i zmęczeni z trudem łapali powietrze. Eskortujący pochód kilkuset ludzi esesmani pozwolili im chwilę odpocząć. Uhlenbrook podszedł do sanitariusza SS. Rozmawiali przez chwilę szeptem, po czym on oraz inni esesmani z Wydziału Politycznego podeszli do holenderskich Żydów i spokojnymi, pełnymi życzliwości głosami zaczęli ich zachęcać do rozebrania się i skorzystania z natrysków umieszczonych w białej chacie. Po kąpieli ludzie mieli otrzymać nowe ubrania i powędrować z powrotem do obozu.

Franz stał pod drzewem i patrzył na karmelitanki. Jedna z nich, ta, która rozmawiała z nim podczas drogi i patrzyła na niego tak, jakby wszystko wiedziała, miała teraz twarz przeoraną tak straszliwym cierpieniem, że Franz musiał znów odwrócić wzrok. Nie chcąc jednak zostać oskarżonym o bierność, podchodził do innych ludzi i zachęcał do posłuchania poleceń Uhlenbrooka. Franz

powiedział im, że można rozebrać się w przebieralni, a potem wejść do białej chaty. Znów ukradkiem popatrzył na karmelitanki.

Jedna modliła się cicho, a druga, ta, z którą rozmawiał, miała łzy w oczach. Ona naprawdę wiedziała. Jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz się one rozwiały. Franzowi wydawało się, że jej milczący Bóg ją opuścił. Żądano od nich, żeby ściągnęły habity, zewnętrzny znak zaślubin z nieodgadnionym i milczącym wcielonym Słowem. Miały teraz obnażyć się przed tymi wszystkimi ludźmi i przedfilować nago przed Niemcami? Dla zakonnic, osób konsekrowanych, to najgorsze cierpienie. I wtedy inni też zaczęli się wahać. Wiele dobrych i pobożnych żydowskich kobiet, które rozebrałyby się tylko przed mężem, teraz zaklinało się, że nie zrobią tego w tym miejscu. Ale doktor Uhlenbrook był tego dnia naprawdę miły. Inni Niemcy też. Rozdawali kawałki szarego mydła, jeden na pięć osób. Franz podał komuś to mydło. Jednak opór ludzkiej przyzwoitości wciąż był zbyt silny. Uhlenbrook sięgnął zatem po łągarstwo najpodlejsze z możliwych. Przekonywał, że z powodu dokuczliwego upału, trudnego do wytrzymania dla wszystkich, sam najchętniej też by się rozebrał i poszedł wziąć ten orzeźwiający, wspaniały, chłodny prysznic.

W końcu, po długich namowach, ludzie zaczęli wchodzić do baraku pełniącego funkcję przebieralni. Weszli tam staruszkowie, młodzi chłopcy i dziewczęta oraz matki z dziećmi. Nie dla wszystkich starczyło miejsca w baraku. No to rozbierzcie się szybko tutaj, na tej łące, przekonywali esesmani. W obozie już czeka na was zupa, powiedział Uhlenbrook. Jednak nagie dzieci płakały. Nie chciały wejść do białej chaty.

Jakaś matka uspokajała:

– Nie bój się. Ja będę z tobą.

Ta kobieta zaczęła rozbierać się pierwsza. Inne się wstydziły. W końcu pod namowami, które stały się stanowczymi perswazjami, zaczynały ściągać ubrania, przeklinając swój los. Franz patrzył na to wszystko jak skamieniały; jego oddech stał się płytki, kurczowo i ze straszliwą siłą zaciskał dłonie. Inni, rozebrawszy się w baraku, zaczęli płakać lub przeklinać. Chcieli zatem jak najprędzej znaleźć

się wewnątrz, żeby nikt na nich nie patrzył. Człowiek nagi to człowiek bezbronny i odarty ze wszystkiego. Inni wciąż się ociągali. Ktoś mówił, że to miejsce nie wygląda na łaźnię, te zamurowane okna, tutaj coś nie jest w porządku. Stojący obok niego nie chcieli wejść, więc Uhlenbrook podszedł do nich i z uśmiechem wytłumaczył to nieporozumienie. Pozwolił kobietom wejść do środka w halkach. Odprowadził je, ostrzegając, by nie poparzyły się w kąpieli. Perfidia lekarza SS osiągnęła niewiarygodny poziom.

Franz pomógł wejść do środka jakieś starszej kobiecie. Rzucił okiem na wnętrze. Znajdowały się tam cztery pomieszczenia: dwa większe i dwa mniejsze. Betonowa posadzka i imitacja natrysków w suficie były ostatnimi elementami wielkiego kłamstwa. Esesmani z Wydziału Politycznego weszli do wnętrza. Uspokajali ludzi, mówili, że wszystko będzie dobrze. Jednak w miarę jak pomieszczenia się zapełniały, esesmani cofali się w kierunku wyjścia. Dzieci zaczęły szlochać. Zostało mało czasu. Za kilka chwil wybuchnie panika. Starsza kobieta, którą Franz odprowadził, podziękowała mu, że pozwolił jej zostać w halce.

– Czy to długo potrwa? – zapytała.

Boże, ona wie, pomyślał Franz. Uśmiechnął się i powiedział, że to nie będzie trwało długo. Jego uśmiech był lodowaty, wymuszony i sztuczny, tak jak lodowaty był pot, który sączył się mu spod czapki, pomimo upału. Tak wyglądały oznaki cierpienia kata, który zachował jeszcze strzępy sumienia.

Młoda kobieta, całkiem naga, wzięła swoje dziecko na ręce i weszła do domu.

– Jak możecie to robić, to przecież takie małe dzieci – powiedziała do Franza stojącego obok wejścia.

Zakonnice weszły jako jedne z ostatnich. Ledwo je poznał. Były całkiem nagie, odarte już ze wszystkiego, zwłaszcza z godności. Spotkali się znów wzrokiem. Ona wiedziała, że za chwilę umrze. W oczach karmelitanki Franz wyczytał najstraszniejszą prawdę o własnym życiu. Wszystkie słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedział, straciły pierwotny sens i rozpadły się na litery pozbawione znaczenia. Cały ludzki język był już niepotrzebny,

a głos starych biblijnych ksiąg, w który niegdyś wierzył, zamienił się w syk pradawnego węża, pełzającego w pyle i prochu ziemi. Franz, postawiony naprzeciw zakonnicy przy wejściu do komory gazowej, znalazł się tym samym na krawędzi piekielnej otchłani. Jej wzrok stał się ostatnią barierą, która odgradzała go od nicości.

Esesman Franz Weimert kurczowo zaciskał drżące dłonie. Nagle zrozumiał, że w jej wzroku nie było cienia nienawiści do niego ani śladu wyrzutu, że jej życie za chwilę się skończy. W jej wzroku zobaczył wyłącznie współczucie. Ona współczuła mu jego nędzy na chwilę przed własną śmiercią. To ostatnie spojrzenie zakonnicy umierającej ze swoim narodem było dla Franza czymś tak straszliwym, że zapragnął schować się przed nim w najgłębszym zakamarku piekielnej otchłani, a jeśli to miało nie wystarczyć, pragnął ukryć się aż na samym jej dnie, w jądrze ciemności. Kiedy karmelitanka znalazła się już w drzwiach prowadzących do wnętrza komory gazowej, raz jeszcze się odwróciła, jak gdyby zapragnęła zapamiętać, jak wygląda zieleń drzew. I znów na niego popatrzyła. Tym razem Franz miał wrażenie, że jej wzrok sięgał aż do samego dna otchłani i że nie zdoła się już wyzwolić od tego spojrzenia do końca życia. Gdy zniknęła we wnętrzu, Weimert zauważył, że zaciskając cały czas dłonie, przebił paznokciami skórę. Krwawił. Na szczęście żaden z towarzyszy nie zwrócił na niego uwagi. Ostatni esesman wyszedł w końcu z komory i zatrzasnął drzwi.

Jeden z sanitariuszy SS poszedł w stronę samochodu ze znakiem Czerwonego Krzyża. Otworzył tylne drzwi i wyjął z niego dużą metalową puszkę z nadrukiem *Cyklon B*. Następnie nałożył maskę przeciwgazową. Włożył puszkę pod pachę. Lewą ręką chwycił też duży zaczep do otwierania puszki, przypominający nieco klucz francuski. Na jego widok pozostali esesmani, w tym oszołomiony Franz, cofnęli się na bezpieczną odległość. Sanitariusz SS podszedł do otworu umieszczonego w ścianie domu. Wszyscy esesmani słyszeli łkanie zamkniętych ludzi. Esesman odciągnął pokrywę wlotu gazu, po czym metalowym zaczepem otworzył puszkę. Znajdowały się w niej fioletowoniebieskie grudki ziemi

okrzemkowej nasycone cyjanowodorem, czyli kwasem pruskim. Zawartość wsypał do otworu wlotu.

I wtedy rozległ się straszliwy wrzask zamkniętych ludzi, którzy wiedzieli, że to koniec, i w ostatnim przedśmiertnym wysiłku próbowali sforsować pancerne drzwi. Na próżno. Kobiety z dziećmi drapały ściany, błagając Boga o ratunek. Ratunek nie przyszedł. Ci stojący koło wlotu gazu umarli natychmiast. Pozostali ginęli w ciągu dwudziestu kilku minut. Tak długo komora gazowa miała pozostać zamknięta.

Przez ten czas Franz postarzał się o dziesięć lat. Dłonie miał lodowate, jak gdyby cała krew do tej pory leniwie krążąca w ciele pod wpływem wielkich emocji zastygła lub, co gorsza, uciekła w najgłębsze miejsca jego organizmu. Rany na dłoniach piekły nieznośnie. Doświadczył wówczas najstraszliwszego uczucia. Miał świadomość, że jest martwy za życia. Spojrzał po chwili na Uhlenbrooka. Doktor był znudzony zadawaniem masowej śmierci i bardzo zmęczony upałem.

Po piętnastu minutach krzyk przeszedł w rżenie. Franz zapragnął odnaleźć habit tej zakonnicy. Chciał wiedzieć, kim była i dlaczego na chwilę przed własną śmiercią popatrzyła na niego z litością. W końcu odnalazł go pod brzošką. Chwycił tkaninę. Była ciepła i przepocona. Szukał gorączkowo jakichś dokumentów. Znalazł tylko podręczny, oprawiony w czarną skórę brewiarz. Otworzył go i zaczął kartkować. Na ostatniej stronie spostrzegł podpis naniesiony eleganckim kobiecym pismem.

TERESA BENEDYKTA OD KRZYŻA

Nie bacząc na możliwe konsekwencje, schował książkę w połach munduru. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że krzyki i odgłosy dobiegające wcześniej z komory gazowej ucichły. Niemcy cofnęli się głębiej w las. Esesman z Wydziału Politycznego, Maximilian Grabner, dał znak więźniom *Sonderkommando*. Założyli maski przeciwgazowe, wielu z nich niosło haki, łomy i liny służące do rozdzielania zwłok. Dwóch mocowało się jakiś czas z drzwiami.

Wtedy Franz spuścił wzrok.

* * *

Tego wieczoru wypił niemal duszkiem całą butelkę wódki. Chciał jak najszybciej zapaść w głęboki pijacki sen. Przez moment wydawało mu się, że byłoby dla niego lepiej, gdyby się już nie obudził, ale rankiem, około dziewiątej, gdy od trzech godzin miał już być w pracy, ocknął się ze straszliwym kacem. Wszystko go bolało. Zwymiotował i poczuł ulgę. Zdał sobie sprawę, że jego podłe, zaplute i nic niewarte życie trzyma go mocno w szponach i nawet gdyby chciał skończyć ze sobą, nie będzie miał odwagi.

Mimo że od wczorajszej „akcji specjalnej” minęły już godziny, miał teraz wrażenie, że siostra z klasztoru w Echt spogląda na niego z jego własnego wnętrza, jak gdyby odnalazła go w zaświatach i teraz widziała każdy skrawek jego upodlonej duszy. Podejrzewał, że jej ciało prawdopodobnie jeszcze nie zostało wyciągnięte. Po śmierci zwłoki były szczipione w tak potwornym ścisku, że więźniowie *Sonderkommando* potrzebowali, jak opowiadał Uhlenbrook, prawie dwudziestu czterech godzin na wyciągnięcie ich wszystkich i pogrzebanie w wykopanych dołach. Potem musieli wyczyścić komorę z krwi, kału i moczu. Bo człowieka zabija się jak zwierzę w rzeźni, mechanicznie i fachowo. A fabryka, niezależnie od końcowego produktu, musi być schludna i czysta, jak każde miejsce pracy.

* * *

We wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku do Auschwitz przybył Paul Blobel, oficer SS pracujący w żydowskim referacie w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Przywiózł rozkaz Adolfa Eichmanna, koordynującego akcję zagłady europejskich Żydów. Wszystkie ciała zamordowanych gazem ludzi w Auschwitz miały zostać spalone. Była to ogromna operacja, ponieważ według samego komendanta Hossa należało wykopać z dołów i spalić jakieś sto dziesięć tysięcy ciał ludzi zamordowanych w obozie wiosną i latem tego roku. Powiększono zatem *sonderkommando* do rozkopywania dołów i palono zwłoki na wielkich stosach przez całą jesień. Nocami ogień było widać w odległości wielu kilometrów. Śwąd oznajmiał

wszystkim więźniom kacetu, co naprawdę działo się z transportami.

Gdy stosy płonęły, Franz Weimert pod wpływem ogromnych emocji postanowił, że musi nadać swojemu skundlonemu życiu jakiś sens. Piekło, które widział w sierpniu, rosło w nim. Czuł, że ta sycząca, pradawna ciemność zapuściła korzenie w jego sercu. Ponieważ nie starczyło mu odwagi, żeby odebrać sobie życie, zdecydował, że to, co zrobi, będzie dobre. Opanowała go myśl, że Milena nie może trafić do tego potwornego miejsca, które widział w sierpniu. Od tej pory służba w Auschwitz sprawiała mu niewypowiedzianą udrękę. Była jak męczarnia w piekle, która dla potępionego nie ma końca.

Gdy był już pewny, że pragnie walczyć o swoją duszę, chwycił ołówek, który każdego dnia cierpliwie i bez słowa czekał na niego na biurku. Wyrwał kartkę z zeszytu, w którym zapisywał na brudno zinwentaryzowane ruchomości pożydowskie. Drżały mu ręce, prawie tak mocno, jak w sierpniu pod „białym domem”. Zastanawiał się, czy to, co pragnął zrobić, miało sens. Po chwili doszedł do wniosku, że tak. Gdyby nie to, nie miałby już po co żyć. Chciał żyć i wiedział już dla kogo.

W tym celu musiał napisać te kilka prostych słów i jakoś przekazać je Milenie. Pisząc je, czuł się szczęśliwy po raz pierwszy od bez mała dwóch lat. Potem niech będzie, co chce, pomyślał Franz. Skończył i zwinął kartkę w ciasny rulonik. Następnie wstał, nałożył czapkę, odruchowo wygładził mundur i poszedł w stronę swego przeznaczenia.

Dziewczyna sortowała ubrania przed barakiem. On nadszedł od strony swego biura i szybko ją odnalazł. Na widok Weimerta pomyślała, że znów każe jej umyć podłogę w swoim baraku albo wykonać kolejną bezsensowną czynność, podczas której będzie na nią patrzył. Tym razem zachował się jeszcze dziwniej. Przeszedł obok, jak gdyby jej nie zauważył, ale podrzucił jej pod nogi mały zwitek.

Może mu coś wypadło? Po chwili jednak doszła do wniosku, że nie było mowy o przypadku. On to zrobił celowo. Chciał jej coś

przekazać. Rozejrzała się wokół. Obok niej pracowała tylko Wanda Zygielbojm, a Tłustej Ingi nie było widać. Rozwinęła rulonik i przeczytała:

KOCHAM CIĘ, NIE WIESZ NAWET JAK BARDZO.
NIE BÓJ SIĘ MNIE. NIE MÓGLBYM CIE
SKRZYWDZIĆ. OCHRONIĘ CIĘ

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział XXIV

POLISA NA ŻYCIE

Początkowo Milena myślała, że wyznanie miłosne Weimerta to jakiś straszny i absurdalny żart. Podejrzewała, że to próba zakpienia sobie z jej położenia i nędzy. Jak mógł napisać coś takiego? Przecież ona była w stanie żywić wobec niego tylko nienawiść. Ona była więźniarką i Żydówką, skazaną na zagładę tak jak jej naród. A on wyznał jej uczucie. Kolejna niewidzialna bariera została przekroczona i dziewczyna czuła, że sama nie udźwignie ciężaru tej sytuacji.

Tego dnia, po przeczytaniu kartki od Weimerta, po powrocie do wstrętnego baraku w Birkenau, rozplakała się. Płakała z bezsilności. Czyż nie była córką Izraela? Czyż nie zachowywała nakazów jego Boga? A teraz, w tym przeklętym miejscu, była samotna bardziej niż kiedykolwiek i zdana na łaskę swego wroga, człowieka odpowiedzialnego za morderstwa, za piekło, w jakim żyła. I ten człowiek śmiał jej napisać, że ją kocha. Była przekonana, że Weimert miał jakiś kaprys i że ona stała się częścią tej fanaberii. Po prostu nazwał ten kaprys miłością. Milena nie wierzyła, że ktoś taki jak Weimert może być zdolny do miłości. Nie rozumiała, że uczucie do niej, teraz uczciwie przez Franza nazwane, stało się ostatnią rubieżą dzielącą go od piekła.

Tego dnia jedyną osobą, która naprawdę litowała się nad męczarnią dziewczyny, była doktor Zygielbojm. Wanda z uwagą i współczuciem śledziła duchowe zmagania dziewczyny z uczuciem *Unterscharführera* Weimerta. Patrzyła na ten problem inaczej niż dziewczyna. Jako członek obozowego ruchu oporu doktor Zygielbojm uznała, że emocjonalne zaangażowanie Weimerta można wykorzystać na wiele sposobów, przede wszystkim do niesienia pomocy najbardziej potrzebującym więźniom. I tym głównie zajmował się ruch oporu w obozie; pomaganiem i ratowaniem życia w miarę możliwości. W większości wypadków nie chodziło już o uratowanie życia, ale sprawienie, by krańcowo

upodleni ludzie mogli umierać z godnością. W obozie kobiecym do ruchu oporu należało wiele lekarek. Wanda postanowiła przekonać Milenę, by włączyła się w tę formę walki więźniów. Leżąc na pryczy, rozpoczęła z nią cichą rozmowę.

– Nie myśl o sobie, skoro już wiesz, jakie są intencje tego strasznego człowieka – przekonywała Wanda. – Pomyśl, ile możesz zyskać dla innych, dając mu to, czego on chce.

– Nie – powtarzała dziewczyna.

– Zastanów się. Rozejrzyj dokoła. Codziennie umierają tutaj setki ludzi. Tyfus zbiera straszliwe żniwo każdego dnia. Jeżeli będziesz dla niego miła, możesz zażądać czegoś w zamian, na przykład lekarstw. One mogą tutaj pomóc choćby jednemu człowiekowi.

– On może mnie zastrzelić.

Popatrzyły sobie w oczy. Obie były zdecydowane postawić na swoim. Wanda nie mogła jednak przepuścić takiej okazji do zdobycia lekarstw. Po chwili powiedziała do dziewczyny:

– To prawda. On może cię zastrzelić. Ale skoro wyznał ci miłość, jest małe prawdopodobieństwo, że to zrobi. Ale równie dobrze może zatłuc cię ta kurwa, Tłusta Inga. Możesz wykitować każdego dnia. Jeżeli pisane nam umrzeć, to każdy dzień będzie dobry na śmierć, ale pomyśl, że sobie obiecałyśmy, że nie umrzemy w tym miejscu. Jeżeli dzięki swemu oddaniu się Weimertowi pomożesz innym, to nie będzie miało już znaczenia.

– Czego ode mnie chcesz? Żebym się z nim przespała? – zapytała Milena.

– Wybadaj go. Musimy wiedzieć, czy chodzi mu tylko o łóżko, czy o coś innego.

Milena była bardzo zażenowana. Potrafiła uniknąć zgwałcenia przez Dawida na Słowacji i przez Inge już w obozie, a tymczasem miała się oddać z własnej woli esesmanowi w zamian za leki dla chorych na tyfus. Coś za coś. W piekle Auschwitz nie działały żadne trwałe zasady moralne. Wszystko rozgrywało się w sercu człowieka. Można było wybrać zbrodnię, złodziejstwo, szaleństwo lub perwersje seksualne, albo kanibalizm. Czy jednak istniała

zasada, która sankcjonowałaby zło w imię czynienia dobra? Jaki to ma sens?

* * *

Tymczasem Weimert w skrytości serca przeżywał masowe mordy w bunkrze gazowym, w gruncie rzeczy jednak poszukiwał usprawiedliwienia. Za każdym razem, gdy zbudował sobie dostatecznie wygodne kłamstwo, aby udowodnić samemu sobie, że przecież nic nie mógł zrobić, nieuchronnie napotykał na dnie duszy wzrok zamordowanej zakonnicy. Czuł, że to spotkanie nie było przypadkowe. Mieli się tego dnia spotkać, a on miał być świadkiem jej śmierci. Nie wiedział jedynie, dlaczego tak się stało.

W tych trudnych miesiącach po sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Franz w dalszym ciągu dostrzegał jedynie bezsens śmierci zakonnicy i nie wierzył w istnienie jakiegokolwiek Boga. Nie rozumiał w pełni sensu jej zachowania. Nie pojmował tego pogodzenia się z tym, co nieodwracalne. Im bardziej próbował to zrozumieć, tym wyraźniej czuł jej spojrzenie, które nie pozwalało mu zapomnieć o tym, że uczestniczył w zadawaniu masowej śmierci. Weimert czuł, iż to spojrzenie całkowicie go obnaża.

Jednak nie mógł powiedzieć, że coś w jego życiu nie drgnęło, że nie zaczęła się jakaś trudna zmiana, nie do końca zrozumiała nawet dla niego samego. Pod wpływem przeżycia pod komorą gazową wyznał swoje uczucie więźniarce dziewiętnaście siedemdziesiąt. Wyznał komuś miłość po raz pierwszy w życiu. I nawet jeśli tego w pełni nie pojmował, poprzez to wyznanie pragnął zyskać odkupienie. Tym samym mimowolnie wstąpił na wyboistą i trudną ścieżkę, na którą wzywał go jego zapomniany i wzgardzony Żyd, człowiek i Bóg w jednej osobie. Ten zapomniany Bóg z pracowitością maleńkiej pszczoły zaczął go wzywać z cienistej krainy popiołów w stronę swojego przedziwnego światła.

Nieustannym cierpieniem napełniało też Weimerta uczucie do żydowskiej dziewczyny. To uczucie z oczywistych względów nie mogło zostać spełnione. Pod żadnym pozorem nie mógł jej nawet dotknąć. Weimert musiał przyznać, że jest zupełnie bezradny. Ona

przecież mogła nim wzgardzić i go wyśmiać. Odrzucenie jego uczucia było najbardziej prawdopodobne, ale jednocześnie męką najgorszą z możliwych. Owa bezradność przekładała się na sposób jego działania. Wiedział, że nie będzie w stanie skrzywdzić tej dziewczyny, nawet jeśli ona go odrzuci (a był tego zupełnie pewien), a tym bardziej zmusić ją do uległości. Jednocześnie miał pełną świadomość, że będzie gotowy na każde okrucieństwo, gdyby ktoś jej zagroził.

* * *

Zbliżała się jesień. Coraz częściej przychodziły mżyste, mokre i wstrętne dni. Milena wciąż żyła, choć setki innych więźniów ginęły i nikt się nad nimi nie litował. Milena, wychodząc o piątej rano z obozu Birkenau, przysięgała sobie, że przeżyje kolejny dzień. Widziała, ile nowych trupów leżało na stosie przed każdym barakiem po nocy. Czuła, że jej los będzie inny. Czuła, że dzięki uczuciu Weimerta nie skończy jak kawał ścierwa na stosie innych trupów zjadanych przez wielkie tłuste szczury.

Coraz częściej kobiety umierały po prostu z wyczerpania. Milena widziała taką kobietę w baraku. Stała, a po chwili przewróciła się i już nie żyła. Wanda wytłumaczyła jej, że ludzie nie wytrzymują tego życia. Głód, codzienne poniżenie, wszechobecność i nieuchronność śmierci sprawiały, że nawet energiczne jednostki traciły ochotę do życia. A od takiego stanu do pieca było już bardzo blisko. Według doktor Zygielbojm najgorszą i najbardziej śmiertelnością bronią SS był głód. To on sprawiał, że wycieńczony organizm odmawiał posłuszeństwa, nawet gdy człowiek nie znajdował się na skraju psychicznego załamania. Tak jak ta kobieta, która stała koło swojej pryczy w baraku, a po chwili przewróciła się i już nie żyła.

– My przeżyjemy – powtarzała Milena.

Wanda Zygielbojm nie rezygnowała ze swojej misji.

– Ty na pewno przeżyjesz, mając takiego opiekuna.

– Ach, przestań – zachnęła się dziewczyna.

– Nie, nie przestanę – powiedziała Wanda. – Dzięki tobie wiele osób może przeżyć. Masz obowiązek dzielić się swoją polisą na

życie. On cię kocha i zrobi dla ciebie wszystko.

– Dość – przerwała Milena, czerwieniąc się.

Wspomnienie listu od Weimerta wprawiało ją w ogromne zażenowanie. Mimo obozowej rzeczywistości, nie potrafiła sobie wyobrazić sytuacji, że on i ona...

Rozmowę przerwał im Weimert. Dosłownie wynurzył się zza góry posegregowanych ubrań. Miał na sobie połowy mundur SS. Nie zaniedbywał się mimo miłosnych cierpień. Nosił lśniące wysokie buty oraz popularne wśród Niemców oficerskie spodnie z szerokimi nogawkami, pas z bronią i bluzę z dwiema runami na kołnierzu. Spojrzał na Milenę z wyrzutem, po czym bez słowa opuścił barak. Nie wyraził żadnego życzenia. Dziewczyna zrozumiała, że przyszedł zaprotestować, a jego milczenie znaczyło: „Dlaczego nie odpowiedziałaś?”. Milena postanowiła go zignorować, ale w godzinę później przysłał po nią. Młody szrajber powiedział jedynie, że więźniarka dziewiętnaście siedemdziesiąt ma się stawić natychmiast do dyspozycji *Unterscharführera*.

Milena musiała więc iść. Okazało się, że Weimert skaleczył się w lewą dłoń. Krwawił. Franz naruszył dawną ranę na spodzie dłoni, tę z dnia w sierpniu, kiedy umierała żydowska karmelitanka. Milena nie wiedziała o jego przeżyciach. Ranę musiał ktoś opatrzyć. Pomyślała o Wandzie. Ale Weimert wyrwał ją z tego zamyślenia.

– Opatrz mnie – nakazał miękkim, spokojnym głosem.

Milena spojrzała na biurko, na którym leżały nożyczki, plaster, buteleczka z jodyną. Wszystko ktoś przygotował. Zaczęła podejrzewać, że esesman sam się skaleczył, żeby mógł ją dotknąć bez posądzenia o naruszenie ustaw norymberskich. Milena spojrzała mu w oczy wyzywająco i bez odrobiny pokory, czując, że tym razem nie ma się czego obawiać. Spoglądała na niego tak, jak nie wolno było patrzeć więźniarce. Ale miała wrażenie, że on chce, żeby na niego tak patrzyła. Po chwili wiedziała, że z trudem hamował wybuch rozpaczliwej wściekłości. Zrozumiała, że Niemiec nie jest automatem i że to wyznanie na świstku papieru musiało go dużo kosztować. Ów list leżał w kieszeni jej pasiaka. Jednak

pomyślała, że jeśli wykona rozkaz, jeśli ulegnie, to on uzna ją za kobietę łatwą do zdobycia.

– Nie, nie zrobię tego – powiedziała.

Weimert jakby na to czekał. Zerwał się z krzesła. Prawą ręką sięgnął po pistolet, wyjął go, przeładował i przyłożył dziewczynie do głowy. Patrzył na nią z mieszaniną uwielbienia, wściekłości i rozpacz. Milena, choć bała się najbardziej właśnie tej chwili, kiedy zagrozi jej śmiercią, poczuła, że cały strach ją opuścił. Teraz to ona rozdawała karty. On się odkrył, pisząc swoje wyznanie na bibułce. Ujawnił uczucia i tym samym upokorzył się przed nią. Zdała sobie z tego sprawę w chwili, kiedy przystawił jej pistolet do głowy. Zamiarem Weimerta nie było zastraszenie jej, ale zmuszenie do opatrzenia mu dłoni i tym samym do zmanifestowania swojej władzy nad nią. I ona, i on wiedzieli, że pistolet nie wystrzeli. Milena uzmysłowiła sobie, że jeśli nie okaże mu słabości, to będzie mogła od niego zażądać wiele więcej niż tylko te lekarstwa, o których „zorganizowanie” prosiła Wanda.

– Strzelaj, na co czekasz, zabij mnie – powiedziała ze spokojem – bo nie można żyć tak, jak ja tutaj żyję.

Jego oczy są brązowe, pomyślała. Lufa pistoletu znajdowała się o kilka centymetrów od jej czoła. Możliwe, że w okamgnieniu wszystko się skończy, pomyślała. Wtedy opuścił broń, przypieczętowując swoje wyznanie.

Milena uśmiechnęła się z triumfem.

– Chcę wracać do pracy.

Ale Weimert nie dał jej zgody. Nie chciał się jeszcze przyznać do swojej przegranej.

– Przecież mnie pan nie zastrzeli – dodała, po czym odwróciła się i wyszła z baraku administracyjnego, cicho zamykając za sobą drzwi.

Właśnie zaczął siąpić deszcz.

* * *

Weimert już wiedział, że dziewczyna była twarda. Im bardziej on będzie się odsłaniał, pokazując własne uczucia, tym więcej ona będzie na tym korzystała. Uczucie do Żydówki, będące przecież

zdradą niemieckiej rasy, stanowiło najpilniej strzeżoną tajemnicę tego zmagającego się ze sobą człowieka. Chciał, żeby uświadomiła sobie, że uczucie do niej jest jedyną rzeczą, która trzyma go przy życiu. Pewnego dnia jesienią podrzucił jej karteczkę z następującymi słowami:

NIE BÓJ SIĘ MNIE. NIE UMIEM CIĘ SKRZYWDZIĆ.

Nie dostał żadnej odpowiedzi. Milena nie mogła zwalczyć w sobie nienawiści do niego za to, kim był i co zrobił. Nie potrafiła go nie nienawidzić. Jednak Weimert wyczuwał jej nienawiść i ta świadomość popychała go do czynów okrutnych. Miał wrażenie, że jest potępiony i skoro uczucie do Mileny nie mogło go wyrwać ze stanu potępienia, postanowił, że wszystko mu jedno. Odczuli to natychmiast więźniowie rozpakowujący toboły na żydowskiej rampie. Jednego skopał za byle co, drugi powędrował za równie błahą rzecz na ciężką stójkę do podziemi bloku jedenastego, skąd już nie wrócił. Weimert szalał. Wieść o jego nowych okrucieństwach rozniosła się po obozie. Dowiedziała się o nich Milena. Dziewczyna miała więc kolejny powód do jeszcze większej nienawiści. Ale przecież nie była głupia i po drugim liściku od Weimerta zaczęła się poważnie zastanawiać. Po raz pierwszy założyła, że Weimert naprawdę ją kocha, a władza, jaką miał nad więźniami, dawała mu nieograniczone możliwości dokonywania zemsty, na kim popadnie. Wiedziała, że nie potrafił jej skrzywdzić, ale cóż z tego, gdy w poczuciu odtrącenia mścił się na innych. Zawód, jaki odczuwał, rodził w nim pragnienie rozładowania wściekłości i upokorzenia. Był przecież dumnym nadczłowiekiem. A ona, Żydówka, była dla takich jak on niczym. Zrozumiała, że odrzucając jego awanse, być może wystawia jego uczucie na próbę najsurowszą z możliwych. Co jednak będzie, gdy Weimert się odkocha? Trwając w uporze, stawiała własne życie na szali. Wanda Zygielbojm próbowała jej to wiele razy wyjaśnić:

– Nie rób z siebie Joanny d’Arc. Pomyśl o innych.

Dostrzegła wreszcie, że to ona jest winna, iż Weimert tak szalał. W swym własnym interesie i dla dobra wielu ludzi

postanowiła się przemóc i spróbować ułagodzić jego gniew. Wykonując codziennie tę samą pracę, przerzucając dziesiątki tobołów, zaczęła dostrzegać, że Weimert upokorzył się przed nią, gdy zebrał o uczucie. Stała się zakładnikiem jego miłości i ta świadomość dodawała jej jeszcze większych cierpień.

Widząc codziennie trupy kobiet, które zmarły w nocy w barakach, porzucane na pastwę szcurków, miała świadomość absolutnego i wyniszczającego końca. Zrozumiała, że Weimert to jej jedyna szansa na przeżycie. Będzie głupia, jeśli z niej nie skorzysta. Tego dnia powiedziała Wandzie, że zgadza się uczestniczyć w pracach ruchu oporu. Wanda wiedziała, czego najbardziej potrzeba w straszliwym bloku szpitalnym w Birkenau. W ciasnej przestrzeni bloków numer dwadzieścia cztery i dwadzieścia pięć, na lewo od bramy śmierci, gdzie usytuowany był szpital, codziennie umierało zbyt wiele kobiet.

* * *

Dzień pracy powoli się kończył. Franz miał ogłosić fajrant i kobiece komando znów ruszyłoby w drogę powrotną do Birkenau. Tym razem to Milena zaskoczyła Weimerta. Kiedy była pewna, że został sam w baraku administracyjnym, postanowiła do niego pójść. Nie miała z tym problemu, ponieważ utarło się, że pod koniec każdego dnia miała dokładnie sprzątać całe biuro. Weimert od czasu drugiego listu milczał. Nie patrzył na nią, ale mimo to nie dopuścił, by inna więźniarka zajęła jej miejsce podczas sprząwania.

Stanąła przed nim. Podniósł wzrok. Tym razem mogli się sobie przypatrzeć. Od ich pierwszego spotkania na rampie mijało właśnie pół roku, które dziewczynie wydawało się całą epoką. Już prawie wcale nie pamiętała intensywności własnego życia przed obozem. Wszystkie wspomnienia, te dobre i złe, zatarły się i zniknęły w mroku. Los postawił ich naprzeciw siebie. Patrzyli więc na siebie kobieta i mężczyzna, więźniarka i esesman, ofiara i kat.

- Pan mnie wzywał do sprząwania – powiedziała – aleja...
- Czy coś się stało? – zapytał Weimert.
- Potrzebuję lekarstw.
- Jesteś chora?

Po tym pytaniu Weimerta, świadczącym o tym, że nie dbał tak naprawdę o to, co działo się poza nim samym, zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Dziewczyna nie potrafiła wyłożyć, z czym przyszła, a Weimert nie do końca rozumiał, po co mówiła o lekarstwach. Dużo ryzykowała. On był przecież esesmanem, strażnikiem w obozie. Ruch oporu nie mógł do końca przewidzieć jego reakcji, ale Milena wiedziała, że zgodzi się dla niej na wszystko, o co ona rozsądnie poprosi. Cała jednak trudność polegała na właściwym wyczuciu tej miary rozsądku.

– Potrzebuję lekarstw. ale nie dla siebie.

Milena zdawała sobie sprawę, że gra jest niebezpieczna, a on potrafi zabijać. Nie chodziło o nią, tylko o innych. Poza tym Weimert nie był idiotą i bez trudu mógł się domyślić, o co naprawdę chodzi. Weimert, gdy już przyznał się przed sobą do tej zakazanej miłości, postanowił, że nigdy nie użyje przeciw Milenie przemocy. Jednak czegoś takiego się nie spodziewał. Więźniarka prosiła go o lekarstwa dla innych więźniów.

– Rozumiem – powiedział po chwili, nie kryjąc zaskoczenia. – Jakich lekarstw potrzebujesz?

Weimert wydarł kartkę z notesu i chwycił ołówek, a Milena zaczęła recytować z pamięci to, co przekazała jej Wanda Zygielbojm:

– Leki przeciwbiegunkowe, takie jak bizmut, węgiel oraz tanalbina. Przeciwwzapalne, prontosil i propidon, oraz te wzmacniające serce, jak kofeina, kardiazol i glukoza.

Wszystko skwapliwie zanotował. Potem wstał, wygładził mundur i podszedł do niej. Rozmowa z dziewczyną, po tylu tygodniach jej milczenia, musiała sprawiać mu przyjemność. Znalezli się bardzo blisko siebie, ale Franz nie śmiał jej dotknąć.

– Muszę się dowiedzieć, jakie są zapasy w szpitalu SS – oznajmił spokojnie.

Milena potwierdziła, że przyjmuje to do wiadomości. Chciała powiedzieć, że wie, jakie to niebezpieczne, ale Weimert ją ubiegł:

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę bez ciebie żyć i popełniam zdradę? Ale wszystko mi jedno. Żądasz lekarstw. Nie pytam dla

kogo. Ale ja też chcę czegoś w zamian.

Tego się bała. Jednak i na to przygotowała się psychicznie. To nie do wiary, pomyślała dziewczyna, że esesman będzie moim pierwszym mężczyzną. Chciała ściągnąć pasiak, ale ruchem dłoni pokazał jej, by tego nie robiła. Teraz to ona poczuła się zaskoczona. Była przekonana, że właśnie tego chciał.

– Ja tak nie chcę. Powiedziałem, że cię kocham, i tak jest. Skoro już przyszłaś i skoro rozmawiamy, chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem taki jak Schillinger. Wiem, że mnie nie kochasz. Nie musisz udawać. Chcę tylko, żebyś ze mną rozmawiała. Chcę twojej obecności.

– Czyli pan nie chce, żebym się teraz rozebrała?

– Nie, nie chcę. Chciałbym tego, gdybyś mnie kochała, ale wiem, że to niemożliwe – odrzekł Weimert. – Nie mogę wdawać się w żadne stosunki z Żydówkami. To śmierć dla mnie i dla ciebie. A te lekarstwa... Znajdę sposób.

Popatrzyła mu w oczy. On się przed nią wstydził tego, kim się stał. Po raz pierwszy ofiara zobaczyła w tym kacie wrażliwego człowieka. Weimert czuł się zakłopotany, przedłużając ich rozmowę:

– Już idź – rzucił. – Nie możemy ze sobą długo rozmawiać na osobności.

* * *

Dwa dni później ujrzała go bardzo wcześnie rano, kiedy więźniarki z komanda zameldowały się do pracy w pierwszej „Kanadzie”. Koło południa wezwał ją oraz Wandę Zygielbojm, żeby posegregowały pozostawione od wczoraj worki z dziecięcą bielizną. Zrugął je głośno za nieskończoną pracę, tak żeby słyszała to Tłusta Inga kręcąca się bez przerwy po magazynie. Więźniarki zdziwiły się, ponieważ świetnie pamiętały, że posegregowały wszystko. Milena zaczęła się zastanawiać, o co tym razem chodzi.

Weimert bez przerwy na nie zerkał. Po jakimś czasie odnalazły zagrzebane w ubraniach dwa bochenki zupełnie czerstwego ciemnego chleba. Postanowiły przenieść oba bochenki do baraku w Birkenau. Dopiero w baraku zrozumiały, jak sprytnie postąpił

Weimert. Istniało wprawdzie ryzyko, że strażniczki znajdą to, co niedozwolone, ale ryzyko było wpisane we wszystko, co robiły każdego dnia. Nawet drobiazg mógł prowadzić do śmierci. Świadomie podjęły to ryzyko. Wanda i Milena postanowiły podzielić zdobyty chleb między inne więźniarki. Kiedy go kroily, wszystko stało się jasne. W wydrążonych bochenkach znajdowały się medykamenty, o które prosiła Milena.

Te lekarstwa mogły ocalić kilka kobiet. Teraz należało je przenieść do szpitala. Nazajutrz Milena znów ujrzała Weimerta, z niezmaconym opanowaniem przyglądającego się jej pracy. Miała wrażenie, że po rozmowie z nią się uspokoił. Palił papierosa i wyglądał na odprężonego. Wiedziała, że zrobił to dla niej i po raz pierwszy próbowała spojrzeć na niego z niekłamana ̄ zyczliwością.

Rozdział XXV

DOBRA NIEMKA

Obozowy szpital dla kobiet w Birkenau miał opinię poczekalni do gazu. Usytuowany w dwóch połączonych wspólnym murem blokach numer dwadzieścia cztery i dwadzieścia pięć – siał postrach wśród uwieczonych kobiet. Prawie żadna, która tam trafiła, nie wychodziła żywa. Szalała epidemia tyfusu, która znacznie się zaostrzyła po przenosinach kobiecego obozu do Birkenau. Podmokły teren sprzyjał chorobom. Stłoczenie tysięcy kobiet w jednym miejscu i brak elementarnej higieny sprawiały, że tyfusu nie dało się opanować. Lekarze SS zarządzali coraz częstsze selekcje do komór gazowych.

Jednak zła sława szpitala kobiecego wiązała się również z siostrą Klarą. Nikt nie wiedział, czy rzeczywiście miała tak na imię. Nosila czysty biały kitel z czerwonym krzyżem. Pojawiała się nieregularnie, przypuszczalnie więc mieszkała poza obozem i przyjeżdżała do niego tylko kilka razy w miesiącu. Siostra Klara odbierała porody w bloku szpitalnym. Zdarzało się, że wiele polskich kobiet trafiło do obozu w zaawansowanej ciąży i musiały tam rodzić. Po utworzeniu obozu kobiecego mężczyźni zdołali w sobie tylko znany sposób dotrzeć do więźniarek. Ktoś załatwił na lewo przepustkę. Komando stolarzy miało naprawić dach w baraku kobiecym. Obok wszędobylskiej śmierci toczyło się też życie. Tworzyły się pary, znano przypadki, kiedy kobiety zachodziły w ciążę już w obozie. Czasami wskutek gwałtów, jakich dokonywali wszechwładni kapo z obozu męskiego. W piekle Auschwitz przyszło na świat kilka setek dzieci. Większość zginęła w niemowlęctwie.

Nie wiadomo, czy siostra Klara była strażniczką SS, czy faktycznie siostrą Czerwonego Krzyża. Można było jedynie podejrzewać, czym trudniła się przed wojną. Plotki głosiły, że przed dojściem Hitlera do władzy w Niemczech przeprowadzała pokątne aborcje. Przerywanie ciąży w hitlerowskich Niemczech było niedozwolone, chyba że podejrzewano u dziecka jakąś nieuleczalną

chorobę. Jako akuszerka siostra Klara była bardzo sprawna i zachowywała się jak reszta Niemców; zawsze przychodziła do pracy w nienagannie czystym białym fartuchu i w nieodłącznym czepku, niosąc małą skórzaną walizeczkę.

* * *

Więźniarki z podziemia zastanawiały się, w jaki sposób przemycić do obozowego szpitala lekarstwa przekazane przez Weimerta. Ruch oporu pragnął włączyć w swoje działania najważniejszą więźniarkę funkcyjną szpitala, Niemkę Elfriede Schwamm, należącą do świadków Jehowy. Problem polegał jednak na tym, że wyznawcy Jehowy, cierpiąc tak jak inni więźniowie, zachowywali się wobec władz SS na tyle lojalnie, że trudno było ich wciągać w działania noszące znamiona „przestępstwa”. Elfriede nie pozwalała kraść jedzenia, żeby ulżyć cierpiącym. Jehowa zabraniał kradzieży, bez względu na okoliczności. Wanda Zygielbojm wiedziała z opowieści Mileny, że dziewczyna zna dość dobrze tę jehowitkę.

Milenę poproszono, żeby dostarczyła leki do przedsionka piekła. Jednak trzeba było załatwić przepustkę. Żadna „zdrowa” więźniarka nie mogła pójść do szpitala, bo był to sabotaż pracy i groziła za to surowa kara. Gdyby więźniarką funkcyjną była jakaś komunikatywna osoba, mogłaby taką przepustkę załatwić. Ale funkcyjną komanda *Weisskapchen*¹¹ była Tłusta Inga, sama budząca postrach i obrzydzenie. Należało zatem znaleźć inne wyjście.

Znów pomógł Weimert. Załatwił Milenie przepustkę, która umożliwia jej poruszanie się po całym Birkenau przez jeden dzień. Ukradł po prostu z magazynu „Kanady” zegarek, który otrzymał więzień funkcyjny z biura przepustek.

Milena pamiętała szpital z obozu macierzystego. Ale to, co zobaczyła w blokach dwadzieścia cztery i pięć w Birkenau, przerosło jej najstraszliwsze wyobrażenia. Kobiety leżały wszędzie, bez wody, jedzenia i jakichkolwiek leków. Rewir miał wśród więźniarek tak złą sławę, że nikt przy zdrowych zmysłach nie starałby się tutaj dostać. Pobyt w szpitalu oznaczał oczekiwanie

w kolejce do komór gazowych w „białym” lub „czerwonym domku”. Tutaj po raz pierwszy Milena usłyszała te nazwy, które były synonimami tego, co nieskończenie potworne i straszliwe. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości, dokąd trafiali ludzie, których rzeczy ona i jej koleżanki nieustannie sortowały.

Stąpała ostrożnie między ciałami dogorywających kobiet, tonących we własnych odchodach, nierozpoznających już nikogo. Na widok tej nędzy, najgorszej z możliwych, zrozumiała, jak wiele zawdzięcza swemu wrogowi, jak wciąż go nazywała. Skoro Weimert zdobył te lekarstwa, kradnąc je najprawdopodobniej ze szpitala SS, to znaczyło, że nie mógł być do końca zły. Ktoś, kto jest zdolny do miłości, nie może być zły.

* * *

– To bardzo nierozsądnie tutaj przychodzić – zabrzmiał na powitanie znajomy głos.

Milena natychmiast go poznała. Elfriede wyglądała inaczej niż ostatnim razem. Była wychudzona i zaniedbana, ale w jej oczach palił się ten sam fanatyczny żar wiary w Jehowę, który tak zadziwił dziewczynę, kiedy spotkała Elfriede po raz pierwszy.

– Chciałabym z tobą porozmawiać w cztery oczy – powiedziała Milena.

Elfriede zauważyła, że mimo uwięzienia Milena wygląda znacznie lepiej, niż kiedy widziała ją poprzednim razem. Przeszły do pomieszczenia dla funkcyjnych, małego, ale i tak o niebo lepszego niż umieralnia. Milena pokrótce wyjaśniła, z czym przysła. Elfriede uznała, że to Jehowa ją przysłał.

– Modliłam się, żeby Jehowa mnie wysłuchał. Bo mam wrażenie, że odkąd jestem funkcyjną w tym szpitalu, Jehowa odwrócił się ode mnie za moje grzechy.

– A jakież ty mogłaś popełnić grzechy? – zapytała szczerze zdumiona Milena.

Elfriede wyznała, że żałuje, iż przed paroma miesiącami doprowadziła do śmierci kobiety, która kradła chleb. Wtedy była przekonana, że trzeba karać grzechy takie jak złodziejstwo. Teraz już tak nie uważała. Na pytanie Mileny, czemu zmieniła zdanie,

Elfriede odpowiedziała:

– W tym miejscu jest diabeł.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że Milenę przeszedł dreszcz. Okazało się, że wraz z przeniesieniem szpitala dla kobiet do Birkenau pozycja Elfriede jako blokowej szpitala uległa osłabieniu. Teraz musiała współpracować z nowym sanitariuszem SS Hansem Nierzwickim, który wysłał do pieca więcej ludzi niż ktokolwiek inny przed nim na tym stanowisku. Codziennie „szpilował” w szpitalu najsłabsze kobiety, zabijając je toksycznymi zastrzykami dosercowymi. Bardzo źle się jej z nim pracowało. Zabijał nawet te kobiety, które ona chciała ocalić dla Jehowy. Według Elfriede w szpitalu działo się jednak coś jeszcze potworniejszego.

Wtedy ktoś im przerwał. Sztubowe przyniosły rodzącą. Kobieta ta, jakaś Rosjanka, przebywała w więzieniu w Grodnie i tam zaszła w ciążę z przygodnie poznanym więźniem, żeby polepszyć swój los. Mimo to zesłano ją do Auschwitz za „aktywny udział w komunistycznej bandzie dywersyjnej”. W obozie miała urodzić dziecko. Sztubowe przyniosły ją i wołały Elfriede, bo sprawa była pilna. Zaraz miała przyjść siostra Klara. Nie miały wiele czasu na rozmowę.

– Uważaj, zaraz przyjdzie ta wiedźma. Nie powinna cię tutaj zobaczyć.

– Mam przepustkę.

– Wiem, ale przepustka tu nic nie znaczy. To ona jest teraz władczynią w szpitalu.

Milena dowiedziała się zatem o siostrze Klarze. Według Elfriede osoba ta była jeszcze gorsza niż esesmani; wyglądała na miłą i usłużną, ale to były jedynie pozory kryjące drapieżną, krwiożerczą i wynaturzoną bestię.

– To będzie mój grzech. Jestem pewna, że muszę to zrobić – powiedziała Elfriede.

Milena się zdziwiła.

– Co chcesz zrobić?

– Muszę pozbyć się tego diabła.

Zostawiwszy lekarstwa, Milena pożegnała Elfriede. Nie miała pojęcia, co konkretnie kryło się pod religijną metaforą, jakiej często używała jej znajoma. Dziewczyna wymknęła się z pomieszczeń szpitala, gdy Elfriede podeszła do Klary, zagadując ją. Bezpiecznie dotarła do swojego baraku.

Elfriede dokonała najtrudniejszego wyboru w swoim życiu. Wiedziała, że jej Bóg nie pochwaliby tego, co chciała zrobić, ale uważała, że już dostatecznie długo przyglądała się ludzkiemu cierpieniu, zasłaniając się „wolą Jehowy”. Teraz uznała, że jest narzędziem bożej pomsty.

* * *

Siostra Klara odebrała poród fachowo i sprawnie. Miało to znaczenie wśród brudu, odchodów i wielkich tłustych szczurów upasionych na trupach. Gdy Rosjanka urodziła ślicznego chłopczyka, siostra Klara sprawnym ruchem odcięła pępowinę, wytarła dziecko i oddała je matce, by ta pierwszy i jedyny raz je nakarmiła. Po kilku minutach odebrała noworodka zrozpaczonej matce. Rosjanka, jak każda matka, która dostała się w ręce siostry Klary, zaczynała natychmiast histerycznie krzyczeć, by oddać jej maleństwo. Na próżno.

Niemka wyszła przed barak, gdzie stała duża metalowa beczka z wodą. Wrzuciła noworodka do wody jak niepotrzebny klocek. Elfriede na ten widok nadludzkim wysiłkiem powstrzymała okrzyk grozy. Tymczasem Klara powróciła do położnicy. Schowała do walizeczki nożyczki, wytarła ręce i zaczęła przygotowywać zastrzyk z fenolu. Każda matka po narodzinach i śmierci swego dziecka podążała bowiem w jego ślady. Siostra Klara zrobiła Rosjance zastrzyk i patrzyła na jej powolne konanie z obojętnym wyrazem twarzy. Potem kazała nagie ciało zamordowanej matki wynieść na stos trupów przed barakiem szpitalnym.

Jednak po tym, jak była świadkiem zabicia Rosjanki, coś w Elfriede się bezpowrotnie skończyło; jej wiara w Jehowę nabrała tragicznej wymowy. Do tej pory uznawała, że więźniowie cierpią przez karę Boga. Dotyczyło to szczególnie Żydów, którzy zdradzili przecież Jehowę. Elfriede wierzyła, że Jehowa za dobro nagradza,

a za zło karze. Ale w Auschwitz przekonała się, że zło jest bezkarne i że żaden ze zbrodniarzy nie został przez Wszechmogącego postawiony do karnego raportu. Czy jehowitka zaczęła tracić wiarę? Czy przekonała się, że nie istnieją proste odpowiedzi na pytania ostateczne? Widziała przecież codziennie, że Niebo milczało, oglądając te niesamowite i z niczym nieporównywalne zbrodnie. Elfriede postanowiła, że swoim czynem zakrzyczy ciszę Nieba.

Przez kilka dni przed spodziewanym przybyciem Klary cierpliwie zbierała zarazone tyfusem wszy od kobiet dogorywających na posadzce bloku szpitalnego. Poczekała, aż Niemka spakuje swoje narzędzia do walizeczki i pójdzie do pomieszczenia sztabowych, żeby odpocząć. Nikt wówczas nie mógł jej przeszkadzać. Klara wypalała tam papierosa. Elfriede jako Niemka miała do niej dostęp. Nigdy dotychczas nie zdarzyło się, by jej przeszkadzała, ale teraz postanowiła, że musi z Klarą porozmawiać. Zabrała więc swoje małe pudełeczko pełne zarazonych wszy i spokojnym krokiem skierowała się do pokoiku.

Siostra Klara niczego złego się nie spodziewała. Świadkowie Jehowy byli przecież niegroźnymi szaleńcami. Budzili co najwyżej uśmiech politowania, ale nigdy obawę. I to miało się teraz zemścić. Elfriede od wewnątrz zamknęła drzwi na skobel, aby nikt nie mógł jej przeszkodzić. Znienacka rzuciła się na siostrę Klarę i wyrznęła ją w twarz tak mocno, że Niemka spadła z taboretu. Następnie przydusiła ją i wysypała zarazone tyfusem wszy na jej twarz, włosy i pod fartuch, na gołe ciało. Gdy Klara zaczęła wrzeszczeć, Elfriede postawiła jej na gardle taboret, po czym na nim usiadła. Klara wierzgała wściekle, próbując się uwolnić. Wyła z bólu i przerażenia.

– Zamknij się, ty szatańska suko. Bóg tego chce – powiedziała najspokojniej w świecie Elfriede. – Musisz ponieść karę za to, co zrobiłaś.

Elfriede знаła obszerne fragmenty Biblii na pamięć. Zaczęła je głośno recytować: na początek opis końca biblijnej Jezabel, zaprzędanej diabłu kobiety, która marnie skończyła. Następnie opis walki, jaką Jozue stoczył z Amalekitami. W tym czasie wszy

obłaziły Klarę i wgryzały się w jej ciało, a morderczynie małego dziecka dalej kopała nogami, chcąc się oswobodzić.

* * *

Elfriede nie miała zamiaru od razu zabijać Klary. To miały za nią zrobić wszy. Po dwóch godzinach recytacji Biblii, gdy miała już pewność, że zarazone insekty pogryzły Klarę, wypuściła ją, wiedząc, co ją czeka. Klara natychmiast doniosła o zdarzeniu. Elfriede została tego samego dnia pobita przez esesmanów i zamknięta w podziemiach bloku jedenastego w obozie macierzystym. Obozowe Gestapo długo zastanawiało się, co z tą sprawą począć. Po miesiącu, gdy siostra Klara, morderczynie noworodków i ich matek, zmarła na tyfus w szpitalu SS w Auschwitz, Elfriede została skazana na śmierć przez rozstrzelanie. Ze spokojem przyjęła swój los. W jej pojęciu zabijanie było ciężkim grzechem, za który zabójca musiał ponieść karę. A ona była zabójczynią Klary. Swoją śmiercią zapragnęła w oczach Jehowy zmyć grzech zabójstwa.

Elfriede Schwamm zginęła dwudziestego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku przy ścianie straceń na podwórku bloku jedenastego. Zachowywała się inaczej niż większość więźniów. Nie krzyczała ani nie histeryzowała, kiedy sąd doraźny złożony z trzech esesmanów odczytywał wyrok śmierci. Oznajmiono jej, że umrze w ciągu piętnastu minut.

– Nie boję się śmierci – powiedziała sądowi. – Jestem szczęśliwa, ponieważ mam świadomość, że zabijając tę sukę Klarę, po raz pierwszy w życiu zrobiłam coś naprawdę dobrego.

Bez słowa przeszła do przebieralni znajdującej się w pomieszczeniu obok sądu. Rozebrała się do naga i wyszła na dziedziniec. Dopiero tam, na widok palącego papierosa esesmana Palitzscha, wykonawcy wyroków śmierci, na chwilę przystanąła, jak gdyby się zawahała. Obok niego leżał stos trupów, a beton pod ścianą straceń był czerwony od krwi. Elfriede przemogła to wahanie i stwierdziła, że ten dzień jest równie dobry na śmierć, jak każdy inny. Ona była wierna Jehowie i teraz już niczym nie musiała się przejmować. Podeszła bliżej do Palitzscha. Esesman

stał lekko oparty o zbryzganą krwią ścianę, przenosząc ciężar na lewą nogę. Elfriede pomyślała, że przydały się na coś szkolne lekcje sztuki, których nigdy nie lubiła. Patrząc na opartego o ścianę straceń esesmana z małokalibrowym karabinkiem, pomyślała, że teraz już wie, co to zasada kontrapostu. Podeszła do ściany i poczekała, aż Palitzsch skończy palić papierosa.

Podobno tuż przed śmiercią odwróciła się w stronę swego mordercy. Gdy wycelował jej w głowę, Elfriede uśmiechała się, zapewniając go, że mu wybaczają. Podobno Palitzsch, który potrafił zastrzelić przy tej ścianie do dwustu ludzi dziennie, zawahał się przez ułamek sekundy na widok takiej pogardy wobec śmierci. Gdy trafił kobietę w lewe oko, Elfriede podążyła do swego Boga.

Jedyna dobra Niemka, jaką Milena знаła, umarła bez słowa sprzeciwu. Dziewczyna na wieść o jej śmierci przepłakała pół dnia, bo wiedziała, że tylko dzięki jej dobrej woli mogła poznać Weimerta i dzięki niej miała szansę na życie w tym oceanie śmierci.

Rozdział XXVI

MÓW MI PIERRE

Od wyznania Weimerta minęły trzy miesiące. Milena przez cały ten czas toczyła duchową walkę. Na początku znajomości z esesmanem wmawiała sobie, że powinna go dalej nienawidzić, a teraz, po jego wyznaniu, musiała przyznać, że tylko jego uczucie dzieli ją od upadku w otchłań. Dzięki niemu pobyt w obozie był odrobinę znośniejszy, choć z każdym dniem dziewczyna stawała się coraz większym zakładnikiem jego miłości. W ten sposób Weimert związał ją ze sobą. Mogła tylko sprawić, by zyskali przy tym inni.

W listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kiedy zginęła Elfriede, rozeszła się plotka, że dzięki niezwyklej pomysłowości więźniów gdzieś ukrywa się żydowskie dziecko. W obozie znajdowało się także wiele polskich dzieci, najwyżej kilkunastoletnich, które osadzono na takich samych zasadach jak dorosłych.

Latem tego roku kolaborujący z Niemcami francuski rząd w Vichy zdecydował się rozpocząć transporty własnych obywateli do Auschwitz. Wszyscy francuscy Żydzi z nieokupowanej części Francji mieli trafić do obozów filtracyjnych. Największym i mającym najgorszą sławę był obóz w Drancy. Władze francuskie początkowo nie chciały zgodzić się na wywiezienie na wschód dzieci i dorosłych. Kiedy dorosłych wysłano do Auschwitz, kilka tysięcy dzieci w różnym wieku bez jedzenia i bez żadnych środków do życia, pozostało w Drancy. Pilnowali ich francuscy policjanci. Nikt się o nie nie upomniał; ani władze francuskie, widzące w nich kłopotliwy wizerunkowo problem, ani francuski Kościół, który nie chciał zrażać do siebie Niemców. W końcu zapadła decyzja, że żydowskie dzieci pojedą za rodzicami na Wschód w bydłych wagonach. Wielu francuskich policjantów nie wytrzymało psychicznej presji. Zdarzały się wśród nich samobójstwa – przecież mieli własne rodziny i dzieci w podobnym wieku. W dwu transportach wszystkie dzieci wywieziono do Auschwitz. Większość

z nich zginęła pierwszego dnia po przywiezieniu w „białym” lub „czerwonym domku”.

Jakim cudem śliczny kilkuletni chłopczyk przeżył i znalazł się w stertach waliz i ubrań w „Kanadzie”, tego nikt nie wiedział. Być może zdjęty litością więzień z komanda sortującego dziecięce walizeczki zdołał go jakoś ukryć na wózku. Może w przeczuciu zagrożenia chłopczyk schował się między walizkami. Nikt nie próbował już dociekać, jakim cudem przeżył selekcję. Żył i bardzo potrzebował pomocy.

Dziecko znalazła Wanda Zygielbojm. Miała w zwyczaju odkładać w jedno miejsce żywność znajdującą w ubraniach oraz w walizkach zamordowanych w brzozowym lesie za Birkenau. Chciała ten zapasik przemyć do obozu, aby pomóc kobietom w szpitalu. Żydowska lekarka nie myślała bowiem o sobie. Jednak przez kilka dni jedzenie znikało. Czasami były to jakieś kromki chleba, czasami wędlina przygotowana przez kogoś na długą podróż, niekiedy ser. Wanda bardzo się denerwowała, widząc, że ją ktoś regularnie okrada. Kradzieże chleba były na porządku dziennym we wszystkich komandach i naprawdę nie było żadnego sposobu, aby im zapobiec. Jednak lekarka pragnęła dowiedzieć się, kim jest złodziej. Przyczaiła się pod koniec dnia pracy i zobaczyła, że spod stert ubrań wyszedł mały chłopczyk. Szybko odnalazł jedzenie. Wanda go przyłapała. Dziecko było tak przerażone, że nie pisnęło nawet słowa. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy był pewny, że ze strony Wandy nic mu nie grozi, chłopczyk powiedział:

– Mów mi Pierre.

Doktor Zygielbojm znała francuski, więc zapytała:

– Skąd jesteś?

– Z Lyonu.

– A gdzie jest twoja mama?

– Mamusia pojechała pociągiem i mnie zostawiła.

– A skąd się tutaj wzięłeś?

– Ja też jechałem pociągiem.

– Byłeś sam? – dociekała lekarka.

– Z bratem. Ale ukryłem się, bo brat mnie bił.

- Dlaczego cię bił?
- Bo jestem młodszy.
- Skąd się tu wzięłaś?
- Taki pan mnie ukrył między walizkami.
- A jak on wyglądał?
- Był łysy i nosił pasiastą piżamę.

Wanda wiedziała już wszystko. Jakiś więzień z rampy odnalazł chłopca i ukrył go na wózku. Pewnie zasłonił ubraniami i przemycił do „Kanady”. Na widok tego głodnego dziecka, które nie zdawało sobie sprawy z tego, gdzie jest, Wandę ogarnęło trudne do opisu wzruszenie. Zdecydowała, że musi uratować Pierre’a. Była pewna, że gdyby esesmani dowiedzieli się, że na terenie „Kanady” jest dziecko, zabiliby je bez wahania. Wiedziała, że dzieci nie mogły tutaj żyć. Jednak sama nie podjęła opieki nad chłopcem. Musiała wtajemniczyć jeszcze jedną osobę, której ufała najbardziej. Wybór padł na Milenę. Początkowo Milena nie chciała o tym słyszeć. To je obie mogło kosztować życie. Wanda Zygielbojm nie ustępowała. Powtarzała, że uratowanie dziecka jest ich obowiązkiem. Milena odpowiedziała jej, że ich jedyne obowiązki to sortowanie ubrań i walizek zamordowanych Żydów. Wanda jednak dalej przekonywała. Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat, głosiło żydowskie powiedzenie. Doktor Zygielbojm wypaliła w końcu:

– Teraz, kiedy już znalazłam to dziecko, czy chciałabyś to zgłosić? To oznacza dla niego śmierć.

– Czyś ty oszalała? Nawet Weimert nie może nam pomóc – ripostowała Milena.

Wanda znów się zdenerwowała i pokazała jej dziecko. Chłopczyk podszedł do Mileny, chwycił ją za dłoń i zapytał, czy ma dla niego coś do jedzenia. Milena natychmiast przyznała Wandzie rację. Trzeba zrobić wszystko, żeby go uratować. Na razie Weimert nie dowie się o chłopcu. Mimo zapewnień o uczuciu Milena nie wierzyła mu do końca. Nosił mundur SS i to wymuszało ograniczenie zaufania.

* * *

Niebezpieczeństwo mogło sięgnąć na siebie samo dziecko.

Nierozważne zachowanie niechybnie by je zdradziło, a wtedy nie byłoby dla niego ratunku. Za ukrywanie dziecka mogło zapłacić bardzo drogo całe komando. Wanda i Milena podjęły grę pozorów i uników. Przeciwko sobie miały Tłustą Ingę, która nieustannie węszyła, by się zemścić.

Mimo obaw Pierre okazał się bardzo, jak na swój wiek, pojętym dzieckiem. Wiedział, że gdy trzeba milczeć, to ma być cicho i koniec. Spędzał całe dni ukryty między walizkami, a Milena i Wanda codziennie przenosiły go w inne miejsce, wykorzystując różne zakamarki, które powstały w magazynach „Kanady”, gdy próbowano upchać ogrom zgromadzonego tam dobytku. Obie kobiety starały się także utrzymać Pierre’a w odpowiedniej formie, podrzucając mu jedzenie znajdowane w ubraniach. Jednak nie było lekko. Czasami Pierre musiał się zadowolić kromką czerstwego chleba. Wkrótce malec stał się ulubieńcem Wandy, która w radomskim getcie zostawiła córkę w jego wieku i nie wiedziała nawet, czy jej własne dziecko żyje. Pokochała chłopczyka tak wielką miłością, że Milena zaczęła się bać, czy Wanda nie targnie się na swoje życie, gdyby, nie daj Boże, Pierre’owi przytrafiło się coś złego. Jednak Wanda nie traciła czujności. Wierzyła, że uratuje malucha.

Musiała uważać przede wszystkim na Tłustą Ingę.

Plotka, że w magazynie ukrywa się dziecko, dała okrutnej kapo dodatkowy bodziec do działania. Nie wiadomo, kto ją rozpowszechnił. Może ktoś usłyszał, jak głodny Pierre płakał, a może więźniarki zauważyły, że Milena i Wanda pilnie zbierały jedzenie, którego nie wносиły już do obozu? Pogłoska była niesłychana i właśnie dlatego Inga postanowiła ją sprawdzić: nieprawdopodobne plotki zawierają zawsze jakieś ziarenko prawdy. Nawet jeśli nie znalazłaby dziecka, to przynajmniej zdobyłaby dowody, że Milena i Wanda wynosiły z „Kanady” jedzenie, co było absolutnie zakazane. SS patrzyło przez palce, gdy więźniarki na miejscu zjadały to, co znalazły. Ale szmugiel był surowo karany. Szefowa pola kobiecego w Birkenau Maria Mandel zarządziła przecież wielką stójkę w odwecie za wynoszenie brukwi

z obozowej kuchni. Podobna afera w komandzie *Weisskapchen* miałyby dokładnie takie same skutki. Inga chciała przede wszystkim zobaczyć, jak Weimert cierpi po utracie swojej Żydówki.

* * *

Babsztyl zaczął węszyć. Jednak jej aktywność pobudziła też całe komando. Inga wszędzie wtykała nos, więc natychmiast wzmocniła czujność wszystkich więźniarek, które jej szczerze nienawidziły. Więźniarki z komanda zdawały sobie sprawę, że Inga nie darowała Milenie upokorzenia, jakiego doznała za jej przyczyną. Z tego powodu robiły tłustej kapo na złość i utrudniały jej szpiclowanie, nieustannie ją odciągając od Mileny albo robiąc sztuczny tłum w miejscu, w którym akurat się zjawiała. To niesłychanie utrudniało jej zadanie. Mimo to zajadłe szukała, jak drapieżnik wychodzący na żer. Szukała tego hipotetycznego dziecka wśród stert walizek, walizeczek, torebek i plecaków, wśród stosów posegregowanych koszul, marynarek, spodni i eleganckich sukienek. Po bezskutecznych poszukiwaniach babsztyl zaczął się denerwować i przestał się kryć. Współwięźniarki doniosły Milenie, że Inga czegoś szuka w magazynie „Kanady” i żeby dziewczyna uważała, co robi. Milena powiedziała o tym Wandzie i obie ukryły Pierre’a jeszcze dokładniej, w miejscu, w którym nikt nie spodziewałby się znaleźć dziecka.

W końcu do Tłustej Ingi uśmiechnęło się diabelne szczęście. Po południu ukryła się w stosie ubrań i w ten sposób mogła śledzić, co działo się w komandzie. Weimerta wezwano po coś do komendantury. Tego wieczoru Inga zauważyła, że Milena zabrała pół bochenka chleba znalezionego w tobołach i wyszła z baraku w stronę latryny. Gdy upewniła się, że nikt nie ubezpiecza Mileny, wygramoliła się spod stert ubrań i podczołgała, żeby sprawdzić, po co dziewczyna niosła chleb do latryny. Pomyślała, że Milena jest bardzo sprytna, jeśli ukryła to dziecko w takim miejscu. Inga wcześniej tam nie zajrzała. Przez myśl by jej nie przeszło, że można kogoś ukryć w sraczu.

Milena zamknęła za sobą drzwi do latryny i po kilku chwilach wyszła bez chleba. To niemożliwe, żeby ta suka zjadła pół bochenka

w kiblu, pomyślała Inga. Na pewno ktoś się tam ukrywa. Miała piekielną ochotę tam pójść i zabić tego bachora na miejscu. Jednak skończył się kolejny dzień pracy w magazynie i Inga jako funkcyjna musiała odprowadzić komando z powrotem do Birkenau. Postanowiła następnego dnia rano zameldować o tym, co widziała, przełożonemu Weimerta, *SS-Oberscharführerowi* Theodorowi Kratzerowi.

* * *

Kratzer nie wziął jej na serio. Inga miała opinię wścieklej, zdegenerowanej, notorycznej kłamczuchy. W utrwaleniu takiego wizerunku Ingi pewną rolę odegrała kara wymierzona jej za próbę oszukania Weimerta. Poza tym Theodor Kratzer miał na głowie koordynowanie wywozu do Rzeszy ubrań i innych dóbr rabowanych Żydom w obozie. Opowiadanie Ingi o dziecku ukrywającym się wśród stert ubrań w „Kanadzie” było zbyt nieprawdopodobne.

– Co o tym sądzisz? – zapytał swego kolegę i podwładnego.

– To niemożliwe – odparł Weimert.

– Ja też tak uważam – przyznał Kratzer.

Wówczas Inga zaczęła się gwałtownie upierać przy swojej wersji, żądając, by przeszukano wszystkie kąty obok miejsca, gdzie będą pracowały więźniarka dziewiętnaście siedemdziesiąt oraz lekarka komando, Żydówka Zygielbojm.

– Mówiłaś, że to dziecko było wczoraj w latrynie? – zapytał podejrzliwie Weimert. – Myślę, że chcesz z nas zrobić głupków. Jakim cudem w „Kanadzie” może znajdować się dziecko? Pomyśl logicznie, tłusta wydoro.

Inga popatrzyła na niego z nienawiścią, ale i ona postanowiła rozegrać tę partię po swojemu.

– Tak, widziałam, jak więźniarka dziewiętnaście siedemdziesiąt wniosła wczoraj do latryny pół bochenka chleba – odparła Inga.

– Czyli nie widziałaś dziecka? – dociekał Weimert.

– Nie, nie widziałam, bo ono było tam ukryte. Po co chować w sraczu chleb, skoro można go zjeść na miejscu? – pytała Inga – Właśnie dlatego twierdzę, że te dwie Żydówki ukrywają

w „Kanadzie” żydowskie dziecko.

– To za mało – przekonywał Weimert.

– Jestem pewna, *Herr Unterscharführer*, że to dziecko zostało ukryte w pobliżu tych dwóch więźniarek. One utrzymują to dziecko przy życiu i mają je na oku. W latrynie ukrywały je przede mną, kiedy szukałam dowodów przestępstwa. Trzeba przeszukać całą „Kanadę”.

– Najpierw mówisz, że trzeba przeszukać jedynie sterty łąchów obok nich, a teraz całą „Kanadę”. Czy nie widzisz, że mamy tutaj inne, ważniejsze sprawy do roboty niż sprawdzanie twoich kłamstw? – wycedził wściekle Weimert.

– Ja nie kłamię. Te dwie ukryły dziecko w „Kanadzie”. Jestem tego pewna – upierała się Inga. – Dlaczego pan nie chce uznać, że mówię prawdę? Przecież nie możemy ukrywać żadnego żydowskiego dziecka. To trzeba sprawdzić.

– To prawda – powiedział Kratzer.

– Tracimy tylko czas – przekonywał Weimert. – Nie będę tego słuchał. Muszę stąd wyjść, bo mnie szlag zaraz trafi.

Franz zniknął na piętnaście minut. Inga posłała mu jedynie pełne nienawiści spojrzenie, gdy opuszczał barak. W głębi duszy Weimert był bardzo zaniepokojony. Inga nastawała na życie Mileny. To było jasne. Jeżeli jednak jego Milena popełniła to szaleństwo i ukryła w „Kanadzie” dziecko, wiedział, że nie zdoła jej uratować. Miał jedynie wątłą nadzieję, że opowieść tłustej kapo nie jest prawdą. Gdyby znaleźli dziecko, będą musieli je zabić oraz natychmiast stracić dwie więźniarki oskarżone o jego ukrycie: Wandę i Milenę. Musiał mieć pięć minut, żeby przekonać się o prawdziwości zarzutów Ingi. Kochał Milenę bardziej niż kogokolwiek na świecie, więc wiedział, co powinien zrobić, gdyby jednak babsztyl nie mijał się z prawdą.

Przekomarzanie się z kapo zostawił Kratzerowi. Znał go zbyt dobrze. Wiedział, że jego przełożony chciał mieć przede wszystkim święty spokój, żeby móc bez przeszkód „organizować” zaopatrzenie swojej rodziny oraz przyjaciół w Niemczech.

Tymczasem Inga dalej przekonywała Kratzera.

– Jestem pewna, że dziecko z żydowskiego transportu jest w magazynie. Jeżeli nie przeszukacie „Kanady”, zawiadomię Gestapo. Oni przetrząsną „Kanadę” szmata po szmacie.

Kratzer nie lubił, gdy obozowe Gestapo weszło w jego rewirze. Gdyby tu weszli, wszyscy mogli mieć nieprzyjemności. Chciał, żeby Wydział Polityczny trzymał się jak najdalej od jego małego złotego interesu.

– Dobrze – powiedział. – Zarządę przeszukanie magazynu.

Weimert wrócił po piętnastu minutach do baraku. Kratzer oznajmił mu, że będzie przeszukanie. Choć decyzja była bardzo nie w smak Franzowi, Weimert zrobił obojętną minę i ją poparł.

– Módl się, suko, żeby to była prawda – zasyczał Weimert, spoglądając na Inge.

Jednak ona bezczelnie się uśmiechała.

– Ależ to jest prawda, *Herr Unterscharführer*. Więźniarka dziewiętnaście siedemdziesiąt ukrywa w „Kanadzie” dziecko.

I ja je znajdę.

Inga z triumfem wyszła wykonać rozkaz Kratzera, który wstał, nałożył czapkę i wyszedł z baraku. Całe komando miało szukać w „Kanadzie” dziecka. Inga przystąpiła do zadania ze z góry obmyślonym planem. Nie chciała działać chaotycznie i sugerowała esesmanom, żeby przeszukać magazyn kawałek po kawałku oraz oddzielić od reszty więźniarek Milenę i Wandę. Wówczas nie mogłyby przenieść dzieciaka w inne, sprawdzone już miejsce, bo tylko one wiedziały, gdzie się ukrywał.

* * *

Wszystkie więźniarki wezwano na specjalny apel na terenie „Kanady”. Jako ostatnia w szeregu stanęła Milena. Inga natychmiast się na nią rzuciła:

– Gdzie byłaś, suko?

– W latrynie. Sikałam – odpowiedziała Milena.

– Sikałaś? No to sprawdzimy te twoje szczochy.

– Możesz sprawdzić – odparła Milena. – Tylko się nie pobrudź.

Inga ryknęła z wściekłości i natychmiast powędrowała do latryny. Chwyliła jakiś kij i na oczach obydwu esesmanów oraz

całego komanda sprawdziła to miejsce. Nic nie znalazła.

– Przeniosłaś je – zasyczała kapo. – Ale ja znajdę bachora.

Milena spojrzała na Weimerta. Jego twarz pozornie nie zdradzała żadnych emocji, ale Milena już wiedziała, że pod tą maską kryje się pełen sprzeczności człowiek – surowy strażnik i morderca, który uratował jej życie i który ją kochał. Milena była pewna, że nie będzie szukał zbyt gorliwie. Ale zagrożenie stanowiła przede wszystkim wściekła Inga. Ona naprawdę chciała odnaleźć dziecko. Jej triumf byłby wówczas całkowity, a zemsta pełna.

Nie starczyło już czasu, żeby schować Pierre'a w bezpiecznym miejscu. Milena zaczęła się teraz naprawdę modlić. Wiedziała, że jeśli Indze się powiedzie, to jej życie oraz istnienie Pierre'a i Wandy będą skończone. Błagała w duszy Boga, żeby Niemcy nie przyprowadzili psa, bo wtedy będą zgubieni. Zwierzę wytresowane w dręczeniu ludzi z pewnością znalazłoby chłopczyka.

* * *

Gdy po trzech godzinach nie natrafiono na dziecko, Weimert, widząc, że jego przełożony Theodor Kratzer zaczynał tracić cierpliwość, zaproponował zakończenie tych bezcelowych poszukiwań. Na terenie magazynu nie ma żadnego dziecka, przekonywał Weimert. Powiedział Kratzerowi, że Tłusta Inga koloryzowała. Jednak wściekła kapo upierała się dalej przy swojej wersji.

– Tutaj jest dziecko...

I wtedy wszyscy usłyszeli płacz dziecka. Milena poczuła gwałtowny skurcz w gardle. Wszystko stracone, pomyślała. Tłusta Inga triumfowała. Niczym wściekły pies rzuciła się na gigantyczną górę ubrań, z której dobiegał płacz. Wszystkie więźniarki obserwujące tę scenę zamarły z przerażenia. Weimert posłał Milenie lodowate spojrzenie. Nie będzie miał wyboru. Zabije ją, a potem siebie.

Nagle Inga chwyciła za rączkę małą ludzką postać, jaka wyłoniła się ze sterty babskich kiecek, i w zwycięskim geście uniosła znalezisko w górę. Babsztyl wrzeszczał z radości, tak bardzo był pewien, że odnalazł ukrywane w „Kanadzie” żydowskie

dziecko. Wszyscy na moment osłupieli, ale po chwili Theodor Kratzer zaczął się śmiać. Z początku śmiał się jak ktoś, kto usłyszał przedni dowcip, ale potem zaczął dziko rechotać, jak gdyby ujrzał najzabawniejszą scenę w życiu. Ale innym nie było do śmiechu. Milena natomiast poczuła ogromną ulgę. O mały włos, pomyślała, i skończyłoby się życie moje, Wandy i chłopca.

Okazało się, że Inga trzymała w potężnej dłoni płaczącą lalkę. Była to duża, piękna zabawka z wbudowaną pozytywką. Może chłopiec, nie mając nic innego, bawił się nią w nocy, kiedy magazyn pozostawał zamknięty? Może przez przypadek ją włożył w stertę ubrań? Milena, widząc lalkę w ręku swego śmiertelnego wroga, zrozumiała, że Inga się ośmieszyła. Miała wrażenie, że jej modlitwa została wysłuchana. Tak jakby nieme do tej pory Niebo tym razem zareagowało i zesłało tę zabawkę na zgubę podłemu babsztylowi.

Inga dopiero po chwili dostrzegła swą pomyłkę. Zaczęła złorzeczyć Milenie i przeklinać wszystkich wokół. Wtedy Weimert nie wytrzymał. Dopadł ją i wymierzył potężny cios w brzuch. Inga przewróciła się na ubrania. Wiedziała, że nie może mu oddać. Uderzyć esesmana to jak wykopać sobie grób. Weimert skopał ją jak psa.

– Po raz drugi mnie oszukałaś, ty suko! – wrzeszczał, wymierzając karę.

– Ona ma dość, Franz. Wyrzucimy ją stąd na zbity pysk – zaproponował Kratzer.

Weimert się zgodził. Przez tyle miesięcy marzył o tym, żeby pozbyć się tej wściekłej dziwki z komanda. Teraz nadarzyła się okazja. Weimert miałby ochotę zastrzelić Ingę na miejscu, ale wiedział, że tłusty babsztyl ma plecy. Jej kochanek Schillinger był jednym z najbrutalniejszych esesmanów w Birkenau. Jemu nie należało wchodzić w drogę. Tak więc rozprawa między Weimertem a Ingą została tylko odłożona w czasie.

* * *

Milena długo płakała. Wszystko kosztowało ją masę nerwów. Nawet Wanda, która wydawała się na co dzień osobą zrównoważoną i pogodzoną z losem, bardzo przeżyła to

przeszukanie. Chciała przenieść chłopca do obozu męskiego w Birkenau. Milena jej to wyperswadowała. Zbyt wielkie ryzyko. Chłopiec musiał zostać w „Kanadzie”, ponieważ teraz był tutaj względnie bezpieczny. Więźniarki doszły do wniosku, że esesmani wystawieni na pośmiewisko przez Tłustą Ingę nie będą już szukali dziecka w przepastnych magazynach. Po rewizji obie kobiety długo go szukały. Chłopczyk sam się znalazł. Wyszedł spod sterty dziecinnych ubranek. Pierre był przekonany, że trwała wspaniała zabawa w chowanego.

– Nie mogę powiedzieć, gdzie się ukryłem.

– Dlaczego? – zapytała Wanda, naprawdę szczęśliwa, że go widziała.

– Bo to sekret.

Miejsce, w którym chłopczyk przetrzymał rewizję, miało pozostać tajemnicą jeszcze przez jakiś czas.

* * *

Pierre przeżył Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Ale kiedy spadły śniegi i temperatura obniżyła się do minus piętnastu stopni, zapadł na ciężkie zapalenie płuc. Wysoka gorączka trawiła małe ciało. Styczność z małym pacjentem miała tylko Wanda. Milena i inne więźniarki, które wszystkiego się domyślały, kryły ją, jak mogły. Po dwóch tygodniach rozpaczliwej walki o życie chłopiec odszedł tak cicho, jak żył. Milena pomyślała, że miał dobrą śmierć, bo umarł w objęciach kogoś, kto go kochał. Tymczasem tysiące istnień ginęły w tym obozie bez odrobiny współczucia, w krańcowym, straszliwym upodleniu.

Teraz Milena musiała się zaopiekować Wandą, której rozpacz po śmierci chłopca nie da się wyrazić słowami. Ale Wanda była twarda. Straciła najprawdopodobniej swoją córkę w getcie radomskim, a teraz utraciła Pierre'a. Po ludzku zrobiła wszystko, co mogła, żeby uratować mu życie, ale nawet to „wszystko” nie mogło go ocalić. Wandzie pomogła jej nienawiść do Niemców. Chciała dalej żyć wbrew wszystkiemu. Chciała nadać jakiś sens śmierci chłopczyka. Chciała go pomścić i wierzyła, że kiedyś

nadejdzie dzień odpłaty.

Obie kobiety musiały się zastanowić, co zrobić z ciałem. Ziemia była tak zmrożona, że nie dało się wykopać grobu. Chłopczyk nigdy nie został wciągnięty do ewidencji obozowej. Nie miał numeru. A skoro go nie miał, to formalnie nie istniał. Milena, nie mając wyjścia, postanowiła zdać się na Weimerta. Któregoś wieczoru podczas sprzątanego w jego baraku powiedziała mu prawdę. Przemogła się, bo nie ufała Niemcowi do końca. Ale on bardzo docenił jej szczerłość. Przy okazji Milena dowiedziała się prawdy o dniu, w którym odbyło się przeszukanie.

– Jak umarł? – zapytał Weimert.

Dziewczyna natychmiast zauważyła, że nie wyglądał na osobę zaskoczoną wiadomością, że chłopiec faktycznie ukrywał się w „Kanadzie”.

– Na zapalenie płuc – odpowiedziała Milena.

– Ciało nie może tutaj zostać – stwierdził.

– Wiem i dlatego do pana przyszłam.

Nawet nie przypuszczała, że te słowa przyjdą jej z taką łatwością. Zdała sobie sprawę, że do śmierci można się przyzwyczaić, ale wyłącznie cudzej, nigdy własnej. Spojrzała na Weimerta i w jego oczach znów dostrzegła coś, co ją zaskoczyło. Weimert współczuł temu martwemu dziecku.

– Szkoda, że mu się nie udało – westchnął po chwili.

Wtedy Milena wszystko zrozumiała. Weimert wiedział o dziecku przez cały czas, nawet wtedy, gdy Tłusta Inga szalała. Milena była pewna, że Pierre znajdował się wtedy w stercie ubrań, której dopadła kapo, dlatego pomyślała wówczas, że wszystko jest skończone. Skąd wzięła się tam ta lalka, nie mogła odgadnąć. I nagle wszystko stało się jasne.

– Pan to zrobił... To pan go ukrył.

Weimert nie odpowiedział. Sięgnął do leżącej na stole paczki francuskich papierosów, wyciągnął jednego i zapalił. Zaciągnął się. Jego milczenie było najprostszą z odpowiedzi. Franz poczuł się idiotycznie, kiedy Milena dowiedziała się prawdy. Rozstrzeliwał ludzi na żwirowisku, a teraz miał spowiadać się z tego, jak

próbował ratować żydowskiego chłopca. Zaciągnął się raz jeszcze, po czym spokojnie powiedział:

– Schowałem go w jedynym bezpiecznym miejscu, czyli w latrynie dla SS. Wiedziałem, że ukrywacie chłopca. Ja też obserwuję, co robisz. Pragnę codziennie na ciebie patrzeć. Bez trudu odgadłem, co się dzieje. Chłopca odnalazłem, wyciągnąłem z tych łąchów i zaniósłem do ubikacji, do której mogą wejść tylko dwie osoby: ja i Kratzer. Lalkę zabrałem z luksusowych rzeczy, które miały pojechać do niemieckich rodzin. Nastawiłem pozytywkę i włożyłem zabawkę w tę samą stertę łąchów, w której wcześniej leżał ten chłopiec. Z początku bardzo się mnie bał, ale wytłumaczyłem mu, że bawimy się w chowanego i że musi zachować całkowitą ciszę, bo wszyscy zaraz zaczną go szukać. Sama wiesz, jak to się skończyło...

Jakby przeczuwając jej myśli, powiedział:

– Nie zrobiłem tego dla dziecka, tylko dla ciebie. Wiesz o tym.

Milena podziękowała mu i zawstydzona, że tak bardzo źle o nim myślała, skierowała się do drzwi. Wówczas Weimert ją zapytał:

– Jak on miał na imię?

– Pierre – odrzekła Milena.

– W sam raz dla francuskiego chłopca.

Wieczorem, kiedy komando kobiece wracało z powrotem do Birkenau, Weimert wezwał potajemnie jednego z więźniów pracujących w obozowym krematorium. Więzień nawet się nie domyślił prawdy. Dla niego to był tylko jeden trup więcej. Ciało Pierre'a spłonęło wraz z innymi zwłokami tej samej nocy.

Rozdział XXVII

STOLARZ Z KRAKOWA

W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w Birkenau do użytku oddano wielką komorę gazową i krematorium oznaczone numerem drugim. Pięć trzyretortowych pieców mogło pracować praktycznie całą dobę, z przerwą na odżużlowanie. Do komory można było wpełznąć nawet dwa tysiące osób. Bliźniaczą komorę gazową i krematorium numer trzy planowano oddać do użytku w czerwcu, podobnie jak dwa mniejsze krematoria, oznaczone numerami cztery i pięć. Możliwości masowego zabijania ludzi potroiły się w stosunku do dwu pierwszych komór gazowych, „białego i czerwonego domku”.

Wczesną wiosną Franz dalej chodził na popijawy do Guntza. Chociaż pijaństwo nie sprawiało mu już takiej przyjemności jak przed paroma miesiącami, bywał tam po części z przyzwyczajenia, a po części z wyrachowania. Chciał być w dobrych stosunkach z ludźmi, którzy mogli stać się jego wrogami w przypadku, gdyby do Gestapo dotarły plotki o tym, że faworyzuje Żydówkę. Teraz przyznawał przed sobą już bez skrępowania, że jest zakochany w tej żydowskiej dziewczynie i że nie będzie można tego na dłuższą metę utrzymać w tajemnicy.

Franz czuł się jednak bezpieczniejszy, kiedy pił alkohol z Guntzem, zimnym i cynicznym Perym Broadem oraz nowym kumplem Guntza, głównym projektantem z biura architektonicznego SS odpowiedzialnego za rozbudowę obozu w Birkenau, *Hauptsturmführerem* Walterem Dejaco. Architekt, podobnie jak Franz i Kurt Guntz, był Austriakiem, więc rozmowa toczyła się wartko. Nie ma przecież nic przyjemniejszego niż spotkanie dwóch krajanów przy wódeczce w nieprzyjemnym miejscu. Esesmani pili nie tylko dlatego, że to była wręcz rozkosz po ośmiogodzinnym mordowaniu innych ludzi, lecz także dlatego, żeby roztoczyć wokół siebie niewidzialną barierę odpowiedzialności. Dejaco był na początku marca obecny przy rozpaleniu pieców

w krematorium numer dwa oraz próbnym spaleniu tam zwłok. Pracownicy niemieckiej firmy Hoch und Tiefbau wybudowali komorę gazową wraz z potężnymi wentylatorami pod ziemią. Teraz usuwanie gazu miało trwać około pół godziny. Dejaco chwalił się, że to naprawdę porządna instalacja. Hala pieców została połączona z komorą windą do przewożenia zwłok. Dach hali pieców pokryto ozdobną i elegancką czerwoną dachówką.

Gdy Franz usłyszał, że do końca czerwca czterdziestego trzeciego planowano oddać do użytku trzy pozostałe komory gazowe i krematoria, zdał sobie sprawę, że obóz Birkenau wkrótce stanie się jeszcze bardziej przerażającym miejscem.

* * *

Następnego dnia po popijawie przyszedł do Franza list od matki. Niepokoili się, że syn tak rzadko pisał do domu. W gruncie rzeczy dalej żyła w małomiasteczkowym świecie, praktycznie nie dotkniętym jeszcze przez wojnę. Przeczytał list dwa razy i rzucił niedbale w kąt. Odniósł nieprzyjemne wrażenie, że papier go parzył. Nie mierzyła go zwykła matczyzna troska, ale to, że matka, ojciec, chorowita babcia i kaleki brat żyli w świecie najbardziej nierzeczywistym z możliwych. Niemcy w swoich miastach, z daleka od grozy Auschwitz i innych obozów śmierci, trwali w trudnej do pojęcia schizofrenii. Gdyby Franz opowiedział im, że był bezpośrednim świadkiem masowego mordowania ludzi, nikt w rodzinie by mu nie uwierzył. Dla jego rodziny świat Hitlera był najlepszym ze światów, jakie stworzono.

Uczucie do żydowskiej więźniarki otworzyło Weimertowi oczy na rzeczy, których wcześniej nie dostrzegał. Od zimy czterdziestego drugiego roku coraz częściej się zastanawiał, co będzie z tą niemiecką wojną. Klęski pod Stalingradem nie dało się utrzymać w tajemnicy i wszyscy Niemcy w obozie wiedzieli, że szósta armia padła pod naporem pogardzanych bolszewików. Skoro wiedzieli o tym Niemcy, to siłą rzeczy musieli się o tym dowiedzieć i więźniowie. Franz tej wiosny zadał sobie po raz pierwszy pytanie, co będzie z nim po wojnie. A może to być przegrana wojna.

Zbliżała się Wielkanoc tysiąc dziewięćset czterdziestego

trzeciego roku. W warszawskim getcie wybuchło powstanie. Idący na śmierć Żydzi woleli zginąć z bronią w ręku, niż być pędzeni do komór gazowych jak zwierzęta na rzeź. W tym czasie Franz zastanawiał się, jak powinien odpisać matce. Wypadało mu przecież wysłać do domu kartkę z życzeniami. Mógł pojechać na urlop do Drasenhofen, ale nie chciał zostawić Mileny samej. Zresztą co miał napisać rodzicom? Mamo, tato, życzę wam udanych świąt wielkanocnych, ale nie mogę przyjechać, bo jestem mordercą? Chciał się komuś zwierzyć, uznał jednak, że rodzina go nie zrozumie. Oni żyli w zamkniętym i sterylnym świecie wiary w zwycięstwo Niemiec. On widział tę wojnę inaczej niż oni. Podejrzewał, że jego korespondencja może być czytana przez obozową cenzurę. Gdyby do Gestapo dotarły już plotki o opiece nad żydowską dziewczyną, miałyby dodatkowe kłopoty. Napisał więc bajeczkę, że ich bardzo kocha, tęskni, ale nie może przyjechać z uwagi na odpowiedzialną służbę na froncie walki wewnętrznej z wrogami Niemiec. Był pewien, że taki pusty, idiotyczny ton zostanie dobrze odebrany przez rodzinę.

* * *

W dalszym ciągu pisał liściki do Mileny. Taka forma porozumiewania się była znacznie bezpieczniejsza i zdecydowanie mniej rzucała się w oczy niż uparte codzienne wezwania, żeby sprzątała w baraku administracyjnym. Nie pisał do niej wprost o swoich szczerych uczuciach, choć przemilczanie ich sprawiało mu ból i kosztowało go wiele wysiłku. Jego zmagania z samym sobą były jednak niczym w porównaniu z napięciem codziennej walki o życie, jakie ona przeżywała. Wiedział, że chce być bliżej niej, tak blisko, jak to było możliwe. Dlatego zwrócił się do Theodora Kratzera o przeniesienie całego komanda kobiecego do organizowanej w Birkenau nowej, jeszcze większej i potężniejszej „Kanady” oznaczonej numerem drugim. Przełożony też miał zamiar się tam przenieść i zabrać ze sobą Franza. Kratzer nie widział w tej prośbie nic niestosownego. Zgodził się. To była dobra wiadomość. Jednak Franz nie miał złudzeń, że Milena go pokocha, ponieważ w gruncie rzeczy za co miałyby go kochać? Był jej wrogiem, więc

utrzymywała z nim kontakt jedynie po to, żeby przeżyć. Nie miała o to pretensji. Dla niego stała się światłem i ciemnością, porankiem i zachodem słońca, odpoczynkiem i spokojem. Stanowiła sens jego życia w Auschwitz. Postanowił więc, że będzie ją ochraniał do końca, dopóki starczy mu sił. Pragnął, żeby przeżyła. Łudził się, że może po wojnie zabierze ją i razem zamieszkają, ale kiedy przychodziło otrzeźwienie, wiedział, że to były mrzonki. Była największą miłością jego życia i Franz wiedział, że miała już na zawsze pozostać miłością niespełnioną. Mimo to nie rezygnował z prób porozumienia się z dziewczyną. W kwietniu czterdziestego trzeciego roku pisał do niej:

**JEŻELI JEST COŚ, CO MOGĘ DLA CIEBIE ZROBIĆ, TO
POWIEDZ MI. CHCE, ŻEBYŚ WIEDZIAŁA, ŻE NICZEGO
CI NIE ODMÓWIĘ**

Pisząc te słowa, Franz nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, że Milena potraktuje je dosłownie. Wiedziała, że dzięki jego uczuciu będzie miała większe szanse na przeżycie i wypełniała w tej materii prośby Wandy Zygielbojm. Postanowiła, że swoje stosunki z Weimertem wykorzysta dla dobra innych więźniów.

* * *

Czternastego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku do Auschwitz przywieziono dwa tysiące Żydów z likwidowanego przez Niemców getta w Krakowie. Selekcję przeszło nie więcej niż pięćset osób, a pozostałych zabito w komorze gazowej numer dwa. Pośród tych, którzy trafili do obozu, było rodzeństwo, Zyta i Chaim Cwigerowie. Ona miała dziewiętnaście lat, on był o trzy lata młodszy. Cwigerowie byli niezamożnymi krakowskimi Żydami. Przed wojną ich rodzina żyła z warsztatu stolarskiego. Do tego zawodu przyuczał się także młody Chaim, zwany pieszczotliwie Henryczkiem. Do Auschwitz przyjechali z rodzicami, ale im nie udało się przejść selekcji. Rodzeństwo zostało rozdzielone. Chłopak został wysłany do kopalni węgla w Jawiszowicach, gdzie znajdował się podobóz. Zyta Cwiger trafiła natomiast do komanda kobiet segregującego ogromne ilości

wszelkich dóbr w pierwszej „Kanadzie”. Jedna z więźniarek, której Zyta zwierzyła się, że bardzo boi się o los młodszego, zaledwie szesnastoletniego brata, poradziła jej, by prosiła o pomoc Milenę. Nie wyjaśniła jednak dlaczego. Powiedziała jej tylko, że Milena to dobry człowiek. Dziewczyna wiedziała, że rodzice nie przeszli selekcji, a więźniarki z komanda nie pozostawiły jej złudzeń co do ich losu. Zyta miała zatem już tylko brata, słabego i chorowitego. Zwróciła się więc do Mileny z błaganiem o pomoc.

Słyszac prosbę Zyty Cwiger, Milena bardzo się zdenerwowała. Nie mogła bez przerwy prosić Weimerta o pomoc. To było niebezpieczne i dla niej, i dla niego. Jednak Zyta nie ustępowała. Była śmiertelnie przerażona miejscem, do jakiego trafiła. Błagała Milenę o pomoc, jak tonąca osoba chwytala się kazdej rzeczy, mogacej dac namiastkę nadziei, że nie utonie. Lezał jej na sercu tylko los brata. Rozmawiały po polsku, poniewaz Milena podszkalana przez Wandę Zygielbojm radziła sobie z tym językiem coraz lepiej. Słowacki był przecież bardzo podobny do polskiego.

– Nie wiesz, jaki on jest jeszcze dziecinny – mówiła Zyta. – Niewinny i łatwowierny. Słyszałam o tym, co się dzieje w obozie męskim z młodymi chłopcami. On tego nie przeżyje. Błagam, jeśli możesz mu pomóc, nie wahaj się. Ja nie mam nic, żeby ci dać.

– Ja jestem taką samą więźniarką jak ty – broniła się Milena.
– Nic nie znacę. Nie mogę ci pomóc, przykro mi.

– Możesz pomóc, bo dziewczyny w „Kanadzie” mówią, że ten esesman cię kocha.

– Milcz, głupia – strofowała dziewczynę Milena.

Wiedziła, że wszyscy plotkowali o niej i o Weimerce.

Stosunek Weimerta do niej, szczególnie po tym, jak Tłusta Inga, postrach komanda, wyleciała po aferze z lalką, jasno pokazywał, że esesman jest prawdziwie zakochany. Wszyscy więźniowie słyszeli o nim, że ma dobre układy w komendanturze. W obozie macierzystym widywano go wesoło rozmawiającego z brutalnym esesmanem z obozowego Gestapo, Broadem. Nawet takie pogłoski dawały nadzieję różnym zdesperowanym osobom, takim jak Zyta Cwiger.

Przez chwilę w milczeniu przerzucały walizy. Milena wiedziała, że Weimert siedział na krześle przed barakiem administracyjnym, popijał lemoniadę i udawał, że dogląda komanda, a w rzeczywistości patrzył na nią. Milena świetnie rozumiała, że praca w magazynie dawała minimalnie większe szanse na przetrwanie niż w jakimkolwiek innym miejscu. Pracując tu, stawała się świadkiem zagłady jej narodu. Wszystkie te walizy oraz to, co wysypywało się na ziemię po ich otwarciu – fotografie, pamiątki rodzinne, ubrania wszelkiego rodzaju i rozmiaru, sztucce, kubki, talerze, waluta, buty i ogromna liczba drobiazgów, które teraz wydawały się zupełnie absurdalne, były niemymi pamiątkami po tych, których zabito. Te przedmioty nieustannie utwierdzały Milenę w przekonaniu, że nie może nigdy zapomnieć o tym, że Niemcy w Auschwitz zabijali jej naród. Wszyscy więźniowie szybko dowiedzieli się o nowych piecach w Birkenau. Milena czuła grozę na myśl, że trafia tam tak wielu ludzi. A teraz miała niepowtarzalną okazję uratować młodego żydowskiego chłopca. Wyrwać jedno życie tej maszynie nieustannie pożerającej ludzi, jaką stał się obóz Birkenau, to była wielka rzecz. Po chwili Milena podjęła decyzję.

– Jak twój brat się nazywa? – zapytała.
– Henryk... Chaim Cwiger – poprawiła się dziewczyna.
– Nie wiesz, gdzie jest teraz?
– Nie, nie wiem. Ale on uczył się w getcie na stolarza. Może się teraz komuś przyda. W getcie stolarze mieli status niezbędnych...
– Niezbędnych? – Milena popatrzyła z ironią na dziewczynę. – Tutaj wszyscy Żydzi są zbędni. Przed wojną na Słowacji mój ojciec był prawnikiem i też nie był nikomu potrzebny.

Milena wiedziała, że w Auschwitz o martwych nie należało już dbać. Należało, jeśli to tylko było możliwe, dbać o żywych. W obozie dużo trudniej było uwierzyć w życie niż w śmierć, ponieważ śmierć wydawała się wszechwładna i wszechobecna. Wyrwać jedno życie tej bestii to pogardzić śmiercią. I również z tego powodu Milena postanowiła zawalczyć o to jedno życie.

– Postaram się coś załatwić, ale niczego nie obiecuję.

Zyta Cwiger po raz pierwszy od przybycia do obozu uśmiechnęła się, ponieważ ktoś ukazał jej promyk nadziei.

* * *

Coraz częściej Milena pisała karteczki do Weimerta i pozostawiała je w różnych miejscach „Kanady”. Zaczęła traktować te karteczkowe konwersacje z Weimertem jako coś normalnego, przypisanego do porządku dnia. Prowadząc je, nigdy nie zapominała, kim była w obozie ona i jaką funkcję pełnił w nim on. Aby pomóc Zycie Cwiger w odnalezieniu brata, napisała do Weimerta:

**CHAIM CWIGER LAT SZESNAŚCIE Z KRAKOWA. CZY
MÓGŁBY GO PAN PRZENIEŚĆ DO LŹEJSZEGO
KOMANDA?**

Wiadomość ta wywołała irytację Franza, toteż tego samego dnia odpowiedział na jakimś świstku. Przeszedł obok niej, kiedy na klęczkach segregowały z Wandą kobiece bluzki, i rzucił karteczkę na stos białych ciuchów.

**CO TOBIE DO TEGO CZŁOWIEKA? ZNASZ GO? TO
NIEBEZPIECZNE PRZENOSIĆ Z KOMANDA DO
KOMANDA. ZBYT WIELU TRZEBA PRZEKUPIĆ.**

Milena była jednak zdecydowana pomóc chłopcu i spełnić prośbę dziewczyny, której dała nadzieję, dlatego nie bacząc na trudności, jakie na pewno napotka esesman, odpowiedziała tego samego dnia, sprzątając latrynę dla SS. Zostawiła w niej tę samą karteczkę z pytaniem na odwrocie:

CZY MOŻESZ TO ZROBIĆ DLA MNIE?

Weimert trochę się nadał, ale po przeczytaniu drugiej karteczki od Mileny wparował nagle do baraku, w którym pracowała dziewczyna, i powiedział głośno:

– Dobrze, zgadzam się na przeniesienie nowych kobiecych bluzek do następnego transportu do Rzeszy.

Wiedziała, że sam się tym zajmie. Zdołali wyksztalić osobliwy kod porozumiewania. Weimert mógł mówić o jej obowiązkach

w komandzie, a Milena domyślała się ukrytego znaczenia. Ale nawet ona nie przypuszczała, ile zachodu kosztowało Weimerta przeniesienie człowieka z jednego komanda do drugiego.

* * *

Korupcja wśród esesmanów w Auschwitz była bardzo powszechna, chociaż przybierała zróżnicowane formy. Wielu funkcjonariuszy chciało się dobrać do pieniędzy znajdujących w „pożydowskich ruchomościach”. Podczas segregowania ubrań i waliz odnajdowano najróżniejsze waluty: amerykańskie dolary, brytyjskie funty, niemieckie marki, franki szwajcarskie, czasami papiery wartościowe, pierścionki, bransolety i złote lub srebrne łańcuszki. Te kosztowności miały skazanym na zagładę ludziom pomóc w kupieniu sobie życia. Niemcy kradli w Auschwitz nie tylko precjoza, lecz także luksusowe artykuły – wykwintne alkohole, dobre buty, futra i wszystko to, co czyniło prowadzenie wojny znośniejszym i przyjemniejszym. Bogaci Żydzi z zachodu Europy, nie mając pojęcia, dokąd jadą, zabierali ze sobą najlepsze rzeczy.

Franz miał dobry dostęp do waluty i złota, ponieważ musiał codziennie wypełniać specjalny protokół z dokładnym spisem wartościowych rzeczy odnalezionych w tobołach. Każdego dnia wieczorem, po zakończeniu pracy, wkładał spisane precjoza do pudełka i wraz z opieczętowanym i podpisanym protokołem zanosił do kasy głównej obozu, gdzie pracował jego kolega z pokoju hotelowego, *SS-Rottenführer* Oskar Gröning. Przez ponad rok, kiedy razem mieszkali, dość dobrze się dogadywali. Chcąc spełnić prośbę Mileny, Weimert poszedł więc do Gröninga.

– Potrzebuję zegarek – powiedział Franz.

Tego dnia bowiem akurat nie było zegarków. Oskar Gröning popatrzył na kolegę przez okrągłe okulary, po czym wziął od niego pudełko i protokół.

– To kosztuje dwadzieścia dolarów – powiedział.

Franz wyjął z kieszeni banknot dwudziestodolarowy i włożył go do kieszeni Groninga. Obaj wiedzieli, że Weimert nie ujął tych dwudziestu zielonych w swoim protokole. A więc formalnie kradzież się nie odbyła. Tych dwudziestu dolarów po prostu nigdy

nie było.

Z tak zdobytym zegarkiem Franz udał się do głównego biura zatrudnienia SS. Tam pracowali esesmani oraz specjalnie przyuczeni do tej papierkowej roboty więźniowie, skrupulatnie sporządzający zestawienia więźniów w poszczególnych komandach. Każdy więzień Auschwitz miał wytatuowany numer ewidencyjny, który wpisywano w kartotece obok jego prawdziwego imienia i nazwiska. Franz poszedł do jednego z więźniów mających dostęp do akt. W zamian za drobny upominek, którego Franz tego wieczoru nie ujął w protokole zdawczo-odbiorczym, więzień szybko odnalazł kartę Chaima Cwiger. Chłopak miał szesnaście lat i trafił do ciężkiego komanda w kopalni węgla w Jawiszowicach, gdzie istniał podobóz Auschwitz. Średnia życia wynosiła tam nie więcej niż miesiąc. Szesnastoletni, wychudzony i wyczerpany po krakowskim getcie chłopak zginąłby po dwu tygodniach od katorżniczej pracy, o ile wcześniej nie zgwałciłby go i nie zamordował jakiś zwyrodniały kapo.

Łapówka od Franza sprawiła, że z biura zatrudnienia SS wyszedł nowy rozkaz. Więzień Chaim Cwiger miał zostać przeniesiony do warsztatów stolarskich, znajdujących się tuż obok obozu macierzystego. W dalszym ciągu był uwięziony, nie dojadł, był zamknięty, zewsząd groziła mu śmierć albo zwyrodniały kapo lubiący młodych chłopców, ale praca pod dachem to nie było to samo co praca osiemset metrów pod ziemią w pyle, głodzie i przy zupełnym braku światła słonecznego.

Jednak Franz musiał się zabezpieczyć. Wolał, aby nikt nigdy nie dowiedział się o prawdziwych przyczynach przenosin młodego Żyda. Tak więc czterdziestokilkuletni esesman nadzorujący pracę więźniów w biurze dostał od Franza francuski koniak, trzeci z przedmiotów nieujętych w protokole. Franz nie musiał niczego tłumaczyć. Chciał być po prostu miły i prosił, żeby esesman nie był zbyt dokładny w sprawdzaniu kto, gdzie i dlaczego.

* * *

Tydzień później Zyta Cwiger otrzymała z warsztatów gryps od brata. Napisał, że został przeniesiony i że teraz będzie bliżej. On

nie zdawał sobie sprawy z ciągu zdarzeń, które doprowadziły do przeniesienia. Zyta wiedziała jednak, komu ma dziękować, choć też nie zdawała sobie sprawy, jaki mechanizm uruchomiła Milena. Podeszła do koleżanki i powiedziała jej, że jest najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała. Niech dobry Bóg wynagrodzi jej długim życiem i gromadą dzieci. Milena była zaskoczona życzeniami szczęśliwej dziewczyny. Po chwili jej odpowiedziała:

- To nie mnie powinnaś dziękować.
- A komu?
- Lepiej nie pytaj.

Rozdział XXVIII

EGZAMIN

W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku do Auschwitz przybył nowy lekarz w randzie kapitana SS. Franz zetknął się z nim podczas badań, które potwierdziły jego przynależność rasową. Lekarz ten szczyił się Krzyżem Żelaznym otrzymanym za służbę na froncie wschodnim, gdzie z płonącego czołgu wyciągnął dwóch niemieckich żołnierzy. Miał doktorat z medycyny oraz skończony drugi fakultet z filozofii. Był więc jednym z najbardziej wykształconych esesmanów w obozie. Zgłosił się do pracy w nadziei, że będzie mógł kontynuować karierę naukową. Pragnął zebrać materiał do habilitacji, a interesował się cechami dziedzicznymi bliźniąt i dymorfizmem koloru gałek ocznych oraz rzadką chorobą nowotworową, zwaną *noma*: wodną zgorzelą policzka. Przed wojną opublikował liczne artykuły w prestiżowych niemieckich i amerykańskich czasopismach medycznych. W przekonaniu wielu niemieckich naukowców był jednym z najzdolniejszych antropologów i genetyków, wsławionym współpracą ze znanym w nazistowskich Niemczech berlińskim Instytutem Antropologii, Teorii Ludzkiego Dziedziczenia i Eugeniki im. Cesarza Wilhelma.

* * *

Franz miał przeświadczenie, że jego dotychczasowe życie jest całkowicie jałowe. Nie wiedział nawet, czy może o sobie powiedzieć, że jest takim samym nazistą, jakim był jeszcze dwa lata wcześniej. Jednak za swoje czyny zapłacił wielką cenę. Zorganizowanie leków, a teraz przenosiny młodego Żyda do komanda pracującego w warsztatach obozowych robiło swoje. Franz wyczuwał, że atmosfera wokół niego gęstnieje. Jednak na popijawach u Guntza, które odgrywały rolę papierka lakmusowego nastroju wokół jego osoby, nie działo się nic nadzwyczajnego. Wszyscy pili dużo alkoholu jak dotychczas i zwiertali się sobie z popełnionych niegodziwości. Na przykład Pery Broad przyznał się, że pisuje

pamiętnik i że dba o jego należyta formę literacką. Franz zastanawiał się, czy taki znany z cynizmu i bezwzględności kat z równą nonszalancją opisuje w tym pamiętniku egzekucje i smak świeżego szpinaku przyrządzonego na obiad, jaki zjadł, zanim podpisał się pod kolejnymi wyrokami śmierci.

Na tych pijatykach dowiedział się także, że czarne chmury zbierają się nad głową komendanta Hossa. Pojawiły się w Berlinie oskarżenia, rzucane przez nie wiadomo kogo, że Hoss tolerował korupcję wśród esesmanów. W stolicy najwyraźniej zdawano sobie sprawę, jak wielką pokusę stwarzają dla nich dobra należące do pomordowanych Żydów. Podejrzewano, że Trzecia Rzesza traci miliony marek. Nie mogąc na razie postawić zarzutów konkretnym osobom, mówiono, że najlepiej będzie wyciągnąć konsekwencje wobec Hossa. Fabryka śmierci, jaką stworzył ten pedantyczny biurokrata, działała ze straszliwą precyzją. W czerwcu czterdziestego trzeciego oddano do użytku pozostałe nowoczesne komory gazowe i krematoria, oznaczone w nomenklaturze obozowej numerami trzy, cztery i pięć. Łącznie z oddaną w marcu dwójką mogły uśmiercić jednorazowo do pięciu tysięcy osób.

Jednak kaci przy wódce u Guntza rozmawiali o życiowych sprawach. Wszyscy mieli rodziny i dzieci sprawiające problemy wychowawcze. Większość żonatych esesmanów hołdowała zasadzie, że załując pasa, psuje się dzieci. Mówiono także o zmianach, jakie czekały wielki obóz. Wśród wyższych rangą esesmanów krążyły pogłoski o spodziewanej dymisji Hossa. W końcu oczekiwana decyzja zapadła. Nowym komendantem obozu został zdolny technokrata *SS-Obersturmbannführer* Arthur Liebehenschel. Jego pragmatyzm połączony ze świadomością pogarszających się warunków na froncie wschodnim i związanymi z tym faktem dodatkowymi obciążeniami niemieckich rodzin sprawił, że zdecydowano się na poluzowanie sztywnego regulaminu obozowego. Aryjscy więźniowie zyskali możliwość otrzymywania raz w miesiącu paczek żywnościowych od rodzin za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Od razu wzmożł się w obozie handel wymienny, a walutę stanowiło wszystko, co można

było wymienić na jedzenie. Pierścionek ze złota był mniej wart niż bochenek czerstwego i spleśniałego chleba.

Franz uświadomił sobie, że ze strony innych esesmanów nie będzie mu nic groziło, jeśli zachowa w kontaktach z Mileną należytą ostrożność.

* * *

Latem do Auschwitz przywieziono sześćdziesiąt tysięcy greckich Żydów, których w większości zamordowano w komorach gazowych. Franz zauważył, że na stole Guntza oprócz tradycyjnych mięsnych konserw i alkoholu pojawiały się kozie sery i greckie pomarańcze. Nie miał najmniejszych wątpliwości, skąd te produkty się wzięły. Ich właściciele płonęli zapewne w przepastnych piecach krematorium numer dwa i trzy w Birkenau. Zjadł nawet jedną pomarańczę, ale nie smakowała mu, jednak nie z powodu braku słodczy. Owoc mu nie smakował, ponieważ Franz czuł się pasożytem. Miłość do Mileny bezwiednie go zmieniała. Jedząc grecką pomarańczę zrabowaną zamordowanemu Żydowi, widział oczyma duszy martwych ludzi w kałużach ich własnego moczu i krwi, uduszonych straszliwym gazem. Szemrane towarzystwo, z którym popijał alkohol, nie domyślało się nawet głębokiego, duchowego procesu, jaki rozpoczął się w sercu młodego Austriaka. Miał on ponieść Franza Weimerta ku prawdzie o nim samym. Aby nie sprawiać wrażenia wyobcowanego, Franz wdawał się w dyskusje podczas spotkań. Jedną z nich dotyczyła nowego, bardzo utytułowanego lekarza SS, który wiosną tego roku rozpoczął pracę w Birkenau.

– No mówię wam, że to obsesyjny pedant – rzekł wyraźnie podchmielony Kurt Guntz. – Zrobił na komendancie wstrząsające wrażenie, bo żaden lekarz z jego dorobkiem nigdy tu nie pracował.

– A profesor Kramer? Chyba on był najprawdziwszym profesorem medycyny, prawda, Kurt? – zapytał Franz, nie znając jeszcze nazwiska nowo przybyłego lekarza.

– Kramer, fakt, łeb to miał, ale naukowiec z niego był średni – odpowiedział Kurt Guntz. – Nasz nowy lekarz został przez starego skierowany do Birkenau, tego pieprzonego chlewu. A wiecie, co się

tam dzieje...

– Tak, tyfus szaleje. Nie da się opanować tego paskudztwa – zauważył Pery Broad. – Dotychczas żadnemu lekarzowi się to nie udało.

– Muszę ci powiedzieć, że nowy lekarz wykazał się w obozie cygańskim daleko idącą świadomością higieniczną – rzucił Guntz.

Franz uświadomił sobie, że oni rozmawiają o obozie dla Romów, jaki funkcjonował od lata w Birkenau. Romowie zostali tam skoszarowani całymi rodzinami. Romowie są bardzo rodzinnymi ludźmi. Nawet w obozie koncentracyjnym nie pozwoliliby się rozłączyć.

– Przepraszam cię, Kurt, ale nie rozumiem. Co to znaczy „świadomość higieniczna” w odniesieniu do Cyganów? – zapytał Franz.

Guntz podniósł na niego wzrok. Łyknął jeszcze koniaku, po czym odparł najspokojniej na świecie.

– No cóż, mój drogi Franz, nasz doktor wysłał pierwszego dnia wszystkich zakażonych tyfusem Cyganów do Pana Boga.

– Kto to taki? – zainteresował się Franz, udając, że nie dostrzega niezwykłego cynizmu, z jakim Guntz mówił o zamordowaniu kilku tysięcy ludzi.

– Ten lekarz nazywa się Mengele. *Hauptstirnführer* Mengele – powiedział Guntz, akcentując stopień lekarza. Żałował, że sam był tylko podporucznikiem SS.

Franz na dźwięk tego nazwiska jednym haustem wypił cały kieliszek koniaku. Alkohol przyjemnie rozlał się po jego żołądku. Co za ironia, pomyślał Franz, ja przecież znam tego lekarza! Dzięki temu człowiekowi stałem się jednym z nich, władców życia i śmierci z dwiema runami na kołnierzu. Franz zawsze chciał czymś błysnąć w towarzystwie. Zawsze pokornie słuchał. Najpierw słuchał doktora Uhlenbrooka, potem przegrywał z pokorą pieniądze na rzecz Broada, pozwalając dawać sobie do zrozumienia, że pije z nimi tylko dlatego, że oni mu na to pozwalają. A teraz nadarzała się okazja, żeby błysnąć. I Franz postanowił to wykorzystać.

– Znam go i myślę, że on mnie pamięta – rzucił.

Wszyscy nagle na niego popatrzyli, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Ty, magazynier, znasz nowego lekarza SS, a my nie? To nie w porządku, Franz”.

– Jakim cudem? – zapytał w błyskiem zazdrości w oku Pery Broad.

– A takim, że to doktor Mengele badał mnie podczas przyjmowania do SS – odpowiedział spokojnie Franz. – Byłem pierwszym niemieckim chłopakiem, którego badał jako lekarz SS, więc myślę, że mnie dobrze pamięta, zwłaszcza że po badaniu ucieliśmy sobie ciekawą pogawędkę.

– A o czym to gawędziliście? – zapytał z przekąsem Guntz.

– A o tym, Kurt, że prawdziwy niemiecki ideał rasowy, czyli typ 1A, jest w praktyce bardzo rzadki. W Niemczech tylko kilka procent ludzi spełnia te normy, a na przykład znacznie więcej w Szwecji. To bardzo zasmucało doktora, że Niemcy nie są tak czystym rasowo narodem, jak wszyscy byśmy pragnęli.

Zebrani popatrzyli na niego zaskoczeni. Franzowi udało się inteligentnie zakpić z polityki rasowej i zrobił to w taki sposób, że nic nie można było mu zarzucić.

– Co tak na mnie patrzycie? – zachnął się Franz. – Nikt z nas przy tym stole nie jest typem nordyckim 1A. Nawet ty, Kurt, choć jesteś blondynem, dostałbyś pewnie od doktora Mengele kategorię 1B.

To był żart wieczoru.

Wracając do siebie, Franz pomyślał, że Mengele przewyższy w perfidii wszystkich medyków SS i stanie się najstraszliwszą bestią, jaką miał widzieć obóz Auschwitz.

* * *

Lato tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku było niezwykle upalne. Potężne układy wyżowe zalegające nad wschodnią Europą sięgnęły też do okupowanej przez Niemców Polski, przynosząc wspaniałą, słoneczną i gorącą aurę. W tym samym czasie, kiedy na froncie wschodnim rozgrywała się decydująca bitwa pancerna na Łuku Kurskim, w Auschwitz lato zwiastowało nowy wymiar grozy. Kominy krematoriów codziennie

wypluwały kłęby gęstego, cuchnącego dymu, który roznosił się po całej okolicy. Wielu traciło resztki nadziei. Wydawało się, że piekło obozu osiągnęło apogeum.

Dwudziestego pierwszego sierpnia szefowa pola więźniarskiego w obozie kobiecym Maria Mandel zarządziła wielką selekcję w całym obozie kobiecym. Wszyscy wiedzieli, że kobiety, które jej nie przejdą, trafią do komór gazowych. Kiedy komando *Weisskappchen* nie przybyło rano do pracy, Weimert domyślił się, że znowu coś się stało. Jednak nie chciał siedzieć z założonymi rękoma w biurze administracyjnym, jak wtedy, gdy w kobiecym obozie trwała wielka stójka. Nie musiał się tłumaczyć Kratzerowi, dokąd idzie. Włożył czapkę i wyszedł z pierwszej „Kanady”. Skierował się do obozu Birkenau.

* * *

Pierwszy zwiastun tego, że dzień będzie inny niż zwykle, pojawił się rano, gdy przyszedł rozkaz, iż wszyscy mają zostać w swoich barakach. Doświadczone więźniarki wiedziały, że coś się święci. Potem niemieckie strażniczki bez żenady powiedziały, że będzie wielka selekcja i w związku z tym trzeba zachować porządek. Wszystkie kobiety znajdujące się w obozie miały przemaszerować kompletnie nago przed lekarzami SS, których zadaniem było decydować o ich życiu lub śmierci. Ręka skierowana na lewo oznaczała komorę gazową, a na prawo powrót do baraku, czyli życie jeszcze przez jakiś czas.

– Chcą zrobić miejsce dla nowych – szepnęła Milenie na ucho Wanda Zygielbojm.

Wiedziała, co mówi. Milena żyjąca w Auschwitz pod kloszem trudnej miłości Weimerta znalazła w sobie dość siły, żeby wytrwać. Wykonując codziennie te same czynności, zbudowała sobie nadzieję, że przeżyje. Ale selekcja oznaczała wielką niewiadomą. Więźniarki, które nie znajdowały się jeszcze na etapie zmuzułmanienia, czyli wyniszczającej apatii, wiedziały, że muszą zrobić na lekarzach odpowiednie wrażenie. Muszą swoim wyglądem zasugerować: jestem zdrowa i nadaję się do pracy. Jeden ruch dłoni lekarza SS oznaczał śmierć albo życie. Selekcja, z jej

nieodwracalnością i nieuchronnością, dla wielu więźniarek oznaczała straszliwe, krańcowe doświadczenie strachu przed śmiercią.

– Musimy dobrze wyglądać – powiedziała Wanda Zygielbojm.

Ale jak kobieta pozbawiona elementarnych środków higienicznych może poprawić swój wygląd? Można to zrobić własną krwią. Jest przecież odżywcza, a rozsmarowana na wyblakłej i anemicznej skórze policzków może działać opalizująco. A o to właśnie chodziło: poprawić wygląd skóry, sprawić, żeby wyglądała młodo, naturalnie i ładnie. Milena powiedziała Wandzie, że już kiedyś to widziała. Elfriede, zastrzelona przy ścianie śmierci jehowitka, smarowała jej twarz własną krwią, gdy miała przed rokiem śpiewać na imprezie urodzinowej Weimerta.

– Skoro przyniosła ci szczęście już raz, uda się nam także dzisiaj.

Wanda Zygielbojm ukradzionym z „Kanady” ostrym syczorykiem nacięła skórę na dłoni Mileny. Gdy w rozcięciu pojawiła się czerwona smuga, Wanda powiedziała do dziewczyny:

– Wcieraj w policzki. Szybko.

Sama zrobiła tak samo. Kobiety, wiedząc, że selekcja jest nieunikniona, próbowały zapewnić sobie minimum szans na jej przetrwanie. Towarzyszki niedoli Wandy i Mileny poszły za ich przykładem i smarowały policzki i ciało własną krwią.

* * *

Weimert w ciągu godziny dotarł do Birkenau. Strażnicy nie czynili mu żadnych przeszkód. Gdy pytali, po co przyszedł do Birkenau, odpowiadał, że wkrótce otwarta zostanie druga „Kanada” i on musi ocenić swoje przyszłe miejsce pracy. Mógł powiedzieć im cokolwiek; jego mundur stanowił najlepszą przepustkę. Tylko niemieckie strażniczki pytały, co ma do roboty w obozie kobiecym. Odpowiedział z rozbrajającą szczerością:

– Jest dziś selekcja, prawda? Muszę zadbać, żeby ktoś nie wpadł na pomysł pozbycia się mojego wykwalifikowanego komanda.

Barak, w którym mieszkały kobiety z „Kanady”, został

wywołany do selekcji w południe. Wszystkie musiały się rozebrać do naga i przedfilować przed lekarzem SS w nieskazitelnym białym fartuchu na esesmańskim polowym mundurze. Na dłoniach nosił rękawiczki. To on w pierwszym dniu swego pobytu w obozie wysłał na śmierć w komorze gazowej wszystkich zarażonych tyfusem Romów. W sierpniu został już naczelnym lekarzem obozu cygańskiego i tam przeprowadzał na dzieciach doświadczenia medyczne.

Franz z trudem odnalazł swoje komando wśród morza nagich kobiet defilujących przed lekarzami SS. Niektóre z nich musiały biegać truchtem wokół stołów, przy których siedzieli lekarze, natomiast inne zmuszono do wykonywania upokarzających ćwiczeń gimnastycznych. Franz widział też kobiety, które nie przeszły selekcji. Ich krzyki, błagania i przekleństwa mieszały się z suchymi komendami wydawanymi przez lekarzy. Widział na własne oczy, jak kilka kobiet z kuchni, które znały przełożoną pola więziarskiego w obozie kobiecym Marię Mandel, klękało przed nią i całowało ją po butach, byle tylko cofnęła swoją władzę wyrok lekarzy i pozwoliła im żyć. Ale Maria Mandel, szczególnie lubiąca bawić się z żydowskimi dziećmi, z uśmiechem mówiła więźniarkom, że ona się zgadza z lekarzami i że teraz czeka je śmierć. Kobiety wyły i tarzały się w pyle, nie chcąc pogodzić się ze śmiercią. Psy strażniczek szybko je uspokoiły. Franz poczuł, że musi zrobić wszystko, byle jego komando przeszło selekcję bez większych strat. Chciał to zrobić dla Mileny, bo gdyby któraś więźniarka trafiła do komory gazowej, dziewczyna znów raczyłaby go długim milczeniem, a tego by nie zniósł. Wszystko zależało tylko od tego, który z lekarzy prowadzi selekcję w jego komandzie.

* * *

Poznał go natychmiast. Na widok wysokiej i postawnej postaci doktora Mengele przypomniał sobie, że przecież tak niedawno on też musiał się obnażyć przed tym lekarzem. Jakże inna była waga tego badania. Franz żałował, że Mengele przed trzema laty nie znalazł jakiegoś defektu w jego ciele. Nie byłby został tym, kim był teraz. Zastanawiał się, czy doktor go sobie przypomni.

Mengele właśnie przygotowywał się do selekcji. Kobiety z komanda *Weisskappchen* stały nagie, wyciągając do góry ręce. Trzymały w nich swoje ubrania. W ten sposób Mengele mógł dokładnie obejrzeć, czy nadają się do pracy, czy nie, czy są inkubatorami tyfusu, czy nie. A lekarze nie lubią przecież tyfusu. Gdyby stwierdził objawy zakażenia, taka osoba trafiłaby do komory gazowej.

Franz podszedł blisko i stanął na baczność, podnosząc rękę w nazistowskim pozdrowieniu.

– Mam nadzieję, *Herr Doktor*, że przypomina pan sobie pewnego młodego człowieka – powiedział.

Na te słowa Mengele odwrócił głowę w stronę Franza. Wydawał się trochę zirytowany, że ktoś odrywa go od pracy. Oczy mu się zwężyły. Wzrok lekarza spoczął na twarzy Franza. Analityczny umysł poszukiwał w pamięci tej konkretnej twarzy. Weimert nie miał pewności, czy kapitan SS zaraz nie udzieli mu ostrej reprimendy i nie każe mu się wynosić. Po chwili doktor uśmiechnął się i powiedział:

– Pamiętam pana. Proszę wybaczyć, nie mam pamięci do nazwisk, ale do twarzy jak najbardziej. Ja chyba pana kiedyś badałem, prawda?

– Oczywiście, *Herr Doktor*. Uniwersytet we Frankfurcie, tysiąc dziewięćset czterdziesty.

– Pan jest chyba Austriakiem?

– Doskonała pamięć, *Herr Doktor*. Określił mnie pan jako typ południowonordycki, dość odległy od niemieckiego ideału.

Mengele się zaśmiał. W tych okolicznościach zabrzmiało to jak naprawdę pierwszorzędny żart. Przecież za chwilę ten sam lekarz miał posłać na śmierć setki ludzi. Franz wiedział, że za chwilę komando Mileny przedefiluje przed strasznym lekarzem. Mengele z łatwością wyławiał życie niewarte życia, jak głosił nazistowski slogan. Życie niewarte życia dla Franza było jednak warte więcej niż jego własne niemieckie istnienie. Wiedział, że gdzieś w tej kolejce stoi Milena. Pragnął ją zobaczyć, i zarazem tego nie chciał. Nie chciał jej upokorzyć tym, że będzie widział ją nagą. Ale zależało

mu na tym, by mieć pewność, że na jej widok ręka doktora powędruje na prawo.

– Porozmawiamy, jak skończę – powiedział doktor. – Nie mam w Auschwitz zbyt wielu znajomych.

Za jego zgodą Franz stanął obok. Lekarz zaczął selekcję. Powiedział Franzowi, że tego ranka posłał wszystkie więźniarki z kilku baraków do gazu. Żadna nie nadawała się do pracy. Więźniarki z komanda Franza wyglądały źle, ale nie aż tak źle, jak te z innych komand, i wprawne oko Mengelego natychmiast dostrzegło tę różnicę. Tylko w czterech przypadkach ręka doktora powędrowała na lewo, ale wśród skazanych znalazła się Wanda Zygielbojm. Gdy nadeszła kolej na Milenę, Franz odwrócił wzrok. Między nim a nią tworzyła się jakaś więź. Nie chciał tego nazywać miłością, bo przecież wiedział nazbyt dobrze, że ona go nie kocha, ale jakąś formą przyjaźni. Zarazem Franz zdawał sobie sprawę, jak absurdalnie brzmiało w tych okolicznościach słowo „przyjaźń”.

Gdy lekarz skończył selekcję, pozwolił więźniarkom się ubierać. Cztery skazane na śmierć kobiety skupiły się w małą grupkę. Płakały. Franz nie wiedział, dlaczego doktor skazał je na wykończenie. W jego przekonaniu wszystkie wyglądały tak samo jak reszta komanda. Nie było żadnej różnicy. Franz przypomniał sobie jednak, że kiedyś Kurt Guntz uczył go o roli statystyki w zarządzaniu Auschwitz. Pomyślał więc, że Mengele nie chciał puścić całego komanda. To po prostu mogło źle wyglądać statystycznie.

Jednak Franz znał Wandę Zygielbojm. Była lekarzem. To mogło zainteresować Mengelego. Postanowił więc powiedzieć część prawdy. Był nadzorcą w „Kanadzie”, a te kobiety to jego komando. Wyszkolone pracownice. Franz oczywiście wiedział, że to żaden argument dla kogoś takiego jak Mengele, ponieważ uzupełnienie składu komanda wobec stałego napływu nowych więźniów nie stanowiło problemu. Postanowił jednak zaryzykować i wyrwać lekarzkę ze szponów śmierci. Uznał, że musi przedstawić sprawę jak dobry żart. Mengele powinien się przy tym ubawić. Jeśli Franz będzie nalegał, stawiając sprawę na ostrzu noża, Wanda

Zygielbojm trafi do pieca. Był pewien, że musi rozegrać to starcie po mistrzowsku, rozmawiał bowiem z człowiekiem, który już budził w obozie grozę u więźniów oraz wielki respekt u innych esesmanów. Franz powiedział do doktora:

– *Herr Doktor*, jedna z tych czterech kobiet to lekarka z mojego komanda. Nie rozumiem, jakim cudem tak znakomity lekarz jak pan chce się pozbyć mojej felczerki.

Mengele natychmiast się ożywił. Żydówka lekarzem? To był przed wojną dość rzadki przypadek. Żydów lekarzy Mengele już widywał. Z kilkoma spotykał się na zjazdach naukowych lekarzy i genetyków. Żydówki lekarza, do tego tak starej jak Wanda Zygielbojm, nigdy jednak nie spotkał.

– To pańskie komando? Nie wiedziałem – stwierdził doktor – ale widzę, że utrzymuje je pan w dobrej formie. Większość może pracować.

– Lubię porządek w mojej pracy, podobnie jak pan w swojej, *Herr Hauptsturmführer* – odrzekł z powagą Franz.

Podszedł do drżącej z przejęcia Wandy Zygielbojm. Chwycił ją za przegub i zupełnie nagał podprowadził do doktora Mengelego.

– Proszę popatrzeć, że ta głupia Żydówka nadaje się do pracy – powiedział Weimert. – Poza tym jest dobrym lekarzem. Chcę ją mieć w komandzie. Lekarka lepiej wpływa na pracę kobiet.

– Może pan przecież zażądać innego lekarza spośród więźniów – rzucił Mengele.

– Mogę, ale nie chcę. Musiałbym znów wykorzeniać czyjeś złe nawyki – odparł przytomnie Franz.

Lekarze trzymali zawsze z lekarzami i na pewno w Niemczech żaden z nich nie występowałby otwarcie przeciw innemu. Tak mogło być wśród niemieckich lekarzy. Ale Wanda Zygielbojm nie była niemieckim lekarzem i nie mogła liczyć na żadną solidarność zawodową. Mengele miał jednak też bardzo wyostrzony zmysł estetyczny. Stwierdzenie, że Żydówka może być dobrym lekarzem, brzmiało w jego uszach jak dysonans, więc postanowił sprawdzić, czy faktycznie Wanda Zygielbojm jest fachowcem. Dobry medyk powinien odznaczać się wielką wiedzą. A wielką wiedzę można

łatwo zweryfikować.

– Jesteś lekarzem, Żydówko? – zapytał doktor.

Wanda Zygielbojm, stojąc przed nim nago, odrzekła w świetnym niemieckim:

– Jestem internistą. Przed wojną pracowałam w szpitalu w Radomiu.

I wtedy zaczęło się coś niezwykłego: najprawdziwszy egzamin z medycyny. Mengele zaczął wypytywać lekarzkę z łacińskich nazw dwustu piętnastu kości, które zawierało ludzkie ciało. Potem przeszedł do zagadnień interny. Jak leczymy schorzenia żołądka. Proszę wymienić rodzaje nadciśnienia i towarzyszące mu objawy. Jak leczymy zatrucia pokarmowe? Jak należy postępować w ostrym zapaleniu dwunastnicy? Wanda Zygielbojm musiała odpowiedzieć precyzyjnie na każde pytanie. Stawką tego egzaminu było jej życie. Przepytywanie trwało ponad godzinę, a po jego zakończeniu na oczach stojącego na baczność komanda kobiecego i zupełnie oszołomionego Weimerta zaskoczony Mengele potwierdził:

– Rzeczywiście, miał pan rację, że ona jest lekarzem. To wykształcona Żydówka, prawie jak Karol Marks.

Mengele popatrzył raz jeszcze na kobietę, a potem na Franza. Spotkał kogoś znajomego w Auschwitz i nie chciał zaczynać od zrobienia Weimertowi przykrości posyłaniem jego lekarki do gazu. Wanda Zygielbojm, słaniając się na nogach, mogła przejść na prawo. Miała żyć...

Mengele pogawędził jeszcze przez chwilę z Franzem. Okazało się, że pamięć do twarzy miał naprawdę dobrą. Pamiętał, że wraz z nim badał we Frankfurcie drugiego kandydata do pracy w SS.

– On nie był tak czysty rasowo, jak obaj myśleliśmy. Jak pan wie, *Herr Doktor*, z rasą łączą się określone cechy psychiczne. Mój kolega nie okazał się tak twardym Niemcem, jak sądziłem. Został skazany na śmierć przez sąd SS za niewykonanie rozkazu.

– To smutne – stwierdził Mengele. – Naprawdę smutne. Cóż, taką mamy służbę.

– Nie będę panu dalej zawracał głowy – powiedział Franz. – Ma pan dziś mnóstwo pracy...

Franz odwrócił się na pięcie, rzucił krótkie spojrzenie w stronę ubierającej się Mileny i ruszył w drogę powrotną.

Mengele tymczasem wrócił do selekcji. Tego dnia posłał do komór gazowych czterysta pięćdziesiąt osiem kobiet.

Rozdział XXIX

PIERWSZY BUNT

Mimo przeniesienia Tłustej Ingi nie zniknęło stwarzane przez nią zagrożenie dla Weimerta i Mileny. Franz świetnie zdawał sobie z tego sprawę, ale nie mógł osiągnąć kapo, gdy ta znajdowała się poza jego komandem. Inga była kochanką sadystycznego esesmana Schillingera, który krył jej łotrostwa i przy którym czuła się całkowicie bezkarna. Schillinger był spaczonym i perwersyjnym osobnikiem, który cały czas szukał nowych podniet. Wyszukiwał co ładniejsze więźniarki w obozie kobiecym i je gwałcił. Uchodziło mu to na sucho, ponieważ w atmosferze zdziczenia nikt się nie przejmował zgwałconą kobietą. Gdy tysiące ludzi ginęły w komorach gazowych, jeden gwałt nic przecież nie znaczył.

Inga, nie chcąc bezpośrednio narażać się na zemstę Weimerta, szepnęła kochankowi do ucha, że w komandzie pracującym w pierwszej „Kanadzie” znajduje się nad wyraz ładna i młoda więźniarka, którą upodobał sobie tamtejszy nadzorca. Schillinger nie bał się nikogo i Weimert nie stanowił dla niego problemu. Schillinger świetnie jednak wiedział, że w „Kanadzie” robi się złote interesy. Plotka o rzekomym romansie Weimerta z Żydówką stanowiła znakomity kapitalik, który mógł przynieść realną i trwałą korzyść finansową.

Schillinger tracił jednak nad sobą kontrolę, kiedy za dużo wypił. A pił dużo i często. Kiedy był naprawdę pijany, zaczął w amoku krzyczeć, że dopadnie żydowską kochankę *Unterskarführera* Weimerta. Obóz Auschwitz był miejscem krańcowego upodlenia człowieka przez człowieka, ale mimo to ten straszliwy mikrokosmos, szczelnie zamknięty kordonem potrójnych esesmańskich straży, żył mieszaniną życia i śmierci. A jedną z cech życia była przecież plotka.

Ta plotka w końcu dotarła do Weimerta. Śmiertelnie go przeraziła, bo obozowe Gestapo miało wszędzie swoje oczy i uszy. Franz postanowił działać natychmiast i zamknąć Schillingerowi

usta, zanim ten faktycznie napyta biedy jemu i Milenie. Franz nie dbał o siebie; wiedział, że poradzi sobie z Gestapo. Jeśli słyszeli tylko plotkę, to mieli za mało, żeby go aresztować i oskarżyć o złamanie świętego prawa niemieckiej krwi, zapisanego w ustawach norymberskich. Jednocześnie miał świadomość, że łapówka była jedynie półśrodkiem, który nie rozwiązywał problemu. A problem stanowiła Inga. Nie miał wątpliwości, że to od niej Schillinger dowiedział się o Milenie. Tłustej Ingi należało się pozbyć i to raz na zawsze. Franz stanął przed wyborem: albo korupcja, albo kłopoty. Rozwiązanie nasunęło się samo.

Po raz pierwszy na taką skalę Franz musiał sfałszować protokoły „żydowskich ruchomości”, jak esesmani nazywali mienie pomordowanych. Tym razem Rzesza straciła cztery butelki koniaku, srebrny zegarek i takąż papierośnicę. Oprócz tego Schillinger w zamian za milczenie mógł wybierać co elegantsze ubrania dla swoich licznych kochanek, w tym Tłustej Ingi. Ubicie szemranego interesu z kimś takim jak Schillinger napawało Franza obrzydzeniem, ale zależało mu bardzo, żeby jego przeciwnik przestał kłapać dziobem. Gdyby to było możliwe, Franz zabiłby ich oboje. Walczył już nie o Milenę, ale o swoje własne życie, więc czuł się całkowicie zwolniony z lojalności wobec innego esesmana. Na przeszkodzie stała jedynie świadomość, że jest słabszy od Schillingera. Gdyby wyszło na jaw, dlaczego ich sprzątnął, kumple nie wstawiliby się za nim. Czym innym było przecież potajemne gwałcenie żydowskich więźniarek przez Schillingera, a czym innym ratowanie żydowskiej więźniarki przez Weimerta. Obydwa czyny łamały ustawy norymberskie, ale wina Franza była cięższa, bo zdradzał on narodowosocjalistyczne ideały. Jednak zmiana w sercu Franza już się dokonała i nie dbał on odtąd o te ideologiczne dyrdymały.

Nie był skłonny okazywać słabości. W istocie Franz znakomicie się maskował. Obłuda, jakiej nauczył się w Auschwitz, stała się maską, dzięki której mógł ukryć przed swoimi esesmańskimi kolegami to, co myślał naprawdę. Bo prawda była taka, że żaden esesman nie miał przyjaciół. Franz ukrył więc swoje sumienie.

Koledzy uważali go za mruka, w najlepszym razie milczka, który nie ma własnego zdania i który jest usłużny, ale właściwie niewiele znaczy. Guntz postrzegał go jako człowieka surowego i nieokazującego emocji, a w oczach takiego technokraty i mordercy zza biurka to były dobre cechy. Ewentualne plotki, gdyby doszły do uszu komendantury, nie byłyby więc traktowane poważnie.

Franz powoli zaczął rozumieć, że to, co czuł do Mileny, z początku było zauroczeniem, silną, prawdziwą, ale nigdy niezrealizowaną miłosną fascynacją. Niemożność spełnienia była w pewnej mierze wolnym wyborem Franza. Mógł zmusić dziewczynę do stosunku, ale wówczas dorzuciłby jedynie jeden mały wszawy gwałt do innych swoich zbrodni, choćby tych ze zwirowiska. Franz tak nie chciał. Pragnął, żeby ona go pokochała. Uczucie do żydowskiej więźniarki, skazanej na wyniszczenie przez system, którego trybikiem był esesman Franz Weimert, stanowiło siłę nie do opanowania. A przecież esesmanom wmawiano, że panowanie nad emocjami, wyłączenie ich podczas strzelania do żydowskich kobiet i dzieci, jest warunkiem koniecznym do przeistoczenia się w wykonującego najbardziej bezwzględne rozkazy żołnierza. Franz zyskał bezcenną świadomość, że z powodu uczucia nie mógł być już idealnym esesmanem, perfekcyjnym, zimnym mordercą. Nie mógł zaprzeczyć, że mordercą faktycznie był, ale wciąż miał sumienie. Odczuwał codziennie jego ciężar. Uczucie do Mileny oczyszczało go. Sprawiało mu też ogromny ból, ale Weimertowi coraz częściej się wydawało, że był to ból adekwatny do popełnionych przez niego zbrodni. Dopiero zagrożenie ze strony Schillingera uświadomiło Franzowi, że utrata Mileny oznaczałaby przerwanie jedynej nici łączącej go ze światem. Nie mógłby i nie chciałby bez niej żyć.

* * *

Któregoś dnia Franz wracał z głównego magazynu SS do baraków „Kanady”. Po obozie macierzystym kręcił się jakiś muzułmanin. W żargonie obozowym nazywano tak człowieka w stanie krańcowej apatii, zainteresowanego już tylko jedzeniem, a zarazem bezradnego i narażonego na śmierć w każdej chwili.

Człowiek ten chorował na biegunkę i bez przerwy wypróżniał się pod siebie, więc niezdolnie cuchnął. Zauważył go jeden ze strażników, strzelających więźniom w plecy dla dwóch dni urlopu.

– Dlaczego nie jesteś w szpitalu, ty świniu?! – ryknął do więźnia.

Więzień milczał. Nie umiał odpowiedzieć. Wiedział tylko, że w szpitalu zabijają ludzi zastrzykiem z fenolu. Nie chciał więc tam iść. Chciał jeść. Podreptał dalej, pragnąc się gdzieś schować. Ale strażnik już wyskoczył z wartowni i podążył jego śladem.

– Cuchniesz!

Esesman szybko go dopadł. Kopnął więźnia, który był już tak słaby, że natychmiast upadł i nie mógł się podnieść. Niemiec wpadał w coraz większą wściekłość i kopał muzułmanina bezustannie. Kopał go po głowie, w krocze i w brzuch. Po minucie więzień zmarł. Był tak wycieńczony, że nie był w stanie walczyć o życie. Strażnik splunął i nie zważając na Franza, poszedł w stronę obozowych kuchni. Ciało mogło leżeć do apelu. Potem miało trafić do krematorium.

I po tym człowieku nie będzie już śladu.

Widząc tę śmierć, Franz zdał sobie sprawę, jak bardzo się w to wszystko zaplątał. Nie było już dla niego odwrotu. Nawet gdyby mógł prosić o przeniesienie, nie zrobiłby tego. Był w Auschwitz z własnego wolnego wyboru. Nikt nie zdecydował za niego. Nikt go do niczego nie zmusił. Chciał po prostu uciec od ciężaru niewybaczanej spowiedzi sprzed lat. Tamta wina, która jeszcze trzy lata temu była tak ogromną przeszkodą w świecie młodego chłopaka, z perspektywy Auschwitz okazywała się błahostką. Ten piekielny obóz był teraz częścią jego życia. Auschwitz istniało w jego głębi, a on oddał obozowi część własnej duszy. Kochając Milenę, walczył o pozostałą część. Nie mógł z niej zrezygnować. Był pewien, że potrzebował tej dziewczyny do życia jak powietrza, jak wody, jak najbardziej odżywczych składników. Bez niej pograży się w odmęty tego piekła.

Aby Milena przeżyła, musi zabić Inge. Od tej pory szukał tylko pretekstu, by to zrobić. Schillinger już nie był straszny. Skoro mógł

wziąć łapówkę za milczenie, to mógłby również wziąć łapówkę za milczenie po śmierci Ingi, a może sam w zamian za odpowiednią gratyfikację zadałby Indze *coupe de grace*? Z tymi myślami Franz ruszył w stronę baraków „Kanady” usytuowanych za obozem macierzystym.

* * *

Dwudziestego trzeciego października tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku przywieziono do Auschwitz tysiąc ośmiuset polskich Żydów z obozu w Bergen-Belsen. Ludzie ci mieli paszporty umożliwiające im wyjazd do krajów Ameryki Południowej. Załatwił je im Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Zamiast tego pojechali do Auschwitz.

Po selekcji, którą przeprowadził doktor Mengele, kobiety zostały skierowane do komory gazowej numer trzy, a mężczyźni do komory numer dwa. Kiedy trwała selekcja, *Sonderkommando* już rozpalało koksem piece, do których po godzinie, może dwóch, miały trafić ciała pomordowanych. Jednym z esesmanów eskortujących kobiety do komór gazowych był Schillinger. Miał zły dzień: był dość mocno wstawiony, a przez to zupełnie rozkojarzony. Nosił niedbale zapięty mundur. Kabura z pistoletem Walther pozostała niezamknięta, a z kieszeni szerokich spodni, jakie nosili niemieccy wojskowi, sterczała prawie pusta butelka wódki.

Nieostrożność Schillingera nie uszła uwadze młodej kobiety, której imienia i nazwiska nikt nigdy nie poznał. Mengele podczas selekcji wybrał ją do pracy w obozie, ale ona nie chciała pozostawić swojej młodszej siostry, będącej w siódmym miesiącu ciąży. Obie siostry poszły więc razem ku przeznaczeniu. Starsza miała najwyraźniej świadomość, że tym wyborem przypieczętowała swój los. Nie dbała jednak o siebie. Pragnęła do końca towarzyszyć swojej siostrze. Podtrzymując się nawzajem, rozpoczęły drogę ku śmierci.

Brama obozu Birkenau wynurzyła się z mgły. Dwie młode kobiety silniej chwyciły się za dłonie. Ciężarna siostra płakała.

Tak bardzo chciała żyć dla swojego dziecka. Schillinger upatrzył sobie dziewczyny i lżył je po drodze. Starsza ukradkiem

spoglądała na odpiętą kaburę. Wydawało jej się, że Niemiec był pijany. Gdy szły przez bramę, w sercu młodej kobiety zrodził się bunt przeciw wyrokowi losu, który prowadził ją, jej siostrę i nienarodzone dziecko ku unicestwieniu, bez żadnej szansy na przetrwanie. Nie bała się własnej śmierci. Nie mogła znieść tego, że dziecko jej siostry nigdy nie zobaczy twarzy swojej matki.

Schillinger poprowadził kobiety przez wolny teren rozciągający się między obozem kobiecym i leżącymi po drugiej stronie obozami męskim, cygańskim i rewirem szpitalnym dla mężczyzn. W przyszłości można byłoby tędy pociągnąć bocznice kolejową, tak aby transporty z ludźmi prowadzonymi jak zwierzęta na rzeź podjeżdżały wprost pod komory gazowe. Kobiety poruszały się z trudem, co chwilę grzęznąc w błotnistej brei. Esesman nie odpuszczał; otwarcie szydził z losu, jaki miał przypaść wszystkim kobietom. Wiódł je w stronę komory gazowej znajdującej się przy końcu obozu Birkenau.

I tak smutny pochód wszedł do podziemnej rozbieralni. Była duża i schludna. Sklepienie podpierało kilka betonowych kolumn. Na prawo od przebieralni znajdowały się potężne pancerne drzwi, prowadzące do innego pomieszczenia, właściwej komory gazowej. Nad ziemią znajdowała się hala pieców. Przyprawione kobiety wcale nie miały ochoty szybko się rozebrać. Onieśmiałała je przede wszystkim obecność esesmanów, którzy pojawili się w rozbieralni w jednym tylko celu. Pragnęli patrzeć na nagie kobiety, zmuszone do upokorzenia się przed nimi na chwilę przed śmiercią.

Schillinger wszedł także do podziemia w ślad za kobietami. Gdy podszedł do jednej z sióstr, aby jej „pomóc się rozebrać”, starsza z nich, czując od mężczyzny woń alkoholu, popchnęła go. Gdy Schillinger stracił równowagę, wyrwała mu z rozpiętej kabury pistolet, odbezpieczyła go i z bliska strzeliła esesmanowi w głowę. Natychmiast strzeliła też do innego Niemca, raniąc go poważnie. Dała tym samym innym kobietom sygnał, aby drogo sprzedały swoje życie. Rzuciły się na pozostałych esesmanów, zbyt oszołomionych tym, co zaszło. Nie miały broni, więc gryzły ich, kopały i drapały. Niemcy z trudem wycofali się z rozbieralni.

Natychmiast zaalarmowano cały obóz, ściągnięto do komory gazowej numer trzy strażników z więz. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Wszystkie kobiety zostały rozstrzelane w rozbieralni. Ciała spalono w ubraniach tego samego dnia.

Zanim Schillingera wyciągnięto z rozbieralni, już nie żył. Niesłychana śmierć esesmana z rąk kobiety idącej na zagładę dała nadzieję dziesiątkom tysięcy upadlanych w obozie ludzi. Pokazała, że Niemcy nie są nadludźmi i giną tak samo jak inni.

* * *

Śmierć Schillingera stanowiła dla Franza okoliczność sprzyjającą jego planom pozbycia się Tłustej Ingi. Rozwiązywała mu ręce. Poza tym znikał świadek korupcji, jakiej dopuścił się Weimert. Z punktu widzenia niemieckiego prawa naganne było przywłaszczenie sobie mienia pożydowskiego należącego do Rzeszy Niemieckiej. Teraz nic nie przeszkadzało w pozbyciu się Ingi. Weimert musiał tylko znaleźć sposób. Nie mógł wnieść oskarżenia przeciw niej, gdyż wówczas zaczęłaby sypać. Musiał więc pozbyć się jej po cichu.

Nikt nigdy nie dowiedział się, w jaki sposób Weimert dopiął swego. Pewnego wieczoru po prostu Tłusta Inga nie stawiała się na apel. Podejrzewano, że uciekła. Zarządzono w jej komandzie stójkę i przeszukanie baraków metr po metrze.

W końcu znaleziono Ingę martwą w latrynie. Miała poderżnięte gardło.

Rozdział XXX

KRÓLOWA ESTERA

Komando Mileny jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku zostało przeniesione do wielkiego magazynu zwanego drugą „Kanadą”, usytuowanego w Birkenau, w połowie drogi między krematorium numer trzy i cztery. Położenie między miejscami masowej śmierci wpłynęło na nastrój więźniarek. Aby nie myśleć o tym, co działo się kilkaset metrów dalej, kobiety oddawały się pracy i starały się zbudować swój własny świat. SS z dużym trudem sprawowało kontrolę nad tym ogromnym magazynem. Nasilił się handel wymienny z więźniami z innych części Birkenau. Zniknęło ryzyko, jakie towarzyszyło wynoszeniu ukrytego w ubraniu jedzenia. Teraz wszystko odbywało się na miejscu.

Pewnego dnia na kolczastym drucie usiadł wróbel. Milena uważała go za przyjaciela, ponieważ regularnie przylatywał w pobliże baraku. Początkowo ptak był bardzo nieufny, ale dziewczyna zdołała kupić jego przychylność kilkoma okruszkami chleba. Milena zazdrościła mu wolności. Dla niego nie istniały bariery. On był naprawdę wolny. Były takie chwile, kiedy pragnęła być równie mała i nic nieznacząca jak on. Może wówczas obudziłaby się w świecie bez Auschwitz, bez piekielnej rzeczywistości, która ją otaczała i przed którą broniła się wszystkimi siłami. Będąc człowiekiem, zazdrościła wróblowi. Uznała, że jego los był lepszy niż jej.

Milennie z kolei zazdrościły inne więźniarki. Jej los, choć samej dziewczynie wydawał się straszliwym rechem pradawnego zła, które skazywało córkę Izraela na układy z wrogiem, był dla innych przykładem jawnej niesprawiedliwości. Może wydawać się to dziwne, ale w chwili, kiedy komory gazowe wypluwały różowe od gazu ciała, żywi interesowali się wyłącznie własnym życiem. Ludzie potrafili zazdrościć innym kromki chleba i mogli dla niej zabić. Jednak przedmiotem zazdrości innych więźniarek było

uczucie Weimerta. Bo niby dlaczego w niej, a nie w nich miał zakochać się esesman? Czy inne były gorsze od Mileny? I czy w ogóle w takim miejscu jak Auschwitz można mówić o zakochaniu? Nawet Milena musiała w końcu przyznać, że stała się ofiarą paradoksu. Ów paradoks polegał na tym, że ona żyła dzięki swemu wrogowi. Jeszcze półtora roku wcześniej gotowa była przysiąc, że go nienawidzi i gdyby mogła, naplułaby na jego mundur. Teraz wiedziała, że tego nie zrobi. Żyła tylko dzięki niemu.

* * *

W Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku Franz Weimert nie potrafił się cieszyć. Gdy inni esesmani składali sobie najlepsze życzenia, wręczali prezenty, a w świetlicy dla SS stanęła wielka choinka, uznał, że to największy absurd, jaki widział w życiu. Doszedł do wniosku, że chrześcijański świat Niemiec zawiódł na całej linii. Czuł głębokie obrzydzenie do religijnych obrzędów, podczas gdy w obozie umierali upadłani ludzie. Franz pragnął odkupienia, ale zarazem wyczuwał, że nie potrafi być dłużej religijny w takim stopniu jak w dzieciństwie i młodości. Zrozumiał, że dorosłość to życie bez złudzeń.

Milena nie obchodziła żadnych świąt. Miała wrażenie, że Bóg opuścił lud Izraela i wydał go na pastwę najstraszliwszych wrogów. Jednak żyła dzięki uczuciu jednego z nich. Kilka miesięcy wcześniej na sam widok jego munduru drętwiała z pogardy i przerażenia. W końcu dostrzegła też, że pod tym mundurem kryła się miła powierzchowność młodego człowieka. Weimert był niewysokim szatynem. Gdyby nie miejsce, w jakim go poznała, uznałaby, że jest całkiem przystojny. Kiedyś leżąc w baraku w dotkliwym i przejmującym zimnie, próbowała sobie wyobrazić, że spotykają się w innych realiach niż wojenne. Czy wówczas on, chrześcijanin, goj i Niemiec, zwróciłby uwagę na żydowską dziewczynę? Wiedziała, że hermetyczność jej własnego żydowskiego świata wykluczyłaby taki związek. Z tym większym potępieniem przyjęłaby społeczność żydowska to, gdyby po wojnie ona z nim została. Przypomniała sobie słowa, jakie kiedyś powiedział jej

ojciec:

– Pamiętaj, że Najwyższy przeznaczył ci życie żydowskiej żony i matki.

Zwierzyła się w końcu ze swoich duchowych rozterek Wandzie. Żydowska lekarka z wyzynn swego życiowego doświadczenia powiedziała jej:

– Nie ma w tym twojej winy. To, że Weimert cię pokochał, to zrządzenie Najwyższego. Dzięki temu żyję ja i żyjesz ty. To on wyciągnął mnie z kolejki do gazu. Nie okazał żadnego strachu przed Mengelem.

Milena wiedziała, że to Franz uratował Wandzie życie. Była tak przejęta tą selekcją. Zajęta tylko swoim wstydem. Nie chciała, żeby on widział ją nagą. Mimo prawie dwu lat w obozie gdzieś na dnie duszy zachowała te elementarne uczucia, jak wstyd. To był kolejny paradoks jej relacji z Weimertem. Jego uczucie sprawiało, że ona pozostawała człowiekiem. A przecież widziała, że w Auschwitz odzierano człowieka z godności tak dokładnie, że widok sterty zamrożonych trupów przed barakiem po zimowej nocy naprawdę na nikim nie robił wrażenia. Zbyt wielu ludzi patrzyło w obozie na zwłoki człowieka, jak gdyby była to padlina świni.

Nie wstydziła się natomiast prosić Weimerta o różne rzeczy.

O przeniesienie jakiejś osoby z jednego komanda do innego, o lekarstwa, o wyciągnięcie kogoś z transportu. I on wyciągał te osoby. Robił to dla niej, wykorzystując swoje stanowisko i kontakty. Mógł przecież powiedzieć, że to niebezpieczne i że nie może się na to zgodzić. Jednak świadomie podejmował ryzyko. Wytłumaczył jej to kiedyś na skrawku bibuły:

**POMOC CI SPRAWIA MI PRZYJEMNOŚĆ. MUSIMY
BYĆ JEDNAK BARDZO OSTROŻNI.**

Pomagało jej to zrozumieć, że on dokonywał cudów, żeby spełnić jej prośby. Ale robił to z zadziwiającą precyzją. Istniało ryzyko, że obozowe Gestapo natrafi na ślad tych machinacji, ale Weimert zawsze starał się, żeby nie zostały żadne dowody. Jeden z najgroźniejszych potencjalnych świadków, Tłusta Inga, już nie

żył. Milena nie miała wątpliwości, że Weimert przyczynił się do jej śmierci. Cieszyła się, że to zrobił. Gdyby mogła, sama zabiłaby kapo.

W końcu napisała, że jest mu wdzięczna za to, co zrobił dla niej i dla innych. Zdobyła się tylko na tyle. Nie chciała pisać, że go lubi. Wciąż się przed tym wzdrygała. Nie zdawała sobie sprawy, że Weimert czytał tę bibułę dziesiątki razy i włożył ją do modlitewnika karmelitanki zamordowanej w komorze gazowej w czterdziestym drugim roku. Nie przypuszczała, że wszystkie listy, w których okazywała choćby cień sympatii do niego, Weimert traktował jak relikwię.

W końcu jedna z czeskich Żydówek, pracujących z Mileną w komandzie *Weisskäppchen*, powiedziała do dziewczyny:

– Jesteś królowa Estera.

Milena bardzo się wzruszyła. To nawiązanie do biblijnej postaci oznaczało, że nie musi już bać się plotek. Ludzie wiedzieli, że nie miała wyboru. Ale w swoim zniewoleniu robiła wiele, żeby dzięki Weimertowi inni mogli żyć. Nie potrafiła jednak w pełni uwolnić się od poczucia winy.

W jej sytuacji, bardzo złożonej pod względem moralnym, każde świństwo, jakiego dopuszczał się Weimert, automatycznie jej przypisywano. Wiele więźniarek w komandzie wiedziało przecież, że Milena była „jego” Żydówką. Czasami podczas ciężkiej pracy w „Kanadzie” dawały znać o sobie głęboko do tej pory skrywane namiętności. Ci, którym uratowała życie, uprosiwszy u Weimerta pomocy, byli jednocześnie głęboko uwrażliwieni na zło, które wyrządzał. Ponieważ często puszczały mu nerwy i zaczynał bić, wówczas z pretensjami przychodzono do niej. Musiała wysłuchiwać żalów, pretensji i wyzwisk. A przecież nie mogła odpowiadać za coś, czego nie robiła. Starła się jednak rozumieć Weimerta, który działał w ekstremalnych warunkach. Na pewno próbował skrzętnie ukryć swoje uczucie do niej, jak podejrzewała, nie mając jednocześnie pojęcia, że Gestapo było już na ich tropie.

Przeżywała również duchową mękę, gdyż wiedziała, że jest od niego całkowicie uzależniona. Żyła, ponieważ on ją kochał, i tym

samym wbrew sobie zaciągała u niego niespłacalny dług. Nawet najprostszy list od niej rozbudzał w Weimerce nadzieję na odwzajemnienie jego uczucia. Milena bała się przyszłości. Często miewała sny, że nawet po wojnie Weimert będzie stale obecny w jej życiu. Budząc się, miała wrażenie, że już nigdy nie będzie mogła żyć dla siebie, tylko dla niego.

Ta dramatyczna huśtawka nastrojów nie była dla niej jedyną męczarnią. Żyła w piekle Birkenau, w błocie, brudzie, smrodzie. Widywała codziennie nowe trupy kobiet umierających w nocy na swoich pryczach i wyrzucanych przez sztubowe na zewnątrz. Dziewczyna czuła, że stało się coś niedobrego z jej własną duszą. Jej wrażliwość stępiała. Najczęściej nie reagowała na widok ludzkich zwłok, nawet nagich, kościstych, z dziurami wygryzionymi przez ogromne obozowe szczury. Pragnąc przeżyć, nie mogła uzalać się nad nimi. Tutaj już nikt nie płakał na widok zwłok współnika niedoli, z którym dzień wcześniej jeszcze dało się rozmawiać. Ktoś, kto przejmował się śmiercią innego, wpadał w rozpacz, a rozpacz była pierwszym krokiem na drodze do krematoryjnych pieców Birkenau. Milena skostniała w głębi swego serca. Atmosfera nieustannej, wszechpotężnej śmierci oddziaływała na jednostki jeszcze w miarę normalne i trzymające się życia.

* * *

Wczesną wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, kiedy w Auschwitz-Birkenau znajdowało się już prawie sto tysięcy uwięzionych ludzi, Weimert dostał pierwsze poważne ostrzeżenie od obozowego Gestapo. Pery Broad zaprosił go na rozmowę do baraku Gestapo znajdującego się obok pierwszej prowizorycznej komory gazowej w obozie macierzystym.

– Papierosa? – zapytał uprzejmie Broad.

– Z przyjemnością.

Franz poczęstował się papierosem. Z przyjemnością się zaciągnął. Przystępował do tej rozmowy ze świadomością jej wagi. Wiedział, że Broad, zapraszając go do baraku Gestapo, pragnął wyrzucić na nim odpowiednie wrażenie. Ale zarazem fakt zaproszenia, a nie aresztowania, oznaczał, że Gestapo nie ma nic

przeciwko Franzowi, poza plotkami.

– Franz, znamy się, więc nie będę owijał w bawełnę. Krążą plotki.

– Jakże?

– Że masz swoją Żydówkę.

Franz parsknął śmiechem.

– Tutaj każdy ma jakąś Żydówkę albo Polkę – powiedział. – Schillinger miał o jedną za dużo i popatrz, jak skończył.

– To nie jest zabawne, Franz.

– A co jest zabawne, Pery? Może blok numer dwadzieścia cztery w obozie macierzystym?

Wszyscy wiedzieli, że znajdował się tam dom publiczny dla więźniów. Himmler i władze obozowe, aby zapobiec szerzeniu się w obozie męskim homoseksualizmu, otworzyli w końcu burdel. Do pracy w nim zmuszono wiele młodych, ładnych dziewczyn, przeważnie Polek lub Rosjank. Więźniowie dostawali bilety do tego przybytku w nagrodę za dobre sprawowanie. Nikt nie przejmował się losem kobiet. Franz, wspominając o przybytku w bloku dwudziestym czwartym, dał Broadowi prztyczka w nos. Krążyły bowiem plotki, że wielu esesmanów korzystało z tego burdelu, oczywiście w tajemnicy, pomimo że mieli oni swój własny burdel. Stosunek seksualny z Polką albo Rosjanką był zbrodnią wobec niemieckiej krwi. Pery Broad był bardzo inteligentny i zrozumiał aluzję Franza.

– Krążą po obozie plotki, że łamiesz kodeks SS – gestapowiec próbował zaatakować z innej strony.

– Sprecyzuj, proszę, co masz na myśli, bo nie rozumiem – odparł Franz, uświadamiając sobie, że Broad ma wyjątkowo dobre papierosy, jak na czwarty rok toczącej się wojny.

– Tłusta Inga. Została zamordowana.

– Słyszałem.

– Wiesz coś o tym? – zapytał Broad.

– Wiem, że była waszym szpiclem – stwierdził Franz – ale nie wiem, kto ją zabił. Jak zginęła?

– Ktoś jej poderżnął gardło, kiedy poszła do sracza – powiedział

gestapowiec.

– To się nazywa gówniana śmierć – orzekł z ironią Weimert. – Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, zapewniam cię. Gdy mam ochotę kogoś zabić, używam pistoletu, a nie noża.

Broad popatrzył na Franza badawczo.

– Mamy poważne podejrzenia, że pomagasz jakiejś Żydówce.

Weimert odłożył papierosa i popatrzył Broadowi w oczy. Zachowywał się jak człowiek, który nie ma nic do ukrycia. Znajomość z gestapowcem dawała mu w tej rozmowie psychologiczną przewagę. Franz nie bał się Broada, bo zbyt wiele razy widział, jak ten, zupełnie pijany, chodził na czworakach po pokoju Guntza, udając Blondi, wilczycę Führera. Po chwili Franz powiedział:

– Pery, ja wiem i ty też wiesz, że przypuszczenia to za mało, żeby postawić esesmanowi zarzut zdrady. Doskonale wiem, że pomaganie wrogom, którzy są w tym obozie, jest zdradą Niemiec i Führera. Ale gdzie fakty? Gdzie masz zeznania Niemców, bo wiesz świetnie, że zeznania żydowskich podludzi albo Słowian nie mają żadnego znaczenia.

– Mamy zeznania Tłustej Ingi.

– Inga została wyrzucona z „Kanady” przeze mnie i Theodora Kratzera za oszukiwanie nas. Nie będziemy tego tolerowali. Zapytaj go, czy on wie o jakiejś „mojej” Żydówce. On naprawdę wie wszystko, co dzieje się w „Kanadzie”.

– Już go pytaliśmy. Wystawił ci wzorowe świadectwo. Tylko dlatego rozmawiamy teraz jak przyjaciele. Był pomysł, żeby oskarżyć cię o zdradę i aresztować.

– Kto wysunął takie oskarżenie?

– To nie twoja sprawa.

– Powiedz, kto to był? Grabner, a może ty? – dopytywał Franz.

– Mamy ustne zeznania. Inga nie zdążyła ich potwierdzić przed protokolantem.

– To proszę mnie oskarżyć – powiedział spokojnie Franz, dopalając papierosa. Wiedział już, że Gestapo ma za mało dowodów przeciw niemu.

– Chcę, żebyś potwierdził, że nie masz żadnych kontaktów z Żydówkami – powiedział Broad. – Za dobrze mi się z tobą pije wódkę i nie chciałbym, żeby to się zmieniło.

– Nie, nie mam – oświadczył Franz.

Weimert podniósł się i postanowił zakończyć rozmowę. Pogratulował Broadowi dobrych papierosów. Powiedział, że widział takie ostatnio w magazynach „Kanady” i gdyby kolega chciał czegoś naprawdę dobrego, to żeby się nie wahał i natychmiast do niego przyszedł. Wiedział, że wszyscy esesmani czerpali nielegalne korzyści z obozu. Przyłapał Broada na niekonsekwencji, ponieważ w świetle prawa nawet papierosy znajdowane w rzeczach „pożydowskich” należały do Rzeszy i ich kradzież była okradaniem niemieckiego państwa.

Franz wyszedł od Broada uspokojony. Spodziewał się, że plotki dojdą do Gestapo. Wydział Polityczny musiał je sprawdzić, ponieważ sprawa dotyczyła Niemca, członka załogi SS. Jednak Weimert znał tych ludzi. Z Broadem pił co tydzień wódkę. Nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd. Przysiągł więc sobie, że musi być jeszcze ostrożniejszy w kontaktach z Mileną. Miał świadomość, że pisanie bibulek było tylko z pozoru bezpieczne. Teraz nie mógł już mieć wątpliwości, że go obserwowano. Gestapo będzie szukało jakiegoś punktu zaczepienia, aby potwierdzić zeznania Tłustej Ingi. Jakie to szczęście, że jeden z sadystycznych kapo z obozu męskiego, którego Franz przekupił złotym zegarkiem, poderżnął tej tłustej suce gardło, kiedy poszła do sracza. Świadek już nic nie mógł potwierdzić.

Broad nie był przecież głupi i w istocie był trudnym przeciwnikiem. Mógł przypuszczać, że Franz ma nawet romans. Mógł przymknąć na to oko, ale do Gestapo wpłynęło doniesienie. Paranoja państwa nazistowskiego polegała na tym, że z chwilą wdrożenia jakiejś procedury administracyjnej nie można było jej cofnąć. Broad nie mógł ignorować oficjalnego doniesienia tajnego współpracownika Gestapo, jakim była Tłusta Inga. Tylko jej śmierć zawiesiła procedurę do chwili odkrycia nowych dowodów.

Zdecydował, że musi ostrzec Milenę i przekazać jej, że teraz

będą do siebie pisać tylko w nagłym przypadku. Chciało mu się wyć, że nawet ta forma kontaktu musiała ulec ograniczeniu. Kochał dziewczynę do szaleństwa i żył już tylko dla niej. Zachował jednak zimną krew. Jego nieostrożność mogła stać się dla Mileny śmiertelnym niebezpieczeństwem. Gestapo będzie czyhało na jego błąd. Podejrzenia Wydziału Politycznego, teraz już jasno wyrażone, stały się dla niego krańcowym egzystencjalnym doświadczeniem i probierzem jego człowieczeństwa.

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział XXXI

NAD PIĘKNYM MODRYM DUNAJEM

Węgry, marzec 1944

Matka Mileny od ponad dwóch lat mieszkała w Budapeszcie, w mieszkaniu starszej córki oraz jej męża. Nie przelewało im się, choć zięć znalazł posadę nauczyciela muzyki w domu bogatych ludzi. Żyli jednak skromnie, ponieważ siostra Mileny, Róża, musiała opiekować się dziećmi, a matka nie chciała pracować na swoje utrzymanie. Przez całe życie była przyzwyczajona do tego, że nie musi zarabiać, i nie potrafiła się odnaleźć w nowej sytuacji. Jedynym poważnym zmartwieniem matki była kartka, jaka pod koniec czterdziestego drugiego roku przyszła od Mileny. Dziewczyna znajdowała się w obozie Auschwitz. Matka i Róża uznały, że Milena na pewno jakoś sobie poradzi, najwyraźniej nie mając świadomości, jaką grozę ta nazwa budziła w Polsce. Żyli we względnym bezpieczeństwie, ponieważ właśnie do wiosny tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku Węgry były wyspą pokoju w morzu toczącej się wojny. Kraj stał się też azylem dla prawie ośmiusettyśięczonej społeczności żydowskiej. Ludzie, którzy zdołali uciec z Rumunii, Słowacji i Czech, mogli tu żyć spokojnie.

Pogarszająca się z miesiąca na miesiąc sytuacja Niemiec oraz ich sojuszników na froncie wschodnim, gdzie Wehrmacht stracił inicjatywę strategiczną na korzyść Armii Czerwonej, skłoniła rząd węgierski, na czele którego stał regent Miklós Horthy, do przemyślenia tej sytuacji. Optyka spoglądania w stronę Niemiec miała na Węgrzech swoją długą tradycję. To dziwne państwo, królestwo bez króla, na którego czele stał admirał dawnej austro-

węgierskiej marynarki wojennej, postanowiło dokonać politycznego zwrotu. Horthy jako pierwszy zrozumiał, że uparte trzymanie się rydwanu Hitlera skończy się dla Węgrów katastrofą. Zerwał z Niemcami i nakazał wycofać oddziały węgierskie z frontu wschodniego. Odważny gest admirała doprowadził Niemców do furii. Obawiali się powtórki z Włoch rok wcześniej, gdzie aresztowano Mussoliniego i wypowiedziano wojnę Niemcom. Tak więc w marcu czterdziestego czwartego roku oddziały niemieckie wkroczyły na Węgry.

Rodzina Mileny bardzo obawiała się Niemców. Na Węgrzech słyszano o tym, co działo się z Żydami w Polsce oraz w Związku Radzieckim. Uciekinierzy, którzy trafiali tu z Polski, opowiadali, że Niemcy mordują Żydów w obozach śmierci. Przyjmowano na ogół te straszne wiadomości z pewną rezerwą, ale strach przed Niemcami pozostał. Żydzi nie mogli przypuszczać, że zaczął się najstraszniejszy okres w ich życiu.

Wkrótce w ślad za armią niemiecką do Budapesztu przybył też *SS-Obersturmbannführer* Adolf Eichmann z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. To on wraz ze swoimi najbliższymi współpracownikami z referatu żydowskiego RSHA zorganizował masowe deportacje ludności żydowskiej do obozów zagłady. Ludzie Eichmanna zabrali się od razu do pracy, choć Armia Czerwona znajdowała się o jakieś dwieście kilometrów na wschód od węgierskiej granicy. Decyzja o deportacji Żydów wymagała porozumienia z Węgrami. W końcu admirał Horthy zgodził się na aresztowanie wszystkich Żydów, a niemiecka kolej już wysłała długie składy bydłowych wagonów na Węgry.

Eichmann prowadził także pertraktacje z przywódcami gmin żydowskich. Maszynieria zagłady perfidnie zakładała, że ofiary same się policzą i same spiszą listy przewozowe. Wieść o planowanych deportacjach rozeszła się lotem błyskawicy. Osoby żydowskiego pochodzenia były teraz narażone na straszliwe upokorzenia ze strony węgierskich faszystów, zwanych strzałokrzyżowcami. W konsulatach państw neutralnych – Hiszpanii, Szwecji i Szwajcarii, ustawiały się długie kolejki

zastraszonych ludzi, których jedynym marzeniem było dostać upragnioną wizę emigracyjną. Mimo poświęcenia takich ludzi jak szwedzki dyplomata Raoul Wallenberg, który zdołał uratować przed deportacją tysiące osób, nie można było zapewnić wizy bezpieczeństwa ośmiuset tysiącom węgierskich Żydów. Rodzina Mileny próbowała zdobyć szwedzkie wizy, ale szczęście mieli ci, którzy mieli więcej pieniędzy.

W końcu strzałokrzyżowcy wpadli w szał. Rozpoczęły się piekielne ekscesy antysemickie. Żydów zmuszono do noszenia żółtej gwiazdy, znaku hańby, napiętnowania i upokorzenia. Strzałokrzyżowcy wybijali szyby w żydowskich kamienicach. Coraz częściej zdarzały się pobicia, skrytobójstwa i gwałty. W końcu kwietnia czterdziestego czwartego roku Eichmann dopiął swego. Z miejscowości Győr wyjechał pierwszy transport do Auschwitz.

* * *

Milena nic nie wiedziała o dramatycznych wydarzeniach na Węgrzech. Myślała, że jej rodzinie jakoś się wiedzie. Czasami snuła marzenia, że może Róża zdołała przekonać matkę i wyjechały przez Rumunię i Bułgarię do Palestyny. Starła się przeżyć, choć życie w obozie koncentracyjnym było najgorszym z możliwych.

Transporty Żydów węgierskich już na początku maja były tak liczne, że fabryka śmierci w Birkenau nie mogła podobać temu gwałtownemu popytowi na śmierć. Kierujący akcją zagłady Hoss nie tylko doprowadził do tego, że pociągi zatrzymywały się na rampie oddalonej od komór gazowych i krematoriów o jakieś trzysta metrów. Nakłonił też trzeciego z kolei komendanta Auschwitz-Birkenau, Richarda Baera, przedwojennego piekarza, do odkopania starych dołów spaleniskowych w rejonie nieczynnych dwu prowizorycznych komór gazowych, „białego i czerwonego domku”. Gdy tego było mało, Hoss przekonał komendanta do otworzenia na nowo „czerwonego domku”, powiększenia stanu osobowego *Sonderkommando* zajmującego się spalaniem trupów i wykopania nowych czterech wielkich dołów spaleniskowych w lesie za krematorium numer pięć. Na tej pięknej łące rozgrywał się codziennie najstraszliwszy horror wyciągania i palenia na

wolnym powietrzu tysięcy ciał pomordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci.

* * *

Mąż Róży, Chaim, przez dwa tygodnie bezskutecznie starał się o szwedzki paszport emigracyjny dla siebie, swojej żony, dzieci i matki. Nie udało mu się, głównie dlatego, że nie miał dość pieniędzy. Oczywiście, że nikt nie przekupywał Szwedów. Oni nie potrzebowali żydowskich pieniędzy. Człowiek z dużymi pieniędzmi, aby przesunąć się w tej kolejce po życie, przekupywał tego, kto nie miał pieniędzy i był dostatecznie głupi i chciwy. Łasi na pieniądze byli węgierscy strzałokrzyżowcy, napadający na Żydów i mordujący ich owej wiosny na węgierskiej prowincji. Na pieniądze łasi byli też ludzie Eichmanna, organizujący deportacje. Mając świadomość nieuchronnego przybliżania się frontu, esesmani nie gardzili niczym, co pomogłoby im zniknąć, gdy zapadnie kurtyna.

Jednak okrucieństwa węgierskich faszystów miały dla Niemców niespodziewanie pozytywny skutek. Wielu ludzi poddanych prześladowaniom zaczynało wierzyć, że ujdą z pogromów, wsiadając do niemieckich pociągów. Niemcy bezustannie powtarzali, że Żydzi pojedą do pracy na zapleczu frontu w Polsce. Nikt ze starszyzny w to nie wierzył, ale siła złudzeń właściwa ludziom znajdującym się w niebezpieczeństwie była przecież ogromna. Ludzie w takim położeniu pragnęli zawsze wierzyć, że ujdą cało z potopu.

Rodzina Róży skłonna była zgodzić się na deportację. Ale wówczas swoje twarde, kategoryczne weto postawiła matka. Była wielką egoistką, ale w poczuciu bezpośredniego zagrożenia nie straciła odrobiny zdrowego rozsądku. Transport w bydłącym wagonie nie wróżył nic dobrego. Matka powiedziała, że przenigdy nie wsiądzie z własnej woli do tego pociągu. Powstała sytuacja patowa. Rodzina pragnęła się ratować, ale nie wiedziała jak. Róża nieustannie wyrzucała matce, że lekkomyślnie pozbyli się zbieranych przez ojca austro-węgierskich złotych guldenów. Ten kapitał matka wywozła przed dwoma laty ze Słowacji, ale kilka pierwszych miesięcy wspólnego życia było naprawdę trudnych,

ponieważ Chaim stracił wówczas posiadłość. Matka nie chciała iść do pracy, więc przez prawie rok żyli z oszczędności. Przepuścili je i teraz nie mieli czym opłacić wymarzonych szwedzkich paszportów.

– Jak mogłaś być tak głupia, mamgo?! – pytała zrozpaczona Róża.

– Ja byłam głupia?! – Matka wpadała w szewską pasję, słysząc pretensje pod swoim adresem. – A kto na mnie wymógł, żeby ruszyć złoto po ojcu?

Matka i córka nieustannie spychały na siebie odpowiedzialność za sytuację, w której się znaleźli. Rodzina nieustannie ociągała się z decyzją i kłóciła. Tymczasem w Budapeszcie rozpoczęto regularne polowanie na ludzi. Strzałokrzyżowcy codziennie kogoś mordowali, a umęczone ciała wrzucali do Dunaju. Stolica Węgier spłynęła krwią. Opuchnięte ciała rzeka wyrzucała na brzeg, jak na ironię na wysokości majestatycznego gmachu parlamentu. Nikt nie miał ochoty ich wyławiać i grzebać. Niesiony z wiatrem słodkawy zapach śmierci wdzierał się do wszystkich secesyjnych dzielnic wielkiego miasta.

* * *

Dwudziestego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku rodzinę Mileny wyrwali ze snu strzałokrzyżowcy, którzy wdarli się do ich mieszkania. Mężczyźni byli pełni nienawiści, zionęło od nich nieprzetrawionym alkoholem. Matka śmiertelnie się ich bała, lecz mąż Róży, Chaim, nawet nie próbował dyskutować. Strzałokrzyżowcy zamordowali już w Budapeszcie setki, jeśli nie tysiące ludzi. Rodzina musiała się spakować w ciągu pół godziny.

Popędzono ich na dworzec Keleti. Tam ujrzeli innych: rodziny z dziećmi, ludzi starszych i w sile wieku. Czekali kilka godzin, aż wreszcie na peron dworca wtoczył się długi, bo liczący trzydzieści wagonów, bydłący skład. Zaczęły się protesty, ale szybko uciszyli je strzałokrzyżowcy, tłukąc Żydów kolbami karabinów, drągami i czym popadło. Wszystkie wagony miały emblematy niemieckich kolei. Jednak ludzie nie chcieli wsiadać dobrowolnie, więc

strzałokrzyżowcy siłą wpędzili ich do wagonów. Załadunek trwał ponad trzy godziny.

Dzieci Róży i Chaima nie chciały wsiąść do pociągu. Płakały. Rodzice wzięli je na ręce. Róża bardzo się o nie bała. Nie zdążyli nic zjeść przed opuszczeniem mieszkania. Matka Róży wsiadła spokojnie do wagonu. Powiedziała Chaimowi, że chyba nie wyjdą z tego żywi.

– Co też mama znowu opowiada – odparł zięć.

Drzwi wagonów zostały zamknięte, ale skład dalej stał na stacji. Gdy minęło kilka następnych godzin oczekiwania bez jedzenia i wody, strzałokrzyżowcy i niemiecka policja porządkowa przyprowadzili następnych skazańców. Tym razem byli to ludzie dobrze sytuowani, w tym dwóch rabinów z rodzinami. Część z nich upchnięto w wagonie, w którym przebywała rodzina Mileny. Ludzie ci, w przeciwieństwie do biedaków wyciągniętych ze swoich domów rano, mieli ze sobą zapasy jedzenia oraz wody. Matka Róży zdołała uprosić wodę dla dzieci. Dostała dwie butelki, które musiały starczyć na całą podróż.

Dopiero wieczorem, kiedy cały skład zapełnił się ludzkim ładunkiem, Niemcy zdecydowali, że pociąg mógł ruszać. Miał jechać do Auschwitz trzy dni i noc.

Rozdział XXXII

JĄDRO CIEMNOŚCI

Pewien młody, liczący niespełna osiemnaście lat człowiek ukrywał się w zgliszczach getta w Sosnowcu, największego na Śląsku. Jego rodzina została najprawdopodobniej wywieziona do Auschwitz rok wcześniej, a jemu udało się przeżyć wśród ruin. Miał bardzo silną wolę przeżycia oraz instynkt walki, który nie pozwalał mu poddawać się rozpacz, nawet wówczas, gdy wydawało się, że nie ma już nadziei. Chłopak był bardzo silny fizycznie. Z łatwością mógłby wyważyć okno wraz z framugą. Przeżył dzięki pomocy dwojga dobrych ludzi, Polaków, którzy w początkach wojny stracili syna. Pomagali oni żydowskiemu chłopcu, dzieląc się z nim jedzeniem.

Jednak wiosną czterdziestego czwartego roku jego szczęście się skończyło. Przyuważył go bowiem kolega ze szkolnej ławy, młody sympatyk endecji. Przez kilka dni śledził starszego człowieka, który zanosił jedzenie w ruiny getta. Pewnego razu poszedł za staruszką i zauważył młodego Żyda, który wypełził z kryjówki. Polak dyskretnie się wycofał i złożył donos do niemieckiej policji porządkowej. Powiedział, że może wskazać miejsce, gdzie ukrywa się Żyd. Niemcy poszli sprawdzić doniesienie. Wywlekli młodego Żyda w nocy, kiedy ten spał w kryjówce. Policjanci zaświecili mu latarką w oczy. Żydowski chłopak, nie wiedząc nawet, kto go wydał, trafił do aresztu śledczego w Mysłowicach. Służył on za główne policyjne więzienie niemieckie na Śląsku. Przebywali tu podejrzani o działalność antyniemiecką, członkowie Armii Krajowej, komuniści, Żydzi i wszyscy ci, którzy nie podobali się władzom niemieckim. Żydowski chłopak przebywał w więzieniu kilka dni. Przesłuchiwano go, ponieważ niemiecka policja nie mogła uwierzyć, że samotny nastolatek potrafił przeżyć tyle miesięcy w opustoszałym sosnowieckim getcie. Podejrzewano, że ma współników, że ktoś mu pomagał. Ale młody Żyd nie wydał staruszków. Powiedział, że zdołał przetrwać sam w ruinach getta,

żywiąc się odpadkami. Nie uwierzono mu. Po kilku dniach zapadła decyzja, że młody Żyd pojedzie do Auschwitz.

* * *

Chłopaka przywieziono do obozu razem z dziesięcioma innymi więźniami z myśłowickiego więzienia. Byli to Polacy, członkowie ruchu oporu i jakiś ksiądz. Ciężarówka zatrzymała się przy nowej wielkiej saunie w Birkenau. Tam dokonywano przyjęcia do obozu.

Asystujący przy przyjmowaniu nowych więźniów sanitariusz SS był pod wielkim wrażeniem bicepsów chłopaka. Przyszedł mu do głowy perwersyjny pomysł. Niemiec podszedł do młodego Żyda i zapytał:

– Czy wierzysz, Żydzie, w Boga?

– Tak – odpowiedział chłopak.

Niemiec uśmiechnął się złośliwie. Najwidoczniej spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi.

– W takim razie będziesz mógł się przekonać, że go nie ma.

Niemiec skinął na dwóch więźniów funkcyjnych, aby przypilnowali młodego siłacza.

– On ma trafić do baraku trzynaście – powiedział do nich Niemiec.

Kapo zarechotali. Popchnęli młodego człowieka. Nie musiał przechodzić przez procedurę formalnego przyjęcia do obozu. Nie wydano mu pasiaka, nie ogolono włosów na głowie i w pachwinach. Nikt nie wysłał go pod obrzydliwy prysznic w saunie. Funkcyjni zaprowadzili go jedynie do miejsca, gdzie wykonywano przepisowy tatuaż na lewym przedramieniu. Obóz Auschwitz był jedynym spośród hitlerowskich kacetów, w którym tatuowano wszystkim przyjętym do ewidencji więźniom numer obozowy. Ów numer stawał się nowym imieniem więźnia i jedynym znakiem odróżniającym go od innych numerów w tym piekle.

Chłopak niemający pojęcia, dokąd trafił, podszedł do tatuowania numeru ze spokojem, choć był to bolesny proces. Przyuczony więzień po prostu rył w skórze brudnym, zaostrzonym rylcem numer przypisany przez ewidencję obozu. Nowy przybysz nie chciał mieć jednak numeru wytatuowanego zbyt wielkimi

cyframi.

– Jeśli już mam mieć ten numer, to chciałbym mieć taki w sam raz. Małe cyferki, ładne, eleganckie, proszę.

Więzień popatrzył na niego zdumiony. Najwidoczniej ten Żyd nie wie, co go czeka, pomyślał.

– Mam to w dupie – odparł. – Będziesz miał taki, jaki ci zrobię, ty głupi Żydzie.

Młody człowiek jak gdyby czekał na zaczepkę. Był zirytowany koniecznością wykonania tatuażu. Był głodny i w głębi serca bardzo zaniepokojony. W jego przekonaniu istniał tylko jeden sposób zmanifestowania swojej niezgody na to, co go spotkało.

Z całej siły wymierzył tatuażystie cios pięścią w twarz.

Dwaj kapo usłyszeli tylko trzask łamanych kości podbródka i krzyk uderzonego. Sami nie należeli do ułomków i zdołali jakoś odciągnąć młodego siłacza.

– Taki z ciebie chojrak? No czekaj, ty cholerny Żydzie, będziesz mógł udowodnić, jaki z ciebie siłacz – powiedział jeden z nich.

Jednak młody chłopak musiał mieć numer. Trzymając go za rękę, wezwali innego więźnia, który znał się na tatuowaniu. Ten, widząc, jakie konsekwencje może mieć odmowa, zrobił chłopcu taki numer, jaki on chciał. Cyferki były małe, eleganckie i schludne.

Dwaj kapo zaprowadzili młodego człowieka do baraku trzynastego. Wrzucili go do środka i zamknęli za nim drzwi. Żyd, zupełnie nieświadomy tego, gdzie się znalazł, został kolejnym członkiem *Sonderkommando*.

* * *

Tego samego dnia, w którym chłopak z Sosnowca został więźniem *Sonderkomando*, dołączając do grona najniezwyklejszych spośród nieszczęśliwych, jacy chodzili kiedykolwiek po ziemi, pociąg z rodziną Mileny zbliżał się już do przedwojennej polskiej granicy. Za kilka godzin miał dojechać do miejsca przeznaczenia, nowej rampy w Birkenau. Tego też dnia Milena ciężko pracowała w magazynach drugiej „Kanady”.

Druga „Kanada” zaczęła ją przerażać swoim ogromem i liczbą waliz, ubrań i wszelkiego dobytku, jaki został zrabowany ludziom

zabijanym w komorach gazowych. Magazyn ten na planach architektów SS został oznaczony symbolem BIIG i znajdował się dokładnie między komorą gazową numer trzy i cztery. Po raz pierwszy Milena znalazła się tak blisko zagłady. Poinformowano więźniarki, że pod żadnym pozorem nie powinny podchodzić do kolczastego drutu otaczającego „Kanadę” i zbliżać się do wysokiego na prawie dwa i pół metra prowizorycznego płotu z wikliny i gałęzi. Za ogrodzeniem znajdowała się komora gazowa numer cztery, której piece w maju odmówiły posłuszeństwa. Liczba zwłok, których trzeba było się pozbyć, znacznie przewyższała możliwości pieców. Dlatego zza płotu często unosił się w górę ogień i dym ze spalanych na powietrzu ciał.

Milena widziała w jednym miejscu tak ogromną ilość ubrań i walizek, że nikt nie miał wątpliwości, że oto komando *Weisskäppchen* znalazło się na skraju otchłani. Jak na ironię, wiele kobiet czasami pragnęło odpocząć między górami ubrań, sprzętów domowych i nieprzeliczonej masy innych przedmiotów. Poza tym kwitł handel wymienny. Wszystkie kobiety w mniejszym lub większym stopniu były zaangażowane w ten proceder, ponieważ w Auschwitz można było wszystko załatwić, byle tak, aby żaden z esesmanów lub kapo tego nie zauważył. Sztuka podchodów i umiejętność handlowania czym popadnie w bezpośredniej bliskości wszechwładnej śmierci zaiste zasługiwała na miano sztuki życia.

W drugiej „Kanadzie” Milena czuła się krańcowo wyobcowana. Widząc codziennie tyle osób, których wcześniej nie spotkała, czuła się samotna. Wszystko odbywało się w ogromnym, nerwowym pośpiechu. Praca w pierwszej „Kanadzie” nie dawała jej w kość tak bardzo jak praca w drugim magazynie. Wszystko tutaj było większe, wszystko należało wykonywać szybciej i dokładniej. Akcja zagłady przybrała bowiem skalę nigdy wcześniej nieoglądaną. Nigdy w tak krótkim czasie nie przybyło do Auschwitz-Birkenau tylu ludzi mających umrzeć i nigdy jeszcze nie widziano w tym miejscu tak ogromnych ilości bagaży i dobytku. Gdzieś w tym młynie opieką otaczał ją Weimert. Teraz, wiosną czterdziestego

czwartego roku, doceniła jego obecność. To on zbudował wokół niej niewidzialną zasłonę, która zapewniała minimum bezpieczeństwa.

W nieustannym szale zabijania wszystko, co znała z dawnego życia przed obozem, czyli miłość, przyjaźń, moralność, religia, rozpadało się na cząstki elementarne i nabierało innego, przeciwnego znaczenia. Milena nie potrafiła więc już nazwać takimi samymi pojęciami rzeczy i zjawisk, które znała sprzed Auschwitz. Nie wiedziała, co to znaczy naprawdę żyć. Kiedyś miała pełną świadomość znaczenia słowa „życie”. Potrafiła nawet dostrzegać jego różne odcienie. A tymczasem jedyne życie, jakie znała, oznaczało mozolne segregowanie masy ubrań: męskich spodni, damskich spódnic, garsonek, płaszczy, dzieciennych ubranek, rękawiczek, guzików, kapeluszy, pasków, damskich беретów, torebek, puderniczek, papci, skarpetek, bielizny, wstążek do włosów i tysięcy niemych fotografii, ukazujących ludzi, których tu palono. Zdjęcia wysypywały się z zakamarków waliz, plecaków, portfeli. Milena niekiedy segregowała te zdjęcia. Miała wrażenie, że to wszystko nie działo się naprawdę, bo gdyby te fotografie ułożyć jak scenki w fotoplastykonie, można by oglądać niekończącą się sielankę rodzinnych spotkań, obiadków, zaślubin i wycieczek. Można by zobaczyć żywych ludzi, którzy obrócili się w nicość.

Milena nie chciała myśleć o ludziach z tych zdjęć. Nie potrafiła znieść psychicznego ciężaru pracy, jaką wykonywała. Czasami była już bardzo zmęczona. Chwytała wówczas taką wypadającą fotografię, przypatrywała się twarzy na niej i nie dostrzegała już różnicy między osobami. Wtedy odrzucała ją na stertę takich samych niemych odbitek. Po chwili jednak zdawała sobie sprawę, że już nikt nigdy nie rozpozna nikogo na tych zdjęciach, ponieważ tuż obok ginęły całe rodziny, małe mikroświaty. Zagłada oznaczała zatarcie pamięci o twarzach z tych fotografii. A ona dalej segregowała, coraz bardziej zmęczona, ale żywa. Jedyne różnica polegała na tym, że jej zdjęcie nie leżało na stercie. Ona dalej żyła w tym szale zabijania. I wiedziała, że żyje wyłącznie dzięki Weimertowi. Cokolwiek znaczyło teraz życie, to on je zapewniał. Powinna go nienawidzić, widząc tysiące fotografii żydowskich

kobiet i dzieci, które tacy jak on zabijali kilkaset metrów dalej. Nie potrafiła go nienawidzić. Dopiero przy stertach tych zdjęć zdała sobie sprawę, że w przewrotnym świecie Auschwitz Franz Weimert stał się jej najbliższym i zarazem najodleglejszym człowiekiem na ziemi.

Wiele kobiet z jej komanda miało kontakt z mężczyznami pracującymi za wiklinowym płotem. Wszyscy wiedzieli, że za to groziła kara śmierci, ale pokusa była zbyt silna. Wymieniali czasem złoty ząb na nowe spodnie albo dobre buty. Milena nigdy nikogo takiego nie spotkała, ale Wanda Zygielbojm powiedziała jej, że ci mężczyźni zza płotu byli silni, atletycznie zbudowani, dobrze odżywieni, ale tak naprawdę martwi już za życia. Mają śmierć w głębi siebie, w oczach, a ich dusze są zanurzone w niebycie. Z tego powodu ci ludzie nie czuli już nic. Nic ich nie obchodziło, nawet gdyby palili własną matkę albo własne dzieci. Milena wpadała w przerażenie, słysząc wiadomości od Wandy, która zapewne wiedziała, co mówi. Należała do obozowego ruchu oporu. Była jedyną osobą, której Milena ufała. Dziewczyna powiedziała jej o największym strachu, jaki nosiła w sercu. Wszystkie te rzeczy, które codziennie segregowały tej wiosny, należały do węgierskich Żydów. Milena bała się o swoją rodzinę. Co z nią się stanie, gdy podczas pracy rozpozna rzeczy własnej matki czy siostry? Była pewna, że poznałaby te ubrania i wydobyła je bez błędu z morza innych. Wanda pocieszała ją, jak mogła. Może rodzina wyjechała do Palestyny? Uchwyciwszy się tej myśli, Milena dalej segregowała ubrania i fotografie. Cieszyła się przy tym, że jej ojciec tego nie dożył. To się nazywa szczęśliwa śmierć, pomyślała.

* * *

Młody żydowski chłopak wrzucony przez dwu tęgich kapo do baraku trzynastego, gdzie mieszkali członkowie *Sonderkommando*, nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest, aż do ranka następnego dnia. Ktoś się zlitował i przyniósł mu kawał chleba.

– Masz i jedz – powiedział więzień. – My nie jesteśmy głodni.

Zjadł szybko. Podziękował. Wtedy inni zajęci jedzeniem albo odpoczywający na pryczach popatrzyli na niego jak na zupełnego

wariata. Ktoś powiedział:

– To nowy, jutro mu przejdzie.

Chłopak nie wiedział, co powiedział źle. Trochę go to irytowało, ale zasnął spokojnie na swojej pryczy.

Rano pognano ich do pracy. Starszy więzień, który go nakarmił, powiedział jeszcze dziwniejsze słowa niż wczorajszego wieczoru.

– Musisz wytrzymać pierwszy dzień. Jak przeżyjesz, to dalej będzie już dobrze. Każdy z nas przez to przeszedł.

– Czym się zajmujemy? – dopytywał chłopak.

Więzień nie odpowiedział. Szli kilka minut w stronę krematorium numer pięć, skrytego w zagajniku, naprzeciw wielkiej zielonej łąki. W tych ostatnich chwilach szczęścia wydawało się mu, że to nawet ładny ranek. Na czubkach drzew niecierpliwie skrzeczały sroki. Starsi więźniowie byli zupełnie zobojętniali. Oni szli wykonać swoją robotę. I już nic innego ich nie interesowało.

Weszli za wiklinowy płot odgradzający teren czwartego i piątego krematorium. W drodze mijała ich nocna zmiana. Młody człowiek z zainteresowaniem spojrzał na zmęczonych więźniów. Jedyne porównanie, jakie mu się nasunęło, to pracownicy huty. Gdy był małym chłopcem, widział takich ludzi na Śląsku. Wyglądali prawie tak jak ci: straszliwie zmęczeni, brudni, spoceni, niewyspani i... Jednak w ludziach, których właśnie minął, było jeszcze coś, czego nie rozumiał. W tych mężczyznach było coś potwornego, co naprawdę i do głębi przeraziło chłopaka. Nie mając jeszcze żadnego wyobrażenia o pracy, jaką wykonywali, łudził się myśla, że może nie będzie aż tak źle. Wiedział już, że znajdował się w niemieckim obozie koncentracyjnym. Nie wiedział jednak, jaka była istota pracy, do której został zmuszony.

W końcu doszli do celu. Znajdowali się na łące za krematorium numer pięć. Tutaj zaczynała się ich praca. Chłopak stanął jak wryty. Nie mógł się poruszyć, przykuty widokiem. Dopiero teraz dostrzegł, w jaką pułapkę wpadł. Zrozumiał, co znaczyły uśmiechy esesmana oraz kapo podczas tatuowania mu numeru. Zrozumiał też, że nie może się już cofnąć z tej łąki. Nie wiedział jeszcze, co

powinien zrobić. Patrzył na to, co znajdowało się przed nim.

Na łące wznosiła się góra ludzkich zwłok. Wszystkie te trupy były nagie, rozdęte od gazów i zalatujące już straszliwym odorem śmierci. Ciała kobiet, mężczyzn i dzieci leżały bezładnie rzucone jedno na drugie. Może czterysta, może pięćset, nikt by nie zliczył. Chłopak patrzył na tę górę ludzkich trupów i nie mógł uwierzyć własnym oczom. W jego umyśle pojawiały się pytania: co on ma teraz zrobić? Jak ma żyć? Jak ma wykonać pracę, do której zmuszają go Niemcy? Po chwili z całego świata jego marzeń, lęków i myśli pozostała już tylko ta jedna: on pragnie żyć dalej. Musi to przeżyć. W tej chwili pojawił się na łące potężny esesman, szef krematoriów Otto Moll, jeden z najbardziej sadystycznych katów, jacy chodzili po ziemi. Jego głos był władczy i skrzeczący. Moll powiedział, że to są trupy zagazowanych zeszłego wieczoru. Był maj i było ciepło. Ciał trzeba się niezwłocznie pozbyć. Moll zaakcentował, że praca musi być wykonywana sprawnie i szybko. Kazał wszystkim nowo przybyłym więźniom *Sonderkommando* spojrzeć na łąkę. Mają tam zaciągnąć trupy i wrzucić je do dołów, gdzie bez przerwy palił się ogień. Na zakończenie Moll powiedział, że jeśli ktoś nie będzie wykonywał rozkazów, zostanie zastrzelony albo wrzucony żywcem do pieca.

Chłopak był w głębokim szoku. Dla niego praca, którą miał zaraz wykonać, znajdowała się poza ludzką zdolnością pojmwania. Powoli podszedł do trupów. Zauważył, że poza tą górą ciał leżała na trawie kilkunastoletnia dziewczyna. Podszedł do niej. Musiał zdusić strach. Nie chciał patrzeć na jej twarz. Przemógł obrzydzenie i chwycił martwą dłoń. Próbował ciągnąć trupa po trawie. Ale właśnie dowiedział się, że ludzkie ciało w pośmiertnym stężeniu staje się dziwnie ciężkie. Nawet on, siłacz, miał z nim kłopoty. O mały włos się nie potknął. Zdołał pociągnąć trupa zaledwie kilka metrów i stanął. Uznał, że nie daje rady. Kiedy upuścił dłoń dziewczyny, zauważył ze zdziwieniem, że został mu w ręku duży płat skóry, który zszedł z jej dłoni i przedramienia. Chłopak strzepnął go nagłym ruchem dłoni, jakby pozbywał się kożucha na mleku.

Stał przez chwilę skamieniały. Chciał krzyczeć, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu. To był jego pierwszy niemy krzyk.

Patrzył bezradny i zrozpaczony na trupa dziewczyny oraz na wznoszącą się obok górę zwłok. Wówczas podszedł do niego starszy więzień z komanda. Wytłumaczył nieporozumienie.

– Źle zrobiłeś, bardzo źle, tak się nie da – mówił. – Musisz iść do kobiet z „Kanady”. Przemkniesz się, będę cię krył. Poprosisz je o dobry, mocny, skórzany pasek. Poprosisz o najlepszy. Kiedy dowiedzą się, że jesteś z naszego komanda, dadzą ci bez słowa. To dobre dziewczyny. Pamiętaj, że musi być bardzo mocny. Najlepiej weź ze dwa. Jak już będziesz miał ten pasek, przyjdź i pokażę ci, jak należy ciągnąć trupa. Po prostu założysz mu na rękę ten pasek i pociągniesz na łąkę. Tam się nim już zajmą. Dzisiaj uczysz się tylko ciągnięcia paskiem. Potem nauczę cię reszty.

Więzień zauważył, że chłopak drżał jak w febrze. Podszedł do niego i powiedział, żeby się uspokoił, bo płacz i nerwy nic mu nie pomogą. Nie ma wyjścia z tego komanda. Oni są inni niż reszta więźniów, bo muszą wykonać najstraszniejszą pracę, jaką człowiek mógł wymyślić dla drugiego człowieka. Muszą palić trupy, ich całe niewyobrażalne mnóstwo, muszą wyciągać je z komór gazowych, rozdzielać martwe matki i ich martwe dzieci za pomocą haków, muszą golić trupom włosy i wyrywać im złote zęby, bo z całego ludzkiego ciała, stworzonego na obraz i podobieństwo boże, tylko złote zęby mają jeszcze jakąkolwiek wartość. Muszą potem wlec trupy do dołów spaleniskowych, bo coraz częściej piece w krematorium cztery i pięć odmawiają posłuszeństwa. Muszą też ugniatać ludzkie kości specjalnymi tłuczkami, miażdżyć niedopalone kręgosłupy i miednice. Muszą rozsypywać, gdzie tylko się da, niewyobrażalne tony ludzkich kości i muszą z tym żyć. Muszą żyć, choć żyją w śmierci i w celu asystowania śmierci. Taki jest ich los i nie ma przed nim ucieczki. Jeśli ktoś nie wytrzymał, to zabijał go *Unterscharführer* Moll, który tutaj jest panem życia i śmierci. Strzelał do niego z pistoletu albo kazał mu wskoczyć do ognistego dołu na łące. I ludzie, mając dość tej pracy, przystawali na to.

Z tymi słowami starszy więzień pokazał łąkę. Chłopak jakby zbudził się z odrętwienia i skierował na nią wzrok. Nie widać było wielkiego dołu. Rosła tam bujna trawa. Ale z dywanu trawy podnosiła się ku niebu gęsta ściana dymu. Gdzieś strzelały w górę wielkie języki ognia. Kilku więźniów z komanda specjalnego stąpało ostrożnie między ciałami leżącymi w nieładzie na trawie. Dwóch z nich podniosło zwłoki chudego mężczyzny, rozhuštało je i wrzuciło w ogień.

– Jak mam dalej żyć? – zapytał chłopak więźnia.

Starszy człowiek patrzył na niego z politowaniem. Odpowiedział, że wszyscy przez to przeszli. Najstraszliwszy jest pierwszy dzień. Potem przychodzi całkowite zobojętnienie.

Tego dnia, kiedy żydowski chłopak z Sosnowca przeżył swój pierwszy dzień w *Sonderkommando*, pociąg z rodziną Mileny już zbliżał się do miejsca przeznaczenia.

* * *

Akcja mordowania węgierskich Żydów przez SS osłabiała psychiczne siły więźniarek pracujących w drugiej „Kanadzie”. Masa przedmiotów, jaka pozostawała po pomordowanych, robiła wielkie wrażenie. Ileż przerzuciły waliz? Ile par butów? Ile dzieciennych becików? Milena wiedziała, że liczby szły w setki tysięcy, a Niemcy nie nadążali z wywożeniem rzeczy do Rzeszy. Do „Kanady” przedostały się plotki, że znów zepsuły się piece w krematoriach cztery i pięć. Zresztą fakty świadczyły za siebie. W nocy od płonących stosów spaleniskowych biła taka łuna, że bez trudu można było rozpoznać poszczególne gałęzie na drzewach otaczających te dwa najbardziej oddalone od centrum obozu krematoria.

To Wanda Zygielbojm zauważyła tego młodego mężczyznę. Przyszedł któregoś dnia po południu. Było akurat bardzo duszno i zbierało się na burzę. Milena i Wanda po raz pierwszy zobaczyły człowieka z *Sonderkommando* i nie musiały nawet zadawać pytań. Po jego wyglądzie widziały, skąd przybył. Nie mogły jedynie odgadnąć celu jego wizyty.

– Czy mogłyby panie dać mi dobry skórzany męski pas do

spodni?

Wanda miała tego dnia dość wszystkich i wszystkiego. Pracowała zgięta przez cały dzień.

– A po co ci pasek? Mało roboty tutaj mamy? A poszedł stąd.

Chłopak jednak nie dawał za wygraną. Stanowczo domagał się paska. Twierdził, że jest mu potrzebny w pracy. Musi go mieć i już.

Wtedy Milena włączyła się do rozmowy. Tego dnia segregowały akurat męską konfekcję i szybko odnalazły to, na czym zależało chłopakowi – solidny, dobry pas ze skóry. Milena podeszła do chłopaka. Ale kiedy spojrzała mu w oczy, natychmiast cofnęła się przerażona. Zobaczyła w jego miodowych łagodnych oczach przeblysłk śmierci. Nagle zdała sobie sprawę, że on pachniał śmiercią. Miał śmierć we włosach i w oddechu.

Wziął od niej pasek bez słowa i mocno go naciągnął. Trzeszczał, ale nie puścił.

– Dobry. Dziękuję pani – wyszeptał.

Miał już odejść do swojej straszliwej pracy, gdy Milena go zatrzymała:

– Jak tam jest? Za płotem?

Podniósł na nią wzrok. Jeszcze dzisiejszego ranka mógł być szczęśliwym człowiekiem. Teraz, po pytaniu Mileny, zrozumiał, że niewiedza jest miarą szczęścia. W tej chwili wyraz jego oczu wydał się jej odrobinę ludzki.

– Pani tego nie chciałaby wiedzieć – odrzekł cicho.

– Pani tego nie zrozumie.

Rozdział XXXIII

NA RAMPIE

W wagonie, którym podróżowała rodzina Mileny, nie było czym oddychać. Za dnia ludzie mdleli, gdy upał na zewnątrz się wzmagił. Osoby słabsze, chore lub starsze umierały na stojąco. Nikt się nie przewracał, ponieważ panował niewyobrażalny ścisk. Żywi podróżowali razem z martwymi. Róża pomyślała nawet, że ci, którzy umarli, są szczęśliwi, ponieważ umieranie mają już za sobą.

Ona martwiła się o syna, który bardzo źle znosił podróż. Jechali prawie dwa dni i nikogo nie interesowało, czy mają dość wody. Ktoś powiedział, że jadą stale na północ i że zaczęły się góry. W ich cieniu trochę zmniejszył się upał.

Trzeciego dnia rano pociąg dotarł na miejsce. Niemieccy maszyniści wysiedli, a ich miejsce zajęli dwaj specjalnie przyuczeni esesmani. Pociąg towarowy wjechał przez bramę śmierci do obozu Birkenau. Wszystko było już przygotowane na przyjęcie nowego transportu. Jednak gdy skład się zatrzymał, nie otworzono od razu drzwi od wagonów. Więźniowie z komanda męskiego, mającego uprzątnąć bagaże pozostawione na rampie przez poprzedni transport, uwijali się w ukropie, żeby zdążyć wszystko załadować na wózki i wywieźć do magazynów „Kanady”. Nowo przybyli nie mogli przecież widzieć, że na rampie ktoś zostawił bagaże. To mogło wzbudzić podejrzenia, a SS nie życzyło sobie żadnych opóźnień w straszliwym procederze.

W końcu drzwi otworzono. Wysiadając, ludzie nie wiedzieli, dokąd przybyli. Każdy miał nadzieję, że zdoła tutaj jakoś przeżyć. Tego dnia na rampie Franz nadzorował pracę komanda sprzątającego. Widząc przybyłych, pomyślał, że życie to przyjemne złudzenie. Z doświadczenia wiedział, że osiemdziesiąt procent tych ludzi zaczęło właśnie dwie ostatnie godziny swojego życia. Za chwilę lekarze SS zaczną dzielić nowo przybyłych na tych, którzy mieli otrzymać dwa, może trzy miesiące hańbiącego życia w błocie Birkenau, oraz na tych, których tego samego dnia miały pochłonąć

nienasycone piece i wiecznie palące się doły spaleniskowe. Wtedy Franz już wiedział, jak bardzo jest zhańbiony. Zmienił się jednak dzięki uczuciu do Mileny oraz trosce o nią. Chciał napisać o niej matce, ale obawiał się Gestapo. Uczucie do Mileny paliło go w duszy jak rozżarzony węgiel, ale nie tylko dlatego cierpiał. Widząc kolejne transporty węgierskich Żydów, był pewien, że jest w piekle i że nic i nikt nie zdoła go z niego wyrwać.

Milena cierpiała inaczej niż on. Gdy segregowała ubrania ludzi z transportu z Węgier, myślała o matce i siostrze. Najbardziej bała się, że natrafi na ich rzeczy. Wtedy wiedziałyby, że musi dalej żyć ze świadomością, że już nigdy ich nie zobaczy. Przeżyła w Auschwitz ponad dwa lata i czuła, że jeśli je przetrwała, przetrwa wszystko. Gorzką ironią był jednak fakt, że przeżyła aż tyle tylko dzięki uczuciu jej wroga.

Dziewczyna zwierzyła się z obaw o swoją rodzinę Wandzie. Starsza więźniarka natychmiast odparła:

– Nie możesz myśleć, że oni nie żyją. Tak nie wolno. Nie wolno ci się poddać, skoro ty żyjesz dalej. Ja żyję, chociaż wiem, że nigdy nie zobaczę już mojej Rywki.

* * *

Kiedy Wanda podnosiła na duchu Milenę, pociąg z rodziną dziewczyny wjeżdżał na rampę w Birkenau. Matka Mileny wysiadła z wagonu jako jedna z ostatnich. Słaniała się na nogach. Jej organizm był odwodniony, ponieważ w czasie długiej podróży nie wypila nawet kropli wody. Wsiadłszy z pomocą jakiegoś przypadkowego pasażera, kobieta usiadła na żwirze. Ciężko oddychała. Obok niej byli inni starsi ludzie, którzy znaleźli się w takiej samej sytuacji. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, umarli w pociągu. Ich ciała pozostały w wagonach.

Róża nie miała czasu ani głowy do tego, żeby się zajmować matką. Razem z mężem próbowała ocucić córkę, dla której podróż w duchocie okazała się doświadczeniem ponad siły. Dziewczynka straciła przytomność. Róża odchodziła prawie od zmysłów, obawiając się jej śmierci. Zostawiła ją na rękach męża, a sama błagała o wodę, przechodząc nerwowo między ludźmi na rampie.

– Czy ktoś ma wodę? Potrzebuję wody dla mojego dziecka – prosiła, mówiąc na przemian po słowacku i węgiersku.

Jakiś więzień w pasiaku, który odbierał od nowo przybyłych bagaże, powiedział jej mieszaniną polskiego i słowackiego, że woda nie jest potrzebna.

– I tak za godzinę będziesz martwa, ty i twoje dzieci.

Jednak jego głos umknął w harmiderze na rampie. Róża go nie usłyszała. Nie chciała się poddać. Chodziła między ludźmi, błagała o wodę, gdy słyszała odmowę, przeklinała i szła dalej, mając nadzieję, że ktoś da jej choć trochę wody. Bezsilna, z płaczem wróciła do męża. Mała nie ocknęła się ze snu, ale Chaim uspokoił żonę, że dziewczynka śpi z wyczerpania.

* * *

Było majowe popołudnie, gdy w obozie kobiecym znów zarządzono *Lagersperre*. Należało przerwać pracę i natychmiast pod groźbą śmierci udać się do baraków. W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku niemal codziennie ogłaszano ten rozkaz. Obóz prawie nie pracował. Pracowały za to w oszalałym tempie więźniarki sortujące nieprzebraną różnorodność „Kanady”. Utworzono nową komandę kobiety do obsługiwanego dziesiątków tysięcy nowych bagaży, których właściciele już nigdy mieli się nie zgłosić.

Tego popołudnia Milena czuła się dziwnie zaniepokojona. Była w tym stanie nieprzyjemna nawet dla Wandy, co naprawdę zdarzało się rzadko. Ale Wanda nie była małostkowa. Milena natomiast nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego zachowuje się tak, a nie inaczej. Po pewnym czasie wyszła z baraku, gdzie pracowały. Nowa kapo nawet jej nie zatrzymywała. Wszyscy wiedzieli o związku dziewczyny z Weimertem. Nikt nie śmiał jej wchodzić w drogę.

Gdyby tylko mogła, Milena zapaliłaby papierosa. Kiedyś popalała w kabarecie wraz z Luną. Teraz nie miała przy sobie papierosów. Były zbyt cenną walutą w obozie, ulubioną przez więźniów funkcyjnych i strażniczki. I właśnie wtedy postanowiła podejść do drutów oddzielających „Kanadę” od płotu krematorium

numer cztery. Spomiędzy stert ubrań dawało się zobaczyć drogę, którą przechodzili ludzie skazani na śmierć. Milena nigdy tego nie robiła, ale nieoczekiwanie nawet dla siebie samej poczuła, że musi. Zaczynały się najtrudniejsze chwile w jej życiu.

* * *

Na rampie przygotowywano ludzi do selekcji. Dopiero teraz lekarze SS zyskali możliwość dokonywania jej na wewnętrznej rampie kolejowej. Droga do komór gazowych skracała się z dwu kilometrów do kilkudziesięciu metrów. Szeregowi esesmani wtajemniczeni w akcję specjalną nawoływali ludzi, by podnieśli się ze zwiru.

– Teraz będzie selekcja, a potem pójdziecie do pracy – zapewniali.

Jednak wielu ludzi nie chciało wstać. Dwóch młodych chłopców stojących niedaleko rodziny Róży i Chaima zaczęło płakać. Przerażało ich to miejsce. Matka Róży nie chciała wstać i powiedziała do zięcia:

– Czy nie daliby choć trochę odpocząć?

Jednak nie w tym miejscu. Tutaj nie istniało pojęcie odpoczynku. Matka musiała zatem wstać. Pomogła jej córka. Otrzeptały spódnice z brudu. W tym czasie syn Chaima i Róży zaczął głośno domagać się wody. Jednak nikt nie mógł mu jej dać. Ktoś zauważył, że po lewej stronie rampy znajdował się basen przeciwpożarowy, ale Niemcy nie pozwalali się do niego zbliżyć. Grozili, że będą strzelać. Większość ludzi bez słowa poddała się rozkazom, zajmując miejsce w tej kolejce. Wielu było zdziwionych:

– Załatwialiśmy paszporty szwedzkie w Budapeszcie, to były kolejki, i teraz kiedy już nas wywieźli, znów kolejka, nie rozumiem – rzekł starszy elegancki pan w czarnym kapeluszu.

Nikt z nich nie wiedział, że na tej rampie, którą jeden z lekarzy SS nazwał odbytnicą świata, *anus mundi*, ludzki los, czyjeś niepowtarzalne życie, różnobarwne i tak złożone, miało zależeć od ruchu ręki jednego człowieka.

– Mężczyźni na prawo, kobiety i dzieci na lewo – mówił esesman.

Wiele mężatek nie chciało się rozdzielić z mężem. Lekarz SS, ten w doskonale skrojonym mundurze, z brylantyną wtartą we włosy, z uśmiechem tłumaczył, że kobiety i mężczyźni muszą być policzeni osobno, bo praca w obozie wykonywana jest oddzielnie przez kobiety i mężczyzn. Niemcy muszą wiedzieć, ile ich jest, żeby przygotować odpowiednią liczbę miejsc pracy. To logiczne, więc wiele kobiet się zgodziło, ale jeszcze więcej nie dało temu wiary i trzeba je było odciągać perswazją.

W końcu Żydzi zostali podzieleni według płci. Tutaj już nic nie miało znaczenia. Bankier, profesor od muzyki, nauczyciel, szewc, buchalter czy nastolatek – wszyscy czekali na swoją kolej. Wreszcie, gdy dwie kolumny stanęły już po lewej stronie pustego pociągu, lekarz SS wymieniał jeszcze kilka organizacyjnych uwag z sanitariuszem SS i zaczął selekcję.

Jako pierwszy do lekarza podszedł sześćdziesięcioletni gruby mężczyzna. Miał podagrę, więc kulał i musiał podpierać się laską. Lekarz z uśmiechem zapytał:

– Ile masz lat, ojczy? – i nie czekając na odpowiedź, pokazał ręką na lewo.

* * *

Milena po jakimś czasie znów podeszła do ogrodzenia, sprawdzając, czy zobaczy kogoś na drodze. Wstydziła się przyznać przed sobą, że była ciekawa tych, których mieli dziś zamordować. Atmosfera zabijania i bezustannej śmierci po prostu oddziaływała na wszystkich, nawet na najbardziej szlachetne jednostki.

I wtedy dostrzegła Chaima, swojego szwagra.

Niósł nieprzytomnego kilkuletniego chłopczyka. Milena, z trudem powstrzymując spazmatyczny krzyk grozy, zebrała w sobie wszystkie siły. Podeszła do drutu kolczastego oddzielającego ją od drogi średnicowej, która wiodła do komór gazowych numer cztery i pięć. Zaczęła wołać do Chaima, żeby ją zauważył. Był zaskoczony nie mniej od niej.

– Czy to ty, Mileno?

– Tak. Nie mamy czasu na żadne pytania. Gdzie jest Róża?

– Nie wiem. Rozdzielili nas na rampie. Ona, nasza córka

i matka czekały jeszcze chyba na rampie. Kobiet było więcej...

Milena wiedziała to, z czego Chaim nie zdawał sobie dalej sprawy. W jednej chwili dziewczyna uznała, że to, czy powie mu prawdę, czy nie, nic nie zmieni. Była tylko jedna możliwość i postanowiła z niej skorzystać.

– Chaim, wyobraź sobie, że jesteś znów na rampie. Gdzie jest Róża? Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

Chaim nie rozumiał sensu pytania tak nieoczekiwanej spotkanej szwagierki. To jedno zdążył już sobie uświadomić. Na resztę zabrakło czasu. Po chwili odpowiedział, że na rampie wewnątrz obozu.

Ta odpowiedź dawała Milenie bezcenną wiedzę. Róża najprawdopodobniej nie przeszła selekcji (żadna kobieta nie zostawiłaby dzieci) i została skierowana drogą średnicową, odchodzącą od rampy, w głąb obozu.

– Ty nic nie rozumiesz... oddaj komuś syna i idź z powrotem na rampę. Powiedz, że chcesz do pracy, że nie masz rodziny ani dzieci. Powiedz tak...

Ale Chaim był dobrym ojcem i nie chciał tego zrozumieć. Nie zdawał sobie sprawy, że niosąc nieprzytomnego syna, nie wyjdzie żywy z budynku z czerwonymi dachówkami, który majaczył za wiklinowym płotem. Jeszcze jakieś sto, może dwieście metrów. Milena błagała, szlochała i powtarzała raz za razem, żeby zostawił dziecko. Dobry ojciec, który nigdy nie podniósł ręki na własne dziecko, miałby zostawić nieprzytomnego i odwodnionego syna? Nie, oczywiście, że nie zostawi. Chaim bardzo się tym zdenerwował.

Chaim przytulił nieprzytomne dziecko i skierował się w stronę komory gazowej. Milena krzyczała i w bezsilnej wściekłości szarpała drut kolczasty. Poraniła sobie dłonie. Czuła wewnątrz ból jeszcze gorszy od fizycznego.

Otarła łzy. Wstała. Musiała szybko odejść od drutów. I tak miała szczęście, że nie zauważył jej żaden z esesmanów. Milena wiedziała, że ma już mało czasu. Bała się, że nie zdąży. Bo istniała tylko jedna jedyna szansa na uratowanie życia jej siostry.

Pomyślała o wrogu, który ją kochał. Weimert był jedynym człowiekiem w tym przeklętym miejscu, który miał dość władzy, żeby wyrwać jej siostrę ze szponów śmierci. Pobiegnęła szybko do magazynów „Kanady”. Tylko tam mogła go znaleźć.

* * *

Franz Weimert od rana przebywał na rampie, nadzorując przenoszenie mienia po ludziach z transportów do magazynów „Kanady”. Wczesnym południem wrócił tam, żeby odebrać raport komanda sprzątającego bagaże. Znów kilkaset walizek. Dwudziestoosobowe *Aufräumungskommando* stało na baczność między rzędami waliz. Weimert był zmęczony. Myliły mu się słupki w tabelce sumującej liczbę zagrabionych przez Rzeszę walizek, plecaków i toreb.

Wtedy usłyszał, że ktoś bardzo wyraźnie go woła. Zirytowany odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Jego współpracownicy oraz funkcyjni więźniowie byli nie mniej zaskoczeni od niego. Żadna kobieta, do tego więźniarka, nie mogła tak po prostu wołać *Unterscharführera* SS. Weimert natychmiast ją poznał. Po dwóch latach wiedział, że Milena nigdy nie ośmieliłaby się przyjść do niego i wywołać go przed frontem kapo i więźniów w jakiejś błahej sprawie. Musiało się coś stać. Tylko bardzo poważny powód pchnąłby dziewczynę do tak nierozważnego zachowania. Tyle razy tłumaczył jej, że muszą zachować szczególną ostrożność w kontaktach, ponieważ obozowe Gestapo wszędzie miało uszy i oczy. Nie miał żadnej pewności, czy ktoś z więźniów z komanda sprzątającego albo kapo nie składa codziennego raportu o jego zachowaniu. Franz zdał sobie sprawę, że Milena stawia go pod ścianą.

Oddał kartkę z meldunkiem o kolejnym transporcie współpracownikowi i podążył w jej stronę. Boże, oni patrzą, pomyślał. Zastanawiał się, co się stało, bo odkąd poznał Milenę, nigdy nie widział jej w takim stanie. Musi odciągnąć ją od komanda i kapo tak daleko, żeby nie słyszeli ich rozmowy. Musiał ją ukarać. Zdał sobie sprawę, że wymierzając jej karę, ratuje jej życie. Więźniowie z *Aufräumungskommando* i ich kapo muszą widzieć, że

SS-Unterscharführer Weimert wymierza ostrą karę Żydówce, która śmiała go oderwać od pracy.

Weimert szybko podszedł do niej i natychmiast odciągnął za ramię o trzydzieści kroków. Dziewczyna łkała. Z dala ta scena wyglądała tak, jakby faktycznie Weimert wściekł się i zamierzał spuścić jej tęgie lanie za złamanie zakazu odzywania się do esesmana. W końcu, gdy był pewny, że nikt nie usłyszy ich rozmowy, rzucił Milenę na ziemię i wymierzył jej kilka razy jakimś kijem.

– Czy ty, do kurwy nędzy, postradałaś rozum?! – wściekał się. – Nie możesz ze mną rozmawiać w taki sposób! Narażasz swoje i moje życie. Muszę cię ukarać!

Milena dostała jeszcze kilka kijów, ale zupełnie na to nie zważała. Łkała i błagała:

– Ratuj ich...

Dopiero wtedy Weimert ochłonął.

– Co się stało?

Milena nie mogła opanować wielkich emocji.

– Moja siostra z dziećmi... moja mama... nie przeszły selekcji...

Przyjechały tutaj porannym transportem...

Weimert z miejsca przestał ją bić. Z daleka ta scena wyglądała tak, jakby wymierzył karę i czekał na reakcję więźniarki. Milena podczołgała się do niego na kolanach.

– Wstań. Oni patrzą. Niech myślą, że przyjęłaś karę.

Milena spełniła polecenie. Jeżeli kiedykolwiek, choćby przez jeden krótki moment swojego pobytu w tym piekle na ziemi myślała o nim jako o mężczyźnie, o jakiejś jego dobrej stronie, ukrytej głęboko pod mundurem z dwiema runami na kołnierzu, to właśnie teraz. Chciała wypowiedzieć słowa, które miały przyczynić się do zwieńczenia tej najosobliwszej miłosnej relacji pod słońcem.

– Błagam cię... Nigdy nie używałam twojego imienia... moja siostra z córką i mama zostały skierowane do gazu... Zrób coś, proszę cię, Franz.

On jak gdyby od dwóch lat czekał na te słowa.

– Kiedy?

– Jakieś pół godziny temu. Nie więcej.
– Skąd to wiesz?
– Widziałam przez druty szwagra. Był z synem... Próbowałam go przekonać. Żeby go zostawił, bo chłopiec był już nieprzytomny... Od niego wiem, że moja siostra poszła do komory numer cztery albo pięć.

Weimert już wszystko wiedział. Zwyczajowo po selekcji powstawały dwie kolumny ludzi. Mężczyźni rozdzieleni od kobiet szli zwykle prosto wzdłuż rampy w stronę krematorium numer dwa albo trzy, ale niekiedy duże grupy kobiet lub mężczyzn z dziećmi kierowano dłuższą drogą do dwóch pozostałych komór ukrytych w zagajniku. Znajdowały się na prawo od drugiej „Kanady”, więc Weimertowi wydało się logiczne, że Milena mogła spotkać szwagra. Gdyby nie to, jej rodzina by zginęła, a Milena nigdy nie dowiedziałyby się, co się stało z jej bliskimi.

W tej niewyobrażalnie trudnej chwili, gdy Weimert musiał podjąć jakąś decyzję, wydawało mu się, że byłoby dla niego i dla niej lepiej, gdyby nie wiedzieli, że właśnie ginie jej rodzina. Franz przyznał, że kochał Milenę trochę egoistycznie i nie chciał jej stracić po przegranej przez Niemcy wojnie. Czasami po prostu łudził się, że ona po tym wszystkim, czego doświadczyła, wybierze go z wdzięczności za uratowanie jej życia i zestarzeją się razem w Wiedniu. Ale kiedy przychodziła chwila otrzeźwienia, szybko nabierał przekonania, że to nie będzie nigdy możliwe. Auschwitz połączyło ich w dziwny i przewrotny sposób, ale i oddaliło. Ona nigdy nie zapomni przecież, że była ofiarą tego potwornego miejsca, a on nigdy nie zdejmie z siebie tego przeklętego munduru.

Odrzuciwszy egoizm, Weimert spostrzegł, że błaganie Mileny daje mu upragnioną szansę odkupienia śmierci harcerza na zwirowisku i tego straszliwego dnia z sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kiedy z własnej i nieprzymuszonej woli, za pół litra wódki i półtora kilograma kiełbasy zgodził się współuczestniczyć w zagładzie transportu holenderskich Żydów. Zginęła wtedy zakonnica, której brewiarz wciąż przechowywał. Nie mógł odmówić.

– Jak się nazywa twoja siostra?
– Róża Rederer z domu Zinger.
– Mileno – on też zwrócił się do niej po raz pierwszy po imieniu – zrobię, co będę mógł. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że tego nie będę mógł tak po prostu ukryć, ale zrobię to dla ciebie.

Spojrzała mu w oczy. Po raz pierwszy pragnęła w nim zobaczyć człowieka, który od dwóch lat zebrał o uczucie.

– Wierzę ci – powiedziała dziewczyna.

Mówiąc te słowa, Milena akceptowała go takim człowiekiem, jakim był, z całym bagażem okropności, za które odpowiadał. Równocześnie powierzała mu cały swój strach i nadzieję, swoją rozpacz i szczęście, jeśli mu się powiedzie.

Istniało jednak ogromne ryzyko i Weimert chciał, żeby dotarło to do Mileny. Nikt w Auschwitz nie wyciągnął jeszcze z komory gazowej żywego człowieka. Weimert zdawał sobie sprawę z ograniczeń i musiał zadać dziewczynie pytanie, którego ona nie chciała usłyszeć.

– Kogo mam wyciągnąć? – zapytał. – Wiesz, że dzieci nie mogą tu żyć.

Milena czuła, że to pytanie padnie. Wydawało się jej, że nie będzie w stanie udźwignąć tej decyzji. Ale faktycznie podjęła ją już wtedy, gdy powiedziała Chaimowi, żeby zostawił syna. Ona wiedziała to samo, co Weimert. On tylko to powiedział na głos.

– Dzieci nie mogą tu żyć – powtórzył. – Wiesz, że nie uda mi się ich uratować. Kogo mam ratować? Wiesz dobrze, o co pytam.

Odpowiedziała:

– Tego, kto będzie miał szansę przeżyć tutaj...

Kiedy to mówiła, wyła z rozpacz. Franz nigdy czegoś takiego nie widział. Był to szloch bolesnej świadomości, że ratunek przyjdzie tylko dla jednej osoby z trzech, które kochała. Oczywiście istniała szansa, że Weimert wyciągnie siostrę i matkę, ktoś jednak będzie musiał zostać z dzieckiem. Ale Milena wiedziała, że siostra najprawdopodobniej zrobi to, co każda dobra matka – umrze razem ze swoim dzieckiem. Milena nie mogła się z tym pogodzić.

* * *

Weimert już nie dbał o pozory. Liczył się czas. Podczas gdy jego komando stało osłupiałe na apelu, on poprosił Milenę, żeby natychmiast wróciła do pracy i czekała na niego w baraku, gdzie razem z Wandą codziennie sortowały damską konfekcję. Teraz już wiedział, czym była miłość, ale nie potrafiłby jeszcze zakończyć życia ze świadomością, że nie zrobił dla niej wszystkiego, co mógł.

W gruncie rzeczy bowiem esesman Franz Weimert przez dwa lata żył pod ciężarem spojrzenia zamordowanej żydowskiej zakonnicy, które spoczęło na nim, zanim ona zniknęła w czeluściach komory gazowej. Ten wzrok przeszywał go codziennie. Czuł go każdego dnia pracy, współudziału w selekcjach i całym tym szaleństwem. Ten wzrok nie opuszczał go w nocy. Czuł na sobie jego ciężar. Czuł się pod tym wzrokiem obnażony, a zarazem pragnął się wyzwolić spod jego władzy. Nie mógł jednak zdobyć się na to, żeby po prostu wyrzucić brewiarz tej zakonnicy, który przechowywał od dwóch lat.

Ta zakonnica, której imię bez przerwy gdzieś gubił w pamięci, stała przed nim znów odarta ze wszystkiego, co miała, nawet z godności. Weimert już wiedział, dlaczego musi pomóc Milenie. Chciał to oczywiście zrobić z miłości do niej, ale zarazem pragnął to zrobić dla siebie. Kiedy dziewczyna łamiącym się głosem błagała o uratowanie życia jej bliskich, Franz dokonał ostatecznego w swoim życiu wyboru, ostatecznie przypieczętował swoje uczucie.

Teraz już rozumiał spojrzenie zakonnicy, które prześladowało go przez tyle czasu. Ona patrzyła na niego wzrokiem pełnym miłości na moment przed własną straszliwą śmiercią. Franz potrzebował właśnie tej chwili, żeby to zrozumieć.

Rozdział XXXIV

TRZYSTA SEKUND

Weimert poszedł natychmiast do swojego biura. Tam trzymał teczkę z zagrabionymi dla siebie precjozami. Nie był głupi i wiedział, że po wojnie będzie musiał się jakoś urządzać. Ta teczuska była więc jego skromnym kapitałem na złe czasy, jakie miały nastać dla niego i jego rodziny po wojnie.

Szybko ją odnalazł w stercie papierów. Na szczęście Theodora Kratzera nie było w pomieszczeniu, więc mógł czuć się swobodnie. Wydobył złoty zegarek, także spinki do mankietów i srebrną papierośnicę. Drogocенności schował do kieszeni. Niepotrzebną już teczkę zamknął i odrzucił na stertę papierzysk. Potrzebował jeszcze tylko jednego świstka.

Z szuflady biurka wyjął przepustkę, bez której nie mógłby wejść do strefy, gdzie dokonywał się masowy mord. Wprawdzie wystawiono ją latem czterdziestego drugiego roku, ale nikt jej mu nie odebrał, więc był pewien, że jego imię i nazwisko jest na liście esesmanów bezpośrednio wtajemniczonych w „ostateczne rozwiązanie”, która leżała schowana w biurku komendanta Baera. Władze SS były pod tym względem bardzo skrupulatne. Chciały wiedzieć, kto jest upoważniony do oglądania tego, czego zwykły strażnik SS nie mógł oglądać.

Franz, na przykład, jako magazynier „Kanady”, osoba bezpośrednio związana z sortowaniem rzeczy zamordowanych, musiał podpisać zobowiązanie, że nie tknie niczego z „żydowskich ruchomości”. W przeciwnym razie groziła mu kara śmierci.

Szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie, Weimert wyszedł z „Kanady”. Przechodził najtrudniejszy sprawdzian człowieczeństwa w swoim dwudziestotrzyletnim życiu. Stawiał wszystko na jedną kartę. Mijając sterty ubrań, jakie pozostały po zgładzonych, czuł, że to miejsce hańby należało także do niego. Myślał jednak tylko o tym, jak wyciągnąć z komory gazowej siostrę Mileny albo jej matkę. Nikt przedtem nie wyciągnął z tego piekła

żywego człowieka. Miał świadomość, że precjoza, które znajdowały się w kieszeni jego munduru, starczą najwyżej na jedną osobę. Będzie musiał przekupić nie wiadomo ilu esesmanów nadzorujących komory gazowe. Jako nadzorca „Kanady” miał nieograniczony dostęp do zgromadzonego tam majątku. Zarzutów o łapówkarstwo nie musiał się obawiać. W Auschwitz wszyscy Niemcy kradli. Nikt nie był czysty i wszystkim zależało, aby śladów po korupcji nie zostało zbyt wiele.

Obawiał się czegoś innego. Co się stanie, jeśli zostanie tych ludzi już w komorze gazowej? Będzie musiał przekupić nie tylko nadzorcę, lecz także sanitariuszy wsypujących cyklon B. A lekarz? Kto tym razem będzie obserwował masowy mord? Doktor Entress czy sam Mengele? Franz zdawał sobie sprawę, że ten drugi jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem. On nie przyjmie łapówki za życie jednej Żydówki. Zastrzeli ją i Weimerta. Franz zdał sobie sprawę, że musi być przygotowany na ostateczność. Wyuczonym ruchem sprawdził, czy w kaburze tkwi jego parabellum. Wyciągnął je i odbezpieczył. W razie czego, myślał, zabiorę kilku z nich ze sobą. Sięgnięcie po broń miałyby sens tylko wtedy, gdyby jego korupcyjna propozycja nie spodobała się jakiemuś zagorzałemu zwolennikowi regulaminu.

Drugą „Kanadę” i komory gazowe numer cztery i pięć dzieliło raptem pięć minut marszu, ale dla Franza była to najstraszniejsza i najtrudniejsza droga. Wiedział już, że jeśli będzie musiał dziś umrzeć, to umrze ze świadomością, że chciał coś uczynić z miłości. Czuł, że w pełni odzyskał panowanie nad własną duszą i nad swoimi uczuciami. Pragnął się cieszyć tym powiewem życia w swoim sercu, który odczuwał po raz pierwszy, odkąd opuścił rodzinny dom w Drasenhofen. Wiedział, komu to zawdzięcza. Wzrok zakonnicy nauczył go miłości. Jej śmierć miała teraz być może przynieść komuś życie i przywrócić Franza Weimerta z cienistej krainy popiołów.

Jaki sens ma ratowanie jednego człowieka w sytuacji, gdy tysiąc innych ma umrzeć? Takie pytanie nieuchronnie zaprowadziło go znów do konfesjonału, sprzed którego krat uciekł

kilka lat temu, by wstąpić na drogę, która zawiodła go tutaj, na podmokłą łąkę Birkenau, wypełnioną trupami aż po horyzont. Jaki był sens tego wszystkiego? Franz musiał przyznać, że ów surowy, bezlitosny Bóg wiejskiego proboszcza z Drasenhofen, przed którym uciekł aż do SS, faktycznie nie istniał. On Go sobie takim stworzył. Weimert zdał sobie sprawę, że zachowanie zakonniczy sprzed dwu lat miało sens tylko wtedy, jeśli istniał inny Bóg. W drodze do komory gazowej Franz przeszedł ostateczne i nieodwracalne nawrócenie.

Zrozumiał, że istniał tylko Bóg żydowskiej zakonniczy, odarty ze wszystkiego: z godności, milczący, cierpiący, wstrząsająco ludzki i wystarczająco boski, żeby okazać się potężniejszym od każdych potworności, wynaturzenia, perwersji i śmierci, jakie władwały w Birkenau. W tego milczącego Boga, umierającego ze swoim narodem, zaczął znów wierzyć Franz Weimert, morderca, złodziej i kat, który zakochał się w żydowskiej dziewczynie skazanej na unicestwienie. Idąc w stronę krematoriów, po raz pierwszy od lat zaczął się modlić. Jednak nie wypowiedział ani jednego słowa. Nie musiał już nic mówić. Każdy jego krok w stronę jądra ciemności był modlitwą o to, aby niemożliwe stało się możliwe i realne. Wiedział, że zostanie wysłuchany, ponieważ szedł tam w imię miłości.

Po kilku minutach znalazł się przed ponaddwupółmetrowym wiklinowym płotem, który oddzielał obóz od tego, co działo się na podwórku przed krematorium numer cztery. Dostrzegł szparę w ogrodzeniu. Zajrzał przez nią, żeby zorientować się w sytuacji. Komora gazowa numer cztery, podobnie jak numer pięć, w całości została wybudowana na jednym poziomie, bez specjalnych pomieszczeń pod ziemią. Czwórka stała w cieniu za drzewami. Nikogo nie zauważył wokół budynku. Przez szparę dało się też zobaczyć, co działo się na łące oraz w sosnowym zagajniku przed komorą gazową numer pięć. Tam kręcili się więźniowie *Sonderkommando*. Wlekli ciała po trawie. A więc nie zaczęli jeszcze pracy z nowym transportem. Franz był pewien, że w piątce wciąż palono trupy z nocnej zmiany. Jediną możliwością pozostawała komora numer cztery.

* * *

Obszedł komorę numer cztery i dopiero przy wejściu do niej zobaczył tłum kobiet. Tłoczyły się zupełnie zdezorientowane. Płacz dzieci i przekleństwa oznaczały przedśmiertną gorączkę. Franz wiedział, że zostały mu tylko minuty. Gdyby przyszedł kwadrans później, drzwi do komory gazowej mógłby zastać zamknięte.

Przyspieszył kroku. Przywołał jednego z kręcących się wokół więźniów *Sonderkommando*. Mężczyzna na widok nieznanego Niemca z obawą, ale i zdziwieniem podszedł do niego. Franz kazał mu natychmiast przywołać nadzorującego ich esesmana. W tej samej chwili na drodze od piątego krematorium pojawił się samochód ze znakiem Czerwonego Krzyża. Wiózł puszki z cyklonem B, trującym cyjanowodorem w grudkach ziemi okrzemkowej. Franz wiedział, że mordowanie ludzi na masową skalę było operacją wymagającą starannego planowania. Gdy transport opuszczał Węgry, esesmani z komórki Eichmanna telegrafowali do Auschwitz z informacją, kiedy wyjechał oraz ilu ludzi nim podróżuje. W obozie przygotowywano się do przyjęcia transportu. Z magazynu SS wydzielano odpowiednią ilość gazu.

Z samochodu wysiadło dwu ludzi: sanitariusz SS oraz główny lekarz Birkenau. Franz stał dość daleko, w cieniu za drzewami, ale poznał go natychmiast. Poczul uderzenie adrenaliny. Tak bardzo nie chciał spotkać się z Mengelem, ale był gotowy na to, że się z nim zmierzy po raz drugi. Poprzednim razem wyrwał mu z rąk Wandę Zygielbojm. Teraz miał ocalić inną osobę...

* * *

Róża oraz jej matka były bardzo zmęczone. Mimo to starały się podtrzymać na duchu kilkuletnią Miriam.

Dopiero w lasku sosnowym pozwolono im trochę odpocząć. Poczuly się nawet odrobinę bezpieczniej, widząc dziesiątki młodych kobiet z dziećmi, które usiadły na trawie. Znajdowali się tam także starsi ludzie oraz chłopcy i dziewczęta mający nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat. Róża przekonała matkę, aby usiadła na trawie. Nie miały nic do jedzenia. Matka skwapliwie skorzystała z propozycji, nie przypuszczając, że młodsza córka znajduje się

kilkaset metrów dalej, w jednym z baraków drugiej „Kanady”. Łąka między drzewami sprawiała wrażenie osobliwie spokojnego miejsca. W powietrzu brzęczały owady. Była przecież wiosna. Matka zastanawiała się, do czego służy duży budynek pokryty czerwoną elegancką dachówką, znajdujący się kilkadziesiąt metrów dalej. Po chwili, zmęczona, ściągnęła buty i zaczęła rozmasowywać zdrewniałe i bolące palce.

Róża dała kilka łyków wody Miriam. Zauważyła, że zjawił się jakiś młody Niemiec. Przystanął pod drzewem, jakby na kogoś czekał. Wtedy dziewczynka zaczęła głośno domagać się jedzenia. Na szczęście inne kobiety miały jeszcze jakieś ostatnie zapasy i podzieliły się nimi. Ktoś dał Róży kromkę ciemnego chleba. Młoda matka mogła nakarmić dziecko. I właśnie wówczas zdała sobie sprawę, że jeszcze ktoś patrzył wygłodniałym wzrokiem na tę kromkę chleba.

– Dałabyś trochę chleba swojej matce, która całe życie robiła wokół ciebie. Chciałabym też trochę wody.

Ale równie wycieńczona i zmęczona Róża sama była matką małego głodnego dziecka. Instynkt podpowiadał jej bezbłędnie, co ma robić. Najważniejsze było dziecko. Róża musiała dokonać błyskawicznego wyboru i dokonała go bez wahania.

– Przykro mi, mammo. Dam chleb Miriam.

Babka dziewczynki najwyraźniej spodziewała się takiej odpowiedzi. Choć cały czas od wyjścia z pociągu narzekała na zmęczenie, znalazła w sobie dostatecznie dużo siły, żeby gniewnie wstać i wypalić córce w twarz:

– Jesteś taka sama jak twoja młodsza siostra!

Róża nie zareagowała. Znała dobrze swoją matkę, a zarazem była na tyle rozsądna, żeby w sytuacji, w jakiej obie się znalazły, zachować spokój. Pani Zinger odeszła kilkanaście kroków na skraj łąki. Róża wiedziała, że matka popłacze, pozłości się, ale nie odejdzie. W Budapeszcie groziła wiele razy, że wyjedzie, jednak wówczas nigdy nie spełniła swoich gróźb. Młoda kobieta wiedziała, że i tym razem tego nie zrobi. Bo dokąd mogłaby się udać?

* * *

Weimert stał oparty o drzewo, nieświadomy tego, że kilkanaście metrów dalej znajduje się Róża i jej córka. Starał się nie patrzeć na matki z dziećmi. Nie chciał wiedzieć, jak wyglądają ani czy na ich twarzach maluje się strach. Kobiet było już ponad trzysta i wciąż dochodziły nowe grupki. Wszystkie czekało nieuniknione.

Wkrótce do Franza podszedł esesman Buch, jeden z bezpośrednich nadzorców pracy *sonderkommando* oraz funkcjonowania komór gazowych. Miał czterdzieści kilka lat. Przed wojną był chyba fryzjerem, takie przynajmniej plotki krążyły po obozie. Był to wysoki barczysty mężczyzna. Przewyższał Franza o głowę. Jednak Weimert nie okazał strachu. Przyszedł w to miejsce załatwić bardzo osobliwy interes i oczekiwał podobnego nastawienia. Franz popatrzył *Scharführerowi* Buchowi w oczy. Zauważył w nich wielkie zdziwienie.

– Co tutaj robisz? – zapytał Buch. – Widziałem cię kiedyś w „Kanadzie”. Macie tam chyba weselszą robotę. Czego chcesz?

– Chcę z powrotem moją więźniarkę – powiedział cicho Franz.

– Jak to twoją? – zapytał coraz bardziej zdumiony nadzorca krematorium.

– A tak po prostu, moją. Przez przypadek zabrali ją z transportem. – Franz wskazał wyrazem oczu na kobiety i dzieci kłębiące się na łące, kilka metrów od nich.

SS-Scharführer Buch nie był jednak głupi. Należał do tych katów, którzy nie odczuwają wyrzutów sumienia na widok żywych niemowląt wrzucanych do rozpalonego pieca. Ale zarazem Buch lubił robić interesy. W końcu podwórze krematorium do takie samo miejsce na robienie interesów jak każde inne. Świetnie zdawał sobie sprawę, że ten nieznany mu z imienia i nazwiska magazynier z „Kanady” ma jakiś cel. Tak więc obaj znaleźli się na krawędzi porozumienia. Należało jedynie wprost wyrazić to, czego obydwaj nie chcieli powiedzieć otwarcie.

– Porozmawiamy, jak tylko doktor sobie pójdzie – rzekł nadzorca krematorium.

Odprowadził Franza na bok. Zapalili razem. Obydwaj

wiedzieli, że w ubiciu interesu może im przeszkodzić tylko Mengele. Franz mógł się spodziewać, że go spotka, ponieważ Mengele jako naczelny lekarz Birkenau, w schludnym mundurze, z bezlitośnie obojętnym wyrazem twarzy asystował często przy zabijaniu gazem w komorach gazowych. Nawet to lubił.

Franz i Buch dobijali targu w cieniu krematorium numer cztery.

– A więc to pańska więźniarka? Jedna z tych tutaj? – zapytał z ironią Buch.

– Oczywiście – odparł Franz. – Jest bardzo użyteczna.

– Czy ma rodzinę?

– Tak, ale obaj wiemy, że dzieci nie mogą żyć w obozie – odrzekł Franz, a Buch przyjął jego słowa ze zrozumieniem.

– Racja – potwierdził flegmatycznie nadzorca krematorium. – Ale co ja z tego będę miał?

– Jakie są pańskie koszty związane ze zwolnieniem mojej pracownicy? – zapytał Franz.

– To zależy od tego, czy była bardzo dobrą pracownicą w pańskim komandzie, czy tylko średnio dobrą – rzekł Buch, dając do zrozumienia, że cena będzie wysoka.

Franz łudził się, że za swoje świadczenia zdoła wyciągnąć dwie osoby, ale teraz stracił nadzieję. Mógł zaoferować łapówkę tylko za jedno życie.

– Była bardzo dobrą pracownicą – powiedział Franz.

– To musi pan odpowiednio zrekompensować mi ryzyko – odparł Buch, spoglądając w stronę Mengelego, który gawędził o niedzielnym obiedzie z sanitariuszem.

Franz uznał, że ma szczęście. Chciał spotkać kogoś bezpośredniego i spotkał. Dobrze, że nie trafił na Molla, pomyślał Weimert. Ten sadysta nawet wśród Niemców miał opinię człowieka, który spaliłby w piecu własną matkę, gdyby tego zażądał od niego Hitler. Franz zaczął już mieć nadzieję, że uda mu się osiągnąć cel. Ale wtedy Mengele zauważył esesmanów rozmawiających i palących papierosy w pobliżu czwartego krematorium. Stali w cieniu i dość daleko, więc doktor ich nie

rozpoznał. Najwyraźniej uznał, że to esesmani z nadzoru. Mengele pozdrowił ich skinieniem głowy. Weimert i Buch zaszalutowali naczelnemu lekarzowi Birkenau. Weimert usłyszał, jak Mengele zegna się z sanitariuszem.

– Da im pan zrec sam – powiedział doktor do młodego sanitariusza, wskazując dłonią na kobiety i dzieci, które na łące oczekiwały na swoją kolejkę do gazu.

– Spiesz się pan? – zapytał sanitariusz SS.

– Tak, obiad mi wystygnie – odparł doktor. – Dziś mi się nie chce na to patrzeć. Wszystko przez ten pieprzony upał.

Mengele włożył czapkę, wyciągnął rękę w nazistowskim pozdrowieniu, po czym swoim zwyczajem założył ręce do tyłu i niespiesznie, jak przystało na naukowca, ruszył w stronę drogi średnicowej. Franz widział, jak Mengele się oddala. Próżność doktora miała utorować drogę do szczęśliwej transakcji.

Buch zwrócił się w stronę Franza.

– No i co ja z tego wszystkiego będę miał?

– To – odparł Franz, wyciągając z kieszeni srebrną papierośnicę, złoty zegarek i spinki.

Blask złota podziałał na Bucha kojąco. Nadzorca krematorium zmienił się w jednej chwili w przebiegłego buchaltera.

– Usługa płatna z góry – powiedział.

– Nic z tego – odparł twardo Franz. – Muszę znaleźć moją pracownicę i wyjść stąd. Proszę przyjść do mnie dziś wieczorem do „Kanady” i wtedy dostanie pan zapłatę.

* * *

Milena siedziała skulona w baraku. Nigdy w życiu się tak nie bała. Po raz pierwszy zaufała bezgranicznie człowiekowi, który był jej wrogiem i którego rok wcześniej bała się i nienawidziła. Ale tylko on mógł uratować jedną osobę, którą ona kochała. Mimo straszliwego lęku, w głębi serca, czuła, że on jej nie zawiedzie. Pragnęła, żeby dokonał cudu wskrzeszenia martwego już człowieka. Milena wiedziała, że jeśli ktoś podczas selekcji został skierowany na drogę średnicową, to już był martwy.

Schowała głowę w kolanach. Chciała się ukryć przed wzrokiem

wszystkich, żeby nawet Wanda nie zobaczyła jej wahania...

* * *

Kiedy Mengele sobie poszedł, Franz poczuł wielką ulgę. *Scharführer* Buch był zbrodniarzem równie zdegenerowanym, co słynny lekarz, ale dało się z nim dobić targu. Zostały im do omówienia jedynie szczegóły. Do Weimerta dopiero teraz, przed komorą gazową dotarło, jak trudne będzie oddzielenie matki od dziecka, które zostanie zabite, a potem spalone.

Nieoczekiwanie z pomocą przyszedł mu *Scharführer* Buch z rutyną kata mającego na sumieniu dziesiątki tysięcy ludzi. Poradził, że trzeba oszukać tę osobę. Radził, aby poczekać, aż wszystkie kobiety z dziećmi, starcy i młodzież rozbiorą się do naga i wejdą do komory gazowej.

– Masz nie więcej niż pięć minut – powiedział twardo.

A zatem Franz miał pięć minut na odnalezienie siostry Mileny. Trzysta sekund. Niewiele. W ciągu tych trzystu sekund miał wyrwać śmierci jedno istnienie. Mógł już tylko czekać. Miał po raz drugi patrzeć na koszmarną akcję specjalnej. Za pierwszym razem nieomal dał się pochłonać ciemności, a jedyną barierą oddzielającą go od tego piekła było spojrzenie żydowskiej zakonnicy na moment przed zamknięciem się za nią drzwi komory gazowej. Dopiero teraz, po dwóch latach, zrozumiał, że tylko dzięki tamtemu spojrzeniu pełnemu miłości nie oszalał w tym piekle. Wyrwawszy go z krainy popiołów, ta sama miłość posłała go tam znowu, jako posłańca kradnącego śmierci jedno ludzkie życie. Skoro można śmierci odebrać jedno życie, pomyślał Franz, śmierć musi oddać władzę na ten jeden raz. Śmierć nie jest potężniejsza od miłości.

– Rozbierać się! Rozbierać się! Już tam na was w obozie gorąca zupa czeka! – krzykali Buch oraz sanitariusz SS i – co najdziwniejsze – ludzie wierzyli temu kłamstwu.

Na moment przed końcem łatwiej chyba uwierzyć w zupę niż w to, że za pół godziny wszyscy będą martwi. A gdy już wszyscy nadzy i bezbroni weszli do środka, zaczęło się trzysta sekund Weimerta.

* * *

Róża poczuła się bardzo źle, kiedy Niemcy zaczęli naciskać, że wszyscy mają się rozebrać i wejść do ciemnych pomieszczeń ceglanego budynku. Znała tylko kilka słów po niemiecku, ale to wystarczyło, by się zorientować, czego chcieli Niemcy. Czuła się bezsilna i krańcowo upokorzona. Jak ma się rozebrać przy tylu ludziach? Przecież ci Niemcy z pewnością nie odwrócą wzroku od tylu młodych rozbierających się kobiet.

Inne kobiety myślały tak jak ona. Nie chciały się rozbierać. Ale Niemcy nalegali:

– Szybciej! Szybciej! Woda wam wystygnie!

Róża nie dała się zwieść zmęczeniu ani odrętwieniu. Zachowała jasność umysłu. Koło niej wyrosła matka, której gniew szybko przeszedł. W tej dziwnej chwili pani Zinger postanowiła wziąć wszystko w swoje ręce. Rozbierając się, Róża nie zdążyła powiedzieć matce, żeby zaczekała na nią, ponieważ chciała wziąć małą na ręce, by we trzy przeszły przez to upokorzenie. Ale gdy dziewczyna poskładała w kostkę ubranie, okazało się, że matki już nie było. Jak zwykle starsza pani nie chciała czekać, ale po prostu zrobić wszystko pierwsza. Zabrała dziecko i weszła do środka.

* * *

Scharführer Buch skinął ręką na Weimerta, dając mu znać, że już czas. Komora zaczęła się wypełniać.

– Pospiesz się! Jak zacznie się panika, zamykamy drzwi bez względu na to, czy ją znajdziesz, czy nie.

Franz miał trzysta sekund na poszukiwania. Do środka wszedł wraz z Buchem. Czuł, że uginają się pod nim nogi. Nawet dla niego, już obeznanego z potwornością akcji specjalnych, to było wstrząsające przeżycie.

Jednak w tej strasznej chwili nie myślał o tych wszystkich ludziach. Nie mógłby. Przyszedł tutaj tylko w jednym celu: musi wyjść z komory gazowej z jedną żywą osobą. Wiedząc, że ma tylko trzysta sekund, krzyknął:

– Róża Rederer! Czy jest tutaj Róża Rederer z Budapesztu?!

Krzyczał kilka razy i dopiero za trzecim razem jedna z młodych kobiet stojących blisko nich drgnęła, ale paraliżowana zwierzęcym

strachem nie mogła uczynić nawet jednego ruchu. Franz nie miał wyjścia. Czas się kończył. Weimert zrobił krok do przodu, w stronę młodej kobiety, i zapytał z całą mocą:

– Czy ty jesteś Róża Rederer z domu Zinger? Mieszkałaś kiedyś w Bratysławie? Czy masz siostrę Milenę Zinger?

Kobieta powiedziała cicho „tak”. Franz, nie czekając dłużej, wypchnął ją na zewnątrz. Naga dziewczyna upadła w pył. Spojrzenie za plecy oznaczało spojrzeć w śmierć, a Franz wypchnął ją w stronę życia.

Pytanie o tożsamość Róży nie było zwykłym pytaniem, ale władcym przywołaniem, wezwaniem martwej istoty do życia.

– Ubieraj się! Szybko, nie mamy czasu!

Róża była całkowicie oszołomiona. Nie nadążała za biegiem wypadków. Wszystko stało się tak szybko. Miała przed chwilą dziecko, a teraz była sama i szukała swojego złożonego w kostkę ubrania. Nie zdawała sobie sprawy, co się stało ani jak straszną cenę będzie musiała zapłacić za dalsze życie. Gdy chwyciła sukienkę, Weimert kazał jej się błyskawicznie ubrać. Popychając ją, kierował ku tej samej drodze, którą przybyła. Nie było to proste, ponieważ młoda kobieta histerycznie krzyczała coś o swoim dziecku, które „tam” zostawiła. Ale Weimert nie mógł się teraz litować nad jej nieszczęściem. Musiał myśleć, jak bezpiecznie urządzić ją w komandzie *Weisskappchen*. Wszystko działo się tak szybko, że nie miał dotąd czasu się nad tym zastanowić. Brutalnie popchnął ją przed siebie. Kilka minut później opuścili strefę zakazaną.

Musiał sfałszować dokumentację i to jeszcze tego samego dnia. Doszedł do wniosku, że siostra Mileny musi figurować w aktach jako starsza wiekiem więźniarka, ale nie za stara, aby nie wzbudzić niczych podejrzeń. Najlepiej będzie, jeśli zostanie Czeszką osadzoną w obozie z przyczyn politycznych. Zdawał sobie sprawę, że ukrycie Róży będzie trudniejsze niż wyciągnięcie jej z komory gazowej. Za to zapłaci wszystkimi oszczędnościami. Musi być tylko wystarczająco sprytny, żeby nikt go nie nakrył. Ostatnią niewiadomą był *Scharführer* Buch. Franz doszedł jednak do

wniosku, że Buch na pewno go nie sypnie. Za dużo by ryzykował. Gdyby sprawa wyszła na jaw, Buch trafiłby przed pluton egzekucyjny, tak jak Franz. Kiedy prowadził oszołomioną Różę w stronę „Kanady”, Weimert miał po raz pierwszy wrażenie, że nie musi już bać się śmierci. Był pewien, że mógłby umrzeć nawet dziś, bo dla miłości dokonał czegoś niemożliwego.

Rozdział XXXV

PIĘTNO

Papierośnica, dzieło jubitera z Budapesztu, lśniła w promieniach zachodzącego słońca. *Scharführer* Buch cmoknął z zadowoleniem na widok wygrawerowanych na jej wieczku dwóch aniołów z wielkimi skrzydłami.

– Bardzo oryginalne cacko – potwierdził, żując w zębach cygaro.

Chwycił papierośnicę i zaczął się jej uważnie przyglądać, ale nie znalazł żadnej skazy. Weimert już wiedział, że Buch został kupiony za rozsądną cenę. Franz mógł być zadowolony, że tak niewielu wtajemniczonych w akcję specjalną esesmanów widziało, jak wyprowadzał żywą osobę z komory gazowej. Tego dnia postawił wszystko na jedną kartę i na razie wygrywał. Pomyślał nawet, że będzie już mógł stanąć twarzą w twarz z Bastianem i żydowską zakonnicą, których zabił.

Zarazem zyskał świadomość, że teraz na pewno obozowe Gestapo się nim zajmie. Plotki zapewne się nasilą. Za wszelką cenę musiał zrobić wszystko, żeby zatrzeć ślady po Róży Rederer. Od tej pory siostra Mileny nazywała się Doubravka Millerova i była czeską socjalistką zamkniętą w Auschwitz za przestępstwa polityczne przeciw Trzeciej Rzeszy. Po wyjściu Bucha sfalszował całą dokumentację. Wykorzystał tę samą zasadę, którą posługiwał się obozowy ruch oporu, pragnąc ukryć więźnia poszukiwanego przez Wydział Polityczny. Po prostu przypisał Róży tożsamość osoby, która zmarła. Prawdziwa Millerova zmarła w obozie na tyfus w kwietniu. Teraz miała zmartwychwstać. Franz nie mógł jednak mieć pewności, że jego manipulacja się nie wyda. Obóz Auschwitz stanowił zamknięty świat rządzący się własnymi prawami.

Franz nie mógł jednak zapomnieć widoku, kiedy dwie siostry spotkały się w baraku, w którym czekała Milena.

* * *

Róża była zbyt oszołomiona i dezorientowana, aby zdać sobie sprawę z tego, co właściwie się stało. Nie miała pojęcia, jakim cudem było jej ocalenie. Wyszła z jądra ciemności, z miejsca, z którego od trzech lat nikt jeszcze nie wyszedł żywy. Najpierw jednak przeżyła krótkie chwile niewyobrażalnej radości ze spotkania z siostrą. Obie wtuliły się w siebie i cicho szlochały. Milena witała bowiem zmarłą w świecie żywych.

Kiedy te pierwsze, najbardziej naturalne emocje opadły, Róża zaczęła wypytywać o dzieci. W jej umyśle oraz w sercu dzieci istniały nadal i stanowiły część życia. Milena milczała i gładziła Różę po twarzy i włosach. Nie potrafiła jej tego powiedzieć. Nie znajdowała słów, którymi mogłaby oznajmić stęsknionej i zrozpaczonej matce, że jej dzieci zginęły. Ale Milena wiedziała, co znaczyła w Auschwitz bolesna samowiedza. W tej drapieżnej rzeczywistości obozu, niemającej litości dla najbardziej bezbronnych istot, nie spotykało się przecież ludzi płaczących na widok śmierci dzieci. Jeszcze kilka dni temu widziała w „Kanadzie” górę wykoślawionych wózków dziecięcych. Milena zawahała się; nie powinna stawiać siostry przed tak strasznym cierpieniem, ale była jedyną istotą, która mogła i chciała powiedzieć Róży, że jej dzieci nie żyły.

Popatrzyła siostrze w oczy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że są piwne. Róża miała je po ojcu.

– Twoje dzieci nie żyją – powiedziała Milena do siostry. – Nie mogłam ich ocalić.

Róża nie uwierzyła. Nie chciała przyjąć tej prawdy. Przez następne kilka dni znajdowała się w stanie granicznym z obłądem. Była pogrążona w głębokim szoku. Nic nie jadła. Milenie udało się ją namówić tylko na kilka łyków wody. W takim stanie Róża mogła szybko utracić siły. W końcu Milena zdała sobie sprawę, że ocaliwszy siostrę z komory gazowej rękoma zakochanego esesmana, teraz mogła ją utracić z powodu szoku i braku chęci do życia. Milena zbyt dobrze wiedziała, że rozpacz prowadziła wprost do zmuzułmanienia, a potem albo na druty po kulę esesmana, albo do krematorium. Była więc zdecydowana prowadzić straszliwą

duchową walkę o życie i duszę swojej siostry. Milena nie chciała, żeby Róża cierpiała w samotności.

– Musisz dla mnie żyć! – krzyczała do siostry Nieoczekiwanie po kilku dniach całkowitego milczenia Róża odpowiedziała:

– Powinnam była umrzeć razem z moimi dziećmi, mężem i matką.

Po tych słowach nastąpił atak. Róża po prostu rzuciła się na siostrę jak zbudzony z letargu drapieżnik. Milena była całkowicie zaskoczona i nawet nie próbowała się bronić. Instynktownie zrozumiała, że Róża musi kogoś winić za śmierć dzieci. Ale Róża była ślepa i nie chciała słuchać żadnych racjonalnych wyjaśnień. Oskarżała siostrę, że uratowała ją tylko dla siebie, z egoizmu, zapominając o tych, których Róża kochała ponad życie. Najgorsze słowa, jakie Milena usłyszała od siostry, brzmiały:

– Uratowałam mnie z podłości.

Tego pobita Milena nie wytrzymała. Nie dopuściła się podłości. Powiedziała siostrze, że próbowała uratować jej męża, ale on nie chciał opuścić dziecka i zginął razem z nim. Powiedziała o Weimerce. Wykrzyczała cały ból, jaki tłumiła w sobie od dwóch lat. Stała się zakładnikiem miłości jej własnego wroga. Podczas gdy oni żyli sobie na Węgrzech, Milena przez dwa lata siedziała w obozie.

Siostry odtąd rozmawiały ze sobą zdawkowo. Cały czas Milena bardzo się bała, aby Róża nie targnęła się na życie, poprosiła więc Wandę, żeby zwracała baczną uwagę na Różę.

* * *

Weimert nie liczył na żadne dowody wdzięczności. To, co zrobił dla Mileny, zrobił z miłości do niej, i ocalenie Róży przyniosło mu prawdziwą radość. Odzyskał swobodę wewnętrznego osądu i wolność wyboru. Po raz pierwszy od czasu, kiedy z własnej woli stał się trybikiem tego straszliwego obozu, miał świadomość, że panuje nad swoją duszą, że ona z powrotem należy do niego. Nadal jednak zdawał sobie sprawę z własnej nikczemności. Bez względu na to, co robi, jego zbrodnie pozostaną zbrodniami. Franz Weimert nie zakłamywał swego sumienia. Czuł, że być może po wojnie

przyjdzie mu za to wszystko zapłacić. Zawsze miał świadomość potworności Auschwitz, ale dopiero miłość do żydowskiej dziewczyny nauczyła go, że Niemcy powinni za to zapłacić.

Milena przyszła do niego do baraku administracyjnego w „Kanadzie” wcześnie rano, dwa dni po uratowaniu Róży. On czekał na nią, patrząc w okno. Przyzywał ją. Chciał jej dotknąć po raz pierwszy, tak jak zakochany mężczyzna dotyka kochanej przez siebie kobiety. Ale zarazem musiał ją ostrzec, że mają mało czasu. Cały obóz o nich plotkował. Zwłaszcza uratowania Róży nie będzie można ukryć. Wystarczą zdumieni członkowie jego komanda, którzy widzieli, że zostawił inspekcję i poszedł gdzieś po rozmowie ze „swoją” Żydówką. Wprawdzie ludzie ci widzieli też, że ją ukarał, ale nie byli przecież głupi. Potrafili rozpoznać, kiedy *Unterscharführer* Weimert karał naprawdę, a kiedy nie. Wczorajszego popołudnia esesman z Wydziału Politycznego, Pery Broad, przysłał mu pozdrowienia. Franz już wiedział, że Gestapo gorączkowo pracowało nad jego aresztowaniem. Nie przejmował się sobą. Pragnął, aby jego Milena przeżyła. Tylko to go interesowało.

Kiedy tego poranka jej postać zamajaczyła przed szybą, Weimert wpuścił ją do środka. Teraz mógł ją mieć bez przymusu. Oddałaby się mu z własnej woli. Tego przecież zawsze pragnął. To dla niej porzucił wiarę w straszliwych nazistowskich bogów. Była metr od niego. Tak bardzo chciał jej dotknąć.

– Przyszłam ci podziękować – powiedziała cicho Milena. – Za to, co zrobiłeś. Dzięki tobie moja siostra żyje.

Czy usłyszę tylko „dziękuję”? – myślał Weimert, wsłuchując się w te proste słowa. Może za dużo sobie obiecał? Za dużo sobie wyobraził? Po chwili, jak gdyby czytając w jego myślach, dziewczyna powiedziała:

– Kocham cię, ponieważ nie zawahałeś się mi pomóc.

Powiedziała w końcu słowa, na które czekał – wydawałoby się – na próżno. Jednak nie miał i nie mógł mieć pretensji, że ona kochała go za coś, a nie dla niego samego. Słowa dziewczyny uświadamiały mu, że to, co działo się wewnątrz tego baraku, rozdzielało ich właśnie w tej chwili, kiedy stali się sobie najbliżsi;

kat i ofiara, morderca i więźniarka Auschwitz, wybawiciel i wybawiany, mężczyzna i kobieta.

Stali zatem w milczeniu. Ona uczyniła pierwszy krok. Chwyliła jego dłoń. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Weimert miał bardzo piękne smukłe palce. Jej dotyk sprawiał mu przyjemność, ale wydał krzyk zdziwienia, kiedy ona przycisnęła usta do jego dłoni. To nie był jednak znak erotycznego upodobania. To był gest miłości, jedyny, na jaki mogła się zdobyć, i jedyny, na jaki mógł jej pozwolić. Wiedział, jak bardzo miłość fizyczna zbliża i sprawia, że kochankowie nie mogą już bez siebie żyć. A przede wszystkim on pragnął, aby ona miała szansę przetrwać to piekło.

Jeśli oboje mieli żyć, to musiało się tak zakończyć. Weimert wiedział, że Gestapo zbiera przeciw niemu dowody. Jego aresztowanie to była kwestia dni. Gdyby chcieli go oskarżyć o złamanie ustaw norymberskich i w konsekwencji o skalanie niemieckiej krwi, musieliby mieć mocne dowody, a mieli tylko zeznania martwej już teraz Ingi. Weimert w trosce o Milenę nie miał zamiaru dawać Broadowi ani żadnemu innemu katu z obozowego Gestapo kuli do pistoletu, która ją zabije.

– Zaprzeczaj wszystkiemu, co dotyczyć będzie mnie i ciebie. Wiem, że oni nie mają świadków. Nikt z twojego komanda nie powie o tobie złego słowa. Jestem tego pewny.

Pogłodził ją po twarzy. Czuł jej oddech i ciepło jej ciała. Jeszcze pięć minut i nie będzie odwrotu. Tym razem trzysta sekund dotyku dzieliło ich od śmierci.

– Idź już – nakazał. – Nikt nie powinien nas widzieć razem.

Gdy wyszła, wiedział, że traci ją na zawsze. Rozdzielił ich horror Auschwitz. Obóz już zawsze będzie znajdował się między nimi.

Rozdział XXXVI

BLOK JEDENASTY

Ale aresztowanie nie nastąpiło tak szybko, jak Franz się spodziewał. Cały obóz oczywiście huczał od plotek, że Weimert znów zrobił coś dla „swojej” Żydówki. Już bywało, że przenosił kogoś do złej komanda na jej prośbę. Jednak nikomu do głowy by nie przyszło, że mógł pójść do komory gazowej i wyciągnąć stamtąd żywą osobę, zanim zamknęły się za resztą drzwi.

Weimerta i Milenę uratowało pewne wydarzenie. W czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku z obozu uciekli inni kochankowie, Polak Edek Galiński i Żydówka Mela Zimetbaum. On ukradł mundur SS i po prostu wyprowadził ukochaną za kordon potrójnych straży esesmańskich. Po kilku tygodniach zostali złapani na Żywiecczyźnie, gdzie wydał ich jakiś „dobry” Polak. Edek zawisł na szubienicy przed całym męskim obozem w Birkenau, a Mela już na szafocie rzuciła się na esesmanów z pięściami. Została brutalnie pobita przez Niemców i spalona żywcem w krematorium. Podobno jakiś litościwy więzień z *sonderkommando* złamał jej kark przed włożeniem do pieca, ale to nic pewnego. Ta śmierć, równie straszliwa i beznadziejna, z całą grozą uświadomiła jednak Weimertowi, co może spotkać Milenę, jeśli obozowe Gestapo ma jakikolwiek solidny dowód ich zażyłość. Z tego powodu poważnie zaczął się bać. Budził się obłany zimnym potem, myśląc, ile jeszcze łyków powietrza mu zostało.

I tak minął lipiec, nadzwyczaj gorący i duszny. Transporty z Węgier zostały wstrzymane. Po dwóch miesiącach, pod naciskiem mocarstw alianckich, Węgrzy zgodzili się przerwać deportacje, ku wyraźniej wściekłości Eichmanna, odpowiedzialnego ze strony niemieckiej za transporty. Obóz zastygł w przerażającym oczekiwaniu. Na początku sierpnia władze Auschwitz postanowiły zlikwidować obóz dla Romów. W ciągu jednej nocy zapędzono wszystkich pozostałych przy życiu mieszkańców do komór gazowych. Była to straszliwa noc. Przekleństwa, nieludzkie

wrzaski, wystrzały z broni i wściekłe ujadanie esesmańskich psów słyszano w całym obozie. Tamtej nocy z drugiego na trzeciego sierpnia zabito dwa tysiące osób. Uzmysłowiło to pozostałym więźniom, że jeśli Niemcy likwidują cały obóz cygański, to znaczy, że zmusza ich do tego sytuacja na froncie. Późnym latem wyjechały pierwsze transporty więźniów z Auschwitz do innych obozów położonych w głębi Rzeszy. Komando, w którym pracowały Milena i Róża, musiało uprzątnąć to, co pozostało po obozie cygańskim. Milena opowiedziała nawet Weimertowi podczas jednego z krótkich i ogromnie niebezpiecznych dla obojga spotkań, że po raz pierwszy w życiu widziała krajobraz jak po przejściu tornada. Setki garnków, ubrań i dziecięcych zabawek leżały porzucone w nieładzie. Wydawało się jej, że te pozostawione przedmioty czekają na swoich właścicieli.

* * *

W sierpniu tego roku do Auschwitz przybył *SS-Sturmbannführer* Konrad Morgen, aby z ramienia Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy nadzorować śledztwo w sprawie korupcji w obozie. Władze w Berlinie doszły bowiem słuchy o gorszących nadużyciach, jakich mieli dopuszczać się esesmani.

Tego ranka Weimert, jak co dzień, miał zamiar iść na obchód. Jednak kiedy wszedł do ciasnego i dusznego baraku administracyjnego w „Kanadzie”, czekało tam na niego dwóch funkcjonariuszy obozowego Gestapo. Franz spodziewał się ich wizyty każdego dnia, więc nie okazał zdziwienia. Uznał, że będzie zachowywał się spokojnie.

– Kiedy idziemy? – zapytał.

– Natychmiast – odparli.

Oczywiście nie mógł liczyć na szybkie przedstawienie zarzutów. To będzie dokładnie wyreżyserowane, pomyślał, pewien, że obozowe Gestapo zamierza mu postawić zarzuty dotyczące złamania ustaw norymberskich. Wychodząc z „Kanady” w towarzystwie funkcjonariuszy, myślał tylko o Milenie. Naprawdę ją kochał. Pragnął, aby przeżyła. Mógł jedynie żywić nadzieję, że wszystkiemu zaprzeczy, tak jak ustalili. Ale znał też machinę

Gestapo. Najpierw złamią ich oboje, a potem postawią przeciwko sobie. Jedno miało obciążyć drugie, aby ratować życie. Weimert liczył tylko, że nie mają żadnych dowodów. Albo mają takie, które będzie mógł obalić.

Miał stanąć przeciwko niemu jego dobry znajomy Pery Broad. Był to przeciwnik wytrawny i bardzo niebezpieczny. Teraz Franz naprawdę stał się podsądnym, a jego kumpel od wódeczki miał zadawać pytania. Weimert wszedł do jego gabinetu i usiadł na krześle. Nie mógł okazać żadnej słabości. Broad nie oponował. Rozłożył przed Franzem szarą teczkę i flegmatycznym głosem zadał pytanie:

– A więc jaka jest twoja Żydówka, Franz?

– Nie wiem, o czym mówisz. Jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia, chciałbym wrócić do pracy.

– Czekaj, czekaj. Nie tak prędko. Mamy naprawdę dużo czasu, by wszystko omówić – powiedział spokojnie Broad.

Między nimi toczył się także pojedynek psychologiczny. Broad był zbyt inteligentny, aby nie zdawać sobie sprawy, że Franz zna jego liczne słabości. Uczestniczyli przecież wspólnie w libacjach. Z tego powodu Broad nie chciał odkrywać wszystkich kart. Franz nie mógł się zbyt szybko dowiedzieć, o co zostanie oskarżony. Nie mógł zatem również wiedzieć, że oskarżenie o kontakty seksualne z Żydówką było tylko pretekstem. Gestapowiec zamierzał po prostu trochę podręczyć Weimerta, by ten zmiękł.

– Dziwię ci się – powiedział Broad. – Twoja sytuacja jest bardzo zła.

– Doprawdy? Proszę o niezbite dowody mojej winy – odparł Weimert, nie dając po sobie poznać, że obawia się zarzutów.

– Proszę bardzo – rzucił gestapowiec. – Widziano cię w towarzystwie więźniarki numer dziewiętnaście siedemdziesiąt w baraku na terenie „Kanady”.

W tym momencie Franz przerwał Broadowi.

– Już chyba rozmawialiśmy na ten temat. Jestem członkiem SS. Chcąc mnie oskarżyć, musisz mieć niezbite dowody, a nie jakieś fałszywe i niesprawdzone pogłoski. Słowo Niemca musi stanąć

przeciw słowu Niemca. Słowa więźniów nic nie znaczą. Absolutnie nic.

Po tym oświadczeniu Broad kazał odprowadzić Weimerta do celi w bloku jedenastym. Franz wiedział, że Gestapo nie miało nic poza zeznaniami Tłustej Ingi. A zatem musiało chodzić o coś innego. Chociaż nie wiedział o śledztwie w sprawie korupcji, to nie opuszczało go wrażenie, że Broad nie miał wiarygodnych świadków Niemców, którzy potwierdziliby złamanie przez Weimerta ustawodawstwa rasowego. W przeciwnym wypadku usłyszałyby zarzuty obrazy niemieckiej krwi, którą karano śmiercią.

Nie wiedział też, że obozowe Gestapo porwało Milenę tego samego dnia, w którym jego zatrzymano. Jednak nie przesłuchano jej. Była potrzebna im żywa. Broad postanowił miażdżyć ją powoli, żeby zmiękczyć Weimerta.

Zamknięto ją zatem w podziemiach bloku jedenastego w obozie macierzystym. Znajdowały się tam cele do stania. Pomieszczenia o przestrzeni metr na metr. A w każdej trzymano ściśnięte jak sardynki w puszcze cztery osoby. Kiedy wtrącono tam Milenę, dwie z więźniarek już nie żyły. Dziewczyna przeżywała katusze, dotykając trupów. Ostatnia kobieta jeszcze żyła, ale znajdowała się już w krańcowym stadium wycieńczenia. Chorowała ponadto na biegunkę krwotoczną i była oblepiona kałem. Strasznie śmierdziała. Milena była pewna, że zwymiotuje. Żyła w obozie otoczona śmiercią. Przyzwyczała się do umierania. Widziała też konsekwencje masowej śmierci, przerzucając niezliczone ilości bielizny, butów i walizek, które pozostały po ludziach mordowanych w komorach gazowych. Teraz być może przyszła na nią kolej. W nocy, zamknięta z dwoma trupami i jedną umierającą w potwornym ścisku kobietą, walczyła o haust powietrza. Zmagała się jednocześnie z uczuciem beznadziei. Skoro tyle już przeszła, to musi i to wytrzymać.

Rano, po czternastu godzinach stania, kiedy jeden z esesmanów otworzył żelazne drzwiczki do celi, Milena wypadła z nich wyczerpana i obolała, ale żywa. Trupy stały dalej. Zaklinowały się. Esesman szturchnął dziewczynę butem

i poprowadził na przesłuchanie. Wciąż miała w pamięci ostatnie słowa Weimerta, że musi wszystkiemu zaprzeczyć. On wiele razy ratował jej życie. Teraz czuła się w obowiązku pomóc jemu. Walczyła też o życie Róży. Nikt nie mógł się przecież dowiedzieć, że Czeszka z komanda jest jej siostrą.

Przesłuchiwał ją jakiś gestapowiec. Musiała odpowiadać na te same pytania: co łączy ją z *Unterscharführerem* Weimertem, czy zwracał się do niej bezpośrednio, czy coś jej dał, czy utrzymywała z nim jakikolwiek kontakt fizyczny. Na wszystkie pytania niezmiennie odpowiadała „nie”. W końcu pobito ją ostrą nahajką. Wyrwano jej wszystkie paznokcie. Nie przyznała się do niczego.

* * *

Franz przebywał w więzieniu w Katowicach, ale na przesłuchania transportowano go do Auschwitz.

Minęły dwa tygodnie, a Broad wciąż kluczył wokół tego samego tematu.

– Nadal utrzymujesz, że nie miałeś żadnych kontaktów z tą Żydówką? Nie musisz się wstydzić, Franz, Żydówki są przecież ładne – powiedział z ironią Broad.

– Nie, nie miałem kontaktów z kobietami innych ras. W przeciwieństwie do ciebie. Słyszałem, że utrzymywałeś stosunki z czarnoskórymi kobietami podczas swojego pobytu w Brazylii – odparł Franz. – Czy uważasz, że komendant by się tym zainteresował?

– Ty sukinsynu – zasyczał Broad. – Dopadnę cię.

I Franz powędrował znów do aresztu śledczego w Katowicach. Poza zamknięciem traktowano go dobrze. Dostawał z kantyny SS trzy posiłki dziennie, poza tym papierosy. Zdawał sobie sprawę, że Wydział Polityczny ma za mało dowodów. Musiał przetrzymać to zamknięcie. Bał się śmiertelnie o Milenę. Wiedział, że jest torturowana. Gdyby powiedziała choć słowo, aby uniknąć bólu, on byłby zgubiony. Franz znów modlił się do Boga, żeby Milena wytrzymała tortury. Od jej wytrzymałości zależało nie tylko jego życie, lecz także życie jej siostry. Gestapo, mając dowody, przyciśnie inne więźniarki z komanda, a wtedy wszystko będzie

możliwe.

Po dwóch tygodniach Broad naciskał:

– Widziano cię wiele razy w towarzystwie tej Żydówki. Przyznaj, że z nią rozmawiałeś. Jeśli się teraz przyznasz, to jej nie zabijemy.

Franz świetnie zdawał sobie sprawę, że Broad kłamie.

– W moim komandzie pracuje ponad trzysta kobiet. Nie znam ich. Nigdy nie rozmawiałem z żadną z nich sam na sam. Wydawałem tylko polecenia. Moje komando jest trzymane żelazną ręką. Theodor Kratzer może to potwierdzić.

Nie złapano go na kłamstwie. Franz miał świadomość, że Broad mu nie wierzył, ale nie znalazł dowodów popełnienia przez Franza zbrodni „skalania niemieckiej krwi”. Wkrótce postawiono mu jednak inne zarzuty. Podczas rewizji w jego pokoju hotelowym znaleziono złoty zegarek.

– A jak wytłumaczysz, że znaleziono u ciebie złoty zegarek?

– Podrzuciliście mi go – odparł Franz.

– Teraz to ty ze mnie kpisz! – krzyknął gniewnie Broad. – Za coś takiego należy się kula w łeb. Podpisałeś oświadczenie, że nie będziesz kradł pożydowskiego mienia. Mamy dowód.

– To nie jest żaden dowód. Za coś takiego musielibyście rozstrzelać pół załogi. Nie wiem, skąd zegarek się u mnie wziął. Ty, Pery, musisz mi udowodnić, że to ja go ukradłem.

Franz świadomie uderzył w czuły punkt. Jeden ze strażników powiedział mu w sekrecie o wizycie Konrada Morgena w obozie. To pozwoliło Weimertowi przyjąć odpowiednią linię obrony. Skoro nadzwyczajny oficer z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy przybył do Auschwitz, szukając śladów korupcji wśród załogi, to skala problemu była ogromna. Jak na ironię, gdyby ów oficer zapytał Broada, skąd pod koniec wojny ma kubańskie cygara oraz szafkę pełną luksusowych alkoholi, ów śledczy zapewne miałby do powiedzenia tyle co Weimert.

Dlatego też Franz mógł liczyć na nadzwyczajne złagodzenie kary i odesłanie na front. Jednak na front wrócić nie chciał. W końcu sprawa aresztowania Weimerta stała się dla decydentów

z SS niewygodna. Za Franzem wstawili się natomiast oficer komendantury Kurt Guntz oraz przełożony magazyniera Theodor Kratzer. Skończyło się na wyroku dwóch miesięcy więzienia za „korupcję”, w areszcie dla Niemców w Katowicach. Zanim jednak aresztant wyjechał do Katowic, aby odbyć karę, Broad postanowił ostatecznie przekonać się, czy Weimerta i tę Żydówkę coś faktycznie łączyło. Gestapowcy znali się na ludzkich uczuciach. Zdecydował się zatem na konfrontację.

Przywleczono dziewczynę i rzucono na posadzkę przed Franzem. Po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę bezsilny. Ale wciąż chciał ocalić ją od śmierci. W tym celu musiał zamienić serce w głąz. Nie wolno mu okazać żadnych uczuć. Broad będzie go pilnie obserwował. To najgorsza męka, jaką miał przeżyć. Musiał patrzeć na najukochańszą osobę jak na kogoś obcego. Musiał się jej wyrzec. Nie mógł mieć pewności, czy oni jej nie zabiją, ale istniała też szansa, że wycieńczona, bita, wygłodzona Milena trafi z powrotem do obozu.

– Nie znam jej – powiedział w stronę Broada.

Spojrzeli sobie z Mileną w oczy. Franzowi wydawało się, że ona go rozumie. Franz rozumiał, że liczyło się tylko jej życie. Dlatego musiał się jej wyrzec nieodwołalnie, bezpowrotnie i na zawsze. Tylko wówczas Milena będzie miała cień szansy na przeżycie.

Rozdział XXXVII

OSTATNIE DNI

W październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku zbuntowali się więźniowie *sonderkommando*. To oni, najbardziej wymowni świadkowie Zagłady wiedzieli, że z chwilą ustania transportów węgierskich ich rola się skończyła. Stali się dla Niemców bardzo niewygodni. Podczas buntu zniszczyli czwarte krematorium. SS szalało, zwłaszcza że powstańcy zabili trzech esesmanów. Z blisko dziewięćset więźniów tworzących to komando rozstrzelano trzystu, pozostałych pozostawiając przy życiu tylko dlatego, aby miał kto palić trupy więźniów zmarłych w obozie. SS potrzebowało tych ludzi jeszcze na jakiś czas, żeby było komu zniszczyć ślady. Komendantura wiedziała, że bezmiaru tych zbrodni nie da się ukryć przed światową opinią publiczną. Ostatnie tygodnie istnienia Auschwitz odznaczały się dziwną dychotomią. Było to wciąż straszliwe miejsce upodlenia i umierania, a jednak prawie sto tysięcy więźniów zamkniętych w obozie przeczuwało, że koniec był już blisko. Na początku listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku szef SS Heinrich Himmler wydał rozkaz wstrzymania mordowania ludzi w komorach gazowych. W listopadzie zaczęły się masowe wywózki więźniów i więźniarek do położonych w głębi Niemiec innych kacetów, między innymi Buchenwaldu, Flossenbürga i Mauthausen. Więźniowie czekali na Rosjan, którzy się spóźniali. Tymczasem Armia Czerwona szykowała się już do potężnego uderzenia, które miało zmieść niemieckie wojska stacjonujące w Polsce. Podciągnano odwody. Dziesiątki tysięcy chłopców z Rosji i bezkresnych stepów Azji podążało na czołgach i transporterach opancerzonych na pozycje wyjściowe do natarcia. Ale Stalin czekał, chciał mieć bowiem pewność, że jego wojska zatrzymają się dopiero na Odrze. Wszyscy Niemcy, poza samym Hitlerem, wiedzieli, że nikt i nic nie zatrzyma Rosjan.

Tymczasem w Auschwitz zapanował straszliwy głód. On

zawsze był w obozie i zbierał tysiące ofiar, ale jesienią w ostatnim roku istnienia obozu głód przybrał apokaliptyczne rozmiary. Więźniowie często nie dostawali nic, a dawna obrzydliwa zupa z trawy i zgniłych brukwi mogła wydawać się luksusem. Komando, w którym od trzech lat pracowała Milena, okazało się niepotrzebne. Po wstrzymaniu akcji zagłady więźniarki skierowano do prac porządkowych na terenie obozu. Zima przyszła szybko i okazała się dla wielu kobiet zabójcza. Milena trafiła do komanda z powrotem w listopadzie i Wanda Zygielbojm z trudem ją poznała. Trzy miesiące w bloku jedenastym wykończyły dziewczynę. Osłabła i przyjaciółka bardzo się o nią bała. Milena przetrwała w obozie od wiosny czterdziestego drugiego roku i gdyby teraz miała zginąć z wyczerpania, zakrawałoby to na ironię losu. Od letniego aresztowania Weimert nie pojawił się w obozie. Nikt tak naprawdę nie umiał powiedzieć o nim nic pewnego. Mówiło się, że został odesłany do Niemiec albo rozstrzelany w tajemnicy za złamanie ustaw norymberskich. Odcięta od troskliwej opieki Weimerta, która w najtrudniejszych chwilach zapewniała jej życie, pod nieustannym okiem czujnych aufseherek, Milena staczała się na dno. Królowa Estera, która dzięki trudnemu układowi z Weimertem uratowała tylu ludzi, teraz sama rozpaczliwie potrzebowała pomocy. Wtedy przełamała się Róża, dysząca do siostry nienawiścią za los dzieci. Widząc stan Mileny, która z każdym dniem śmiertelnie mroźnej zimy zapadała się w otchłań, pospieszyła z pomocą. Ona i Wanda Zygielbojm jakimś sobie jedynie znanym sposobem zaczęły organizować jedzenie; czasem była to kromka nadpsutego chleba, czasem ugotowana brukiew. Zygielbojm powtarzała, że jeśli będzie im dane to wszystko przetrwać, nie zostanie ani chwili dłużej w Polsce i gdy tylko będzie mogła, wyjedzie do Palestyny. Jednak marząc o wyzwoleniu, kobiety musiały stoczyć przerażającą walkę o przetrwanie. Najgorsze były noce. Temperatura spadała do minus dziesięciu stopni. Każdego ranka sztywne od mrozu trupy kobiet wyrzucano przed baraki. Wprawdzie baraki w obozie kobiecym w Birkenau były wzniesione z cegły, ale przez szpary między więźbą dachu

a ścianami dał w nocy lodowaty wiatr. Kobiety próbowały sobie jakoś radzić. Wtulone w siebie spędzały noc przykryte szmatami, które zdołały jakimś sposobem wynieść z „Kanady”. Mróz miał tylko jedną dobrą stronę: wszy gryzły odrobinę mniej dotkliwie.

Nocami zrywał więźniarki przeciągły ryk strażniczek SS.

– *Aufstehen!* Wstawać! – ryczały Niemki.

Pobudki zdarzały się coraz częściej, ponieważ codziennie ktoś uciekał z obozu. Zbliżająca się Armia Czerwona wyznaczała rytm oczekiwania na koniec koszmaru. To dodawało więźniom odrobinę siły na przekór wszystkiemu. Milena uświadomiła sobie, że znalazła się bardzo blisko granicy, poza którą naprawdę była już tylko śmierć. Uwierzyła, dzięki oddaniu Wandy Zygielbojm i własnej siostry, że nadzieja jeszcze nie umarła, więc i ona powinna uwierzyć raz jeszcze, że wyjdzie żywa z tego piekła na ziemi. Apele odbywały się codziennie, ale SS zrezygnowało z wieszania więźniów pozostających w obozie za ucieczkę innych. Esesmani też wiedzieli, że wojna jest beznadziejnie przegrana i że na pewno im samym przyjdzie odpowiedzieć za popełnione w obozie zbrodnie. Codziennie odjeżdżały pociągi wiozące więźniów do Niemiec.

* * *

W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku Weimert wrócił do obozu z więzienia w Katowicach, gdzie odbywał karę za korupcję, jakiej miał się dopuszczać w obozie. Nikła skala jego przewinień przeciwko Trzeciej Rzeszy sprawiła, że nie został postawiony przed plutonem egzekucyjnym. Jednak nie trafił do magazynów „Kanady”, ponieważ wraz z wstrzymaniem Zagłady przestały być potrzebne. W więzieniu nabawił się infekcji układu pokarmowego i po zwolnieniu z aresztu trafił do szpitala SS położonego obok obozu macierzystego Auschwitz. Nabierał sił. Napisał list do rodziców z informacją o tym, gdzie służył w czasie wojny. Nie chciał, żeby mieli jakiegokolwiek złudzenia.

Jednak przede wszystkim szukał śladów Mileny. Nie wiedział, czy przeżyła, i niewiedza stała się dla niego torturą nie do opisania. Może jednak dziewczyna nie została zgładzona wyłącznie na

podstawie poszlak, ale wiedząc, ilu ludzi zamordowali Niemcy w tym obozie za dużo błahsze przewinienia, nie mógł się łudzić. Trawiony miłością, nie tracił zdrowego rozsądku. Otwarte poszukiwania Mileny po obozie kobiecym oznaczałyby potwierdzenie postawionych przez Broada zarzutów o złamanie ustaw norymberskich. Gestapo obozowe nie próżnowało i wciąż patrzyło Weimertowi na ręce, otaczając go siecią szpicli, zarówno więźniów, jak i niemieckich pielęgniarek w szpitalu dla SS. Franz starał się zachowywać normalnie, ale na widok choinki, jaką SS wystawiło w szpitalu dla esesmanów, Weimert pomyślał, że znalazł się w domu wariatów. Jak można obchodzić Boże Narodzenie, mordując jednocześnie ludzi w obozie? Wiedział, że jest po złej stronie. Święta jednak oznaczały też przydział kilku puszek z mielonym mięsem, które Weimert postanowił zostawić na czarną godzinę. Żywił na dnie serca nikłą nadzieję, że Milena jakimś cudem przeżyła.

W drugi dzień świąt został zwolniony z lazaretu. Czuł się lepiej. Odebrał swoje rzeczy z głównego magazynu SS. Odebrał też nowe rozkazy. Został skierowany do esesmanów pilnujących więźniów na tak zwanym *Lagererweiterung*, czyli przedłużeniu obozu. Przebywali tam jednak wyłącznie mężczyźni. Weimert nie mógł wykorzystać żadnego ze swoich dawnych kontaktów, ponieważ wszyscy jego znajomi z popijaw u Guntza wiedzieli, o co został oskarżony. Musiał więc wystrzegać się dawnych kumpli. Nie wiedział nawet, czy wciąż znajdowali się w obozie, ponieważ wraz z wysyłaniem transportów więźniarskich do Niemiec zmniejszała się także załoga, teraz już niepotrzebna. Esesmani, szczególnie ci, na których ciążyły ciężkie zarzuty, starali się wiać. Weimert działał zatem w skrajnie trudnych okolicznościach. Zaczął powoli tracić nadzieję, że zdoła odnaleźć Milenę. Mogła zostać przecież wysłana do Niemiec wraz z transportami. Wiele takich składów bydłych wagonów, w których stłoczono ludzi, już odjechało z Auschwitz na zachód. Czy w którymś z nich znajdowała się Milena? Ogarnęło go zwątpienie. Teoretycznie mógłby prosić o przeniesienie do Niemiec i się ewakuować w ciągu dwóch, trzech dni. I znów w podjęciu

decyzji o pozostaniu w Auschwitz do końca pomógł Franzowi przypadek.

Piątego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Weimert jak co dzień pełnił służbę wartowniczą w przedłużeniu obozu. Ten dzień, wyjątkowo piękny, ale i mroźny, miał się stać dla Weimerta czasem uświadomienia. Około południa zarządzono apel. Franz z doświadczenia wiedział, że będzie to apel specjalny, bo zwołany poza rozkładem dnia. Przywieziono także na ciężarówce przenośną szubienicę z obozu macierzystego, tę samą, która przez cztery ostatnie lata codziennie służyła katom do wieszania ludzi. Teraz miały zawisnąć na niej ostatnie ofiary. Weimert nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie egzekucja. Około czternastej, po dwóch godzinach stania na mrozie, w eskorcie *Aufseherinnen* oraz kilku esesmanów z Wydziału Politycznego przywleczono cztery żydowskie więźniarki. Weimert ich nie znał, ale musiał przy tej egzekucji asystować. Czuł wówczas do siebie nieprzeparty wstręt, ale dziękował w duszy Bogu, że to nie Milena miała zostać powieszona.

W grupie esesmanów z komendantury był też Kurt Guntz, ale zachowywał się tak, jakby Franz był trędowaty. Tylko Broad rzucił Weimertowi wymowne spojrzenie: żałuję, że to nie ty i twoja Żydówka teraz zawisniecie. Cztery więźniarki miały zostać powieszane za udział w spisku, który w październiku czterdziestego czwartego doprowadził do powstania w *Sonderkommando*, w rezultacie którego więźniowie wysadzili w powietrze czwarte krematorium. Dopiero teraz, pod szubienicą, Franz poznał je wszystkie. Były to Estera Wajcblum, Roza Robota, Ala Gertner i Regina Szafirsztajn. Wszystkie cztery pracowały latem w komandzie Franza. To one pomogły przeszmuglować do *Sonderkommando* materiał wybuchowy użyty podczas buntu. Śledztwo obozowego Gestapo prowadzone w czasie, kiedy Broad stawiał mu zarzuty złamania ustaw norymberskich, wykazało powiązania tych czterech dziewczyn z obozowym ruchem oporu. Weimertowi postawiono zarzut korupcji, w sumie niegroźny, ponieważ z tego paragrafu należałoby skazać wszystkich członków

SS z obozu. Milena okazała się bezużyteczna. Mogli ją zabić, ale równie dobrze mogła zostać zwolniona z bloku jedenastego i wrócić do obozu. Niespodziewana nadzieja zaświtała w sercu Weimerta.

Patrzył na cztery kobiety, które spokojnie i z zadziwiającą odwagą przyjęły śmierć. Widząc ich postawę, zdecydował, że musi odnaleźć Milenę, choćby miało go to kosztować życie.

* * *

Zadanie, jakie sobie postawił, było niezwykle trudne, ale nie niewykonalne. Po opublikowaniu przez BBC listy zbrodniarzy wielu oficerów SS postanowiło po prostu uciec z obozu w cywilnym przebraniu, choć za dezercję groziła kara śmierci. Troska o własne życie była jednak silniejsza. Wiedzieli, że po wojnie nie będzie litości. Na liście odczytanej w brytyjskim radiu znaleźli się wszyscy komendanci, wyżsi oficerowie, członkowie Wydziału Politycznego oraz znani z sadyzmu i okrucieństwa członkowie SS. Ruch oporu w obozie działał sprawnie, to dzięki niemu te nazwiska wyciekły na zewnątrz wraz z dokładnym rejestrem popełnionych przez tych ludzi zbrodni.

Władze obozu stanęły w obliczu braku wykwalifikowanej kadry, która wzięłaby na siebie ciężar sprawnego przygotowania ewakuacji. Weimert mógł się przydać. Znał magazyny „Kanady” jak mało kto. „Kanada”, z uwagi na ogrom wciąż znajdujących się tam dóbr materialnych, nie została ewakuowana do Niemiec i była małą szansą, że to będzie w ogóle możliwe. Gdyby padł rozkaz o ewakuacji obozu, magazyny należało zniszczyć. Franz poprosił więc o przeniesienie na poprzednie stanowisko. I otrzymał zgodę. Czternastego stycznia zameldował się u swego dawnego przełożonego Theodora Kratzera, którego zdumienie nie miało granic.

– Myślałem, że trafiłeś na front wschodni – powiedział Kratzer.

– Ja też tak myślałem – odparł Franz.

Przekonał się, że Kratzer podczas jego procesu zachował się wobec niego lojalnie. Broad próbował wymusić na nim potwierdzenie wcześniejszych zeznań Tłustej Ingi. To mogłoby pogrozić Weimerta. Franz dowiedział się także, że jego kobiece

komando zostało przeniesione do obozu jako bezużyteczne. Bał się bardzo tego słowa. Bezużyteczni więźniowie trafiali w Auschwitz tylko w jedno miejsce.

– W obozie kobiecym znów szaleje tyfus – ostrzegł Kratzer. – Nie rób sobie nadziei.

– Tam od trzech lat szaleje tyfus.

Między nimi panowały dobre stosunki. Kratzer zapewne dobrze wiedział, że Franz miał w komandzie swoją Żydówkę, ale równocześnie potrzebował go do krycia własnych szwindli korupcyjnych na dużo większą skalę niż te, za które na odsiadkę powędrował Weimert. Gdyby rzecz się wydała, Kratzer z pewnością zostałby postawiony pod ścianą i rozstrzelany za okradanie Trzeciej Rzeszy. Franz milczał o tym, a przecież z pewnością mógłby uzyskać złagodzenie wyroku, gdyby wskazał innych współników korupcji. Kratzer więc z pewnością był mu wdzięczny za milczenie, a Weimert mógł liczyć na kilka przysług.

W drugiej połowie stycznia czterdziestego piątego roku wydarzenia znacznie przyspieszyły. Siedemnastego stycznia, kiedy znad Wisły ruszyła wielka ofensywa Armii Czerwonej, z Wrocławia przyszedł rozkaz ewakuacji Auschwitz. Tego dnia, w temperaturze sięgającej minus dwudziestu stopni Celsjusza, odbył się ostatni apel, na który stawilo się sześćdziesiąt tysięcy wciąż żywych więźniów. Ewakuacja obozu miała się rozpocząć natychmiast, co oznaczało, że wszystko miało potrwać jeszcze dwa, góra trzy dni. Zaczął się chaos. Z biur komendantury, gdzie pracował Kurt Guntz, oraz z obozowego archiwum, gdzie z niemiecką skrupulatnością odnotowano bezmiar popełnionych zbrodni, zaczęto wynosić tysiące teczek z dokumentami. Wszystkie rzucano na wielki stos. SS pragnęło zniszczyć wszelką dokumentację wskazującą na ogrom potworności, jakie wydarzyły się w Auschwitz.

Magazyny *Effektenlager*, czyli pierwszej i drugiej „Kanady”, miały podzielić los archiwów. Nie mogąc wywieźć do Niemiec nagromadzonych tam niezliczonych ubrań, waliz, butów i wszelkich innych rzeczy, Niemcy postanowili je spalić. Pozostałym przy życiu więźniom *Sonderkommando* rozkazano kuć w ścianach

komór gazowych otwory na ładunki wybuchowe. Komory gazowe wyleciały w powietrze dzień przed przybyciem w okolice obozu żołnierzy radzieckiego Drugiego Frontu Ukraińskiego. Resztę żywych więźniów postanowiono pognąć pieszo do położonych o kilkadziesiąt kilometrów od linii frontu dużych stacji kolejowych: Jastrzębia-Zdroju i czeskiej Ostrawy. Tempo radzieckiej ofensywy zaskoczyło Niemców. Na nic nie było już czasu. Kilkunastu więźniów *Sonderkommando*, w tym młody chłopak z Sosnowca, zdołało się wmieszać w tłum więźniów. Nikogo nie można było już rozpoznać. Tym samym mieli ocaleć najważniejsi świadkowie Zagłady.

Weimert nie tracił czasu. Kiedy magazyny „Kanady” już płonęły, wtargnął do biura, gdzie Kratzer trzymał najpotrzebniejsze w ucieczce rzeczy, takie jak rosyjskie wełniane onuce, które znakomicie zabezpieczały stopy przed zimnem, oraz suchary. Weimert zabrał także ciepłe ubrania. Widząc to, Kratzer wpadł we wściekłość.

– Co ty wyprawiasz, Franz?! – krzyknął. – Mamy rozkaz ewakuacji. Jesteś mi potrzebny.

Weimert nie odpowiedział. Zajęty był pakowaniem ubrań i jedzenia do dużego worka.

– Zabierasz to wszystko dla niej, tej twojej Żydówki!? Powinni was oboje powiesić!

Weimert błyskawicznie wyciągnął z kabury swoje parabellum, przeładował je i wymierzył w Kratzera.

– Jeżeli spróbujesz mi przeszkodzić, zabiję cię – powiedział cicho, ale dobitnie.

Theodor Kratzer nie miał jednak najmniejszego zamiaru umierać za regulamin obozowy. Zostawił Weimerta, który zdał sobie sprawę, jak dramatycznie mało ma czasu na odnalezienie Mileny. W tym paraliżującym chaosie SS będzie próbowało zachować przynajmniej niezbędne minimum porządku, choćby po to, żeby zapanować nad pozostałymi w obozie więźniami. Tych więźniów, którzy nie byli w stanie iść o własnych siłach, rozstrzeliwano na miejscu z pistoletów maszynowych. Był też

pewien, że na widok jego munduru nikt mu nie przeszkodzi. Mógł poruszać się po terenie całego obozu.

Nałożył ciepły watowany płaszcz, czapkę, narzucił na plecy worek i trzymając w drugiej ręce pistolet, najbardziej uniwersalny klucz otwierający wszystkie bramy, ruszył do obozu kobiecego. Wychodząc, obejrzał się na magazyny „Kanady”. Płoneły i w niebo strzelały języki ognia. Nie miał chwili do stracenia. Skierował się przez drogę średnicową wprost na rampę, dokładnie naprzeciwko obozu kobiecego. Pamiętał, że jego komando wegetowało w baraku numer osiemnaście w części BIB. Jednak Weimert myślami był tylko przy jednej osobie, której pragnął pomóc po raz ostatni.

Skierował się do wartowni SS, gdzie odnotowywano, które komanda już opuściły obóz, a które wciąż oczekiwały na ewakuację. O dziwo, nikt nie zadawał mu pytań. Esesmanom z wartowni też się spieszyło. Komando *Weisskappchen* czekało na swoją kolej wymarszu. Weimert zdążył w ostatniej niemal chwili. Kolejne pół godziny zajęło mu jednak odnalezienie właściwego baraku.

Przystanął przed wejściem. Po chwili wszedł do środka, nie mając pewności, czy ją odnajdzie. Poczul odór stęchlizny, brudu, niemytych ciał i odchodów. Powstrzymał jednak obrzydzenie. Siedzące przy drzwiach do baraku więźniarki oniemiały. Nawet sztubowa dopiero po chwili stanęła na przepisowe baczność, widząc znajomą twarz Weimerta.

– Więźniarka dziewiętnaście siedemdziesiąt – powiedział krótko. – Muszę się z nią widzieć.

Sztubowa natychmiast poszła po Milenę. Weimert nie chciał pokazywać innym więźniarkom tego, co przyniósł w worku. Z trudem powściągał emocje. Nie widział Mileny od lata. Nie miał pojęcia, w jakiej jest formie i czy bardzo ucierpiała podczas przesłuchań w bloku jedenastym. Nie chcąc, aby ktoś widział jego uczucia, nakazał powiadomić więźniarkę numer dziewiętnaście siedemdziesiąt, że oczekuje na nią przed barakiem.

Po kilku dłuższych chwilach sztubowa, jakaś Polka, przyprowadziła Milenę. Podtrzymawała ją siostra Róża, którą Weimert wyciągnął wiosną z komory gazowej. Na widok Mileny

poczuł, że nogi się pod nim uginają. Była cieniem samej siebie. Ostatnie kilka miesięcy wyczerpały ją tak bardzo, że nie miał wątpliwości, że marsz w śniegu i mrozie ją zabije. Ona poznała go natychmiast. Okaleczone usta bezdźwięcznie go pozdrowiły. Weimert wiedział, że dziewczyna cieszy się, że nic mu się nie stało. Róża zachowywała się spokojnie, ale patrzyła na swego wybawiciela z wyrzutem. Jej dzieci wtedy zginęły.

– Ile to jeszcze potrwa? – zapytała cicho Milena.

– Już niedługo – zapewnił Weimert. – Zostaniecie ewakuowane. Pójdziecie pieszo aż do Ostrawy lub Kędzierzyna. Pojedziesz na zachód, nie mam pojęcia, dokąd was zawiozą. Pamiętajcie, że musicie dostać się na zachód. Tam będą Amerykanie. Oni pomogą Żydom.

Mówiąc to, miał świadomość, że najprawdopodobniej rozmawia z nią po raz ostatni. Bez niej nie chciał już żyć. Ale ona nie mogła się o tym dowiedzieć. Ściągnął z pleców worek. Pokazał jej ciepłe walonki, które przygotował dla niej oraz dla jej siostry.

– W worku jest jedzenie i ciepłe ubrania. Musicie to wszystko na siebie włożyć i schować jedzenie. Nikt nie będzie was obszukiwał. Nie ma już na to czasu. Wyruszyście najprawdopodobniej jeszcze dziś. Najpóźniej jutro, pojutrze będą tutaj Rosjanie.

Weimert skinął głową na pożegnanie. Wyobrażał sobie, że jego serce mordercy i złodzieja jest twarde jak stal, ale czuł, że jeśli nie zakończy tej sceny szybko, straci nad sobą panowanie. Chciał jej dotknąć po raz ostatni, ale się powstrzymał. Ona nie należała przecież do niego. Po chwili zniknął za barakami. Nie wiedział, dokąd idzie. Jego życie wraz z utratą Mileny straciło sens. Mógł jej już nigdy nie zobaczyć, bo nie miał pewności, czy dzięki jego pomocy dziewczyna przetrwa ewakuację. Idąc w zamieci w stronę płonącej „Kanady”, doszedł do wniosku, że powinien się teraz zastrzelić. To przecież takie proste, wyciągnąć parabellum, przeładować, przyłożyć dobrze do skroni i pociągnąć za spust. Ale wiedział też, że gdyby to zrobił, okazałby się tchórzem. Musiał przecież ponieść karę za to, co zrobił. A dręczyły go wielkie wyrzuty

sumienia. Będzie musiał żyć ze świadomością, jak bardzo jest przegrany. To miała być największa kara, jaką mógł sobie zadać.

Milena i Róża postanowiły natychmiast włożyć to, co przyniósł im Weimert. Gdy zniknął, Milena odwróciła się, aby zobaczyć go po raz ostatni. Teraz wiedziała, że kochała go tak, jak już nigdy nie miała nikogo pokochać. Ale wiedziała też, że Auschwitz rozdzieliło ich na zawsze.

EPILOG

Izrael, 1971

Wrzesień tego roku był w Izraelu bardzo upalny. Duszne, gorące powietrze znad Pustyni Synajskiej wdzierało się w głąb kraju, wysuszając pola uprawne, sady i winnice. Kobieta patrzyła na drzewo figowe, które zasadziła obok nowego domu dwadzieścia trzy lata temu. To drzewo zadziwiająco dobrze radziło sobie z suszą. Było silne. Kobieta była z niego bardzo dumna, ponieważ symbolizowało jej rodzinę. Miała dwóch synów i męża, niezwykle dobrego i spokojnego człowieka, lekarza, który całą wojnę przeżył w Egipcie. Poznali się latem tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku, kiedy kobieta przybyła wraz ze swą siostrą z Europy. Wyszła za niego za mąż wiosną następnego roku. Potem urodzili się im dwaj synowie. Jednak życie na pustyni nie było łatwe. Jej rodzina pracowała każdego dnia w pocie czoła, aby ta ziemia rodziła plony. Kobieta wiedziała, że trzeba żyć mimo przeciwności losu.

Milena starała się być dobrą żoną i czułą matką. Kochała bardzo swych synów i drżała, kiedy szli na wojnę. Izrael musiał się bowiem bronić przed wrogami. Często odwiedzała siostrę, która mieszkała w kibucu leżącym kilkanaście kilometrów dalej. Róża wyszła za mąż dopiero w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym i w trzy lata potem urodziła zdrową córeczkę. Siostry były ze sobą w serdecznych stosunkach. Róża powiedziała nawet Milenie po urodzeniu córeczki, że jej determinacji zawdzięcza życie tego dziecka. Gdyby nie Milena, Róży nie byłoby wśród żywych. Słowa siostry przyniosły kobiecie niewymowną ulgę. Obie siostry wspominały też ciepło matkę, zapominając o tym, co było złe. O zmarłych trzeba pamiętać zawsze dobrze. Milena nigdy nie

wracała do wspomnień wojennych. Jej mąż i synowie wiedzieli, że w czasie wojny była w obozie, ale nie powiedziała im nigdy nic o swoich przeżyciach. Milena po prostu nie chciała wracać do przeszłości ani do traumatycznych przeżyć obozowych, ani do koszmaru ewakuacji, ciężkiego życia w obozie filtracyjnym w Austrii oraz o pełnej przeciwności drodze do wolnego Izraela, do jedyne go kraju, za jaki Żydzi powinni walczyć i za jaki mieli odtąd umierać.

Jednak przeszłość, odepchnięta i zakopana w pokładach ludzkiej pamięci, odnalazła ją pewnego wrześnie go popołudnia, kiedy przyglądała się dorodnej fidze. Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Milena myślała, że odbierze ktoś z rodziny, ale po chwili zdała sobie sprawę, że tego popołudnia była sama. Mąż poszedł naprawiać auto sąsiadowi, a synowie studiowali na uniwersytecie hebrajskim w Hajfie. Niezadowolona, że musiała przerwać sjęstę, Milena wstała z krzesła na werandzie, zostawiła figę w samotności i podeszła do aparatu. Podniosła słuchawkę.

– Czy mam przyjemność z panią Mileną Rosenblum? – zapytał w słuchawce przyjemny męski głos.

– Tak, o co chodzi? – odparła zaintrygowana Milena.

– Czy to na pewno pani Milena Rosenblum z domu Zinger? – zapytał znów mężczyzna, chcąc najwyraźniej mieć absolutną pewność.

– Tak, to ja – odparła Milena, zirytowana dociekliwością rozmówcy.

– Przepraszam, że niepokoję panią. Nazywam się Dawid Blum i jestem historykiem z biura Szymona Wiesenthala w Wiedniu. Może pani słyszała, że zajmujemy się...

– Tak, wiem – przerwała Milena. – Zajmujecie się ściganiem zbrodniarzy wojennych.

– To doskonale – powiedział Blum. – Czy poświęci mi pani kilka minut? Dużo czasu zajęło nam odnalezienie pani w Izraelu.

– Skoro pan dzwoni, to możemy porozmawiać – odparła Milena.

– Dziękuję. W imieniu pana Szymona Wiesenthala chciałbym

panią prosić o pomoc w trudnej, ale i delikatnej sprawie.

– Jestem trochę zażenowana. Czego Szymon Wiesenthal może chcieć ode mnie, prostej kobiety z kibucu na pustyni?

– Już wyjaśniam. Dowiedzieliśmy się o pani dzięki świadkom, których zeznania zdołaliśmy zebrać w Europie. Czy podczas wojny była pani więźniarką obozu koncentracyjnego Auschwitz?

– Tak. Czy chce pan, abym podyktowała panu przez telefon moje zeznania?

Milenę trochę zirytował fakt, że w Europie ktoś nagle sobie o niej przypomniał. O obozie nie rozmawiała nawet z mężem, który nigdy jej o nic nie wypytywał, a tutaj dzwoni jakiś facet z Europy i pyta o to, o czym ona pragnęła zapomnieć.

– Przepraszam – powiedział po chwili Dawid Blum. – Najmocniej panią przepraszam. Wiem, jakie to dla pani trudne. Dzwonimy, ponieważ pragniemy się z panią spotkać w Jerozolimie w pewnej trudnej sprawie, w której, jak mniemamy, pani może nam pomóc.

– A co to za sprawa? – zapytała Milena. Najchętniej krzyknęłaby do słuchawki: „No wyduś to z siebie wreszcie, człowieku!”.

– W Wiedniu za kilka miesięcy zacznie się proces dwóch funkcjonariuszy SS z załogi obozu Auschwitz.

Milena poczuła, że mocniej bije jej serce.

– Tak, proszę dalej... – nalegała.

– Ci dwaj funkcjonariusze SS zostaną oskarżeni o ludobójstwo. Niestety austriacki wymiar sprawiedliwości bardzo rzadko wydaje wyroki skazujące w sprawach byłych nazistów. Austria jest pod tym względem jeszcze gorsza niż Niemcy, gdzie przed paroma laty odbyło się kilka procesów członków załogi Auschwitz.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Milena, choć czuła, że zaraz zemdleje. Na szczęście usłyszała, że do domu wszedł mąż z sąsiadem po jakieś śrubki. Nie była już sama.

– No tak, w przypadku architekta Waltera Dejaco nie będzie nam pani mogła pomóc, ale myślimy o drugim oskarżonym, z którym być może pani miała styczność podczas pobytu w obozie.

To nadzorca z magazynu, niejaki Franz Weimert...

Słyszając jego imię i nazwisko, Milena upuściła słuchawkę. Ten człowiek był zapomnianym duchem z przeszłości. Dawid Blum usłyszał trzask odrzuconej słuchawki i głuchy jęk Mileny, która osunęła się na kolana i zaczęła szlochać. Na widok żony w takim stanie mąż natychmiast pospieszył jej na ratunek. Dawid Blum musiał poczekać. Milena doznała głębokiego szoku, ponieważ była pewna, że już nigdy nie usłyszy o Franzu Weimerce.

* * *

Po dwu tygodniach Blum zadzwonił ponownie, tym razem już z Jafy. Przyłynął statkiem z Włoch i pragnął za wszelką cenę zobaczyć się z Mileną. Uzgodnili spotkanie. Milena nie chciała decydować się na złożenie zeznań bez uzgodnienia tego z siostrą. Róża straciła wówczas dzieci i dała siostrze jasno do zrozumienia, że nie znajdzie siły, by stanąć przed sądem. Milena postanowiła uszanować wolę siostry. Sama także nie miała ochoty jechać do Europy, ale uznała, że prawda o tym, co przeżyła, należy się jej rodzinie. Mąż i synowie długo słuchali w milczeniu jej opowieści o życiu w przedwojennej Bratysławie, o rządach katolickiego reżimu księdza Tiso, o prześladowaniach, jakie spotkały Żydów w tym kraju, wreszcie o deportacji do Auschwitz, o horrorze życia w obozie. Najtrudniej przyszło jej opowiedzieć o Weimerce oraz o jego roli w tym, że ona przeżyła. Synami wstrząsnęły słowa matki, że żyją tylko dlatego, że podczas pobytu w obozie kochał ją wróg, morderca jej narodu, esesman Franz Weimert, przeciwko któremu miała teraz świadczyć. Tylko dzięki temu, że zawsze miała z dziećmi dobry kontakt, synowie nie odwrócili się od niej. Dla męża świadomość, że jego żona podczas wojny pokochała kogoś takiego jak Weimert, była krańcowo trudnym doświadczeniem. Być może wiele innych rodzin rozpadłoby się po takim wyznaniu, ale rodzina Mileny to wytrzymała. Jadąc na spotkanie z Dawidem Blumem do Jerozolimy, Milena miała przy sobie męża i synów.

Rozmowa była ciężka. Milena przedstawiła Blumowi swoją historię, z której jasno wynikało, że esesman Weimert dopuścił się ciężkich przestępstw, w tym morderstw, uratował jej życie,

wyciągnął z komory gazowej jej siostrę oraz uratował jeszcze kilkoro ludzi na wyraźną prośbę Mileny.

– Kim on dla pani był? – zapytał zaskoczony Blum.

– To źle postawione pytanie. Ważne jest to, kim ja dla niego byłam. On miał w obozie ogromną władzę nade mną, ale nigdy jej nie nadużył. Ja nie chcę go usprawiedliwiać, ale jeśli mam stanąć przed sądem jako świadek, będę mówiła prawdę.

– A jaka jest pani prawda?

– Taka, że on uratował życie moje, mojej siostry, lekarki Wandy Zygielbojm oraz wielu innych ludzi.

– Weimert jest przestępcą – stwierdził Blum.

– To prawda – przytaknęła Milena – jest przestępcą, ponieważ należał do SS i był strażnikiem w Auschwitz. Ale będąc przestępcą i mordercą, był jednocześnie moim wybawicielem. Gdyby nie on, nie rozmawialibyśmy teraz.

Ta dwoistość głęboko poruszyła Dawida Bluma. Po raz pierwszy zetknął się z przypadkiem, by Niemiec w Auschwitz, miejscu śmierci miliona Żydów, zachował ludzkie uczucia w stosunku do żydowskiej dziewczyny. Ktoś, kto nie przeżył wojny i nie miał pojęcia o horrorze życia w obozie, nigdy nie zrozumie dwoistości oraz dwuznaczności postawy Weimerta. Natomiast to, że kierowała nim miłość do Żydówki, przemawiało za nim jako za człowiekiem. Analizując wstępne zeznania Mileny, Blum doszedł do wniosku, że Weimert musiał być bardzo złożoną osobowością.

Wiedeń, 1971

Świat Christine Weimert był jasny i uporządkowany. Miała piętnaście lat, kiedy skończyła się wojna. Ostatnie jej miesiące, a potem radziecka okupacja Austrii były dla niej krańcowo trudnym doświadczeniem. Ukrywała się na wsi, ponieważ rodzice prosili ją, aby nie przyjeżdżała do Wiednia. Zbyt wiele dziewczyn w jej wieku zostało zgwałconych przez żołnierzy radzieckich. Ona cudem uniknęła tego losu. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku wróciła do Wiednia, gdzie zrobiła maturę. Pięć lat po wojnie przebąkiwano coś o utworzeniu niepodległej, chrześcijańskiej

i demokratycznej republiki Austrii. Jej rodzina postanowiła zamieszkać w Wiedniu. Sąsiadami jej rodziny byli Weimertowie, prowincjonalni rzeźnicy z nadgranicznego Drasenhofen, którzy po wojnie postanowili przenieść interes do Wiednia. Rodzinę Weimertów tworzyła stara matka, Lorenz, beznogi lekarz, który pracował społecznie, oraz Franz, który przejął po wojnie interes po ojcu. Stary Josef Weimert, ojciec rodziny, został zastrzelony przez żołnierzy radzieckich w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku wskutek przypadkowego zatargu.

Młoda Christine nie miała żadnych doświadczeń z mężczyznami, więc spoglądała na najmłodszego z braci Weimertów, Franza, jak bardzo zakochana nastolatka. Gdy miała dwadzieścia lat, jej matka poszła do matki Weimerta. Sześć miesięcy po tej rozmowie Franz Weimert oświadczył się Christine. Wzięli ślub. Dziewczyna kochała męża, który był dla niej dobry, ale zawsze miała wrażenie, że nie jest w pełni zaangażowany w ich związek. Krążyły wprawdzie plotki, że Franz Weimert był podczas wojny w SS, ale wielu Austriaków służyło przecieź w wojsku niemieckim i nikt w Austrii nie robił z tego problemu. Christine uznała, że taka była przeszłość i nie można jej zmienić. Gdyby mąż chciał jej powiedzieć o tym, co robił w czasie wojny, toby jej opowiedział. Ponieważ milczał, Christine uznała, że nie powinna o nic pytać. Najwidoczniej nie robił podczas wojny nic zdoźnego. Musiał zapewne walczyć. Może nawet kogoś zastrzelił. Ale to była wojna. Christine zostawiła zatem przeszłość, nie wiedząc nic o człowieku, z którym się związała. Dbał o rodzinę. Dzieci, Milena i Friedrich, przepadały za ojcem. Christine rozumiała, że ich syn nosi imię po bracie Franza, który zginął chyba na początku wojny, ale nie pytała, dlaczego ich córka nosi to dziwne imię. Milena brzmiało ładnie i oryginalnie. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku młoda Milena włączyła się w działalność radykalnej lewicy. Ojciec patrzył na to przez palce. Christine we wszystkim słuchała męża i stwierdziła, że skoro mąż nie widzi przeciwwskazań, ona też nie będzie protestowała. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku Milena Weimert rozpoczęła

studia filozoficzne na Uniwersytecie Wiedeńskim. Uważała się za komunistkę.

Spokojne i ułożone życie rodziny Weimertów, które tak bardzo ceniła sobie Christine, zostało zburzone w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Wtedy wybuchł rodzinny wulkan.

* * *

Postawiono wówczas w stan oskarżenia znanego architekta Waltera Dejaco. Oskarżono go, iż w czasie wojny był esesmanem oraz że sporządził projekty komór gazowych i krematoriów w obozie Auschwitz. Dejaco bronił się, mówiąc, że nie wiedział, do czego służyły instalacje, które zaprojektował, ale nikt mu nie wierzył. Poważne dowody obciążające architekta dostarczyło do prokuratury wiedeńskie biuro Szymona Wiesenthala, ścigające hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Jednak w Austrii, która po wojnie próbowała budować mit pierwszego kraju okupowanego przez hitlerowskie Niemcy, zaczęła się trudna dyskusja nad przeszłością. Austriackiej prawicy powiązanej z Kościołem, która bardzo broniła tego mitu, lewica przypomniła zdjęcia wykonane w Wiedniu w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku, tuż po Anschlussie. Wówczas zwykli wiedeńczycy, a nie naziści, zmusili tysiące wiedeńskich Żydów do mycia ulic szczoteczkaami do zębów. Wraz z tą sprawą zaczęła się debata o wielkiej, nigdy nienazwanej winie Austrii.

Rodzina Weimertów śledziła te debaty z nikłym zainteresowaniem. Christine uznała, że sprawa jej nie dotyczy, więc nie ma sensu się zajmować przeszłością. Ale pewnego ranka, kiedy wiedeńska policja zapukała do drzwi ich mieszkania, świat zwałił się Christine na głowę. Policjanci aresztowali jej dobrego męża, który milczał przez tyle lat. Zarzucono mu, że w czasie wojny był esesmanem w obozie Auschwitz, a podczas służby dopuścił się wielu przestępstw, w tym morderstw i grabieży mienia ofiar. Ku kompletnemu zaskoczeniu żony Franz Weimert nie oponował. Powiedział tylko:

– Wybacz, kochanie.

Aresztowanie męża i ojca wywróciło życie rodziny Weimertów do góry nogami. Ukochana córka zdecydowała się opuścić Austrię i wyjechać z chłopakiem do Stanów Zjednoczonych. Syn udał się do Niemiec, nie chcąc mieć żadnych kontaktów z ojcem. Christine została z tym wszystkim sama. Bardzo bała się przeszłości. W gruncie rzeczy zawsze w głębi serca czuła, że coś jest nie tak z przeszłością męża, ponieważ nigdy o tym nie mówił. Teraz, kiedy bomba wybuchła, Christine postanowiła się z tym wszystkim zmierzyć. Próbowała poszukać wyjścia z tej arcytrudnej sytuacji. Poszła po radę do matki Franza, sędziwej i sklerotycznej kobiety, ale niewiele się dowiedziała. Przeszłość w jej sercu była zamknięta jeszcze głębiej niż w sercu jej męża. Christine zdecydowała się walczyć o męża, któremu groziło wieloletnie więzienie. Rozwijając rodzinną firmę, przez lata dorobili się sporego majątku. Christine wynajęła więc dobrego adwokata. Ów prawnik zgodził się poprowadzić obronę męża, pod warunkiem że on sam się na to zgodzi. Kiedy Christine poszła z tą wiadomością do Franza, ten odmówił. Powiedział żonie, że zamierza się do wszystkiego przyznać. Christine nie mieściło się to w głowie.

– Dlaczego niszczysz nasze małżeństwo? Córka nie chce cię znać! Twoja ukochana córka wyjechała do Ameryki, a ty mi mówisz, że zamierzasz się przyznać do wszystkich tych okropności? Jakim ty jesteś człowiekiem, Franz?! – pytała wzburzona do głębi żona.

Franz odparł jej z zadziwiającym spokojem:

– Zamierzam się przyznać do wszystkiego, ponieważ to ja napisałem na siebie anonimowy donos, dzięki któremu prokuratura stawia mi teraz zarzuty.

– Czyś ty oszalał?! – krzyczała Christine, niczego nie rozumiejąc. – Naprawdę kompletnie zwariowałeś!

– Nie, Christine, nie oszalałem – odparł Weimert. – Robię to w pełni władz umysłowych. Robię to dla przyszłości nas i naszych dzieci.

Tego było dla Christine za dużo. Wróciła do mieszkania, spakowała się i pojechała do Grazu, do swoich rodziców. Musiała

nabrać dystansu i bardzo poważnie zastanowić się, co dalej. Rozważała różne scenariusze, między innymi rozwód. Rodzice stwierdzili, że powinna pojechać do męża i skłonić go do wyznania wszystkiego. Był to logiczny argument: nie możesz rozwieść się z człowiekiem, nie znając o nim całej prawdy. Franz Weimert był po prostu częścią jej życia, ojcem jej dzieci. Po kilku tygodniach wróciła do Wiednia i raz jeszcze przeprowadziła z mężem bardzo poważną rozmowę.

– Chcę, żebyś mi wszystko opowiedział. Jeżeli nasza miłość coś dla ciebie znaczy, musisz mi powiedzieć całą prawdę. Chcę wierzyć, że uda się nam uratować małżeństwo.

– Dobrze – zgodził się Weimert. – Ale nie wiem, czy jesteś gotowa na prawdę.

– Spróbuję to wytrzymać – odpowiedziała Christine.

Franz zaczął od nieudanej spowiedzi sprzed ponad trzydziestu lat, mówił o Bastianie, koledze z sąsiedztwa, oraz o jego śmierci. Serce Christine zamarło, kiedy usłyszała, że jej mąż jako młody chłopak brał udział w rozstrzeliwaniach. Wspomniał krótko o froncie wschodnim, o ranie, jaką wówczas odniósł. Z zadziwiającym spokojem, rzeczowo i bez zatajania czegokolwiek opowiedział jej o swojej służbie w Auschwitz. Jak znęcał się nad młodymi polskimi więźniami, o rozstrzeliwaniach na żwirowisku oraz o żydowskiej zakonnicy zamordowanej i spalonej w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Opowiedział także o magazynie, zwanym w obozowym żargonie „Kanadą”: o jego makabrycznej zawartości, o setkach dziecięcych wózków, o stosach ubrań, jakie pozostały po zamordowanych. Mówił bardzo długo o szaleństwie masowej śmierci nieporównywalnej z niczym, co wydarzyło się przedtem. Słuchając męża, Christine miała wrażenie, że znalazła się na skraju otchłani. Na koniec usłyszała:

– Muszę zostać ukarany, Christine. Od końca wojny żyję na kredyt. Powinniście opuścić Austrię i zmienić nazwisko.

Po powrocie do pustego mieszkania Christine miała atak depresji. Siedziała tam zamknięta przez tydzień. Płakała bez przerwy. Uznała, że jej życie jest bezsensowne, ponieważ

zbudowano je na kłamstwie. Myślała o samobójstwie, ale doszła do wniosku, że musi żyć dla dzieci. Po ataku depresji przyszła chwila, w której zdecydowała się walczyć. Uznała, że wiedziała, za kogo wychodzi za mąż. O tym, że Franz należał do SS, chodziły słuchy po wojnie. Ale chciała wtedy jakoś się urządzać. Znalezienie po wojnie dobrego męża wcale nie było łatwe. Gorączkowo zaczęła także poszukiwać sposobu uratowania męża, nawet wbrew jemu samemu. Postanowiła się przemóc i spróbować nakłonić leciwą już matkę Franza do potwierdzenia tego, co usłyszała z jego ust. Teściowa oświadczyła, że Franz powiedział żonie prawdę. Matka była przecież jedyną osobą, której Franz najprawdopodobniej zwierzył się ze swojej historii po wojnie. Musiał to zrobić. Christine nie potępiała męża. Wówczas od jego matki dowiedziała się po raz pierwszy, że oprócz niej była w jego życiu jakaś inna kobieta. Padło imię Milena. Wtedy Christine zrozumiała wszystko: jej mąż całe życie kochał inną. Wiedząc, do jakich potworności dochodziło w obozie, chciała się przede wszystkim dowiedzieć, jaki charakter miały stosunki jej męża i tej Mileny. Podziękowała teściowej i pojechała do aresztu. Teoretycznie Franz mógł wyjść za kaucją, ale pisząc na siebie donos, pragnął zostać skazany. Nie zgodziłby się na odpowiadanie z wolnej stopy.

Tym razem rozmowa przebiegła inaczej. Christine zaakceptowała prawdę o przeszłości męża. Nie stawiała oskarżeń. Słuchała tego, co miał do powiedzenia. Gdy zapytała o Milenę, Franz był kompletnie zaskoczony. Powiedziała, że wie o dziewczynie od jego matki. Imieniem tej kobiety została nazwana ich córka. Franz już niczego przed żoną nie ukrywał. Płakał na jej kolanach jak dziecko.

W dwa miesiące później zaczął się proces.

* * *

Milena przyleciała do Wiednia wraz z mężem i synami. Rodzina pragnęła jej towarzyszyć, wiedząc, że składanie zeznań w procesie Weimerta będzie dla matki skrajnie trudnym doświadczeniem. To wejście w przeszłość miało być szokujące zarówno dla niej, jak i dla opinii publicznej. Decydując się na

składanie zeznań przeciw Weimertowi, Milena zgodziła się na rozgłoszenie, jakie stosunki łączyły ją z Weimertem w obozie. Chociaż nie przekroczyli granicy cielesności w obawie przed utratą życia, prawda mogła okazać się bardzo niewygodna dla wielu osób. Poza tym Milena pragnęła mieć przy sobie wsparcie, ponieważ po raz pierwszy od czasów wojny miała stanąć naprzeciwko człowieka, który jak żaden naznaczył jej życie.

W Wiedniu doszło do jeszcze jednego ważnego dla Mileny i wzruszającego spotkania po latach. Ze Stanów Zjednoczonych na proces przyleciała sędziwa Wanda Zygielbojm, która przeżyła Auschwitz dzięki Milenie oraz Weimertowi. Ona też miała złożyć swoje świadectwo, nie mniej ważne i poruszające od świadectwa Mileny. Wanda odnalazła w obozie przejściowym we Francji swoją córkę Rywkę, która przeżyła wojnę dzięki pomocy polskiej rodziny z Radomia. Wanda opowiedziała Milenie, że odnalazłszy przypadkiem córkę w żydowskim sierocińcu we Francji, zrozumiała, że jej ocalenie z piekła Auschwitz nie było przypadkowe. Ale obie kobiety nie cieszyły się zbyt długo. Wiedziały, że tego, co przeżyły, nigdy nie będzie wolno im zapomnieć, przez wzgląd na tych, którzy zginęli.

W czasie Szoah zginęło sześć milionów żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci.

Milena boleśnie to odczuwała, że Europa stała się dla niej kontynentem przeklętym, w którym po setkach lat niechęci i jawnej wrogości wymordowano jej naród. Była bezpośrednim świadkiem tego mordy, niemającego precedensu w historii. A teraz miała świadczyć przeciwko człowiekowi, który w czasie Zagłady stał po stronie sprawców i który, jak na ironię, uratował jej życie.

* * *

Mąż z synami wyszli zwiedzić Wiedeń. Milena była zmęczona i postanowiła zostać w hotelu. Pragnęła skupić się nad szkicami swych zeznań. Wiele wysiłku kosztowało ją przywołanie z pamięci koszmaru Auschwitz oraz usystematyzowanie tego, co pamiętała. Gdy czytała notatki, zadzwonił telefon. Recepcjonista poinformował, że jakaś kobieta pragnie się z nią spotkać.

Zdziwiona Milena nie zapytała, kto to jest, ale postanowiła sprawdzić, o co chodzi. Kobieta czekała na nią w kawiarni. Była bardzo zdenerwowana, miętoszyła w dłoniach torebkę. Milena zauważyła, że ta kobieta jest do niej bardzo podobna. Z pewnością mogłaby uchodzić za dość bliską kuzynkę. Ku wyraźnemu zaskoczeniu Mileny kobieta ją poznała, mimo iż była pewna, że nigdy wcześniej się nie widziały.

– Czy pani mnie szukała? – zapytała Milena, podając kobiecie rękę.

– Tak, przepraszam, że w taki sposób... – Kobieta wyglądała na bardzo zawstydzoną. – Rzecz w tym... przejdę od razu do sprawy. Nazywam się Christine Weimert i jestem żoną Franza. Czy porozmawia pani ze mną? Jeśli nie, zrozumiem.

Milena nie spodziewała się, że żona Franza odnajdzie ją w Wiedniu. Blum zapewniał jej bezpieczeństwo. Po chwili zażenowania Milena doszła jednak do wniosku, że żona Weimerta nie przyszła do niej ze złymi zamiarami. Wyglądała raczej na kobietę bardzo ciężko doświadczoną przez życie. W tej chwili w sercu Mileny nie było złości ani chęci zemsty. Wiedziała przede wszystkim, że Franz Weimert był jej wrogiem, który ją kochał najbardziej na świecie.

– Tak, porozmawiam z panią – powiedziała Milena, dając znak, aby obie usiadły przy stoliku w kawiarni.

Milena nie wiedziała, od czego mogłaby zacząć rozmowę z żoną Franza. Jej wizyta miała najwyraźniej związek z procesem. Christine Weimert sprawiała wrażenie kobiety, która nie tylko przeżyła szok, dowiedziawszy się o przeszłości męża. Była kobietą, która za wszelką cenę próbowała poznać prawdę o ich związku. Milena uspokoiła Christine. Wyjaśniła, że przybycie na proces Weimerta było dla niej bardzo ciężkim doświadczeniem, nie tylko ze względu na przeszłość, lecz także na jej rodzinę. Mąż i synowie wiedzieli, że podczas wojny przebywała w niemieckim obozie koncentracyjnym, ale nie mieli pojęcia o tym, co połączyło ją z Weimertem. W tym sensie obie kobiety zbliżyła do siebie ta świadomość rodzinnej niepewności. Okazało się, że Christine

i Franz mieli dwoje dzieci, które nie chcą mieć kontaktu z ojcem. Christine była jednak zdecydowana, że utrzyma małżeństwo, które miało dla niej ogromną wartość.

– Czy on panią tu wysłał? – zapytała w pewnym momencie Milena.

– Absolutnie nie. On nie wie, że poszłam do pani. Proszę mnie nawet nie pytać, ile zachodu mnie kosztowało, żeby panią odnaleźć w tym hotelu.

W tym momencie Christine wyjęła z torebki kartkę złożoną na czworo. Była to odbita na powielaczu kopia donosu, jaki Franz Weimert napisał na samego siebie. Przyznając się do zbrodni oraz do współuczestnictwa w eksterminacji, sam nakładał na siebie karę. Po przeczytaniu tego dokumentu Milena doświadczyła po raz pierwszy bardzo silnego przyływu litości. Litowała się nad katem, który rozumiał popełnione przez siebie okrucieństwa. Weimert napisał bowiem, że odpowiada za kilka zabójstw. Pamiętał dokładnie to, które popełnił na dworcu towarowym w Oświęcimiu, kiedy zastrzelił doktora Pressburgera. Milena zrozumiała, że właśnie dzięki miłości do niej Weimert w głębi serca pozostał człowiekiem, który potrafił odróżnić dobro od zła. Wiele razy uratował jej życie, ale to miłość do niej sprawiła, że dwadzieścia sześć lat po wojnie napisał na siebie donos. Chciał pójść do więzienia. Milena upuściła kartkę. Nie była w stanie dalej czytać. Weimert stwierdził, że nie może dalej normalnie żyć, zastanawiając się, czy więźniarka dziewiętnaście siedemdziesiąt przeżyła ewakuację.

Milena bardzo przeżyła spotkanie z Christine. Wymieniły się adresami. Tak na wszelki wypadek. Gdyby kiedyś należało powiedzieć ostatnie słowa, na które teraz zabrakło czasu.

* * *

Zeznania Mileny podczas procesu wzbudziły sensację. Okazało się bowiem, że Weimert na jej prośby uratował kilkanaście osób. Zaczęli mówić inni, którzy w ten sposób przeżyli. Szczególną grozę wywołała historia Wandy Zygielbojm, która opowiedziała, jak zdawała egzamin u doktora Mengelego. Stawką tego egzaminu było

jej życie. Sąd uznał Weimerta za winnego zarzucanych mu przez prokuraturę czynów, ale biorąc pod uwagę ocalenie siostry Mileny, Róży, wyciągniętej przez niego z komory gazowej, a także inne okoliczności łagodzące, postanowił odstąpić od wymierzenia mu kary.

Jednak dla Mileny i Weimerta sam proces nie był już tak istotny. Na sali sądowej zobaczyła go po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat. Wtedy zasłabła, nie doceniła bowiem siły emocji. Cały czas na nią patrzył. Wyglądał na naprawdę szczęśliwego. Zyskał pewność, że walonki ocaliły jej życie. Jednak tych dwoje postanowiło, że nie zamienią ze sobą ani słowa. Wszystkie słowa, jakie mogliby wypowiedzieć, nieuchronnie zbliżyłyby ich ponownie do tego dnia w baraku, kiedy faktycznie byli najbliżej i zarazem najdalej siebie. Auschwitz rozdzieliło ich na zawsze.

Małżeństwo Weimerta przetrzymało próbę czasu, ale rozgłos, jaki zdobył w Austrii po procesie, nie przysporzył mu przyjaciół. Rozprawa uświadomiła Austriakom wielką i nigdy niewybaczoną winę. Milena wróciła po procesie do Izraela.

Znów minęły lata. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku Milena, wówczas już ponad sześćdziesięcioletnia, otrzymała od Weimerta list. Zastanawiała się, czy powinna go otworzyć. Przeczytała i odpisała. Potrzebowali czterdziestu lat, żeby móc już bez emocji opisać to, co ich połączyło, i to, co ich podzieliło. Weimert opowiedział jej o straszliwym dniu sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kiedy widział śmierć żydowskiej zakonnicy, Teresy Benedykty od Krzyża, doktor filozofii Edyty Stein. To jej śmierć obudziła w nim człowieka. Wtedy zdecydował, że musi wyznać Milenie miłość. I ta miłość ocaliła Milenę i jej siostrę. Czytając list od Mileny, Weimert trzymał rękę na brewiarzu Edyty Stein. Przechował go przez wszystkie te lata.

Milena odpisała mu, że w ich historii nie było przypadku. Nie zaprzeczyła, że był współwinny zagłady jej narodu, ale podkreśliła, że ratując jej życie, a także życie jej siostry, stał się zarazem katem i wybawicielem. Przeczytawszy list od Mileny, Weimert odłożył go

na bok. Chwycił stary brewiarz Edyty Stein. On wtedy widział jej śmierć. Na chwilę przed wejściem do komory gazowej popatrzyła na niego z miłością. Wiedziała bowiem, że wraz z jej śmiercią on pozostanie poza Bogiem, do którego ona zmierzała. Jednak to oddalenie od Stwórcy nie trwało wiecznie. Przywołała go miłość, którą Franz darzył Milenę. Bóg jest miłością i wszystko, co zostanie uczynione z miłości, jest zawsze ponad złem.

Od autora

Dwudziestego czwartego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku dwudziestolecia Helena Citronova, pochodząca z żydowskiej rodziny zamieszkałej na Słowacji, przybyła wraz z innymi dziewięciuset dziewięćdziesięcioma ośmioma kobietami do Auschwitz. Był to pierwszy kobiecy transport więźniarski do obozu, który do tej pory był wyłącznie męskim piekłem. Helena wraz z innymi kobietami została skierowana do wyniszczającej pracy przy rozbiórce domów położonych w jednej z dzielnic Oświęcimia. Traf chciał, że los żydowskiej dziewczyny skazanej na powolną śmierć w obozie przeciął się z losem młodego, niespełna dwudziestojednoletniego podoficera SS, Franza Wunscha. Ów młody Austriak był synem sklepikarza. Wstąpił do SS na ochotnika i po odbyciu służby na froncie wschodnim, gdzie zresztą został ranny, skierowano go do Auschwitz.

Helena w pierwszych miesiącach swojego pobytu w obozie oczywiście nie wiedziała o Wunschu. Wiedziała jednak, że jej siły się wyczerpują i że jeśli nie przejdzie do jakiegoś łżejszego komanda, to zginie. Tak trafiła, znów dziwnym przypadkiem, do komanda kobiet pracujących w pierwszej „Kanadzie”. Był to teren położony kilkaset metrów od obozu macierzystego Auschwitz.

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, po przeniesieniu obozu kobiecego do Birkenau, Helena codziennie szła ponad trzy kilometry do pierwszej „Kanady” wraz z innymi więźniarkami z tego komanda, które podlegało Wunschowi. Ich zadaniem było segregowanie mienia zrabowanego więźniom przez SS. Tam Helena otrzymała brzemienne w skutki szansę. Musiała zaśpiewać na urodzinach Wunscha, które organizowali mu koledzy esesmani w *Effektenkammer* (to oficjalna nazwa pierwszej „Kanady”). Dziewczyna początkowo nie chciała śpiewać, ale się przemogła. Jak sama wyznała po latach, po tym występie „spojrzenie Wunscha stało się ludzkie”¹².

Od tego momentu życie Heleny się zmieniło. Wunsch zaczął

okazywać jej zainteresowanie. Z biegiem czasu zachowywał się coraz dziwniej, przekazując potajemnie Helenie jedzenie oraz... pisząc i podrzucając małe karteczki z wiadomościami. Zachowanie esesmana nie uszło uwadze więźniarek, których reakcje były bardzo zróżnicowane. Helena jednak wstydziła się swojego „uprzywilejowania”. Związek z esesmanem oznaczał dla niej relatywnie większe bezpieczeństwo, ale i napiętnowanie ze strony innych kobiet, pozbawionych tej „szansy”. W pewnym sensie dziewczyna uzależniała się od jego pomocy. Ale z drugiej strony istniała groźba zadenuncjowania jej i „opiekuna” obozowemu Gestapo. Helena – jak piszą historycy Gideon Greif i Andreas Kilian – nie mogła zorientować się w swoich uczuciach. Była jednak pewna, że Wunsch, wyznając jej własne uczucie – na karteczce, w pośpiechu, w jądrze obozowego piekła – zmienił się pod jego wpływem. Był brutalny i odpowiadał za wiele okrucieństw popełnionych na więźniach. Jej jednak kilkakrotnie uratował życie, niczego nie żądając w zamian. Wiemy też, że na prośbę Heleny ratował innych ludzi.

Wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku niemiecki Wehrmacht wkroczył na Węgry i zaczęły się wywózki węgierskich Żydów do Auschwitz. Wraz z przedłużeniem rampy kolejowej od dworca kolejowego do wnętrza Birkenau, mordercza machina Auschwitz unicestwiła ponad czterysta trzydzieści siedem tysięcy istnień w ciągu niecałych dwóch miesięcy. Auschwitz stało się wówczas ośrodkiem najstraszniejszego morderczego szafu, jaki człowiek mógł zgotować drugiemu człowiekowi. Transporty śmierci wyruszały także z pogranicza węgiersko-słowackiego (część Słowacji była anektowana przez Węgry). W jednym z tych transportów znalazła się także siostra Heleny wraz z dwójką dzieci. Helena zobaczyła siostrę z wózkiem i córką na rampie. Wiedziała, że pomoc jej może tylko Wunsch. To on poszedł do komory gazowej i wyciągnął stamtąd Roszanę. Jej dzieci jednak zginęły. Wunsch nie pozostawił złudzeń Helenie, mówiąc, że „dzieci nie uda mu się uratować, bo one nie mogą żyć w tym miejscu”. Od tego momentu ich stosunki się zmieniły. Helena, jak podkreślają Greif i Kilian,

zaczęła Wunscha darzyć uczuciem. Ponieważ przebywali w obozie koncentracyjnym i należeli do dwóch różnych, nieprzystających do siebie światów, ich uczucie skazane było na niespełnienie. Zresztą oboje wiedzieli, że za zbliżenie czekała ich śmierć. Obozowe Gestapo jednak nie próżnowało. Związek Heleny i Wunscha stał się tematem plotek. To kolejny paradoks Auschwitz. Życie obozowe nabierało niezwykłej ostrości i toczyło się swoim torem obok śmierci.

Wunscha oskarżono o kradzież mienia należącego do Trzeciej Rzeszy. Władze obozowe, nie mogąc mu w żaden sposób udowodnić romansu z Żydówką, wytoczyły przeciw niemu oskarżenia o korupcję. Wunsch trafił do aresztu na cztery miesiące. Franz i Helena zaprzeczyli podczas przesłuchań, że cokolwiek ich łączy. Dziewczyna pod nieobecność Wunscha opiekowała się siostrą. Interesujące są wzajemne relacje sióstr. Roszana nie była wdzięczna Helenie za uratowanie życia. Zarzucała siostrze egoizm – że rękoma Wunscha uratowała ją dla siebie.

Tymczasem nieodwołalnie zbliżał się koniec piekła. Na przełomie października i listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku władze SS zaprzestały masowego zabijania cyklonem B w komorach gazowych Birkenau (zglądziwszy uprzednio wczesną jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku sześćdziesiąt tysięcy osób z getta w Łodzi). Te dni, w niewyobrażalnym głodzie, były jednym z najcięższych okresów w dziejach obozu. Rozpoczęły się transporty do innych obozów położonych w głębi Niemiec. W styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, wraz z ofensywą Armii Czerwonej, padł rozkaz ewakuacji. Pozostałych przy życiu więźniów, około sześćdziesięciu tysięcy, Niemcy pognali w mróz do Czech i na Śląsk. Wśród nich były Helena i jej siostra. Jak sama podkreśla, zwolniony z aresztu Wunsch uratował im życie po raz drugi. Przekazał im ciepłe ubrania i obuwie, które dostał od matki z Austrii. To pozwoliło obu wyczerpanym kobietom przeżyć ewakuację.

Ich historia powinna się była zakończyć wówczas, w styczniu

tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Młody esesman zmieniony pod wpływem uczucia do żydowskiej dziewczyny radził im, aby udały się do Wiednia do jego matki. To jednak okazało się niemożliwe. Ich drogi się rozeszły. Helena i jej siostra znalazły się po wojnie w Izraelu, co było najbardziej naturalnym i oczywistym wyborem życiowym. Wunsch odnalazł się w Austrii. Po wojnie prowadził firmę, ożenił się nawet z kobietą ładną podobną do Heleny. Mieli się przecież już nigdy nie spotkać. Wunsch przez wiele lat nie wiedział, czy Helena przeżyła.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku Wunsch trafił jednak przed sąd, razem z innym esesmanem z Auschwitz, architektem Walterem Dejaco. Helena zgodziła się świadczyć przeciw niemu. Przyjechała z Izraela na proces. Zobaczyli się po raz pierwszy od zakończenia wojny. Helena zeznawała prawdę – o tym, że uratował życie jej i siostry oraz innych ludzi, których wyciągnął z transportów na jej prośbę, a Wunsch został uniewinniony. W latach dziewięćdziesiątych przyznał, że nigdy nie czuł się bardziej przegrany.

Powieść

Maria Janion i Zygmunt Bauman, pisząc o wyjątkowości Szoah, odnosili się do faktu, że śmierć stała się końcowym produktem maszyny Zagłady; że po raz pierwszy w dziejach cywilizacji technicznej na taką skalę zastosowano metody przemysłowe w celu wyniszczenia jednego narodu. Bezprecedensowość Zagłady była, jest i będzie jeszcze przez długi czas inspiracją dla pisarzy.

W mojej książce, która – podkreślam – nie rości sobie pretensji do bycia dokumentem, sportretowałem obóz Auschwitz w tle historii fikcyjnych postaci: Franza Weimerta i Mileny Zinger. Na kartach powieści czytelnik może odnaleźć elementy historii tego miejsca od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego, czyli rozbudowę Birkenau, utworzenie obozu kobiecego, rozbudowę „Kanady” oraz intensyfikację Zagłady. Większość osób sportretowanych w książce to postaci historyczne. Z szacunku dla prawdziwych bohaterów stworzyłem fikcyjnych, którzy od prawdziwych zapożyczyli jedynie część ich nieprawdopodobnej i dlatego tak fascynującej historii.

Moje zdumienie wywołał fakt, że nikt do tej pory nie sięgnął po ich dzieje. Miłość młodego esesmana do żydowskiej więźniarki w obozie, który stał się synonimem Szoah, bezprecedensowego mordu dokonanego przez niemieckich nazistów na sześciu milionach europejskich Żydów, niesie ogromną ilość emocji. To temat krańcowo trudny dla pisarza, zwłaszcza że najważniejsze literackie książki na temat Zagłady opublikowali naoczni świadkowie, tacy jak Wiesław Kielar czy Primo Levi. Nie jestem też w sytuacji Martina Pollacka, który opisuje historię własnej rodziny uwikłanej w nazizm (*Śmierć w bunkrze*, wyd. Czarne, 2006). Jednak zdecydowałem się podjąć ten trudny, ale jakże intrygujący dla pisarza temat.

Podziękowania

Czerń i purpura to moja czwarta, ale najtrudniejsza powieść. Dziękuję wszystkim tym, którzy czytali maszynopis i nie szczędzili mi krytycznych uwag, a więc mojej mamie Mariannie, z wielką cierpliwością czytającą pierwszą wersję; mojej koleżance Dagmarze, moim przyjaciółom Steffenowi i Jadzi, którzy wspierali mnie, czytając ten tekst.

Osobne „dziękuję” należy się Andrzejowi Kuryłowiczowi za niezmienną dla mnie życzliwość, i redaktorowi Piotrowi Chojnackiemu za mrówczą pracę nad tekstem.

lipiec 2012, Bielsko-Biała
Wojciech Dutka

¹ Nationalpolitische Erziehungsanstalten, nazistowska sieć szkół średnich z internatami, kształcąca męską młodzież w duchu militarizmu i rasowego szowinizmu, podległa SS.

² „Der Stürmer”⁵, wydawane w Bawarii nazistowskie pismo, które odegrało dużą rolę w kształtowaniu i podsycaniu nastrojów antysemickich w Niemczech. Na procesie norymberskim uznano odpowiedzialność pisma za zjadłą nienawiść do Żydów i w rezultacie jego redaktora naczelnego Juliusa Streichera powieszono.

³ Politische Abteilung (niem.) – Wydział Polityczny.

⁴ Co robisz? Czyś oszalał? (niem.).

⁵ Czapki z głów! (niem.).

⁶ Co się tu dzieje? (niem.).

⁷ SKG (niem. Sovjetischer Kriegsgefangen) – radziecki jeńiec wojenny.

⁸ Co się tu dzieje? – (niem.).

⁹ „Jestem od głowy do stóp nastawiona na miłość, i to jest mój świat i nic poza tym”, cyt. za: Marlena Dietrich. Kronika życia, Warszawa 1990.

¹⁰ To jest coś, to jest piękne! (niem.).

¹¹ Weisskapchen – nazwa komanda kobiecego z „Kanady”; wzięła się od białych chodaków (kapci), w których chodziły więźniarki.

¹² Zob. Gideon Greif, Andreas Kilian, Miłość esesmana do żydowskiej więźniarki w Auschwitz, „Pro Memoria/Biuletyn Informacyjny Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau”, nr 24, styczeń 2006, s. 29.